

J.V. Jones

Zdradzony

(A Man Betrayed)

Księga słów 02

Przełożył Michał Jakuszewski

Dla Margaret Jones

Prolog

Dziewczyna zaczęła cicho pochrapywać. Ten nieprzyjemny, charczący dźwięk wydawał się niemal błaganiem o litość. Bardziej od owego odgłosu irytował go jednak zapach, mdły zaduch towarzyszący wszystkim przedstawicielkom jej płci. Odór potu, moczu i odchodów, zdradzający, niezawodnie jak wszelkie księgi, ich prawdziwą naturę. Tajemną, wewnętrzną naturę, którą starały się ukryć przed mężczyznami, wykorzystując swe talenty do kłamstwa i symulacji. Rzecz jasna, udawało im się to, gdyż mężczyźni łatwo dawali się zwieść pozorom: pulchne piersi, błysk zębów, wonny oddech.

Prawda była jednak zawsze obecna: kobiety – bez względu na wszystkie swe pudry i perfumy – nigdy nie potrafiły się uwolnić od smrodu rozkładu.

Kylock wstał z łóżka, pragnąc oddalić się od kobiety i jej zapachu. Miał ochotę obudzić dziewczynę potrząśnięciem i kazać jej odejść, lecz kolidowało to z jego planami. Zresztą, po wszystkim, przez co przeszła

z nim tej nocy, nie był do końca pewien, czy porządne szarpnięcie wystarczy, by wyrwać ją ze snu. Oczywiście, ocknie się. Zdolność szybkiego powrotu do zdrowia była kolejną charakterystyczną cechą jej płci. Kobiety wyciskały z mężczyzn wszystkie siły, same ich nie tracąc.

Podszedł do małej, miedzianej miski, która stała po drugiej stronie komnaty. Tak jak zawsze, zaczął myć ręce. Używając małej, lecz szorstkiej szczotki z włosia dzika, oczyścił starannie dłonie z odoru kobiety. Palce, które jedną świecę temu tak ochoczo wyszukiwały wklęsłości i wypukłości ciała, namoczył teraz w pełnej ługu wodzie. Tym razem zachowywał szczególną ostrożność. Było to oznaką szacunku wobec tego, co zamierzał uczynić tej nocy. Nie chodziło o osobę, której to zrobi, lecz o wielkość samego dokonania.

Spojrzał na swe dłonie. Były blade i szczupłe, o arystokratycznych palcach i delikatnym kształcie. Nie były dłońmi jego ojca.

Na wargach wykwitł mu blady uśmiezek. Kylock spojrział w zwierciadło. Nie była to twarz jego ojca, ani jego oczy, nos czy zęby. Nagłym, gwałtownym ruchem uderzył pięścią w lustro. Szkło rozbiło się z zadowalającym go trzaskiem. Dziewczyna w łożu zadrzała, po czym, być może sądząc, że w

zapomnieniu odnajdzie bezpieczeństwo, zastygła, starając się ograniczyć ruchy do minimum. Jego pięść nie krwawiła. Ucieszyło to Kylocka. Odnosił wrażenie, że dzisiejszej nocy nie powinien przelewać krwi. W odłamkach zwierciadła widział teraz chaotyczny zestaw odbić. We fragmentach widocznej tam twarzy dostrzegał podobieństwo do swej matki. Nie było wątpliwości, że jest jej synem. Płaszczyna policzka, kąt brwi, kształt ust, wszystko to przywodziło na myśl Arinaldę.

Nie trudził się szukaniem śladów ojca. Nie znajdzie ich. Nigdy ich nie było. Jednakże nie był synem króla. Ów fakt rzucał się w oczy, jak nos na jego twarzy. To właśnie nos zdradzał prawdę. Choć kryła się w tym ponura ironia, tak właśnie było.

Odwrócił spojrzenie od zwierciadła i przygotował się. Nie musiał dokonywać żadnych specjalnych czynności. Jak zwykle przywdział czarny strój, zupełnie nie na miejscu za dnia, lecz bardzo odpowiedni nocą. Kolor tajemnic i intryg. Kolor śmierci. Nie potrzebował zwierciadła, by wiedzieć, jak bardzo mu w nim do twarzy, jak bardzo pochlebia mu ta barwa, jak do niego pasuje. Jego matce również będzie do twarzy w czerni. Jaka matka, taki syn.

Znajdował się niedaleko od miejsca, do którego

musiał dojść. Było ono w sąsiednim korytarzu. Nie postawi jednak nogi w poświęconym przejściu, jego dłonie nie poczują chłodnego dotyku wykutych z brązu drzwi. Musi się tam udać okrężną drogą.

Opuścił swe komnaty i przeszedł do komnat dla kobiet. Każdy, kto by go zauważył, mrugnąłby tylko i odwrócił wzrok, myśląc, że to bardzo dobrze, iż dziedzic tronu Czterech Królestw ma odwagę łamać zasady, odwiedzając jakąś damę w jej komnacie po zmierzchu.

Kylockowi nie chodziło jednak o damę. Wiedział, że w komnatach dla kobiet można znaleźć wejście do sekretnych korytarzy. Było oczywiste, że kryło się ono właśnie tam: jakież miejsce w zamku król odwiedzałby z większą ochotą i gdzie bardziej chciałby uniknąć świadków?

Z tajnymi przejściami zaznajomił go królewski kanclerz. Pewnej Wigilii Zimy, przed wielu laty, przyłapano go na szczuci stanowiących własność króla psów na świeżo narodzonego źrebaka. Za karę matka zabroniła mu opuszczania komnat przez tydzień. Dzięki Baralisowi nie musiał jednak w nich siedzieć. Kanclerz otworzył ścianę dotknięciem zniekształconych palców, ofiarując mu bezcenny dar tajemnicy. Kylock do dziś pamięta dreszcz objawienia,

poczucie, że znalazł to, czego zawsze szukał pośród smrodu i podstępów. Odmieniło to jego życie. Ujrzał bardzo wiele. Nic nie mogło się ukryć przed jego chciwym wzrokiem. Podglądał szlachciców spółkujących z garderobianymi, podsłuchiwał służących spiskujących przeciw swym panom, odkrywał ślady po ospie, ukryte pod warstwą pudru na twarzach niejednej z wielkich dam.

Nic nie było takie, jakim się zdawało. Zepsucie i chciwość przenikały wszystko do szpiku kości. Ciało ukrywało grzeszne wnętrze. Pokazując mu wejście do tajemnych korytarzy Zamku Harvell, Baralis zaznajomił go z całym nędznym inwentarzem występku.

Kylock odnalazł właściwą ścianę. Przesuwając palcami po kamieniu, wyobrażał sobie, że słyszy tykanie maszynarii. Odstoniła się przed nim kusząca jama. Wszedł do środka i wybrał drogę.

Nagły chłód i zaduch zgnilizny przywołały wizje jego matki. Z pewnością przez całą wieczność nie narodziła się większa nierządnicą! Królowa Arinalda, piękna i wyniosła; zawsze udająca tak poprawną, tak nieskazitelną. Jakże często pozory nie mają nic wspólnego z prawdą. Odór był jednak łatwy do rozpoznania, silniejszy niż u jakiegokolwiek innej

kobiety. Cuchnęła jak dziwka. Czasami ów smród był tak przemożny, że Kylock nie był w stanie wytrzymać w jej towarzystwie. Z iloma mężczyznami spała? Ile razy kłamała? Jak wielu zrad się dopuściła?

To, że sypiała z innymi mężczyznami poza królem, było oczywiste. On, Kylock, był tego dowodem. W jego żyłach nie płynęła krew Harvella. Głowy nie pokrywały mu jasne włosy, a z tułowia nie wyrastały krótkie, grube kończyny.

Jego matka szukała przyjemności u innych mężczyzn, a on był owocem jej niepowściągliwości. Kobiety były słabszą płcią, a źródłem owej słabości była ich wszechogarniająca chuć. Były wstrętne: cienka warstwa skóry pokrywająca odrażające wnętrza, którym władały zwierzęce *żądze*. Rozumiał, że owym pragnieniom ulegają dziewczynki pracujące w karczmach i ulicznicy, ale królowa? Jego matka, która powinna stać ponad wszystkimi kobietami w królestwie, była tanią dziewczynką. A on był tego dowodem. Gdy tylko spoglądał w zwierciadło, dostrzegał w nim prawdę.

Szybko przybył na miejsce. Do jądra zamku, źródła, z którego wszystko płynęło, czy powinno płynąć, gdyby sprawy wyglądały inaczej. Do komnaty króla.

Uruchomił mechanizm i wszedł do środka. Jego

zmysły zaatakował zapach izby chorych. Woń człowieka, którego ciało powoli pogrążało się w śmierci. Zbyt powoli.

Przekradł się cicho przez komnatę, gdyż wiedział, że w sąsiednim pomieszczeniu czuwa główny łaziebny. Serce waliło mu jak opętane. W każdym jego uderzeniu mieszały się ze sobą podniecenie i strach. Podszedł do łoża. Owo karmazynowe, pokryte jedwabiem monstrum już od pięciu lat stanowiło mieszkanie króla. Kylock odsunął zasłony i spojrzał w twarz człowieka, który nie był jego ojcem.

Patrząc na niego, czuł litość. Wskutek poczynań lekarzy, chory nie miał już włosów ani zębów. Był żalną postacią o zapadniętych policzkach, która nieustannie się śliniła. Gdy Kylock zobaczył splamione plwociną poduszki, współczucie ustąpiło miejsca niesmakowi. To nie był król. Królem była jego matka, która w nagrodę za swe grzechy została suwerenem we wszystkim oprócz nazwy. Nie zdziwiłoby go, gdyby to ona spowodowała chorobę monarchy. Jej drugie imię brzmiało Zdrada.

Dzisiaj wszystko się zmieni. Uwolni kraj nie tylko od bezużytecznego króla, lecz również od zwodniczej królowej. Jutro jego matka przekona się, że utraciła wszelką władzę. Na tron wstąpi nowy monarcha.

Byłaby głupia, gdyby próbowała władać królestwami również za jego panowania.

Wybrał jedną z wielu poduszek. Obrzydzenie skłoniło go do wyszukania takiej, której nie splamiła płwocina Lesketha. Oto człowiek, który nie był jego ojcem.

„Czy zrobiłbym to, gdyby nim był?”

Zmiał w dłoniach jedwabną poduszkę, nadając jej odpowiedni kształt.

„Tak jest, zrobiłbym”.

Pochylił się nad łóżem. Gdy na twarz króla padł cień poduszki, Lesketh otworzył oczy. Przerażony Kylock cofnął się o krok, gdy padło na niego ich spojrzenie. Monarcha próbował coś powiedzieć. Po brodzie spłynęła mu strużka śliny. Kylock nie był w stanie się poruszyć. Poduszka parzyła mu dłoń. Mężczyzna i młodzieniec patrzyli sobie w oczy. Szczęką króla poruszała się powoli. Płwocina spadła mu na pierś.

– Kylock, mój synu. Słowa były ledwie zrozumiałe.

Spojrzał w twarz Lesketha. Jasnyniebieskie oczy mówiły więcej niż słowa: wyrażały miłość, lojalność i przebaczenie. Chłopak potrząsnął ze smutkiem głową.

– Nie, panie. Nie jestem twoim synem.

Kylock poczuł, że odzyskuje władzę nad

kończynami. Poduszka znów stała się chłodna.

Przycisnął ją swymi pięknymi dłońmi do bezzębnego, bezwłosego oblicza króla Lesketha. Rozpostarł palce na szkarłatnym jedwabiu, utrzymując poduszkę na twarzy słabo wrywającego się monarchy. Zdrowe ramię Lesketha szarpnęło się niczym ptak. Jego pierś unosiła się i opadała, unosiła się i opadała, aż wreszcie zaprzestała wszelkiego ruchu.

Kylock zaczerpnął pierwszego oddechu w tej samej chwili, gdy w piersi jego ofiary zamarł ostatni. Dygotał. Czuł straszliwą słabość w kolanach. Dręczyły go nudności, grożące wymiotami. Powiedział sobie, że musi być silny. To nie była chwila na okazywanie słabości. Był teraz królem i wątpił, by kiedyś jeszcze znalazł czas na słabość. Uniósł poduszkę. Zgon przerwał wreszcie ślinotok Lesketha. Mężczyzna, który nie był jego ojcem, wyglądał teraz lepiej. Wydawał się szlachetniejszy, bardziej dystyngowany. Po śmierci bardziej przypominał monarchę niż kiedykolwiek za życia.

Kylock potrząsnął poduszką, przywracając jej pierwotny kształt i ułożył ją pod brodą zmarłego. Pościel była w nieładzie: skopana i zmiętoszona. Poprawił narzuty, podciągając je, by należycie zdobiły zmarłego władcę.

Upewniwszy się, że wszystko wygląda tak, jak powinno, Kylock opuścił komnatę i ruszył z powrotem, odnajdując w ciemnościach drogę. Oczy wypełniały mu już inne obrazy; wizje wspaniałej koronacji, pocieszenia zrozpaczonej matki, zwycięstwa w wojnie z Halcusami. Jego panowanie rozpoczęło się pomyślnie. Już w tej chwili wielce się przysłużył swemu krajowi, uwalniając go od słabego, dręczonego chorobą króla. Szkoda, że jedno z jego największych dokonań nie zostanie odnotowane w historii. Trudno, pomyślał, da historykom wiele innych tematów do ich nudnych, pozbawionych wyrazu ksiąg.

Nagle znalazł się w komnacie. Dziewczyna leżała w łożu, w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Ruszył prosto do miednicy i raz jeszcze umył ręce. Woń śmierci łatwiej było usunąć niż odór kobiety.

Wytarłszy dłonie w miękką szmatkę, podszedł do biurka. Obrzucił dziewczynę pospiesznym spojrzeniem, by się upewnić, że nadal śpi. Spod nogi biurka wy dobył kluczyk ozdobiony delikatnym, złotym filigranem, w którym przez chwilę zaigrał blask świec. Przekręcił go w zamku, otwierając wysadzaną klejnotami szkatułkę. Długimi, zręcznymi palcami wy dobył z niej maleńką miniaturę. Oto była ona: piękna i niewinna, nieporównanie doskonalsza od

innych przedstawicielek swej płci. Każdy rys nieskazitelnej twarzy świadczył o czystości duszy. Catherine z Brenu. Nie dla niej były kobiece żądze. Catherine była czysta i niezbrukana. Ta najdoskonalsza z kobiet należała do niego.

Sam widok jej podobizny wystarczył, by dziewczyna leżąca w łóżu wydała mu się nędzna. Catherine nie będzie cuchnęła jak dziwka. Nie będzie skazana na wieczne męczarnie w piekle, jak inne kobiety. Jak jego matka.

Włożył ostrożnie portrecik do szkatułki, uważając, by nie uszkodzić jego nieskazitelnej powierzchni. Był teraz królem, a Catherine zostanie jego królową.

Zrzucił bluzę i piękną, jedwabną koszulę. Z rozbitego zwierciadła wzywało go własne odbicie, lecz nie zwracał na nie uwagi. Ogarnęło go mroczne pożądanie. Gdyby spojrział w lustro, zauważyłby, że jego oczy zaszyły mgłą. Nie poznałby sam siebie. Wypełniał go głód i nie miał innego wyboru, jak go zaspokoić. W przeciwnym razie pochłonąłby on jego duszę. Zbliżył się do łóża. Dziewczyna odwróciła się z jękiem. Stał nad nią i dłońmi, które zabiły króla, zerwał z jej pleców lniane gieżło.

Kylock pomknął ku miejscu, gdzie spotykały się strach i żądza. Zatracił się w swym pragnieniu. Uszy

wypełniał mu głos matki, oczy zaś twarz Catherine z
Brenu.

1

– Od tej całej jazdy dostałem pierońskiego wilka w rzyci, Grift.

– Wiem coś” o tym, Bodger. Ale przynajmniej na jedno to jazda dobrze robi.

– A na co, Grift?

– Na regularność, Bodger. Po porządnym galopie zaraz musisz pędzić za najbliższy krzak.

– Mądry z ciebie człowiek, Grift. – Bodger skinął głową na znak potwierdzenia, starając się jednocześnie utrzymać muła na ścieżce. – Oczywiście nie jestem taki pewien, czy to był dobry pomysł zgłosić się na ochotnika do wyjazdu do Brenu. Nie miałem pojęcia, że przypadnie nam najgorsza służba.

– Sprzątanie po koniach ma wiele wad, Bodger. Ale i tak musiało paść na nas. Jesteśmy tu najmłodszy rangą. Mówię ci, że mieliśmy szczęście, że w ogóle dali nam wyruszyć z tą misją. Nikomu ze starych żołnierzy nie pozwolono pojechać z Królewską Strażą. To prawdziwy zaszczyt.

– Ciągłe mi to powtarzasz, Grift. – Mina Bodgera wyrażała głęboki sceptycyzm. – Mam tylko nadzieję, że baby w Brenie są faktycznie tak chętne i ładne, jak mówisz.

– Na pewno są, Bodger. Czy zdarzyło mi się kiedyś pomylić w tej sprawie?

– Muszę ci przyznać, Grift, że wiesz o kobietach prawie wszystko. Obaj rozmówcy zamykali długą kolumnę, którą podążało ponad stu sześćdziesięciu ludzi: stu królewskich strażników i dwudziestu ludzi Maybora, a także czeladź i juczne konie.

– Chyba wiem, czemu Halcusowie są tacy wredni, Grift. Mają tu paskudną pogodę. Codziennie śnieżycą, a wietrzysko takie zimne, że zamarzłby nawet płyn w formie wytapiacza łoju.

– Ehe, Bodger. Trzy tygodnie czegoś takiego wykończyłyby każdego. Przy normalnej pogodzie, bylibyśmy już w Brenie. Przez ten wiatr, dopiero opuściliśmy terytorium Halcusów. Oczywiście, to nie on jest tu najgorszy.

– A co, Grift?

– Lord Maybor i Baralis, Bodger. Przy tych dwóch północny wicher wydaje się chłodną bryzą.

– Święta prawda, Grift. Odkąd wyruszyliśmy w drogę, wciąż obrzucają się spojrzeniami złowieszczymi

jak katowski kaptur.

Bodger musiał szarpnąć mocno wodze, gdyż jego muł miał własną opinię na temat tego, dokąd powinien się udać, i nie miał już ochoty towarzyszyć kolumnie.

– To pewne, że się nie kochają. Zauważyłeś, że rozbijają namioty daleko od siebie, jak na turnieju?

– Ehe, Grift. Nie wspominając już o fakcie, że Maybor cały dzień podąża na czele, zupełnie jakby był królem, a Baralis wlecze się w ogonie, jak ranny żołnierz.

– Uważasz mnie za rannego żołnierza, co?

Obaj mężczyźni obejrzeli się zaskoczeni, gdy Baralis wjechał pomiędzy nich. Twarz kanclerza była niezwykle blada, a oczy lśniły ostrym blaskiem w odbijającym się od śniegu świetle.

Żaden ze strażników się nie odzywał: Bodger dlatego, że ze strachu omal nie spadł z siodła i próbował teraz usiąść pewniej, a Grift ze względu na to, iż był dostatecznie bystry, by wiedzieć, kiedy lepiej jest nic nie mówić.

– No, no, panowie – ciągnął królewski kanclerz. Jego wąskie wargi rozciągnęły się, sugerując groźny uśmiech, lecz nie formując go do końca. Chłód w oczach zadawał kłam pięknemu brzmieniu głosu. – Dlaczego umilkliście tak nagle? Przed chwilą

sprawialiście wrażenie wyjątkowo rozmownych. Czyżby języki przymarzły wam nagle od północnego wiatru? A może zaczynacie już żałować swych lekkomyślnych słów?

Grift widział, że Bodger ma zamiar odpowiedzieć. Choć wszystkie instynkty mówiły mu, że powinien zachować milczenie, wiedział, że jeśli zaraz się nie odezwie, jego towarzysz napyta sobie jeszcze gorszej biedy.

– Mój przyjaciel jest młody, lordzie Baralisie i przy śniadaniu wypił trochę za dużo *ale*. Jego słowa nic nie znaczyły. To był tylko żart.

Królewski kanclerz zastanawiał się chwilę, nim raczył udzielić odpowiedzi. Skrytą w rękawicy dłonią pocierał brodę.

– Młodość raczej nie usprawiedliwia głupoty, a *ale* usprawiedliwiają w jeszcze mniejszym stopniu. – Grift otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Baralis uciszył go nagłym skinieniem skrytej w rękawicy dłoni. – Nie, człowieku, nie tłumacz się więcej. Zostawmy tę sprawę. Powiedzmy, że jesteście moimi dłużnikami.

Spojrzał w oczy obu strażnikom, pozwalając, by w pełni dotarło do nich znaczenie jego słów. Upewniwszy się, że tak się stało, ruszył naprzód. Nad przyciętym ogonem jego klaczy powiewał czarny

płaszcz.

A więc plotkowali o nim nawet zwykli żołnierze! Niemniej pocieszał go fakt, że te dwa zasmarkane przygłupy zostały jego dłużnikami. Od dawna wiedział, że warto mieć wokół siebie ludzi, którzy są mu coś winni. Była to waluta cenniejsza niż złoto przetrzymywane w zamkniętej szkatule. Nigdy nie wiadomo, kiedy usługi podobnych indywiduów mogą się okazać użyteczne. Ostatecznie strażnicy z reguły strzegli czegoś cennego.

Och, ależ było zimno. Baralis przemarzał aż do najgłębszych zakamarków duszy. Tęsknił za ciepłem swych komnat i mile trzaskającego ognia w kominku. Najbardziej cierpiały jego dłonie. Nawet teraz, gdy były skryte w futrzanych rękawicach, wiatr przeszywał je zimnem aż do szpiku kości. Słabe, zdeformowane dłonie, tak piękne w młodości, teraz zniszczone przez jego ambicję. Chude, pokryte bliznami ciało nie zapewniało ochrony przed wiatrem.

Trakt pokrywała gruba na dwie dłonie warstwa śniegu, który z każdym powiewem przemieszczał się z chytrą precyzją, wskutek czego ścieżka była zdradziecka. Przednia straż straciła już jednego konia, który okulał. Nieszczęsne stworzenie zoczyło z trasy tylko na długość ramienia, wystarczyło to jednak, by

wylądowało w głębokim parowie, ukrytym pod warstwą niewinnie wyglądającego śniegu. Dobili wałacha na miejscu.

Od Brenu dzielił ich tylko tydzień drogi. Wczoraj sforsowali Emm. W drużynie nie znalazłoby się nikogo, kto nie westchnąłby z ulgą po przeprawie przez szeroką rzekę. Nie tylko była ona niebezpieczna, lecz – co ważniejsze – stanowiła granicę halcuskiego terytorium. Ludzie sądzili, że tylko dzięki wielkiemu szczęściu udało im się całe dziesięć dni niepostrzeżenie wędrować przez nieprzyjacielskie terytorium. Baralis wiedział, że prawda wygląda inaczej.

Myśl, by wykorzystać kontakty, jakie miał wśród Halcusów, do wciągnięcia drużyny w zasadzkę i zamordowania Maybora, była kusząca. Baralis najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnął śmierci próżnego, pysznego wielmoży. Było to jednak zbyt ryzykowne. Napad na ich oddział mógłby z łatwością wyrwać się spod kontroli, zagrażając samemu królewskiemu kanclerzowi. Nie, lepiej nie narażać własnego bezpieczeństwa. Istniały inne, mniej niebezpieczne sposoby na pozbycie się Maybora.

Wielmożę ze Wschodnich Ziem trzeba było wyeliminować. To nie podlegało dyskusji. Baralis nie zamierzał tolerować żadnej ingerencji w swe plany

wobec Brenu. Negocjacje w sprawie zaślubin wymagały subtelności i sprytu – dwóch cech, których Mayborowi rozpaczliwie brakowało. Co więcej, nie tylko zagrażał on kanclerzowi fizycznie – Baralis nie wątpił, że potężny możnowładca ani na chwilę nie zapomina o zamiarze zamordowania go – lecz również mógł udaremnić samo małżeństwo. Maybor chciał wydać za księcia Kylocka własną córkę. Niepowodzenie tych zamysłów uczyniło z niego zawziętego przeciwnika związku z córką diuka Brenu.

Baralis przeszukał wzrokiem kolumnę jeźdźców. U jej czoła dostrzegł obiekt swych rozważań. Dosiadający potężnego ogiera wielmoża wystrojony był w ekstrawaganckie, szkarłatno-srebrne szaty. Nawet to, w jaki sposób siedział na koniu, świadczyło o wygórowanej opinii o sobie. Wargi Baralisa na sam jego widok wykrzywiły się w grymasie pogardy.

Nie mógł dopuścić do tego, by Maybor dotarł do Brenu żywy. Jako poseł korony, przewyższał rangą Baralisa! Królowa sprawiła mu tą nominacją paskudną niespodziankę. To on, królewski kanclerz, człowiek, który zaaranżował małżeństwo między księciem Kylockiem a Catherine, powinien wieść prymat w Brenie. Arinalda jednak mianowała go tylko posłem księcia, czyniąc go niższym rangą od Maybora.

Nie zamierzał tolerować podobnej zniewagi.

To on powinien się zająć diukiem Brenu i jego piękną córką. Maybor nie miał prawa mieszać się w tę sprawę. Baralis rozumiał polityczne motywy kryjące się za obiema nominacjami, gdy jednak do królestw dotrą wieści o śmierci grubasa, królowa przekona się, że wszystkie jej chytne plany spełzły na niczym.

Nie było wątpliwości. Dzisiaj, w mroźne południe, gdy północny wicher dał niczym dobiegający z otchłani syreni zew. Maybor zakończy żywot.

Melli wiedziała, że lepiej nie otwierać okiennicy. Nadciągała wichura i wąska deska stanowiła ich jedyną osłonę. Do tego nie była pewna, czy zatrask wytrzyma. Sądziła jednak, że powinien wytrzymać. Zawsze miała szczęście w podobnych sprawach. Sławetny fart rodu Maybora wspomagał jej rodzinę już od stuleci. A przynajmniej wspomagał mężczyzn, gdyż wydawało się, że swym kobietom odbierają go oni doszczętnie.

W jej przypadku jednak wyglądało to inaczej. Jako pierwsza kobieta w rodzie została obdarzona tym najkapryśniejszym z darów.

Przyłożyła oko do dziury po sęku i spojrzała na północne równiny Halcusu. Omal nie oślepił jej bijący od śniegu blask. Minęła dłuższa chwila, nim zdołała

dostrzec jakiegokolwiek szczegóły krajobrazu. Odkąd ostatnio wyglądała na zewnątrz, wiatr wzmógł się. Niósł ze sobą tumany śniegu. Nie było widać wiele: biała ziemia pod białym niebem. Ośnieżony teren wiosną zapewne służył jako pastwisko, teraz jednak leżał odsłonięty przed gniewem zimy.

Zimno stało się zbyt dokuczliwe dla oczu. Melli cofnęła się i zatkała otwór kawałkiem brudnej, impregnowanej tkaniny. Odwróciwszy się, zauważyła, że Jack się jej przygląda. Z jakiegoś powodu, zaczerwieniła się. Niemal mimowolnie przyglądała dłonią włosy. Przemknęło jej przez głowę, że to głupie, iż choć już tak dawno opuściła dwór, zachowała instynkty dworskiej piękności. Życiem kobiet z Zamku Harvell rządziły niezliczone zasady dotyczące zachowania, ubioru i konwenansów. Gdy zostawiła już wielki dwór za sobą, zdała sobie sprawę, że wszystkie te reguły można streścić w jednej: kobieta nieustannie musi się starać zadowolić mężczyznę.

Nawet teraz, gdy widziała rzeczy, których dworska piękność mogła się jedynie domyślać, Melli łapała się na tym, że ulega przyswojonym nawykom kobiecości, zwłaszcza temu, który kazał jej ładnie wyglądać w męskich oczach.

Uśmiechnęła się na myśl o własnym szaleństwie.

Jack odpowiedział, szczerząc radośnie zęby. Jego bystra, przystojna twarz, którą zimowy rumieniec czynił jeszcze atrakcyjniejszą, sprawiała, że Melli czuła się dziwnie szczęśliwa. Wybuchnęła nagle śmiechem: radosnym, wysokim i wesołym jak śpiew skowronka. Jack podążył za jej przykładem. Śmiali się do siebie, stojąc po przeciwnych stronach małej szopy, która niegdyś służyła jako kurnik.

Nie wiedziała, co tak rozbawiło Jacka, nie była nawet świadoma, dlaczego sama się śmieje. Ważne było tylko to, że czuje się dobrze. A przez bardzo długi czas mieli naprawdę niewiele powodów do zadowolenia.

Od samego początku nie sprzyjała im pogoda. Gdy dotarli na ziemie Halcusów, pogorszyła się jeszcze. Nie znali okolicy i szybko stracili orientację. Na domiar złego musieli omijać każdego napotkanego człowieka. Wszystko to sprawiło, że zgubili drogę. Melli czytała w dzieciństwie opowieści o ludziach, którzy odbywali długie podróże, kierując się tylko słońcem i gwiazdami. Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Owe historie nie wspominały o fakcie, że zimą często całymi tygodniami nie widać ani słońca, ani gwiazd. Za dnia niebo było jasne i zasnuwane chmurami, nocą zaś ciemne i również zasnuwane

chmurami.

W rezultacie nie mieli właściwie pojęcia, w którą stronę wiedzie droga do Brenu i Annisu. Byli pewni jedynie tego, że nadal są gdzieś w Halcusie. Przed dwoma dniami przekonali się, że wciąż przebywają na terytorium wroga.

Pogoda nieustannie się pogarszała i Melli zauważyła, że Jackowi dolega zraniony bark. Oczywiście, usiłował to ukryć, mężczyźni zawsze tak postępowali zarówno w opowieściach, jak i w rzeczywistości. Jednakże zawsze zarzucał sobie plecak na lewe ramię, starając się oszczędzać prawe. Brodzili po kolana w śniegu, a wiatr odzierał ich z resztek ciepła, jakie zatrzymywały ich ubrania. Wreszcie natknęli się na zniszczony dom. Wieśniak, do którego należał, opuścił go już dawno. Miał powody. Budynek strawił ogień. Pozostała jedynie przykryta śniegiem ruina.

Nadciągała śnieżycą. Na horyzoncie gromadziły się czarne chmury. Wiatr kąsał wędrowców w łydki. Byli zmęczeni i przemarznięci do szpiku kości. Poczuli ogromną radość, gdy za kępą chaszczy zauważyli kurnik, który stał w pewnej odległości od domu. Szczęśliwie nie padły na niego iskry i ogień oszczędził szopę.

Gdy drzwi nie chciały się otworzyć i poczuli, że są zamknięte na zatrzask. Mccii wiedziała już, że będą kłopoty. Drzwi nie mogły zaniknąć się same. W kurniku zaszył się ktoś inny. Jack spojrział jej w oczy. Zrozumiała, że wie, jak bardzo potrzebne jest jej schronienie. Jeśli nie będą się mieli gdzie skryć, nadchodząca nawałnica może okazać się dla nich ostatnią. Melli potrząsnęła lekko głową: lepiej odejść. Zamknięte drzwi oznaczały ludzi, ludzie zaś niebezpieczeństwo. Jack spoglądał na nią jeszcze przez mgnienie oka, nim dotarło do niego jej ostrzeżenie. Potem znowu popatrzył na horyzont. Nawałnica zbliżała się do nich niby drapieżnik.

Nagłym, gwałtownym ruchem kopnął drzwi. Zatrzask ustąpił. Drzwi wpadły do środka, wrywając się z górnego zawiasu. Wewnątrz czekało dwóch mężczyzn z wyciągniętymi nożami.

Pierwszym, co poczuła Melli, było uderzenie w pierś. Jack obalił ją w śnieg, by nic się jej nie stało. Zdażyła podnieść wzrok na czas, by zdumieć się tym, jak szybko wyciągnął nóż, który dostał od kobiety hodującej świnie. Poczowała ostrą woń *ale*. Obaj nieznajomi byli pijani. Oddalali się od siebie ostrożnie, starając się okrażyć Jacka. Ten cofnął się od progu. Nawet dla niewprawnego oka Melli, wydało się to

sprytnym posunięciem. Chcąc go zaatakować, będą musieli przechodzić przez drzwi pojedynczo.

Pierwszy z mężczyzn ruszył naprzód, wymachując na oślep nożem. Jack runął na niego. Nie sposób byłoby opisać tego inaczej. Miała wrażenie, że widzi go pierwszy raz w życiu. Oszalał z wściekłości. Braki umiejętności nadrabiał gniewem. Melli wyczuwała, że wkłada w walkę znacznie więcej niż człowiek, którego przygniótł. Nieznajomy był skazany na porażkę. Jack walczył z losem i okolicznościami, a być może również z samym sobą. Miała wrażenie, że każdy okrutny cios był wymierzony w coś mniej konkretnego, lecz mimo to groźniejszego niż jego przeciwnik.

Drugi mężczyzna zbliżył się do walczących.

– Jack! Uważaj! Za tobą! – ostrzegła go krzykiem Melli.

Odwrócił się i nieznajomy, być może przerażony tym, co ujrzał w twarzy chłopaka, uciekł. Brnął ciężko przez śnieg, zostawiając w nim głębokie ślady.

Pierwszy z mężczyzn był martwy. Otrzymał cios rzeźnickim nożem w brzuch. Jack podniósł się. Nie chciał na nią patrzeć. Wszedł do szopy. Dziewczyna podążyła za nim, starannie omijając zwłoki i powiększającą się na śniegu plamę krwi.

Żadne z nich nie wspomniało o tym ani słowem, lecz Melli nie przestawała myśleć o całej sprawie. Jack coraz bardziej zamykał się w sobie. Był równie uprzejmy jak zawsze, kryła się w nim jednak nagła gwałtowność. Halcuski żołnierz poczuł ją na sobie. Melli cieszyła się, że zginął od noża. Druga możliwość była gorsza. W tym chłopaku krył się potencjał zniszczenia groźniejszy niż cała zbrojownia.

W głębi duszy intrygowała ją myśl o czarach. Wpajano jej w dzieciństwie, że są one złem i praktykują je jedynie ci, którzy utrzymują bliski kontakt z diabłem. Ojciec absolutnie nie chciał w nie wierzyć. Twierdził, że to legenda, tak samo jak smoki i wróżki. Jednak Melli zdarzało się słyszeć opowieści o tym, że w dawnych czasach czary były czymś częstym w Znanych Krainach, a ludzie którzy ich używali nie musieli być ani dobrzy, ani źli. Czyżby Jack był tego dowodem?

Odkąd ujrzała, jak użył swej mocy, by uciec przed najemnikami, wydał się jej bardziej atrakcyjny. Do tej chwili był w jej oczach tylko niepewnym siebie, nieobytym chłopakiem o długich nogach i pięknych włosach. Moc, której zaczerpnął, wypełniła go niczym woda bukłak. Bardziej przyciągał teraz uwagę, lepiej panował nad własnym ciałem. Szybko dorastał, a

czary, bez względu na kojarzące się z nimi gadanie o herezji, otoczyły go aurą, której Melli trudno było się oprzeć.

Miał też jednak słabe strony. Gryzła się myślą, że gorycz, którą dostrzegła w nim w chwili ataku na halcuskiego żołnierza, może stać się trwałym elementem jego charakteru.

Nagle odechciało się jej śmiać. Oparła się pragnieniu wyjęcia tkaniny z dziury, by raz jeszcze spojrzeć na horyzont. Kurnik kosztował ich bardzo drogo, niewykluczone jednak, że będą musieli zapłacić jeszcze wyższą cenę.

Jack postanowił dodać dziewczynie otuchy, zupełnie jakby czytał w jej myślach.

– Nie martw się – powiedział. – Nikt tu nie przyjdzie. Żołnierz nie mógł zająć zbyt daleko, a nawet gdyby udało mu się dotrzeć do jakiejś wioski, przy takiej pogodzie nikt nie wyruszy w pościg za wrogiem.

To była jej wina. Gdyby nie próbowała ostrzec Jacka, mężczyzna nie wiedziałby skąd pochodzą. Zrobiła to jednak, a śpiewny akcent Czterech Królestw łatwo było rozpoznać. Gdyby tylko trzymała usta zamknięte, mógłby ich uznać za swych rodaków. Rzecz jasna, nie zmniejszyłoby to jego niezadowolenia z faktu utraty towarzysza, a także schronienia, ale w

obu krajach podobne incydenty zdarzały się aż nazbyt często, możliwe więc, że nikt by się tym nie zainteresował. Gdyby tylko się nie odzywała.

Z jej winy człowiek, który uciekł przez zaśnieżone pole, wiedział, że pochodzą z królestw. Jeśli dotrze do jakiejś osady, wystarczy tylko jedno słowo: „Wróg”, by mieszkańcy wysłali w pościg za nimi wszystkie siły, jakie tylko zdołają zebrać.

Halcusowie darzyli Cztery Królestwa zapiekłą nienawiścią. Od stuleci byli sąsiadami, ale wszyscy wiedzą, że to właśnie sąsiadów zwykle dzieli najgłębsza wrogość. Przed pięciu laty wybuchła między nimi krwawa wojna. Tę samą wojnę, o tę samą rzekę, toczono w przeszłości niezliczoną ilość razy. Korytem spornego Nestora spływało więcej krwi niż wody. W tej chwili przewagę osiągnęły królestwa, co jedynie zwiększało nienawiść Halcusów.

– Mógł nie rozpoznać twojego akcentu. Powiedziałaś tylko kilka słów.

Jack postawił trzy długie kroki, podchodząc do niej.

Potrząsnęła delikatnie głową, wyciągając do niego rękę. Uścisnął ją i stanęli obok siebie, wsłuchując się w odgłosy nadciągającej nawałnicy. Byli tu uwięzieni. Próba ucieczki w podobnych warunkach

doprowadziłyby do ich śmierci. Oczekiwali w szopie w nadziei, że nikt nie przyjdzie. Dopóki śnieżycy się nie skończy, będą bezpieczni. W taką pogodę na dwór wychodzili tylko głupcy i ludzie usychający z miłości.

Wsunęła dłoń do jego dłoni. W jego uścisku nie było siły, lecz Melli częścią jaźni pragnęła ją poczuć. Z niewiadomych powodów, przyszedł jej na myśl królewski kanclerz, lord Baralis. Nagle pojęła, na czym polega więź, która połączyła przeszłość z terażniejszością. Cofnęła dłoń. Chodziło o dotyk, pamięć o dotyku sprzed wielu tygodni, ekscytującym i odrażającym zarazem. Wspomnienie dłoni Baralisa przesuwał się wzdłuż jej kręgosłupa. To dziwne, jak w umyśle rodzą się skojarzenia, niekiedy wywołując niespodziewanie ironiczny efekt. Dwóch mężczyzn, którym siłę dawało coś więcej niż tylko mięśnie.

Zastanawiała się, czy Jack poczuł się urażony, że wyszarpnęła dłoń tak gwałtownie. Nie wiedziała tego. Bardzo trudno było go przejrzeć. Czas, który spędzili razem, uczynił go tylko bardziej nieprzeniknionym. Nie miała pojęcia, co o niej myśli. Pewna była jedynie tego, że dba o jej bezpieczeństwo. Dowodem była siła, z jaką odepchnął ją z drogi dwóch Halcusów.

Jaką jednak miał o niej opinię? Dama dworu, córka

lorda Maybora. Szlachcianka stojąca obok ucznia piekarskiego.

Czasem we śnie dręczyły go koszmary. Rzucał się niespokojnie po posłaniu, z zamkniętymi oczyma i twarzą śliską od potu, mamrocząc słowa, które rzadko udawało się jej zrozumieć. Nieco ponad dwa tygodnie temu, pod osłoną wiecznie zielonego lasu, przeżył najgorszą noc ze wszystkich.

Obudziła się wówczas, nie wiedząc dlaczego. Była to jedna z nielicznych nocy, podczas których nie dokuczał im gwałtowny wicher i przenikliwe zimno. Spojrzała instynktownie na Jacka. Natychmiast pojęła, że nawiedził go koszmar. Policzki mu się zapadły, a ścięgna szyi mocno napięły. Nagle ogarnęło go podniecenie. Zrzucił z siebie płaszcz i koc.

– Nie! – wyszeptał. – Nie.

Melli usiadła, zdecydowana podejść do chłopaka i obudzić go. Nim jednak zdążyła wstać, leśną ciszę zmaćcił jego przeraźliwy krzyk.

– Przestań! – wrzasnął Jack.

Wydawało się, że zmienił tym naturę nocy i wszechświata. Ciemność stała się pełna życia, bliska, a wreszcie przerażająca. Udręka i niepokój zawarte w tym jednym słowie zmroziły Micii krew w żyłach. Jack umilkł potem, zapadając w spokojniejszy sen. Jej się

już to nie udało. Okrzyk chłopaka przegnał z lasu blask księżycy. Został tylko mrok. Leżała nieruchomo pośród nienaturalnie spokojnej nocy, bojąc się, że jeśli zaśnie, po przebudzeniu świat będzie wyglądał inaczej.

Zadrzała, owijając się dokładniej płaszczem. Jack wrócił do kąta, gdzie zajął się zdejmowaniem kory z mokrych kłód. Szopa była za mała, by mogli rozpalić ogień, a zamknięte okiennice odcinały dostęp powietrza, on jednak i tak przygotowywał opał. Nie lubił bezczynności.

Melli po raz dziesiąty odetkała dziurę w drzwiach. Powiedziała sobie, że chce tylko zobaczyć, czy zbliża się już nawałnica. Nadciągała ona jednak ze wschodu, a otwór był skierowany na zachód. Niemal oślepiąca bielą śniegu, wypatrywała oznak ruchu tam, gdzie uciekł drugi z mężczyzn.

Tavalisk uniósł tkaninę z sera i zaczerpnął głęboko unoszący się zapach. Znakomity. Amatorzy mogliby sprawdzić najpierw wygląd, upewnić się, czy błękitne żyłki są już wyraźne, lecz nadal pozostają delikatne. On wiedział lepiej. To z zapachu można się było wszystkiego dowiedzieć. Do pleśniowego sera nie pasowała afektowana woń dojarki. Nie, ów najbardziej królewski z serów powinien pachnieć jak król. Najlepiej martwy. Niestety nie wszyscy potrafili

docenić woń delikatnego rozkładu, wywoływaną przez miliony zarodników wgrzających się w dziewiczy miąższ.

Tak, pomyślał arcybiskup, wszystko zawiera się w zapachu. Musi on być ostry, kuszący, prowokujący, a w żadnym wypadku subtelny. Powinien działać na nozdrza jak bicz na plecy: z początku niechciany, potem zaś – w miarę, jak człowiek przyzwyczajał się do lejącej szczególnej przyjemności – witany z radością, z uwagi na rozkosz, którą daje.

Zabrał się do sera niczym chirurg stojący u stołu operacyjnego. Dzierżąc srebrny nożyk, odkroił sobie spory kawałek. Gdy przeciął skórkę, woń stała się jeszcze bardziej intensywna. Przyprawiała niemal o zawrót głowy. W takich właśnie chwilach arcybiskup najbardziej zbliżał się do religijnej ekstazy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejdz, Gamilu. – Tavalisk zauważył, że nauczył się już rozpoznawać swych licznych sekretarzy po odgłosie pukania. Nie trzeba dodawać, że stukanie Gamila było najbardziej irytujące: nieśmiałe, a zarazem niecierpliwe.

– Dzień dobry, Wasza Eminencjo – odezwał się sekretarz, tonem nieco mniej uniżonym niż zwykle.

– Jakie mi dziś wieści przynosisz, Gamilu?

Tavalisk nie raczył oderwać spojrzenia od sera.

– Z pewnością bardzo zainteresują one Waszą Eminencję. Doprawdy, bardzo.

– Gamilu, twoim zadaniem jest dostarczać mi informacji, a moim decydować, co jest interesujące. – Arcybiskup uniósł kruchy ser do ust. Poczł na podniebieniu kwaśny smak pleśni. – No mów już. Gamilu. Przestań się dąsać, jak panna, która nie ma nowej sukni na tańce.

– Hmm, czy Wasza Eminencja pamięta rycerza?

– Której nocy? Świecił księżyc, czy było pochmurno? Arcybiskup bawił się coraz lepiej.

– Nie. Wasza Eminencjo. Rycerza z Valdis, Tawla.

– Och, tego. Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu? Oczywiście, że go pamiętam. Przystojny, młody człowiek. Ale nie lubił bicza, o ile dobrze pamiętam.

Tavalisk zastanawiał się, czy nie dać trochę sera kotu.

– Czy Wasza Eminencja przypomina sobie, że kazaliśmy go śledzić, kiedy wyruszał na północ?

– Masz mnie za chorowitego dziada? Oczywiście, że sobie przypominam. Ja nigdy – arcybiskup zmrużył oczy – nigdy niczego nie zapominani. Dobrze by było, żebyś o tym pamiętał, Gamilu.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Eminencjo. Tavalisk nie potrafił się oprzeć pokusie.

– Wybaczę ci, ale nie zapomnę o twej impertynencji. – Odciął kawałek smakołyku i podsunął go kotu. Stworzenie powąchało ser i wycofało się pospiesznie. – No i cóż to za wieści. Gamilu?

– No więc, zgodnie z przewidywaniami Waszej Eminencji, rycerz wybrał się do chaty Bevlina.

– Czy wiemy, co wydarzyło się podczas ich spotkania?

Tavalisk przykucnął obok kanapy, starając się nakłonić kota do spróbowania sera.

– Teraz już wiemy, Wasza Eminencjo. Jeden z naszych szpiegów wrócił szybko do miasta, by nas o tym poinformować.

– Przybył osobiście? To doprawdy niezwykle. Dlaczego nie mógł wysłać posłańca?

Arcybiskup złapał kota za kark, próbując wcisnąć mu ser do gardła.

– Wasza Eminencjo, uznał, że wiadomość ma tak ogromne znaczenie, iż nie można jej nikomu zawierzyć.

– Liczył na awans, co?

– Myślę, że gdy Wasza Eminencja wreszcie wysłucha tego, co mam do powiedzenia – w głosie

Gamila dał się dosłyszeć cień zniecierpliwienia – może faktycznie zechce go nagrodzić jakimś drobiazgiem.

– Och, doprawdy? A cóż to może być za wiadomość? Czy Tyrena zabił piorun? Albo Kesmont wstał z martwych? A może nasz rycerz okazał się nowym wcieleniem Borca?

– Nie, Wasza Eminencjo. Bevlin nie żyje.

Tavalisk puścił kota i dźwignął się powoli. Ważył tak wiele, że ledwie mógł się utrzymać na nogach. Podszedł bez słowa do biurka. Wybrał najlepszą brandy i nalał sobie pełen kielich. Nie przyszło mu do głowy, żeby poczęstować Gamila. Odezwał się dopiero wtedy, gdy pociągnął spory łyk mocnego trunku.

– Jesteś tego pewien? Czy temu człowiekowi można zaufać?

– Szpieg, o którym mowa, pracuje dla Waszej Eminencji już ponad dziesięć lat. Jego lojalność i profesjonalizm nie podlegają dyskusji.

– Jak zginął Bevlin?

– No więc, nasz szpieg dotarł do chaty wczesnym rankiem. Zajrzał przez okno i zobaczył leżącego na ławie martwego mędrca. Serce przebito mu nożem. Szpieg czekał w ukryciu, aż wreszcie ujrzał wchodzącego do pokoju rycerza. Gdy ten znalazł zwłoki, odbiło mu, jak to mówią.

– Odbiło?

– Postradał zmysły, Wasza Eminencjo. Według słów naszego człowieka, siedział z trupem w ramionach ponad cztery godziny, kołysząc go jak dziecko. Nasz szpieg miał już zamiar się oddalić, gdy do pokoju wszedł młody ulicznik, który towarzyszył rycerzowi. Chłopak doprowadził go do porządku i tak dalej, lecz gdy tylko zostawił go na chwilę samego, rycerz wskoczył na konia i pogalopował ku zachodzącemu słońcu. Chłopak pochował ciało i zabezpieczył chatę, a następnego dnia ruszył w ślad za swym towarzyszem. Nasz szpieg wrócił pospiesznie do Rornu.

– Kto zabił mędrca?

– To właśnie jest dziwne, Wasza Eminencjo. Nasz szpieg przez całą noc obserwował chatę z oddali. Po przybyciu rycerza z chłopcem nikt do niej nie wchodził ani z niej nie wychodził.

– Ale nie widział samego morderstwa?

– Niestety. Wasza Eminencjo, nawet szpiedzy musza, czasem spać.

Arcybiskup przejechał palcem po brzegu kielicha. Woń sera, którą przyniósł bijący od otwartego ognia powiew, wzbudziła w nim nagle niesmak. Nakrył pełen niebieskich żyłek krążek szmatką, która stłumiła odór.

– Gamilu, czy chcesz powiedzieć, że zrobił to rycerz?

– I tak, i nie, Wasza Eminencjo.

– To znaczy?

– To znaczy, że jego ręka mogła dzierżyć nóż, ale nie kierował własnymi czynami. Rozpacz, w jaką wpadł po znalezieniu ciała, świadczy o tym, że był tylko mimowolnym wykonawcą.

– Lain. – Tavalisk mówił cicho, raczej do siebie niż do Gamila. – Lain. Rycerz był tam przed niespełna dwoma miesiącami. Władcy wyspy od dawna prowadzą własną politykę, którą potrafią realizować bardzo pomysłowymi metodami. – Arcybiskup rozciągnął tłuste wargi w uśmiechu. – Bevlin w końcu zapłacił za wtrącanie się w ich sprawy.

– Władcy Larnu mają długą pamięć. Wasza Eminencjo.

– Hram, trzeba ich za to podziwiać. – Tavalisk wrócił na krzesło. – Wydaje się jednak, że wykazali się wielką mściwością. Nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że kryje się w tym coś więcej.

– A mianowicie co, Wasza Eminencjo?

– Larn wie stanowczo zbyt wiele. Ci przekłęci jasnowidze zapewniają mu nieuczciwą przewagę, jeśli chodzi o zbieranie informacji. Podejrzewam, że ten

dureń, Bevlin, planował coś, co nie spodobało się władcom wyspy.

– Jeśli Wasza Eminencja ma rację, to być może rycerz wie coś o owych zamiarach.

Tavalisk skinął powoli głową.

– Czy nadal go śledzimy?

– Tak. Wasza Eminencjo. Spodziewam się za dzień czy dwa otrzymać wiadomość o tym, dokąd się udał. Najprawdopodobniejszy wydaje się w tej chwili Bren. Jeśli rycerz tam dotrze, nasi szpiedzy będą nas informować o jego poczynaniach.

– Znakomicie. Możesz już odejść. Muszę wiele przemyśleć. – Arcybiskup nalał sobie drugi kielich brandy. Gdy jego sekretarz zbliżał się do drzwi, przywołał go nagle. – Gamilu, czy mógłbyś, nim unikniesz, wyświadczyć mi drobną przysługę?

– Oczywiście, Wasza Eminencjo.

– Pozamykaj wszystkie okna i roznieć większy ogień. Strasznie mi zimno, chociaż świeci słońce. – Tavalisk przyglądał się, jak jego sekretarz zaczyna układać kłody w kominku. – Nie, nie, Gamilu. Tak nie można. Najpierw trzeba zedrzeć z nich korę. Wiem, że to wymaga wiele czasu, ale nie ma sensu podejmować się zadania, jeśli nie jesteś gotowy wykonać go jak należy.

Baralis wjechał na wzgórze jako jeden z ostatnich. Gdy utracił osłonę, jaką dawał stok, znowu poczuł pełną siłę północnego wiatru. Rozmasował roztargnionym ruchem palce, w których trzymał wodze. Ta podróż stanowiła dodatkowe obciążenie dla jego rąk. Podstępny mróz ograbiał stawy z resztek ciepła i sprawiał, że stawały się zgrabiałe i nieruchome. Wyglądało na to, że za wszystko, co czyni, najwyższą cenę zawsze płacą dłonie.

Wiatr dokuczał mu bardzo, lecz pocieszała go nieco dogodna pozycja na szczycie wzgórza. Widział stąd wyraźnie całą kolumnę. Natychmiast zauważył Maybora. Nie dla niego był skromny ubiór wędrowców. Nawet podczas długiej i niebezpiecznej podróży tęgi wielmoża stroił się niczym paw. Baralis poczuł w ustach smak żółci. Nie miał zwyczaju splotać, pozwolił więc, by ściekała mu po języku, drażniąc delikatne ciało. Jakże nienawidził tego grubasa!

Rozejrzał się po okolicy. Pod śniegiem kryły się głązy. Ich wyszczerbione krawędzie sterczały gdzieniegdzie z bieli. Zjazd był bardziej zdradziecki niż droga pod górę. Ścieżka wiła się wśród chaotycznie rozrzuconych skał. Widział, że ludzie na czele kolumny posuwają się naprzód bardzo ostrożnie.

Nadeszła odpowiednia chwila. Maybor pokonał dopiero połowę drogi w dół stoku. Upadek z konia w takim miejscu, pośród głazów i gwałtownych uskoków, z pewnością będzie oznaczał śmierć. Gdy tylko uderzy o twardy, zmarznięty grunt, jego gruby, owłosiony kark złamie się jak szczapa drewna.

Baralis przyjrzał się ciągnącej przed nim ścieżce. Przez krótką chwilę jemu również będzie groziło niebezpieczeństwo. Zaczerpnięcie mocy wymagało wielkiej koncentracji. Jego wierzchowiec mógł potrzebować pomocy.

Spojrzał w bok. Był tam Croke. Siedział markotny na potężnym rumaku bojowym. Podniósł kaptur, nie dla ochrony przed zimnem, lecz po to, by ukryć twarz. Baralis wiedział, że dla jego sługi każda minuta podróży jest cierpieniem. Gigant obawiał się ludzi. Był to naturalny skutek tego, jak zazwyczaj go traktowali. Kiedy byli sami lub w nielicznych grupkach, bali się go, lecz gdy tylko liczebność zapewniała im przewagę, okazywali mu wzgardę. Nawet podczas tej podróży zaczęli już z niego szydzić. Nazywali go „głupim olbrzymem” i „szlamowatym”. Baralis z radością spaliłby skórę na plecach tych tchórzy – nikomu nie pozwalał wyśmiewać się z czegoś, co należało do niego – ale chwila nie sprzyjała otwartemu użyciu

mocy. Należało jej teraz używać dyskretnie. Skinął na Croke'a, który posłusznie zbliżył się do niego. Baralis wskazał na wodze i jego sługa ujął je w dłonie. Nie padło ani jedno słowo. Nie zadano żadnego pytania. Znajdowali się w tyle kolumny i jedynie juczne konie mogłyby zdradzić, co się wydarzyło.

Upewniwszy się, że Croke panuje nad jego wierzchowcem, Baralis uznał, że może bezpiecznie zaczerpnąć mocy. Skierował spojrzenie na May bora, poczym opuścił je na jego rumaka: pięknego ogiera w najlepszym dla konia wieku.

Baralis sięgnął głęboko do swego wnętrza. Magia, tak dobrze znana, lecz zarazem upajająca, rozbłysła, wybiegając mu na spotkanie. Gdy opuścił swoje ciało, by wejść w ciało zwierzęcia, ogarnęła go fala mdłości, po której nastąpiło poczucie niemożliwej do zniesienia straty. Nozdrza wypełnił mu kwaśny odór końskiego potu. Wreszcie przestał mu dokuczać zimny wiatr. Czuł jedynie ciepło.

Pulsujące, wszechogarniające ciepło. Przeniknął przez sierść, skórę i tłuszcz, mięśnie, chrząstkę i kość. Najważniejsza była szybkość. Ci, którzy zbyt długo przebywali w zwierzęcym ciele, narażali się na wielkie niebezpieczeństwo. Prędko zostawił za sobą brzuch z jego zwodniczymi zawilościami. Mknął w górę. Poczul

potężne miechy płuc, lecz oparł się ich gwałtownemu ssaniu. Wabiło go serce. Jego rytm był jak przynęta. Reszta ciała tańczyła w jego takt. Zbudowane z mięśni, poprzecinane kanalikami, przerażająco silne: serce.

Poczuł puls jego skurczów, stał się jednością z nurtem. Wtargnął do wnętrza. Na spotkanie pomknął mu przerażający strumień krwi i ciśnienia. Wędrował przez jamy, mknął przez kanały, aż wreszcie dotarł do celu. Do początku cyklu. Znalazł to, czego szukał: kawałek ściętna twardy jak wygarbowana skóra, ale cieńszy, znacznie cieńszy, od jedwabiu. Zastawkę. Sięgnął ku niej, otoczył ją całą swą wolą. A potem rozdarł.

Odskoczył z tego miejsca jak miotane wichurą drzewko. Napotkał zimno i biel, a po chwili ciemność. Poczuł w ustach gorzki smak pozostałości czarów. Potem zapomniał o wszystkim.

Maybor był bardzo zadowolony z przebiegu wydarzeń. Dowodził stu sześćdziesięcioma ludźmi, wliczając w to czeladź, i mógł śmiało twierdzić, że wszyscy z nich – prócz dwóch – są mu niezachwianie wierni.

Dostrzegął w ich oczach szacunek i wiedział, że pod każdym względem są mu posłuszni. Tak właśnie powinno być. Ostatecznie był tu najwyższy rangą.

Zauważył, że wszystko – od jego opinii aż po piękne stroje – budziło ich podziw. Nie dla niego była nudna szarość wędrowców. Nie. Był wielkim panem i zawsze powinien wyglądać tak, jak nakazywała jego pozycja. Nie sposób było przewidzieć, czy na tym białym pustkowiu nie napotkają kogoś, komu dobrze byłoby zaimponować.

Podróżowanie miało jednak sporo wad. Wicher był diabelnie dokuczliwy. Maybor obawiał się, że powyrywa mu on z głowy wszystkie włosy. Już kilkakrotnie, budząc się rano, znajdował je na poduszce. Myśl o wyłysieniu przerażała go. Uznał, że faktycznie jest to wina wiatru, zaczął więc nosić dla osłony przed nim wielki kapelusz z niedźwiedziego futra. Początkowo gryzł się trochę tym, jak będzie wyglądał w oczach swych ludzi, mając na głowie coś tak kobiecego, jak kapelusz. W końcu jednak doszedł do wniosku, że wygląda jak legendarny najeźdźca zza Gór Północnych i że dodaje mu on splendoru.

Borcu, potrzebował kobiety! Trzy tygodnie celibatu! Mniej opanowanego mężczyznę mogłoby to pchnąć ku zboczeniu. Ale nie jego. Jeśli nie mógł mieć kobiety, wolał co noc upijać się do nieprzytomności. Niestety, za zamroczenie trzeba było płacić. Głowę miał ciężką i obolałą od nadmiaru *ale*. Tylko dzięki

maksymalnej koncentracji był w stanie dosiadać ogiera w sposób godny wielkiego pana.

Na domiar złego, ścieżka, którą jechali, była stroma i zdradziecka. Nie znosił jazdy w dół zboczy. Wolał nie widzieć niebezpieczeństwa, lecz stawiać mu czoło. Droga była jednak tak kręta i niepewna, że musiał poświęcać jej całą uwagę.

Dotarli właśnie do szczególnie niebezpiecznego odcinka, który byli zmuszeni pokonywać pojedynczo. Nagle Maybor poczuł, że jego rumak zaczyna się płoszyć. Ściągnął mocno wodze. To nie był odpowiedni moment na takie zachowanie. Kilka stóp dalej poczuł, że zwierzę zadrżało i nogi się pod nim ugięły. Podrzuciło głowę, starając się zrzucić jeźdźca. Maybor nie zamierzał na to pozwolić. Szarpnął wodze z całej siły. Koń wpadł w szal i zerwał się do galopu. Maybor czuł między udami opętańczo walące serce. Rumak pomknął w dół, zmuszając dwóch innych jeźdźców, by ustąpili mu drogi. Wielmoża poczuł strach. Trzymał się pędzącego coraz szybciej wierzchowca.

Wtem, w jednej chwili, koń padł pod nim. Siła impetu cisnęła Mayborem do przodu. Grubas runął na zbocze i stoczył się z niego. Jego ciało przetoczyło się po skałach i kamieniach. Nogę i plecy przeszył ból.

Mknął ku stromemu urwisku.

Zobaczył, że się zbliża, i zrozumiał, co to oznacza. Sunął ku kresowi żywota z modlitwą na ustach. Nagle uderzył w okrągły głaz. Podskoczył w górę jak piłka, zmieniając kurs. Zamiast zwalić się w dół, wylądował z trzaskiem w kępie ciernistych krzewów.

Kręciło mu się w głowie, a nogę ogarnął ból. Ciernie wbiły mu się w ciało, niebezpiecznie blisko organów.

Nagle otoczyli go ludzie, którzy pomogli mu usiąść, wrzeszcząc i biadoląc.

– Lordzie Mayborze, czy nic się waszej lordowskiej mości nie stało? – zapytał jakiś chłopak.

– Oczywiście, że się stało, ty durniu! Przed chwilą stoczyłem się ze stoku! Ostrożnie, idioci. Nie jestem liną, żeby mnie ciągnąć – dorzucił, gdy dwóch innych ludzi spróbowało postawić go na nogi.

– Czy coś uległo złamaniu, wasza lordowska mość? – zapytał jeden z jego kapitanów.

– Skąd, na Borca, mam to wiedzieć? Dawaj tu chirurga. Kapitan spytał o coś jednego ze swych podkomendnych.

– Chirurg oczekuje na wasza lordowską mość w miejscu, gdzie grunt jest pewniejszy.

– Chcesz powiedzieć, że za wielki z niego tchórz,

żeby narażać się na skręcenie karku. – Maybor trzepnął mocno człowieka, który próbował oswobodzić jego nogę z krzaka. – Powiedz temu konowałowi, że jeśli natychmiast tu nie zjedzie, osobiście poddam go jedynej operacji, którą potrafię wykonać. Kastracji!

Maybor postarał się, by to ostatnie słowo słyszano na całym stoku.

Wreszcie wyplątano go z krzewu i położono na noszach. Dwaj żołnierze wspięli się z nim na ścieżkę. Zarządzono postój. Rozbito namioty. Pierwszy z nich zajmował chirurg i Maybora natychmiast wniesiono do środka.

– Powiedz mi, lekarzu, czy jakieś kości są złamane? Maybor cierpiał dotkliwy ból, nie zamierzał jednak zdradzać przed nikim tego faktu.

– Cóż, wasza lordowska mość, takie rzeczy trudno jest określić...

– Wy, diabelni lekarze, wszyscy jesteście tacy sami – wpadł mu w słowo Maybor. – Lubicie sprawy owijać w bawełnę. Nigdy nie powiecie nic więcej niż „być może”. Ajjj! – Ostatnia sylaba zabrzmiała w chwili, gdy chirurg wyrwał z tylnej części ciała możnowładcy długi cierń. Maybor obejrzał się akurat na czas, by ujrzeć na twarzy lekarza wyraz zadowolenia, który szybko zniknął. – Czy usunąłeś już wszystkie?

– Tak, wasza lordowska mość.
– Jesteś pewien, że nie potrzebujesz zarządzić konsultacji, żeby to potwierdzić? To podejrzenie jednoznaczna odpowiedź.

Chirurg był niewrażliwy na sarkazm Maybora.

– Być może wasza lordowska mość zechciałby spróbować powstać?

Pomógł Mayborowi się podnieść. Wielmoża, ku swemu zdumieniu, przekonał się, że może chodzić.

– Jest tak, jak myślałem – oznajmił lekarz. – Żadna z kości nie jest złamana.

Maybor miał zamiar mu wskazać, że wcale tak nie myślał, lecz lekarz wcisnął mu w dłoń kubek wypełniony płynem o obrzydliwym zapachu.

– Proszę to wypić – polecił.

Maybor przełknął miksturę jednym haustem. Smakowała jak holk przyrządzany przez jego pierwszą żonę: cuchnęła rybą i brak jej było mocy porządnego trunku. Ziewnął.

– Na co mi pomoże to paskudztwo?

– To napój nasenny. Sprowadza senność w mgnieniu oka. Wielmoża poczuł, że ciężą mu powieki. Ogarnięty nagłym niepokojem, pokuśtykał ku noszom.

– Czy jest ze mną aż tak źle, że muszę spać jak starzec na łożu śmierci? – zapytał kładąc się. Oczy

zamykały mu się sianie. Mógłby przysiąc, że gdy tylko pogrążył się w mrocznym, ciepłym transie, usłyszał odpowiedź lekarza:

– Nic, przeżyjesz i bez tego. Ale ta metoda zapewni mi chwilę spokoju.

2

Bren, warowny gród, skała północy, położony był między górami a wielkim jeziorem. Zbudowany dla potrzeb wojny. Od zachodu i południa miasto otaczały góry, na północy zaś oblewały je wody jeziora. Jedyna droga dostępu wiodła od wschodnich równin. Nigdy też żadnej budowli nie wznoszono z taką pieczołowitością, jak wschodnich murów Brenu. Służyły one jednemu celowi: miały budzić strach w oczach wszystkich przybyszów. Ich granitowe wieże nikły w chmurach, rzucając niewypowiedziane wyzwanie Bogu na niebie. Położone za miastem góry zdawały się wspierać owo wyzwanie niby wartownicy.

Zewnętrzne mury były gładkie jak klinga miecza. Niemal nie sposób było rozróżnić poszczególnych kamieni. Sztuka murarska sięgnęła w Brenie szczytów. Mury wręcz lśniły arogancją. Drwiły ze wszystkich, którzy się do nich zbliżali, mówiąc: „Wdrapcie się na nas, jeśli zdołacie”. Blask wschodzącego słońca sprawiał, że w sprytnie rozmieszczonych niszach

zalegały cienie. Bystre oko potrafiło dostrzec owe zagłębienia, lecz tęgi umysł mógł jedynie domyślać się ich przeznaczenia.

Pewnie służą do lania gorącego oleju i podobnych rzeczy, pomyślał Kosiarz. Albo kryją się w nich dobrze rozmieszczeni łucznicy. Zagwizdał z uznaniem. W Rornie nie było takich przemysłnych udogodnień.

Chłopak dołączył do tłumu ludzi, którzy ustawili się w kolejce, by wejść do miasta. Zdjął płaszcz, odwrócił go na drugą stronę, tak że szkarłatna podszewka znowu znalazła się pod spodem, po czym założył go z powrotem. Potrzebował trochę pieniędzy i w związku z tym wolał nie rzucać się w oczy.

Omiótł szybko wzrokiem stojących pod bramą ludzi. Tu z pewnością nie zorganizuje zbyt wielu funduszy. Była to pstrokata, ubogo wyglądająca banda: wieśniacy i żebracy. Nie dostrzegł wśród nich ani jednego tłustego, dobrze odżywionego kupca. Co za pech. Wybrał niewłaściwe wejście.

– Hej, ty – zawołał do wysokiego, chudego żołnierza, który strzegł bramy. – Do ciebie mówię, ty fasolowa tyko.

– Co ty sobie wyobrażasz? Jak śmiesz nazywać gwardzistę diuka fasolową tyką?

– Przepraszam, przyjacielu. Nie chciałem cię

obrazić. Tam, skąd pochodzę, określenie „fasolowa tyka” jest uważane za komplement.

Kosiarz uśmiechnął się radośnie do wartownika, czekając na nieuniknione pytanie.

– A skąd pochodzisz?

– Z Rornu. Najwspanialszego miasta na wschodzie. Tacy wyjątkowo wysocy i chudzi mężczyźni, jak ty, cieszą się tam wielkim powodzeniem u kobiet.

Na twarzy wartownika rozbliły się zainteresowanie połączone z niedowierzaniem. Westchnął ciężko.

– Czego chcesz?

– Informacji, mój drogi przyjacielu.

– Nie jesteś czasem szpiegiem?

– Oczywiście, że jestem. Przysłał mnie tu sam arcybiskup Rornu.

– No dobra, dobra. Przestań pyskować, bo cię nie wpuszczę.

Kosiarz, uśmiechnął się ujmująco.

– Którędy do miasta wchodzi kupcy?

– A co ci do tego?

– Zgubiłem mojego dziadunia. – Kosiarz zawsze miał na podorędziu przekonującą historyjkę. – Handluje futrami. Zastanawiałem się, gdzie najlepiej byłoby go poszukać.

– Wszyscy kupcy wchodzi przez bramę

północno-wschodnią. Rynek leży dwa dziedzińce na południe od niej. Może znajdziesz go tam.

– Jestem twoim dłużnikiem, przyjacielu – oświadczył Kosiarz. – Zastanawiam się tylko, czy mógłbym jeszcze raz skorzystać z twojej znakomitej znajomości miasta.

Strażnik dał się zwieść pięknym słówkom.

– Gadaj.

– No więc, stoisz na bardzo ważnym posterunku i z pewnością widzisz mnóstwo przychodzących do miasta ludzi?

– Zgadza się.

– Chodzi mi o jednego znajomka. Podejrzewam, że mógł tędy przechodzić. Ciekawe, czy go zauważyłeś.

Strażnik zrobił srogą minę.

– Nie wolno mi zdradzać takich informacji cudzoziemcom. Kto tędy przechodzi, to interes Brenu, a nie twój.

– A gdybym ci powiedział, że ten człowiek ukradł mojemu dziaduniowi kupę forsy? Obaj wiemy, że nie ma ludzi bogatszych i bardziej szczodrych niż handlarze futer.

Kosiarz oparł się pokusie powiedzenia czegoś więcej. Pozwolił, by strażnik sam doszedł do właściwych wniosków. Tak też się stało.

- Jest nagroda?
- Psst, przyjacielu. Jeśli powiesz to słowo trochę głośniej, usłyszy je pół miasta.
- A ile wynosi?
- Nie chciałbym wymieniać konkretnych sum, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Kosiarz zaczekał, aż wartownik skinie głową. – Wystarczy, że powiem, iż jest to odpowiednia sumka na zabezpieczenie starości. Mógłbyś nawet pojechać do Rornu. Szkoda, żeby taki przystojny mężczyzna marnował się w tym mieście.
- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?
- Czy wyglądam na wystarczająco bystrego, żeby cię oszukać? Strażnik mógł udzielić tylko jednej odpowiedzi.
- Nie.

- Masz rację – zgodził się Kosiarz. – Ten typ, którego szukam, jest wyższy od ciebie, ale nie taki chudy. Szeroki w barach i dobrze umięśniony. Włosy blond i niebieskie oczy. Przystojny, jeśli ktoś lubi takie rzeczy. Pewnikiem ma na sobie taki sam płaszcz jak mój.
- A skąd wziął taki sam płaszcz? – zapytał podejrzliwie wartownik.
- Ukradł go dziaduniowi, oczywiście. Mój

dziadunio zawsze każe mi się ubierać tak jak on. Mówi, że to tworzy wizerunek firmy.

Kosiarz odmówił bezgłośnie dziękczynną modlitwę do fikcyjnego handlarza futer, który okazał się tak użyteczny.

Żołnierz cofnął się o krok, podrapał po brodzie, spojrzał na Kosiarza, popatrzył na ziemię, w końcu skierował wzrok na wschód.

– Widziałem mężczyznę, którego opisałeś – przyznał wreszcie. – Wjechał do miasta konno, przed pięcioma dniami. Wysoki i jasnowłosy. Wyglądał naprawdę groźnie. Jeśli już o tym mowa, faktycznie miał taki płaszcz, jak twój – dodał po chwili zastanowienia. – Zapamiętałem czerwoną podszewkę.

Kosiarz musiał wykorzystać całą swą zdolność panowania nad sobą, by powstrzymać się od głębokiego westchnienia ulgi. Uszy wypełniało mu wspomnienie słów Szybciora: „Nonszalancja, chłopcze, nigdy nie okazuj zainteresowania. Lepiej niech mają cię za głupka, niżby mieli się połapać, że jesteś łotrzykiem”.

Chłopak wzruszył ramionami.

– To mógł być on. Wiesz może, do której dzielnicy miasta się wybierał?

Wartownik sprawiał wrażenie lekko

rozczarowanego obojętnością Kosiarza.

– Nie sposób tego odgadnąć, chłopcze. W mieście tak wielkim, jak Bren, człowiek może się ukrywać całe życie.

– Mówiłeś, przed pięcioma dniami? Czy macie tu jakieś miejsce, w które mógłby się udać człowiek, który ma siłę w rękach i biegle włada bronią?

– Z tego, co wiem, tacy mężczyźni, jak ten jasnowłosy wyrzutek, zawsze lądują albo w burdelu, albo na arenie.

– A gdzie mógłbym znaleźć którąś z tych instytucji?

– Na każdym rogu ulicy w zachodniej części miasta. Kosiarz gorąco pragnął ruszyć już w drogę.

– Powiedz, jak masz na imię, przyjacielu, żebym mógł powtórzyć dziaduniowi, kto mi udzielił wskazówek.

– Ropusznik.

– Ojoj. Imię równie atrakcyjne jak wygląd. No cóż. Ropuszniku, z pewnością szepnę o tobie dobre słówko.

Kosiarz pokłonił się i zamierzał się oddalić, lecz strażnik złapał go za ramię i ścisnął mocno przez płaszcz.

– Nie tak szybko, ty mały diable. Chcę się

dowiedzieć, jak ma na imię twój dziadunio, handlarz futer. I ty też, jeśli już o tym mowa.

– Uważaj na tkaninę, Ropuszniku. Ten płaszcz kosztował fortunę. – Uścisk zelżał. – Mój dziadunio zwie się pan Bobrowa Skórka, a ja jestem znany jako Kudłacz. Możesz zapytać każdego handlarza futer. Imię Bobrowa Skórka w całych Znanych Krainach jest symbolem dobrej jakości.

Strażnik puścił chłopaka.

– Bobrowa Skórka. Nigdy w życiu nie słyszałem takiego imienia. Zapamiętaj sobie moje słowa, chłopcze. Jeśli się przekonam, że mnie oszukałeś, dorwę cię i powieszę. A teraz zmiataj.

Kosiarz zasalutowował żołnierzowi i wmieszał się w tłum, po czym przekroczył wschodnią bramę i znalazł się w na obszarze Brenu. Natychmiast zaczął węszyć. Nic. Gdzie się podział zapach? Rorn cuchnął plugastwem i morzem. Czym pachniał Bren? Zacerpnął głęboko tchu, wciągając powietrze w nozdrza niczym konieser. Nie było żadnej woni. Jak Bren mógł zwać się miastem, jeśli nie miał własnego zapachu? Kosiarz był w Toolay, Ness i Rainhill. Każdy z tych grodów miał własny, niepowtarzalny smród. Poczul się rozczarowany. Fetor miasta mówił o nim wiele, pozwalał określić naturę grodu i jego

mieszkańców. Dla Kosiarza, w mieście, które nie miało własnego zapachu, było coś zdecydowanie podejrzanego.

Obok niego przepchnął się jakiś mężczyzna, mamroczący przekleństwa i ostrzeżenia. Był wysoki i ciemnowłosy, a potężnie umięśnioną pierś ciasno opinała mu bluza. Kosiarz nie potrafił się oprzeć pokusie. Sięgnął pod szatę szybkim, płynnym ruchem i zacisnął dłoń na zawiniątku. Cofnął gwałtownie rękę i zniknął w tłumie. Nie oglądał się za siebie. Szybcior wielokrotnie ostrzegał go, że to bardzo niebezpieczne. Nie przyspieszył też kroku. Tu również kierował się radą swego mentora: „Zawsze zachowuj się jak zawodowiec, chłopcze. Gdy tylko zaczniesz uciekać, przyznajesz się do winy”.

Podążał razem z tłumem tak długo, jak było to dla niego dogodne, po czym wśliznął się w pobliski zaułek. Bren nie miał zapachu, mógł się jednak przynajmniej pochwalić znaczną liczbą mrocznych, piekielnych zakamarków. Przemykając między budynkami, Kosiarz poczuł się pewniej. Znalazł się na dobrze sobie znanym gruncie.

Poruszał się ścieżkami, którymi przed nim kroczyło wielu ludzi bardziej zdesperowanych niż on, i krył się w cieniach zapewniających osłonę tym, którzy

potrzebowali jej bardziej niż zwykły kieszonkowiec z Rornu. Czuł się jak w domu. Spotykając innych kręcących się po zaułkach ludzi, pozdrawiał ich skinieniem głowy, gdy wyglądali sympatycznie, albo odwracał spojrzenie, gdy sprawiali wrażenie niebezpiecznych.

Wreszcie odnalazł odpowiednią, odosobnioną wnękę. Przykucnął, sięgnął ręką do worka i wydobył mieszek. To był najlepszy moment, tuż przed odwinięciem łupu, gdy oczekiwanie spletało się z potrzebą. Otworzył zawiniątko wprawnymi dłońmi i ujrzał zimny błysk srebra. Poczul się rozczarowany: lepszy byłby ciepły blask złota. Co prawda, pieniądze to pieniądze, niemniej jednak szkoda. Ten typ wyglądał na takiego, który ma gdzieś przy sobie złoto. Pewnie przypięte do uda, blisko organów. Niewielu znalazłoby się kieszonkowców tak zdesperowanych, by sięgać w podobne miejsce.

Westchnął z żalu i przerzucił zawartość tobołka. Rzeczy, które – człowiek nosił przy sobie, wiele o nim mówiły. Okradziony zamierzał spożyć na kolację pasztet z dziczyzny – zimny i, jak przekonał się Kosiarz, raczej pozbawiony smaku. Mimo to z pewnością był przyzwyczajony do dobrego życia, gdyż woreczek był podszyty jedwabiem. Liczył też na

uśmiech fortuny, ponieważ pod pasztetem znajdował się owczy pęcherz, naoliwiony i gotowy do użytku. Albo miał awersję do ojcostwa, albo też obawiał się trypra.

Kosiarz pociągnął roztargnionym ruchem pęcherz, zastanawiając się, ile jest wart. Nie można go było odsprzedać, nie lubił jednak niczego wyrzucać, wepchnął go więc do swego plecaka. Być może da go Tawlowi, kiedy już go odnajdzie. Do mężczyzny tak przystojnego, jak jego przyjaciel, zawsze ustawiała się kolejka kobiet. Niestety te, które były najbardziej chętne, zwykle najgoręcej pragnęły złapać męża. W kontaktach z nimi warto było zadbać o osłonę.

Kosiarz miał już wyrzucić woreczek, gdy jego wzrok przyciągnęło coś lśniącego i niebieskiego. Przyjrząwszy się bliżej, zauważył wepchniętą na dno małą miniaturę. Wyciągnął ją na zewnątrz i uniósł ku światłu. Zagwizdał z uznaniem. Dziewczyna na portreciku była bardzo piękna: złote włosy, niebieskie oczy, wargi delikatne. Ten ciemnowłosy, muskularny człowiek mógł mieć kiepski gust, jeśli chodzi o jedzenie, ale na kobietach się znał. Odwróciwszy miniaturę, Kosiarz odkrył na drugiej stronie jakiś napis. Nie był uczonym, nie zdołał go więc przeczytać, potrafił jednak rozpoznać krzyżyki oznaczające całusy.

Wzruszył ramionami, schował portrecik i zajął się pasztetem.

Zjadłszy go, zaczął się zastanawiać, co zrobić teraz. Potrzebował więcej pieniędzy, gdyż pobyt w Rainhill rozpaczliwie uszczuplił jego zasoby. Do zguby przywiodła go gra w kości, która wraz ze skłonnością do zamawiania kosztownych posiłków w jeszcze kosztowniejszych gospodach bardzo skutecznie opróżniła jego kieszenie. Był nawet zmuszony do sprzedaży konia. Co prawda, nie było to zbyt wielkim poświęceniem. Nigdy żadna para znajomych nie rozstała się z większą ulgą niż Kosiarz i jego wierzchowiec.

Potrzebował więc pieniędzy. Kilka wytartych srebrników po prostu nie mogło wystarczyć chłopakowi o wyszukanych gustach. Musiał też znaleźć rycerza.

Był niemal pewien tego, że Tawl przebywa w mieście. Strażnik u bramy potwierdził tylko jego podejrzenia. Kosiarz podążał śladem przyjaciela już od z górą trzech tygodni. Odwiedzał wioski, które tamten mijał, podążał ścieżkami, którymi przejeżdżał. Wypytywał o rycerza licznych nieznajomych. Ci, którzy go widzieli, zapamiętali człowieka o złotych włosach i niebezpiecznie pozbawionych wyrazu

oczach.

Był potrzebny Tawlowi. Nie leżało w jego naturze zadawać zbyt wielu pytań, nie zastanawiał się więc, dlaczego tak jest. Rozumiał tylko tyle, że rycerz ma kłopoty i należy mu pomóc. To on musiał to zrobić.

Wiedział, że Tawł wyruszył z jakąś heroiczną misją, jak zwykli to czynić rycerze. Obawiał się, że jego przyjaciel mógł zaniedbać swe obowiązki. Kosiarz uważał, że jego powinnością jest zawrócić rycerza na właściwą drogę. On to co innego: kto raz wszedł na szlak przestępstwa, nigdy już z niego nie zejdzie. Nie miał ambicji zostać kimkolwiek innym niż kieszonkowcem. No, chyba że nadarzy się szansa stania się bogatym kieszonkowcem. Tawł jednak był szlachetny i honorowy, i po prostu nie powinien zejść na manowce. Kto wie? Być może pomagając przyjacielowi, Kosiarz pomoże i sobie. Rycerskie misje często bywały bardzo intratne.

Spojrzał na rozpościerające się nad mrocznymi budynkami niebo. Minęło już południe. Pora ruszać w drogę. Zgodnie z jego doświadczeniem, o tej porze kupcy mieli najwięcej w kieszeniach. Dźwigali w nich poranny utarg, którego nie zdążyli jeszcze wydać w gospodach. Ruszył ku bramie północno-wschodniej, obok której, jeśli pamięć go nie zawodziła, znajdował

się rynek. Wzywała go szansa zdobycia pieniędzy, a on nigdy nie potrafił się temu oprzeć.

– Wyjdę na chwilę rozprostować nogi. Jack wiedział, że Melli będzie oponować.

– Śnieżyca jeszcze się nie uspokoiła. Przeziębisz się i umrzesz – zaprotestowała. – Nie możesz zaczekać, by się przekonać, czy się choć trochę wypogodziło?

Martwiła się o niego. Widział to w zarysie jej miękkich ust zaciśniętych w twardą linię. Cóż, niech się trochę pogryzie. Po prostu musiał odetchnąć świeżym powietrzem. Cztery dni spędzone w ciasnym kurniku wiele go kosztowały. Pragnął wyjść na dwór, zobaczyć otwartą przestrzeń zamiast czterech ścian. Potrzebował chwili samotności.

Nie powiedział tego głośno, nie chcąc zranić Melli.

– Zew natury – wyjaśnił.

Zaczerwieniła się, lecz nawet zawstydzenie podobnie niedelikatnym tematem nie powstrzymało jej przed wypowiedzeniem ostrzeżenia.

– Nie oddalaj się zbyt daleko.

Musiał się uśmiechnąć. Mężczyzna mógłby pokochać taką kobietę.

– Nie martw się – rzucił. – Niedługo wrócę.

Popatrzyli sobie w oczy. Wyciągnął rękę, jakby coś

w jej spojrzeniu go przywoływało. Jego dłoń zawisała na chwilę w powietrzu, aż wreszcie Melli sięgnęła po nią. Palce miała chłodne, a dotyk lekki, wystarczyło to jednak Jackowi, który niewiele wiedział o podobnych sprawach. Oparł się pragnieniu, by uścisnąć mocno jej dłoń. Nie chciał się narażać na odrzucenie. Cofnął rękę szybko i – jak wiedział – nieuprzejmie.

Spędzili już razem wiele miesięcy, lecz choć wspólnie przeżywane niebezpieczeństwa zbliżyły ich do siebie, dystans między nimi nie mógł zniknąć. Ona była szlachcianką, on zaś piekarczykiem. Choćby wędrowali razem całe życie, nadal będą należeć do różnych światów.

Wszystkie noce spędzali przytuleni do siebie, oddzieleni jedynie kawałkiem koca. Jack wiedział, jak Melli pachnie rano, widział, jak śmieje się i krzyczy, nigdy jednak nie zauważył, by płakała. Dowiedział się o niej wystarczająco wiele, by zdawać sobie sprawę, że nie jest przeznaczona dla niego. Ich związek nie miałby przyszłości. Mogła ich łączyć miłość, lecz to by nie wystarczyło. Potrzebował dziewczyny, którą mógłby ściskać, całować i kłócić się z nią. Dziewczyny z temperamentem, jak Melli, ale takiej, przy której nie czułby się prostakiem.

Zwrócił się ku drzwiom i pchnął je z całej siły,

walcząc z naporem gwałtownego wiatru. Do kurnika wpadły tumany śniegu. Nim wyszedł w nawałnicę, spojrzął jeszcze na Melli. Nie uśmiechnęła się. Stała sztywno wyprostowana, a jej ciemnymi włosami targał wicher. Była dla niego zdecydowanie zbyt piękna.

Gdy tylko puścił drzwi, wiatr zatrzaskał je gwałtownie. Zaatakowało go straszliwe, przejmujące zimno, oślepił sypiący gęsto śnieg. Gdy przeszedł kilka kroków, potknął się o coś twardego. Przykucnął i pomacał przeszkodę. Było to ciało człowieka, którego zabił przed czterema dniami. Musiał je stąd zabrać. Z uwagi na Melli. Nie chciał, by pierwszym, co zobaczy po przejściu nawałnicy, były zwłoki.

Poszarzałymi już od mrozu dłońmi złapał zabitego za kołnierz bluzy. Ciało tkwiło głęboko w śniegu i Jack potrzebował całej swej siły, by je wyciągnąć. Wlókł je po ziemi z zawziętą determinacją. Warstwa śniegu miała prawie dwie stopy grubości i trup zostawiał w niej szeroką bruzdę, zupełnie jak pług.

Kolejna ofiara. Ilu jeszcze ludzi zabije? To przynajmniej była czysta śmierć. Nie splamiły jej czary. Tego mężczyznę pozbawił życia nożem i dzięki temu w jego śmierci było więcej godności. A może tylko się oszukiwał? Czy halcuski żołnierz dostrzegłby jakąkolwiek różnicę? Czary czy nóż, i tak był trupem.

Żałoba pozostanie żałobą.

Poczuł ból w ramionach. Miał wrażenie, że plecy zaraz mu się złamią. Dłonie zmieniły kolor z szarego na siny. Wiedział o zimnie wystarczająco wiele, by zdawać sobie sprawę, że wkrótce dojdzie do odmrożeń. Wleczenie zwłok po śniegu traktował jak pokutę. Pan Frallit wielokrotnie mu powtarzał, że trzeba płacić za swoje błędy. Jeśli dodał za dużo masła i w efekcie upiekł coś przypominającego raczej ciasto niż chleb, mistrz piekarski cały tydzień nie dawał mu do jedzenia nic poza nieudanym wypiekiem. Wówczas oburzało go okrucieństwo Frallita, teraz jednak przejął się narzuconą przez siebie pokutą z pasją zrodzoną z wyrzutów sumienia.

Był piekarczykiem, nie mordercą. Wszystko wyglądało teraz inaczej niż kiedyś, zupełnie jakby nie panował już nad własnym życiem. Od chwili, gdy spalił bochny, robił rzeczy, których nigdy by się po sobie nie spodziewał. Zabił człowieka po to, by zdobyć schronienie. Co dało mu prawo przedkładać własne potrzeby ponad pragnienia innych? Oczywiście Melli. Dla jej bezpieczeństwa byłby gotów zabić stu ludzi. Mówiąc jednak szczerze, kryło się w tym coś więcej. Przed czterema dniami, gdy otworzył siłą drzwi kurnika i znalazł wewnątrz dwóch mężczyzn z nożami,

odkrył w sobie coś bardzo zimnego i nieczułego: wolę przetrwania.

To ona gnała go przez mroźne równiny Halcusu i nadal każe mu iść dalej, bez względu na to, co go spotka. Być może incydent z bochnami wcale go nie zmienił, a tylko przebudził coś, co zawsze w nim drzemało. Jego matka była silna. Nawet pod koniec, gdy ciało przestawało funkcjonować jak należy, siła jej woli była niewiarygodna. Odmówiła skorzystania z pomocy lekarzy i nie chciała przyjąć żadnego środka uśmierzającego ból, w obawie, by nie zmaćcił on jej umysłu. Tyle, że ona sprawiała wrażenie, iż nie zależy jej na życiu. Palce Jacka znieruchomiały na kołnierzu zabitego. To jednak nie zimno było przyczyną dreszczu, który przeszył go aż do szpiku kości. Skrawek wspomnienia, bardziej nieuchwytny niż płatek śniegu, wydostał się spod nagromadzonych przez osiem lat warstw. Urywek rozmowy, nie przeznaczonej dla jego uszu.

– To pewne, że jest twarda.

– Tak, ale jeśli nie pozwoli się pociąć, niedługo będzie po niej.

– Nie ma na to szans, przyjacielu. Nie chce nawet brać kataplazmów, żeby zahamować wzrost guza, nie mówiąc już o wycięciu go nożem.

Nie rozumiał wówczas tych słów, a lata sprzysięgły się, by kazać mu o nich zapomnieć, dzisiaj jednak, ciągnąc ciało na godne miejsce spoczynku, pojął wreszcie, co oznaczały. Matka chciała umrzeć. Jej wola, znacznie silniejsza od jego woli, była skierowana na śmierć, nie na przeżycie.

Ostra wichura zawodziła nieubłaganie. Plecy bolały go od ciężaru trupa. Był straszliwie zmęczony. Bardzo wielu spraw nie rozumiał. Szukał odpowiedzi, lecz znalazł jedynie ból. Dlaczego pragnęła śmierci? Czy życie w zamku wydawało się jej aż tak złe? A może to on był niedobrym synem? Brakowało mu jej. Była jedyną osobą, która naprawdę należała do niego, teraz jednak wyglądało na to, że go opuściła. Tak samo, jak jego ojciec.

Bardzo łatwo byłoby zapomnieć o wszystkim, położyć się w śniegu obok zabitego i dotrzymać mu towarzystwa na tamtym świecie. Zatrzymał się na chwilę, spoglądając w stronę horyzontu. Dławiło go w gardle. Nie miał właściwie wyboru. Musiał iść naprzód. Los zmierzał jego śladem, kierując go w stronę nie znanych mu terytoriów.

Powlókł się dalej, ciągnąc za sobą trupa. Plecy wygięły mu się w łuk od jego ciężaru.

Wiatr mu sprzyjał, odpychając go od kurnika.

Szalejąc i zawodząc, wichura odgrywała swą rolę w dramacie, którego tłem był bezszelestnie syjący śnieg. Jack obejrzał się za siebie. Oddalił się już spory kawałek od szopy. Musiał jednak odejść dalej. Nie mógł zostawić ciała w miejscu, w którym byłoby widoczne z kurnika. Był to winien zabitemu.

Wreszcie zobaczył lasek, który porastał niewielkie zagłębienie terenu. Zbliżył się, dysząc z wysiłku, i ujrzał pośrodku kotlinki zamrożony staw. Tam właśnie zostawił swe brzemię.

Ześliznął się ze stoku. Zwłoki zjechały razem z nim. Lód był twardy jak skała. Jack popchnął zabitego na środek powierzchni i skrzyżował mu ręce na piersi. Stanął nad nim, obserwując, jak zimne ciało znowu zasypuje śnieg. Po chwili upodobniło się do kamiennej rzeźby. Płatki śniegu przypominały srebrne opiłki. Zdobiły zwłoki, dodając im szlachetności. Upewniwszy się, że zapewnił zmarłemu choć trochę godności, odwrócił się i ruszył w górę zbocza.

Schował dłonie pod płaszczem dopiero wtedy, gdy wspiął się na górę. Wyszędłszy z gęstwiny chaszczki i drzew, dostrzegł w oddali kurnik. Jego spojrzenie przyciągnęło jednak coś ciemnego, coś co zbliżało się z zachodu. Przez moment nie widział tego wyraźnie. Myślał, że to stado ptaków, czy nawet bydła. Gdy

wreszcie zdołał skupić wzrok, serce zadrżało z trwogi. Wrażenie to w niczym nie przypominało poetycznych opisów, jakie można było znaleźć w wierszach miłosnych. Było nagłe i brutalne, wstrząsnęło całym jego ciałem, docierając aż do ośrodka jaźni.

Ciemna plama okazała się grupą jeźdźców, Halcusów, którzy gnali w stronę kurnika. Ku Melli.

Gdy tylko się poruszył, poczuł na gardle dotyk ostrza.

– Jeszcze jeden krok, a zginiesz.

Melli zaczęła się niepokoić. Jacka nie było już zbyt długo. Kiedy wychodził, dostrzegła w nim coś dziwnego. Przez krótką, przerażającą chwilę miała wrażenie, że już go nie zobaczy. Chodząc po ciasnym kurniku, powtarzała sobie, że takie przecucia to czysta głupota.

Ostatnie tygodnie były najcięższe w jej życiu. Wycieńczyły nie tylko jej ciało, lecz również umysł. Drżała na myśl o tym, co sroga zima zrobiła z jej twarzą. Cieszyła się, że nie ma zwierciadła, które potwierdziłoby jej obawy. Gorsza jednak była utrata pogody ducha. Często nie doceniano znaczenia tego nadużywanego sformułowania. Pogoda ducha była czymś zupełnie prostym, jak zasypianie ze świadomością, że rano będzie na ciebie czekał gorący

napój, a zarazem bardzo cennym, jak możliwość dostrzeżenia swej wartości w oczach ukochanego. Mówiąc krótko, była przekonaniem o stabilności. Była świadomością, że wszystko zawsze pozostanie takie samo. Teraz Melli utraciła tę pewność.

Odetkała otwór w drzwiach i spojrzała na czysty śnieg, na północ, a potem na zachód. Z początku nie mogła uwierzyć własnym oczom. Choć wpatrywała się w dal od czterech dni zjedna tylko myślą – żeby w porę dostrzec wroga – kiedy naprawdę go ujrzała, przemknęła jej przez głowę myśl, że to okrutna sztuczka losu. Jak dziecko, wyobrażała sobie, że wyglądanie nieprzyjaciela zapobiegnie jego nadejściu. Nie miała czasu na uzalanie się nad tym kolejnym rozczarowaniem.

Sadząc po dzielącej ją od jeźdźców odległości, pozostała jej na przygotowania minuta albo dwie. Nie mogła sobie pozwolić na myślenie o Jacku. Musiała zadbać o siebie. Sama teraz określała własną wartość, a subtelna i nieugięta arogancja, którą cechują się wyłącznie urodzeni w sferach uprzywilejowanych, kazała jej cenić własną osobę wysoko.

Przetrząsnęła swój skromny dobytek i znalazła mały kuchenny nóż, który dostała od hodującej świnię staruszki. Był dwukrotnie krótszy od noża rzeźnickiego

i znacznie mniej od niego ostry. Z taką bronią nie było sensu rzucać wyzwania całej grupie mężczyzn. Postanowiła schować go na później, gdy będzie miała większe szansę. O ile dożyje takiej chwili.

Nie pozwoli sobie na podobne myśli. Nie ulegnie strachowi. Spotka wroga z wysoko uniesioną głową. Niech Halcusowie wiedzą, że z kobietami z Czterech Królestw trzeba się liczyć tak samo, jak z mężczyznami.

Ukryła nóż pod stanikiem, myśląc, że szczęście wciąż jej sprzyja. Ubrana była w staroświecką suknię, którą dostała od wieśniaczki. W przeciwieństwie do jej stylowych, dworskich strojów, miała ona niemodny, fiszbinowy gorset. Obszar między talią i piersiami był tak sztywny i ciasno napięty, że mały nóż mógł pozostać nie zauważony.

Słysząc już było tętent koni. Melli zaczęła się bać. Uniosła nerwowo dłonie do twarzy i stanika. Płaszcz! Założy płaszcz. Ręce drżały jej tak gwałtownie, że ledwie zdołała go zawiązać. W żołądku czuła pustkę, która działała na jej nerwy niczym głód.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stanęło dwóch ludzi. Za ich plecami tłoczyli się następni.

– Gdzie jest ten sukinsyn? – zapytał pierwszy, najwyższy z nich.

Melli splotła ciasno dłonie i uniosła brodę.

– Jaki sukinsyn? – odparła z całą odwagą, na jaką potrafiła się zdobyć.

Przez twarz mężczyzny przemknął wyraz dezorientacji. Szybko jednak odzyskał pewność siebie.

– Nie próbuj pyskować, dziewczyno, bo zapłacisz za to życiem.

– Zniżył głos. Melli rozpoznała opanowany ton kogoś przyzwyczajonego do władzy. – No dobra. Powiedz mi, gdzie jest chłopak, który zabił jednego z moich ludzi.

Nagłym ruchem dłoni wezwał drugiego mężczyznę, który dzierżył obitą skórą maczugę.

– Ależ panowie, miałam nadzieję, że wy mi to powiecie. Niech mnie licho, jeśli to wiem. – Zauważyła zaskoczenie na twarzach mężczyzn. Postanowiła wykorzystać szansę. – Zostawił mnie – ciągnęła. – Dzisiaj rano. Ukradł mi wszystkie pieniądze. Kiedy go wreszcie znajdziecie, chciałabym, żebyście przyłożyli mu parę razy i w moim imieniu.

Do środka wepchnął się kolejny mężczyzna. W kurniku zaczęło się robić tłoczno. Melli rozpoznała człowieka, który umknął stąd przed czterema dniami. Opuściła ją nadzieja.

– Nie wierz w ani jedno jej słowo, kapitanie –

powiedział.

– Ostrzegła tego szalonego diabła. Jest z nim w zмовie. Na twarzy kapitana pojawił się cień pogardy.

– I co powiesz na to, dziewczyno? – zapytał.

Melli odniosła wyraźne wrażenie, że Halcus wie, iż próbowała go okłamać, i bawi się tylko jej kosztem. Nie zamierzała się jednak poddać.

– Cóż mogę powiedzieć, kapitanie? Czy nigdy nie zdarzyło ci się wyciągnąć człowieka, którego nie lubiłeś, spod kopyt rozpędzonego rumaka?

Herszt Halcusów chrząknął.

– Widzę, że kobiety z królestw są równie wygadane, jak mężczyźni tępogłowi.

– Nie mogę wypowiadać się w imieniu mężczyzn – odparła.

– Ale w imieniu kobiet dziękuję ci. To z pewnością dla ciebie przyjemna odmiana, rozmawiać z kobietą, która nie skomli jak pies.

Kapitan wybuchnął śmiechem, słysząc aluzję do zwyczaju wiecznego uskarżania się, którym podobno cechowały się halcuskie kobiety. Miał zamiar coś powiedzieć, gdy z zewnątrz dobiegł jakiś głos:

– Kapitanie! Na śniegu są ślady. Wygląda na to, że coś stąd odciągnięto.

– Ten łotr ukradł moje zapasy – wtrąciła szybko

Melli. – Tyle serów, że wystarczyłoby na całą, zimę.

Domyśliła się, że Jack zabrał stąd zwłoki. Wiedziała, że nie jest to odpowiednia chwila, by o tym wspominać. Kapitan puścił jej słowa mimo uszu.

– Kiedy je zostawiono?

– Powiedziałbym, że są świeże, kapitanie. Nie mają więcej niż godzinę czy dwie.

– No to idź tym tropem, durniu! Zabierz pięciu ludzi. – Zwrócił się w stronę Mciii. – Ja zaczekam tutaj, z tą małą złością. Reszta wyłazić na dwór.

Jack poruszył lekko głową, by zobaczyć napastnika. Natychmiast poczuł, że coś uciska mu gardło. Dopiero gdy po szyi spłynęła mu ciepła strużka krwi, zdał sobie sprawę, że go skaleczono. Był zbyt odrętwiały z zimna, żeby czuć ból, nie wiedział więc, jak głęboka jest rana. Do pleców przyciśnięto mu drugie ostrze.

– Nie ruszaj się albo cię zabiję.

Głos brzmiał ostro jak miecz. Jack zamarł w bezruchu. Jedyнным, co widział, była biel oddechu napastnika w zimnym powietrzu.

Patrzył, jak jeźdźcy zbliżają się do kurnika. Było ich ze dwudziestu. Wicher, który cały ranek dął jak szalony, wzbijając w górę tumany śniegu, uspokoił się nagle, zupełnie jakby sprawiało mu to złośliwą radość.

Jack wyraźnie widział małą szopę. Wstrzymał oddech, gdy zbrojni zwolnili i zsiadli z koni, a potem jeden z nich kopniakiem otworzył drzwi. Czuł narastający wewnątrz nacisk: znajomy i odrażający, lecz zarazem dziwnie kuszący. Usta wypełnił mu przywodzący na myśl miedź i krew smak czarów. Minęło wiele tygodni, odkąd poczuł go po raz ostatni. Nie da się ponieść jego fali. Napastnik przycisnął mu nóż do pleców, jakby chciał wzmocnić jego niewypowiedzianą decyzję. Ucisk dotykającego kręgosłupa ostrza zatrzymał przepływ mocy.

Choć nie widział twarzy mężczyzny, wyczuwał jego napięcie. Przyszło mu do głowy, że choć nieznajomy mówi z ostrym, halcuskim akcentem nie jest jednym z jeźdźców, a nawet wolałby się ukryć przed ich oczyma.

Przyglądał się, jak do kurnika wchodzi trzech ludzi. Potrafił sobie wyobrazić tę scenę. Nie wątpił, że Melli zachowa się wobec Halcusów z godnością. Nade wszystko była dumna. Zdawał sobie jednak sprawę, że jej opanowanie w żaden sposób nie wpłynie na zatwardziałyh żołnierzy. Zrobią z nią, co zechcą.

W owej chwili kurnik, który widział tylko jako odległą plamkę, stał się dla Jacka ośrodkiem wszechświata. Gdyby tylko wiedział, co się tam dzieje.

Gdyby tylko nie wyszedł. Napięcie stało się niemożliwe do zniesienia. Musiał do niej pójść. Albo przynajmniej spróbować.

Rzucił się naprzód, lecz uwolnił się od dotyku broni tylko na mgnienie oka. Napastnik skoczył za nim w pościg. Nim chłopak zdążył się zorientować, ostrze ponownie wpiło się w jego ciało. To dziwne, że mimo panującego chłodu metal wydawał się bardzo ciepły.

– Niech ci się nie zdaje, że zdołasz przede mną uciec. – Głos zabrzmiał znowu, cichy i twardy. – Czy za tę dziewczynę w szopie warto oddać życie?

Gdy tylko Jack zdołał pojąć zawartą w słowach nieznanego groźbę, w scenie na dole zaszła nagle zmiana. Sześciu mężczyzn dosiadło koni i ruszyło śladem, który zostawił, wlokąc trupa.

– Chodź.

Napastnik pchał Jacka przed sobą, zmuszając go do oddalania się od jeźdźców. Chłopak dostrzegł przelotnie jego miecz. Był zakrzywiony i poczerniały, tak śmiertelny, jak na to wyglądał.

Nacisk czarów, który przed kilkoma minutami był tak przemożny, ustąpił teraz, pozostawiając po sobie mdłości. Co dziwne, jego nieobecność dodała mu odwagi. Lepiej było stawiać czoło losowi mając za oręż jedynie własne ciało. Nie, to nie do końca była

prawda. Przypomni sobie nz rzeznicki, który zatkn sobie za pas. Miał broń. Wyciągn ją ukradkowym ruchem, który przynisłby dum kieszonkowcowi. Poczł, jak poaskotała go w brzuch. Wciz był bardzo ostra.

Napastnik przyspieszył kroku. Słychać ju było odgłos brnącego przez świeo spadły śnieg pościgu. Gdy wyszli spomiędzy drzew, czekały na nich dwa wierzchowce.

– Wskakuj na kobył. – Mężczyzna wzmonił rozkaz ruchem noa. Jack odwrócił się, trzymając orz w doni. Cił nim na oślep. Ze zdziwieniem przekonał się, że jego przeciwnikiem jest rośły, lecz tgi rudowosy mężczyzna. – Marnujesz mj czas, chopcze – rzucił. W jego gosie brzmiał ślad irytacji pomieszany z czymś podejrzenie przypominajcym rozbawienie. – No to walczmy, jeśli koniecznie chcesz. Tylko szybko. Zblia się pościg.

Jack poczuł się troch głupio. Nie umiał wadać broni, a stojcy przed nim mężczyzna, cho był ciżko zbudowany, sprawiał wraenie mistrza. Przenosił swój znaczny ciżar z nogi na nog z graci tancerza. Zarwno krtki nz, jak i zakrzywiony miecz zataczały w powietrzu małe, pewne łuki, zachcajc go do ataku.

– No jazda, chłopcze, nie odwlekaj tego, co nieuniknione. Jack rzucił się naprzód, uderzając rzeźnickim nożem pod – jak miał nadzieję – groźnym kątem. Zakrzywiony miecz wytrącił mu oręż z ręki. Ból przeszył go aż do kości. W tej samej chwili krótki nóż dotknął jego gardła.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie powinieneś skupiać całej uwagi na mieczu, chłopcze. To krótki nóż zawsze cię załatwi. – Odwrócił głowę, wsłuchując się w odgłosy zwiastujące zbliżanie się jeźdźców. – No cóż, obawiam się, że będę musiał podjąć drastyczne kroki.

Poruszył nagle ręką. Krzywy miecz wzbił się w górę, zatoczył łuk i z powrotem wylądował w jego dłoni. Jack obserwował uważnie krótki nóż. Wtem, nieoczekiwanie, poczuł potężny cios w skroń. Pod jego czaszką rozległ się głośny trzask. Świat zaczął zanikać.

Ostatnim, co usłyszał, nim stracił przytomność, były słowa rudowłosego mężczyzny:

– Oczywiście, nie można skupiać całej uwagi na krótkim nożu. To miecz zawsze cię załatwi.

– Skoro więc zostaliśmy sami, może wyjaśnisz mi, dlaczego szlachcianka z Czterech Królestw włóczy się po Halcusie – odezwał się kapitan. Wykrzywił usta w grymasie samozadowolenia i przebiegł palcami po

wąsach, rozsmarowując po nich tłuszcz, by znowu zaczęły błyszczeć.

Melli zaczynała żałować swego nonszalanckiego zachowania. Oto do czego doprowadziły ją zręczne słówka. Gdyby nie rozbudziła jego zainteresowania, zapewne leżałaby teraz na zewnątrz, zakneblowana i związana. Sądząc z jej poprzednich doświadczeń, byłoby to znacznie lepsze.

Kurnik wydał się jej nagle nieznosnie mały. Kapitan, którego skórzany ubiór skrzypiał przy każdym ruchu, wypełniał jego wnętrze nie tyle swym ciałem, co mocą własnej obecności.

– Twój język chyba utracił szybkość – zauważył. – Czy mam rozumieć, że nie potrafisz występować bez publiczności?

Melli wiedziała, że gdyby uznali ją za nieprzyjacielską szlachciankę, groziłoby jej poważne niebezpieczeństwo. Poddaliby ją torturom i zgwałcili, a gdy nie zostałyby z niej już wiele, zażądałoby okupu. Każdy dzień oczekiwania na jego zapłacenie oznaczałoby utratę jednego palca. Przed dwoma laty lady Varelle uprowadzono z leżących nad Nestorem posiadłości jej męża. Kiedy wreszcie wróciła do domu, zostały jej tylko dwa palce. Trzy miesiące później odebrała sobie życie. Nie mogąc złapać w rękę

sztyletu, czy odmierzyć dawki trucizny, rzuciła się do zagrody dla bydła, by przebiły ją rogi najpotężniejszego z byków jej męża. Melli zadrżała na to wspomnienie. Nie zamierzała wrócić do domu bez palców.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie, prężąc biust.

– Ależ, kapitanie, czynisz mi zaszczyt, uznając mnie za szlachciankę. Co prawda, wujek mojego dziadka po stronie matki był podobno bratankiem dziedzica. – Uznała, że nadeszła odpowiednia chwila na głupkowaty chichot, zaprezentowała go więc. – Widzisz więc, że mogę zwać się szlachetnie urodzoną.

– Myślisz, że w to uwierzę? – Na przystojnej twarzy kapitana pojawił się groźny grymas. – Masz mnie za durnia, który nie potrafi rozpoznać szlachetnie urodzonej kobiety? Musisz jeszcze popracować nad swym aktorstwem, moja pani. Zdradza cię głos. – Podeszedł do Melli i złapał ją za ramię. Otoczyła ją woń skózanego stroju i potu. – Mów prawdę albo zapłacisz za swoje kłamstwa.

Melli oddychała płytko. Nie chciała czuć jego zapachu. To było by zbyt intymne.

– Jesteś byстрыm człowiekiem, kapitanie. – Rozciągnęła powoli wargi w uśmiechu, by dać sobie czas na zastanowienie. – Rzeczywiście jestem

szlachcianką... w pewnym sensie. – Wiedziała, że musi obniżyć swą wartość, stać się w jego oczach mniej atrakcyjnym łupem. Mąż lady Varelli był bogaty, a jego rodzina jeszcze zasobniejsza. – Jestem córką Erina, lorda Luft. – Wybrała sobie na ojca wielmożę, o którym powszechnie wiedziano, że jest zubożały. Zasłynął on również jako kobieciarz, który spłodził mnóstwo bękartów. – Moją matką nie jest jego żona – dodała pochylając głowę.

– Jesteś bękartem Luffa, co? – Kapitan ścisnął mocniej jej ramię. – W takim razie, co robisz w Halcusie?

– Wybieram się do Annisu. Ojciec ma tam kuzynkę, która jest krawcową. Mam zostać jej uczennicą.

– Jeśli ojciec ceni cię tak nisko, że oddał cię na naukę, to po co kazał cię uczyć dworskich manier?

– Ludzie z królestw nie są barbarzyńcami.

Kapitan uniósł rękę i spoliczkował dziewczynę. Mimo że spodziewała się tego, zachwiała się na nogach. Uderzyła o ścianę kurnika i ciężko wylądowała na ubitej słomie. Policzek płonął jej z bólu. Gdy skóra podeszła krwią, poczuła szczypanie, jak od octu.

– Pilnuj języka, dziewczyno. – Kapitan stanął nad

nią. Eleganckie wąsy podkreślały okrutny zarys ust. – Wygląda na to, że nie jesteś wiele warta. Lepiej będzie, jak wynagrodzę to sobie w inny sposób.

Pochylił się. Jego skórzany strój rozciągnął się z trzaskiem. Usta żołnierza były wilgotne od śliny i ściekającego z wąsów tłuszczu.

Melli została zapędzona w kozi róg. Ściany kurnika były więzieniem, a dotyk suchej słomy stał się dla niej torturą. Dotknął wargami jej warg, uderzył zębami o zęby. Wepchnął cienki język do jej ust. Pełna obrzydzenia Melli ugryzła go. Kapitan uderzył ją wolną ręką. Brzuch dziewczyny eksplodował bólem. Mężczyzna ponowił uderzenie, tym razem niżej, we wrażliwe miejsce między biodrami.

– Nie zgrywaj nieśmiałej dziewicy – warknął. – Bękarcia córka nie ma prawa udawać cnotki. Miałś już mnóstwo mężczyzn.

Przebiegł dłońmi po jej staniku, szukając sznurówek. Nóż! Nie mogła pozwolić, by go znalazł. Musiała odwrócić jego uwagę.

– Jestem dziewczicą – krzyknęła. Dla jej uszu w tych słowach, pierwszych słowach prawdy, które wypowiedziała w jego obecności, pobrzmiwała absolutna szczerść.

Kapitan odsunął się od niej. Wyciągnął rękę, złapał

Melli za brodę i uniósł jej twarz, by spojrzeć dziewczynie w oczy.

– Powiedz to jeszcze raz, patrząc na mnie.

– Jestem dziewicą.

Nie rozumiała nagłej zmiany, która zaszła w jego zachowaniu.

– Mam wrażenie, że mówisz prawdę. – Podniósł się i wygładził skórzaną bluzę. – A więc nie wszystkie kobiety w królestwach gżą się jak bydłeta, hej.”

Tępy wyraz żądz w jego oczach ustąpił miejsca ostremu błyskowi chciwości. Melli dostatecznie długo żyła ze swym ojcem, by wiedzieć, kiedy mężczyzna dostrzega szansę zarobku. Zaniepokoiła się nagle, bojąc się, że popełniła straszliwy błąd.

– Co to ma za znaczenie, czy jestem dziewicą?

– Nie odpowiadam na pytania bękartów. – Jego uwagę odwróciło walenie do drzwi. – Właż.

Do kurnika wszedł człowiek z obitą skórą maczuga. Zauważył, że Melli leży na ziemi, i uśmiechnął się głupkowato.

– Wstawaj, dziewczyno! – rozkazał kapitan. – Złapaliście mordercę? – zapytał swego zastępcy.

– Nie. Uciekł.

– Jak to uciekł? – Głos dowódcy był tak spokojny, że aż przeszywał dreszczem. – Jak jeden człowiek na

nogach może umknąć sześciu jeźdźcom?

– Miał pomoc. Rudego człowieka z dwoma końmi. Pogalopowali na nich jak szaleni.

– Mówisz, rudego?

Kapitan po raz kolejny przyglądał sobie wąsy. Żołnierz skinął głową.

– W całej tej sprawie było coś dziwnego. Chłopak jechał przerzucony przez grzbiet wierzchowca.

– Czy został ranny?

– Trudno wyczuć.

– Chcesz powiedzieć, że nie udało się wam do nich zbliżyć. – Kapitan spojrzał na Melli. – Pewnie nie ma sensu pytać cię o tego rudego?

Dziewczyną targał wir emocji: radości z powodu ucieczki Jacka, niepokoju wywołanego tym, że mógł zostać ranny, zaciekawienia tajemniczym rudowłosym mężczyzną oraz strachu o to, jak cała ta sprawa wpłynie na jej sytuację. Na domiar złego czuła przeszywający ból w żołądku i podbrzuszu.

– Nie znam nikogo takiego.

– Mm. – Kapitan podjął nagle decyzję. – No trudno. Na razie wracamy do wioski. Poszukiwania chłopaka zaczniemy, kiedy poprawi się pogoda.

– Po co ten pośpiech, kapitanie? – zapytał żołnierz.
– Dlaczego najpierw nie skończysz tego, co właśnie

zaczęłeś? – Popatrzył znacząco na Melli. – A potem mógłbyś okazać hojność i podzielić się swoim łupem.

– Nikomu nie wolno tknąć tej dziewczyny. Nikomu, kapujesz? – Kapitan przyjrzał się zdziwionemu zastępcy. – Jest dziewicą, Jaredzie.

Drugi z mężczyzn skinął głową ze zrozumieniem.

– I do tego bardzo ładną.

– I nauczoną dworskich manier. Zastępca dowódcy zagwizdał.

– Mamy szczęście.

Kapitan ponownie skierował swą uwagę na Melli.

– Pojedziesz z nami po dobroci, czy mam cię związać jak złodziejkę?

Słowa, które wymienili obaj mężczyźni, napęłniły Melli lękiem. Niepokój i ból po uderzeniach przyprawiły ją o mdłości. Była zdecydowana nie okazać ani strachu, ani bólu.

– Pojadę sama – oznajmiła.

3

– Mówię ci, Grift, najgorzej jest wlec się z tyłu. Cały dzień bniemy przez stopy końskiego łajna.

– Ehe, Bodger. Masz rację. Ale końskie łajno czasem się przydaje.

– A do czego, Grift?

– Uniemożliwia zrobienie kobiecie dzieciaka, Bodger.

– W jaki sposób, Grift? Czy nie pozwala nasieniu dojść do celu?

– Nie, Bodger. Kiedy już jest na miejscu, cuchnie tak paskudnie, że mężczyzna nic nie może zdziałać. – Grift zachichotał wesoło. – Nic nie chroni przed mimowolnym ojcostwem lepiej niż powściągliwość.

Bodger wypróbował swe nowo opanowane sceptyczne spojrzenie: uniósł lewą brew, pozostawiając prawą na miejscu.

– Co jest, Bodger? Wyglądasz, jakby dręczyła cię bolesna niestrawność.

Bodger szybko zmienił minę na bardziej dla siebie

typową.

– To pierońsko dziwne, że koń May bora padł tak nagle.

– Ehe. Ale to i tak nie było najdziwniejsze wydarzenie tego ranka, Bodger. Czy zauważyłeś, że Baralis omal nie zleciał z wierzchowca, w tej samej chwili, w której padł ogier Maybora?

– Tak. Widziałem, jak ten zakapturzony wielkolud Crope uniósł go z siodła i położył na ziemi. Całe szczęście, że kapitan postanowił natychmiast rozbić obóz, bo lord Baralis nie byłby w stanie znieść całego dnia jazdy.

Uwagę obu mężczyzn przyciągnął tętent zbliżających się szybko z ariergardy koni.

– To dwaj ludzie z tylnej straży, Grift. Wygląda na to, że ktoś im towarzyszy.

– Do licha! Mam nadzieję, że to nie kłopoty z Halcusami.

– Nie, Grift. Ten trzeci to nie Halcus. – Bodger odwrócił się w siodle, by lepiej widzieć nadciągających jeźdźców. – To królewski strażnik.

– Jesteś tego pewien, Bodger?

– Ma pod płaszczem błękit i złoto, Grift.

– Coś ci powiem, Bodger. Jeśli wysłano za nami tylko jednego człowieka z Królewskiej Straży, na

pewno oznacza to kłopoty.

– A jakie, Grift?

– Najgorsze z możliwych, Bodger.

Obaj mężczyźni umilkli w chwili, gdy mijali ich trzech jeźdźcy. Z zaszępionej twarzy nowo przybyłego niewiele dawało się wyczytać w bladym świetle poranka. Grift zauważył, że od kolumny odłączył się mężczyzna w czarnym płaszczu, który popędził na czoło, tam, dokąd kierowali się jeźdźcy.

– Widzę, że lord Baralis gorąco pragnie wysłuchać wieści, Bodger – wyszeptał.

Kolumna, w której przybycie jeźdźców wywołało poruszenie, zwolniła i zatrzymała się. Grift obserwował uważnie trzech mężczyzn, którzy zbliżali się już do czoła, gdzie jechali Maybor i jego kapitanowie. Przybysze zatrzymali się. Posłaniec zasalutował. Padły jakieś słowa. Kiedy przyjechał lord Baralis, wysłannik odciągnął go na bok, jego i lorda Maybora. Obaj możnowładcy sprawiali wrażenie napiętych i podenerwowanych. Wysłuchawszy słów posła, Maybor skinął głową. Przybysz podjechał do kolumny i gromkim, dźwięcznym głosem zawołał:

– Król umarł. Niech żyje król. Niech żyje Kylock.

Jackowi dano kurzą nogę.

– Jedz – rozkazał rudowłosy mężczyzna, który, jak

już się dowiedział, miał na imię Rovas.

Chłopak ocknął się w małej, trzyizbowej chacie. W palenisku płonął jasno ogień, a na piecu stały garnki. Przez szczeliny w okiennicach do środka przedostawało się światło. Jack przypuszczał, że zbliża się południe. Kołnierz bluzy ocierał boleśnie ranę na jego szyi, a głowa pękała mu z bólu.

Popatrzył na kurzą nogę. Wydawało mu się dziwne, by jeść coś takiego na śniadanie, nie wiedział jednak wiele o zwyczajach Halcusów. Większości ludzi w królestwach uważała ich za wulgarnych barbarzyńców. Odgryzł kawałek mięsa. Było miękkie i ostro przyprawione.

– Dobrze, co? – zapytał Rovas, który z godnym podziwu brakiem umiarkowania solił własną porcję. Najwyraźniej sól nie była tu tak droga, jak w królestwach. Zauważył, że Jack się mu przygląda. – Nie macie teraz w królestwach za dużo soli, co? – zapytał. – Najpierw ci przekłęci rycerze z Valdis opanowali wszystkie warzelnie, a potem wybuchła wojna... – Potrząsnął głową. – Soli jest teraz tak mało, że handlujący nią muszą zwijać interes.

– Ale ty radzisz sobie dobrze – zauważył Jack, słysząc rozbrzmiewające w głosie mężczyzny samozadowolenie.

– Czyż nie jest tak zawsze? Wojna dla każdego oznacza coś innego. Na przykład dla mnie. Odkąd wybuchła, nigdy nie miałem na stole tak dużo soli. To jeden z moich nieprzewidzianych dochodów. Proszę. – Podsunął solniczkę Jackowi. – Należy ci się trochę. Ostatecznie ten transport jechał do królestw.

– A więc jesteś złodziejem?

Mężczyzna wybuchnął gromkim, wspaniałym śmiechem.

– Tak, można by tak powiedzieć. Można by mnie też nazwać rozbójnikiem, bandytą, przemytnikiem albo spekulantem. Jak sobie życzysz. Osobiście wolę słowo beneficjent.

– Beneficjent?

– Beneficjent wojny. – Rovas uśmiechnął się, odsłaniając duże, białe zęby. – Ona jest jak wielkie pole pszenicy czekającej na skoszenie. Szkoda by było pozwolić, żeby wszystkie kłosa zmarniały niezebrane. Dlatego zbieram te, które zostawiono.

Jack potrafił rozpoznać obłudną retorykę.

– Ten, kto kradnie ziarno należące do innych, jest hultajem, nie rolnikiem.

Rovas roześmiał się po raz drugi.

– Hultajem, co? To kolejne określenie, które mogę dodać do swej listy.

Rudzielec ponownie zajął się śniadaniem. Choć demonstrował dobry humor. Jack wyczuwał w jego zachowaniu pewną nerwowość. Co chwila spoglądał na drzwi, jakby oczekiwał czyjś nadejścia. Po kilku minutach faktycznie się otworzyły i do środka weszła kobieta. Była wysoka, a rysy miała delikatne. Na twarzy Rovasa rozbłysło rozczarowanie.

– Wiesz, gdzie mogła się podziać? – zapytał.

– Nie.

Wymienili pełne napięcia spojrzenia. Na twarzy kobiety malowało się oskarżenie. Szarpała tkaninę sukni.

– Nie powinienem jej tam zostawiać – mruknął Rovas.

– Robienie tego, czego nie powinieneś robić, weszło ci ostatnio w nawyk – odparła kobieta.

Jack słyszał w jej głosie znajomy ton. Spróbował go zlokalizować. Nie mówiła jak Rovas, lecz raczej jak... Melli! Tak jest. Miała głos taki, jak dworki. Akcent podobny do jego akcentu, lecz z urywaną, melodyjną nutą, charakterystyczną dla szlachcianki. Zastanawiał się, skąd kobieta z królestw wzięła się w samym sercu wrogiego kraju.

– Błagałem ją, żeby pojechała ze mną – ciągnął Rovas – ale uparła się, żebym uciekał sam.

– Czy byli blisko?

– Nie aż tak bardzo, by mój koń nie mógł umknąć z dwojgiem. Kobieta zacisnęła dłonie na spódnicy tak mocno, że kostki jej zbieleły.

– Ilu ich było?

– Pod kurnikiem zjawilo się ze dwudziestu. Ścigało nas sześciu. – Rovas najwyraźniej stracił apetyt. Odłożył częściowo ogryzioną nogę na talerz. – Kiedy widziałem ją po raz ostatni, ukrywała się w gąszczu janowca. Był piekielny ziąb. Magio. Przed żołnierzami może zdoła się schować, ale przed mrozem z pewnością nie.

Wstał i zbliżył się do ognia.

– Myślisz, że zrobi coś głupiego? Kobieta zerknęła szybko na Jacka. Rovas popatrzył w tę samą stronę.

– Mam nadzieję, że nie. Zadanie może teraz wykonać kto inny. Jack zauważył, że spojrzenia, które oboje wymienili, pełne były ukrytych znaczeń. Zachowywali się jak spiskowcy. Budziła się w nim nieufność. Chciał wrócić do Melli i ruszyć w dalszą drogę.

Kobieta zwana Magią nalala sobie kubek parującego holku, grzejąc dłonie o naczynie.

– A więc to jest morderca? – zapytała spoglądając na Jacka. Obejrzała go uważnie. Posunęła się nawet do

tego, że zbliżyła do niego świecę.

– Mam wrażenie, że dostrzegam w tobie coś znajomego, chłopcze – powiedziała po chwili.

Jack obawiał się pytania, które miało zaraz paść. Z jego doświadczeń wynikało, że podobne uwagi zawsze prowadzą do dociekań na temat rodziny. Nie miał zamiaru dzielić się swym wstydem z tą wyniosłą, opanowaną kobietą. Od konieczności szukania wykrętów ocalił go Rovas.

– Daj spokój, Magro – rzucił. – Siadaj. Twoja córka nie wróci szybciej wskutek tego, że będziesz dręczyć biednego chłopaka.

Kobieta przyjrzała mu się raz jeszcze. Mimo chłodnego wyrazu jej oczu, Jackowi niemal było jej żal. Martwiła się o córkę. Zainteresowała się nim jedynie po to, by odwrócić uwagę od troski. Westchnęła ciężko, tracąc nieco ze swej sztywności. Natychmiast wydała mu się starsza i mniejsza. Przysunęła się do paleniska i usiadła na zydlu o trzech nogach. Rovas podszedł do niej i położył wielką dłoń na jej ramieniu. Cofnęła się przed jego dotykiem i rudy mężczyzna został z ręką wyciągniętą w powietrzu. Odwrócił się i oparł o palenisko. W tej samej chwili kobieta uniosła na moment dłoń w geście pojednania, który pozostał nie zauważony. Oboje zamarli w tej

pozycji na pewien czas. Świeca wypaliła się o jedną kreskę. Ogień nie przygasał.

Z oszołomienia wyrwał ich odgłos wydany przez zatrząsk u drzwi, który zagrzechotał, a następnie się uniósł. Do środka weszła dziewczyna. Nie, gdy tylko padło na nią światło, widać było, że nie jest już dziewczyną, lecz kobietą. Spojrzał na Rovasa i Magrę, którzy pognali jej na spotkanie. Mężczyzna dobiegł pierwszy. Wyciągnął ramiona i z całej siły uściskał ją. Była tak drobna, że z łatwością można by ją wziąć za dziecko, Jack widział jednak, że jest starsza od niego, zapewne o jakieś trzy, cztery lata. Zwróciła się ku matce. Obie kobiety odnosiły się do siebie ze sztywnością, której nie było widać między nowo przybyłą a Rovasem. Mimo to w oczach Magry zalśniły łzy.

– Za długo stałam przy palenisku – powiedziała, gdy jej córka to zauważyła.

– Co cię zatrzymało tak długo? – zapytał Rovas, uśmiechając się radośnie.

Wszyscy troje wybuchnęli niespokojnym śmiechem. Zachowywali się tak, jakby Jacka nie było w izbie. Czuł się jak intruz. To nie byli jego przyjaciele i nie mógł dzielić ich radości. Przybycie dziewczyny wręcz go rozgniewało. Ich nie spotkało nic złego.

Wróciła do domu bezpiecznie. W ich życiu nic się nie zmieniło. A co z Melli?

– Musiałam poczekać, aż się ściemni, żeby nie zauważył mnie wartownik stojący przy kurniku – powiedziała dziewczyna.

Widziała, co się działo w kurniku! Jack zaczynał wszystko pojmować. Rovas przywiózł go tu na jej koniu, musiała więc ukryć się przed żołnierzami, a potem wrócić do domu na piechotę. Do jego ust napłynęły pytania. Dlaczego go zabrali? Dlaczego przeszkodzili swym rodakom w pojmaniu go? I czego od niego chcieli? Najważniejszy był jednak takt, że dziewczyna, która przed chwilą weszła do izby, spędziła całą noc w pobliżu kurnika.

– Co się stało z moją towarzyszką? – zapytał, zaskoczony jadowitym brzmieniem własnego głosu.

Wszyscy troje skierowali wzrok na niego. Jack zauważył szybką wymianę spojrzeń między Rovasem a dziewczyną. Ostrzegął ją przed czymś.

– Nie żyje – odparła. – Kapitan kazał zatłuc ją (maczugi) jako współniczkę morderstwa.

Melliandra. Jego córka byłaby teraz królową. Jakże głupio postąpiła uciekając. Jakże głupi był on, że do tego dopuścił. Była klejnotem, który wycięto z myślą o królewskim tytule, wyszlifowano dla władzy. Ozdobą

godną króla. Nie widział jej już od bardzo dawna. Tak bardzo tęsknił za jej dowcipem i błyskiem w oczach.

Maybor owinął się w płaszcz. Czuł się staro i przyprawiało go to o smutek. Zamiast śniegu padał teraz deszcz ze śniegiem, który wiatr gnał mu prosto w twarz. Wielmoża czekał, aż ludzie ustawią namioty. Wieści, które przyniósł posłaniec, miały tak wielkie znaczenie, że postanowiono natychmiast rozbić obóz i odłożyć dalszą podróż do jutra. Mayborowi bardzo to odpowiadało. Chciał dokładniej wypytać wysłannika o okoliczności śmierci króla, a do tego po upadku z konia i bolesnym lądowaniu w ciernistych chaszczach jazda stała się dla niego dość nieprzyjemna. Był pewien, że lekarz nie wyciągnął z jego ciała wszystkich kolców. To było typowe dla przedstawicieli tego zawodu. Jeśli nie mogli natychmiast wykończyć człowieka swymi medykamentami, zawsze znajdowali jakiś inny sposób na to, by przysporzyć mu cierpień.

Jeśli chodzi o rumaka, który pod nim padł, cóż, niech no tylko wróci do Harvellu. Jeśli handlarz koni, od którego kupił tego ogiera, nie zwróci mu dwustu sztuk złota, nie ominie go chłosta. Maybor chrząknął. Z ust buchnęła mu biała para. Dopilnuje, by handlarza wychłostano, nawet jeśli odda mu pieniądze. Ktoś musi zapłacić za jego upokorzenie.

Popatrzył na Baralisa. Odziany w czerń kanclerz kręcił się w pobliżu niczym sęp. Nie ulegało wątpliwości, że chce wypytać posłańca pierwszy. Zapewne uważał, że jako królewski kanclerz ma do tego prawo, ale to on, Maybor, przewodził tej drużynie, i on będzie ustalał zasady.

Zbliżył się rządcą, który poinformował go, że namiot już wzniesiono. Maybor polecił mu, by przyprowadził posłańca, gdy tylko ten się odświeży i przebierze w czyste ubranie.

– Ależ, panie – sprzeciwił się sługa. – Lord Baralis rozkazał, by najpierw zaprowadzić go do niego.

Maybor wydobyl z kieszeni kubraka złotą monetę i wcisnął ją w miękką dłoń rządcy.

– To dla ciebie. Dopilnuj, żeby posłaniec przyszedł najpierw do mnie.

Rządcą skinął głową i oddalił się pospiesznie. Jednym ze sposobów na zdobycie posłuchu była lojalność. Drugim było złoto.

Wszedł do namiotu i zaczął zdejmować wierzchnie odzienie. Gdy szarpał się z niewygodnymi sznurówkami z tyłu bluzy, do środka wszedł Baralis.

– Czy mam wezwać sługę, by ci pomógł? – powiedział, zbliżając się. Rozchylił wargi, ukazując zęby, co zdarzało mu się rzadko. – Widzę, że masz

problem z tymi sznurówkami. Muszę przyznać, że podziwiam cię za to, iż pozwalasz zawiązywać się w ubraniu, jak dziewczyna.

Baralis podszedł do niskiego stołu, suto zastawionego jadłem oraz trunkami i nalał sobie kielich wina.

Maybor był wściekły, zachował jednak tyle przytomności umysłu, by zdawać sobie sprawę, że jeśli wybuchnie złością częściowo tylko ubrany, będzie wyglądał śmiesznie. Zadowolił się pełnym oburzenia prychnięciem i zarzucił pośpiesznie jedną ze swych szat z futrzaną podszewką.

Gdy odzyskał godność, mógł już sobie pozwolić na okazanie gniewu.

– Co ty wyprawiasz, na Borca? – zapytał. – Natychmiast opuść mój namiot.

– Bo co mi zrobisz?

Baralis nie zadał sobie nawet trudu, by podnieść wzrok. Całą uwagę skupił na wyborze kawałka suszonego owocu. Maybor nienawidził jego chłodnej arogancji.

– Daj spokój, Baralisie. Czy masz tak słabą pamięć, że zapomniałeś już, jak biegle władam mieczem?

– Mam bardzo dobrą pamięć, Mayborze, ale starzec z mieczem nie wydaje mi się zbyt wielką groźbą.

Starzec! Zjawienie się posłańca uniemożliwiło Mayborowi udzielenie zjadliwej odpowiedzi. Młodzieniec przebrał się już i zgolił brodę.

– Cieszę się, że zastałem tu was obu – stwierdził taktownie.

– Tak, lord Maybor zachował się uprzejmie, proponując, by urządzić spotkanie w jego namiocie – stwierdził Baralis. – Zechcesz coś przekąsić?

Mayborowi nie podobało się to w najmniejszym stopniu. Baralis zachowywał się jak dobroduszny gospodarz, dając w ten sposób posłańcowi do zrozumienia, że to on tu rządzi. Postanowił, że pokona go w jego własnej grze.

– Jeśli już postanowiłeś nam matkować, Baralisie, nalej mi kielich wina i ukrój kawałek dziczyzny. – Z satysfakcją przyglądał się, jak kanclerz zmuszony był spełnić jego prośbę. – Ależ cienkie plasterki. Widzę, że nie przepadasz za czerwonym mięsem.

Baralis podsunął mu talerz. Mięsiwo było twarde, ale wyraz oburzenia na twarzy wroga był dla Maybora najlepszą przyprawą.

– Powiedz mi, młody człowieku, jak cię zwać?

Grubas nie zamierzał pozwolić Baralisowi na odzyskanie inicjatywy.

– Durvil, panie.

Młodzieniec wyglądał na podenerwowanego. Wypełniająca namiot atmosfera wrogości nie umknęła jego uwadze.

– No cóż, Durvilu. Opowiedz nam, jak właściwie umarł król.

– Podczas snu, panie. Wygląda na to, że miał bardzo spokojną śmierć. Rano znalazł go główny łazieny. Ciało wystygło już i zeszywniało.

– Czy główny łazieny spędził w królewskiej komnacie całą noc? – zapytał Baralis.

– Zawsze sypia w sąsiednim pomieszczeniu, panie.

– Nie podejrzewano udziału osób trzecich?

– Nie, lordzie Baralisie. Nikt nie mógł się dostać do komnaty nie zauważony przez królewskich strażników.

– Ale główny łazieny całą noc spał?

– Tak.

Maybor zastanawiał się, dlaczego Baralis podejrzewa możliwość skrytobójstwa. Król od z górą pięciu lat był zidiociałym, śliniącym się inwalidą. Nic dziwnego, że wreszcie zachował się przyzwoicie i zmarł.

– Kiedy dokładnie to się stało?

– Tydzień po waszym wyjeździe, panie.

– A więc król nie żyje już od prawie trzech tygodni?

– Tak, panie.

– Jak królowa przyjęła tę wiadomość? – zapytał Baralis. Maybor był poirytowany. Królewski kanclerz zadawał celniejsze pytania od niego.

– Była bardzo zrozpaczona. Zamknęła się z ciałem w komnacie i przez z górą dobę nie pozwoliła nikomu się nim zająć. Król musiał w końcu rozkazać, by wywleczono ją stamtąd siłą.

Król. To słowo przyprawiło May hora o szok. Kylock był teraz królem.

– Czy dobrze się czuje? Nie została uwięziona? Baralis jak zwykle dążył do sedna.

– Nie, panie. Król nie potraktowałby tak własnej matki. – W głosie posłańca zabrzmiało oburzenie. Nowy monarcha zdążył już sobie zaskarbić wierność poddanych. – Tego samego dnia, gdy ruszałem w drogę, pożegnał się z nią bardzo czule.

– Pożegnał?

– Tak. Królowa postanowiła opuścić dwór i przenieść się do swego zamku na Północnych Ziemiach.

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że kobieta, która ma już swoje lata, postanowiła narazić własne zdrowie, wyruszając w taką podróż w samym środku mroźnej zimy?

Maybor musiał przyznać, że Baralis ma słuszość.

– Nie, panie. Kylock zapewnił dwór, że tego właśnie chciała. Przydzielił jej jako eskortę liczny oddział Królewskiej Straży.

– Hmm. – Baralis pozwolił, by ta pełna sceptycyzmu sylaba wybrzmiewała przez chwilę. – A co z Kylockiem? – zapytał wreszcie. – Czy nadal pragnie poślubić Catherine z Brenu?

– Tak, panie. Bardzo gorąco pragnie zawarcia tego związku. Wyraz ulgi na twarzy Baralisa był ulotny, lecz łatwy do rozpoznania.

– Z pewnością teraz, kiedy Kylock jest królem, niepotrzebni mu dwaj posłowie?

W głowie Maybora zaczął się kształtować pewien pomysł.

– Jego Królewska Mość wyraźnie mi oświadczył, że życzy sobie, byście obaj nadal pełnili funkcję jego posłów.

– Ja jestem posłem korony – oznajmił Maybor, wyraźnie zadowolony z siebie. – A lord Baralis postem księcia. Ale przecież już nie ma żadnego księcia.

– Przepraszam cię, lordzie Mayborze – wtrącił Baralis – ale mam wrażenie, że mianowano mnie posłem Kylocka.

– Czy król zdecydował, który z nas powinien mieć

pierwszeństwo?

Mayborowi przemknęło przez głowę, że jeśli Kylock nie wypowiedział się w tej sprawie, wszystko powinno zostać po staremu i to on nadal będzie głównym posłem.

– Król Kylock wyraził życzenie, byście rozstrzygnęli to między sobą po przyjacielsku. Jest przekonany, że wasze zdolności pozwolą na zawarcie korzystnej umowy.

Maybor nie do końca był zadowolony z tej odpowiedzi. Podejrzewał, że Baralis jest podobnego zdania. Pewność siebie nie opuszczała go jednak. Ostatecznie był posłem korony. Pociągnął głęboki łyk wina i usadowił się wygodnie wśród jedwabnych poduszek.

Następne pytanie Baralisa zaskoczyło go.

– Jakie było pierwsze posunięcie Kylocka jako króla?

– Uczynił wszystko, czego od niego oczekiwano, panie. Odbył czuwanie w wielkiej komnacie, modląc się o to, by Bóg go oświecił.

– Nie pytałem o ceremonie, które musiał urządzić na pokaz. Czy wprowadził jakieś prawa? Podjął jakieś kroki? Nakazał kogoś stracić?

Maybor wyczuwał w słowach kanclerza pewien

niepokój.

– Wysłano mnie w drogę dwa dni po śmierci króla.
– W głosie posłańca dało się wyczuć delikatny ton upomnienia. – Kylock nie podjął żadnych kroków. Był pogrążony w żałobie po ojcu.

– A co z wojną? – nie ustępował Baralis.

– Jestem przekonany, że wyraził życzenie, by wreszcie zakończyć ją zwycięstwem.

Wycisnąwszy z posłańca tę informację, Baralis zamknął się w sobie. Maybor nie rozumiał, co w niej takiego ważnego. Z pewnością Kylock postąpił słusznie, dając wyraz pragnieniu pokonania Halcusów. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej i udało mu się zostać teściem nowego króla, przekonywałby go, by dążył do jak najszybszego triumfu. W gruncie rzeczy, był już najwyższy czas, by raz na zawsze przegnać Halcusów do ich brudnych ruder. Wielokrotnie tracił przez nich całe zbiory jabłek.

– Jeśli wasze lordowskie mości pozwolą, udam się już na spoczynek – oznajmił posłaniec. – Mam za sobą długą podróż i jestem do cna wyczerpany.

Maybor skinął głową na znak zgody. Młodzieniec pokłonił się i wyszedł.

Baralis podniósł się, wygladzając szaty zniekształconymi dłońmi.

– Życzę dobrego dnia, lordzie Mayborze – rzekł zwodniczo uprzejmym tonem. Przechodząc obok tęgiego wielmoży, wcisnął mu w dłoń coś chłodnego i gładkiego. – Mam wrażenie, że to dziś zgubiłeś.

Kiedy wyszedł, Maybor otworzył dłoń. Trzymał w niej złotą monetę. Nie musiał się jej przyglądać, by wiedzieć, że to ta sama, którą przed godziną dał rządcy.

Tavalisk jadł krwawą kiszkę. Co prawda, była to chłopska potrawa i jako taka zajmowała niską lokatę na jego liście ulubionych dań, niemniej jednak od czasu do czasu czuł potrzebę spożycia posiłku, który przypomniałby mu chłopięce lata.

Rzecz jasna, słudzy nie znali jego prawdziwych motywów. Tłumaczył im, że jada niekiedy takie potrawy, jak krwawa kiszka czy flaki, gdyż chce wczuć się w dolę wieśniaków, którzy muszą się nimi żywić. Postarał się, by ta wymówka przedostała się do wiadomości publicznej, przeradzając słabość – odczuwaną niekiedy tęsknotę za daniami z czasów dzieciństwa – w źródło siły. Mieszkańcy Rornu podziwiali go za to, że próbuje jeść to, co oni. Zwiększało to jego sławę przyjaciela ludu, a Rorn był miastem, w którym lud sprawował władzę absolutną.

Arcybiskup ukroił sobie solidną porcję krwawej

kiszki, zachwycając się jej intensywnie czarnym kolorem. Krew, wytaczaną zwykle ze świeżo zabitego jagnięcia, mieszano nad płomieniem, aż zgęstniała i zrobiła się czarna. Potem dodawano kawałki tłuszczu oraz przyprawy, a całość zaszywano w kiszce i gotowano. Jeśli przygotowano ją jak należy, potrawa ta nabierała gęstej, ziarnistej struktury, przywodzącej na myśl twaróg.

Tavalisk wypluł kawałek tłuszczu. Interesowała go tylko krew.

Wiedział, że powinien czuć się szczęśliwy. Ten wścibski dureń Bevlin wreszcie przestał mu zawadzać. Mędrzec od wielu lat był cierniem w jego boku. Teraz jednak Tavalisk zaczynał się niepokoić o przyszłość: Bevlina usunięto, wydarzenia w Brenie toczyły się szybko, a rycerze z Valdis stanowili źródło nieustannej irytacji. Kryzys, który narastał przez miesiące, a nawet lata, wydawał się już bliski.

Jego myśli coraz częściej kierowały się na północ, ku Brenowi. Nadchodzący dramat rozegra się tam, w owym pełnym niebezpieczeństw grodzie. O ile Marod miał rację, to on odegra główną rolę w nadchodzących wydarzeniach. Kąciki ust arcybiskupa rozciągnęły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Jeśli Marod się mylił... do czarta z nim! Sam postara się o to, by

zdobyć centralną pozycję.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł Gamil, niosący na rękach kota Tavaliska. Na twarzy sekretarza widniało głębokie, krwawiące jeszcze zadrapanie.

– Wreszcie udało mi się znaleźć kota. Wasza Eminencjo.

– Dlaczego trwało to tak długo? Nie było cię wiele godzin.

– Ukrywał się w stercie kompostu na samym końcu ogrodu, Wasza Eminencjo. Gdy go stamtąd wydobyłem, był bardzo niezadowolony.

Arcybiskup przywabił zwierzę kawałkiem kiszki.

– Doprawdy, Gamilu, to bardzo nieuprzejmie z twojej strony plamić krwią mój najlepszy jedwabny dywan.

Sługa pospiesznie otarł krew z twarzy rąbkiem szaty.

– Przepraszam, Wasza Eminencjo.

– Świetnie. Jakie wieści mi przynosisz?

– Nasi szpiedzy dotarli za rycerzem aż do Brenu. Najwyraźniej ów młody człowiek nie jest sobą.

– Kimże w takim razie jest?

Znowu Bren. Na brzmienie tej nazwy serce arcybiskupa zaczynało bić szybciej. Odsunął z

niechęcią talerz. Lekarz powiedział mu, że ma lekką nadwagę i powinien nieco ograniczyć jedzenie. Poradził mu, żeby zamiast niego zainteresował się muzyką. Też coś!

– Wygląda na to, że został łotrzykiem, Wasza Eminencjo. Kobiety, pijaństwo, bijatyki. Na każdym kroku wszczynają awantury.

– A więc postanowił dla odmiany nieco się zabawić. Pewnie musiał się trochę odprężyć, jeśli mnie o to pytasz. Był dotąd stanowczo zbyt szlachetny.

Tavalisk uniósł tłuste ramię ku światłu. Ciało o barwie porcelany zatrzęsło się jak galareta.

– Uważasz, że jestem gruby, Gamilu?

– Nie, Wasza Eminencjo. Masz nadzwyczaj... – Gamil przerwał na chwilę, szukając właściwego sformułowania – ... imponującą figurę.

– Imponującą. – Arcybiskupowi spodobało się brzmienie tego słowa. – Chyba masz rację, Gamilu. Nie jestem bynajmniej gruby. Jestem imponujący. – Uśmiechnął się do swego sekretarza. – Wracajmy do innych spraw. Co jeszcze masz mi dziś do przekazania?

– Niewiele, Wasza Eminencjo. Chłopak wciąż podąża za rycerzem, a my nadal nie wiemy, dlaczego na Larnie postanowiono zamordować Bevlina.

– Doprawdy, Gamilu, czasami odnoszę wrażenie, że dorównujesz poziomem umysłowym tej krwawej kiszce. Jest dla mnie oczywiste, dlaczego władcy Larnu kazali wykończyć Bevlina. Mędrzec już od lat próbował położyć kres ich praktykom. Ten stary dureń czuł się nieszczęśliwy, nie mogąc narzucać innym swych moralnych przekonań. Osobiście uważam, że przywiązanie do skały nie jest takie złe. Słyszałem, że karmią takich skazańców regularnie.

– Wasza Eminencja jest wyjątkowo humanitarny.

– Niestety, Gamilu, muszę – dźwigać to brzemię. – Tavalisk cisnął kotem, który zatoczył łuk w powietrzu. Jeśli on nie mógł zjeść więcej kiszki, to zwierzę też jej nie dostanie. – Mamy jakieś wieści o rycerzach?

– Tyren podobno się wściekł, gdy wygnano ich z kolejnych miast, Wasza Eminencjo. Może nie zareagować tak pasywnie, jak tego oczekiwaliśmy.

– Oczekiwaliśmy, Gamilu? Niczego w tym rodzaju nie oczekiwaliśmy. Przewidywałem, że zapewne uznają fakt, iż zabroniono im wstępu do kolejnych miast, za rzuconą w twarz rękawicę. Wygląda na to, że miałem rację. Odpowiedzą na wyzwanie.

– To może oznaczać wojnę, Wasza Eminencjo.

– Niewykluczone. Poczekamy i zobaczymy, jak przyjmą to na północy. – Arcybiskup uśmiechnął się. –

Obawiam się zresztą, że cała ta sprawa może być zrzędzeniem losu.

– Co każe Waszej Eminencji tak myśleć?

Tavalisk przyglądał się przez chwilę Gamilowi, zastanawiając się, co mu powiedzieć. Jego palce przesunęły się ku leżącej na biurku księdze. Ostatnimi czasy Marod zawsze leżał w zasięgu jego ręki. Jego sekretarz wydawał się nieco zbyt zainteresowany, tłuścioch wzruszył więc ramionami.

– To tylko przeczucie – oznajmił. – Nie możesz zapominać, że jestem arcybiskupem, Gamilu, i w związku z tym, od czasu do czasu Bóg mnie oświeca. – Nie był jeszcze gotowy dzielić się z nikim swym odkryciem. – Pamiętaj, by w najbliższych miesiącach nie spuszczać z oka Valdis i Brenu, Gamilu.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo. Jeśli to już wszystko, pragnąłbym się oddalić.

– Pozwól tylko, że coś ci poradzę. Na twoim miejscu kazałbym opatrzyć to skaleczenie. Z taką gębą jak twoja nie można ryzykować dalszego oszpecenia.

Drzwi otworzyły się i czymś w nią rzucono. Melli uległa na chwilę panice, sądząc, że to nóż albo maczuga. Przedmiot przeleciał obok niej i wylądował na klepisku. Był to bochen chleba. Ludzie, który ją wzięli, karmili ją dobrze. Otrzymała dzisiaj już trzy

posiłki. Odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że tuczą ją jak świąteczną gęś. Jak tak dalej pójdzie, niedługo zaczną jej dawać maślanekę i świński tłuszcz, żeby się świeciła.

Trzymano ją w małej, ciemnej izdebce, znajdującej się na samym dole piwnic. Była sama i bardzo dokuczało jej zimno. Przyprawiono ją tu wczoraj. Gdy żołnierze dotarli do garnizonu, kapitan zaprowadził ją do budynku stojącego w samym środku. Stanowczo rozkazał strażnikom nie zbliżać się do niej i dobrze ją karmić. Wykonali jego polecenie. Widziała jedynie zarysy ich postaci w wejściu, gdy wpychali do celi talerze z posiłkami.

Przeżyła zimną, samotną noc, zwinięta w kącie w poszukiwaniu ciepła. Głównym źródłem pociechy była dla niej świadomość, że przynajmniej Jack ocalił wolność. Zauważyła, jak źle znosił zamknięcie w ciasnym kurniku przez kilka dni. Gdyby uwięziono go tutaj, gdzie nie można było otworzyć drzwi, nie zniósłby tego.

Ona jednak zdołała to znieść. Przyzwyczajała się już do braku wolności. Można właściwie powiedzieć, że przez całe życie była więźniem.

Wiedziała, że sprzyja jej szczęście. Jej opowieść ocaliła ją od losu lady Varelli. Bez względu na to, co

wydarzy się później, dodawała jej otuchy myśl, że będzie mogła stawić temu czoło, mając wszystkie dziesięć palców. Rozerwała bochen i zaczęła przeżuwać przypominający konsystencją gumę chleb, do którego dodano zbyt wiele drożdży. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że to, co spotkało lady Varelle, było w równym stopniu winą królestw, jak i Halcusów. Gdyby mąż przywitał ją z miłością, zamiast traktować jak bezużyteczną, odrażającą kalekę, nie doprowadziłby jej do samobójstwa. Jedynym, co w królestwach nadawało kobiecie wartość, była uroda, a kobieta z dwoma palcami nie mogła się przydać nawet przy kołowrotku, czego oczekiwano od tych, które nie mogły uchodzić za piękne. Varella nie nadawała się już do niczego i wiedziała o tym. Postanowiła uwolnić męża i rodzinę od ciężaru.

Melli usłyszała biegnącego karalucha. W dzieciństwie bała się tych owadów. Uważano, że damom przystoi demonstrować strach, kiedy tylko zauważą jakiegoś insekta. Niektóre dziewczyny posuwały się nawet do tego, że wybierały sobie gatunek owada, którego widoku nie mogły znieść. Im był mniejszy i bardziej żaloszny, tym bardziej dystygowana była dama. Melli rozdeptała stworzenie. Sądząc z głośnego chrzęstu, karaluch musiał być duży.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny. Co będzie teraz, pomyślała. Obiad z pięciu dań? W wejściu stanął mężczyzna, którego sylwetkę otaczała aureola światła. Skrzywienie skórzanego stroju wyjawiało jej to, czego nie mogły dostrzec oczy: to był kapitan.

– Mam nadzieję, że moi ludzie traktują cię dobrze.

– Mniej więcej tak, jak rolnik najlepszą jałówkę. Parsknął śmiechem i wszedł do środka.

– Borcu, ale tu ziąb. Nie chcieli dać ci koców?

– Nie prosiłam o nie.

– Za pozwoleniem, harda z ciebie dziewczka! Marnie skończysz, jeśli się nie pohamujesz.

– Jeśli przyszedłeś tu porozmawiać o wadach charakteru, to mam wrażenie, że twoją jest arogancja – odpaliła Melli.

Kapitan roześmiał się po raz drugi. Jego dłoń powędrowała ku lśniącym wąsom. Melli zaczynała podejrzewać, że mają one ukrywać dalekie od doskonałości zęby.

Rozpaczliwie pragnęła się dowiedzieć, jaki los ją czeka, nie chciała jednak okazywać lęku.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz przetrzymywać mnie tu długo – powiedziała tylko. – Ciemność pozbawia mnie apetytu i szkodzi na urodę. Jestem

pewna, że brzydka, chuda dziewczyna na nic ci się nie przyda.

– Moja droga pani, to niesprawiedliwa opinia. Osobiście powiedziałbym, że twa uroda nabiera w ciemności smaku, jak wino przechowywane w piwnicy.

– Niektóre wina przeradzają się w ocet, jeśli przetrzymywać je zbyt długo.

– Tobie to nie grozi. Wyruszysz w drogę już jutro.

– A dokąd?

– Najprawdopodobniej na wschód. – Kapitan wzruszył ramionami. – Zresztą to nie twoja sprawa.

– A to dlaczego?

Melli zaczęła gniewać jego zarozumiałość.

– Jesteś łupem wojennym, moja droga. Mogę z tobą zrobić, co zechcę. – Kapitan pokłonił się jej wyjątkowo pogardliwie i skierował się ku wyjściu. – A tak się składa, że chcę sporo na tobie zarobić.

Wszedł z izby, zamykając za sobą drzwi.

Melli sięgnęła dłonią do swego boku. Poczowała tkaninę sukni, a pod nią twardość fiszbinowego gorsetu. Tuż nad talią jej palce znalazły to, czego szukały: nóż. Nadal był na miejscu, przyciśnięty do klatki piersiowej. Ciepły jak krew i gładki jak metal, stanowił dla niej jedyne źródło pociechy. Bez względu

na to, co jeszcze się zdarzy, miała przynajmniej broń.

– Zgniła baranina! Zgniła wieprzowina! Przynoście zgniłe mięso! Kosiarza zaintrygowały te słowa. Przepchnął się przez tłum w stronę krzyczącego.

– Po co ci zgniłe mięso? – zapytał. Zawsze interesowały go nowe możliwości zarobku.

– A masz jakies?

– Nie.

– To nie zwracaj mi głowy.

– Ale mogę ci je znaleźć, jeśli mi się to opłaci.

– Nie bądź głupi, chłopcze. Na zgniłym mięsie nie da się zarobić. To jałmużna. Dla trędowatych.

– Dajecie tu trędowatym zgniłe mięso? – Mężczyzna skinął głową. – Dobrze ich traktujecie – ciągnął z podziwem Kosiarz. – U nas, w Rornie, nie dostają nic.

– Diuk słynie z dobroczynności.

Mężczyzna błysnął zębami w uśmiechu mającym demonstrować moralną wyższość i przegonił Kosiarza skinieniem dłoni.

Chłopakowi coraz bardziej podobało się w Brenie. Z początku wydawał mu się on zimny i pozbawiony wyrazu w porównaniu z jego ukochanym Rornem, zaczynał się już jednak do niego przyzwyczajać. Spędził w mieście kilka dni i zdawał sobie sprawę, że

mylił się, sądząc, iż nie ma ono żadnego zapachu. Powietrze wypełniał tu subtelny odór rozkładu. Gdy tylko jego młode nozdrza wreszcie go wyczuły, poczuł się całkiem jak w domu. W gruncie rzeczy, doszedł do przekonania, że między miastami nie ma większej różnicy. Skazy Brenu były po prostu sprytniej ukryte.

Rzecz jasna, nie można było zapominać o zimnie. Nie przywykł do chodzenia po śniegu. Prawdą jest, że na chłódzie można było nosić piękne płaszcze, to jednak nie wystarczało. Od bogatego, lecz nazbyt ufego handlarza solą uzyskał ładne rękawice ze świńskiej skóry. Okazały się jednak zdecydowanie za duże i wisiały mu na dłoniach niczym cycki świeżo wydojonej krowy. Dlatego postanowił ich nie nosić. Zawsze był dumny z tego, że pięknie się ubierał. Szybcior byłby z niego zadowolony.

Zgromadził już niezły mająteczek. Bren był bogatym miastem, a jego rynek okazał się płodnym gruntem. Och, działali tu miejscowi kieszonkowcy, lecz sądząc z tego, co widział, rozpaczliwie brakowało im finezji. Ich hasłem było: „łaps za sakiewkę i w nogi”. Cóż w tym była za sztuka? Szybcior, gdyby nie żył – co nie było wykluczone, biorąc pod uwagę jego niebezpieczny zawód – przewracałby się w grobie.

Kosiarz przepychał się przez tłum. Jego niewielki

wzrost i gęstość otaczającej go ciżby sprawiały, że nie widział, dokąd idzie. Stało się to dla niego problemem dopiero w chwili, gdy uderzył boleśnie golenią o kamienną fontannę.

– Na oddech Borca! – mruknął rozcierając nogę. – Po co im te wszystkie wodotryski?

Odkąd tu przybył, zauważył, że niemal na każdym rogu ulicy można znaleźć fontannę lub dekoracyjny basen. Była to jednak wątpliwa dekoracja. Ciemny kamień, z którego je zbudowano, upstrzony był ptasimi odchodami. W gruncie rzeczy, wywierały raczej przygnębiające wrażenie. Z pewnością człowiek, który wybudował miasto, bardzo kochał wodę. Możliwe też, że diabelską radość sprawiało mu budowanie wodotrysków tam, gdzie przysparzały najwięcej niewygód. W takich na przykład miejscach, jak to.

Kosiarz był już lekko poirytowany. Czuł w goleni pulsujący ból, a na dodatek nigdzie nie mógł znaleźć Tawla.

Kłopot polegał na tym, że wysocy blondyni nie byli tu taką rzadkością, jak w Rornie. Gdy wypytywał ludzi, czy widzieli złotowłosego nieznajomego, wysyłali go w przeróżne strony. Jak dotąd udało mu się znaleźć pasterza z Ness, wróżbitę z Lanhollu i alfonsa z Dourhaven. Ale nie Tawla. Alfons okazał się

najżyczliwszy. Zaproponował nawet, że pomoże mu w poszukiwaniach. Wspomnił jednak o uświęconym tradycją zwyczaju, nakazującym odwdzięczać się przysługą za przysługę, a Kosiarz nie sądził, by był gotowy zrobić to, o co tamten mógł go poprosić.

Nie trafił więc nigdzie. A dokładniej mówiąc, trafił, ale pod brzydką, przeszkadzającą przechodniom fontannę.

Był wczesny ranek. Słońce ledwie świeciło, a wiatr dał przenikliwie. W Brenie również wstawano wcześniej. Ulice wypełniły się już ludźmi zmierzającymi do swoich zajęć. Potężnym, niewidzialnym spoiwem utrzymującym miasto w całości, był handel. Kosiarz czuł jego zew, który był dla niego niczym pieszczota. Podążył szybko na rynek.

Sztuka kieszonkowca opierała się na subtelności. Jej tajemnicą był dotyk. Chodziło o to, by wzbudzić w ofierze przekonanie, iż jest on całkowicie przypadkowy. Jego siła mogła się wahać od delikatnego otarcia o ramię, aż po gwałtowne wtargnięcie w tłum. Liczył się kontakt. Kosiarz potrafił niepostrzeżenie zamienić klepięcie w bark w sięgnięcie pod bluzę, a wyciągnięcie ręki dla zachowania równowagi w zbadanie zawartości sakiewki. Rzemiosło kieszonkowca przypominało

sztukę iluzjonisty. Opierało się na żonglerskiej zręczności. Iluzjonista musiał mieć giętkie nadgarstki, kieszonkowiec zaś ruchliwe palce.

Dla tych, którzy cenili ową sztukę – a Kosiarz, którego uczył znawca, uważał się za jednego z nich – najważniejsza była umiejętność wydobycia łupu. Jeśli człowiek miał pod bluzą ciężką od monet sakiewkę, to o ile nie wyjęto jej umiejętnie, wyczuwał jej ruch równie wyraźnie, jak utratę zęba. Kieszonkowiec musiał cofnąć rękę prędko, lecz zarazem ostrożnie. Nie wolno mu było zabrać ciężaru zbyt szybko. Musiał zmniejszać jego nacisk stopniowo, by ciało nie wyczuło nagłej zmiany.

Rzecz jasna, dobrze było, jeśli ofiara skupiała uwagę na czymś innym. Kosiarz zawsze starał się wybierać ludzi, którzy byli pogrążeni w rozmowie, dokądś się spieszyli albo czemuś uważnie przyglądali. Najlepiej młodym, atrakcyjnym damom. Na widok pięknej figury mężczyzna potrafił zapomnieć, jaka jest pora dnia.

Istniały też inne metody, pozwalające ściągać pierścienie z palców, czy bransolety z nadgarstków, wyjmować noże z pochew i zrywać futrzane kołnierze. Sposobów kradzieży było pod dostatkiem.

Najlepsze w rzemiośle kieszonkowca było dla

Kosiarza to, że nikomu nie działa się krzywda. Było to niegroźne, nie wymagające użycia przemocy przestępstwo. Nie pozbawiało nawet człowieka całego doczesnego majątku, jak włamanie do domu. Ofiara traciła tylko monety i błyskotki. Dla Kosiarza kwestię honoru zawsze stanowiło wybieranie ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na podobny uszczerbek.

Przed południem na jego bluzie uwydatniły się osobliwe, lecz jakże cenne wypukłości. Kosiarz słyszał, że metal, który ma na brzuchu, pobrzękuje lekko, co świadczyło, że zdobył złoto. Ów kruszec cechował się specyficznym dźwiękiem. W jego dzwonieniu pobrzmiwała muzyka.

Gdy już potwierdził swe przypuszczenia – zagłębiając się na chwilę w jeden z zaułków – uznał, że pora na dobre śniadanie. Gustował w eleganckich lokalach i ciepłych kominkach. Zauważył grupę kupców, którzy sprawiali wrażenie zamożnych. Jeden z nich był mu już znany i przed końcem dnia z pewnością miał się przekonać, że poniósł nieoczekiwaną stratę. Postanowił za nimi podążyć. Tłusci ludzie zawsze wiedzieli, gdzie można najlepiej zjeść.

Zaprowadzili go do czystej gospody o nazwie „Kącik Cobba”. Na przywitanie wyszedł im

mężczyzna o różowych policzkach. Był bardzo uprzejmy i życzliwy. Przyniósł ciepłe koce i gorący poncz, nakazał rozpaścić ogień w kominku i nakryć do stołów. Zachowywał się jak jowialny pryncypał, co przekonało Kosiarza, że ma przed sobą samego Cobba.

Zadbawszy należycie o kupców, oberżysta zwrócił się do kieszonkowca.

– Służba od tyłu, chłopcze.

– Obawiam się, że jesteś w błędzie, mój panie – odparł Kosiarz. – Nie jestem sługą. Z ochotą udałbym się gdzie indziej, ale słyszałem nazwę „Kącik Cobba” z ust wielu dobrze odżywionych ludzi i miałem nadzieję skosztować sławnej specjalności zakładu.

Wiedział, że wspominając o specjalności zakładu niczym nie ryzykuje. W całych Znanych Krainach nie znalazłoby się oberży czy gospody, która nie mogłaby się pochwalić jakąś specjalnością.

Oberżysta złagodniał.

– Muszę cię najpierw poprosić o pokazanie pieniędzy, młody człowieku. – Kosiarz wydobyl złotą monetę i oberżysta skinął głową. – Życzysz sobie gotowaną czy smażoną?

– Słyszałem, że smażona jest najlepsza.

Chłopak zasiadł w wygodnym, wyściełanym fotelu, tak blisko kominka, jak tylko zdołał. Niestety kupcy

oddzielili go od niego barykadą. Nalał sobie puchar gorzkiego, pianistego *ale* i zaczął je spokojnie popijać.

Pomijając umiejętności kieszonkowca, Kosiarz dysponował też innym talentem, z którego był dumny. Miał coś, co w Rornie zwano „wielkimi uszami”. Znaczyło to, że jego słuch był czuły jak u lisa. W czasach, gdy stał na cynku, przerodził tę zdolność w prawdziwą sztukę. Wszyscy wiedzieli, że owa funkcja wymaga znakomitego słuchu. Na mrocznych ulicach Rornu, pod osłoną nocy, zbliżającego się człowieka łatwiej można było usłyszeć niż zobaczyć.

Nigdy nie rezygnował z okazji poćwiczenia tej umiejętności i uczestniczył nieproszony w niezliczonych rozmowach, prowadzonych w gospodach tak licznych, że nie sposób byłoby ich wszystkich wymienić. Nigdy nie wiadomo, kiedy przypadkowo zasłyszana uwaga mogła przynieść zarobek. Nie chodziło mu jednak wyłącznie o zysk, choć tylko ten motyw można było uznać za honorowy. Prawda była taka, że Kosiarz był po prostu ciekawski.

Usadowił się wygodnie i wsłuchał w prowadzoną przez kupców rozmowę. Gawędzili o planowanym małżeństwie córki diuka.

– Mówię ci, Fengott – przekonywał ten najtłustszy – cały ten interes nie za bardzo mi się podoba.

Dlaczego księżę z Czterech Królestw miałby rządzić naszym miastem? Bren świetnie sobie radzi bez niego.

– Ale diuk wygląda na zdeterminowanego. Muszę przyznać, że nie sądzę, by miał zamiar pozwolić księciu Kylockowi przyjechać tutaj i zająć jego miejsce. Jak rozumiem, zamierza wykorzystać królestwa jako swój osobisty skarbiec. Będziemy mieli pod dostatkiem zboża i drewna.

– Tak – wtrącił trzeci. – To małżeństwo to dla diuka dobry interes i tyle.

– Sądząc z tego, co słyszałem, ten księżę ściąga sobie na głowę niezły kłopot. – Grubas rozejrzał się wokół i zniżył głos. – Opowiadają, że Catherine nie jest niewinną dziewczyną.

– Na twoim miejscu nie wspominałbym o tym w obecności diuka, Penrod – wtrącił mężczyzna zwany Fengottem. – Za takie gadanie można trafić na szubienicę.

– A przedtem na salę tortur – dorzucił trzeci kupiec. Kosiarz przestał śledzić rozmowę, gdy oberzysta przyniósł mu wielką misę gorących, smażonych gęsich łapek. Gęsie łapki! Na sam widok przewracało mu się w żołądku. Wszyscy ci Rornijczycy twierdzący, że ludzie z północy są barbarzyńcami, najwyraźniej mieli rację.

– Jedz, jedz – rzucił mężczyzna, który mógł być Cobbem. – W kuchni jest ich jeszcze pod dostatkiem.

Kosiarz nie był z reguły wybredny, nie uznawał jednak świńskich nóżek, języków i drobiowych łapek. Oberżysta stał nad nim, niecierpliwie pragnąc się przekonać, czy potrawa przypadnie mu do gustu. Chłopak zaczerpnął głęboko tchu i skrył twarz w dłoniach.

– Co się stało, chłopcze? – zaniepokoił się natychmiast karczmarz.

– To gęsie łapki – odparł Kosiarz. Ramiona mu dygotały. – Sądziłem, że po tak wielu latach będę w stanie je zjeść, ale ich widok za bardzo przypomina mi zmarłą matkę.

– Miała stopy jak gęś?

Kieszonkowiec jeszcze głębiej wcisnął twarz w dłoń.

– Nie. Zawsze mi je gotowała. Właśnie takie. To było moje ulubione danie. Nadal nie mogę znieść ich widoku.

Oberżysta kazał zabrać miskę. Położył dłoń na ramieniu Kosiarza, pragnąc go pocieszyć.

– Rozumiem, chłopcze. Każę przygotować coś innego, bez dodatkowej zapłaty.

– Dziękuję, szlachetny panie. Jestem nadzwyczaj

wdzięczny. Czy mogłaby to być wieprzowina albo jagnięcina?

Gęsie łapki! Jakież to lokal mógł mieć za specjalność coś takiego? Kosiarz pociągnął łyk *ale*, czekając na nowe danie. Ponownie zaczął się przysłuchiwać rozmowie kupców.

– W tym sezonie na arenach zupełnie nic się nie dzieje – mówił mężczyzna zwany Fengottem. – Nie warto się zakładać. Cały miesiąc nie widziałem ani jednej dobrej walki.

– Masz rację. Już od pół roku nie trafił się żaden porządny przeciwnik dla obrońcy diuka. Wszyscy walczą jak baby, zestrachane, żeby im się suknie nie pogniotły.

– Widziałem kogoś, kto może być obiecujący – oznajmił grubas.

– Kiedy?

– Ostatniej nocy. Wielki, jasnowłosy facet, podobno nietutejszy. Walczył jak szaleniec. Na moich oczach urwał przeciwnikowi rękę.

– Jak ma na imię?

– Nikt nie wie. Niektórzy twierdzą, że jest rycerzem. Owiązuje przedramię szmatą. No wiesz, w tym miejscu, gdzie rycerze mają wypalone kręgi.

– Nie może być rycerzem – sprzeciwił się trzeci. –

Im nie wolno walczyć dla zysku.

Pozostali dwaj mężczyźni chrząknęli na znak potwierdzenia.

– A gdzie walczył? – zapytał Fengott. – Chętnie bym się mu przyjrzał.

– Widziałem go na Kaplicowej, ale chyba jest niezależny i może walczyć, gdzie zechce.

– Będę miał oczy otwarte. Lubię stawiać na pewnego konia.

– Posłuchaj, widziałeś może ten nowy trakt, który budują... Kosiarz przestał słuchać. Zamarł w bezruchu. Nie zwracał uwagi na stojący przed nim talerz z przyprawioną jagnięciną. Mówili o Tawlu. Był tego pewien. Zamiast radości czuł jednak jedynie rozpacz. Co się stało z jego przyjacielem? Człowiek, którego znał, nigdy nie zgodziłby się walczyć na arenie jak najemnik. Kosiarz pojął, że pora już stawić czoło prawdzie. To Tawl zamordował Bevlina. Ukrywał ten fakt w najciemniejszym zakątku swej jaźni w nadziei, że kiedyś o nim zapomni. Tyle, że prawda, zwłaszcza ta paskudna, zagrzebywała się głęboko jak robaki i z czasem zawsze znajdowała drogę na powierzchnię.

Niemniej rycerz był jego przyjacielem, a przyjaźń była rzeczą świętą. Kosiarz nie potrafił jednak uwierzyć, by Tawl dopuścił się tego czynu z własnej

woli. Wierzył w to niezachwianie.

Położył na stole złotą monetę – która z nawiązką wystarczała, by pokryć cenę gęsich nóżek i jagnięciny – po czym opuścił gospodę. Zapytał przechodnia o drogę na ulicę Kaplicową i ruszył we wskazanym kierunku.

4

Jack siedział sam na wypchanym słomą sienniku, na którym miał teraz sypiać. Dali mu oddzielną izbę. Sądząc po jej umeblowaniu, zwykle służyła jako sypialnia dla kobiet. Nie wiedział, czego od niego chcą. Podejrzewał, że zaplątał się w jakiś spór między Halcusami. Nie miało to żadnego znaczenia. Melli nie żyła.

– Nie żyje – powiedziała dziewczyna. Jej głos był zimny i pozbawiony współczucia. Gdy poprzednim razem słyszał te słowa, brzmiały bardzo podobnie.

Matka umarła, kiedy miał dziewięć lat. W jej piersi uformował się guz, który następnie rozprzestrzenił się na płuca. Nim nadszedł kres, cały rok kasłała krwią. Próbowwała ukrywać przed nim splamione szmaty, wpychając je głęboko do koszyka na robótki, gdy tylko Jack zasypiał. Tyle, że on nie spał. Nie potrafił zapaść w sen, dopóki nie zobaczył szmat i nie upewnił się, że nie są bardziej zakrwawione niż zwykle. Często jednak były. Dlatego prał je, pocierając tkaninę o kamień w

blasku świecy. Rankiem wstawał wcześniej, żeby zdjąć schnące szmaty znad paleniska. Kiedy już je zmiękczył, mnąc materiał w dłoniach, wsuwał je ukradkiem do koszyka. Kiedy matka się budziła, znajdowała świeżo uprane kawałki materiału i przez chwilę oboje mogli udawać, że nigdy nie było na nich żadnej krwi.

Gdy zbliżał się kres, jej stan pogorszył się tak bardzo, że szmat już nie wystarczało i Jack musiał drzeć własne ubrania. Pod sam koniec nie pozwalano mu już jej widywać. Jediną pociechą było dla Jacka bijące ze szpary pod zamkniętymi dla niego drzwiami światło. Dopóki było widoczne, świece się paliły, a dopóki się paliły, matka żyła.

Ostatnim, który z nią rozmawiał, był Croke. Jack do dziś pamiętał, jak olbrzym wyszedł z pokoju. W oczach miał łzy, a rękę trzymał pod bluzą. Jakże go wówczas nienawidził za to, że wezwano go do jej boku. Jego nie spotkała ta łaska.

Nie pozwalano mu jej zobaczyć przez trzy dni. A potem nie było już co oglądać. Światło w szparze zniknęło. Przyszła do niego żona piwniczego.

– Nie żyje – oznajmiła. – Nie ma co rozpaczać. Zrób coś pożytecznego i wyszoruj te garnki. Lepiej, żebyś nie stał się ciężarem.

W dniu śmierci matki szorował garnki, w następnym zaś podłogi. Poniekąd mu to pomogło. Zmęczony, obolały chłopiec, którego palce krwawiły od szorstkich szczotek, nie miał czasu ani siły, by myśleć o matce. Pół roku później zdał sobie sprawę, że nie pamięta już, jak wyglądała przed chorobą. Wylał wspomnienie o niej ze swego umysłu niczym tłuszcz z garnków i patelni.

Uderzył z całej siły pięścią w bok łóżka. Drewno rozszczepiło się z trzaskiem. Melli nie żyła. O niej nie zapomni z tak zdradzieckim pośpiechem. Wszystko to jego wina. Nie powinien był jej zostawiać, żeby zająć się ciałem. W ogóle nie powinien był zabijać tego człowieka.

Do izby weszła dziewczyna zwana Tarissą.

– Co się dzieje?

Obrzucił ją bez słowa zimnym spojrzeniem. Zauważyła złamaną deskę.

– Ty to zrobiłeś?

Jej głos brzmiał bezbarwnie, neutralnie nie tylko z uwagi na całkowity brak emocji, lecz również ze względu na dialekt. Nie słyszało się w nim charakterystycznego dla królestw zaśpiewu jej matki ani halcuskiego akcentu Rovasa.

– Posłuchaj, przykro mi z powodu tej dziewczyny –

powiedziała.

– Naprawdę? – Rozgniewało go jej współczucie. – A może to był tylko element waszego planu?

Nadal czuł na swej dłoni ostatnie dotknięcie Melli. Wspomnienie ich ostatecznego rozstania było zbyt świeże i bolesne. Wcisnął palce w rozszczepione drewno.

– Planu?

Jack znowu uderzył pięścią w deskę. Dziewczyna cofnęła się, wyglądała przez chwilę na przestraszoną.

– Z tą niewinną miną nie jest ci do twarzy – stwierdził. – Nie myśl, że uwierzę, iż wybraliście się z Rovasem nad ten zamrznięty staw dla zdrowia. – Wbił sobie w dłonie drzazgi i z ranek sączyła się krew. Dlaczego uratowali jego, a nie Melli? Jego życie nie miało wartości. Nikt nie będzie go opłakiwał. Melli jednak mogła zostać królową. Była piękna i dumna, a tego dnia, gdy zwrócił się przeciw najemnikom i zabił ich eksplozją gniewu i czarów, uratowała mu życie. Kiedy stracił przytomność, a jego ciało toczyła choroba, dziewczyna wlokła go całe mile przez las w poszukiwaniu schronienia.

– Co się stało, to się stało. – Tarissa wzruszyła ramionami. – To nie my spowodowaliśmy jej śmierć. Możesz o to winić siebie i pewnego halcuskiego

kapitana.

– Jak on ma na imię? Do izby wszedł Rovas.

Cień jego postaci padł na Tarrisę.

– Jeszcze ci tego nie zdradzę – oznajmił.

– A to dlaczego?

Jack odnosił wrażenie, że jego gospodarze grają wyuczone role. Że całą tę scenę z góry zaplanowano i zadając swe pytanie spełnił ich życzenie.

– Dlatego, że mógłbyś uczynić coś głupiego, a jeśli będziesz miał czas na przygotowania, może uda ci się dokonać czegoś mądrego.

Otrzymał więc propozycję. Przynętę założono bardzo zręcznie. Pozostawało mu tylko połknąć haczyk.

– A więc to po to mnie tu przyprowadziłeś? – zapytał Jack. – Żebym dokonał czegoś mądrego?

– Nie – zaprzeczył Rovas. – Chciałem ci uratować życie. Sam wiesz, że zginąłbyś, próbując pomóc dziewczynie.

– I chcesz, żebym się odwdzieczył przysługą za przysługę? – Jack podniósł się. Przerastał wzrostem Rovasa. – Przykro mi, ale nie czuję się wdzięczny.

Tarissa zaczerpnęła tchu, chcąc coś powiedzieć, lecz mężczyzna ją powstrzymał.

– Niczego od ciebie nie oczekuję – zapewnił. –

Jesteś wolny. Jeśli chcesz, możesz zaraz stąd odejść.

Zapadła cisza. Jack wyczuwał, że Tarissie nie spodobało się to, co rzekł Rovas. On wiedział lepiej. Grubas nadal grał. Jego słowa były jedynie dramatycznym gestem.

– Ale – ciągnął Rovas – jeśli opuścisz naszą chatę, nie mogę ci zagwarantować bezpieczeństwa. Zamordowałeś halcuskiego żołnierza. Będą cię ścigać jak rannego jelenia.

– A ty naprowadzisz ich na trop?

– Ja nie. Sądzę, że Tarissa również by tego nie zrobiła. Ale jej matka... – Potrząsnął głową. – Magra nie kocha swych dawnych rodaków. Jest zgorzkniała, a jeśli gorycz zbyt długo zalega w człowieku, przeradza się w złość.

– Widzę, że słowo „wolny” znaczy bardzo niewiele, jeśli pada z twych ust.

Jack wytarł okrwawioną dłoń o bluzę.

Rovas przyjrzał mu się uważnie, spoglądając na krew. Groźba zawarta w poczynaniach Jacka nie umknęła jego uwadze. Kiedy odezwał się znowu, jego głos brzmiał kojąco.

– Zostań z nami, a obiecuję ci, że kiedy nadejdzie chwila rozstania, będziesz w stanie poradzić sobie lepiej, czy to z ukrywaniem się przed żołnierzami, czy

z zemstą na ich kapitanie.

Jack był pewien, że o to właśnie chodzi Rovasowi. Chciał, by kapitana zamordowano i miał to zrobić właśnie on. Postanowił, że nie pokaże po sobie, że tak łatwo go przejrzał.

– Masz rację – przyznał. – Potrzebne mi szkolenie. Przedwczoraj przekonałeś się, że nie umiem biegle władać orężem. Jeśli mam uciec z tego kraju żywy, muszę nauczyć się bronić.

– A więc zostaniesz?

– Tak długo, jak długo będzie mi to odpowiadało.

Całkowita zmiana w zachowaniu Rovasa mówiła wszystko. Potężny mężczyzna podszedł do Jacka i objął go. Jego bluza przesycona była wonią czosnku i smaru do miecza. Uścisk był silny. Nad ramieniem Rovasa chłopak zauważył oblicze Tarissy. Jej twarz była równie chłodna jak zawsze, dziewczyna rozciągnęła jednak usta w niechętnym uśmiechu. W jej rysach było coś znajomego. Coś, co znał albo pamiętał. Nim jednak zdążył się zorientować, co to takiego, Tarissa odwróciła się i wyszła.

Zbliżali się już do gór. Krajobraz zaczął falować, jakby przygotowywał się do wielkiego skoku w górę. Baralis nie widział szczytów Wielkiego Wododziału, gdyż skrywały je chmury i śnieg. Wiedział jednak, że

wznoszą się przed nim. Słyszał ich nawoływania. Starożytne, monumentalne pieśni pozbawione słów i muzyki przemawiały do każdego, kto potrafił je usłyszeć. W nowoczesnym świecie metalowych pługów i klepsydr wodnych takich ludzi nie było wielu.

Jednym z nich był Baralis. Pieśni wyrażały pozbawioną próżności moc. Uczciwe ostrzeżenie od sił, które nie znały uprzedzeń. Mówiły, że z górami należy się liczyć, a ten, kto się w nie zapuszcza, czyni to na własne ryzyko i może zostać zmuszony do zapłacenia myta.

Po drugiej stronie owego pasma leżał Bren. Baralis wiedział, co to za miasto. Znał rozkład jego ulic. Widział wodę połyskującą w jego fontannach. Bren był niebezpieczny. Najgroźniejsza była jego duma. Dzieci uczono tam, że mieszkają w najpiękniejszym, najszlachetniejszym i najpotężniejszym grodzie w Znanych Krainach. Nie dla nich były zgniłe namiętności Rornu, czy przesadne rozmarzenie Annisu. Nie, ich doskonałość nie miała sobie równych. Ich miasto przerastało pozostałe czystością, pracowitością i potęgą.

Tego rodzaju duma zawsze była niebezpieczna. Jeśli ktoś jest pewien, że wie, co jest najlepsze, rzadko

osiąga zadowolenie, dopóki nie uda mu się przekonać innych do swych poglądów. Tak też wyglądało to w przypadku Brenu. Baralis zacisnął usta w cynicznym grymasie. Tyle, że nawrócenie w wersji czcigodnego diuka oznaczało aneksję.

Obecny władca Brenu zaczynał skromnie: zagarnął okoliczne wioski, przejął kontrolę nad małymi rzekami. Potem do przyłączenia się zaproszono mniejsze miasta. Zaproszenie zawsze przezornie wspierano legionem breńskiego wojska lub nawet dwoma. Odkąd diuk sprawował władzę, mapa Znanych Krain uległa zmianie. Bren, który przed dwudziestoma laty był jedynie sporym miastem otoczonym wianuszkami mniejszych miasteczek, został teraz sam, ale znacznie większy.

Jego władca nie czuł się jednak usatysfakcjonowany.

Baralis zdawał sobie z tego sprawę i nie budziło to jego niepokoju. Tymczasowo łączyły go z diukiem wspólne cele.

Pogłaskał grzywę swego wierzchowca. Było to bardzo piękne stworzenie, łagodne i posłuszne. W niczym nie przypominało należącego do Maybora aroganckiego, pysznego ogiera, który był teraz martwy.

Popatrzył na jadącego na przedzie kolumny grubasa. Moźnowładca dosiadał obecnie wałacha swego kapitana. Wyraźnie nie czuł się na nim dobrze. Upadek z konia z pewnością doprowadził do uszczerbku na zdrowiu. W głowie Baralisa zrodziło się podejrzenie, że Maybora nie da się zabić. Przynajmniej nie jednym ciosem. Być może najlepszym rozwiązaniem byłoby stopniowo go osłabiać. Z pewnością trucizna w szatach i upadek z rumaka nie pozostały bez wpływu. Może powinien po prostu ponawiać próby morderstwa, aż wreszcie liczne obrażenia i choroby tak osłabią starego rozpustnika, że sam padnie trupem.

Kanclerz uśmiechnął się. Jego wargi podążyły szlakiem wytyczonym przez myśli. Maybor był naiwnym głupcem, jeśli wierzył, że zachowa pozycję głównego posła teraz, gdy król Lesketh leżał już w grobie.

W dodatku monarcha trafił do niego przedwcześnie.

Był pewien, że ktoś przyczynił się do tej śmierci. Kontrolował przebieg choroby Lesketha od samego początku, od chwil i, gdy króla trafiła strzała z dwoma nacięciami. Panował nad działaniem trawiącej ciało trucizny, słabnięciem mięśni, a potem umysłu, a kiedy

mu to odpowiadało również nad pozorami powrotu do zdrowia. Był architektem choroby króla, i ta sprytnie zaplanowana budowla miała się zawalić dopiero wówczas, gdy tego zapragnie. Król nie powinien był umrzeć w tej chwili.

Jednak umarł. Bez względu na słowa posłańca i obecność głównego łazienkowego oraz królewskich strażników, komuś udało się dostać do komnaty. Baralis był niemal pewien komu: Kylockowi, do niedawna księciu, a obecnie królowi.

A więc chłopak wykonał swój pierwszy ruch. Powinien był to przewidzieć. Kylock nie czuł się zadowolony, żyjąc w cieniu złożonego chorobą króla i zbyt potężnej królowej. Kanclerz mógłby niemal być zadowolony z tej demonstracji młodzieńczej inicjatywy, pod warunkiem, że teraz chłopak nie zrobi nic pochopnego.

Oczywiście wolałby, żeby pod jego nieobecność dworem zarządzała królowa. Była ona kobietą, która знаła wartość stabilizacji, a właśnie stabilizacja była tym, czego Baralis potrzebował do chwili, gdy małżeństwo między Kylockiem a Catherine z Brenu zostanie skonsumowane. Dopiero wtedy połączona moc Brenu i królestw będzie mogła pokazać zęby. Niepokoila go myśl, że Kylock uzna, iż nadszedł już

czas, by wygrać wojnę z Halcusami – a Baralis wiedział, że zdeterminowany wódz może tego dokonać – i w ten sposób skieruje wszystkie spojrzenia na północ, nim sojusz zostanie zawarty. Świat zaniepokojony agresywnością nowego króla znacznie krytyczniej odniesie się do propozycji związku dwóch najpotężniejszych państw.

Pewną pociechę niósł fakt, że armie królestw uległy poważnemu osłabieniu. Pięć lat wojny znużyło nawet najlepszych żołnierzy. Mimo to musiał uważnie śledzić sytuację.

Kylock był od niego całkowicie zależny. Zamordowanie króla potwierdzało jedynie ten fakt. Po zawarciu małżeństwa i tak trzeba by było to uczynić. Chłopak po prostu się pospieszył. Okazał niecierpliwość, ale udało mu się! Oszukał dworzan i królową, wmawiając im, że zgon Lesketha był naturalną konsekwencją jego choroby. Baralis nie potrafił stłumić uczucia dumy, nie tyle jako ojciec, co jako właściciel.

Kylock skrywał przed kanclerzem wiele tajemnic. Baralis nie miał wątpliwości, że chłopak dysponuje mocą, był jednak równie pewien, że nie potrafi jej używać. Medykamenty, których mu dostarczał, wywierały działanie tłumiące. Kylock przyjmował je

dobrowolnie, sądząc, że pozwalają mu wejrzeć w świat ciemności. W rzeczywistości zbliżały go tylko do obłądu. Tego właśnie pragnął Baralis. Nad człowiekiem, którego rozum nadwerężyły niewielkie dawki działającej na mózg trucizny, znacznie łatwiej było zapanować.

Ów narkotyk hamował narastanie czarów w ludzkim umyśle. Magia rodziła się w mózgu i we wnętrznościach. Oba strumienie spotykały się w ustach, gdzie nabierały siły. Kylock potrafił czerpać moc z trzewi, lecz jego wola nie umiała ukształtować intencji. Przypominał koło, które nie może się obracać z uwagi na brak smaru.

Tak właśnie miało być. Baralis nie mógł podejmować ryzyka, że reputację przyszłego króla splamią pogłoski o czarach.

Istniał też inny, bardziej osobisty powód, dla którego podawał mu ten środek. Byłoby niebezpieczne, gdyby Kylock okazał się potężniejszy od niego. Takie rzeczy niełatwo było poddawać ocenie, aczkolwiek, dało się zauważyć pewne znaki: poczęto go w symptomatyczną noc, w którą do nasienia jego ojca wtargnął taniec losu. Pomijając nawet los, sama krew wystarczyłaby, żeby chłopak otrzymał w spadku specyficzny dar czarów. A krew tego, kto go spłodził,

była zaiste potężna.

Wiatr przybrał na sile i stał się bardziej przenikliwy. Baralis otulił ciasno szyję kołnierzem, chcąc się osłonić nie tylko przed zimnem, lecz również przed obawami. Młody król był uzależniony od narkotyku. Nie przestanie go przyjmować pod nieobecność kanclerza. Nie było powodów do niepokoju. To tylko zmęczenie. Długie godziny spędzone w siodle w połączeniu z nieubłaganym zimnym wichrem i sypiącym śniegiem odarły go z sił. Gorąco pragnął zostawić już góry za sobą i dotrzeć do miasta. Treścią jego życia były ambicje i intrygi, a długa podróż na wschód uniemożliwiła mu oddanie się im.

Mordując króla. Kylock mógł utrudnić czekające Baralisa zadanie, lecz królewski kanclerz nigdy nie uchylał się od podjęcia wyzwania.

Melli siedziała u stóp schodów. Czekala. Wiedziała, że ranek dawno już minął. Światło wpadające do środka przez szczelinę pod drzwiami stawało się stopniowo coraz słabsze. Wkrótce zastąpi je jeszcze bledszy blask świec. Choć zima miała się już ku końcowi, dni nadal były krótkie.

Spędziła tu już wiele godzin, poznając delikatne przerażenie, wiążące się z oczekiwaniem. Gdy tylko

słyszała na górze jakiś ruch, ogarniało ją napięcie. Jej dłonie poruszały się nerwowo. Jedną wygładzała suknię, drugą zaś sięgała po nóż. Gdy tylko upewniła się, że nie wysunął się, odzyskiwała panowanie nad sobą. To ważne, by nie okazywać strachu. Nikt jednak po nią nie przychodził, przez co miała zbyt wiele czasu, by myśleć o najgorszym.

Zastanawiała się, co może oznaczać ta zwłoka. Wiedziała, że kapitan chciał, by zabrano ją stąd już rano. Wyglądało na to, że nastąpiła jakaś nieoczekiwana zmiana planów, przez co Melli nadal niecierpliwie czekała na rozstrzygnięcie swego dalszego losu.

W miarę upływu godzin Melli zeszywniała z bezruchu i zimna. Zadała sobie pytanie, co się stało z Jackiem. Wędrowali razem wiele tygodni i nauczyła się na nim polegać. Obserwowała, jak stopniowo się zmienia, nabiera pewności siebie, a zarazem zamyka się w sobie. Nie wątpiła, że potrafi sobie poradzić. W gruncie rzeczy, bez niej będzie mu łatwiej.

W zamku zazgrzytał klucz. Melli natychmiast wróciła myślami do rzeczywistości. Wstała i zwróciła się ku drzwiom. Serce zabiło jej szybciej, a żołądkiem targnęły mdłości. Drzwi otworzyły się i ujrzała w nich sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden z nich był wysoki i

dobrze zbudowany: kapitan. Drugi był drobny i miał dziwny kształt.

– Oto ona – oznajmił kapitan, nie wchodząc do celi.
– Mówiłem ci, że jest piękna.

– Przeprowadź ją do światła.

Głos drugiego z mężczyzn był słaby i wysoki, pozbawiony wszelkich emocji.

Kapitan prychnął z oburzeniem, spełnił jednak życzenie nieznanego. Zszedł po schodach i złapał Melli za nadgarstek. Wykręciwszy jej rękę, żeby się nie opierała, pociągnął ją za sobą w górę, przeprowadził obok drugiego z mężczyzn i wywlókł na oświetlony korytarz.

W pierwszej chwili musiała przymrużyć powieki. Blask był zbyt jasny.

Kapitan spoliczkował ją mocno.

– Nie mruż oczu, dziewczyno! – rozkazał.

Nie miała czasu zastanowić się nad tym osobliwym poleceniem, gdyż nieznanomy zbliżył się do niej i zaczął ją dźgać długim, chudym palcem. Cofnęła się z niesmakiem. Jego ciało było zniekształcone. Połowę twarzy miał zupełnie bezwładną, w policzku brakowało mięśni. Lewa powieka opadała, niemal całkowicie przesłaniając oko, a kącik ust wykrzywił się w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Za chuda – oznajmił, unosząc kącik ust po zdrowej stronie. Potrząsnął głową. – Za chuda.

Kapitan spojrział na niego, ledwie skrywając niesmak.

– Jesteś w błędzie, mój panie. Na tych kościach nie brak mięsa.

Okrażając Melli, mężczyzna wydał z siebie wyrażający powątpiewanie dźwięk, używając do tego zębów i płwociny. Dziewczyna zauważyła, że jego lewa ręka również zwisa bezwładnie, a palce są mocno zaciśnięte. Na dodatek powłóczył lewą nogą.

Nie przestawał obmacywać jej zdrową dłońią. Przebiegł palcem po policzku. Długim, żółtym paznokciem zostawił w skórze głęboką bruzdę.

– Nie jest taka młoda, jak mówiłeś – stwierdził. Kapitan wzruszył ramionami.

– Jest młoda, Fiscelu, i dobrze o tym wiesz.

Mężczyzna zignorował tę uwagę, wsuwając paznokiec między wargi dziewczyny. Melli była zmuszona rozchylić usta, by pozwolić mu dotknąć delikatnej tkanki wewnątrz. Poczwała smak własnej krwi. Przebiegł palcem wzdłuż zębów, odciągając wargi, żeby zobaczyć dziąsła.

Najwyraźniej usatysfakcjonował go ich widok, gdyż skierował uwagę na jej ciało. Czwała dotyk noża,

który miała u boku. Wyglądało na to, że broń za chwilę zostanie odkryta. Mężczyzna zwany Fiscelem ścisnął przez tkaninę wypukłość jej piersi. Tego było już zbyt wiele dla Melli. Uniosła rękę, by go uderzyć. Złapał ją z zaskakującą szybkością i szarpnął w dół z nieoczekiwaną siłą. W jego gardle zrodził się dziwny dźwięk. Minęła dłuższa chwila, nim dziewczyna zdała sobie sprawę, że to śmiech. Zbliżył twarz do jej twarzy. Poczowała mdłą, słodkawą woń jego oddechu. Przyszło jej do głowy, że jeśli zdoła na wystarczająco długi czas odwrócić jego uwagę, być może zapomni o obmacywaniu jej ciała i nie znajdzie noża.

Postanowiła, że sama zacznie zachwalać swe walory.

– Zapewniam cię, mój panie, że nie brak mi krągłości. W całym moim ciele nie ma kości, która nie byłaby należycie obrośnięta mięsem. Nie widzę potrzeby, byś mnie obmacywał, jakbym była krążkiem świeżego sera.

Kapitanowi, którego zniecierpliwiły już całe te oględziny, wyraźnie przypadły do gustu jej słowa.

– Widzisz, Fiscelu. Mówiłem ci, że ma ogładę szlachcianki. Melli wykorzystała okazję i cofnęła się od badającego. Ku jej zadowoleniu, Fiscel pozwolił na to, kierując swą uwagę na kapitana.

– Wezmę ją – oznajmił. – Choć jestem nieco rozczarowany. Jego słowa nie wywarły wrażenia na kapitanie, który oparł się o ścianę, kładąc stopę na pustej beczce po piwie. Z wysmarowanymi tłuszczem wąsami i lekko podniszczonym, skórzanym strojem, stanowił żywe wcielenie elegancji. Świetnie zdawał sobie sprawę z kontrastu dzielącego go od drugiego mężczyzny. Melli dostrzegła, że używa swej fizycznej przewagi jako groźby, a zarazem narzędzia ułatwiającego targi.

– Obawiam się, że jesteś w niekorzystnej sytuacji – stwierdził.

– Niby dlaczego?

– Kiedy tu sobie popijałeś grzane wino, kazałem jednemu ze swych ludzi zbadać twe... jak to określić... twój towar. Powiedział mi, że masz dwie dziewczyny i choć obie są młode, brak im urody i ogłady.

Jego mina wyrażała niejaki zadowolenie. Fiscel machnął lekceważąco zdrową ręką.

– Kapitanie, twe żalosne sztuczki są bezużyteczne i łatwe do przejrzania. Te dwie dziewczyny nie mają tu nic do rzeczy. Ich wdzięki, bądź ich brak, w żaden sposób nie wpływają na naszą umowę. – Handlarz żywym towarem (Melli miała już pewność, że tym właśnie zajmuje się Fiscel) był niewątpliwie

wprawnym negocjatorem. – Zastanawiam się, czy nie zrezygnować z tej dziewczyny. Co prawda, jest ładna, ale trudno nazwać ją młodą, a do tego ma gwałtowne usposobienie.

– Dziewczyna nie ma jeszcze osiemnastu lat, a gwałtowność, jeśli nazwać ją temperamentem, często dodaje kobietom atrakcyjności.

Kapitan zapomniał już o nonszalanckiej pozie. Melli było go niemal żal. Trafił na człowieka, który z całą pewnością potrafił go przechytryć.

– Tutaj, na północy, może uchodzić za młodą, ale na Dalekim Południu uważano by ją za starą pannę. Minęło już sporo lat, odkąd zaczęła krwawić.

Melli starała się ukryć zawstydzenie, jakie wzbudziła w niej uwaga na tak intymny temat. Nigdy w życiu nie słyszała, by mężczyzna wspominał o kobiecym cyklu. Sądziła, że jest to sprawa, o której nie mają, pojęcia.

– Fiscelu, obaj wiemy, że prowadzisz interesy nie tylko na Dalekim Południu. Słyszałem, że sprzedajesz swój towar w miastach tak bliskich, jak Annis i Bren. Tam moja dziewczyna uchodziłaby za jeszcze młodą. – Kapitan zaczynał okazywać irytację. – Jest piękna, szlachetnie urodzona, ma nienaganną figurę i zna dworskie maniery. Nie próbuj mi wmówić, że to stara

panna, niegodna twej uwagi.

– Twierdzisz, że jest dziewicą?

– Daję ci na to słowo.

Fiscel wydał z siebie osobliwy, wyrażający powątpiewanie dźwięk, od którego w bezwładnym kąciku jego ust zebrała się plwocina.

– To nie żaden cud. Jest chuda, ma ciemne oczy i małe piersi. Musisz opuścić sto sztuk złota.

– Ma jasną skórę, niebieskie oczy i krągłe biodra. Nie opuszczę ani grosza.

Melli oburzyła brutalność tej rozmowy. Choć nie spodobały jej się uwagi handlarza żywym towarem, musiała przyznać, że jest w nich trochę prawdy.

– Po prostu nie jest warta trzysta – ciągnął Fiscel. – Ma zbyt ciemne włosy, nazbyt wydatną brodę i jest za wysoka. Sam wzrost ogranicza liczbę potencjalnych nabywców. Mężczyźni chcą być wyżsi od swych kobiet.

Dziewczyna odnosiła wrażenie, że Fiscel potrafiłby ciągnąć złośliwe uwagi na jej temat aż do końca zimy. Odrobinę pociechy przynosiła jej świadomość, że nawet gdyby stanęły przed nim największe piękności, zapewne potraktowałby je równie obraźliwie.

– Nie mogę wziąć mniej niż dwieście pięćdziesiąt. Najwyraźniej tyrada handlarza wywarła wrażenie na

kapitanie.

Możliwe też, że zabrakło mu już argumentów, którymi mógłby odierać jego zniewagi.

– Dwieście dwadzieścia pięć i umowa stoi.

Fiscel uśmiechnął się. Był to przerażający widok, gdyż tylko połowa twarzy spełniała jego życzenia.

Kapitan podkreślił węża. Nie zadał sobie trudu, by ukryć niesmak.

– Dwieście czterdzieści.

– Dwieście trzydzieści.

– Zgoda.

Fiscel wyciągnął dłoń o długich paznokciach. Kapitan przeniknął ręką obok niej, unikając dotyku. Obrzucił Melli dziwnym, nie pozbawionym żalu spojrzeniem.

– Zrobiłeś dobry interes, Fiscelu.

Handlarz żywym towarem wzruszył ramionami.

– Może być.

Zdjął pas. Przez krótką, przerażającą chwilę Melli sądziła, że chce ją zabić lub zgwałcić, nie uczynił jednak nic w tym rodzaju. Obracał szeroką, skórzaną wstęgę, aż wreszcie po jej wewnętrznej stronie ukazała się szczelina. Zatopił w niej palce i wy dobył ze środka dwie sztabki złota, warte po pięćdziesiąt sztuk każda. Wręczył je kapitanowi, który natychmiast sprawdził

nożem autentyczność kruszcu. Fiscel założył pas.

– Resztę otrzymasz, gdy tylko upewnimy się, że mówiłeś prawdę.

– Prawdę?

– Że jest dziewicą. Ty sprawdziłeś złoto, ja muszę zbadać dziewczynę.

Kapitan nie miał zadowolonej miny, lecz Melli nic to nie obchodziło. Na czym miało polegać to badanie? Jej twarz poczerwieniała z gniewu, nakazała sobie jednak zachować spokój. Jeśli zostanie z Fiscelem sam na sam, może będzie miała okazję zrobić użytek z noża.

– Nie musisz się niepokoić, kapitanie – mówił handlarz żywym towarem. – Zabiorę ją ze sobą do gospody i gdy tylko załatwię tę delikatną sprawę, wypłacę całą sumę. Rzecz jasna, gdyby okazało się, że dziewczyna nie jest dziewicą, oczekuję zwrotu pieniędzy. – Fiscel przymrużył zdrowe oko. – Gdyby doszło do tak pechowej sytuacji, być może mógłbyś mnie przekonać, żebym uwolnił cię od niej za jakieś trzydzieści sztuk złota.

Kapitan zgodził się z niechęcią.

– Ustawię pod gospodą wartownika, na wypadek, gdybyś postanowił ruszyć w drogę w środku nocy.

– To zbytek uprzejmości. – Fiscel wykonał gest

zbliżony do ukłonu tak bardzo, jak tylko pozwalało na to jego zniekształcone ciało. Zwrócił się w stronę Melli. – Chodź za mną, dziewczyno. Gorąco pragnę już dziś rozstrzygnąć tę sprawę.

Zmierzch w Brenie zapadał szybko. Słońce kryło się za górami na zachodzie, wydając miasto na pastwę cieni. W mroźne, zimowe noce, takie jak ta, znad jeziora wzbijała się mgła, która spowijała gród lodowatym całunem.

Ci, którzy zapuszczali się nocą na zimne ulice Brenu, szukali takich rozrywek, jakie można było tam znaleźć. Gród ten nie sływał z muzyki ani kultury, znakomitej kuchni ani sztuki konwersacji. Ceniono w nim siłę. Rozumiano wartość potężnej armii i wychwalano mocnych ludzi. Nocna zabawa dla mężczyzn z Brenu – kobiety nie miały tu nic do gadania – składała się z buklaka czy dwóch taniego ale, zakładu przy arenie i – jeśli zostało im parę miedziaków – godzinki spędzonej w towarzystwie dziwki.

Breńskie dziwki nie wałęsały się po ulicach ani nie przesiadywały w gospodach. Było zbyt zimno, by wychodzić na dwór, zwłaszcza w strojach, które zwykły nosić. Pracowały w burdelach, które można było znaleźć w pobliżu aren. Mężczyzna, który wygrał

zakład, lubił uczcić zwycięstwo w towarzystwie kobiety. Ten, kto przegrał, szukał u niej pocieszenia. Swe usługi oferowały zresztą nie tylko kobiety, aczkolwiek Bren był żołnierskim miastem i władze z niechęcią spoglądały tu na wszystko, co uchodziło za mało męskie.

Tak czy inaczej, nocami większość mężczyzn opuszczała domy, zamieniając ciepło płonących kominków na obietnicę zimnych ulic. Gdy tylko *ale* znieczuliło ich na mróz, gromadzili się wokół aren, złąknieni widoku krwi.

Areny istniały w Brenie już w czasach, kiedy nie miał on jeszcze murów, gdy nie był jeszcze prawdziwym miastem, a jedynie osadą z ambicjami. Niektórzy twierdzili, że to one zbudziły panującą w nim żądzę krwi, inni zaś utrzymywali, że są jedynie przejawem tego, co zawsze było tu obecne. Breńskich mężczyzn nie obchodziły podobne debaty. Intelktualne problemy były dobre dla kapłanów i słabeuszy. Liczyła się walka.

Areny miały okrągły kształt. Ich średnica była w przybliżeniu równa wzrostowi czterech mężczyzn, a głębokość nieco mniejsza niż wzrost jednego. Na ich obwodzie zbierał się tłum, zakładający się o wynik prowadzonej walki. Tradycja wymagała, by jedną

trzecią postawionych pieniędzy rzucano zwycięzcy. Z reguły jednak tego nie czyniono, chyba że walczący był bardzo dobry albo miał w tłumie swoich ludzi. Zasady były proste. Używano jedynie noży o krótkim ostrzu. Gdy przeciwnicy znaleźli się na arenie, wszystkie chwytły były dozwolone. Zwycięstwo osiągało się przez zabicie przeciwnika, pozbawienie go przytomności lub zmuszenie do poddania się.

W dawnych czasach w ścianach areny umieszczano długie, metalowe kolce, na które należało nadziać ofiarę. W takich walkach ginęło jednak zbyt wielu ludzi i choć zwycięzca zawsze otrzymywał swą jedną trzecią, zaniechano owej praktyki z uwagi na brak zainteresowanych. Mimo to opowiadano, że ten, kto znał odpowiednich ludzi i był gotów zapłacić żadaną cenę, mógł jeszcze obejrzeć podobne pojedynki.

Tawł przyłożył bukłak do ust i pociągnął długi łyk taniego *ale*, po czym uniósł naczynie nad głowę i wylał sobie na nią resztę trunku, spryskując zarazem twarz. Tłum był liczniejszy niż wczoraj. Z pewnością rozeszły się wieści o człowieku, któremu urwał rękę. Nic nie przyciągało widzów równie skutecznie, jak okaleczenie przeciwnika. Widział, że mężczyźni oceniają go wzrokiem i rozprawiają o nim szeptem. Czuł ich podniecenie, pragnienie ujrzenia krwi,

wnętrznosci i kości. Budzili w nim odrazę.

Jednak, da im to, czego chcieli. Sprawdził lnianą opaskę, którą miał na ramieniu. Była mocno zaciągnięta. Nie zsunie się. Okrył się hańbą, lecz nie zamierzał ściągnąć jej również na rycerstwo. Starał się usunąć znak. Oparzył rękę, a potem wcierał w ranę trociny; naciał skórę mieczem, tworząc krwawy krzyż. Kręgi nie zniknęły. Szydziły z niego swoją obecnością, zawstydzwały znaczeniem. Choć nie był już rycerzem, nie chciały dać mu spokoju.

Skierował spojrzenie na dłonie. Pod paznokciami miał zakrzepłą krew. Nie wiedział czyją. Może człowieka, któremu urwał rękę, a może poprzedniego przeciwnika, czy nawet Bevlina. Nie miało to znaczenia. Stała się dla niego odpowiednią ozdobą.

Corsella usiadła obok niego. Głębokie wcięcie między piersiami, wystawione na nocne powietrze, pokrywała gęsia skórka. Tawł machinalnie przesunął dłonią po skórze kobiety.

– Przyniosłaś *ale*.

Corsella z daleka wydawała się młoda. Stojąc blisko Tawła zauważało się jednak jej prawdziwy wiek. Skinęła głową.

– Przyniosłam, Tawł. – Zawahała się chwilę, po czym zaczerpnęła głęboko tchu. – Chyba nie

powinieneś już więcej pić przed walką.

W Tawlu rozgorzał gniew. Uderzył kobietę w usta.

– Dawaj *ale*, ty dziwko!

W jej oczach pokazały się nagle łzy, które jednak nie popłynęły. W kąciku ust pojawiła się krew. Kobieta bez słowa podała mu buklak. Wypił więcej niż zamierzał, chcąc zrobić jej na złość. *Ale* nie przynosiło mu radości. Stępiało jedynie zmysły. Ostatnimi czasy nie mógł liczyć na nic więcej.

Spojrzał na drugą stronę areny. Stał tam nagi do pasa mężczyzna, którego nacierano gęsim smalcem: jego przeciwnik. Był przeciętnego wzrostu, lecz dobrze umięśniony. Skórę miał gładką i młodzieńczą, twarz zaś piękną, choć nie pozbawioną arogancji. Tawl nieraz już widywał podobnych ludzi. Młodzieniec okrył się sławą w rodzinnej wiosce i przybył do miasta, licząc na powtórzenie tego triumfu. Tłumowi wyraźnie spodobał się jego wygląd. Kiedy wystawił się na spojrzenia widzów, przywitali go gromkimi okrzykami. Gęsi smalec, który miał za zadanie utrudniać przeciwnikowi jego schwywanie, podkreślał urok muskularnego ciała.

Tawl wiedział, co myślą zgromadzeni. Gdy popatrzyli na niego i na chłopca, zaczęli przekazywać sobie pieniądze z szybkością atakujących wilków.

Widzowie spodziewali się, że chłopak zwycięży, lecz złotowłosego nieznajomy stawia zacięty opór. Jeśli będzie im sprzyjało szczęście, może któryś zostanie okaleczony lub zabity. Tawł pociągnął kolejny łyk *ale*. Ci, którzy postawią dziś na jego przeciwnika, stracą pieniądze.

Zrzucił skórzaną bluzę. Corsella podeszła do niego z garncem gęsiego smalcu. Potrząsnęła głową. Nie chciał, by smarowano go tłuszczem jak barana pieczonego na rożnie. Nie zdejmie też lnianej koszuli. Nie zamierzał sprawiać tłumowi dodatkowego widowiska. Pierś pokrywały mu blizny pozostałe po torturach. Jeśli chcą je zobaczyć, będą musieli zapłacić więcej.

Chłopak zszedł na arenę. Tłum zaczął bić brawo, widząc marsowy wyraz gładkiej twarzy. Krzyknął głośno, gdy mięśnie zalśniły w blasku ognia. Tawł odnosił wrażenie, że jego przeciwnik jest bardzo młody.

Przez wrzaski tłumu przebijały się pokrzykiwania ulicznych sprzedawców:

– Pieczone kasztany! Rozgrzane do czerwoności! Ogrzeją wam dłonie i brzuch. Jeśli walka będzie nudna, możecie nimi porzucać.

– Bardzo mocne jęczmienne *alei* Pół bukłaka za

jedyne dwa srebrniki. Wystarczy jeden łyk i walka wyda ci się ciekawa, a żona piękna.

– Świńskie udźce! Gorące, prosto z pieca. To lepszy interes niż zakład.

Tłum umilkł, gdy Tawł podniósł się z miejsca. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Wydało mu się, że dostrzega żal w twarzach części ludzi, którzy postawili na jego przeciwnika. Ich pech. Podszedł do brzegu areny i zeskoczył na kamienną nawierzchnię. Tłum był rozczarowany. Chłopak, który miał na imię Handris, popisywał się swymi mięśniami i szlachetnym profilem. Tawł chodził tylko po arenie ze spuszczonego wzrokiem, ignorując ludzi otaczających arenę i pyszniącego się rywala.

Czerwona chustka powędrowała w górę, po czym opadła na arenę. Walka się zaczęła.

Chłopak krążył wokół niego, szukając słabych punktów. To był jego pierwszy błąd. Z każdym krokiem nieświadomie zdradzał własne niedoskonałości. Tawł był jak jastrząb w locie. Lata szkolenia i doświadczenia były dla niego niczym dar. Oceniał przeciwnika, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Chłopak był podenerwowany. To dobrze. Mimo to wiedział, jak się trzyma nóż. Ramiona miał silnie umięśnione, lecz boki i plecy słabe. Tuż nad

pasem widać było lekkie odbarwienie – starą ranę czy otarcie, zapewne nadal bolesne.

Tawl zatrzymał się, pozwalając, by rywal zbliżył się do niego. Chłopak zamachnął się nożem. Po chwili obrócił się, by zadać kopniaka piętą. Tawl był zmuszony cofnąć się przed uzbrojoną w nóż ręką, przez co odsłonił się przed kopniakiem. Jego goleń przeszył ból. Przeciwnik popełnił drugi błąd, nie wykorzystując chwilowej przewagi. Pozwolił, by uszy i umysł wypełnił mu aplauz tłumu. Tawl rzucił się naprzód. Odwrócił uwagę młodzieńca za pomocą noża i uderzył go łokciem w szczękę. Głowa odskoczyła do tyłu. Nie dał rywalowi szansy odzyskać równowagi. Skoczył na niego po raz drugi, uderzył pięścią w żołądek i przejechał nożem po ramieniu.

Gdy popłynęła krew, rozległo się głośne westchnienie tłumu. Z pewnością doszło też do dalszych zakładów.

Chłopak szybko wrócił do siebie. Był młody i miał błyskawiczny refleks. Skoczył naprzód i jego impet obalił obu walczących na ziemię. Uniósł nóż, próbując pchnąć nim w twarz przeciwnika. To był jego trzeci błąd. Zbyt polegał na broni. Tawl uniósł z całej siły kolano i kopnął go w udo. Młodzieniec odpowiedział gwałtownym natarciem. Jego oręż skaleczył bark

Tawla, płótno nasiąkło krwią.

Chłopak wciąż leżał na nim, unosząc nóż do kolejnego ciosu. Coś w sposobie, w jaki go trzymał, przypomniało Tawlowi o długim cieniu, który ongiś rzucił w chacie Bevlina. Spróbował odegnać od siebie wizję martwego mędrca. Gdy jednak mu się to udało, okazało się, że pod nią kryje się obraz jego sióstr. Był bezwartościowy. Zawiódł rodzinę, rycerstwo i Bevlina. Gniew stał się jego bronią i tarczą. Zawładnęła nim wściekłość. Walczył teraz nie z rywalem, lecz z losem. Z Łamem i jego kłamstwami. Ze swą ambicją i tym, do czego go doprowadziła.

Zrzucił z siebie przeciwnika, który wylądował ciężko na plecach. Runął na niego natychmiast. Odrzucił nóż. Zanadto przypominał mu on o nocy długiego cienia. Obserwujących walkę ogarnął szal. W oczach chłopaka pojawił się strach. Tawl rzucił mu się do gardła, zaciskając palce na muskularnej szyi. Poczul, że przeciwnik przejechał mu nożem po boku. Nie rozluźniając ani na chwilę uścisku, wytrącił młodzieńcowi broń z ręki, używając łokcia jak maczugi. Nóż potoczył się poza jego zasięg.

Raz za razem uderzał przeciwnika wolną ręką. Nie umiał zapanować nad sobą. Pragnął jedynie przegnać dręczące go demony. Nawet w tej chwili wiedział

jednak, że nie dadzą mu spokoju. Twarz chłopaka obróciła się w krwawą miazgę. Trzask łamanych kości otrzeźwił tłum, który nagle umilkł.

Tawl zaczerpnął głęboko tchu. Wypuścił powietrze z płuc, starając się zarazem uwolnić od gniewu. Było to trudne. Gniew przynosił ze sobą zapomnienie i pozory – choćby nawet krótkotrwałe – panowania nad sobą. Były one jednak z gruntu fałszywe.

Podniósł się i cofnął od znieruchomiałego ciała. Ciszę zimnej nocy mącił jedynie odgłos jego oddechu. Dyszał szybko i ciężko. Tłum czekał. W pierwszej chwili Tawl nie pojmował dlaczego. Wtem zobaczył czerwoną chustkę. Leżała obok ściany. Podeszedł do niej i podniósł ją, pokazując widzom symbol zwycięstwa.

Gapie eksplodowali głośnymi wrzaskami. Tawl nie dbał o to, czy są zachwyceni, czy go potępiają. Poczuł, że coś twardego uderzyło go w ramię, a potem w plecy. Rzucano monetami. Srebrnymi i złotymi. Po chwili dno areny lśniło już ich blaskiem.

Przyjaciele chłopaka odciągnęli ciało. Tawl nie był pewien, czy jego przeciwnik jest martwy, czy żywy. Następnie na arenę opuszczono Corsellę, która zajęła się zbieraniem monet. Przez cały ten czas zwycięzca nawet się nie poruszył. Ścisnął w dłoni czerwoną

chustkę. Jej jaskrawe rogi łopotały na wietrze.

Fiscel wyprowadził Melli za bramę garnizonu. Idąc wyglądał niemal komicznie. Kołysał się jak pijany kaleka. Słabemu, nieregularnemu oddechowi towarzyszył charkotliwy dźwięk dobiegający z głębi piersi. Zapach handlarza żywym towarem przyprawiał ją o mdłości. Przemozna słodycz egzotycznych perfum ledwie maskowała odór choroby.

Choć Melli była o głowę wyższa od Fiscela, nie miała pewności, czy zdołałaby go pokonać. Nadal czuła pulsujący ból w nadgarstku, w miejscu, gdzie zademonstrował jej siłę uścisku swych palców. Potarła ten punkt. Mimo pokraczego wyglądu Fiscelowi nie brakowało krzepy. Dziewczynę niepokoiła jednak nie tyle jego sprawność, co powierzchowność. Twarz mężczyzny była groteskową maską. Jego zdrowe oko miało bystry, chciwy wyraz, chore zaś było załzawione i mętne. Był fizycznie odrażający i bała się tego bardziej niż ukrytej siły, którą mógł dysponować.

Wartownik otworzył przed nimi masywne, drewniane wrota i Melli wyszła w ciemną, halcuską noc. Od mroźnego wichru oczy zaszyły jej łzami, które szybko zamarzały na policzkach.

Fiscel złapał ją za ramię, zatapiając w nim długie paznokcie. Pociągnął ją za sobą. Z początku nic nie

widziała, gdy jednak jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła jakiś mroczny kształt przed sobą. Był to wóz, przy którym stały trzy konie. Dwa z nich były wielkie i ciężkie, trzeci zaś miał smukłe kończyny i tułów. Wierzchowiec. Wokół zwierząt krzątał się mężczyzna odziany w szary płaszcz.

Handlarz żywym towarem podprowadził ją do tyłu wozu. Zapukał głośno w drzwi, które natychmiast się otworzyły. Poczowała jego dłonie na swych plecach. Wepchnął ją do środka. Drzwi zamknęły się za nią i znalazła się w towarzystwie dwóch innych kobiet.

Jej nozdrza wypełnił zapach gorzkich migdałów. Źródłem światła była mała lampka oliwna. Miejsca ledwie starczało na cztery leżące obok siebie sienniki. Poza nimi w wozie znajdował się jedynie mały israński dywanik oraz kilka kufrów o gładkich ściankach.

Obu kobiet nie zaskoczyło jej nagłe wtargnięcie. Wylegiwały się na siennikach, popijając gorący płyn ze szklanek osadzonych w mosiężnych uchwytych. Jedna z nieznanym, ciemnoskóra i kruczowłosa, ospałym gestem nakazała jej usiąść. Melli miała ochotę zignorować to polecenie, lecz wóz ruszył nagle i zachwiała się na nogach. Czarnowłosa kobieta uśmiechnęła się, jakby chciała jej powiedzieć: „A nie mówiłam?”

Po chwili wóz jechał już spokojniej. Melli usiadła na sienniku leżącym najbliżej drzwi. Kruczowłosa kobieta skinęła głową do blondynki, najwyraźniej nakazując jej napełnić trunkiem kolejne naczynie. Dziewczyna wzięła w rękę srebrny garnek i nalała do szklanki przezroczystego, parującego płynu. Melli złapała za mosiężny uchwyt. Metal był ciepły w dotyku, choć nie tak gorący, jak szkło.

Jej nos wypełniły ostre, wonne opary, przynoszące ze sobą subtelną magię ukojenia i pociechy. Kołyszący się wóz, kłująca słoma, ból w mięśniach, wszystko to stało się nagle mniej ważne. Melli pociągnęła łyk. Płyn oparzył jej język. Poczowała spływające do żołądka gorąco. Potem trunek zaczął działać. Jej ciało zrobiło się ciepłe i ociążałe, palce ogrzała szybciej płynąca krew, a twarz się zarumieniła.

Brunetka uśmiechnęła się zachęcająco, lecz jasnowłosa dziewczyna ostrzegła ją swym spojrzeniem.

Melli dopiła napój, radując się jego ciepłem. Wóz zatrzymał się nagle. Po jakiejś minucie czy dwóch usłyszała stukanie do drzwi. Kiedy się otworzyły, zobaczyła w nich Fiscela. Przywołał gestem Melli, lecz blondynka podeszła do niego pierwsza.

– Nie, Lorro – powiedział. – Zostaniesz na noc w

wozie. Zajmie się tobą Estis.

– To znaczy, że nie będę się mogła przespać w gospodzie i zjeść przyzwoitej kolacji – odparła poirytowana dziewczyna.

– Zrobisz, jak ci każę. – Ton Fiscela położył kres dyskusji. – Chodź, Alysho – dorzucił handlarz żywym towarem, zwracając się ku brunetce. Ta nalała do manierki trochę migdałowego trunku, wzięła w rękę haftowany worek i podążyła za Fiscelem.

Melli ponownie wyszła na zimno, lecz tym razem nie zważała na jego dotyk. Byli w środku małego miasteczka. Zza okiennic domów wydobywało się światło, a z kominów na pokrytych śniegiem dachach buchał dym. Jakiś pies wydał z siebie gniewny lament.

Poprowadzono ją ku wąskiemu wejściu do karczmy zwanej „Pod Mleczarzem”. Wóz oddalił się z turkotem. Fiscel wepchnął dziewczynę do jasnego, ciepłego wnętrza. Było tam pełno mężczyzn, którzy zagapili się na przybyłych.

– Nie odzywaj się – ostrzegł ją Fiscel. Zostawił Melli pod opieką kruczowłosej kobiety, Alyshy, i ruszył niezgrabnym krokiem ku oberżyście, przyciągając wiele pełnych niesmaku spojrzeń. Zamienił z karczmarzem kilka słów. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Druga rozmowa, z szynkarką,

wywołała kolejny przypływ szczodrości. Na koniec Fiscel zwrócił się ku Alyshy i skinął głową. Melli wyprowadzono przez niskie drzwi znajdujące się na końcu izby. Wszyscy obecni mężczyźni śledzili ją wzrokiem. Kiedy przechodziła, zapadła cisza.

Fiscel zastukał niecierpliwie laską w podłogę i obrzucił Melli oskarżycielskim spojrzeniem, jakby miał do niej pretensję o to, że przyciąga uwagę.

Dziewczyna czuła się bardzo dziwnie. Krew pulsowała w jej żyłach z alarmującą prędkością, wywołującą zawroty głowy. Ciało miała gorące i ocieźałe. Gdzieś w głębi jej jaźni zrodziły się podejrzenia.

Poprowadzono ją kręconymi schodami na piętro. Fiscel szedł z przodu, a Alysha z tyłu. Pojawiła się szynkarka, która wskazała im pokoje. Jeden z nich był duży i wygodny, z wielkim łóżem, drugi zaś mały, ciasny i zaopatrzony w dwa sienniki. Szynkarka dygnęła i obiecała, że zaraz wróci zjedzeniem.

Melli ruszyła ku mniejszej izbie, lecz Fiscel powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Nie, moja piękna – odezwał się słabym, drwiącym głosem. – Czemu chcesz tak szybko mnie opuścić? Spędzimy razem sporo czasu. Musimy lepiej się poznać.

Alysha otworzyła drzwi większego pokoju i padła na łożo. Poklepała kołdrę, zachęcając Melli, by spoczęła obok. Dziewczyna nie skorzystała z zaproszenia. Gdy usiadła na drewnianej ławie, stojącej obok wygasłego kominka, usłyszała cichy śmiech kruczowłosej kobiety. Fiscel uśmiechnął się. Zdrowy kącik jego ust odsłonił zepsute zęby.

– Proponuję, żebyśmy najpierw coś zjedli, a kiedy już wypoczniemy, będziemy mogli wziąć się za robotę. – Zwrócił się w stronę Alyshy. – Widzę, że przyniosłaś manierkę naisu, moja droga. Nalej naszej nowej przyjaciółce szklaneczkę, nim zrobi się zimny.

Kosiarz patrzył, jak Tawl opuszcza arenę. Złotowłosy rycerz nie zważał na pochwały i poklepywanie po plecach. Pewien wyglądający na bogatego człowiek podszedł do niego i spróbował nawiązać rozmowę, lecz Tawl odepchnął go na bok. Inny mężczyzna, który uważnie przypatrywał się rycerzowi, wydał się Kosiarzowi znajomy. Minęła chwila, nim chłopak zdał sobie sprawę, że ma przed sobą pierwszą osobę, którą okradł w tym mieście. Człowieka z portretem złotowłosej dziewczyny. Tak jest, to był on. Miał bardzo szeroką pierś i wyjątkowo wąską głowę. Ani na moment nie spuszczał z Tawla spojrzenia ciemnych oczu o ciężkich powiekach.

Rycerz nadal dzierżył symbol zwycięstwa. Nawet stojący po drugiej stronie areny Kosiarz dostrzegał, że Tawl ściska chustkę bardzo mocno. Kostki jego dłoni zbieleły.

W całym swym krótkim życiu ulicznik nie widział takiej walki, jak ta. Wydawało się niemal, że Tawl jest opętany. Oczy zaszyły mu mgłą. Najwyraźniej nie wiedział, co robi, i nie potrafił się powstrzymać. Kosiarz był pewien, że nie jest jedyną osobą w tłumie, którą zaniepokoił ten widok. Było to tak, jakby gapiom pozwolono ujrzeć coś szokującego i bardzo osobistego. Dziś w nocy rzucono czar, a czarodziejem był mężczyzna w zakrwawionej koszuli, którego Kosiarz zwał niegdyś przyjacielem.

Chłopak przyglądał się narastającemu podnieceniu tłumy. Była to nie tylko żądza krwi, lecz również fascynacja zrodzona faktem, że Tawl odsłonił przed widzami swe okrutne oblicze, wystawił na pokaz prymitywne instynkty, które świat każe ukrywać. Kosiarz potrząsnął powoli głową. Ludzie wiele zapłacą za to, by ponownie ujrzeć podobną brutalność.

Na arenę rzucono już sporo monet. Złotych i srebrnych, nie miedziaków. Ulicznik czuł, że ludzie potrzebują jedynie odrobiny zachęty, by cisnąć dalsze. Ich szczodrość należało tylko trochę pobudzić, nic

więcej. Mógłby nawet zrobić to sam, gdyby nie fakt, że pulchna kobieta o włosach wyjątkowo nienaturalnej, żółtej barwy szybko zgarniała łupy do worka.

W Kosiarzu starły się ze sobą sprzeczne instynkty. Można tu było zarobić pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Nie miał co do tego wątpliwości. Ich źródłem była jednak utrata honoru. W przeszłości podobny dylemat nie przysporzyłby mu problemu: gotówka była gotówką, a jej zdobywanie stanowiło najszlachetniejsze z zajęć. Teraz wystarczyło, że spojrzął na Tawła – odległego i całkowicie odmienionego – by zrozumieć, że na świecie są też inne rzeczy równie ważne jak bogactwo, a jedną z nich jest pomoc przyjacielowi.

Włoski na jego ramionach zjeżyły się. Bez wątpienia nigdy dotąd nie wykazał się podobną szlachetnością. Był bardzo z siebie dumny. Pomoże przyjacielowi. Jeśli jednak miało się to wiązać z szansą zarobku, nie zamierzał z niej rezygnować.

Patrzył, jak żółtowłosa kobieta gramoli się z areny i podchodzi do Tawła. Rycerz powiedział coś do niej i wydobyła z worka wypełniony do połowy bukłak *ale*. Wyrwał go z jej rąk i osuszył do końca. Podała mu bluzę, którą odsunął na bok. Ujął kobietę za ramię i wydostali się razem z tłumem.

Na ulicach Brenu panowało przeraźliwe zimno. Zaczynała już gęstnieć wstająca znad jeziora mgła. Kosiarz przemarzył do szpiku kości, mimo że miał na sobie dwie koszule, kamizelkę, bluzę, kaftan, i płaszcz. W Rornie znacznie łatwiej było się ubierać. Zastanawiał się, jak może to wytrzymać Tawł, którego od zimna chroniła tylko jedna warstwa płótna.

Nie spodobało mu się nic z tego, co zobaczył: walka, picie, kobieta o żółtych włosach. Nie chodziło o to, że nie pochwalał podobnych rzeczy. Bynajmniej. Był tolerancyjnym, światowym człowiekiem. Rzecz w tym, że tego rodzaju zajęcia nie pasowały do Tawła. Był rycerzem, a rycerze powinni być lepsi od innych ludzi.

Kosiarz podążał za przyjacielem i jego kobietą przez miasto. Zapuścili się teraz do znacznie gorszej dzielnicy, w której chłopak poczuł się jak w domu. W drzwiach burdeli stały wydekoltowane prostytutki, które nawoływały klientów, obiecując im egzotyczne rozkosze, krągłe ciała i niskie ceny. Zwracały się też do Kosiarza.

– Chodź tu, chłopaczku. Za pierwszy raz jest zniżka.

– Daj mi szansę, maleńki. Pokażę ci, gdzie co wsadzić. Uśmiechał się uprzejmie, lecz potrząsał

głową, tak jak nauczył go Szybcior. Co prawda, jego mentor sam nigdy nie odmawiał prostytutkom, i jak zwykł mawiać: „Po cóż w końcu mężczyzna potrzebuje zasobów finansowych?”

Niektóre z okrzyków były mniej pochlebne.

– Uciekaj stąd, głupi smarku! Odstraszasz klientów.

– Przestań się gapić, podglądaczu! Jak nie masz forsy, to się nie patrz.

– Nie udzielam lekcji, dzieciaku. Wróć, jak będziesz miał coś w spodniach.

Kosiarz był odporny na podobne docinki. W Rornie prostytutki miały znacznie ostrzejsze języki.

Szedł w pewnej odległości od Tawła, zachowując stały dystans. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił określić, nie chciał jeszcze spotykać się z rycerzem. Wreszcie para zwolniła i weszła do jasno oświetlonego budynku. Pomalowane na czerwono okiennice świadczyły o tym, że to również jest burdel.

Kosiarz podkradł się do niego z boku. Brodził w stosach odpadków z kuchni i zawartości nocników, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Okiennicę zamknięto, dla osłony przed zimmem i smrodem, była jednak mocno wypaczona. Wzdłuż całej jej długości przebiegała dogodna szczelina. Chłopak przystawił oko do drewna.

Izbę wypełniały kłęby dymu. Świece paliły się słabo, a kominek zapchały popioły. Na krzesłach oraz ławach wylegiwały się grupki mężczyzn i kobiet. Posiłki, smażone, stygły nie zauważone na talerzach. Zajęto się pieścizotami i piciem, lecz zarówno mężczyźni, jak i kobiety więcej entuzjazmu wkładali w tę drugą czynność. Choć sznurówki sukien były rozwiązane, na piersi – tak małe, jak i duże – nikt nie zwracał szczególnej uwagi.

Kosiarz obserwował Tawla i jego przyjaciółkę, którzy weszli do pomieszczenia. Kobieta przepchała się przez pijaną ciżbę i znalazła dla nich wolną ławę. Tawł natychmiast zażądał *ale*. Jego głos był teraz bardziej ochryply. Podano trunek i razem z nim jedzenie. Rycerz zignorował je jednak i zaczął żłopać prosto z dzbanka. Dziewczyna szepnęła coś do niego, być może chcąc ostrzec go przed piciem. Tawł uderzył ją. Kosiarz był wstrząśnięty.

Towarzyszka rycerza wyglądała na przyzwyczajoną do podobnego traktowania. Nic nie wskazywało na to, by zamierzała się oddalić. Wzięła sobie kawał pieczonego kurczaka i zaczęła go gryźć dużymi, lecz równymi zębami. Kosiarz zauważył, że wymieniła pozornie przypadkowe spojrzenia z jakąś kobietą o małych oczkach. Ta zbliżyła się ukradkiem.

Dziewczyna podała jej worek. Tawł był tak zajęty piciem, że nic nie zauważył.

Drobna kobieta wyszła z pomieszczenia. Po paru chwilach wróciła. Wciąż trzymała w ręku worek Tawła, lecz wydawał się on teraz mniej wypchany. Przeszła przez izbę, zatrzymując się na chwilę przed lustrem, by przygłodzić mocno upudrowane włosy, po czym zwróciła worek dziewczynie. Kosiarz nie miał wątpliwości, że jest w nim teraz znacznie mniej stanowiącego własność Tawła złota. W jego piersi zrodziło się oburzenie. W zasadzie uważał kradzież za coś zupełnie normalnego, to jednak było zwykłe szachrajstwo. Dziewczyna o jaskrawożółtych włosach wystawiła Tawła i to zapewne nie po raz pierwszy.

Ale ostatni. Okradanie jego przyjaciela nikomu nie ujdzie płazem. Nikomu.

Popatrzył na Tawła. Rycerz zwiesił głowę, wyraźnie czymś pochłonięty. Minęła chwila, nim chłopak zauważył, że jego przyjaciel zajął się własną ręką. Zdejmował tkaninę, która ukrywała kręgi. Jego ruchy spowolnił wypity trunek. Bandaż wpijał się mocno w skórę. Kiedy się ześliznął, Kosiarz z przerażeniem dojrzał, co kryje się pod spodem. Kawalek ciała wielkości pięści był poparzony, opuchnięty i pokryty pęcherzami. Blizna przebiegająca

przez kręgi otworzyła się, tworząc czerwoną wstęgę, kontrastującą z czarnym tłem.

Tawl przystąpił do ponownego bandażowania ramienia. Nie chodziło mu o opatrzenie rany, lecz o ukrycie swej hańby. Chciał schować kręgi, jakby w ten sposób mógł zamaskować przeszłość, zasłonić ją pod tkaniną.

Kosiarz, cofnął się od okna. Wypełniał go chaos nieznanych mu dotąd uczuć. Czuł ucisk w gardle i ból w klatce piersiowej. Widok Tawla, który siedział sam w nędznym burdelu, ukrywając spokojnie swe kręgi, sprawił mu zbyt wiele cierpień. Odwrócił się od okna i ruszył ulicą. Pora trochę się przespać. Wróci tu rankiem, kiedy rycerz wytrzeźwieje.

Szedł przed siebie, mijając burdele i pracujące w nich prostytutki. Jeśli nawet coś do niego krzyczały, nie słyszał ich.

Melli, która zwykle mogła się pochwalić zdrowym apetytem, tym razem nie była zainteresowana jedzeniem.

Fiscel i Alysha byli znakomitymi gospodarzami, troskliwymi i uprzejmymi. Jej talerz ani przez moment nie był pusty, szklanka zawsze pełna. Melli nie sprawdzała, jak często przynoszą jej jedzenie, trunku jednak dolewali z szybkością atakujących zdobyc

pustulek.

Myśl o drapieżnych ptakach zwróciła uwagę Melli na fakt, że Fiscel ma spojrzenie drapieżcy – ostre, skupione i zimne jak metal. Rzecz jasna, w zdrowym oku. Chorym spoglądał jak ofiara. Zachichotała wesoło, zastanawiając się, dlaczego tak dowcipne myśli przychodzą jej do głowy tylko po pijanemu. Rozsądna, zachowująca dystans część jej umysłu twierdziła, że być może nawiedzają ją one również na trzeźwo, lecz kiedy ma jasno w głowie i sucho w brzuchu nie wydają się jej takie zabawne.

Teraz z całą pewnością miała w brzuchu mokro. Melli Mokrobrzuska! Roześmiała się radośnie. Fiscel również wybuchnął śmiechem. Śmiejąc się, handlarz żywym towarem wyglądał tak odrażająco, że jego widok rozbawił Melli jeszcze bardziej. Kruczowłosa Alysha uśmiechała się tylko. W jej uśmiechu odzwierciedlała się cała przebiegłość i dwulicowość, z których słynęły kobiety z Dalekiego Południa.

Fiscel raz jeszcze dolał jej trunku. Gdy zaczął przelewać się przez brzegi, szklanka zachybotła się w dłoniach Melli i wino pociekło na pokrytą sitowiem podłogę. Dziewczyna pochyliła się, żeby zobaczyć, jak wiele go uroniła. Podniósłszy głowę, zauważyła, że Fiscel i Alyssa wymienili spojrzenia i kiwnęli

głowami. Brunetka podeszła do podnóża łoża. Co dziwne, choć wypełniały ją pijacka wesołość i narastający lęk, Melli poczuła, że jej zazdrości. Starsza kobieta poruszała się jak kusicielka. Piękno, którego odmówiono jej twarzy, rozkwitło w zachwycającej, naturalnej gracji jej ruchów. Melli czuła się w jej obecności jak prostytutka.

Alysha sięgnęła po haftowany worek ruchem tak płynnym, że jej ręce wydawały się niemal pozbawione kości. Pociągnęła za sznurek, odsłaniając zawartość: zwinięty niczym wąż sznur. Pośrodku jego splotów coś lśniło. Melli spróbowała skupić wzrok na błyszczącym przedmiocie, lecz oczy nie chciały jej słuchać.

Fiscel zasiadł na wygodnym fotelu. Na jego twarzy pojawiła zadowolona mina konesera, którego czeka prawdziwa uczta. Melli Mokrobrzuska zaczęła się czuć jak Melli Na Rożnie.

Jej wzrok przyciągnął jasny błysk metalu. Poczowała mdłości. Alysha wyciągnęła zza pasa sztylet. Jego rękojeść była inkrustowana perłami. Kruczowłosa kobieta uklękła przed sznurem i zaczęła ciąć go na kawałki. Wprawnie władała nożem i nawet tę czynność wykonywała z niezwykłą gracją.

Kiedy skończyła, miała przed sobą cztery kawałki sznura. Uniosła piękną szyję, na nieładnej twarzy

zakwitł uśmiech.

– Chodź. – Było to pierwsze słowo, które wypowiedziała w obecności Melli. Skinęła na dziewczynę. – Chodź do mnie. Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

Jej głos pasował do płynnych ruchów, nie do oblicza. Był piękny i ochryply, sugerował egzotyczne, zakazane przyjemności.

Melli nagle zawładnął strach. Spojrzała na drzwi. Zauważyła, że Fiscel to dostrzegł. Jego zdrowa dłoń spoczywała na lasce, której koniec rozszerzał się, tworząc drewnianą gałkę wielkości pięści. Dziewczyna zrozumiała groźbę, nim jeszcze handlarz żywym towarem zdążył zacisnąć palce na obciążonym końcu. Przeniosła wzrok na Alysę, która nadal siedziała na łożu. Kruczowłosa kobieta uniosła rękę w zapraszającym geście. Zachowywała się tak, jakby Melli miała jakiś wybór, dziewczyna wiedziała jednak, że go nie ma. Zaproszenie było jedynie zamaskowanym rozkazem.

– Jeśli przyjdiesz do mnie z własnej woli, potraktuję cię delikatnie – obiecała kobieta, jakby czytała w jej myślach. – Jeśli spróbujesz się opierać, może będę musiała sprawić ci ból.

W ciele Alyszy kryły się mimo wszystko kości, a

także twarde mięśnie.

Melli popełniła straszliwy błąd, pijąc migdałowy trunek, a potem wiele szklanek taniego wina. Wiedziała, że nie jest w stanie uciekać ani się bronić. Zostało jej jednak jeszcze jedno wyjście.

Zaczęła krzyczeć. Była przyjemnie zaskoczona tym, że z jej ust wyrwał się tak głośny i przeraźliwy dźwięk.

Nie zauważyła ciosu. Poczowała bolesne uderzenie, usłyszała łoskot trafiającego w czaszkę drewna. Oczy zaszczyły jej łzami, a z ust popłynęła ślina. Zatoczyła się do przodu i wpadła w oczekujące na nią ramiona Alyshy. Kobieta pociągnęła ją na łóżko.

Melli czuła ból i ciężar głowy. Miała ochotę poddać się i zemdleć. By zmusić się do zachowania przytomności, skupiła uwagę na pierwszym z tych dwóch doznań. W potylicy pulsowało jej jak w ulu. Choć znieczulił ją alkohol, zdawała sobie sprawę, że cios zadano wprawnie. Uderzenie w potylicę nie zostawi dostrzegalnych blizn czy siniaków. Jego skutki zakryją włosy. Fiscel najwyraźniej dbał o swój towar. Melli poczuła złośliwą radość namyśl, że i tak już jest uszkodzona. Sześć pręg na plecach skutecznie zmniejszy jej atrakcyjność i zapewne również cenę.

Alysha pochyliła się nad nią, by rozłożyć jej

ramiona. Dziewczyna nie była w stanie się opierać. Musiała maksymalnie skupiać uwagę, by zachować jasność widzenia. Kruczowłosa kobieta odciągnęła jej rękę na bok, a potem nad głowę. Wyciągnęła kawałek sznura i przywiązała nadgarstek Melli do słupka baldachimu. Powróż był delikatny, a jego dotyk wydawał się niemal pieszczotą. Alysha mocno zaciągnęła jedwabny sznur i pieszczota przerodziła się w uchwyt imadła. W żołądku Melli zabułgotały strach i żółć. Poczwała w gardle ich palącą mieszaną. Gdy obie ręce były już unieruchomione, chłodne palce Alyshy dotknęły nogi dziewczyny, odciągając ją na bok. Sznur owinał się wokół jednej, a potem drugiej kostki.

Melli leżała rozciągnięta na łożu. Uniosła głowę, co było sporym osiągnięciem, biorąc pod uwagę fakt, że ważyła ona dwukrotnie więcej niż zwykle. Fiscel wrócił na wyściełany fotel, a Alysha stanęła nad nią, ściskając w dłoni sztylet.

Władala nim z biegłością profesjonalistki. W jednej chwili dotknęła jego czubkiem stanika, w następnej przecinała już suknię.

Nóż! Melli poczuła, jak odpada od jej ciała razem z tkaniną. Czekwała, wstrzymując oddech, aż kobieta go zauważy. Gdy minęło kilka sekund, odważyła się znów unieść głowę. Alysha siedziała ze skrzyżowanymi

nogami na podłodze. Sprawiała wrażenie zajętej polerowaniem jakiegoś przedmiotu. Melli spojrzała na suknię. Tkanina stanika rozłożyła się wokół niej niczym płatki kwiatu. Większą część noża skrywały fałdy materiału, widać jednak było wystającą z nich rękojeść. Dziewczyna poruszyła się lekko i broń osunęła się ku niej. Następnie uniosła plecy i ramiona, dzięki czemu znalazła się ona pod jej talią. Gdy znowu się położyła, ukryła nóż pod własnym ciałem.

Nie miała czasu nacieszyć się swym triumfem. Alysha usiadła u podnóża łoża, między jej nogami. W dłoni trzymała coś, co wydawało się Melli gładkim kawałkiem szkła. Dziewczyna poczuła, że spada z niej bielizna. Zarumieniła się ze wstydu.

– Bardzo ładne ciało – zauważyła Alysha. – Nie jesteś taka chuda, jak mi się zdawało. Można by z ciebie wytopić sporo tłuszczu.

Melli uniosła głowę, a kruczowłosa kobieta opuściła swoją. Klęczała między jej nogami, przyglądając się intymnym częściom. Dziewczyna nie mogła tego znieść. Szarpnęła gniewnie więzy. Poczowała na plecach dotyk przesuwającego się noża. Jego koniuszek wbił się w jej skórę. Bojąc się, że wyrządzi sobie większą krzywdę, znieruchomiała.

Alysha miękkiem, odległym głosem wyszeptała

uspokajające słowa. Melli poczuła, że do jej łona przyciska się delikatnie coś chłodnego i miękkiego. Zobaczyła, że usta kobiety poruszają się, jakby odmawiała modlitwę. To były nie tylko słowa. Powietrze płynące z jej ust sięgało ku Melli, badało ją. Dziewczyna znów poczuła strach. Słyszała wiele opowieści o czarach, a raz nawet je widziała, to jednak – choć moc była znacznie mniej potężna od zaczerpniętej przez Jacka – wydało się jej niemożliwym do zniesienia gwałtem. Szarpnęła za sznury. Nagle przestało ją obchodzić, czy kobieta znajdzie nóż. Magia wtargnęła w jej wnętrze. Jej poszukująca obecność rozgrzewała Melli, która opierała się jej każdą cząsteczką duszy. Wszystkie komórki jej ciała czuły się upokorzone.

Alysha wypowiedziała kilka słów i moc wycofała się.

– Błona jest nietknięta – oznajmiła. – Dziewczyna jest jeszcze dziewicą.

Kiedy wstała, ugięły się pod nią nogi. Była zmuszona oprzeć się o ścianę.

– Jesteś pewna? – zapytał Fiscel.

– Oczywiście – warknęła. – Ma błonę twardą jak wygarbowana skóra. Trudno będzie ją przebić.

– Popłynie dużo krwi?

– Więcej niż zwykle.

– Świetnie. Dostanę za nią wysoką cenę. – Fiscel uśmiechnął się. – Moja południowa piękność nigdy mnie nie zawodzi. Masz wiele różnych talentów, moja droga. Nie wiem, co bym bez ciebie począł. – Napełnił szklanekę naisem i podał go kobiecie. – Ręka ci drży, Alysho. Co się stało?

Kobieta obrzuciła Melli pospiesznym spojrzeniem.

– Ta dziewczyna coś w sobie ma, Fiscclu – wyszeptała. Melli ze wszystkich sił opierała się senności, była jednak bardzo osłabiona. Nie mogła skupić spojrzenia. Jej myśli również ogarnął zamęt. Powoli, mimo ogromnego wysiłku, powieki zaczęły jej opadać. – Co masz na myśli, skarbie? – zapytał Fiscel.

– Jej przeznaczenie jest silne. Opierało się czarom. Omal nie odepchnęło ich z powrotem ku mnie, nim zdążyłam się przygotować. A jej macica... – Alysha potrząsnęła głową. – Jej macica czeka na dziecko, które sprowadzi wojnę i pokój.

5

Trawt wypluł kawałek żujki. To był kiepski gatunek, zdecydowanie za gorzki. Splunął jeszcze kilka razy. Mężczyzna musi mieć czysto w gębie.

Przyglądał się pogrążonej w mroku chacie. Światło zgasło jakiś czas temu. Staruszka na pewno już spała. Postanowił, że zaczeka jednak jeszcze chwilkę, żeby się upewnić. Zaskoczenie było bronią równie skuteczną, jak najostrzejszy nóż.

Dla zabicia czasu zaczął wdeptywać obcasem w śnieg wyplutą żujkę. Być może powinien się wyrzec tego nałogu. Słyszał, że zęby od niego gniją. Do tej pory nie przejmował się podobnymi sprawami. Cuchnący oddech i ból zębów przeszkadzały tylko klechom i babom. Teraz jednak musiał myśleć również o innych sprawach, jak na przykład jego ładna, młoda narzeczona.

Lady Melliandra, córka lorda Maybora, niegdyś zaręczona z księciem Kylockiem, miała należeć do niego. Jej ojciec dał mu ją, jako dodatek do dwustu

sztuk złota. Potężny wielmoża zrobił kiepski interes. Otrzymał od Traffa jedynie trochę informacji i dał mu w zamian za nie swoją jedyną córkę. Stary dureń był już do cna zdziecinniały. Tak rozpaczliwie pragnął dowiedzieć się czegoś o intrygach uknutych przez Baralisa, że opuścił go zdrowy rozsądek. Dzięki temu. Traff zdobył rozkoszną Melli.

Pozostało mu tylko ją odnaleźć.

To zadanie sprowadziło go dziś tutaj, do małej chatynki leżącej nieco w bok od wschodniego traktu harvelskiego. Jej właścicielką była stara kobieta, która hodowała świnie.

Tej wiedźmie należało się bicie już za sam fakt, że nie przekazała jej władzom, tak jak należało. Stara wdowa nie miała prawa prowadzić gospodarstwa, pozbawiając w ten sposób jakiegoś mężczyznę należnego mu źródła utrzymania. Jeśli to się wyda, powieszają. Nie było też wątpliwości, że się wyda, tyle, że babsko może być już wtedy za sztywne, by warto było je wieszać.

Traff wyszedł z chaszczy i ruszył ku chacie. Wciśnięty za pas nóż ocierał mu się o udo niczym druga męskość. To był piękny, długi oręż o cienkim ostrzu. Służył do walki lub do zabijania.

Podszedł do chaty od tyłu i wśliznął się między

stodołę i chlew. Nozdrza wypełnił mu smród świń. Nagle zaczął żałować, że nie ma w ustach żujki, choćby nawet kiepskiej. Zwierzęta poczuły jego zapach i pochrząkiwały nerwowo.

Skrył się w cieniu chaty i ruszył do drzwi. Popchnął je delikatnie, by sprawdzić, czy mocno trzymają. Zawiasy były dobre, a rygiel solidny. Cofnął się i okrążył budynek. Sprawdzał wszystkie okiennice, aż wreszcie znalazł taką, której zawiasy były zardzewiałe. Włamując się, narobi hałasu. Wzruszył ramionami. Wieśniaczka była stara i zapewne głucha. Z całej siły uderzył barkiem w deskę. Zawiasy pękły jak szczapy drewna. Okiennica wpadła do środka, a wraz z nią płócienna zasłona. Uderzyła z trzaskiem o podłogę. Traff skrzywił się, słysząc ten hałas, po czym wszedł do chaty.

Borcu, ależ tu było ciemno! Odczekał chwilę, by pozwolić oczom przyzwyczać się do mroku. Był w kuchni. Naprzeciw niego znajdowały się drzwi sypialni. Ścisnął mocniej broń i podszedł do nich. Nie były zamknięte na zasuwę. Otworzyły się pod jego dotykiem. Dostrzegł w ciemności białą postać. Minęła chwila, nim zdał sobie sprawę, że staruszka siedzi na łożu i trzyma w ręku nóż.

– Nie zbliżaj się – ostrzegła. – Kupiłam ten majcher

w zeszłym tygodniu i mam chętkę sprawdzić jego ostrość.

Traff roześmiał się. To niedorzeczne. Czy ta stara ropucha nie rozumiała, jaka jest śmieszna? Wtem kobieta się poruszyła i najemnik poczuł, że coś wbiło się mu w bark. Ta kobieta rzuciła nożem! Zapłonął w nim gniew. Traff przeskoczył przez izbę jednym susem, złapał staruszkę za chudą szyję i ścisnął kciukiem jej gardło. Dotyk zgrzybiałego ciała nappełnił go wstrętem. Kołdry i podłogę spryskała krew. Jego krew.

– Nie tak odważnie, stara wiedźmo.

Ścisnął jej tchawicę. Drugą ręką wykonał efektowny manewr nożem, tak by w ostrzu załśniło słabe światło. W tej samej chwili rozbłysły też oczy kobiety. Najemnik uspokoił się. Odzyskał panowanie nad sytuacją. Rana barku nie była chyba zbyt głęboka. Miał na sobie skórzany strój, który z pewnością osłabił uderzenie noża.

– Chcę tylko, żebyś odpowiedziała na kilka pytań. Jeśli powiesz prawdę, nic ci nie zrobię. – Traff przemawiał tonem ojca czyniącego wyrzuty niegrzecznemu dziecku. – Mówiłem z twoim przyjacielem. Poinformował mnie, że miałaś tu dwoje gości, jakieś pięć tygodni temu. Czy to prawda?

Złagodził uścisk na gardle kobiety, by dać jej szansę potwierdzenia jego słów. Nawet nie mrugnęła okiem. Traff dźgnął ją w pierś ręką noża. Zakasłała. Z ust wyciekła jej ślina.

– Uznaję to za potwierdzenie – rzucił. – Czy nazywali się Melli i Jack? – Kolejne pchnięcie ręką noża. Tym razem staruszka stłumiła kaszel. Zasoby cierpliwości najemnika szybko się wyczerpywały. – Posłuchaj, kobieto, jeśli nie odpowiesz na moje pytanie, obetnę ci obie dłonie i podpalę twój wspaniały chlew.

Chcąc zademonstrować gotowość spełnienia tej pierwszej groźby, Traff przeciągnął ostrzem po jej nadgarstku. W pozostawionej przez nie cienkiej linii gromadziła się ciemna krew. Niezłe krwawiła, jak na starą babę.

– Przejdźmy wreszcie do rzeczy. – Znowu stał się wyrozumiałym ojcem. – Muszę się dowiedzieć, dokąd zmierzali.

Wcisnął czubek noża do rany i roztargnionym ruchem uniósł skórę.

– Na wschód – odparła z westchnieniem staruszka. W mroku zaśniła łza.

– Dobrze, ale to za mało. – Traff znowu podrapał nożem kosteczki w nadgarstku kobiety. – Gdzie

dokładnie?

– Do Bresketh.

– Nie ma takiego miasta, starucho.

Szybkie pociągnięcie ostrzem i najemnik przeciął ścięgno łączące dwie z kostek. Kobieta krzyknęła.

– Mówili, że idą do Bresketh.

Traff miał wrażenie, że staruszka powiedziała prawdę. Spróbował innego podejścia.

– Mówili, że idą do Bresketh, ale co ty o tym sądzisz? – Nie odpowiedziała. – Gadaj, stara babo, albo twoje świnię się upieką, nim jeszcze słońce wstanie.

– Do Brenu. Sądzę, że poszli do Brenu. Najemnik uśmiechnął się.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy ten chłopak, Jack, dotknął dziewczyny?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Traff z zadowoleniem zauważył, że w głosie staruszki brzmi teraz strach.

– W takim razie wytłumaczę ci to – ciągnął. – Melli to moja narzeczona i byłbym bardzo zły, gdyby dotknął jej jakiś inny mężczyzna. – Wciąż wpychał nóż w otwartą ranę kobiety. – Naprawdę bardzo zły.

– Nie tknął jej nawet palcem. Przysięgam.

– Świetnie.

Uniósł nóż i poderżnął kobiecie gardło.

Wytrzeł dłonie i sztylet o jej nocną koszulę, po czym wstał. Miał wielką ochotę naprawdę podpalić chlew, ale obiecał jej „przyjacielowi”, że świnie będą należały do niego, a zwykł dotrzymywać słowa. Oczywiście tylko wtedy, gdy mu to odpowiadało.

Rozejrzał się, by znaleźć świecę i przeszukać chałupę. Starucha z pewnością miała gdzieś złoto. Prześpi się solidnie i zje boczek na śniadanie, a potem wyruszy na wschód. Melli była jego narzeczoną i odnajdzie ją wszędzie.

Zbliżali się do przełęczy. Wijąca się wśród gór ścieżka była teraz węższa i bardziej stroma. Z obu jej stron ciągnęły się olbrzymie zasy, nieskazitelnie białe i pełne milczącej groźby. Powietrze, które już wcześniej było lodowate, zaczynało się rozrzedzać. Chore płuca Maybora z wysiłkiem chwyciły każdy haust drogiego tlenu.

Przeklęty Baralis! To on był za to odpowiedzialny. Przed incydem w dzień Wigilii Zimy Maybor dorównywał wytrzymałości dwukrotnie młodszemu mężczyźnie. Jego płuca niedawno jeszcze były najpotężniejszymi miechami, teraz zaś – przez Baralisa i jego ohydne trucizny – stały się pełne dziur niczym gaza.

Dobrze chociaż, że wiatr się uspokoił. Po raz pierwszy podczas tej piekielnej podróży powietrze znieruchomiało, co było dla jego znużonych kości nieoczekiwanym błogosławieństwem.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze i po południu dotrą na przełęcz, za trzy dni będą już w Brenie. Z niecierpliwością czekał tej chwili. Zmęczyły go podróże, dość miał widoku śniegu i końskich zadów. Co najważniejsze, pragnął wrócić do cywilizacji. Bren obiecywał wszelkie rozkosze nowoczesnego miasta: dobre jedzenie i mocne *ale*, tanie kobiety i biegłych krawców. Najpierw uda się do krawca. Najwyższy czas uszyć sobie jakieś porządne szaty. Ofiarą wydarzeń Wigilii Zimy padły nie tylko jego płuca. Musiał też zniszczyć inne piękne stroje ze swej szafy. Ubrania, które obecnie posiadał, ledwie by starczyły, żeby zaimponować posługaczce. Baralis musiał odpowiedzieć za wiele rzeczy.

Maybor zawrócił konia, co było niebezpiecznym posunięciem na tak wąskiej ścieżce, i ruszył ku tyłowi rozciągniętej kolumny. Czas już, by przedyskutowali z kanclerzem kilka spraw. Stawi mu czoło tutaj, gdzie urwiska i przepaście Wielkiego Wododziału zapewniały mu pewną przewagę. Był najlepszym z jeźdźców. Nikt nie potrafił panować nad

wierzchowcem tak, jak on. Baralis nie opanował podobnych umiejętności. Jeśli Maybor się nie mylił, królewski kanclerz był w tej chwili nieco podenerwowany, zaabsorbowany koniecznością kierowania koniem na niebezpiecznym, śnieżnym szlaku.

Nie znajdzie odpowiedniejszej chwili na to, by sprawdzić biegłość wymowy kanclerza. A jeśli rumak Baralisa zsunie się ze ścieżki i runie wraz z jeźdźcem w śnieżną, górską otchłań, będzie to jedynie godnym pożałowania wypadkiem.

Szlak był tak wąski, że obok siebie mogło podążać tylko dwóch jeźdźców. Mimo to Baralis wołał jechać sam. Możliwe też, że nikt nie miał ochoty mu towarzyszyć. Maybor zauważył, że wszyscy żołnierze omijają królewskiego kanclerza szerokim łukiem. Choć nigdy by się do tego nie przyznali, bali się go. Rozumiał ich strach. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jak niebezpieczny potrafi być Baralis.

Przemieszczając się w dół kolumny, zdecydowanie utrudniał poruszanie się jeźdźcom, którzy byli zmuszeni ustępować mu drogi. Wreszcie dopchał się do Baralisa.

– Mayborze, czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną przyjemność?

Królewski kanclerz jak zwykle był spokojny i wyniosły. Maybor musiał podziwiać go za to, że potrafił przemawiać tak cicho, a mimo to całkowicie zrozumiałe.

– Sądzę, że wiesz, co mnie tu sprowadza – odparł.
– Istnieją jeszcze pewne kwestie, które musimy rozstrzygnąć.

– Kwestie, które musimy rozstrzygnąć! Dobrze sobie! Odkąd to jesteś mężem stanu, Mayborze? O ile mi wiadomo, twoje talenty ograniczają się do kobiet i morderstw. Nie miałem pojęcia, że masz ambicje zostać politykiem.

– Nie szydź ze mnie, Baralisie. Jak sam zauważyłeś, jedną z dziedzin, do której mam talent, jest morderstwo.

– Czy to ma być groźba, Mayborze? – Baralis nie czekał na odpowiedź. – Jeśli tak, jest naiwna. Być może posiadasz odrobinę talentu jako morderca, ale w porównaniu ze mną jesteś jedynie zdolnym amatorem.

Słowa kanclerza straciły nieco na ostrości, gdy był zmuszony ściągnąć mocno wodze, aby przeprowadzić wierzchowca przez ostry zakręt.

– Ale z koniem radzisz sobie gorzej, czyż nie?

Maybor nie potrafił się oprzeć pokusie zadrwienia ze swego wroga. Minał zakręt z gracją samego Borca.

Szybkie spojrzenie w lewo potwierdziło fakt, że zaspły ustąpiły miejsca stromemu stokowi. Po prawej wciąż wznosiła się potężna śnieżna bariera. Grubas podjechał do Baralisa, zmuszając go do zbliżenia się do przepaści.

– Dość już gładzenia, Mayborze. Przejdźmy do rzeczy. Co chciałeś mi powiedzieć?

– To, że w Brenie ja będę kierował poselstwem. Jestem posłem korony.

– Nie wiedziałem, że potrafisz rozmawiać z umarłymi, Mayborze.

– O co ci chodzi?

– Popraw mnie, jeśli się mylę. Mianowano cię posłem króla Lesketha, który, jak obaj wiemy, jest już zupełnie zimny i spoczywa w grobie. O ile nie odkryłeś sposobu na rozmowę z jego duchem, nie masz w Brenie żadnych praw.

Drwiący ton Baralisa zbudził w trzewiach Maybora żar furii. Jakże nienawidził jego arogancji! Skierował rumaka jeszcze trochę na lewo. Oba konie znalazły się tak blisko siebie, że ich brzuchy niemal się stykały. Kanclerz był zmuszony ściągnąć wodze, by zwolnić.

– Cóż się stało, Baralisie? Z pewnością nie boisz się małego uskoku?

– Nie igraj ze mną, Mayborze. Nie chcesz chyba

stracić drugiego konia?

Grubas spojrział w oczy królewskiego kanclerza. Lśniło w nich chłodne wyzwanie. Ich szara głębia kryła w sobie nieugięte zuchwalstwo. Maybor rozsiadł się wygodniej w siodle. Nie potrafił uwierzyć w to, co usłyszał. Baralis twierdził, że to on jest odpowiedzialny za śmierć jego ukochanego ogiera. I do tego zabił go w chwili, gdy Maybor go dosiadał! Nie, to nie mogło być prawdą.

Wtem grubas poczuł na twarzy zimny powiew, któremu towarzyszył przerażający łoskot. Górski stok zaczął się poruszać. Cała potężna zaspą spływała w dół.

– Lawina! – krzyknął ktoś.

Powietrze wypełnił huk śniegu. Ogarnięty paniką Maybor pognął naprzód. Lawina zsuwała się na szlak jedną, gęstą masą. Hałas był ogłuszający. Kolumnę ogarnął chaos. Wszyscy pędzili przed siebie, bojąc się o swe życie. Jeden z ludzi zjechał prosto w przepaść. Śnieg i lód przeszywały powietrze niczym wystrzelone z kuszy bełty.

Wreszcie wszystko się uspokoiło, zostawiając po sobie śmiertelną ciszę. Biały pył opadał na drużynę niby całun.

Kolumna skupiła się przy zakręcie szlaku. Nikt nie

wiedział, jakie szkody wyrządził kataklizm. Nie mogli się doliczyć tak ludzi, jak i zapasów. Zdążających na końcu grupy zasypały zwały śniegu. May bor rozejrzał się wokół, ogarnięty nagłą nadzieją. Jednak Baralis nadal był wśród żywych. Przeklął sam siebie. Powinien był wykorzystać to zamieszanie, by zepchnąć go w przepaść!

Nikt nie ważył się poruszyć. Maybor omiółł pospiesznie wzrokiem ocalałe zapasy. Żadna z beczek nie nosiła jego znaku. A niech to! Stracił sześćdziesiąt beczulek złotego nestorskiego trunku, który miał być jego osobistym podarunkiem dla diuka Brenu.

– Mój jabłecznik! – zawołał głośno. Może ludziom uda się go wygrzebać.

– Crope!

To imię wypowiedziano pełnym bólu głosem, który należał do Baralisa.

Maybor odwrócił się błyskawicznie. Królewski kanclerz zmierzał w stronę zakrętu, nie zważając na resztę grupy. Grubas szybko przyjrzał się ocalałym. Wielkiego, ociążałego idioty nigdzie nie było widać.

– Lordzie Baralisie! – krzyknął kapitan. – Nie możesz tam wracać. To niebezpieczne. Zaczekaj godzinę albo dwie, niech śnieg osiadzie. Potem odkopimy ludzi.

– Będą już od dawna martwi – wyszeptał kanclerz.
– Użyczę ci kilku żołnierzy – zaproponował kapitan, podjeżdżając bliżej.

– Ja też pojedę – zawołał Maybor. Nie miał zamiaru pozwolić, by Baralis grzebał w pokrytych śniegiem zapasach bez żadnych świadków.

Kanclerz zwrócił się w stronę drużyny. Jego skóra lśniła niczym gładzony marmur. Popatrzył na ludzi, każdemu kolejno spoglądając w oczy.

– Jedźcie! – rozkazał. Jego głos pobrzmiwał królewskim autorytetem. – Jedźcie! Sam sobie poradzę z tym niebezpieczeństwem!

Moc jego głosu była tak wielka, że po krótkiej chwili wszyscy zawrócili wierzchowce i ruszyli w górę ścieżki. Maybor nie był w stanie ich powstrzymać. Nakazujący ton głosu był zbyt silny. Wielmoża obserwował Baralisa, który zsunął się z konia i ruszył na piechotę ku zwałom śniegu, znikając za zakrętem. Czuł pokusę, by za nim podążyć, lecz niebezpieczeństwo było zbyt realne, a nie odpowiadała mu myśl, że zostanie na zawsze pogrzebany pod górą śniegu.

Kolumna jechała ścieżką kilka minut, nim szlak rozszerzył się na tyle, że można było rozbić obóz. Mężczyźni milczeli. Ich twarze były poważne i pełne

napięcia. Kapitan nakazał żołnierzom sprawdzić, jak wielu z nich zginęło.

Maybor nie miał wątpliwości, o czym wszyscy myślą. Zastanawiali się nad tym, co dzieje się za zakrętem. Kilka minut później wydarzyło się coś dziwnego. Przez obóz przemknął ciepły wietrzyk. Wielmoża wmawiał sobie, że to wytwór wyobraźni, lecz zdziwione twarze innych potwierdziły fakt jego obecności. Po chwili znowu pojawił się ciepły powiew, któremu towarzyszyły dziwne trzaski. Potem poczuli łatwą do rozpoznania woń pieczonego mięsa.

Choć zaniepokoiła ona Maybora, zdradziły go usta, z których zaczęła cieknąć ślinka. Podniósł wzrok, lecz wszyscy spuścili głowy, zamykając się w sobie. Mogłoby się wydawać, że spojrzenie w czyjąś twarz spowoduje, iż niezwykle wypadki przerodzą się w rzeczywistość.

Minął dłuższy czas. Maybor nie potrafił określić, jak długi. Powietrze znowu zrobiło się zimne. Mroźny wiatr niósł ze sobą woń dobrze wypieczonego mięsa. Ciszę mącił jedynie odgłos odkręcanego kurka beczułki. Ktoś okazał się na tyle rozsądny, by zrozumieć, że jest to najodpowiedniejsza chwila, by zdrowo sobie łyknąć.

Gdy popłynęło *ale*, Maybor zauważył wracającego

do obozu Baralisa. Szedł na piechotę, prowadząc konia za wodze. Na grzbiecie klaczy spoczywał jakiś mężczyzna. Jego rozmiary dobitnie świadczyły, że to Croke. Królewski kanclerz zbliżył się. Opierał się ciężko o bok zwierzęcia. Ciało na końskim grzbiecie poruszyło się. Olbrzym żył jeszcze.

Kapitan popatrzył na Baralisa.

Ten skinął głową z ponurą twarzą.

– Jedźcie tam – polecił. – Uratujcie tych, którzy przeżyli. Większość zginęła. Zrobiłem, co mogłem.

Maybor dostrzegł rysujące się na twarzy kapitana pytania, lecz do zachowania milczenia skłoniło żołnierza coś silniejszego od ciekawości: strach.

Baralis wprowadził klacz na osłonięty odcinek ścieżki i rozkazał jednemu z królewskich strażników, by pomógł mu zdjąć ciało Croke'a. Maybor wyraźnie widział napięcie na twarzy królewskiego kanclerza. Baralis był wykończony. Barki mu opadały, a dłonie drżały. Sięgnął pod płaszcz i wydobyl stamtąd małą, szklaną fiolkę, której zawartość szybko przełknął. Całym ciężarem wspierał się o konia. Maybor podejrzewał, że bez tej podpory kanclerz przewróciłby się.

Kapitan przystąpił do wyznaczania ludzi, którzy mieli wyruszyć z nim na zasypany odcinek szlaku.

Maybor uparł się, że pojedzie z nimi, by zbadać zakres szkód. Po kilku minutach dotarli do przegradzającej ścieżkę śnieżnej bariery. Woń pieczonego mięsa pobudzała podniebienie. Maybor przyspieszył.

Część śniegu stopniała całkowicie. Woda zbierała się w kałuże i ściekała ze ścieżki. Beczki i ciała leżały odsłonięte. Wolny od śnieżnej pokrywy obszar miał mniej więcej kształt kręgu. Na jego środku spoczywały trupy konia i jeźdźca – zwęglone i poczerniałe, złączone w jedną całość. Upieczone. Maybor słyszał, że niektórzy z ludzi wymiotują.

Zaprzeczanie istnieniu czarów nigdy dotąd nie było tak trudne. W powietrzu było od nich aż gęsto. Maybor zebrał ślinę i wypuł z ust posmak magii.

– Naprzód, ludzie – krzyknął celowo ochryłym głosem. – Niektórzy z nich jeszcze żyją. Nie pora na babskie słabości.

Żołnierze przystąpili do usuwania resztek śniegu. Uwolnili spod niego kilku ludzi, którzy ciągle jeszcze się ruszali. Za odsnieżonym terenem Maybor dostrzegł zaspę, w której zauważył kilka wystających beczulek. O ile się nie mylił, był na nich jego znak.

– Nim zajmiecie się trupami, odkopcie mój jabłecznik – zawołał. – Pięć sztuk złota dla człowieka, który przyniesie mi najwięcej beczulek.

Nadszedł czas na przedpołudniową przekąskę. Miał chętkę na pieczone. Gorący, skwierczący tłuszcz, otaczający delikatne, różowe mięso: na zewnątrz przypalone, w środku miękkie. Tavalisk z wysiłkiem powstrzymał się od szarpnięcia za sznurek dzwonka i zamówienia wielkiego baraniego udźca.

Przestrzegał diety. Jego lekarz – niech Borc przeklnie jego duszę – udzielił mu wykładu na temat niebezpieczeństw wiążących się z nadwagą. Ta ponura przemowa nie była warta na arcybiskupie żadnego wrażenia, aż do chwili, gdy ów ohydny szarlatan napomknął o fakcie, iż nieumiarkowanie w jedzeniu może prowadzić do przedwczesnej śmierci. Przedwczesna śmierć była czymś, czego Tavalisk za wszelką cenę pragnął uniknąć. Co komu przyjdzie z wielkich zapasów złota i ziemskich posiadłości, jeśli nie żyje i nie może się nimi cieszyć?

Dlatego w miarę swych możliwości starał się ograniczyć jedzenie. Zamiast zwyczajowego śniadania złożonego z trzech dań – jajek na boczku, wędzonego śledzia z bułeczkami oraz zimnej grochówki – spożył tylko dwa. Nie trzeba dodawać, że to z grochówką się pożegnał. Niemniej jednak, było to jakieś poświęcenie, a Tavalisk nie był przyzwyczajony do podobnych wyrzeczeń. W gruncie rzeczy, czuł się przez to mocno

poirytowany.

Dla odwrócenia uwagi od głodu, lekarz zalecił muzykę. Arcybiskup lubił ją tak samo jak inni ludzie. Prawdą było, że mogła obłąskawiać dzikie bestie i tak dalej, gdy jednak chodziło o jego żołądek, wesoła melodia – bez względu na to, jak dobrze zagrana – po prostu nie potrafiła powstrzymać żółci przed paleniem wnętrzości.

Usłyszał stukanie do drzwi. Sposób w jaki zapukano sugerował, że to Gamil.

– Wejdz – zawołał Tavalisk, łapiąc za lirę. Uderzył w struny z ostentacyjną nieudolnością. Myślał tylko o jedzeniu.

– Życzę Waszej Eminencji radości tego dnia.

– Ten dzień przyniósł mi jej bardzo niewiele, Gamilu. – Arcybiskup poczuł nagłą nienawiść do swego sekretarza. On z pewnością zjadł śniadanie złożone z trzech dań. – Powiedz mi szybko, jakie nieważne szczegóły udało ci się odkryć, a potem znikaj. Już w tej chwili czuję się zmęczony, twą obecnością.

– Wasza Eminencjo, czy pamiętasz człowieka, który śledził dla nas rycerza?

– Oczywiście, że pamiętam, Gamilu. Jestem jeszcze za młody, żeby zdziecinnieć. Chodzi ci o

mojego szpiega, tego, który czekał pod chatą Bevlina i rankiem zauważył zwłoki?

Przez otwarte okno wtargnął łagodny zapach gotowanych potraw. Tavalisk mocniej uderzył w struny.

– Ostatnio widziano go w nieciekawym towarzystwie, Wasza Eminencjo.

– Jak bardzo nieciekawym, Gamilu?

– Rozmawiał z przyjaciółmi Starego.

– Hmm. Aż tak nieciekawym?

– Tak, Wasza Eminencjo. Zauważono, jak wychodził z jednej z nor Starego w dzielnicy nierządu, w towarzystwie dwóch jego ludzi.

Tavalisk popatrzył na misę z owocami. Poza nimi w całej komnacie nie było nic do jedzenia. Brzoskwinie i śliwki szydziły z niego swą różową pulchnością. Jakże nienawidził owoców! Ze zwiększonym wigorem szarpnął struny liry.

– A czy miał wtedy pełną sakiewkę?

– Trudno mi to określić. Wasza Eminencjo. Jednakże natychmiast po wyjściu z nory Starego udał się do dzielnicy rynkowej i kupił sobie dwie nowe szaty.

– Wełniane czy jedwabne?

– Jedwabne, Wasza Eminencjo.

– Mamy więc odpowiedź. Nasz człowiek sprzedał posiadanie informacji Staremu.

– Mądrość Waszej Eminencji dorównuje jego talentom muzycznym.

– Ach, więc zwróciłeś uwagę, jak gram, Gamilu. Tavalisk zaczął grać nową, bardzo głośną melodię.

– Kiedy słyszę grę Waszej Eminencji, brak mi słów.

– Z wielkimi mistrzami zawsze tak jest, Gamilu. Budzą w słuchaczach wzruszenie, nie chęć do przemów.

Arcybiskup zakończył grę należycie teatralnym gestem. Nawet jego nieobiektywne uszy potrafiły usłyszeć, że nie zagrał wszystkich tonów czysto. Jednak geniusza nie sądziło się po samych tylko umiejętnościach technicznych.

– Jak dobrze Stary znał Bevlina? – zapytał odkładając lirę.

– Wiemy, że korespondowali ze sobą od czasu do czasu, Wasza Eminencjo. Do ostatniej wymiany listów, o której nam wiadomo, doszło tuż po powrocie rycerza z Larnu.

– Wydaje mi się, Gamilu, że Stary nie ucieszy się z tego, iż jego przyjaciela Bevlina załatwił ktoś, komu

próbował pomóc.

– W rzeczy samej, Wasza Eminencjo. Stary słynie z lojalności wobec przyjaciół.

– Jak sądzisz, co może teraz uczynić?

– Któż potrafi to odgadnąć, Wasza Eminencjo? – odparł Gamil z lekkim wzruszeniem ramion.

– Ty potrafisz, Gamilu. Za to właśnie ci płacę.

– Trudno jest cokolwiek przewidzieć w takich sprawach, Wasza Eminencjo. Być może Stary spróbuje pomścić śmierć Bevlina i każe zamordować rycerza.

– Hmm. Należy nadal prowadzić obserwacje. Miej na oku bramy i porty. Jeśli któryś z ludzi Starego opuści miasto, chcę się o tym dowiedzieć.

– Tak jest, Wasza Eminencjo.

Tavalisk pociągnął za sznurek dzwonka. Potrzebował jedzenia. Gra na lirze zaostrzyła jego apetyt. Nic dziwnego, że wielcy mistrzowie bywali grubi jak świnie.

– Myślę, że mądrze byłoby aresztować naszego człowieka, Gamilu. Nie mogę pozwolić, by któremuś z moich szpiegów uszła na sucho zdrada. I kto wie, jeśli tortury wystarczająco skutecznie rozwiążą jego język, może się dowiemy, jak Stary zamierza zareagować na śmierć Bevlina.

Arcybiskup odłożył lirę. Coś w jej kształcie

przywiodło mu na myśl jego ulubione owoce – granaty.

– Jest coś jeszcze?

– Do moich uszu dotarła dość niepokojąca pogłoska o Tyrenie, Wasza Eminencjo.

– Jak bardzo niepokojąca, Gamilu?

– Słyszałem, że rozkazał rycerzom zatrzymywać wszystkie płynące na północ rornijskie statki handlowe i konfiskować ich ładunek.

– To nie do zniesienia! Za kogo ten chciwy złota świętoszek się uważa? – Arcybiskup raz jeszcze szarpnął za sznurek. Potrzebował nie tylko czegoś do jedzenia, lecz również do picia. – Chcę, żebyś jak najszybciej uzyskał potwierdzenie, Gamilu. Gdyby okazało się to prawdą, będę zmuszony wymyślić odpowiednią formę odwetu.

Jeśli zanosi się na wojnę, nikt nie powie, że Rorn wykazał się spóźnionym refleksem. Arcybiskup uśmiechnął się leciutko. Cała ta afera była doprawdy bardzo ekscytująca. Znane Krainy od dawna już nie zaznały porządnego konfliktu, a gdyby miał się on rozgrywać na północy, Tavalisk i Rorn byłiby przed nim bezpieczni.

– Spróbuję dotrzeć do faktów ukrytych pod plotkami, Wasza Eminencjo. Jeśli to już wszystko,

chciałbym odejść.

– Miałem nadzieję, że zostaniesz, Gamilu. Kiedy już coś przekazzę, zamierzam zagrać wszystkie arcydzieła Shuge’a. Jestem ciekaw twojej opinii o mej biegłości.

– Ależ wszystkie arcydzieła Shuge’a trwają pięć godzin albo i dłużej, Wasza Eminencjo.

– Wiem, Gamilu. To będzie prawdziwa uczta dla tak zagorzałego melomana, jak ty.

6

W kuchni stało sześć worków ziarna, lecz Rovas pracowicie przerabiał je na osiem. Jack obserwował, jak doświadczony przemytnik wykonuje jedną z mniej etycznych sztuczek w swym repertuarze. Wypełnił nowy worek do jednej czwartej jęczmiennym ziarnem, po czym wziął trochę czegoś, co wyglądało jak trociny, i nasypał do środka. Następnie uzupełnił zawartość worka ziarnem i zawiązał go kawałkiem sznurka.

– Czy to komuś nie zaszkodzi? – zapytał Jack.

Rovas uśmiechnął się, ukazując szerokie zęby w szerokich ustach.

– Są ludzie, którzy dodają do ziarna gorsze rzeczy niż trociny, chłopcze.

– Na przykład jakie?

– Zmielone kości, ziemię, piasek. – Rovas zatoczył ramieniem szeroki krąg. – Ci, którzy kupią to ziarno, mają szczęście. Zadałem sobie sporo trudu, żeby zrobić naprawdę drobne trociny. Nikt się nimi nie udławi. Słyszałem też, że pomagają na trawienie.

– Twojej kieszeni pomagają bardziej.

– Po co zajmować się interesami, jeśli nie można przy tym trochę zarobić? – Rovas wyciągnął rękę i potargał włosy Jacka. – Jesteś jeszcze młody, chłopcze, i nie znasz świata. Rządzi nim handel. Zawsze tak było. – Zrzucił sobie na ramię jeden z worków. – Musisz się jeszcze mnóstwo nauczyć, Jack, i mówię ci, że to ja będę twoim nauczycielem.

Powiedziawszy to, wyszedł na zewnątrz i załadował worki na wóz.

Kiedy wrócił, spojrzał na Magię, która przędła przy palenisku.

– Wstawaj, kobieto – rzucił. – Chodź ze mną na targ, jak przystoi dobrej żonie. – Spojrzał na Jacka. – Widzisz, chłopcze, potencjalni nabywcy szybciej uznają sprzedawcę za uczciwego, jeśli zobaczą, że ma rodzinę.

– W takim razie może powinienem wam towarzyszyć jako wasz syn i w ten sposób uzupełnić rodzinny krąg – zaproponował lekko rozbawiony Jack.

Rovas klepnął go w plecy.

– Szybko się uczysz, chłopcze, ale nie skorzystam z twojej propozycji. Znam tych nabywców już od wielu lat i obawiam się, że trudno by im było przełknąć nagle odnalezionego syna.

– Nie trudniej niż te osiem worków ziarna.

Rovas ryknął serdecznym śmiechem. Nawet z reguły wrogo nastawiona do Jacka Magia prychnęła wesoło. Przemysłownik zapiał pas, po czym przytroczył do niego nóż i miecz.

– Kiedy wrócę, chłopcze, zacznę cię uczyć władać orężem jak prawdziwy mężczyzna – zapowiedział. Mrugnął znacząco i wyszedł z izby. Magra podążyła za nim.

Jack odetchnął z ulgą. Dobrze było zostać samemu. Miał wrażenie, że odkąd usłyszał o śmierci Mciii, nie miał ani chwili na zastanowienie. Podszedł do paleniska i nalał sobie kubek grzanego jabłecznika. Słodki, uderzający do głowy aromat drażnił jego zmysły, przywołując wspomnienia życia w Zamku Harvell, gdzie pieczenie lub produkcja jabłecznika często wypełniały kuchnie zapachem tych owoców. Wszystko było wówczas bardzo proste: żadnych niebezpieczeństw, zmartwień, czy poczucia winy.

Przesunął dłonią po gęstej szczecinie porastającej mu brodę i szyję. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio się golił. Zrobił to tego dnia, gdy do kurnika wtargnęli halcuscy żołnierze... gdy zamordowano Melli.

Cisnął kubek do paleniska. Naczynie rozbiło się o

tylną ścianę. Powinien był tam zostać! To jego, nie Melli, powinni zatłuc na śmierć. Zawiódł jedyną osobę, która na nim polegała. Skrył twarz w dłoniach, mocno uciskając skronie koniuszkami palców. Bolesne wyrzuty sumienia przerodziły się w wyczuwalny nacisk, który narastał, domagając się uwolnienia. Na języku poczuł ostry, metaliczny smak.

Wisząca nad paleniskiem półka zagrzechotała nagle, po czym załamała się. Umieszczone na niej garnki i rondle pospadały w płomienie. Przerażony Jack odsunął się. Usłyszał, że drzwi za jego plecami otworzyły się. Do izby weszła Tarissa.

– Co, na Borca, zrobiłeś? – krzyknęła. Podbiegła do paleniska, chcąc uratować z niego zapas żywności, który zapewne miał wystarczyć na tydzień. – Nie stój tak, pomóż mi! – Złapała metalowy pogrzebacz i nadziała na niego barani udziec. – Paskudnie się przypalił, ale mięso będzie dobre – orzekła. – Owiń sobie rękę szmatą i wyciągnij tyle garnków, ile będziesz mógł.

Wykonał jej rozkaz i wydobyl z ognia kilka naczyń. Większość była pusta. Ich zawartość wylądowała w płomieniach.

– Gulasz i owsianka! – krzyknęła Tarissa. Było już jednak za późno. Stanowiące podstawę ich diety

potrawy skwierczały na węgielkach.

Jack wyciągnął z ognia resztę naczyń. Udało mu się uratować garnek z burakami, dwie piekące się rzepy oraz sznur kiełbas.

– Co się stało? – zapytała Tarissa. Była wyraźnie podenerwowana. W jej oczach lśniły łzy gniewu. O zamożności rodziny świadczył posiadany przez nią zapas żywności.

– Nie wiem – odparł Jack. – Półka po prostu się załamała.

Nie mówił prawdy. Wiedział, co się wydarzyło. Gdy eksplodowały jego gniew i frustracja, półka nie wytrzymała. Nie miał wątpliwości, że oba wydarzenia są ze sobą powiązane i że owym łącznikiem są czary. Pomyślał, że powinien się cieszyć, iż nikomu nic się nie stało. W tej chwili jednak nie czuł się zbyt szczęśliwy, a jedynie zmęczony i zbity z tropu.

– Pokaż mi swoją rękę. Szmata jest paskudnie przypalona. – Tarissa usiadła obok niego na ławic i odwinęła tkaninę. Ukryte pod nią ciało było sinoczerwone. Wyrzuty sumienia złagodziły wyraz twarzy dziewczyny. – Przepraszam. Jack – powiedziała. – Nie powinnam kazać ci wkładać ręki w ogień. Wybacz mi, proszę.

Jej palce zamarły nad poparzoną skórą, po czym

dotknęły lekko jego nadgarstka.

Jack nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Dłoń przeszył mu piekący ból. Cieszyło go to, gdyż ból pomagał odwrócić myśli od prawdy. Czary towarzyszyły mu niczym cień. Nie opuszczą go aż do śmierci.

Tarissa zaczęła szukać w szufladkach maści, którą mogłaby wysmarować mu skórę. Głęboko poruszyła go nagła zmiana jej zachowania. Dobroć dziewczyny była niespodziewanym darem. Usiadł i pozwolił, by wtarła balsam w jego rany. Jej dotyk był delikatny, jakby bała się skrzywdzić go jeszcze bardziej. Spojrzał jej w twarz. Rzęsy miała długie i ładne, nos krótki, lekko zadarty, a usta różowe i pełne. Była piękna, nie doskonała, a po prostu piękna. Podniosła wzrok. Popatrzyli sobie w oczy. Na krótką chwilę Jacka zdziwiło to, co zobaczył. Było w niej coś znajomego. Spoglądała na niego delikatnymi, piwnymi oczyma, w których brąz mieszał się z zielenią.

Poruszyła niemal niedostrzegalnie wargami: zaproszenie równie oczywiste, jak otwarte ramiona. Pochylił się i pocałował ją. Niewinnemu pocałunkowi odebrała nieco niewinności miękkość ich ust. Jack poczuł, jak aksamitne ciało ustępuje i otacza go. Wyciągnął rękę, by ją objąć, lecz cofnęła się. Wstała niepewnie, nie chcąc na niego patrzeć.

– To ty zrzuciłeś półkę. Nie było to pytanie.

Jack wbił wzrok w podłogę.

– Nawet jej nie dotknąłem.

– Wiem.

Tarissa uśmiechnęła się z irytującą pewnością siebie. Jackowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Kłamstwo nie miało sensu. Domyśliła się prawdy.

– Czy Tarissa to twoje pełne imię? – zapytał. Roześmiała się głośno na tę bezczelną próbę zmiany tematu.

– Moje pełne imię brzmi Tarissyna – odparła.

Jackowi spadł ciężar z piersi. Znała prawdę, ale nie potępiała go. To był jej drugi dar dla niego.

– W królestwach to imię szlachcianki – zauważył. Wzruszyła ramionami.

– Być może, ale większość życia spędziłam w Halcusie, a tu moje imię znaczy niewiele.

– Kiedy opuściłaś królestwa?

– Gdy matka przywiozła mnie tutaj, byłam jeszcze małym dzieckiem.

W jej głosie pobrzmiwał jakiś ostry ton. Minęła chwila, nim Jack zorientował się, że to gorycz.

– Dlaczego Magra stamtąd wyjechała?

– Nie chciano jej tam. Stała się niewygodna dla

wysoko postawionych osób. Gdyby została, groziłaby jej śmierć.

– A ty?

Tarissa roześmiała się zimno.

– Mnie chcieli zabić nawet bardziej niż ją.

– Przecież byłaś jeszcze dzieckiem.

– Z powodu dzieci stoczono wiele wojen.

Odwróciła się i zaczęła wydobywać z paleniska resztki jedzenia.

Jack widział, że nie chce już więcej mówić na ten temat. Powiedziała mu tylko tyle, ile było potrzeba, by pobudzić jego zainteresowanie. Był jeszcze bardziej zdezorientowany niż przedtem. Wciąż czuł na ustach dotyk jej warg. Był on jak reprimenda, przypominająca, że nie powinien zadawać zbyt wielu pytań. Ostatecznie ona wyświadczyła mu tę samą uprzejmość. Przestała zadawać pytania na niewygodny temat półki.

Ukląkł obok dziewczyny, by pomóc jej zdrapać z rusztu zwęglony gulasz. Popatrzył na Tarrisę, a ona spojrzała na niego. Posiadane przez nich oboje tajemnice, o których tylko napomykali, nigdy nie mówiąc o nich wprost, utworzyły między nimi jakąś więź. Ich ręce ocierały się o siebie, gdy czyścili palenisko, i żadne nie miało ochoty odsunąć się jako

pierwsze.

Po krótkiej chwili, gdy ruszt lśnił już jak świeżo wybita moneta, drzwi otworzyły się nagle. Do izby weszli Rovas i Magra. Starsza kobieta zaczęła węszyć jak pies gończy, po czym ruszyła prosto ku palenisku.

– Co tu się stało? – krzyknęła.

Nawet gdy była rozgniewana, mówiła eleganckim głosem szlachcianki. Popatrzyła na Jacka.

– Doszło do małego wypadku, mamó – odezwała się Tarissa, nim zdążył ją powstrzymać. – Kiedy mieszałam gulasz, cała półka się załamała.

– Jak to możliwe? – zapytał Rovas. – Przybiłem ją porządnie, nim nastąpiła zima.

– Hmm, chyba znamy odpowiedź – wtrąciła Magia.
– Nie znajdzie się mężczyzny bardziej pozbawionego praktycznych umiejętności niż ty. Rovasie Baryło.

– Nie taka znów ze mnie baryła, kobieto. Wiesz równie dobrze, jak ja, że kupiec musi wyglądać na zamożnego. Wielki brzuch to najlepsza wskazówka, że ma się pod dostatkiem pieniędzy.

Jack zastanawiał się, dlaczego kobieta taka jak Magia żyje z Rovasem, który stanowił jej absolutne przeciwieństwo. Była kulturalna. Jej wymowa, wygląd, nawet dobór słów świadczyły o szlachetnym urodzeniu. Grubas natomiast sam przyznawał, że jest

łotrzykiem. To nie miało sensu.

– Nie ma czym się przejmować – mówił. – Mamy pod dostatkiem zapasów. Jak mógłbym się zwać przemytnikiem, gdybym tu i ówdzie nie ukrył różnych rzeczy? – Zwrócił się w stronę Jacka. – Chodź ze mną, chłopcze. Pomożesz mi kopać w ogródku. Zagrzebałem tam skrzynkę solonej wołowiny. Problem w tym, że nie bardzo pamiętam gdzie.

Wychodząc z chaty, Jack popatrzył na Tarisę z wdzięcznością w oczach. Uratowała go od kilku naprawdę kłopotliwych pytań. Rovas zauważył ślad po oparzeniu na jego dłoni.

– Co ci się stało, chłopcze?

– Pomagałem Tarissie wyciągnąć garnki z ognia.

– Prawa dłoń? Nieważne, to nie przeszkodzi w lekcjach. Prawdziwy wojownik potrafi trzymać nóż w obu rękach. Będziemy mogli zacząć od lewej.

Kosiarz przepychał się przez zatłoczone ulice Brenu. Zagadywali go sprzedawcy i żebracy. Kupił od ulicznego handlarza pasztecik nadziewany wieprzowiną i rzucił garść miedziaków kalece oraz jego ślepej matce. Prędkość, z jaką znalazła monety, zakrawała w przypadku niewidomej osoby na prawdziwy cud. Kosiarz uśmiechnął się do niej radośnie. Wiedział, że widzi, lecz i tak podziwiał jej

kunszt. Wywracała oczyma z talentem urodzonej artystki.

Skosztował pasztecik. Był pyszny, gorący i soczysty, a na dodatek miał w sobie odrobinę wieprzowiny.

Dzień wstał dziś piękny, jak na tak zimne miasto, jak Bren. Niebo było jasnoniebieskie i czyste, a powietrze rześkie i świeże. Kosiarz był pewien, że szykuje się jakieś wydarzenie. W północnej części miasta, gdzie usytuowane były wszystkie piękne budynki, a także pałac diuka, sprzątano ulice i rozwieszano sztandary. Pewnie spodziewają się ważnych gości, pomyślał Kosiarz. Sprawy państwowe nic go jednak nie obchodziły. Jego myśli wypełniało dziś tylko jedno zadanie: musiał pomóc Tawłowi.

Minął stragan, na którym sprzedawano ręczne zwierciadła. Wziął w rękę jedno z nich i przyjrzał się swemu odbiciu.

– To prawda! – mruknął do niego. Splunął na dłoń i wygładził pospiesznie włosy. Pomyślał ze zgrozą, że nocą, gdy śledził Tawła, był rozczochrany jak dzikus. Kołnierzyk również nie był zbyt czysty. Szybcior byłby rozczarowany.

„Zawsze noś czysty kamlot – powtarzał. – W ten sposób mniej będziesz przypominał łotrzyka”.

Kosiarz doceniał mądrość słów Szybciora, choć do dziś nie był pewien, co to właściwie jest kamlot.

Poczuł pokusę, by ukraść zwierciadełko – byłoby wspaniałym dodatkiem do jego zestawu przyborów kosmetycznych – lecz sprzedawca miał złośliwe spojrzenie, a Kosiarz chlubił się tym, że wie, kiedy nie należy podejmować ryzyka.

Zmierzał do zachodniej dzielnicy miasta. Było późne popołudnie i Kosiarz zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby odnalazł Tawla wcześniej. Problem polegał na tym, że najbogatsze łupy można było zdobyć przed południem, a on nie miał ochoty zrezygnować z całodziennych zarobków. Szybcior uznałby to za głupotę. Dlatego poszedł poszukać rycerza dopiero teraz, po południu, gdy pod jego bluzą pobrząkiwał pełen monet mieszek.

Skręcił w ulicę Burdelową, po czym ruszył ku miejscu, gdzie po raz ostatni widział przyjaciela. Smród był tu przewodnikiem lepszym niż wszelkie mapy. Każdy budynek miał charakterystyczny odór i chłopak łatwo odnalazł ten, przy którym zatrzymał się wczorajszej nocy. Za dnia wywierał on przygnębiające wrażenie. Belki były zbutwiałe, a farba odpryski wała. Najlepszy dowód na to, jak szcudrze noc obdziela wszystko swymi urokami. Pod jej osłoną ten dom

przypominał pałac. Kosiarz zapukał śmiało do drzwi.

– Znikaj, jeszcze za wcześnie – padła odpowiedź.

– Szukam jednego człowieka. Nazywa się Tawł i walczy na arenie.

Chłopak był zmuszony krzyczeć, gdyż drzwi się nie otworzyły.

– Nie ma tu nikogo o takim imieniu. Zjeżdżaj!

– Był tu wczoraj. Wielki facet o złotych włosach, z bandażem na ramieniu.

– A co z tego będę miała?

Kosiarz poczuł się pewniej, mimo, że nie widział rozmówcy. Wymiana informacji za pieniądze była dla niego czymś swojskim.

– Dwa srebrniki, jeśli wiesz, gdzie go znaleźć.

– Nie oplaca się otwierać gęby.

– Niech będzie pięć srebrników.

Cała sprawa okazała się droższa, niż się spodziewał. Niemniej przyspieszało to obieg pieniądza. Szybcior zanudzał go długimi wykładami na temat wielkiego znaczenia obiegu pieniądza.

– Umowa stoi. – Drzwi otworzyły się i wyszła z nich kobieta o małych oczach. Kosiarz natychmiast ją rozpoznał. To ona ukradła złoto Tawła. – Pokaż mi blask swego srebra.

Kosiarz wydobył obiecane monety.

– Czy wolno mi zdobyć się na śmiałość i zapytać tak urodziwą damę o imię?

Nieznajoma wyraźnie zapomniała języka w gębie. Przygładziła zdobnie ufryzowane włosy.

– Dla ciebie nazywani się madame Thornypurse, młody człowieku.

Powietrze wypełnił tuman pudru, który wzbił się z jej głowy. Kosiarz z wysiłkiem powstrzymał się przed kichnięciem.

– A więc, madame Thornypurse, dokąd udał się ten jegomość?

– To nie twój przyjaciel, co?

Miała głos równie przenikliwy, jak gęś w okresie godów.

– Nie, madame – zapewnił ją Kosiarz. – Nigdy w życiu go nie widziałem. Jestem tylko posłańcem.

Madame Thornypurse pociągnęła nosem z aprobatą.

– Mężczyzna, którego szukasz, poszedł pić do oberży na ulicy Futrzarzy. Nazywa się „Pod Faworytą Diuka”. A teraz dawaj gotówkę.

– Interesy z tobą to czysta przyjemność, madame – rzekł Kosiarz. Pokłonił się płytko, wręczając jej pieniądze. Nawet Szybciorowi zaimponowałyby prędkość, z jaką zniknęły pod jej stanikiem. Niemal

równie szybko zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Kosiarz kichnął donośnie. Puder do włosów okazał się w końcu zbyt drażniący, by udało mu się go zignorować. Chłopak ruszył przed siebie ruchliwymi ulicami Brenu. Wkrótce znalazł oberżę „Pod Faworytą Diuka”. Był to wysoki budynek o pomalowanych na jaskrawe kolory ścianach. Na progu siedziała grupa mężczyzn grających w kości. Kosiarz poczuł pokusę, by się do nich przyłączyć. Kochał tę grę bardziej nawet niż jedzenie. Minał ich jednak, zatrzymując się tylko raz czy dwa, by sprawdzić, jak toczą się kości. Wielka szkoda, że miał do spełnienia misję. Za pomocą tak cudnego sprzętu można by znacznie przyspieszyć obieg pieniądza.

Wszedł do gospody i przepchnął się przez tłum gości. W powietrzu gęsto było od odoru chmielu, drożdży i potu: zapachu pijących mężczyzn.

Kosiarz dostrzegł przelotnie kobietę o jasnożółtych włosach, która wczorajszej nocy ukradła pieniądze Tawla, a potem oddała je starej Thornypurse. W piersi wezbrało mu oburzenie. Ruszył w jej stronę. Domagała się głośno więcej *ale*. Poparł ją entuzjastyczny okrzyk licznej grupy mężczyzn i kobiet. Przyniesiono trunek – całą beczułkę – i żółtowłosa sięgnęła do worka, by zapłacić oberżyscie. Był to worek Tawla. Stawiała

piwo Borc wie ilu ludziom i płaciła za nie pieniędzmi jego przyjaciela!

Rycerza nigdzie nie było widać. Spojrzenie Kosiarza podążyło za workiem. Jak zwykle, jego dłonie okazały się szybsze od myśli. Jasnowłosa kobieta odwróciła uwagę tylko na chwilę, gdy unosiła kufel w toaście, to jednak wystarczyło. Kosiarz wysunął worek spod stołu i – palcami, które nigdy nie traciły biegłości – schował go pod płaszcz. Nie była to odpowiednia chwila, by radować się udaną kradzieżą. Pochylił nisko głowę i ruszył ku drzwiom.

Po krótkiej chwili rozległ się krzyk:

– Moje złoto! Ktoś ukradł moje złoto!

Kosiarz musiał się powstrzymywać, by nie krzyknąć, że to wcale nie jej złoto. Zachował spokój. Widział już drzwi. Jeszcze kilka kroków i znajdzie się na zewnątrz. W tłumie za jego plecami doszło do jakiegoś zamieszania. Nie mógł się obejrzeć. Odepchnął z drogi ostatnich ludzi i dotarł do wyjścia. Wciąż nie był pewien, czy go zauważono, ruszył więc powoli przed siebie. Miał już zamiar zacząć nonszalancko pogwizdywać, gdy usłyszał za plecami łatwy do rozpoznania odgłos pościgu. Natychmiast porzucił wszelkie próby udawania niewinnego i rzucił się do ucieczki tak szybko, jak tylko potrafił.

Choć Szybcior był bardzo wyrafinowanym złodziejem, rozumiał fakt, że niekiedy wskazana jest ucieczka. Kosiarz kierował się jego zaleceniami: „Nigdy nie biegnij po linii prostej. Skręcaj w każdą przecznicę, na jaką natrafisz. Zawsze kieruj się tam, gdzie tłum jest najgęstszy... i gnaj na skrzydłach wiatru”.

Uciekał ulicami i zaułkami, przemykał przez rynki i skupiska ludzi. Wciąż słyszał za sobą tupot. Wpadł do dogodnej, ciemnej uliczki i pobiegł wzdłuż niej. Zamykał ją kamienny mur. Kosiarz zaczerpnął głęboko tchu. Bariera była zbyt wysoka, by się na nią wdrapać. Będzie musiał wykombinować jakiś sposób wydostania się stąd. Przeszukał pospiesznie pamięć w poszukiwaniu mądrych wskazówek, których mógł mu udzielić Szybcior z myślą o takiej sytuacji. Nie znalazł nic. Kosiarz był zmuszony przyznać, że jego mentor nigdy nie zachowałby się tak głupio, by pozwolić się zagnać do ślepego zaułka.

Z kolanami drżącymi raczej ze zmęczenia niż ze strachu, zwrócił się w stronę ścigającego. Na tle wpadającego do zaułka światła rysowała się sylwetka mężczyzny. Gdy ruszył naprzód, słońce załśniło w jego włosach. Złoty włosach. To był Tawl.

Minęła długa chwila. Słońce wycofało się z taktem

godnym dyplomaty, zostawiając mężczyznę i chłopca sam na sam. W zaułku wiał słaby wietrzyk, który igrał z plugastwem, unosząc w górę więcej smrodu niż odpadków.

Tawl popatrzył na Kosiarza. Jego potężna pierś falowała. Włosy miały kolor ciemnego złota. Twarz nie wyrażała absolutnie nic. Bez słowa zaczął się cofać.

Ku zdumieniu chłopaka, odwrócił się i ruszył tą samą drogą, którą przyszedł. Szedł powoli, z pochyloną głową. Kosiarz nie mógł już dłużej lego znieść.

– Tawl! – krzyknął. – Zaczekaj.

Zauważył, że rycerz zawahał się króciutką chwilę, po czym – nawet na niego nie spoglądając – potrząsnął głową. Na widok tego ledwie dostrzegalnego, niemal lekceważącego gestu ulicznika ścisnęło w gardle. Tawl go opuszczał.

Szybcior wielokrotnie ostrzegał go przed niebezpieczeństwami wiążącymi się z przyjaźnią. Zwykł mawiać: „Nie pozwalaj, żeby ktoś zbliżył się do ciebie na tyle, by ukraść ci sakiewkę”. Sam nie miał przyjaciół, a jedynie współników, i nie cenił przyjaźni zbyt wysoko. Do chwili, gdy spotkał Tawla, Kosiarz skłonny był przyznawać mu rację. Szybcior nie był

jednak nieomylny. To prawda, że obracał językiem w gębie sprawniej niż młeczarka ubijająca masło, lecz bez względu na cały swój spryt nie miał nikogo, komu mógłby zaufać. Nikt też nie ufał jemu. Nagle myśli o tym, że skończy jak Szybcior – człowiek, który pytał innych, czego od niego chcą, nim zapytał, jak mają na imię – przestała mu się wydawać tak atrakcyjna jak niegdyś.

Dogonił przyjaciela i położył mu dłoń na ramieniu.

– Tawł, to ja! Kosiarz.

– Zostaw mnie, chłopcze.

Słowa rycerza cięły jak ostry miecz. Wyszarpnął rękę i ruszył przed siebie.

– Masz. – Kosiarz podsunął mu worek. – Zabieraj swoje złoto. Ukradłem je tylko po to, żeby twoja dziewczyna nie wydała wszystkiego.

Tawł odepchnął mieszek.

– Nie potrzebuję dozorczy. Weź to sobie. Zawsze mogę zdobyć więcej.

– To znaczy, że chcesz zostać w Brenie dłużej?

– Nic ci do moich planów, chłopcze.

Tawł przyspieszył, lecz ulicznik dotrzymywał mu kroku.

– A co z twoją misją? Z chłopcem...

Kosiarz miał zamiar powiedzieć: „Z chłopcem,

którego kazał ci szukać Bevlina”, powstrzymał się jednak. To nie była odpowiednia chwila na wspomnianie o nieżyjącym mędrцу.

Tawł odwrócił się gwałtownie.

– Daj mi spokój!

W jego słowach było tak wiele jadu, że Kosiarz cofnął się o krok. Po raz pierwszy, od bardzo dawna, ujrzał z bliska twarz przyjaciela. Tawł postarzał się. Bruzdy, które przed miesiącem były zaledwie sugestią, stały się głębokie i trwałe. Na jego twarzy gorzał gniew, lecz w oczach kryło się coś innego. Wstyd. Tawł spuścił wzrok i znowu ruszył przed siebie, jakby zdał sobie sprawę, że go rozszyfrowano. Gdy się oddalał, odgłos jego kroków niósł się cichym echem.

Kosiarz miał ochotę postawić na nim krzyżyk. Ten człowiek nie chciał niczyjej pomocy. Robiło się już późno i myśl o gorącej kolacji w eleganckiej gospodzie była nadzwyczaj kusząca. Patrzył, jak Tawł dociera do końca zaułka i skręca w ulicę. Nim zniknął mu z oczu, przebiegł palcami po włosach. Był to prosty ruch, Kosiarz widywał go już setki razy. Ta myśl uświadomiła mu, jak dobrze poznał rycerza. Był on jego jedynym przyjacielem i obaj znaleźli się daleko od domu. Kolacja nagle wydała mu się mniej ważna.

Popędził za Tawłem. Popęłnił błąd, zwracając się

do niego tak bezpośrednio, wspominając o misji i mówiąc mu, że go okradają. Jeśli rycerz ma znowu stać się sobą, trzeba będzie zastosować subtelniejsze metody. Tawł niewątpliwie chciał zapomnieć o przeszłości, o mędrca, o poszukiwaniach chłopca, a nawet o sobie. No cóż, Kosiarz dopilnuje, by mu się to nie udało. Był pewien jednego: rycerz żył po to, by odnaleźć chłopca. To był jego jedyny cel. Fakt, że całkowicie zrezygnował z jego realizacji, wydał się Kosiarzowi niewypowiedzianie tragiczny.

Postanowił, że dzisiaj ograniczy się do obserwowania przyjaciela. Będzie wyczekiwał, aż nadejdzie odpowiednia chwila, by ponownie wkraść się w jego łaski.

Wyszedł na ulicę. Zatrzymał się na chwilę, żeby kupić ciastko od ulicznego handlarza – nie zjeść gorącej kolacji to jedno, a chodzić o pustym żołądku to, coś całkiem innego – po czym ruszył w stronę oberży „Pod Faworytą Diuka”.

– Oczywiście, Bodger, tak naprawdę jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić, czy kobieta jest dziewicą.

– Pomijając fakt, że dziewice mają proste włosy, Grift?

– To zabobon, w który wierzą tylko stare

wieśniaczki, Bodger.

– Tu się z tobą zgodzę, Grift. Odkąd nosisz te superciasne rajtuzy, łatwo można cię wziąć za starą wieśniaczkę.

– Hmm. Zakładam je wyłącznie dla celów leczniczych, Bodger. Mam tak delikatne organy, że pierwszy podmuch wiatru unosi je na północ, a kiedy już się tam znajdują, piekielnie trudno je stamtąd ściągnąć.

– Ehe, Grift, twoje organy słyną z temperamentu.

– Chcesz, żebym podzielił się z tobą życiową mądrością, czy nie, Bodger? Wielu mężczyzn zapłaciłoby pokaźne sumy za lekcje u mistrza takiego, jak ja.

– No to gadaj. Jak można naprawdę poznać, czy kobieta jest dziewicą?

– Trzeba ją zamknąć w jednym pokoju z borsukiem. Bodger.

– Z borsukiem?

– Ehe, Bodger, z borsukiem. – Grift wgramolił się na muła, sadowiąc się tak wygodnie, jak tylko jest to możliwe dla człowieka dosiadającego tego zwierzęcia.

– Bierzesz borsuka, Bodger, i zamykasz go w pokoju z dziewczyną, którą sprawdzasz. Zostawiasz ich samych na parę godzin, a potem wracasz, zobaczyć, co się

stało.

– A co się ma stać, Grift?

– No więc, Bodger, jeśli borsuk zaśnie w kącie, to znaczy, że dziewczyna widziała już stóg siana, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Jeśli jednak wskoczy jej na kolana, to znaczy, że jest prawdziwą dziewczyną.

– A co, jeśli ją pogryzie, Grift?

– Wtedy dziewczyna złapie ziemną ospę i nikogo nie będzie obchodziła jej cnota, Bodger.

Bodger pokiwał głową z mądrą miną. Pod tym względem Grift miał rację. Obaj mężczyźni jechali na końcu kolumny, posuwając się naprzód szeroką, lecz stromą górską ścieżką. W rześkim powietrzu panowała cisza. Nie słyszało się ptasich głosów ani szumu wiatru.

– Wczoraj cudem się wywinałeś, Bodger.

– Miałem szczęście, że mnie wyciągnęli spod lawiny. Grift.

– Szczęście chyba nie miało tu nic do rzeczy, Bodger. Lord Baralis potrafi pomóc szczęściu.

Choć Grill miał wielką ochotę zapytać Bodgera, co naprawdę wydarzyło się wczoraj na zasypanym przez lawinę odcinku drogi, zdawał sobie sprawę, że nie byłoby to zbyt rozsądne. Nikt z wydobytych spod śniegu nie napomknął o tym ani słowem. W gruncie

rzeczy, nikt w całej drużynie nawet nie wspomniał o owym incydencie. Udawano, że nigdy się nie wydarzył. Kiedy dotrą do Brenu, wszyscy już o nim zapomną. Zginęło sześciu ludzi.

Grift usłyszał z tyłu jakiś hałas. Obejrzał się za siebie.

– Popatrz, Bodger. Crope wreszcie nas dogonił. To on jedzie na samym końcu.

– Ehe, Grift. Łatwo go poznać, nawet w ciemnym tunelu. Ciekawe, dlaczego koniecznie chciał rano zostać przy zasypanym odcinku szlaku.

– Zapytajmy go, Bodger.

Obaj mężczyźni odłączyli się od kolumny i zaczęli czekać, aż dogoni ich sługa Baralisa.

– Ale paskudny siniak, Crope – zauważył Bodger, wskazując na czoło olbrzyma.

– Bardzo boli – odparł ten swym cichym, delikatnym głosem.

– I dlatego nie wyruszyłeś rano z nami. Crope? Nie czułeś się na siłach?

Crope potrząsnął głową.

– Nie. Musiałem kopać.

– Chciałeś ukryć skarb, Crope? Grift mrugnął do Bodgera.

– Nie, Grift – odparł Crope, nie dostrzegając

sarkazmu żołnierza. – Lawina zasypała moją szkatułkę. Wypadła mi z kieszeni. Minęło wiele czasu, nim ją znalazłem. – Gigant uśmiechnął się i poklepał kwadratową wypukłość bluzy. – Ale wróciła już na miejsce.

– Zdumiewasz mnie, Croke – oznajmił Grift. – Chyba nigdy nie słyszałem, żebyś wypowiedział za jednym zamachem aż tyle słów. Ta szkatułka musi być bardzo ważna, jeśli pobudziła cię do tak wielkiej elokwencji.

Z twarzy Croke'a zniknął uśmiech.

– To nie twój interes, Grift. Chcę zostać sam.

Pociągnął za wodze, nakazując swemu wierzchowcowi zwolnić. Bodger i Grift pojechali naprzód.

– Wiesz co, Bodger – odezwał się po chwili Grift. – Jak znam Croke'a, na pewno trzyma w tej tajemniczej szkatułce obcięte paznokcie od nóg.

– Ehe, Grift. Albo może włosy z nosa.

– Do nich potrzebowałby większej szkatułki, Bodger! Młodszy z żołnierzy pokiwał z przekonaniem głową.

– No, ale zaryzykował samotne przejście przez przełęcz tylko po to, by odzyskać to pudełko.

– Przełęcz nie była taka zła, jak się obawiałem,

Bodger. Pokonaliśmy ją w mgnieniu oka.

– Ehe, Grift. Jeżeli pogoda się nie zmieni, za dwa dni będziemy w Brenie.

– Dopiero wtedy zacznie się prawdziwy dramat, Bodger.

– A dlaczego, Grift?

– Ponieważ nikt w Brenie nie wie, że królem jest teraz Kylock. Jeśli mnie o to pytasz, Bodger, tamtejsi ludzie pierońsko się wystraszą, kiedy się o tym dowiedzą. Zaręczyć dziewczynę z księciem to coś całkiem innego niż zaręczyć ją z królem.

– Myślałem, że to jeszcze większy zaszczyt, Grill.

– Bren nie pragnie zaszczytów od innych. W każdym sojuszu chce być dominującą siłą. Zapamiętaj sobie moje słowa, Bodger. Kiedy dotrzemy na miejsce, zaczną się kłopoty.

Słońce zniknęło za chmurami. Noc przystępowała do natarcia i dzień miał wkrótce jej ulec.

W ogrodzie było zimno. Śnieg skrzypiał pod stopami obu mężczyzn jak stare, zeschnięte liście. Widać było bijącą z ust parę, która krystalizowała się w powietrzu. Gdy się do siebie zbliżali, co od czasu do czasu robili, ich oddechy mieszały się ze sobą, sugerując pewną zażyłość.

Jacka zdumiewała wytrzymałość Rovasa. Choć był on pewnie ze dwadzieścia lat starszy od niego, poruszał się z szybkością jelenia i był niestrudzony jak wół. Chłopak był w wyraźnie gorszej sytuacji. Ćwiczyli długimi drągami – bronią, która wymagała raczej siły niż szybkiego refleksu. Jack zaczynał rozumieć, jak mało wie o walce. Jedyłą bronią, jaką miał dotąd w ręku, był nóż do szlachtowania świń, a choć zabił za jego pomocą człowieka, ciosem kierował przyływ szału, a nie rzeczywista umiejętność.

Drewno uderzyło o drewno z głuchym łoskotem. Po raz kolejny Rovas odepchnął go do tyłu. Jack odwrócił drąg. Jego przeciwnik był szybszy i kije

ponownie uderzyły o siebie. Grubas zachichotał.

– Zmarnowałeś cios, chłopcze. Nie warto było się trudzić.

Z szybkością błyskawicy uwolnił broń, cofnął się o krok, zdjął z drąga przednią dłoń i uderzył nim jak włócznią. Trafił Jacka w bark. Chłopak był zupełnie nieprzygotowany. Padł na ziemię, uderzając głową o skryte pod śniegiem kamienie.

– Mówiłeś, że trzeba trzymać drąg w obu rękach. Jack podniósł się i strzepnął śnieg z bluzy.

– Naprawdę? – Rovas okazywał nonszalancję. – Chciałem ci tylko pokazać, że należy przestrzegać wyłącznie własnych zasad.

Przemytnik wyglądał niepokojąco. Twarz miał jasnoczerwoną i zalewał go pot.

– To znaczy, że nie powinienem ufać nikomu.

– Tylko jednej osobie. Samemu sobie.

Jack wręczył mu drąg i obaj ruszyli w drogę powrotną ku chacie. To był męczący dzień. Rovas obudził go o świcie i większą część dnia spędzili walcząc w ogrodzie. Brodaty przemytnik był dobrym nauczycielem. Miał wielki zestaw broni, poczynając od obitych skórą maczug, które lubili Halcusowie, aż po pozornie filigranowe lecz – jak się przekonał Jack – śmiertcionośne, cienkie miecze z Isro. W kolekcji

Rovasa nie było broni, którą nie potrafiłby władać lub udzielić na jej temat jakichś użytecznych rad.

Przemytnik zatrzymał się przy małej szopie przylegającej do chaty.

– Mógłbyś mi pomóc wypychać nerki? – zapytał. – Nasze kobiety nie znoszą dotyku wnętrzości.

Jack ze wszystkich sił starał się ukryć zdumienie.

Grubas ryknął głośnym śmiechem i otworzył drzwi, zatrzymując się, by zapalić latarnię. Nozdrza Jacka wypełnił zapach świeżego mięsa. Światło padło na podroby. Plastry wątroby spoczywały w kałuży krwi, a nerki czekały w koszach, przesycając powietrze swą charakterystyczną wonią.

– Piękne, co? – zapytał Rovas.

W umyśle Jacka wzbudziło się podejrzenie, że przemytnik jest lekko stuknięty. Jak podobny widok mógłby się komukolwiek wydać atrakcyjny? Skinął lekko głową w – miał nadzieję – niezobowiązującym geście.

Rovas uśmiechnął się radośnie, odsłaniając zęby wielkie jak kamyki.

– W tej izbie kryje się prawdziwy majątek, chłopcze. W okolicach Helchu mieszkają ludzie, który całą zimę nie widzieli ani kawałka kielbasy. Słono zapłacą za funt albo dwa dobrych podrobów i zrobią to

z ochotą.

A więc w tym rzecz. Rovas nie był obłąkany, a jedynie chciwy.

– Skąd się wzięło to mięso? – zapytał Jack. Rovas skinął na niego, każąc mu się zbliżyć.

– Od mojej dobrej przyjaciółki, zwanej Lucy – odparł teatralnym szeptem.

Lucy. Jackowi zakręciło się w głowie na dźwięk tego imienia. Imienia jego matki. Było bardzo pospolite. Setki dziewcząt w każdym mieście Znanych Krain odpowiadało na jego radosne, melodyjne brzmienie. To dziwne, że nie słyszał go już od tak dawna. Obudziło w nim tęsknotę za przeszłością, za czasami, gdy mógł wesprzeć głowę na matczynej piersi, gdy świat nie krył w sobie tajemnic, a jedynie obietnice.

Pracowała bardzo ciężko. Do dziś czuł zapach popiołu, wspominał jego szarawą warstewkę na jej twarzy, pamiętał poparzone palce. Była palaczką w kuchniach. Rano rozgrzebywała popioły pogrzebaczem, wieczorem zaś przygaszała węgielki. Kucharze byli bezlitośni. Wiecznie powtarzali:

- Mocniej ruszaj miechami, Lucy.
- Lucy, przynieś nowe szczapy.
- Wytrzymaj popioły z rusztu, Lucy, a jak już się za

niego weźmiesz, to wyszoruj go na błysk.

Tyle, że tak naprawdę nie nazywała się Lucy. Jack nie pamiętał, w której chwili się tego domyślił. Trwało to pewien czas.

Odkąd sięgał pamięcią, spędzał czas w kuchni. Starał się być „cichy jak myszka i spokojny jak kura na jajach”, gdyż kiedy narozrabiał, karano jego matkę. Wchodził pod jeden z wielkich, ustawionych na kozłach stołów. Nie raz znajdował ogryzek albo kawałek marchewki, który mógł pojadać, i obserwował spokojnie wydarzenia. Kuchnia pełna była cudów: nozdrza wypełniały mu wonie gotowanych potraw, uszy brzęk miedzianych garnków i utyskiwania kuchcików, młode oczy zaś kusił widok jedzenia.

Całe godziny poświęcał na marzenia. Rzeźnicki tasak stawał się toporem Borca, fartuch pana Frallita sztandarem rycerzy z Valdis, a taboret przy piecu, na którym siedziała jego matka, tronem.

Gdy już się zmęczyła, co na rok przed tym, nim zmorzyła ją choroba, zdarzało się coraz częściej, Jack pomagał jej w pracy. Pewnego razu, gdy oboje byli odwróceny plecami do kuchni, zdrapując brud z rusztu, główny kucharz zawołał:

– Lucy, kiedy już skończysz, wyszoruj też piec. Jego matka nawet się nie obejrzała.

– Lucy! Trzeba wyszorować piec – zawołał znowu kucharz, tym razem głośniej.

Chłopak musiał szarpnąć ją za ramię, by przyciągnąć jej uwagę.

Od tego dnia obserwował ją dokładniej. Często zdarzało się jej nie reagować na własne imię. Później, blisko końca, gdy był już większy, a ona słabsza, postanowił poruszyć tę sprawę.

– Jak masz naprawdę na imię, mamó? – zapytał. Wybrał moment z okrutną precyzją. Była zbyt osłabiona, by udawać zaskoczenie. Wstydził się tego teraz.

– Nie będę cię okłamywać, Jack – odparła z westchnieniem. – Moje prawdziwe imię nie brzmi Lucy. Nazwał mnie tak ktoś znacznie później.

Próbował wyciągnąć z niej coś więcej, najpierw prośbą, a gdy to nie poskutkowało, krzykiem. Choć była chora, zachowała siłę woli i jej usta pozostały zamknięte. Nie chciała go okłamywać, nie powiedziała mu więc nic.

Do rzeczywistości przywołał go Rovas, trzymający w rękach podroby. Ucieszył się z tego. Przeszłość kryła w sobie zbyt wiele pytań.

– Kłopot z nerkami – mówił przemytnik – polega na tym, że są trochę... jakby to ująć... za lekkie.

– Za lekkie?

– Za dużo ich wchodzi na funt, jeśli mnie dobrze rozumiesz. Rovas uśmiechnął się jak przebiegłe dziecko.

– To znaczy, że chcesz je dociążyć. Jack zaczynał pojmować jego słowa. Przemysłownik skinął z entuzjazmem głową.

– Bystry z ciebie chłopak – powiedział. – Oto co zrobimy. – Położył nerkę na pustym talerzu, po czym wydobyl nóż i otworzył ją jak chirurg. – Tylko jedno maleńkie nacięcie, tuż nad ścięgnem. – Rozchylił szczelinę czubkiem sztyletu. – Podaj mi ten słój, chłopcze. – Wskazał na duże naczynie stojące na półce. – Ostrożnie, nie jest lekki.

Jack zdjął naczynie z półki. Omal nie wypuścił go z rąk. Formy pana Frallita były ciężkie, ale przynajmniej świadczyła o tym ich wielkość.

– Co w nim jest? – zapytał.

– Ołów, oczywiście. Ciężki jak góra, a miękki jak dobry ser. Podaj mi kawałek. Ale nie za duży. Nie chcemy, żeby ktoś się nim zadławił.

Jack wręczył Rovasowi okruch szarego metalu. Przemysłownik, nie tracąc czasu, wepchnął go do środka, po czym zamknął z uwagą nacięcie, przywracając nerce poprzedni wygląd. Kazał Jackowi ją pomacać.

– Muszę powiedzieć, że to niezła robota.

– To może doprowadzić do czyjejś śmierci – zaprotestował chłopak, sprawdzając na dłoni wagę produktu.

– Tak samo, jak niejedzenie mięsa przez całą zimę. – Rovas wzruszył ramionami. – Trzeba jakoś zarabiać na życie. Zresztą najprawdopodobniej znajdą metal, nim nerka trafi do garnka. – Zauważył potępiające spojrzenie Jacka. – Tak już urządzone jest ten świat, chłopcze. Jeśli ja tego nie zrobię, znajdzie się ktoś inny. Odkąd zaczęła się wojna z królestwami, w Halcusie nastąpiły ciężkie czasy, a teraz zanosi się na to, że będzie jeszcze gorzej. Niedługo z drugiej strony uderzy na nas Bren. Jeśli ktoś taki jak ja zaopatruje w żywność ludzi, którzy inaczej by jej nie zdobyli, ma prawo do przyzwoitych zysków w zamian za swe trudy.

– Dlaczego Bren miałby na was uderzyć?

Jack nie zamierzał krytykować handlowych metod Rovasa. Grubas i tak nigdy by nie przyznał, że robi coś złego.

– Nie słyszałeś? Twój kraj ma połączyć siły z Brenem. Jeśli mnie o to pytasz, oznacza to kłopoty nie tylko dla nas, Halcusów. Annis. Highwall, nawet Ness, wszyscy są zaniepokojeni. Ludzie boją się, że Bren

użyje Czterech Królestw, by z ich pomocą zapanować nad całą północą. – Rovas splunął. – Dziś rano dowiedziałem się, że Highwall szykuje armię. To miasto z pewnością nie będzie czekało na atak jak królik w norze.

Jack po raz pierwszy usłyszał o wojnie. Królestwa miały połączyć siły z Brenem? Odkąd opuścił zamek, wydarzenia toczyły się bardzo szybko.

– Kylock ma poślubić... – Jack usiłował przypomnieć sobie imię córki diuka. – ... Catherine z Brenu?

Rovas skinął głową.

– Idzie wojna.

Wojna. Mogłoby do niej nie dojść, gdyby Melli wyszła za Kylocka, tak jak planowano. Ocalałaby też życie. Położył nerkę na talerzu i spróbował otrzeć dłonie z krwi. Plama rozmazała się, lecz nie chciała zejść. Spoglądając na swe zakrwawione ręce, nie potrafił uwolnić się od myśli, że jest w jakiś sposób odpowiedzialny za to, co ma się wydarzyć. Tłumaczył sobie, że to głupota. Nie starał się w żaden sposób wpłynąć na Melli. Była zdecydowana nie wychodzić za Kylocka, nim jeszcze się spotkali.

Nieokreślone poczucie winy skłoniło Jacka do ataku na Rovasa. Chciał podzielić się z kimś jej

brzemieniem.

– Powinieneś się cieszyć z wybuchu wojny – mówił coraz bardziej gniewnym głosem. – Więcej walk oznacza większy zysk.

Przez krótką chwilę Jackowi wydawało się, że przemytnik go uderzy. Jego ciało napięło się, a ręka powędrowała nagle do boku. Zapanował jednak nad sobą. Chłopak wyraźnie widział, jak stara się odzyskać dobry humor. Wzruszył z wysiłkiem ramionami.

– Przygraniczne potyczki to jedno, chłopcze, a prawdziwa wojna to coś całkiem innego – wyjaśnił. – To fakt, że można więcej zarobić, ale jest też większe ryzyko, że się zginie, nim zdąży się wydać pieniądze!

Gdy Rovas skończył ostatnie zdanie, znowu był w pełni sobą. Jack niemal tego żałował. Miał wielką ochotę na bijatykę.

– Masz – rzucił przemytnik, odwracając uwagę chłopaka za pomocą talerza z nerkami. – Wypchaj je. Na dziś mam już dość wojny. Idę zjeść kolację.

Zatrzasnął za sobą drzwi szopy.

Myśl o wojnie poruszyła coś w głębi umysłu Jacka. Królestwa miały połączyć siły z Brenem? Dlaczego wydawało mu się to tak ważne? I dlaczego chciał z tego powodu wdać się w bójkę z człowiekiem, który z pewnością by go pokonał? Po raz pierwszy od chwili

opuszczenia zamku czuł się niespokojny. Ogarnęło go znajome pragnienie wyruszenia w drogę i zostawienia wszystkiego za sobą. Nerki ciążyły mu w dłoniach. Nie mógł znieść ich odoru. Odsunął talerz i otworzył drzwi.

Zimne, nocne powietrze ochłodziło jego twarz. Znał owo pragnienie, jak również towarzyszącą mu frustrację. Nie miał dokąd pójść.

Ślady stóp Rovasa zakreślały łuk na śniegu. Jack przebiegł wzrokiem wzdłuż niego i przekonał się, że kończy się u wejścia do chaty. Trójka przebywających wewnątrz osób była wszystkim, co łączyło go ze światem. Rovas, Magra i Tarissa. Nie byli ludźmi, za jakich pragnęli uchodzić. Magra i Tarissa ukrywały jakieś tajemnice. To samo, co wzbudziło w matce gorycz, uczyniło córkę silną. Był też Rovas, który przed zaledwie kilkoma minutami popełnił błąd i omal nie odsłonił kryjącej się pod maską prawdziwej twarzy. Z pozoru wyglądali jak rodzina, lecz w rzeczywistości nią nie byli.

Nawet ich chata sprawiała wrażenie rodzinnego domu: blask świec dobiegający zza okiennic, dym bijący z dachu, wygładzone drewno drzwi, witające gości. To nie było miejsce dla niego. Nagle ogarnęło go znużenie. Nie widział szans na to, że jeszcze kiedyś

będzie miał prawdziwy dom. Wędrując z Melli, zapomniał, jak bardzo jest samotny. Dopóki miał ją u swego boku, martwił się tylko o nią. Dbał jedynie o to, by zapewnić jej bezpieczeństwo, ciepło i wystarczającą ilość pożywienia. Teraz, kiedy ją stracił, jego myśli znów zwróciły się do wewnątrz.

Od wielu miesięcy zmierzał do Brenu. Jedynym powodem było pragnienie wędrówki na wschód. Teraz, gdy do jego uszu dotarły wieści o wojnie, owa potrzeba wzmogła się jeszcze. Nie ruszy jednak w drogę. Przynajmniej nie w tej chwili. Nie był jeszcze gotowy. Nie umiał walczyć, a jeśli wybierał się tam, gdzie szalała wojna, lepiej było się przygotować. W grę wchodziła też Melli. Nie mógł znieść myśli, że odejdzie, nic nie zrobiwszy w jej sprawie. Jej śmierć była zbyt ważna, by ot tak o niej zapomnieć. Gdyby odszedł teraz, umniejszyłby ją. Przed prawie dziesięcioma laty, kiedy umarła jego matka, zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Starał się nie okazywać żałoby. Tym razem nie popełni tego samego błędu.

Zamknął drzwi, zostawiając za nimi bezkresną noc. Zostanie tu i będzie się uczył. Rovas go wykorzystywał – z pewnością miał swoje powody, by pragnąć śmierci halcuskiego kapitana – a on z kolei wykorzysta

Rovasa. Nauczy się od niego wszystkiego, co przemytnik mado przekazania.

Cofnął się do szopy, sięgnął po nóż i zabrał się za nerki. Nagle zrobiło mu się żal Halcusów. Mięso faszerowane ołowiem było jednak najmniej ważnym z ich zmartwień.

W Brenie świeciły już gwiazdy. Dzwony, których dźwięk stłumiły mrok i wilgoć, wybiły północ. Na tłum padał blask lampek oliwnych, odbijający się od śniegu, który wspomagał ich wątłe wysiłki.

Tłum był niespokojny. Widzowie czekali już zbyt długo. Łaknęli krwi. Przyszli zobaczyć, jak walczy złotowłosy cudzoziemiec. Mężczyzna, który wyglądał jak anioł, a bił się jak diabeł. Krążyły o nim najrozmaitsze pogłoski: był szlachcicem, który popadł w niełaskę; wojownikiem zza północnych gór; rycerzem pełniącym misję. Mieszanka tajemnicy, romantyczności i niebezpieczeństwa łatwo uderzała do głowy mieszkańcom Brenu. Niebywałe tłumy schodziły się, by obejrzeć obiekt tak licznych spekulacji.

Wysoko urodzeni, pociągający szlachetne trunki ze srebrnych manierek, mieszały się z kupcami, pijącymi z kufli, i wieśniakami żłowiącymi z bukłaków. Było tu nawet trochę kobiet, które nasunęły na głowy kaptury,

by ukryć tożsamość, i owinęły się w grube płaszcze, by nie ujawniać swej płci.

Kosiarz przyjrzał się tłumowi. Dziś można by tu zdobyć pokaźne łupy. Był wystarczająco bystry, by wiedzieć, że prawdziwe pieniądze może znaleźć nie w rękach i kieszeniach szlachty, lecz w sakiewkach kupców. Szlachetnie urodzeni słynęli ze skąpstwa, kupcy zaś chętnie rozstawali się z gotówką i zawsze byli przygotowani na wydatki. Choć Kosiarz obiecał sobie, że nie będzie dziś organizował żadnych funduszy, trudno mu było zignorować możliwość łatwego zysku. Kradł niemal bez zastanowienia, zupełnie jakby się drapał. Tu kilka srebrników, tam wysadzany klejnotami sztylet. Wieśniakom dawał spokój. Głęboko zapadły mu w pamięć słowa Szybciora: „Tylko najędzniejsza kanalia okrada biednych”.

Nie przyszedł tu jednak dla zysku, lecz po to, by mieć na oku Tawła. Rycerz kazał ludziom czekać. Jego przeciwnik, człowiek, którego szerokość w barach dorównywała wzrostowi, wyraźnie okazywał zniecierpliwienie. Był już wysmarowany tłuszczem i zszedł na arenę, a Tawł nawet się nie pokazał.

Wreszcie zapadła cisza. Cizba rozstała się i zjawił się rycerz. Dotarł do brzegu areny i zrzucił bluzę. Z ust

stojących blisko gapiów wyrwały się okrzyki zachwytu na widok muskularnego, pokrytego bliznami tułowia. Kosiarz poczuł ból, zobaczywszy, że jego przyjaciel odsłonił całą swą upadłą wspaniałość przed tłumem, na który ledwie mógł patrzeć.

– Zabijałem już ludzi za to, że kazali mi czekać – krzyknął z areny przeciwnik Tawla, próbując z powrotem przyciągnąć na siebie uwagę gapiów.

Tłum uradowało to ostrzeżenie. Wszyscy spojrzeli na Tawla, w oczekiwaniu na równie groźną odpowiedź. Kiedy padła, musieli wyteżać słuch, by ją usłyszeć:

– W takim razie zabijasz zbyt łatwo, przyjacielu.

Cizba umilkła. W oczach Kosiarza załśniły łzy. Tylko on wiedział, jak wiele bólu kryją w sobie słowa Tawla, będące wyrzutem raczej dla niego niż dla przeciwnika. Choć jego aspiracje nigdy nie sięgały dalej niż wygodne życie, zaczynał pojmować tragedię człowieka, który nie potrafił sprostać swym ideałom.

– Zacznijmy walkę! – krzyknął herold. Tawl zeskokczył na arenę.

Zakłady, które przed pojawieniem się rycerza wyglądały anemicznie, teraz zaczęły przypominać morderczy szal. Gdy walczący okrążali się nawzajem, wykrzykiwano głośno wysokość wyplat i

przyjmowano pieniądze. Kosiarz poświęcił chwilę na dokładne oględziny rywala Tawla. Był to potężny mężczyzna, szeroki w barach i muskularny, wolny od tłuszczu, który spowalniałby jego ruchy. Ktoś w pobliżu chciał postawić na niego pięć sztuk złota. Kosiarz nie potrafił się oprzeć. W jego opinii walka mogła zakończyć się tylko jednym wynikiem: Tawl zwycięży.

– Zakład, szlachetny panie – zawołał, czując lekkie wyrzuty sumienia.

– Zgoda! – odrzekł mężczyzna. Wymienili znaczniki – patyki z nacięciami – i Kosiarz się oddalił.

Na arenie, walczący przeszli do zwarcia. Napięte mięśnie, pozostające w idealnej równowadze, dążyły do uzyskania przewagi. Nóż Tawla był blisko brzucha jego przeciwnika. Kosiarz poczuł przyływ oburzenia na widok oręża należącego do drugiego mężczyzny. Był on dłuższy od zwykłego noża, dłuższy o całą pięść. Ten człowiek nie walczył uczciwie.

– Dziesięć sztuk złota na obcego z blizną – krzyknął, nie zwracając się do nikogo konkretnie. Chciał w ten sposób wesprzeć Tawla.

– Dwadzieścia i zakład stoi. Mężczyzna mówił jak szlachcic.

– Zgoda.

Znów doszło do wymiany znaczników. Tym razem towarzyszył jej uprzejmy ukłon, po którym Kosiarz zniknął w tłumie.

Początkowo walka była wyrównana. Obaj mężczyźni z pozorną łatwością wykonywali serie fint i pchnięć. Starcie nabierało jednak impetu. Umiejętności obu walczących wspomagał gniew. Tawł był zmuszony odbić cios przedramieniem. Nóż jego przeciwnika aż zgrzytnął o kość. Popłynęła krew, śliska i czarna w blasku lamp. Tłum krzyknął głośno. Kosiarz, który nigdy nie zapominał o interesach, potrafił wykorzystać tę sposobność: wszyscy myśleli, że Tawł stracił przewagę.

– Dwa do jednego na obcego. Są chętni?

Hazardziści i znaczniki zasypali go niczym spadające liście. Wynikł jednak pewien problem: gdy skończył przyjmować zakłady, obrót walki zmienił się ze złego na jeszcze gorszy. Ociekające krwią ramię Tawła zwisało bezwładnie u boku. Przeciwnik przyparł go do ściany areny i przycisnął mu nóż do gardła. Napięcie było tak wielkie, że większość widzów przestała się zakładać. Kieszonkowiec pragnął tylko, by nie ugięły się pod nim kolana.

– Dam ci pięć do jednego na obcego – syknął mu ktoś do ucha. Kosiarza myśl o zakładaniu się w takiej

chwili napełniła wstrętem. Odwrócił się błyskawicznie i kopnął mężczyznę z całej siły w goleń.

W rezultacie musiał szybko uciekać i nie zobaczył tego, co wydarzyło się później. Tłum oszalał nagle, tupiąc głośno i wrzeszcząc wniebogłosy. Gdy udało mu się znowu przepchnąć bliżej areny, przekonał się, że równowaga sił wygląda teraz inaczej. To Tawl przycisnął rywala do ściany areny. Oręż drugiego z walczących leżał na ziemi. Rycerz zbliżył nóż do gardła przeciwnika. Oczy Tawla były niebezpiecznie pozbawione wyrazu. Ostrze drżało z napięcia, gdy obaj mężczyźni usiłowali zmienić jego położenie. Dygotało i kołysało się, wystarczająco blisko ciała, by popłynęła krew, lecz za daleko, żeby mogło przeciąć mięśnie i ścięgna.

Przeciwnik Tawla zebrał siły i jednym, znakomitym ruchem odtrącił broń od swego gardła. Rycerz musiał się cofnąć. Ostatnim, co zobaczył ciemnowłosa mężczyzna, był zbliżający się do niego Tawl. Uwolniony z patowej sytuacji rycerz wykonał skręt i zaatakował rywala z boku. Przeciął mu brzuch aż po pachwinę.

Ludzie byli wstrząśnięci. Wydarzyło się to zbyt szybko. Gdzie w tym była sztuka? Gdzie finezja? Widzowie potrzebowali chwili, by zdecydować, jak

zareagować. Kosiarza zaniepokoiła gwałtowność ataku Tawla. Przeciwnik rycerza leżał w kałuży własnej krwi. Z brzucha wylewały mu się wnętrzności. Mimo to Kosiarz był niezachwianie przekonany, że nie może opuścić przyjaciela. To nie Tawł walczył przed chwilą: to był ktoś inny. Zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i krzyknął:

– Brawa dla zwycięzcy!

Tłum podążył za jego przykładem. Bren po raz kolejny z radością fetował triumfatora. Hałas przyprawiał o zawroty głowy, a błysk monet oślepił. Zwłoki szybko pokryło srebro. Kosiarz wydobył spod bluzy znaczniki i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu dłużników. Zauważył w oddali szlachcica, który usiłował się wymknąć. Chłopak splunął z niesmakiem. Nie powinien był zakładać się ze szlachetnie urodzonymi. Słyszeli z tego, że ulatniają się po przegranej.

Gdy zdecydował, że trzeba zapobiec dalszym stratom, ktoś poklepał go nagle po ramieniu. Kosiarz z początku się nie obejrzał. Z pewnością nie był to człowiek niecierpliwie pragnący spłacić dług. Przez krótką chwilę serce zabiło mu szybciej: może to był Tawł. Odwrócił się. Mężczyzna nie był Tawłem, lecz Kosiarz go znał.

– Cóż za szczęśliwe spotkanie, przyjacielu – powiedział. – Niezła walka, co?

Był to człowiek, którego okradł zaraz po przybyciu do Brenu: potężna klatka piersiowa, masywne ramiona, lśniące, czarne włosy.

Ulicznik stłumił naturalne pragnienie ucieczki. Ten facet nie mógł mu nic udowodnić. Nagle przypomniał sobie miniaturę. Miał ją zatknietą za pas. Zdradzi go równie niezawodnie, jak spadające liście zdradzają nadchodzącą jesień. Choć ogarnął go gwałtowny lęk, zachował spokój.

– Nienajgorsza, aczkolwiek w Rornie widziałem lepsze.

– To stamtąd pochodzi twój przyjaciel? – Mężczyzna spojrział na arenę. – Z Rornu?

Kosiarz natychmiast przeszedł do defensywy.

– Dlaczego sądzisz, że to mój przyjaciel?

– Przyglądałem się, jak ustawiałeś dla niego tłum. Niezła robota. Skłoniłeś ludzi do zakładania się, a na koniec uratowałeś mu skórę. – Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. – To świetny pomysł, mieć w tłumie swojego chłopca.

– Nie jestem niczym chłopcem.

– Parę dni temu widziałem, jak za nim poszedłeś – stwierdził mężczyzna. – Po tym, jak pokonał tego

młodego nożownika ze wsi.

Ulicznik postanowił zmienić taktykę.

– Co ci do tego?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Całe jego ciało napięło się na mgnienie oka. Kosiarz zdał sobie nagle sprawę, że jego rozmówca też walczy na arenie.

– Być może powinienem się przedstawić – powiedział nieznajomy. – Jestem Blayze, obrońca diuka.

– No, no, w takim razie, czy nie powinieneś zająć się jego obroną, zamiast wałęsać się po ulicach? – zapytał Kosiarz. Chłopak był pod wrażeniem, lecz nie zamierzał tego okazać.

Mężczyzna zignorował tę drwinę. Kosiarz poczuł dla niego uznanie.

– Lubię mieć na oku potencjalnych rywali, a twój złotowłosy przyjaciel jest jedynym zasługującym na uwagę wojownikiem, który pojawił się tu od dłuższego czasu.

– To chyba dobrze, czyż nie? Kolejne wzruszenie ramionami.

– Wszystko mi jedno, chłopcze. Wygrywam z każdym, który się zjawia.

Był pewny siebie, lecz nie arogancki, i, jak na wojownika, dobrze się wysławiał.

– Potrzebna ci porządna walka, żeby nie stracie względów, co? – zapytał Kosiarz.

Mężczyzna, który – jak już wiedział – miał na imię Blayze, cofnął się odrobinę.

– Nie zamierzam marnować czasu na pogawędki z chłopakiem, który szybciej gada niż myśli. Pójdę już, jeśli nie jesteś skłonny przyznać, że znasz nożownika, który przed chwilą zwyciężył na arenie.

Odwrócił się i zaczął oddalać.

– Tawl – krzyknął Kosiarz. – Nazywa się Tawl i pochodzi z Nizin.

Przyjaźń była ważna, lecz w taką noc jak ta, gdy blask monet przyćmiewał wszystkie lampki oliwne, trudno było uwierzyć, że coś może liczyć się bardziej niż gotówka i jej zdobywanie. Poza tym, co w tym złego, jeśli zdradzi Blayze’owi imię przyjaciela?

Mężczyzna nie zwalniał kroku.

– Umów mnie na spotkanie. Za dwa dni o zachodzie słońca przy trzech złotych fontannach.

Nie odwrócił się nawet na moment, by sprawdzić, czy chłopak usłyszał jego słowa. Zniknął w tłumie. Po kilku sekundach Kosiarz zauważył go na ulicy, w towarzystwie drobnej postaci, osłoniętej płaszczem z kapturem.

Ulicznik wziął w ręce wszystkie znaczniki i złamał

je. Nie miał już szans na odnalezienie ludzi, do których należały. Nie znajdzie też Tawla. Rycerz opuścił arenę. Zresztą nawet gdyby udało mu się go odszukać, Tawl nigdy nie zgodziłby się pójść na spotkanie zaaranżowane przez niego. Może to i lepiej. Blayze sprawiał wrażenie człowieka nienawykłego do porażek. Pełen zestaw przednich zębów i prosty nos były rzadkością u walczących na arenie. I ciało! Kosiarz zagwizdał z uznaniem. Więcej mięśni niż na statku pełnym marynarzy. Tawl nie miałby szans.

A może by miał? Kosiarz ruszył w stronę ulicy Burdelowej. Wyjątkowy talent rycerza wywodził się raczej z gniewu niż z mięśni i wynik walki nie byłby pewny. Niemniej jedno nie ulegało wątpliwości. Można było na tym zarobić forsy. Kupę forsy. Walka obrońcy diuka z najnowszą sensacją Brenu. Kosiarz już słyszał brzęk sypiących się na arenę monet. To była okazja, o jakiej wiecznie marzył Szybcior, a on, Kosiarz, mógł ja, wykorzystać!

Idąc ulicą., czuł coś dziwnego. Wrażenie przypominało ból brzucha, lecz było ulokowane wyżej i głębiej. Otaczało mu klatkę piersiową ciasną opaską. Początkowo starał się je zignorować, skupić myśli na tym, jak namówić Tawla na spotkanie z Blayzem. Ból jednak nie ustępował. Przeszkadzał mu, czynił

wyrzuty, nie dawał ani chwili spokoju. Kosiarz starał się go zlekceważyć jak objaw niestrawności, w głębi duszy wiedział jednak, że jest to poczucie winy.

Mciiii unosiła się we mgle zalegającej między snem a jawą. Maleńka cząstka jej umysłu, która zachowała jasność, podpowiadała, że sen jest najlepszym rozwiązaniem. Pewne nadal aktywne części jej brzucha, wręcz przysięgały, że tak jest.

Tanie halcuskie wino i egzotyczne południowe trunki stworzyły niezdrową mieszankę. Cały dzień płaciła słoną cenę za ich niezgodność. Jazda po wyboistej drodze wozem, który z pewnością pochodził sprzed pierwszego przyjscia Borca, również jej nie pomagała. Dręczyły ją mdłości.

Jej mózg sprzeciwił się żołądkowi i wybrał kurs ku jawie. Zauważyła, że zrobiło się już późno. Światło, które przesączało się przez jej powieki, miało złotą barwę i wisiało nisko: blask świecy. Ponadto od pewnego czasu do jej snów przenikały głosy sów i wilków. Zapach kadzidła i migdałów był równie silny, jak zawsze. Zdała sobie z niejakim opóźnieniem sprawę, że wóz się zatrzymał.

Usłyszała, że drzwi się otwierają, i poczuła zimny powiew, który wpadł do środka.

– Alysho, chcę zamienić z tobą słówko na

osobności – rozległ się głos Fiscela.

Zacisnęła powieki i znieruchomiła całkowicie.

– Lorro. – Był to cichy, kuszący głos Alyshy. – Wyjdź na moment na dwór.

– Ale jest zimno i ciemno. Prawie już zasypiam...

– Wyłaź natychmiast – rozkazała Alysha, przerywając skargi dziewczyny. – Albo każę ci zostać na zewnątrz całą noc.

– Nie ośmieliłabyś się.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Nie jesteś wiele warta, Lorro. Za twoje martwe ciało można dostać tyle samo, co za żywe.

Melli starała się powstrzymać drżenie, nie mogła jednak znieść zimnego tonu Alyshy. Odgłos trzaskających drzwi zaświadczył o skuteczności słów tej ostatniej. Lorra najwyraźniej postanowiła nie sprawdzać, czy brunetka blefuje.

– Czy nowej dziewczynie nic nie jest? – zapytał cicho Fiscel. Szelest jedwabiu sugerował wzruszenie ramion.

– Będzie żyła. Jej żołądek źle zniósł zioła zawarte w naparze, to wszystko.

– Jesteś pewna, że śpi?

– Cały dzień nawet się nie poruszyła.

– Świetnie – rzekł Fiscel. – Musimy pomówić o

tym, co zobaczyłaś nocą.

Do Melli dotarło wreszcie, co oznacza ucisk w brzuchu. Pilnie musiała załatwić potrzebę. Gdy pojęła ten fakt, ogarnęła ją desperacja. Zwinęła się w kłębek.

Głosy obojga rozmówców stały się jeszcze cichsze.

– Ona oznacza kłopoty – mówiła Alysha. – Nawet podróżowanie z nią może ściągnąć na nas nieszczęście.

– Skąd ta pewność? Skąd mam wiedzieć, że to nie jest tylko bredzenie pijanej baby?

– Za dobrze mnie znasz, by tak sądzić, Fiscelu – syknęła Alysha. – Nie dalej jak ubiegłej zimy uratowałam twoją skórę, ostrzegając cię przed nadchodzącą śnieżycą. Zignorujesz moje ostrzeżenia na własne ryzyko.

Rozległ się brzęk szkła, a potem plusk nalewanego płynu. Ów dźwięk był prawdziwą torturą dla pęcherza Melli.

– Co więc mi radzisz?

– Jak najszybciej ją sprzedać. W ten sposób nie staniemy się ofiarami jej przeznaczenia.

– Ale miałem zamiar zabrać ją za Suche Krainy – sprzeciwił się Fiscel. – Taka dziewczyna byłaby w Hanacie warta fortunę.

– Hanatta leży wiele miesięcy drogi stąd. Radzę ci pozbyć się jej jeszcze przed nowiem.

Dlaczego stanowiła aż takie zagrożenie? Cofnęła się w myślach do wczorajszego wieczoru. Piła, trochę jadła, ale więcej piła, a potem – ciało Melli zeszywniało pod lekkim wełnianym kocem – potem była próba. Całe jej ciało ogarnęła fala mdłości. Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Ta ohydna kobieta coś jej zrobiła, coś brudnego i szokującego. Oczy zaczęły ją szczypać. Musiała rozchylić powieki, by wypuścić łzy na zewnątrz. W tej chwili dostrzegła przelotnie Fiscela i Alysę. Zniekształceni przez płynące łzy, wyglądali jak potwory. Melli, która tak długo pyszniła się swą odwagą, poczuła się nagle samotna i przerażona.

Nóż, od wielu dni stanowiący dla niej jedyne źródło pociechy, wydał się jej nagle bezużyteczną zabawką. Nawet w tej chwili czuła jego chłodny, metaliczny dotyk. Borc jeden wiedział, w jaki sposób udało jej się go zachować po wczorajszym rozcięciu sukni. To jednak nie było już ważne. Tych dwoje ludzi, którzy omawiali czekający ją los z takim samym spokojem, z jakim z pewnością jej ojciec aranżował małżeństwo z Kylockiem, mieli nad nią władzę, której nie sposób było obalić nożem.

Wyglądało jednak na to, że dysponuje też inną bronią. Bali się jej. Podczas próby Alysha najwyraźniej coś odkryła.

– Jutro mijamy Highwall. Masz tam znajomych. To znowu była Alysha.

– Nie – sprzeciwił się Fiscel. – To zbyt blisko miejsca, w którym ją nabyliśmy. Nasz dobry kapitan mógłby się o tym dowiedzieć i odebrać nam prawo swobodnego przejazdu przez Halcus. – Rozległ się cichy szelest. Handlarz żywym towarem usadowił się wygodniej. – Jeśli tak bardzo pragniesz się jej pozbyć, najlepsze, co mogę ci zaoferować, to Bren. Jeśli pogoda się utrzyma, dotrzemy tam za niespełna tydzień.

– Ten sam kontakt, co poprzednio?

– Tak. Uzyskamy niezłą cenę, ale nasz przyjaciel w Hanatcie dałby nam dwa razy więcej.

– O ile zdołalibyśmy tam dotrzeć – odparła Alysha opryskliwym tonem. – Tam, skąd pochodzę, nazywamy takich jak ona złodziejami. Ich przeznaczenie jest tak mocne, że nagina losy innych ludzi do swych wymagań. A te, których nie może nagiąć, kradnie.

Melli była wstrząśnięta. Cóż w niej mogło być tak niebezpiecznego? Z jakiegoś powodu jej myśli zwróciły się ku Jackowi. Przypomniała sobie, jak w chacie hodującej świnię staruszki ujrzała przelotnie przeszłość. Przeszłość Jacka. Jeśli Alysha odkryła

jakiś jej fragment, znaczyło to, że widziała przyszłość piekarczyka, nie Melli. A może tylko się okłamywała? Dziewczyna przywołała zapamiętane strzępy wizji. Była w nich razem z Jackiem!

To przerastało jej zdolność pojmowania. Przeznaczenie, wizje, czary; wszystko to był obłąd. Jej ojciec całe życie zaprzeczał istnieniu podobnych rzeczy. Melli trudno było teraz uwierzyć, że przed spotkaniem z Jackiem była takiego samego zdania.

Ponownie skierowała uwagę na rozmowę dwojga ludzi, którzy mieli zdecydować, co się z nią stanie.

- W takim razie ruszamy do Brenu – mówił Fiscel.
- Kupimy tam nową dziewczynę.
- Jak sobie życzysz.

Najpierw zaszleścił cicho jedwab, potem blask świecy stał się nagle słabszy. Rozległ się osobliwy, siorbiący dźwięk, a potem ktoś wciągnął nagle powietrze do płuc. Melli zaryzykowała otworzenie oczu. Alysha była naga do pasa, a Fiscel całował jej piersi. Kruczowłosa kobieta nie zwracała uwagi na jego pieszczoty. Stała prosto jak włócznia, wpatrzona przed siebie. Dziewczyna natychmiast zacisnęła powieki. Zobaczyła już wystarczająco wiele.

Nie sposób było określić, jak długo tak leżała, wsłuchując się w ciche, rozpaczliwe odgłosy

wydawane przez zajętego uprawianiem miłości
Fiscela. Gdy wszystko się skończyło i Lorra wróciła do
wozu, Melli ucieszyła się z ciszy jak nigdy dotąd.

8

Maybor po raz trzeci w ciągu niespełna godziny przeklął zwłokę. Przeklął też swego padłego wierzchowca, a po kilku minutach zastanowienia również Baralisa.

Zbliżali się do Brenu. Mury miejskie lśniły niczym stal. W ich cieniu czekała przyczyna irytacji wielmoży: delegacja, która wyjechała im na przywitanie. Od ich spotkania upłynęło zaledwie kilka minut. Kluczowych minut, podczas których ludzie, którzy się liczyli, podejmowali decyzje. A on siedział na koniu, który nie należał do niego, pod siodło miał wciśnięty koc, który chronił obolały zadek, a płaszcz, który miał na ramionach, nie zmieniał już prawie tydzień!

Baralis – niech Borc przeklnie jego duszę – ratując Croke'a spod lawiny, zniszczył kufer, w którym Maybor trzymał piękne gronostajowe futro. Cóż za znaczenie miała śmierć sługi w porównaniu z utratą wspaniałego stroju? Niemniej jednak, reszta jego nowej, pospiesznie dobranej garderoby nie uległa

uszkodzeniu, a futra potrzebował jedynie wtedy, gdy zamierzał wyjść na dwór.

Pogonił konia naprzód: nie chciał, by ktokolwiek wątpił, że to on jest przywódcą grupy. Zabrzmiały rogi. Delegacja Brenu ruszyła mu na spotkanie.

– Witamy cię tego pięknego dnia, lordzie Mayborze – zawołał herold. – Twoja obecność przynosi zaszczyt naszemu miastu.

– To dla mnie zaszczytem jest tu przybyć – odpowiedział Maybor, zadowolony, że go znają.

– Prosimy o przywilej odprowadzenia cię do pałacu, gdzie czeka diuk.

– Z zadowoleniem podążę za wami.

Maybor pochylił z wdziękiem głowę, zajął pozycję na czele kolumny i wjechał do Brenu.

To co zobaczył, zaskoczyło go. Przytłoczyła go sama wielkość miasta. W porównaniu z nim Harvell wydawał się nędzną dziurą. Wzdłuż brukowanych ulic ciasno stały wysokie budynki, pod którymi zgromadziły się tysiące ludzi. Wszędzie widać było żołnierzy, którzy towarzyszyli ich drużynie i powstrzymywali tłumy. Przypiętych do pasów mieczy nie schowali do pochew. Diuk najwyraźniej był człowiekiem, który rozumiał wartość niewypowiedzianej groźby.

Okrzyki gawiedzi brzmiały dla uszu Maybora jak muzyka. Nie chciał tego małżeństwa, łatwo jednak było zauważyć, że niesie ono ze sobą chwałę. Był zdecydowany zagarnąć jej część dla siebie. Pomachał ręką do zgromadzonych, którzy odpowiedzieli mu z wigorem, krzycząc i wymachując sztandarami. Na wielu proporcach wymalowano czyjaś podobiznę. Maybor potrzebował dłuższej chwili, by się zorientować, że ta uśmiechnięta, przystojna twarz ma przypominać Kylocka. Nowy król może i był przystojny, Maybor nigdy jednak nie widział, by się uśmiechał.

Nim zdążył się zorientować, zbliżyli się już do pałacowych bram. Monotonne, brązowe i szare szaty tłumu ustąpiły miejsca ciemnoniebieskim strojom ceremonialnej gwardii. Bramy otworzyły się i wielmoża ujrzał przed sobą granitową twierdzę, która służyła diukowi jako pałac. Wciągnął gwałtownie powietrze, co okazało się lekkomyślnym posunięciem, gdyż jego ciągle obolałe płuca nie były przyzwyczajone do podobnej siły i zareagowały gwałtownym skurczem.

Rozdarty między zachwytem wywołanym widokiem pałacu a niedogodną koniecznością powstrzymania ataku kaszlu, Maybor stanął twarzą w

twarz z diukiem. Tak jak jego żołnierze, Garon z Brenu odziany był w ciemnoniebieski strój i miał u swego boku taki sam nagi miecz jak oni. Był szczupły jak wojownik, a najbardziej rzucającą się w oczy cechą jego wyglądu był arystokratyczny, haczykowany nos. Diuk podjechał do Maybora i wyciągnął rękę na przywitanie. Obaj mężczyźni wymienili wojskowy uścisk dłoni, uważając, by nie okazać słabości. Na dziedzińcu pełno było ludzi. Wszyscy – od szlachty aż po stajennych – milczeli, gorąco pragnąc usłyszeć słowa, jakie wymienią ci dwaj.

– Witaj, przyjacielu – odezwał się diuk.

Maybor zdawał sobie sprawę, że wszystkie oczy zwrócone są na niego. Poszukał w pamięci słów, które mogłyby zrobić wrażenie na breńskim dworze.

– W imieniu Jego Królewskiej Wysokości króla Kylocka, suwerena Czterech Królestw z radością przyjmuję twą gościnność – powiedział.

Co za dureń, myślał Baralis, gdy tłum zaczął szemrać nerwowo. To nie był czas ani miejsce na to, by powiadomić Bren o śmierci starego króla.

Twarz diuka wyraźnie pobladła. Na całym dziedzińcu nie było nikogo, kto by tego nie zauważył. Baralis dobrze znał władcę Brenu. Nie był on człowiekiem skłonny do publicznego okazywania

emocji. Ta bladeść mówiła więcej niż morderczy szal. Maybor zapłaci za to życiem!

Wiadomość rozniesie się po mieście, nim zdążą zasiąść do uczy. Wszyscy będą powtarzać: „Kylock jest teraz królem, a diuk był wstrząśnięty, gdy o tym usłyszał!”

Baralis podjechał bliżej czoła. To poruszenie przyciągnęło wzrok zebranych. Maybor obrzucił go wzgardliwym spojrzeniem. Ten człowiek nie miał pojęcia o dyskrecji. Diuk pozdrowił królewskiego kanclerza lekkim pochyleniem głowy. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał zimno.

– Lordzie Baralisie, czy mógłbyś mnie poinformować, kiedy umarł król Lesketh?

Kanclerz spojrział w wyrachowane oczy Jastrzębia.

– Zmarł spokojnie we śnie dwa tygodnie po naszym odjeździe z Harvellu, Wasza Miłość. Wiadomość przyniósł nam posłaniec.

– Jego Wysokość upraszał mnie, bym cię poinformował, że nadal gorąco pragnie tego związku.

To był Maybor, zdeterminowany dopilnować, by o nim nie zapomniano.

Jastrząb z Brenu – jak zwali go wrogowie – zignorował słowa grubasa. Uniósł odzianą w rękawicę dłoń, zawrócił konia i ruszył w stronę pałacu. Świta

podążyła za nim na wewnętrzny dziedziniec. Tłum uniósł ze sobą Baralisa i Maybora.

Diukowi nie spodobało się, że dowiedział się o śmierci Lesketha w tej samej chwili, co stajenni. Należało załatwić to inaczej. Powinni poinformować go o tym na osobności i pozwolić, by sam zdecydował, jak i kiedy powiadomić o tym poddanych.

Baralis zatarł obolałe dłonie. Być może uda mu się skorzystać na niedyskrecji Maybora. Diuk był dumnym człowiekiem i nie będzie patrzył przychylnie na kogoś, kto zrobił z niego durnia. Odszukał w ciżbie jego postać. Zsiadł z wierzchowca i wydawał polecenia koniuszemu. Następnie wymknął się przez boczne drzwiczki. Nie tracąc ani chwili, królewski kanclerz zeskoczył z konia i podążył za nim.

Była to stara część pałacu. O jej wieku świadczyły wilgotne kamienie. Przed wieloma stuleciami wzniesiono tu fortecę, którą potem zastąpił zamek, jeszcze później zaś potężna cytadela. Baralis podziwiał umiejętności budowniczych. Wykonali znakomitą robotę. Gmach wyglądał na piękny pałac, pozostawał jednak wojenną twierdzą.

Całe miasto otaczały mury. Tak jak słoje znaczą wzrost drzewa, każdy diuk wzmacniał blanki na tysiąc drobnych, nie rzucających się w oczy sposobów. Tylko

głupiec mógłby zlekceważyć potęgę fortyfikacji Brenu.

Baralis wyciągnął rękę i dotknął kamiennej ściany. Była to niemal pieszczota.

– Czyżbym wyczuwał w twym dotyku pragnienie posiadania, lordzie Baralisie?

To był diuk. Jego głos brzmiał zimno. Nie słyszało się w nim nawet śladu wesołości.

– Nie – zapewnił Baralis, zwracając się w jego stronę. – Tylko podziw.

– W takim razie zapewne powinienem uznać to za pochlebstwo – stwierdził diuk. – Nie za groźbę.

Był bystry, zbyt bystry. Baralis szukał sposobu na odwrócenie uwagi od tak niebezpiecznego tematu.

– Przyszedłem tu, by przeprosić za niedyskrecję lorda Maybora.

– Przeprosiny mnie nie interesują, lordzie Baralisie. Czy Kylock podjął jakieś działania przeciw Halcusom?

Jastrząb przeszedł wprost do sedna. Zaczął już rozważać wpływ, jaki wywrze przejęcie tronu przez Kylocka na jego północnych sąsiadów. Baralis bardzo się cieszył, że są sami. Nie było tu nikogo, kto mógłby zaprzeczyć jego kłamstwu.

– Nie interesują go przygraniczne utarczki. Całą uwagę skupił na dworze.

Diuk nie dał się przekonać.

– Miasto Bren sądziło, że dostanie księcia.

– A jak długo, twoim zdaniem, miał zachować ten tytuł? Dla nikogo nie było tajemnicą, że królowi Leskethowi bardziej przydaje się łożo boleści niż korona.

– Spodziewałem się, że Kylock pozostanie księciem, dopóki małżeństwo nie zostanie skonsumowane. – Diuk postąpił krok naprzód. Jego twarz wyłoniła się z cienia. – Nazwijmy rzecz po imieniu, lordzie Baralisie. Północ już teraz czuje się zaniepokojona tym małżeństwem. Kylock na tronie to zła wiadomość. Kylock wygrywający bitwy to groźba.

– Nie zauważyłem, byś był gołąbkim pokojem.

– Polityka Brenu to wyłącznie moja sprawa – warknął diuk.

– Nawet wtedy, gdy dotyczy wszystkich na południowym wschodzie? – Baralisa niełatwo było zastraszyć. – Tyren miał szczęście, że znalazł w Brenie sojusznika. Ostatnio rozpaczliwie brakowało mu przyjaciół.

– Rycerze padli ofiarą prześladowań. Bren oferuje im bezpieczne schronienie.

– Powiedz, mi, Wasza Miłość – zapytał Baralis – odkąd to wspomaganie breńskich wojsk na polu bitwy nazywa się bezpiecznym schronieniem?

Mięśnie twarzy diuka zastygły w gwałtownym skurczu. Jego szczupłe policzki nie zawierały ani grama tłuszczu.

– Tyren robi, co uznaje za stosowne. Nikt go nie zmuszał, by służył mi pomocą.

– To bardzo dogodna przyjaźń. Ty pilnujesz, by nikt nie szkodził handlowi prowadzonemu przez rycerzy, a w zamian oni walczą po twojej stronie i pomagają finansować twe kampanie. – Diuk chciał mu przerwać, lecz Baralis uniósł rękę w ostrzegawczym geście i słowa uwięzły mu w gardle. – Nie opowiadaj mi o niepokoju na północy, Wasza Miłość. Wiesz bardzo dobrze, że to Bren budzi te obawy, nie królestwa.

Diuk pochwycił w dłoń rękojeść miecza. Między jego palcami zalśniły zdobiące go klejnoty.

– Lordzie Baralisie – powiedział. – Udzielę ci ostrzeżenia tylko raz i radzę ci, byś mnie uważnie wysłuchał. Nie próbuj rzucać mi wyzwania. To byłby błąd. Możesz sobie sprawować władzę w Harvellu, ale tutaj, w Brenie, to ja jestem prawem. Mówię ci wyraźnie, że to małżeństwo zostanie zawarte tylko wtedy, gdy uznam to za stosowne. I na moją decyzję nie wpłynie żaden drugorzędny szlachcic z dworu, na którym zbyt długo już panuje zastój.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając Baralisa samego, by przetrawił jego słowa.

Tavalisk przesuwiał palce po necie. Czuł się zbyt wycieńczony, by w niego dmuchać. Cztery dni ograniczania jedzenia omal go nie wykończyły! Głód uczynił go złośliwym. Tylko dzisiejszego popołudnia zdążył zaplanować odpowiedni program kar dla swych lekarzy, nową metodę tortur dla rycerzy, których trzymał w lochach oraz sposób na to, by ukarać grzywną wszystkich muzyków. Ta eksplozja błyskotliwości zaostrzyła jedynie jego apetyt. Umysł arcybiskupa zaprzętał wyłącznie następny posiłek.

Jedyny źródło pociechy leżało u jego boku: *Księga stów* Maroda. Gdyby kiedykolwiek potrzebował powodu, by żyć tak długo, jak tylko będzie to możliwe, wystarczyło, by zajrzał do tego woluminu. Konflikt w Znanych Krainach był już niemal pewny i według Maroda to on, Tavalisk, miał odegrać kluczową rolę w jego rozstrzygnięciu. Arcybiskup nie miał zamiaru umierać, dopóki nie wypełni swej misji aż do końca.

Z tą myślą szarpnął za sznurek dzwonka. Lekarze byli w błędzie: niezjedzona kolacja zabije go szybciej niż tysiąc uczt.

Niestety na sygnał zareagował jego sekretarz.

– Gamilu, pociągnąłem za sznurek w nadziei, że mnie nakarmią, nie zanudzą.

– Sądziłem, że lekarze zalecali dietę złożoną z chleba i muzyki, Wasza Eminencjo.

– W tym tygodniu nasłuchałem się już tyle muzyki, że wystarczy mi na całe życie. Przysięgam, że każę wychłostać i powiesić każdego grajka w Rornie. – Tavalisk uśmiechnął się słodko. – Grasz, na jakimś instrumencie, Gamilu?

– Niestety brak mi zdolności muzycznych, Wasza Eminencjo.

– Któregoś dnia musisz mi wyjaśnić, na czym właściwie polegają twoje zdolności. Osobiście nie dostrzegam w tobie nic nadzwyczajnego poza niezwykłym talentem do irytowania mnie, – Arcybiskup wyciągnął rękę i dźgnął fletem kota. Stworzenie syknęło nadzwyczaj zadowolająco. Muzyka miała jednak pewne zalety. – Skoro już tu jesteś, Gamilu, możesz mi równie dobrze powiedzieć, czego się dowiedziałeś podczas ostatniego wypadu.

– Aresztowano szpiega, Wasza Eminencjo. Pozwoliłem sobie przesłuchać...

– Pozwoliłeś sobie, Gamilu! – Przerwał Tavalisk, poirytowany tym, że ominęła go przednia rozrywka, jaką były dobre tortury. – Chcesz powiedzieć, że

kazałeś kogoś przesłuchać bez mojej wiedzy i zgody?

– Sądziłem, że Waszą Eminencję ucieszy len przejaw inicjatywy.

– Gdyby zależało mi na inicjatywie, Gamilu, nigdy w życiu bym cię nie zatrudnił. – Mały palec Tavaliska ugrzązł w jednym z otworów fletu. Zdając sobie sprawę, że to nie jest odpowiednia chwila na niegodne zachowanie, arcybiskup skrył dłoń razem z instrumentem pod szatą. – Jeszcze jedna podobna pomyłka, a będę zmuszony sam przejąć inicjatywę i cię usunąć. A teraz mów. Twarz Gamila ukazała z trudem skrywaną złość.

– Stary wysłał dwóch ludzi do Brenu. Najwyraźniej opuścili miasto przed dwoma dniami.

– Hmm. Zemsta za śmierć Bevlina jest nieunikniona. Stary z pewnością kazał uśmiercić rycerza. – Tavalisk zawzięcie usiłował uwolnić palec z fletu. – Czy nasz były szpieg okazał jakieś wyrzuty sumienia z powodu popełnionej zdrady?

– Na chwilę przed wyrwaniem lewej ręki ze stawu okazał niejaką skruchę.

– Słyszę to z przyjemnością. Gamilu. Muszę udzielić ci pochwały za rozsądne użycie tortur. – Tavalisk uznał, że przed chwilą posunął się odrobinę za daleko i spróbował zneutralizować groźbę. – Coś

jeszcze?

– Rycerze z Valdis zrobili się śmielsi. Wasza Eminencjo. Odkąd zdobyli poparcie Brenu, nieustannie przysparzają nam trudności. Pogłoski mówiące, że zagarniają wszystkie rornijskie towary transportowane na północ, okazały się prawdziwe. Tuż za Ness skonfiskowali dziesięć wozów solonych ryb oraz siedemdziesiąt sztuk najprzedniejszego jedwabiu.

Tavalisk ucieszył się z tej wiadomości. Wreszcie mógł podjąć zdecydowane kroki przeciw Tyrenowi i jego świeckim przyjaciołom. Był akurat w odpowiednim nastroju, by zacząć ofensywę.

– Wyślij do Toolay, Marlsu i Camlee pisma z żądaniem, by każde z tych miast wystawiło po pięciuset żołnierzy, aby zapewnić bezpieczeństwo towarom z południa. Poinformuj ich, że Rorn wyśle podobny oddział. – Arcybiskup zastanowił się chwilę. – Pięciuset rornijskich żołnierzy otrzyma rozkaz zabijania wszystkich napotkanych rycerzy, nawet tych, którzy nie będą konfiskowali żadnych towarów.

– Ależ, Wasza Eminencjo, inne mocarstwa nie zgodzą się patrolować szlaków handlowych, jeśli Rorn wykorzysta to do prywatnej wendety.

– Inne mocarstwa nie dowiedzą się o tym rozkazie, dopóki nie będzie za późno. Do momentu, gdy któryś z

naszych ludzi nie zamorduje rycerza na neutralnym terytorium, nikt nie będzie sądził, że działał wyłącznie w imieniu Rornu.

– W ten sposób wina spadnie również na inne południowe mocarstwa.

– Tak jest, Gamilu! Toolay i Marls mogą sobie oszczędzić wysiłków. Nic nie oskarża wymowniej niż gwałtowne zaprzeczenia. Tak czy inaczej, nie będzie czasu na szukanie winnych. Takie konflikty zawsze niesamowicie szybko się rozszerzają.

Arcybiskup westchnął.

– Wasza Eminencja jest bardzo sprytny.

– Dziękuję, Gamilu. – W swym podnieceniu, Tavalisk wepchnął palec jeszcze głębiej w otwór fletu. Wciąż kryjąc dłoń pod szatą, rozpaczliwie starał się go uwolnić. – Oczywiście trzeba będzie zachować znaczną ostrożność.

Spojrzenie Gamila powędrowało ku kolanom arcybiskupa. Na jego twarzy pojawił się na chwilę wyraz oszołomienia.

– W rzeczy samej – powiedział wreszcie.

– Nie zamierzam wciągać południa w wojnę, która jest wewnętrzną sprawą północy – kontynuował Tavalisk. – Nie. Niech północne państwa rozstrzygną to między sobą. Szukam tylko sposobu na

przyspieszenie biegu spraw. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nasi południowi przyjaciele z radością zgodzą się na każdy plan, który pozwoli im przegnać rycerzy daleko od ich drzwi.

– Wasza Eminencja wdaje się w niebezpieczną grę.

– Tylko w takie gry warto się angażować, Gamilu. Tavalisk odesłał sekretarza. Polityczne rozgrywki podnieciły go tak, że zapomniał mu zlecić zwyczajowego, ponizającego zadania. Gdy tylko drzwi się zamknęły, ponownie skierował uwagę na flet. Zdał sobie sprawę, że nie da rady wyciągnąć z niego palca, roztrzaskał więc instrument o biurko. Drewno pękło, a drzazgi skaleczyły go. Arcybiskup wzruszył ramionami, uniósł palec do ust i zaczął ssać krwawiący koniuszek. Będzie mu to musiało wystarczyć do następnego posiłku.

Czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt, koniec. Jack wyprostował plecy. Jego kręgi strzyknęły na znak protestu. Zbyt wiele czasu spędził pochylony. Sześć noży, z których każdy przeciągnął po osetce pięćdziesiąt razy. Sprawdził ostrość ostatniego na kosmyku własnych włosów. Wykonał dobrą robotę.

Rovas nalegał, by chłopak nauczył się dbać o jego bogaty arsenał. Dlatego też Jack spędził większą część dnia na objaniu skórą maczug, oliwieniu noży,

wiązaniu cięciw i usuwaniu rdzy z grotów włóczni. Cieszyła go ta prosta dyscyplina, obowiązki do wykonania, zwłaszcza że teraz, nie tak jak na zamku, w każdej chwili mógł odejść. Z przyjemnością robił użytek ze swych mięśni, pocił się i ciężko pracował. Dzięki temu nie myślał tak wiele.

Odgarnął włosy z czoła. Były już zdecydowanie za długie. Frallit na sam ich widok chwyciłby za nóż. Jack zamarł ze sztyletem w ręku, zastanawiając się, czy je ścinać. Były gęste i zmierzwione, a zimowe słońce sprawiło, że wśród ich brązu pojawiły się wysepki złota. Gdy nóż opadł w dół, przeciął krowią skórę nie włosy. Jack zrobił opaskę i związał swą grzywę z tyłu. Nie musiał już przestrzegać niczyich zasad.

Zadowolony z tej drobnej demonstracji niezależności, wrócił do chaty. To dziwne, że przed zaledwie dwoma dniami czuł nieodpartą potrzebę odejścia stąd. Nadal nie rozumiał dlaczego. Co znaczył dla niego Bren? Do tej chwili pamiętał ową niecierpliwość. Czuł się wówczas tak, jak w Zamku Harvell, gdy całą noc nie mógł zasnąć, rozpaczliwie pragnąc odnaleźć przygody i poczucie celu. Gdy jednak nadchodził świt, tajemniczy pęd wygasał.

Chata przyniosła mu schronienie przed zimnem. Ogień płonął jasno. W jego blasku mieszkańcy

wyglądali jak rodzina. Magia siedziała na wysokim krześle, zajęta szyciem, a Tarissa przygotowywała gulasz. Jack nagle zaczął zazdrościć Rovasowi, którego każdej nocy witał w domu taki sam widok: dwie czekające na niego kobiety, szczapy tłące się na palenisku i gorąca strawa.

Sam Rovas był zajęty jedną ze swych podejrzanych praktyk. Wdmuchiwał powietrze w baranie udźce. Gdy rozdał ścięgnię niczym miechy, mięso wydawało się tłustsze i bardziej soczyste niż w rzeczywistości. Jack cieszył się, że będący zarazem oszustem przemytnik nie wyznaczył tego zadania jemu.

Magia zaczęła ustawiać na stole kolację: kruszący się chleb, pieczone kurczaki nadziewane jabłkami i orzechami, gulasz z królika i rzepy duszone w jabłeczniku. Przemytnik zawsze mógł być pewien tego, że będzie jadł dobrze. Zasiedli za stołem i wzięli w ręce noże. Tak jak w większości wiejskich domów, nie rozmawiało się tu podczas jedzenia.

Jack nadal nie zdołał dowiedzieć się, co właściwie łączy tych troje ludzi. Z początku sądził, że Rovas i Magra są mężem i żoną, okazało się jednak, że tak nie jest. Stanowili osobliwą grupę: Magia ze swymi eleganckimi manierami i chłodnym zachowaniem. Rovas ze swym rubasznym humorem i pogardą dla

konwenansów oraz Tarissa, stojąca gdzieś pośrodku. Brak jej było szlacheckiej wyniosłości matki, była od niej delikatniejsza, bardziej swobodna. Zachowała coś jednak z jej charakteru. Być może dumę.

Jedzenie było pyszne, ostro doprawione ziołami i przyprawami, które lubili Halcusowie. Jack wykorzystywał fakt, że siedzą razem za stołem, i spoglądał ukradkiem na Tarysę. Od chwili, gdy wrzucił tygodniowy zapas jedzenia do paleniska, nie miał szansy, by z nią porozmawiać. Nadal pamiętał jej pocałunek. Całował się już przedtem. W Zamku Harvell pełno było dziewcząt chętnych obdarzyć chłopaka przelotnym całusem w usta. Niektóre oferowały również języki i delikatne piersi. Całował się nawet z córką możnowładcy, Melli. Pocałunek Taryssy znaczył jednak więcej. Miał w sobie moc i tajemnicę, którą potrafiły obdarzać jedynie starsze kobiety.

Jack przypuszczał, że jest co najmniej pięć lat starsza od niego. Była kształtna, średniego wzrostu, a łuki jej bioder wyglądały znacznie bardziej kusząco niż u młodej dziewczyny. Jack obserwował ją podczas posiłku. Miała nie gorszy apetyt niż Melli. Ogryzała kości, popijając mięso kolejnymi kubkami jabłeczniaka. W przeciwieństwie jednak do Micii, pomagała

przygotowywać to, co jadła. Sama zrobiła ciasto i rosół. Umiała rozpalić ogień na kominku i przygasić go na noc. Dłonie miała pokryte zgrubieniami, ramiona umięśnione, a twarz pokrytą piegami od słońca. Nie była wysoko urodzoną damą. Była przyzwyczajona do ciężkiej pracy i świeżego powietrza. Jack przyglądał się z podziwem, jak zawija resztki sera w tkaninę, którą uprzednio skropiła *ale*. Mógłby się zaprzyjaźnić z podobną dziewczyną.

Nie był jednak pewien, czy przyjaźń wystarczy. Jego spojrzenie powędrowało ku twarzy Tarissy. Zobaczył, że jej usta lśnią od kurzego tłuszczu, policzki zarumieniły się od jabłeczniaka, a skóra pokryła potem od ciepłego jedzenia i żaru ognia. Jego kropelka zebrała się w zagłębieniu szyi. Gdy stała się dostatecznie ciężka, spłynęła na piersi. Jack śledził ją wzrokiem. Ściekała po jasnej skórze, aż wreszcie skryła się pod tkaniną sukni.

Tarissa podniosła wzrok i zauważyła, na co się zapatrzył. Ku swemu przerażeniu, poczuł, że cię czerwieni.

– Ale tu gorąco, co?

Uśmiechnęła się, jak kobieta, która wie, że doceniono jej uroki.

Jack ucieszył się, że pomogła wytłumaczyć jego

rumieniec, wstydził się jednak tego, że złapała go na przyglądaniu się jej piersiom. Chcąc to ukryć, wypowiedział pierwsze słowa, które przyszły mu na myśl:

– Obawiam się, że dla mnie trochę za gorąco. Chyba wyjdę na chwilę na dwór.

– To niezły pomysł – pochwaliła go Tarissa. – Pójdę z tobą. Jack był zbyt zaskoczony, by zdobyć się na jakąś odpowiedź.

Jego problem rozwiązała Magra.

– Jest już za późno, byś wychodziła z domu, Tarrisso – powiedziała.

– Ehe, i za zimno – dodał Rovas.

Chłopak zrozumiał, że oboje szukają tylko pretekstów, które pomogłyby ukryć fakt, że nie chcą, by znalazł się sam na sam z Tarissą. Było to trochę dziwne, gdyż zostawili ich samych zaledwie trzy dni temu. Dziewczyna jednak nie zamierzała im ustępować.

– Nonsens – rzuciła. – Ubiorę się ciepło i pójdę tylko do bramy.

Obdarzyła Jacka uśmiechem intrygantki.

Podeszli razem do drzwi. Tarissa zarzuciła płaszcz. Jack czuł na sobie ciężar pełnych dezaprobaty spojrzeń. Z jakiegoś powodu Rovas sprawiał wrażenie

bardziej poirytowanego od Magry.

Gdy jedli kolację, zapadła noc. Niebo było czarne. Nie było widać księżyca ani gwiazd, które rozproszyłyby mrok. Nie doszli nawet do bramy. Usiedli na murku, który stanowił część mleczarni. Jedynym źródłem światła było zasłonięte okiennicami okno chaty.

Tarissa zwróciła się w stronę Jacka.

– A więc podobają ci się moje piersi, co?

Jack uśmiechnął się mimo woli. Odpowiadała mu jej bezceremonialność, a nagła intymność przeszła go dreszczem. To jedno zdanie uczyniło ją w jego oczach kobietą światową, śmiałą i nie skrywającą swej seksualności. Przeklinał się za to, że nie potrafi wymyślić odpowiednio szarmanckiej i ryzykownej odpowiedzi.

Tarissy jednak w najmniejszym stopniu nie skonsternowało jego milczenie.

– Przyznajesz, że gapiłeś się na mnie przy kolacji?

– Poczulałabyś się urażona, gdybym powiedział „tak”?

– Raczej gdybyś powiedział „nie”. Kobiety lubią czuć się atrakcyjne.

– Z pewnością nie potrzebujesz do tego moich spojrzeń. Uśmiechnęła się. Krzywizna jej policzka

zaśniła w bijącym z okna blasku.

– Ile masz lat, Jack?

– Dwadzieścia jeden – skłamał.

– No cóż, jesteś wystarczająco wysoki i tak szeroki w barach, jak tylko można zapragnąć, ale twoja twarz mówi co innego niż ciało.

Roześmiała się. Był to ciepły, miły dźwięk. Zdaniem Jacka tego właśnie było potrzeba, by wynagrodzić brak gwiazd.

– Mam osiemnaście.

– Ach. – Tarissa oparła się wygodnie o ścianę. – A chcesz wiedzieć, ile ja mam?

– Nie.

Wreszcie udało mu się powiedzieć coś, co sprawiło jej przyjemność. Pochyliła się ku niemu. Jej płaszcz się rozchylił. Wgłębienie między piersiami było pełne cieni. Dotknęła delikatnie ustami jego ust. Wargi miała miękkie i wciąż jeszcze słone od kurzego tłuszczu, a język soczysty i smakujący jabłeczniakiem. Ich ciała niemal spontanicznie zbliżyły się do siebie. Dłonie Jacka powędrowały ku jej biodrom. Jego ślina opłukała jej podniebienie do czysta i poczuł ukryty pod pozostałościami kurczaka smak kobiety. Tarissa cofnęła się gwałtownie. Jej klatka piersiowa falowała, uwydatniając wypukłość biustu. Jack nie potrafił

zidentyfikować wyrazu jej twarzy. Zdjęła delikatnie jego dłoń ze swych bioder.

– Może jednak jesteś dla mnie za młody.

To był okrutny cios i Tarissa z pewnością świetnie o tym wiedziała, gdyż unikała jego spojrzenia. Jack był zbity z tropu, lecz nie zaskoczyło go to. Spędził wiele czasu na słuchaniu rad Gritta dotyczących płci pięknej. Jedynym szczegółem, co do którego zamkowy strażnik nigdy nie zmieniał zdania, był fakt, że kobiety rodzą się po to, by dezorientować mężczyzn. Wiedział, że Tarissa była bardziej niż chętna. Jej język służył mu za przewodnika. Niezaspokojone pożądanie przerodziło się w gniew.

– Dlaczego się cofnęłaś? – zapytał łapiąc ją za nadgarstek.

– Powiedziałam już. Mam ci to powtarzać dwa razy, jak niańka niemowlakowi?

Chłopak natychmiast uniósł rękę. Tylko maksymalnym wysiłkiem woli powstrzymał się przed spoliczkowaniem Tarissy. I ona o tym wiedziała.

– Powiedz prawdę – zażądał, nadal trzymając ją drugą ręką za nadgarstek. – Kim jestem dla ciebie? – Natychmiast stało się dla niego jasne, że jego pytanie sięga głębiej niż to, co wydarzyło się między nimi tego wieczora. – Odkąd tu mieszkam, nie słyszałem nic

oprócz kłamstw i wykrętów. Dlaczego tak bardzo zależy wam na zamordowaniu kapitana? I co naprawdę stało się z Melli? – Jack dygotał. – Byłaś tam tego dnia, gdy ją zamordowano. Powiedz mi, co widziałas.

Tarissa zwróciła się ku światłu.

– Puść moją rękę, a opowiem ci wszystko, co wiem.

Jack usłuchał dziewczyny. Na widok czerwonych pręg, które zostawił na jej skórze, poczuł przelotne wyrzuty sumienia. Ukrył je jednak starannie. Gniewem zdobył więcej niż umiarkowaniem.

Rozległo się pohukiwanie sowy. Jej złowróżbny głos obwieszczał nadejście najczarniejszych godzin nocy, poświęconych czarom, oszustwom i zapewne jeszcze gorszym rzeczom. Wiatr, który dotąd był zimny, lecz słaby, zaczął dąć silniej. Jego chłód przeniknął chłopaka aż do kości. Tarissa zaczęła mówić:

– Nie widziałam wtedy wiele. Musiałam pozostać w ukryciu. Nie mogłam ryzykować, że zauważą mnie strażnicy. Byłam dość daleko, wśród otaczających staw drzew, gdzie ułożyłeś na spoczynek zabitego. Zauważyłam zbliżających się jeźdźców. Dwóch z nich, kapitan i jego zastępca, weszło do kurnika i zamknęło za sobą drzwi. Spędzili tam niespełna godzinę. Potem

wyszli na zewnątrz. Na maczudze zastępcy były ślady krwi. Później, gdy jeźdźcy się oddalili, zesłam do kurnika. Dziewczyna, Melli, leżała martwa na ziemi.

Jack poczuł skurcz w żołądku i suchość w gardle. Melli cierpiała więcej niż mu się zdawało. To on powinien był zginać. Nie trzeba było jej wtedy zostawiać. Jego myśli przestawiły się nagle na inny tor, jakby chciał się obronić przed udręką poczucia winy.

– A więc ciało nadal tam leży?

– Nie, nie – zaprzeczyła pospiesznie Tarissa. Nie chciała patrzeć mu w oczy. – Następnego dnia kapitan wysłał po nie dwóch żołnierzy.

Sowa zahuczała po raz drugi. Jack odniósł wrażenie, że niewidoczny drapieżca potwierdza jego obawy. Tarissa nie mówiła całej prawdy. Przyjrzał się jej tak dokładnie, jak tylko było to możliwe w ciemności. Spuściła wzrok, a ścięgno na jej szyi delikatnie drgało, ale to dłonie ją zdradziły. Szarpała tkaninę sukni z taką siłą, że zaczynała się rozrywać.

Jack chwycił dziewczynę za barki i zaczął nią potrząsać.

– Chcę usłyszeć prawdę!

– Spokój, Jack.

To był Rovas. W jego głosie brzmiała nieskrywana groźba. Tarissa cofnęła się i spojrzała na przemytnika.

– Wracaj do domu, Tарisso – rozkazał. Stała jak wryta. – Chcę porozmawiać z Jackiem jak mężczyzna z mężczyzną. Idź już.

Tарissa nie ruszała się jeszcze przez chwilę, po czym skierowała się w stronę chaty. Czekali w milczeniu, aż zamkną się za nią drzwi. Rovas zwrócił się w stronę Jacka.

– Jeśli jeszcze raz dotkniesz choć włosa na jej głowie, Borc mi świadkiem, że cię zabiję.

Chłopaka niemal ucieszyła ta groźba. Jego gniew znalazł wreszcie uzasadniony cci.

– Nie byłbym taki pewien, że ci się to uda.

– Nie masz ze mną szans, chłopcze. – W głosie Rovasa pobrzmiwała wzgarda. – Jesteś tylko przerośniętym młodziakiem. Ledwie potrafisz utrzymać miecz w rękach.

– Są rzeczy groźniejsze niż broń.

Przemytnik przyjrzał mu się uważnie. Oczy na jego nalanej twarzy przerodziły się w wąskie szczeliny. Przez kilka chwil obaj mężczyźni spoglądali na siebie. Wtem, ku zaskoczeniu Jacka, Rovas klepnął go mocno w plecy.

– Nieźle potrafisz zastraszać ludzi. Jack – powiedział. – Myślałeś kiedyś o tym, żeby przyłączyć się do Halcusów? Zastraszanie jest jedynym

elementem żołnierskiego rzemiosła, który traktują poważnie.

Roześmiał się wesoło z własnego żartu.

Jack czuł, że przemytnik stara się uspokoić go żartem. Ustąpił, lecz nie dlatego, by jego słowa wydały mu się zabawne.

Śmiech urwał się równie nagle, jak się zaczął. Rovas położył rękę na ramieniu Jacka w ojcowskim geście.

– Posłuchaj, przyjacielu. Miałeś rację, twierdząc, że Tarissa nie powiedziała ci prawdy. Nie miej do niej pretensji. Chciała jedynie oszczędzić twe uczucia. – Rovas zaczerpnął głęboko tchu, wciągając w płuca mrok nocy. – Dziewczynę zgwałcono, a potem pobito. Kiedy znalazła ją Tarissa, miała odciętą głowę.

Raz jeszcze uściskał ramię Jacka, po czym wrócił do chaty. Sowa odezwała się po raz trzeci. Chłopak niemal jej nie słyszał. Oparł się o ścianę i wybuchnął płaczem.

9

Baralis podszedł do okna, otworzył zatrzask i wyjrzał na jezioro. Pod północnym murem pałacu

diuka ciągnęła się woda, nie ziemia. Wczesnoporanna mgła pozbawiła tafłę blasku, odbierając panoramie cały rozmach i wspaniałość. Najgorszym co niosła ze sobą mgła była jednak towarzysząca jej wilgoć.

Kanclerz zatarł dłonie. Bolały go tak dotkliwie, że miał ochotę je sobie odciąć. Zastanawiał się, czy nie powinien pójść do zarządzającego pałacem i zażądać, by przeniesiono go do komnat położonych dalej na południc. Postanowił jednak tego nie robić. Uznano by to za oznakę słabości, którą diuk – silny zarówno na ciele, jak i na umyśle – mógłby wykorzystać. Lepiej cierpieć niż być uznanym za słabeusza.

Wezwał Croke'a i kazał mu przygotować uroczyste szaty oraz wypolerować stanowiący oznakę jego urzędu łańcuch. Maybor miał rację. Tytuł posła księcia był bezwartościowy. Pora już, by wystąpił jako królewski kanclerz.

Dziś w nocy miała się odbyć uczta powitalna. Diuk okazał uprzejmość, odwlekając ją całą dobę, by dać znużonym wędrowcom szansę odpoczynku. Baralis wykrzywił usta w grymasie na myśl o tym naruszeniu obowiązujących zasad. Czcigodny diuk nie kierował się uprzejmością, lecz ostrożnością. Dzisiaj będzie mógł się przekonać, jak przyjęto w Brenie wiadomość o niedawnym wyniesieniu Kylocka na tron. Wyda

służbie rozkazy dopiero wtedy, gdy się upewni, że plany małżeństwa wciąż mają wystarczające poparcie.

Jastrząb nie zrezygnował ze zdobyczy. Och, ostrzegł Baralisa, ten jednak potrafił odróżnić prawdziwe zastrzeżenia od tych, wygłaszanych na pokaz. Diuk potrzebował sojuszu z królestwami. Nie tylko nie miał męskiego dziedzica, lecz na dodatek jego miasto zużywało tak wiele zboża i drewna, że nie było już w stanie zaopatrywać się w nie samo. Przymierze z rycerzami wciągnęło go w kłopoty na południu, a anektując okoliczne wsie i miasteczka ściągał na siebie kłopoty na północy. Na dodatek, chciał zdobyć tytuł królewski. Przymierze z królestwami zapewni mu bogactwo, potęgę i honory.

Diuk mógł nie być zadowolony z faktu, że Kylock wstąpił już na tron, nie pozwoli jednak, by owo niezadowolenie przeszkodziło w zawarciu małżeństwa. Po prostu wygodnie było udawać, że tak się może stać.

Baralis ruszył w dół, do wnętrza pałacu. Posuwał się powoli, zatrzymując się wielokrotnie, by podziwiać sztukę budowniczych, którzy potrafili tak grubym murem nadać podobny wdzięk. Za niespełna rok to on, nie diuk, będzie władał tym miastem. Już w tej chwili, gdy Baralis schodził po schodach, by przywitać gospodarza, na górze, w jego komnatach, Croke

rozpakowywał trucizny, które pozbawią Jastrzębia życia.

Nie spotka go nagły, podejrzany kres. Gdy małżeństwo Catherine z Kylockiem zostanie już skonsumowane, diuk zacznie się uskarżać na lekkie dolegliwości żołądkowe. W miarę upływu miesięcy jego stan będzie się stopniowo pogarszał. Pojawią się skurcze i wymioty, a potem krew w moczu. Zacznie podejrzewać działanie trucizny i władca Brenu nie będzie spożywał niczego, czego uprzednio nie spróbujał jego słudzy. Będzie już jednak za późno. Trucizna – zawarta w napoju, który wypije z królewskim kanclerzem dla uczczenia poślubnej nocy swej córki – weźre się już tak głęboko w żołądek i wątrobę, że nie zdoła go ocalić nic poza łaską Borca.

Tę truciznę Baralis zawdzięczał Tavaliskowi. Informacje, które wyszukał w tomach z biblioteki arcybiskupa, warte były ceny, którą za nie zapłacił. Cóż za znaczenie miała jedna wojna, jeśli pomoże mu ona wygrać inną, bardziej chwalebna?

Ów jad był delikatny, jak jedwabne dywany z Isro, i śmiercionośny, jak tamtejsze miecze. Wystarczało wypić go raz. Zatrzymywał się we wnętrzościach i stopniowo trawił otaczającą tkanę. Ostry smak będzie pewnym problemem, lecz Baralis zamierzał podać go

w noc uroczystości jako tradycyjny napój weselny, pełen egzotycznych ziół i przypraw.

Wszystko to jednak było jeszcze planem na przyszłość. Na razie należało się skoncentrować na sfinalizowaniu małżeństwa. Postąpił wczoraj głupio, rzucając wyzwanie diukowi. Kretynizm Maybora był zaraźliwy. Musi wkraść się w łaski władcy Brenu i jego dworzan. Koić ich niepokoje i rozwiązywać problemy, a – gdy wszystko inne zawiedzie – wręczać łapówki.

Dotarł do wspaniałej galerii dla gości. Na południu najmodniejsze były ostatnio kopulaste sklepienia, a pałac diuka mógł się pochwalić jedynym takim sufitem na północy. W przestronnym pomieszczeniu niosła się echem jakaś rozmowa. Nie sposób było nie rozpoznać grubiańskiego głosu Maybora.

– Widzisz więc, Wasza Miłość, że Kylock przymierza się do ostatecznego zakończenia wojny.

– W rzeczy samej, lordzie Mayborze – odparł cichym, zwodniczo gładkim głosem diuk. – Jestem wdzięczny, że o tym usłyszałem.

Baralis pomknął ku nim z szybkością pantery. Zignorował Maybora i pokłonił się diukowi.

– Dzień dobry, Wasza Miłość.

– Lordzie Baralisie, mam nadzieję, że dobrze

spaleś? – Diuk nie czekał na odpowiedź. – Mój pokojowy obawiał się, że północne skrzydło może okazać się nieco zbyt wilgotne. Powiedziałem mu, że tylko ty możesz to ocenić.

– Moje komnaty są w pełni zadowolające.

– Świetnie – odparł diuk. – Poseł korony mówił mi, że Kylock chce jak najprędzej zakończyć wojnę z Halcusami.

– Wyśle na granicę więcej wojsk – wtrącił Maybor. Baralis poczuł nienawiść tak potężną, że omal nie obróciła się w jego ustach w czary. Wciągnął w płuca powietrze, by się uspokoić, zapanować nad sobą. Od czasów młodzieńczych ani razu nie był tak bliski zaczerpnięcia mocy pod wpływem czystych emocji. Maybor zachowywał się jak złośliwy diabeł. Świetnie zdawał sobie sprawę, że najdrobniejszy przejaw agresywności ze strony Kylocka może zagrozić małżeństwu. Nie koniec jednak na tym. Sam wymyślał dodatkowe szczegóły! Nie miał pojęcia, czy Kylock zamierza wysłać w pole więcej żołnierzy. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że diuk bez trudu wyciągał z niego informacje, a na domiar schlebiał mu, zwać go posłem korony!

– Jako królewski kanclerz – zaczął Baralis – dowiem się pierwszy o wszelkich akcjach, jakie

podejmie przeciw Halcusom król Kylock. – Pora pokonać Maybora w jego własnej grze. Jeśli potrzebne są kłamstwa, potrafi sobie z nimi poradzić. – Upraszał mnie, bym zapewnił Waszą Miłość, że choć, jak przed chwilą nadmienił lord Maybor, pragnie wygrać wojnę, nie podejmie żadnych działań przed złożeniem małżeńskiej przysięgi.

Maybor otworzył usta, chcąc zaprotestować, najwyraźniej jednak nie zdołał znaleźć odpowiednio dyplomatycznych słów, zamknął je więc z powrotem.

Diuk nie wyglądał na zadowolonego.

– Ponieważ trudno jest się panom zgodzić co do oficjalnej wersji odnośnie polityki Kylocka, zostawię was samych i pozwolę, byście rozstrzygnęli ten bój pomiędzy sobą.

Pokłonił się wytwornie i wyszedł. Baralis i Maybor wpatrywali się w siebie. Maybor pokiwał palcem i cmoknął.

– Widzę, że próbowałeś sprowadzić Jego Miłość na manowce – stwierdził. – Uznałem, że moim obowiązkiem jako posła korony jest wyprowadzić go z błędu.

Tego już było za wiele dla Baralisa. Moc natychmiast znalazła się na koniuszku jego języka. Przeszyła powietrze, gnana jego wolą. W mgnieniu oka

Maybor zgiął się wpół z bólu.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek zrobisz ze mnie głupca
– wyszczał kanclerz, nachylony nad karkiem wielmoży
– przysięgam, że zabiję cię na miejscu.

Upewniwszy się, że jego groźba została zrozumiana, Baralis wycofał czary.

Przechodzący obok sługa skierował spojrzenie w ich stronę. Maybor wyprostował się. Oddychał szybko i z wysiłkiem, a twarz miał sin;).

– Nawet w piekle będziesz żałował tego dnia – wychrypiał.

Baralis niemal podziwiał potężnego wielmożę, gdy ten zapanował nad bólem i odszedł z wysoko uniesioną głową.

Zaczerpnął mocy jedynie w charakterze ostrzeżenia, niczego więcej. Używanie czarów przeciw ludziom nie było rozsądne. Zawsze istniało ryzyko, że wola ofiary sprawi, iż magia odskoczy ku swemu źródłu z impetem napiętej ściągawy. Zginął w ten sposób niejeden czarodziej. Niektóre czary były łatwe: przymus nałożony na mięśnie, by zapobiec ich skurczowi; zagłębienie się w umysł celem znalezienia odpowiedzi; badanie tkanek w poszukiwaniu chorób. We wszystkich tych przypadkach ciało nie ponosiło żadnej szkody, a skutki były jedynie tymczasowe. Jeśli

chciało się czyjejś śmierci, znacznie mądrzej i bezpieczniej było użyć innej metody niż czary.

Były one lepszym współnikiem niż zabójcą.

To, co wydarzyło się w dzień Wigilii Zimy, stanowiło wyjątek. Gdy błysk noża ostrzegł go o grożącym niebezpieczeństwie, nauka ustąpiła przed instynktem i Baralis musiał za to zapłacić słońną cenę.

Nierozumnym zwierzętom znacznie łatwiej było zaszkodzić, lecz nawet to bywało niebezpieczne. Wejście w ciało konia Maybora było ryzykowne. Czary działały jak infekcja: wywoływały naturalną reakcję obronną organizmu. Zwierzęta, zwłaszcza duże, potrafiły niekiedy oprzeć się zaczerpnięciu mocy. Podczas pobytu na Dalekim Południu Baralis widział śmierć człowieka, który próbował zaczarować niedźwiedzia.

Miesiąc po pogrzebie matki wyruszył do Hanatty. W małej wiosce, w której mieszkał, nikt nie podejrzewał, że to on jest odpowiedzialny za jej śmierć. Ludzie potrząsali tylko głowami, mówiąc, że to naturalne poronienie. Jednakże jego nauczyciele znali prawdę. Zwłoki cuchnęły czarami. Cóż jednak mogli zrobić? Był dzieckiem i popełnił dziecinny błąd. Mimo to chcieli się go pozbyć. Ukryli więc owo pragnienie pod płaszczykiem troski: „Nie możemy już nauczyć cię

więcej, Baralisie. Przerosłeś nas. Na Dalekim Południu będziesz mógł opanować wiele nowych umiejętności”. Mieli nadzieję, że nigdy nie wróci.

Miał wówczas trzynaście lat. Wyślano go w podróż przez Suche Krainy, a potem przez góry, aż do strefy tropiku. Towarzyszył pielgrzymce rycerzy i kapłanów. Tydzień przed dotarciem do Hanatty zabił człowieka. Tym razem celowo. Po wygarbowanych skórkach spływał deszcz, lecz nie to go obudziło. Zrobiła to męska ręka, próbująca dotknąć gładkiego uda, ukrytego pod szorstkim kocem. Sztylet, pożegnalny dar od ojca, wbił się w brzuch intruza niczym znacznik w beczkę *ale*. Ostrze wzmocniły czary, lecz rękojeść dzierżyła jego dłoń.

Rankiem znaleźli go śpiącego smacznie z trupem u boku. Powietrze było tak wilgotne, że krew na jego nogach nie zdążyła wyschnąć.

Po raz drugi w owym roku uznano go za niewinnego. Któż mógłby potępiać chłopca za to, że bronił się przed podobnym uczynkiem? Jednakże, podobnie jak nauczyciele, pielgrzymi gorąco pragnęli się od niego uwolnić.

Hanatta była miastem tak obcym, tak całkowicie niepodobnym do wszystkiego, co dotąd poznał, że wzbudziła w nim lęk połączony z ekstazą. Ludzie

wyglądający tak niezwykle, że ich widok sprawiał radość, przepychali się obok innych, tak zniekształconych, iż Baralis zastanawiał się, w jaki sposób udało się im przeżyć. Szybko odnalazł człowieka, do którego dano mu list polecający. Przeczytał go już setki mil przedtem. Zawierał wyraźne ostrzeżenie: Baralis jest zdolny, ale trzeba go nauczyć dobroci i człowieczeństwa, by nie stał się źródłem żalu dla nas wszystkich”.

Nauczyciele z Leiss popełnili fatalny błąd. Człowieka, do którego go wysłali, nie obchodziło nic poza jego talentami. Poszukiwał wiedzy i nie dbał o moralne dylematy. Spędzili razem cztery cudowne lata, pełne eksperymentów i odkryć. Nie było niczego, czego by nie próbowali. Żadna *forma* zaczerpnięcia mocy nie była dla nich zbyt ohydna, żaden rytuał nazbyt krwawy, żadne zwierzę zanadto cenne, aby je poświęcić.

Czary Dalekiego Południa różniły się od praktykowanych w Leiss. Były subtelniejsze i nieporównanie bardziej wyrafinowane. W mniejszym stopniu polegały na eliksirach i sile fizycznej. Baralis nauczył się panowania nad żywymi stworzeniami oraz udoskonalił sztukę wchodzenia w ciało i badania go. Spoglądając wstecz, zdał sobie sprawę, że manuskrypt

z Leiss, który stał się przyczyną śmierci jego matki, zapewne pochodził z Hanatty.

Nieustannie towarzyszyło mu niebezpieczeństwo. Jego dłonie ucierpiały po raz pierwszy, gdy kładąc je na krowie spróbował wywołać u niej poród. Nie nadszedł jeszcze właściwy czas i zwierzę ze wszystkich sił opierało się przymusowi. Miało po swej stronie naturę. Nic pękła i nim Baralis zdążył się zorientować, dłonie zajął ogień. Zaczepnięta energia musiała znaleźć ujście. Po dziś dzień miał po tym blizny.

Był to jednak drobiazg w porównaniu z tym, co ujrzał, gdy w pobliżu mięsnego targu szczuło niedźwiedzia.

Ową rozrywkę można było w Hanacie zobaczyć na każdym rogu ulicy. Była tu ulubionym sportem. Zależnie od tego, jak sprawiały się psy, wygrywano bądź przegrywano fortuny. Baralisowi podobały się te krwawe przedstawienia. Lubił patrzeć na twarze ludzi obserwujących szczone na niedźwiedzia brytany. Tym razem tłum był podekscytowany. Opici mocnym trunkiem, poszczący od tygodnia ludzie pragnęli mocnych wrażeń.

Psy były własnością bardzo ważnego i bogatego człowieka. Nosily obroże z kutego złota. Hodowano je

wsobnie z myślą o walce. Miały grube karki i potężne szczęki, które raz zaciśnięte nie puszczały aż do śmierci ofiary. Gdy wpuszczono je do zagrody, zaczęły krążyć wokół niedźwiedzia, współpracując ze sobą, by go podniecić i zdezorientować.

Początkowo wszystko szło pomyślnie. Jeden z psów zbliżył się do niedźwiedzia, odwracając jego uwagę, a drugi zaatakował go z drugiej strony. Bestia zaryczała głośno, gdy zęby zatopiły się w jej przedniej kończynie. Wspięła się na zadnie łapy i napastnik zawisł w powietrzu. Oszalały niedźwiedź zakręcił potężnymi kończynami. Zęby puściły. Ciśnięte z wielkim impetem zwierzę wylądowało po drugiej stronie areny. Rozległ się trzask pękającej czaszki. Został tylko jeden pies i jego bogaty właściciel zaczął się niepokoić.

Baralis zauważył, że szuka on w tłumie czyjejs twarży. Po chwili skinął głową na ubranego jak żebrak człowieka. Chwilę później chłopak wyczuł początki zaczerpnięcia mocy. Natychmiast pojął, co się dzieje: czarodziej próbował osłabić bestię. Jego błąd polegał na tym, że czynił to stopniowo. Chciał, by wszystko wyglądało naturalnie, przypominało objawy zmęczenia. Z początku wychodziło mu dobrze. Spowolnił ruchy zwierzęcia, ograniczając przepływ

krwi przez jego serce. Wtem niedźwiedź się spłoszył. Ignorując ocalałego psa, grzmotnął z całej siły w płot. Tłum rozpierchł się. Udało się uciec wszystkim oprócz jednego młodego chłopaka, który został uwięziony pod szczątkami ogrodzenia. Bestia, dygocząc z bólu, rzuciła się na ofiarę.

Czarodziej próbował się wycofać, lecz jego poczynania skaziła desperacja. Tłum wrzeszczał, a niedźwiedź rozdzierał chłopaka na strzępy. Moc zaczęła zwracać się przeciwko temu, kto jej zaczerpnął. Zwierzę ogarnął krwawy szal. Wspierała je potęga instynktu. Wola przeżycia starła się z milczącą wiedzą gromadzoną przez setki stuleci, uderzyła z mocą bicia i – wspierana wściekłym, gwałtownym nurtem krwi – wyrwała się spod kontroli czarodzieja.

Nikt nie zwracał uwagi na wmieszanego w tłum żebraka. Szalejący niedźwiedź był ciekawszym widowiskiem. Odziany w łachmany mężczyzna padł na ziemię. Z ust ciekła mu piana, a z nosa, uszu i oczu sączyła się krew. Po minucie był już martwy. Odrzucona przez zwierzę moc roztrzaskała mu czaszkę.

Nie było rozsądnie poświęcać zbyt wiele czasu jakiemukolwiek stworzeniu. Z podobnym zadaniem należało uporać się szybko. Baralis nie dał

wierzchowcowi Maybora szansy na reakcję. Wśliznął się do jego ciała z gracją tancerza i uderzył z szybkością burzy. Owego dnia, przy mięsny targu, nauczył się ostrożności. Niewiele osiągnąłby chwały, gdyby skończył tak, jak czarodziej, który próbował osłabić niedźwiedzia.

Kosiarz zdrapywał gnój z butów, przeklinając wszystkie zwierzęta, a szczególnie konie. Problem ze śledzeniem kogoś polegał na tym, że trzeba było patrzeć na delikwenta, a nie pod nogi. Co prawda, plugastwo stanowiło nieodłączny element życia w mieście, tak samo jak targi i kupcy, i na ogół Kosiarz nie miał na jego temat żadnej opinii, dziś jednak założył wyjątkowo piękne i cienkie, jedwabne pantofle. Szybcior powiedział mu kiedyś: „Najskuteczniejszą obroną kieszonkowca są buty”. Zawsze zalecał tym, którzy wyruszali na miasto, w poszukiwaniu szybkiego zarobku, obuwie z tkaniny, nie skórzane. Jedwab niewątpliwie był bezgłośny, lecz cechował się nieprzyjemną tendencją do przesiąkania moczem i pomyjami, gdy tylko człowiek znalazł się na dworze.

Pantofle jednak pasowały wspaniale, a Kosiarz miał na głowie ważniejsze sprawy niż plamy na butach.

Tawł pił w gospodzie po drugiej stronie ulicy. Musiał istnieć jakiś sposób na to, by skłonić go do wybrania się na umówione spotkanie. Zdobyte przez Kosiarza łupy chyba nie wystarcza.. A może jednak? Przed kilkoma minutami rycerz wszedł do oberży..Pod Przepelnionym Wiadrem” w towarzystwie swej jasnowęsej przyjaciółki oraz właścicielki burdelu, madame Thornypurse. Jeśli istniały kiedykolwiek kobiety, które lubiły pieniądze bardziej od tej pary. Kosiarz nie miał okazji ich spotkać.

Nadeszła pora, by przystąpić do akcji. Choć buty chlupały mu przy każdym kroku. Kosiarz przeszedł przez ulicę i wszedł do gospody. Bardziej odpowiednia byłaby dla niej nazwa..Pod Dziurawym Wiadrem”, gdyż *ale* było tu wszędzie, nie tylko w kuflach i beczkach. Buty Kosiarza znalazły się w pianistej kałuży, sięgającej kostek. Ludzie krzyczeli, śpiewali i bili się. Dwie kobiety walczyły na ręce, grupa mężczyzn zawzięcie przerzucała się obelgami, a jeszcze jeden unosił ponad głowę kufel pełen piwa.

Kylock, Kylock, Kylock. Wszyscy powtarzali to imię, nawet obrzucający się wyzwiskami mężczyźni.

– Jesteś podstępny jak Kylock i brzydki jak trup jego ojca – stwierdził jeden z nich. Jego słowa wywołały w tłumie chrząknięcia uznania.

- Powinieneś z szacunkiem wymawiać imię naszego przysłego króla – wtrącił inny.
- Kylock nigdy nie będzie tu królował!
- Diuk na to nie pozwoli.
- Diuk nie będzie żył wiecznie.
- Catherine będzie władała Brenem, nie Kylock.
- Wyjdzie za niego, wykorzysta jego armie, zgwałci jego kraj, a potem odeśle go do mamusi!
- Tak jest! – dorzucił chórem tłum.

Kosiarza niezbyt interesowały podobne światowe sprawy. Było mu wszystko jedno, kto jest władcą Brenu. Ważna była gotówka, nie królowie. Przepychał się przez ciżbę, kopiąc ludzi po goleniach i nadeptując im stopy, kiedy nie chcieli ustąpić mu drogi. Wkrótce usłyszał przenikliwy głos madame Thornypurse.

– W przyszłym miesiącu przyjedzie moja siostra – mówiła kobieta. – Nie mogła wytrzymać w królestwach ani chwili dłużej. No wiecie, to straszne zadupie. – Czcigodna dama zauważyła Kosiarza. – Jesteś tym posłańcem, który odwiedził mnie parę dni temu, prawda, chłopcze? – Z uśmiechem poklepała się po szczodrze upudrowanych włosach. – Nigdy nie zapominał twarży.

– Dobra pamięć to najmniejszy z twych uroków, madame Thornypurse – odrzekł Kosiarz, kłaniając się.

Nigdy nie szkodziło schlebiać damom, nawet brzydkim.

– Ależ z ciebie uroczy młodzian. – Przymrużyła na chwilę oczy. – Znowu przyniosłeś jakaś wiadomość?

– Jesteś równie bystra, jak piękna. – W głowie chłopaka zaczynał się kształtować pewien pomysł. – Czy jest tu gdzieś rycerz?

– Siedzi tam, z moją córką, Corsellą.

A więc tak miała na imię ta złodziejska dziwka o farbowanych kudłach.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzucił.

– W co? – zapytała zbita z tropu madame Thornypurse.

– W to, że jesteś jej matką. – Kosiarz uśmiechnął się ujmująco. – Powiedz prawdę. Jesteście siostrami?

– Nie jesteś pierwszym, który mnie o to pyta – stwierdziła madame Thornypurse, uśmiechając się głupkowato, jak dziewczyna trzykrotnie od niej młodsza. – To zasługa szcurzego oleju.

– Szcurzego oleju?

– Tak. Jest bardzo drogi. Trzeba wycisnąć mnóstwo szcurów, żeby uzyskać choć pół kubka.

Ten temat stanowczo przekraczał możliwości Kosiarza. Chłopak nie miał najmniejszego pojęcia, co to jest szcurzy olej. Postanowił zachować ostrożność.

– Jest wart swej ceny.
– Wcieram go w twarz dwa razy dziennie. To bardzo wiele tłumaczyło.

– Czy mam zawołać rycerza? – zapytała kobieta. Kosiarz potrząsnął głową, spoglądając na własne stopy.

– O co chodzi, młody człowieku? – zapytała madame Thornypurse. – Widzę, że masz jakieś opory.

– Jesteś bardzo spostrzegawczą kobietą. Myśl o zwróceniu się do niego budzi we mnie pewien niepokój.

Kosiarz otrzymał odpowiedź, na jaką liczył:

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Madame Thornypurse, nigdy bym się nie odważył obciążać cię sprawą, która jest tak... – ulicznik przerwał, udając, że szuka właściwego słowa – ... istotna.

– Istotna?

– I zyskowna.

Na słowo..zyskowna” całe ciało madame Thornypurse zadrżało. Postąpiła krok naprzód i położyła dłoń na barku chłopaka w zaborczym geście.

– Opowiedz mi wszystko, drogi chłopcze.

– Słyszałaś o Blayzie, obrońcy diuka? – Kobieta

skinęła z zapalem głową. – No więc, on jest zainteresowanym spotkaniem z twoim przyjacielem, rycerzem.

– Chce z nim walczyć? – zawołała madame Thornypurse.

– Psst. Nie krzycz o tym na pół gospody. Kobieta miała należycie skruszoną minę.

– Mów dalej.

– Nie muszę ci tłumaczyć – ciągnął Kosiarz – że podczas takiego spotkania z rąk do rąk przejdą bardzo pokażne sumy.

– Oczywiście, że nie musisz – wyszeptała.

– Wszystko to jest ściśle poufne. – Kosiarz poczuł, że palce madame Thornypurse wpijają mu się w bark. – Jeśli rycerz zginie, a nie ma co ukrywać, że jest to prawdopodobne, ktoś będzie musiał go pochować.

Z twarzy czcigodnej damy zniknął dziewczęcy rumieniec chciwości.

– Pochować?

– Ponieważ rycerz nie ma w mieście rodziny, ten, kto zgodzi się zadbać o jego ciało, otrzyma należną mu część zysków.

– Rycerz jest dla mnie jak syn! – krzyknęła

madame Thornypurse. – Uznałabym za swój obowiązek zadbać o jego zwłoki.

– Jesteś nadzwyczajną kobietą – pochwalił ją Kosiarz. – Przejdźmy do rzeczy. Rycerz musi się spotkać z Blayzem dziś o zachodzie słońca przy trzech złotych fontannach. Czy potrafisz to zorganizować?

– Tak, jakby zależało od tego moje życie.

– Świetnie. Do następnego spotkania, piękna pani.
– Kosiarz rzucił pospieszne spojrzenie w stronę Tawła. Rycerz pochłaniał kolejny bukłaka, nie zwracając uwagi na otoczenie. – Niech sobie pije, ile chce. To ułatwi negocjacje.

Madame Thornypurse skinęła głową, z mądrą miną i wyciągnęła dłoń. Kosiarz z niechęcią spełnił jej życzenie ucałowania dłoni, choć głowę wypełniały mu myśli o szczurzym oleju. Następnie opuścił gospodę i ruszył ku trzem złotym fontanom. Jeśli jego plan ma się udać, musi zamienić kilka słów z obrońcą diuka, nim ten spotka się z Tawlem.

Do chaty wpadł Rovas.

– Pogłoski okazały się prawdziwe. Lesketh nie żyje, a Kylock chce wygrać wojnę.

Słowa przemytnika wywarły dramatyczny wpływ na Magrę i Tarysę. Matka i córka popatrzyły na siebie. Twarz starszej kobiety pobladła śmiertelnie. Tarissa

wstała, odrzuciła robótkę i uklękła obok matki. Ujęła jej dłoń i ucałowała ją. Magra wyrwała rękę.

– Kiedy to się stało? – zapyłała.

Jej głos był wysoki i napięty. Jack miał wrażenie, że słyszy w nim gniew.

– Umarł we śnie, ponad miesiąc temu. Rovas odwrócił wzrok.

Zapadła cisza. Nikt nie ruszał się z miejsca. Po izbie tańczyły cienie rzucane przez płonący w palenisku ogień. Tarissa skryła twarz w dłoniach. Magra siedziała sztywno, wbijając wzrok w dal. Wydawało się, że Rovas i Tarissa czekają, aż odezwie się pierwsza.

Magra wstała i podeszła do paleniska. Plecy miała sztywne i wyprostowane.

– Kylock wygra wojnę – stwierdziła cicho.

Mimo wagi jej słów, wydawało się, że wszyscy w izbie odetchnęli z ulgą. Jack wyraźnie odniósł wrażenie, że Magra w jakiś sposób zmieniła temat, choć nadal mówiono o zmarłym królu i Kylocku.

– Jak wpłynie to na jego małżeństwo z Catherine z Brenu? – zapytała Tarissa, próbując wypełnić ciszę. Zwracała się do Rovasa, ale patrzyła na Jacka. Chciała sprawdzić, co sądzi o tej dziwnej scenie. Niczego nie okazał. Uśmiechnęła się delikatnie i chłopak

odwzajemnił jej uśmiech, choć wiedział, że Tarissa ma jakieś ukryte motywy. Nigdy w życiu nie spotkał kobiety o tak uwodzicielskim wyglądzie. Tok jego myśli oddalił się od pytań, które chciał zadać. – Przypuszczam, że małżeństwo dojdzie do skutku – rzekł Rovas. – Sprawy zaszły już tak daleko, że ich powstrzymanie przyniosłoby wielki wstyd obu stronom.

Przemytnik wyglądał na znużonego. Nalał sobie pełen kufel *ale* i wypił go duszkiem.

Cała trójka kontynuowała rozmowę, mówiąc o wojnie i jej możliwych konsekwencjach. Jack przestał ich jednak słuchać. Skupił się na obserwowaniu.

Mówiła Tarissa, nadając najrozmaitsze, piękne kształty swym miękkim, uroczym ustom. Chłopak przypominał sobie ich dotyk i smak. Owo wspomnienie zaparło mu dech w piersiach. Dlaczego odsunęła się od niego ostatniego wieczora, choć zaledwie chwilę przedtem sama go zachęcała? Na to pytanie nie znał odpowiedzi, jeśli jednak można było ufać opiniom Grifta, podobne zachowanie nie było u kobiet niczym niezwykłym. Zamkowy strażnik wielokrotnie ostrzegał go przed niebezpieczeństwami towarzyszącymi romansom. Zwykł mawiać: „Jeśli jesteś ogłupiały jak paw podczas śnieżycy, to znaczy,

że sprawy idą dobrze. Ale jeśli czujesz się bezpiecznie jak pąkla na skale, na pewno czekają cię kłopoty”.

Jack miał mało doświadczenia w tych sprawach, wiedział jednak wystarczająco wiele, by podejrzewać, że Grift nie zawsze ma rację. Czegóż jednak mógł się spodziewać? Pocałował kobietę starszą i mądrzejszą od siebie. Zmysłową, kuszącą kobietę o piwno-złoty oczach. Wstydził się trochę własnych myśli. W chacie mówiono o wojnie, a jego głowę zaprzętała żądza.

Oderwawszy wzrok od Tarissy, zauważył, że wpatruje się w niego Rovas. Przemysłnik spojrzał ku niemu ostrzegawczo. Przez mgnienie oka Jackowi wydawało się, że czyta on w jego myślach. Z jakiegoś powodu Rovas nie chciał, by zadawał się z Tarissą. Gdy ćwiczyli dziś na polu walkę na miecze, południowy posiłek przyniosła im Magra. Z początku Jack sądził, że to Tarissa go unika, teraz jednak, gdy zauważył nieprzyjazne spojrzenie Rovasa, zaczął się zastanawiać, czy to czasem nie przemysłnik kazał jej trzymać się od niego z daleka.

Postanowił sprawdzić swą teorię. Przeciągnął się i wstał.

– Cały jestem sztywny jak tygodniowy chleb. Muszę się trochę przejść, nim się ściemni. – Popatrzył na Tarissę. – Pójdiesz ze mną?

To proste pytanie wywołało całą serię spojrzeń, ostrzeżeń, wyzwania i niemożliwych do odczytania min. Dziewczyna zaczerpnęła głęboko tchu.

– Chyba pójdę.

Spojrzała na matkę, prosząc ją o wsparcie.

– Niedługo będzie kolacja, dziewczyno – zaprotestował Rovas. – Musisz pomóc matce ją przygotować.

Wszyscy czekali, co powie Magra. Kobieta spojrzała na przemytnika. Jej twarz wyrażała ostrzeżenie, którego Jack nie potrafił zrozumieć. Nie chciał zrozumieć.

– Potrafię sama zrobić kolację – odrzekła. – Możesz iść, Tarriso, ale wracaj szybko.

Napięcie panujące między Magrą a Rovasem łatwo było dostrzec. Wypełniało powietrze swym trzaskiem niczym ogień, lecz było niewidzialne jak jego żar. Zauważył, że przemytnik chce się jej sprzeciwić. Ta była jednak matką Tarissy i w związku z tym do niej należało ostatnie słowo. Mimo to bała się. Nic tylko ona. Dłoń jej córki drżała, gdy wiązała sznurówki płaszcza.

Trzask! Rovas kopnął wiadro na opał, rozsypując szczapy po podłodze.

– Na co czekasz? – krzyknął. – Jeśli chcesz

przygotować kolację, to, do licha, bierz się za robotę!

Tarissa natychmiast znalazła się u boku matki.

– Nigdzie nie idę. Zostanę w chacie i...

– Nie – sprzeciwiła się Magra. – Pójdiesz z Jackiem.

– Ale...

– Idź już – rozkazała tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Wstała i zaczęła zbierać szczapy z podłogi. Rovas odwrócił się do nich plecami, wpatrując się w ogień. Kiedy wychodzili, nie spojrzął na nich.

Jack poczuł podmuch zimnego powietrza. Jego rześki dotyk sprawił, że zdał sobie sprawę, iż usta wypełnia mu kwaśny posmak czarów. Rovas miał szczęście. Chłopak uniósł rękę, nie wiedząc, czy szuka pocieszenia, czy też pragnie go udzielić. Tarissa uściśnięła mocno jego dłoń i motywy przestały się liczyć.

Szli w milczeniu. Połączyła ich cicha umowa, że nie będą nic mówić, dopóki nie oddalą się od chaty. Niebo pociemniało, a wiatr zmienił kierunek, pchając ich naprzód. Głowa ciążyła Jackowi niczym jedna z form Frallila. Do tej pory nie był nawet świadomy tego, że coś w nim narasta. Zdezorientowała go scena, którą przed chwilą widział. Był zły na Rovasa za to, że ten stracił panowanie nad sobą. Tak bardzo zły, że był

gotów w niego uderzyć. Najbardziej przerażający był fakt, że czary stały się dla niego czymś tak oczywistym, iż nawet nie zauważał już ich obecności. Gdyby Rovas zbliżył się do Tarissy choć o krok, zginąłby. Jack był tego pewien. Dla Melli zrobiłby to samo.

Jego myśli przeszły nagle na inny tor. Wszystko pociemniało. Musiał tu zostać i zabić człowieka, który zgwałcił i zamordował Melli. Nic innego się nie liczyło. Nie był ważny Rovas, szalone plany ucieczki do miejsc, gdzie coś się działo, ani nawet Tarissa z jej miękkimi, brązowymi włosami i palcami stwardniałymi od miecza.

– Jack, to mnie boli. Wyrwała dłoń z jego uścisku.

– Przepraszam – powiedział zaskoczony Jack. – Myślałem o... – Nie mógł rzec „Melli”, nie był w stanie głośno wypowiedzieć jej imienia. Sama myśl o niej przywołała grozę zawartą w słowach Rovasa: „Kiedy znalazła ją Tarissa, miała odciętą głowę”. Gdyby powiedział to na głos, słowa mogłyby się przerodzić w obraz.

– O twojej przyjaciółce – stwierdziła Tarissa. Zwróciła się ku niemu i zobaczył w jej oczach odbicie swych oczu. – Przykro mi...

Czekał. Niebo czekało, wiatr wśród drzew czekał.

Miała mu coś do powiedzenia. Ale nie zdecydowała się na to. Z jej ust wydostały się słowa, nie były one jednak tymi, które zamierzała wyrzec.

– ...przykro mi z powodu Rovasa.

– Jest bardzo opiekuńczy w stosunku do ciebie. Jak ojciec. Jack obserwował twarz Tarissy. Był niemal zadowolony, że nic z niej nie wyczytał.

– Nie mamy nikogo oprócz niego – mówiła. – Przyjął nas pod swój dach, gdy byliśmy bez grosza, i opiekował się nami przez wszystkie te lata. Żąda w zamian bardzo niewiele.

– A czego oczekuje ode mnie?

– Chyba wiesz. Chce, żebyś zabił kapitana.

– Dlaczego?

Co dziwne, Jack odnosił wrażenie, że zadając te pytania pomaga Tarissie urwać się z pętających ją domowych więzów.

– Przyjaźnili się kiedyś z Rovasem – wyjaśniła. – Czy raczej byli współnikami. No wiesz, przemysłnik musi mieć kontakty w wojsku, by uniknąć niepożądanych przeszukali i konfiskat. Potrzebują ludzi, którzy, gdy trzeba, odwrócą wzrok. Tak czy inaczej, kapitan zrobił się chciwy i żąda teraz udziału w zyskach zamiast stałej sumy. Rovas nie chciał się zgodzić i w rezultacie nie może wysłać towarów do

Helchu, bo kapitan każe je konfiskować.

– A więc chce, żebym uwolnił go od jego problemu.

– To także i twój problem.

Jack nawet nie próbował ukryć goryczy.

– Wygląda na to, że zjawiłem się w odpowiedniej chwili.

– Odpowiedniej dla mnie, nie dla Rovasa. – Tarissa postąpiła kilka kroków naprzód, zwracając twarz pod wiatr. – To ja miałam wtedy zabić kapitana.

Noc zmieniła się nagle w coś innego: mroczniejszego, głębszego i zamkniętego jak jaskinia. Jack uznał, że jest to zmiana na gorsze.

– Dlaczego ty? Otuliła się ciasno szalem.

– Jack, nie każ mi odpowiadać na to pytanie.

Uniósł rękę, złapał Tarissę za ramię i odwrócił ją ku sobie.

– Dlaczego ty? Rovas był wówczas na wzgórzu. Mógł sam zastrzelić kapitana.

Nie podnosząc wzroku, dziewczyna potrząsnęła głową.

– Ja lepiej strzelani z łuku.

– Kłamiesz.

Wyrwała się z jego uścisku.

– Proszę bardzo! Proszę bardzo! – krzyknęła,

odwracając się do niego plecami. – Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, zagroził, że jeśli tego nie zrobię, wyrzuci nas obie z domu.

Wstrząśnięty Jack mógł jedynie wbić wzrok w tył jej głowy. Jak można było zrobić coś takiego? Jak Rovas mógł grozić komuś, kogo kochał? Ramiona Tarissy zaczęły dygotać. Płakała. Jack chciał ją objąć, dodać jej otuchy, gdy jednak zbliżył się do niej, w jego głowie zrodziła się mroczna myśl. Nim zdał sobie sprawę, co robi, wypowiedział ją na głos.

– Chciał, żebyś zamordowała kapitana, by mocniej was ze sobą, związać. Gdybyś to zrobiła, zawsze miałby coś, czym mógłby ci grozić. Obie z Magrą nigdy już nie mogłybyście go opuścić z obawy, że zdradzi cię przed kimś. Nie chodziło o sam uczynek, lecz o władzę, jaką dałby mu on nad wami.

Tarissa przestała dygotać. Odwróciła się powoli.

– Nie powinieneś być tego mówić. Jack. To nieprawda. To po prostu nieprawda. – Jej głos brzmiał niemal histerycznie. Po policzkach płynęły łzy. – Nigdy już tego nie mów. Nigdy.

Powiedziawszy to, uciekła. Szal powiewał za nią. Pochyliła głowę, by osłonić się przed wiatrem.

Jack patrzył w ślad za nią. Jego słowa były prawdą i oboje o tym wiedzieli.

10

Jeszcze jeden łyk i może wystarczy. Tawł pociągnął zdrowo z bukłaka: złote *ale*. Zapewne drogo za nie zapłacił. To jednak nie było ważne. Liczyło się tylko zapomnienie. Było teraz jego jedynym celem w życiu.

Bez względu jednak na to, jak wiele pił i jak bezlitośnie walczył, nie potrafił zapomnieć o Annie, Sarze, dziecku i Bevlinie. Każde z nich zaufało mu, a on odplacił im zdradą. Zawiódł jako mężczyzna, jako brat i jako rycerz. Utracił wszystko, co uważał za najważniejsze w swoim życiu. Skorupa, która pozostała, była zimna i przepastna jak grób. Nie była jednak grobem, gdyż w nim znalazłby spokój. Tak przynajmniej twierdzili mędracy.

Nie potrafił określić, ile dni, tygodni, czy miesięcy upłynęło od śmierci Bevlina. Cały ten czas zlał się w jego pamięci w jedną plamę. Jedynym, co się zmieniało, były twarze ludzi, z którymi walczył, oraz jakość *ale*.

Trunek jednak działał coraz słabiej. Dzisiaj wypił trzy bukłaki, a mimo to miał rękę mocną jak dąb, krok pewny jak rządcą, a umysł czysty i jasny jak kawałek szkła.

Własne ciało wydawało mu się zdrajcą. Drwiło z niego swym wigorem. Mięśnie miał twarde, skórę jędrną, a ścięgna gotowe do walki. To nie było w porządku. Był półczłowiekiem i tak też powinien wyglądać. Centrum jego jaźni opanowały dwa obrazy, wypalone w pamięci równie mocno, jak kręgi na skórze. Widział je, bez względu na to, gdzie przesunął wzrok. Przesłaniały sobą wszystko inne: mały, strawiony pożarem kawałek ziemi, na którym niegdyś stała chata, oraz zalane krwią zwłoki. Nie potrafiły ich odegnąć ani walka, ani *ale*. W Valdis znano powiedzenie: „Człowiek płaci za swe grzechy w przyszłym życiu, a rycerz w obu życiach”. Kiedyś go nie rozumiał. Teraz to się zmieniło.

– Zwijaj się, Tawl. Spóźnimy się, jak się nie pospieszysz. Corsella złapała go za rękę i pociągnęła na ulicę. Błędnie sądziła, że jest pijany. Żałował, że nie ma racji.

– Chyba jeszcze zdąży dopić bukłak, skarbie – zaprotestowała madame Thornypurse. Coś kombinowała. Najpierw zabrała mu nóż, a teraz

zachęcała go do picia.

Znaleźli się w cieniu pałacu. Zmierzali ku środkowi wielkiego, wyłożonego kamiennymi płytami placu. Trzy połączone fontanny, pluskające wodą, jeden mężczyzna, ciemnowłosa i dobrze zbudowany. Podszedł do nich i pokłonił się.

– Dobry wieczór paniom. Cóż za szczęśliwe spotkanie, przyjacielu – dodał zwracając się do Tawla.

– Nie jestem twoim przyjacielem – odparł Tawl, nie zważając na uśmiechające się głupkowato kobiety.

– W takim razie pozwól, że się przedstawię. Jestem Blayze, obrońca diuka.

Mężczyzna umilkł, najwyraźniej przyzwyczajony do tego, że jego tytuł wywiera wrażenie na ludziach.

Tawl zignorował go. Zwrócił się do madame Thornypurse.

– A więc tak to sobie wykombinowałaś. Chcesz urządzić walkę ze mną jako główną atrakcją. Czy jeszcze za mało na mnie zarobiłaś?

– Mój drogi Tawlu, chodzi mi wyłącznie o twój interes. Madame Thornypurse uniosła do gardła dłoń, trzepoczącą jak ranny motyl.

Blayze uniósł regularne łuki brwi.

– Nie mam ci za złe twojej niechęci, Tawl. Nie jest łatwo stawić czoło porażce.

Madame Thornypurse i jej córka westchnęły na znak zgody.

– Chcesz mnie sprowokować, co? – zapytał Tawl. – To tanie metody, jak na kogoś, kto nosi tak kosztowne stroje.

Blayze nie poczuł się urażony. Popatrzył na mankiet swej haftowanej bluzy.

– Kupiły je dla mnie moje zwycięstwa. Ty również mógłbyś zdobywać podobne nagrody. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście możesz też skończyć owinięty w całun.

– Tracisz popularność, co? Potrzebne ci porządne zwycięstwo nad godnym przeciwnikiem? – Tawl zaczął się oddalać. – O mnie możesz zapomnieć. Nie mam zamiaru stać się niczyją ścieżką do chwały.

– Wcale mnie to nie zaskakuje, przyjacielu. Sądząc z tego, co słyszałem, chwała nie jest twoją najmocniejszą stroną.

Tawl odwrócił się błyskawicznie.

– Co słyszałeś?

– Że jesteś rycerzem z Valdis i walka na arenie to najmniejszy z twych grzechów.

Tawl natychmiast skoczył mu do gardła. Wiedział, że tego właśnie chce Blayze, lecz było mu wszystko jedno. Jego upadek był zbyt świeżą raną, by wcierać w

nią sól. Zacisnął dłonie na wysmarowanej olejkami i pachnidłami skórze. Skryte pod nią mięśnie były twarde jak stal. Obie kobiety rzuciły się z piskiem do ucieczki jak spłoszone kury. Szyja Blayze'a należała do Tawła. Nacisnął na dwa słabe punkty pod żuchwą, zbliżając je do siebie. Poczował, że coś ukłuło go nagle w bok. Był to, wyciągnięty zręcznym ruchem, nóż.

– Cofnij się – nakazał obrońca diuka. Wypowiedziane chrapliwym głosem słowa wsparło drugie, tym razem groźniejsze ukłucie.

Kącikiem oka Tawł zauważył dwóch zbliżających się gwardzistów. W rękach dzierżyli włócznie. Zapewne przyciągnęły ich wrzaski kobiet. Rycerz puścił Blayze'a, przeklinając jednocześnie własne tchórzostwo. Nawet teraz, kiedy nie miał już po co żyć, jego pierwszym odruchem było ratować własną skórę. W imię czego?

Blayze odprawił gwardzistów skinieniem dłoni.

– To nie czas i miejsce na walkę – wyjaśnił Tawłowi. – Za tydzień będę na ciebie czekał na arenie położonej tuż na południe od pałacu. Tam będziemy mogli dokończyć to, co zaczęliśmy tutaj. – Stał ostentacyjnie krew z noża. – Chyba że honor nic dla ciebie nie znaczy.

– Wyciąganie noża na nieuzbrojonego człowieka

nie ma nic wspólnego z honorem. – Tawł poczuł się nagle bardzo zmęczony. Cóż to miało za znaczenie? – Przyjdę. Może się jednak okazać, że siły będą zbyt wyrównane, jak na twoje gusta.

– Wszystko, czego pragnę, to dobra, uczciwa walka. Rycerza nie obchodziły dalsze słowa Blayze’a. Chciał odejść i czegoś się napić. Zapadła noc i to najgorszego rodzaju: bezwietrzna i bezchmurna. Gwiazdy zdawały się tysiącem wskazujących na niego palców. Oddalił się, rozpaczliwie pragnąc samotności. Nie liczyło się nic poza ucieczką w miejsce, w którym mógł odnaleźć zapomnienie. Fizyczna miłość nie potrafiła już odwrócić jego uwagi. Pozostały mu jedynie mocne trunki i walka. Dlatego zrobi, co będzie mógł, i – jeśli Borc pozwoli – następny pojedynek może się okazać ostatnim.

Maybor wypluł kęs mięsa. Było twarde i pozbawione smaku. Pewnie z pawia. Nie znosił takich wymyślnych potraw. Gdzie się podziały dziczyzna, wieprzowina i wołowina? Zapewne stały przed diukiem. On z pewnością nie musiał jeść przesadnie przyprawionego, nie oskubanego, wypieczonego drobiu. Dostał czerwone, krwiste mięsiwo.

Maybor powiódł wzrokiem po wielkim stole. Pełno na nim było świec i talerzy, kufla i kości, wokół zaś

zasiadali najszlachetniej urodzeni mieszkańcy Brenu. Mężczyźni byli bezbarwnie ubrani i krótko ostrzyżeni. Nie widział ani jednej brody, czy jaskrawego stroju. Najwyraźniej brali przykład z diuka, który preferował pozbawiony ozdób wojskowy styl. Nawet siedząc przy stole, miał u boku miecz – wspaniałą i imponującą. Mayborowi przemknęło przez głowę, że również mógłby sobie taki kupić. Przyciągał wzrok równie niezawodnie jak najpiękniej wyszywany jedwab.

Dobrze chociaż, że kobiety nie wzorowały się na Jego Miłości. Suknie o pięknych fasonach kryły okrągłości kuszące nie mniej niż te, które można było znaleźć w królestwach. Głosy tutejszych dam brzmiały nieco ochryple, lecz ich talie były pełne, a na biodrach każda miała więcej mięsa niż para martwych paw. Niejedna z owych pociągających niewiast spojrzała już w jego stronę. Któż mógłby mieć o to do nich pretensję? Na tle zgromadzonych tu bezbarwnych mężczyzn wyglądał jak król. Bren mógł słyszeć z krawców, ale tutejsi tkacze i farbiarze musieli chyba pracować nocami.

– Czyżby pierś nie przypadła ci do gustu?

To była sama Catherine. Nawet w komnacie pełnej pięknych kobiet nie miała sobie równej. Maybor miał zamiar okazać jej wzdarcie, teraz jednak, gdy siedział u

jej boku, trzymając w rękach te same smakołyki, był olśniony. Portrecista nie oddał jej sprawiedliwości. Była wspaniała. Jej skóra błyszczała, włosy lśniły, a usta zostały ukształtowane przez aniołów. Nietknięta księżniczka na progu przeobrażenia się w kobietę.

Maybor poczuł się zdumiony jej słowami, szybko jednak pojął, że miała na myśli drób.

– Nie przepadam za pawiem, pani.

– W takim razie musimy dopilnować, byś dostał prawdziwe mięso. – Klasnęła w dłonie. Zbliżył się sługa. – Diczyszyna dla jego lordowskiej mości.

Przed Mayborem ustawiono wielki talerz mięsiwa. Demonstracyjnie wybrał najtłustszy kawałek i wręczył go Catherine.

– Panie, czynisz mi zaszczyt.

– Pani, wystarczającym zaszczytem jest móc przebywać w twojej obecności. – Maybor czuł nieumiarkowane samozadowolenie. Powiedział i uczynił dokładnie to, co należało. Baralis również go usłyszał. Królewski kanclerz obrzucił go spojrzeniem pełnym złości. Siedział obok wiekowej matki diuka, kobiety głuchej i brzydkiej.

Baralis musiał umrzeć. To było pewne. Pozostało jedynie zdecydować kiedy i jak. Nikomu nie mogło ujść na sucho to, co kanclerz uczynił dziś rano.

Nikommu. Nie uratują go żadne sztuczki ani dziwactwa. Czeka go grób.

Och, ale warto było znieść ten ból! Udało mu się sprawić, że Baralis wyszedł na głupca i kłamcę. Bren okazał się jego miastem. Diuk zabiegał o jego względy, a Catherine zaspokajała wszystkie jego potrzeby niczym obowiązkowa córka. Nawet siedzący po lewej stronie potężny i bogaty lord Cravin traktował go z szacunkiem, na jaki zasługiwał.

Catherine wdała się w rozmowę z mężczyzną siedzącym na prawo od niej, Maybor odważył się więc poruszyć temat, który zaprzętał umysły wszystkich, lecz nie pojawił się na niczyich ustach.

– Powiedz mi, lordzie Cravinie, jak w Brenie przyjęto wiadomość, że Kylock wstąpił na tron?

Lord Cravin z wielką uwagą zlizął z palców sos. Choć miejscowy wielmoża spuścił wzrok. Maybor odnosił wrażenie, że obserwuje on wszystkich obecnych w komnacie mężczyzn, by sprawdzić, co pochłania ich uwagę, poszukując dźwięku zapartych oddechów. Cravin sięgnął po flaszkę wina. Gdy przemówił, jego słowa były bezbłędnie wymierzona strzałą, której jedynym celem mógł być Maybor.

– Za dobrze.

Szansa intrygi otworzyła się przed nim niczym

rzadki, uwodzicielski kwiat. Mayborowi zakręciło się w głowie od jego woni.

Ostrożnie, muszę być ostrożny, powtarzał sobie. Jak bystry uczeń, naśladował nonszalancję lorda Cravina, wrywając pióra z resztek pawia.

– A więc wszystko odbędzie się zgodnie z planem?

– Chyba że ktoś odważy się zmienić bieg wypadków. Cravin podał Mayborowi talerz przyprawionych węgorków.

– Musimy się kiedyś spotkać, by porozmawiać o naszych... Maybor zauważył, że Catherine przestała rozmawiać z mężczyzną siedzącym po prawej.

– Niesmakujący węgorki? – pospieszył mu z pomocą Cravin.

– Nie – odparł Maybor. – Są dla mnie za mało śliskie.

– Pozwól, że ci je zwilżę – zaoferowała się Catherine. Wzięła w rękę srebrną wazę i poliała danie sosem. – Mam nadzieję, że teraz łatwiej prześlizną ci się przez gardło, lordzie Mayborze.

Wielmoża przyjrzał się uważnie dziewczynie, lecz nie wyczytał w jej twarzy nic poza niewinną życzliwością. Jego uwagę odwrócił nagle Baralis, który wstał z miejsca, trzymając w ręku puchar.

– Wielmożne panie i panowie – zaczął. Subtelna

moc zawarta w jego głosie sprawiła, że wszyscy w komnacie natychmiast umilkli. – Czy mogę wnieść toast za najpiękniejszą i najwdzięczniejszą pannę na całych Północnych Terytoriach, Catherine z Brenu?

Tłum nie miał innego wyjścia, jak się zgodzić.

– Tak! – krzyknęli wszyscy, wznosząc kielichy. Baralis jeszcze nie skończył.

– Drugi toast wnoszę za największego z przywódców i najbardziej natchnionego z generałów, diuka Brenu.

Zebrani raz jeszcze zareagowali entuzjastycznie.

Prowadził ich tak niezawodnie, jak pasterz owce. Maybor domyślał się, co się zaraz stanie. Ten człowiek był mistrzem manipulacji.

– A ostatni toast – dokończył kanclerz – wnoszę za najchwalebniejszy, najszlachetniejszy i najwspanialszy związek w historii Znanych Krain: małżeństwo Kylocka, suwerena Czterech Królestw, z Catherine z Brenu.

Tłum podniósł się na jego słowa. Wszyscy krzyczeli i stukali się kielichami. Ich entuzjazm był tak zaraźliwy, że nawet Maybor zaczął uderzać do taktu stopą. Baralis wykonał znakomitą robotę. Wzbudził wśród niechętnych dworzan szaloną radość. Któż mógłby, ujrzawszy co działo się teraz w tej komnacie,

twierdzić, że mieszkańcy Brenu są przeciwni temu małżeństwu?

Być może ktoś, kto uważnie przyjrzałby się twarzy diuka. Gdy unosił kielich, jego dłoń była nieco sztywna, a uśmiech jakby niechętny. Nie podobało mu się, że manipulowano jego dworzanami. Maybor potarł się po porośniętej szczeciną brodzie. Otwierały się przed nim pewne możliwości. Szczeliny, które można było przerodzić w wyrwy. Zareczyny zostaną ogłoszone – po dzisiejszym występie Baralisa było to pewne – lecz do ślubu pozostało sporo czasu. W najbliższych miesiącach wiele mogło się zdarzyć. Na przykład, Kylock mógł wygrać wojnę z Halcusami. To z pewnością zaniepokoiłoby wszystkich. Albo też diuk mógł zmienić zdanie. Pojawiła się również nowa możliwość: intryga.

Maybor popatrzył na lorda Cravina, który krzyczał z radości jak wprawny aktor. Było to mądre posunięcie. Mógł się od niego czegoś nauczyć. Lepiej na razie uchodzić za zwolennika ślubu. Najskuteczniejszy jest nieoczekiwany cios. Maybor ujął w rękę puchar i wzniosł toast na cześć zareczyn. Jeśli nawet wino miało dla niego odrobinę gorzki smak, nie okazał tego nikomu.

Catherine z Brenu wyjęła z włosów wysadzany

perłami diadem i odpięła kolczyki ozdobione tymi samymi klejnotami. Popatrzyła na swe odbicie w zwierciadle. Jej usta wykrzywiły się w bladym uśmiešku. To był interesujący wieczór.

Siedziała między dwoma głupcami – jednym nudnym, a drugim nadętym.

Posel korony nie wywarł na niej korzystnego wrażenia. Poświęcał czas na plucie, wyrwanie piór i flirtowanie. Ale królewski kanclerz... to był człowiek, z którym należało się liczyć. Do wczoraj miała siedzieć podczas uczy obok lorda Baralisa, nie lorda May bora. Najwyraźniej jej ojciec chciał go za coś ukarać. Co mógł lord Baralis poradzić na to, że stary, zniedołężniały król Lesketh wreszcie zmarł?

Tak, to był interesujący wieczór. Dobrze odegrała rolę głupiego kobieciątka: kielichy jej gości nigdy nie były puste, nieustannie schlebiała ich próżności i polewała mięso sosem. Zaczęła rozwiązywać sznurówki sukni. Lord Cravin dał bardzo dyskretnie wyraz swemu niezadowoleniu, licząc na to, że znajdzie sojusznika w lordzie Mayborze. Nie szkodzi. W żaden sposób nie zdołają powstrzymać małżeństwa. Upewniała ją co do tego z ręczność, z jaką lord Baralis pokierował dworzanami.

Będzie królową niejednego, lecz dwóch krajów.

Rozległo się bojaźliwe pukanie do drzwi.

– Odejdź, Stasio, sama się rozbiore. Nie przeszkadzaj mi aż do rana.

Catherine wsunęła dłonie pod dekolt sukni i zsunęła z siebie bogato zdobiony brokatem jedwab. Potem przyszła kolej na lniane giezło. Gdy ściągała je przez głowę, materiał zaczepił o pas, rozdzierając się.

– Do licha! – mruknęła, przeklinając żelazne okropieństwo spoczywające na jej biodrach: pas cnoty.

Składający się z dwóch metalowych wstęg, matowy i ciężki, lecz owijający się wokół ciała niczym wąż, stanowił przekleństwo jej życia. Wykonano go dokładnie na miarę jej najintymniejszych części. Łączył w sobie zručność rzemieślnika i spryt zbrojmistrza. Podobnie jak sam pałac, Catherine była na zewnątrz powabna, a wewnątrz nie do zdobycia. Pas nieustannie drażnił jej brzuch i pośladki, powodując otarcia i odleżyny. Pierwszego roku po jego założeniu omal nie umarła wskutek zakażenia. Odesłano go wówczas do kuźni, celem przeróbki. Wrócił delikatniejszy, lecz równie monstrualny.

Cierpiała w ten sposób już pięć lat. Od pięciu lat nie mogła się porządnie wykapać ani normalnie załatwić. Pięć lat potu, rdzy i poniżenia.

Nikt już nie nosił takich pasów – o ile w ogóle ktoś

je kiedykolwiek nosił. Stanowiły zabytek przeszłości, o którym czytało się w opowieściach i z którego chichotało się podczas haftowania. Jednak ją, najwyższą rang;) kobietę na największym dworze w Znanych Krainach, zakuto w coś takiego równie niezawodnie, jak przestępcę w dyby. Jej ojciec bardzo dbał o zachowanie tradycji przodków, a tradycje owe ostrzegały przed słabym charakterem i nienasyconymi żądzami breńskich kobiet. Nigdy mu tego nie wybaczy.

Pas miał jednak pewne zalety. Dopóki go nosiła, była poza wszelkim podejrzeniem. Poglaskała delikatnie metal. Na jego krzywiźnie wytrawiono starożytne strzegące runy. Już dawno przekonała się jednak, że nie mają one żadnej mocy. Skoncentrowała się na punkcie zetknięcia zamku z lutem, rozgrzewając lekko ten ostatni. Poczowała metaliczny smak na języku. Podekscytowało ją to. Nie zważała na grożące jej mdłości. Kropelka metalu drgnęła, stała się plastyczna od gorąca. Catherine zaczerpnęła trochę więcej mocy. Cały pas się ogrzał. Żar, który rozgorzał między jej nogami, podniecił ją jeszcze bardziej.

Instynktownie wyczuła moment, w którym cyna ustąpiła. Pociągnęła za zawias i pas rozchylił się na tyle, że mogła z niego wyjść. Jedyne głupiec mógł wierzyć, że jego kosztowności są bezpieczne tylko

dlatego, iż zamknął drzwi.

Nogi uginały się pod nią. Dowlokła się do łoża, pełna triumfu, lecz dręczona zawrotami głowy. Gdzie podział się Blayze? Pragnęła go teraz.

Nalała sobie kielich czerwonego wina i czekała. Zmuszając ją do noszenia pasa cnoty, diuk wyświadczył jej mimowolną przysługę. By się uwolnić z tego okropieństwa, musiała nauczyć się czarów. Jej służebnica. Stasia, miała ciotkę, która znała się na takich sprawach. Rzecz jasna. Catherine ukryła przed nią swe prawdziwe zamiary. Powiedziała, że interesują ją metale, gdyż jej biżuteria często się łamie. Nie było to przekonujące wytłumaczenie, lecz któż ośmieliłby się zaprzeczyć prawdziwości słów córki diuka? Z pewnością nie stara kobieta, która łamała starożytnie prawa, praktykując czary.

Z początku staruszka wmawiała jej, że nie ma talentu, gdyż dziedziczy się go z krwią, a breńska dynastia jest obdarzona prawdziwą władzą, nie magią. Coś się w niej jednak znalazło. Zapewne miała to po matce. Nie było tego wiele, tylko ślad, to jednak wystarczyło. Nauczyła się osłabiać lut i opanowała kilka innych, równie użytecznych sztuczek. Stara wiedźma umarła przed kilkoma miesiącami i od tego czasu Catherine czuła się trochę niespokojna.

Brakowało jej dreszczyku nowej wiedzy, ryzyka towarzyszącego odkrywcy.

Przesunęła dłonie wzdłuż ud, podziwiając gładkość swego ciała. Miała bardzo długie nogi i jasną, nieskazitelną skórę, naznaczoną jedynie małym znamieniem, tuż nad kostką. Znak jastrzębia, noszony przez wszystkich mężczyzn i kobiety z breńskiej dynastii. Świadczył o tym, że jest córką swego ojca. Z dumą nosiła ów niepodważalny dowód swego pochodzenia.

Usłyszała trzy stuknięcia w okiennicę. Najwyższy czas. Podeszła do okna, nie zadając sobie trudu, by ukryć swą nagość. Otworzyła zatrzask i cofnęła się, by pozwolić obrońcy diuka wśliznąć się do środka.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytała. Spróbował ją pocałować, lecz odsunęła się od niego. Jego oddech cuchnął *ale*.

– Musiałem załatwić kilka spraw.

Gapił się na jej piersi. Catherine zasłoniła je dłońmi.

– Jakich spraw?

– Mój pojedynek z żółtowłosym nieznanym spoza miasta. – Podeszedł do ustawionego na koźle stołu i nalał sobie kielich wina. Zatrzymał się na chwilę, świetnie zdając sobie sprawę z tego, że w

nowej bluzie, trzymając w dłoni kielich, wygląda wspaniale. – Wszystko poszło po mojej myśli. Walka odbędzie się w przyszłym tygodniu.

– Ojciec się ucieszy. Chciał pokazać gościom jakieś widowisko.

– Dostanie je.

Był bardzo zadowolony z siebie. Opadł na łożo, klepnął się w udo i skinął na Catherine, chcąc, by do niego podeszła. Innego dnia mogłaby się powstrzymać, lecz krew wciąż miała gorącą od czarów. Usiadła mu na kolanach. Był silny i dobrze umięśniony: wojownik, nie dworzanin.

– Opowiedz mi o swoim przeciwniku – poprosiła.

– To nieudacznik. Rycerz, który się stoczył. Sprzyjało mu szczęście w doborze rywali. Nie rozumiem, o co tyle hałasu.

– Jesteś pewien, że go pokonasz?

– Omal nie zabiłem go na miejscu. Spotkaliśmy się pod pałacem, przy trzech fontannach – opowiadał Blayzc. – Rzucił mi się do gardła.

Catherine zastanawiała się przez chwilę.

– Nie możesz sobie pozwolić na porażkę – powiedziała wreszcie.

– Nie ma się czego obawiać.

– Ale słyszałam, że mówi o nim cały Bren. Blayze zepchnął ją z kolan.

– W takim razie gadają o kimś, kto nie jest wart ich uwagi. Zbliżyła się do niego, oferując piersi do pocałunku. Był zły, potraktował ją więc brutalnie. Tego właśnie pragnęła. Kochali się gwałtownie, jak zapaśnicy tarzający się na łożu. Blayze przycisnął ją do pościeli, przebiegając językiem po czerwonych śladach pozostawionych przez, pas cnoty. Wciąż podrażniona skóra szczypała ją od jego śliny, lecz wzmogło to tylko jej pożądanie.

Później, gdy płomień świec wygasł wśród resztek wosku i leżeli wyczerpani na łożu, Catherine odszukała dłoń Blayze'a. Było jej go żal. Wkrótce miała poślubić kogoś innego. Ją czekała wspaniała przyszłość, a on nie miał nic poza tytułem obrońcy diuka. Podobny zaszczyt, zależny wyłącznie od fizycznej sprawności, z samej swej natury miał charakter przejściowy.

– Zwycięzysz, prawda? – zapytała. Blayze okazał czułość, całując jej nadgarstki.

– Oczywiście, kochanie. Nie ma potrzeby się martwić.

– Ja jednak się martwię. Co będzie, jeśli zada ci przypadkowy cios? – Przez chwilę myślała, że

posunęła się zbyt daleko. Blayze wstał i zaczął się ubierać. – Przepraszam. Nie chciałam cię urazić.

– Catherine, czy naprawdę sądzisz, że zostawiłbym coś tak istotnego ślepemu losowi? – zapytał cicho, zwracając się ku niej.

Jego słowa przeszły ją dreszczem.

– Co zaplanowałeś?

– Mógłbym pokonać tego nożownika z opaską na oczach, ale, jak nadmieniałś, zawsze istnieje ryzyko przypadkowego ciosu. – Blayze przerwał. Catherine skinęła głową, by go zachęcić. – Zamieniłem słówko z właścicielką gospody, w której mieszka, choć gospoda to zbyt eleganckie określenie.

– Ta kobieta prowadzi burdel? Blayze skinął głową.

– Tak, a to oznacza, że zna wartość bitych przez diuka monet.

Tak czy inaczej, doda mu trucizny do jedzenia. W noc walki będzie poważnie osłabiony.

Catherine wstała z łoża, oplótła Blayze'a ramionami i pocałowała go w usta, wykorzystując język jako przynętę: znowu go pragnęła. Mężczyźni zawsze stawali się bardziej interesujący, jeśli robili użytek nie tylko z mięśni, lecz również z rozumu.

11

Był wczesny ranek. Tarissa zajęła się rozpalaniem ognia, a Magia stała przy stole, obierając rzepy. Rovas, który już od kilku dni chodził ponury i małomówny, wyszedł przed godziną, mamrocząc, że nie wróci przed zachodem słońca. Ucieszyło to Jacka. Bez niego w chacie było spokojniej. Przyjemnie było siedzieć i popijać holk z korzeniami, radując się jednocześnie dźwiękami i zapachami wstającego dnia.

Rosół grzał się na małym ogniu. Jego delikatna woń rywalizowała z zawartym w holku cynamonem. Z krokwi zwisały suszone zioła, których aromatowi dodawało słodczy ciepło ognia. Szorowanie i skrobanie, cięcie i mieszanie: znajome kuchenne odgłosy dodawały mu otuchy. Gdy przed chwilą wziął w rękę nóż i zaczął kroić cebule, kobiety uśmiechnęły się do niego. On nie widział w tym nic dziwnego: w kuchniach Zamku Harvell chłopak, który się lenił, sam się prosił o lanie.

Miecz, który podarował mu Rovas, stał oparty o

beczkę z ogórkami. Jako piekarczyk zawsze był silny. Codzienne ugniatanie ilości ciasta wystarczającej, by nakarmić cały zamek, wyrabiało mięśnie rąk i klatki piersiowej, lecz władanie mieczem wymagało wyćwiczenia innych mięśni. Jego plecy musiały udźwignąć znaczny ciężar oręża, a boki nadawać siłę uderzeniom. Bolały go również nogi. Rovas poświęcił wiele czasu na naukę zachowywania równowagi.

– Gdy dzierzysz w dłoniach długi miecz, górna połowa twego ciała staje się zbyt ciężka – wyjaśniał. – Musisz rozwinąć mięśnie ud, by utrzymać ten ciężar.

W tym celu przemytnik kazał mu wbiegać na wzgórze i toczyć beczki.

Odkąd Jack sprzeciwił się mu, idąc na spacer z Tarissą. Rovas uczynił z lekcji formę kary. Ćwiczenia stały się niebezpieczne. Przemytnik biegle władał mieczem. Poruszał się sprawnie, dzierżył rękojeść pewnie i zawsze uderzał szybko. Jack nie miał z nim szans. Siedząc w kuchni, zajęty rąbaniem wieprzowych kości na rosół, musiał jedynie zerknąć na własne ręce, by zobaczyć, jak wrogo nastawiony do niego stał się Rovas. Całe pokryte były skaleczeniami i siniakami. Trwało to już od trzech dni.

Uczył się jednak szybko. Wczoraj przemytnik próbował zrobić z niego durnia, przypierając go do

drzewa. Jack zebrał siły i w jakiś sposób udało mu się zadać porządny cios. Jego miecz ześliznął się po klindze oręza Rovasa i wbił w jego nadgarstek. Warto było znieść późniejsze uderzenia, by zobaczyć wyraz zaskoczenia na twarzy przemytnika.

Jack nie wiedział, co sądzić o dziwnym domu, w którym obecnie mieszkał. Panowało tu głębokie napięcie, nie wiedział jednak, co jest jego przyczyną ani dlaczego jego obecność wydaje się pogłębiać. Dylematem była dla niego Magia – kobieta dumna i zimna, jak wielka dama dworu. Z początku myślał, że jest nastawiona przeciwko niemu, lecz przed zaledwie kilkoma minutami, gdy wszystkich obecnych rozweseliły cebule, poklepała go delikatnie po ramieniu. Nie mógł twierdzić, że wie coś o podobnych sprawach – ostatecznie znał dotąd tylko pieczenie chleba i solidne lanie, gdy coś zrobił źle – odnosił jednak wrażenie, że jest dla niego miła tylko dlatego, by zrobić na złość Rovasowi.

Jedno było pewne: zarówno Magra, jak i Tarissa bały się szerokiego w barach i z reguły beztróskiego przemytnika. Śmiały się z niego i przekomarzały z nim, zachowywały jednak ostrożność, jakby bały się obudzić śpiącego niedźwiedzia.

Nie ulegało również wątpliwości, że musi tu zostać.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Tarissa kłamała, twierdząc, że Rovas dał im bardzo dużo, żądając w zamian wyjątkowo niewiele. Chciał, by popełniła dla niego morderstwo, a to było walutą o najwyższej wartości. Jaki człowiek mógł zażądać czegoś takiego od dziewczyny, która była niemal jego córką? Nie może odejść. Gdyby zostawił teraz Tarrisę, nigdy nie uwolniłaby się od Rovasa. Staliby się współnikami morderstwa, na stałe związanymi pajęczyną tajemnic, strachu i winy.

Jack obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Tarissa pracowała przy miechach. Rękawy miała podwinięte, a mięśnie ramion były wyraźnie uwydatnione. Jej twarz oświetlały płomienie. Złoty blask dodawał jej urody. Wydawała się młoda, silna i opanowana. Jack zacisnął dłonie w pięści. Jak Rovas mógł od niej wymagać, by kogoś zabiła? Jak mógł zmuszać tę porządną, ciężko pracującą dziewczynę do odegrania roli skrytobójczym?

Poczuł w żołądku falę nienawiści. Pozwolił jej narastać. Rovas żył po to, by panować nad mieszkającymi w tej chacie kobietami. Pragnął sprawować nad nimi władzę życia i śmierci. Chciał uczynić Tarrisę współniczką swych zbrodni.

Dziewczyna odstawiła miechy i uśmiechnęła się do

Jacka.

– Wypuściłam z nich prawdziwy huragan – stwierdziła – a ogień wciąż wygląda tak, jakby miał zaraz zgasnąć.

Nos i włosy miała pokryte popiołem. Pojedynczy płatek opadł jej na policzek. Zdmuchnęła go jak piórko. Była bardzo bezpośrednia, nie pyszniła się ani nie wywyższała. Nie miała nic do ukrycia.

Jackowi trudno było odwzajemnić jej uśmiech, zrobił to jednak. Rozciągając wargi, nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie musiał zabić halcuskiego kapitana. Nie pozwoli Rovasowi zepsuć, a potem szantażować tej pełnej werwy dziewczyny.

Magra podniosła się z krzesła. Pękł czar nienawiści i przysiąg.

– Przejdę się do gospodarstwa Skowronka – oznajmiła. – Przydadzą nam się świeże jajka.

Była to niespodzianka. Jack i Tarissa wymienili spojrzenia. Dziewczyna była równie zdumiona jak on. Można to było wytłumaczyć jedynie w ten sposób, że Magra chce, by zostali sam na sam. Wiedziała, że Rovasa nie będzie przez cały dzień. Założyła szkarłatny, wełniany płaszcz i zawiązała go pod szyją. Jack po raz pierwszy wyobraził sobie, jak musiała wyglądać przed dwudziestoma laty: olśniewająca

piękność. Była wyższa i szczuplejsza od córki. Na jej atrakcyjność składały się w równym stopniu zachowanie i pięknie rzeźbione rysy twarzy.

Tarissa zauważyła, że chłopak przygląda się jej matce. Uśmiechnęła się. Zobaczył, że jest z niej dumna. Chciał się dowiedzieć tak wielu rzeczy. Dlaczego uciekły z królestw? Jak dotarły aż tutaj? I z jakiego powodu piękną twarz Magry naznaczyły głębokie bruzdy gorczy?

Nim wyszła, spojrzała na córkę, z wyrazem ostrzeżenia połączonego z rezygnacją.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Jack podszedł do Tarissy. Nie potrafił się powstrzymać. Chciał być blisko niej. Nie odsunęła się.

– I co teraz zrobisz. Jack? – zapytała spoglądając mu w oczy. Jej słowa pobrzmiwały drwiną, lecz oczy lśniły zachęcająco. Chłopaka oszołomiła jej bliskość. Nagle ogarnęło go obłąkane pragnienie wzięcia jej w ramiona. Uśmiechnęła się powoli.

– Pewnie znowu mnie pocałujesz. A może czymś mnie zaskoczysz?

Jack potrafił rozpoznać wyzwanie. Zbliżył się jeszcze bardziej, objął kibić Tarissy i uniósł dziewczynę w powietrze. Jej uwodzicielski uśmiech zniknął natychmiast. Krzyczała i chichotała, a potem

uderzyła go zaciśniętą pięścią. Powiedział jej, że ma silny cios, jak na dziewczynę. Uderzyła go jeszcze mocniej i wreszcie ją puścił.

Ganiali się po kuchni jak dwa pozbawione opieki dzieciaki, okładając się, śmiejąc i tłukąc naczynia. Wszystko wydawało się im zabawne: rosół, ogień, częściowo obrane rzepy. Nowe wrażenie, jakim była dla nich samotność we dwoje, było tak oszałamiające, że zakręciło im się od niego w głowie.

Tarissa wyrwała się z jego objęć.

– Cuchniesz cebulą – zauważyła.

– Dziękuję – odparł Jack. – Bardzo się o to starałem. Kopnęła go w goleń i umknęła z szybkością zająca. Ścigał ją po kuchni. Tarissa nigdy nie wyglądała wspanialej: rumiane policzki, rozczochrane, kręcone włosy i falujące piersi. Jack wstydził się nieco, że zauważa podobne rzeczy. Starał się tego nie robić, lecz nieustannie przyciągały one jego spojrzenie i zaprzętały myśli.

Znowu go na tym przyłapała i roześmiała się głośno. Jack – słysząc wesołość, nie kpinę – również wybuchnął śmiechem. Oczy Tarissy lśniły. Oczarowała go jej pewność siebie, jej całkowita naturalność. Nie była wielką, nieosiągalną damą. Przy niej nie czuł się skrępowany. Mogła się wychowywać w innym kraju,

ale żyła w jego świecie. W świecie, w którym jedynymi ważnymi pomieszczeniami były kuchnie, gdzie przyjaciele gromadzili się wokół paleniska, a ciężką pracą dzielono się równie chętnie, jak nieprawdopodobnymi opowieściami przy kolacji.

Stanęli na chwilę. Tarissa podsunęła mu rękę do ucałowania. Serce waliło mu szybko. Dłonie miała mocne, a paznokcie krótkie i nie tak czyste, jak powinny być. Wewnętrzne powierzchnie dłoni pokrywała siateczka maleńkich blizn, pozostawionych przez miecz, a palce zdobiło sześć idealnie ukształtowanych i niewypowiedzianie powabnych stwardnień. Jack ucałował je, omijając gładką, białą skórę grzbietu dłoni. Tarissa nie potrafiła powstrzymać chichotu, ucałował je więc raz jeszcze.

Zachwycało go jej towarzystwo. Przerażona dziewczyna sprzed trzech dni zniknęła, podobnie jak wyniosła kobieta, którą pocałował po raz pierwszy. Rovas popełnił fatalny błąd. Starając się ich rozdzielić, popchnął ich tylko ku sobie. Całe trzy dni nie mogli ze sobą rozmawiać i trudno im było nawet na siebie spojrzeć. Oto do czego to doprowadziło. Przedtem byli sobie obcy, a teraz połączyły ich knowania.

Tarissa nie przestawała chichotać. Po raz kolejny ucałował stwardnienia na jej dłoniach. Błagała go, by

przestał. Kiedy nie chciał tego zrobić, pociągnęła go za włosy i ugryzła w ucho.

Kąsanie przeszło stopniowo w coś bardziej miękkiego i wilgotnego. Jack musiał się powstrzymać przed zmiążdżeniem dziewczyny w uścisku. Jej język odbył wędrówkę od jego ucha do ust. Miał jej piersi w zasięgu swych rąk i nic, absolutnie nic, nie mogło go powstrzymać przed ich pieszczaniem. Mruknęła zachęcająco, co podnieciło go bardziej niż wszelkie dotknięcia. Znowu stała się starszą kobietą, przewodniczką, nauczycielką, pod każdym względem pewną siebie.

Jack przesunął dłoń ku górze, pragnąc poczuć skórę zamiast tkaniny. Tarissa odsunęła się.

– Posuwamy się zbyt szybko – zaprotestowała, bojąc się spojrzeć mu w twarz.

W tej chwili wszystko, co usłyszał o kobietach od Grifta, wydało mu się prawdą. Były fałszywe, bez serca i tak nieobliczalne, że mogły doprowadzić mężczyznę do szaleństwa. Dlaczego w jego życiu nic nie mogło być proste i zwyczajne? Jego przeszłość, przyszłość, zdolności, a teraz ta nieudana próba zbliżenia z dziewczyną.

Bardziej sfrustrowany niż zły, odgarnął włosy z czoła.

– Co zrobiłem nie tak? – rzekł z westchnieniem. Zaskoczyła go, uśmiechając się łagodnie.

– Masz bardzo piękne włosy. – Pochyliła się i poprawiła kosmyk, który przeoczył. – Przepraszam cię. Jack. Zaraziłam się twoim podnieceniem i ono poniosło mnie tam, gdzie nie jestem leszcze gotowa się udać.

Wyciągnęła rękę i Jack ją uściskał.

Jak mógłby ją znienawidzić? Namiętność opuściła jego ciało, zostawiając po sobie czułość.

– W takim razie ja też cię przepraszam – powiedział z, uśmiechem. Grift wielokrotnie mu powtarzał, iż kobiety słyną z tego, że zmuszają mężczyznę do przeprosin, chociaż nie zrobił nic złego. Jack jednak nie miał jej tego za złe. Grift zapomniał mu powiedzieć, że warto zapłacić tę cenę.

– Przez Rovasa zachowujemy się jak ogłupiali z miłości durnie – tłumaczyła Tarissa. – A przecież prawie się nie znamy. Mów ileś, że mieszkałeś w Zaniku Harvell, ale nie wiem, co tam robiłeś, dlaczego stamtąd odeszłeś ani czym zajmuje się twoja rodzina.

Znowu więc usłyszał pytanie, którego bał się całe życie. Zadawano je zawsze. Rodzina była najważniejsza. To ona definiowała, kim jest człowiek i skąd przychodzi. Na tej podstawie go osądzano. Kim

był wobec tego Jack? Jego matkę powszechnie uważano za dziwkę, a ojciec był nie znany. Nie miał się czym chwalić. Za to miał się czego wstydzić.

Nie była to odpowiednia chwila na rozmowę o rodzinie. Nie chciał popsuć nastroju. Wstał, pociągając za sobą Tarrisę.

– Czyżbym zapomniał ci powiedzieć, że byłem uczniem piekarskim?

– Piekarskim? Była zachwycona. Zaprowadził ją do stołu.

– Tak, piekarskim. Chyba nadeszła już pora, bym ci zaimponował swymi umiejętnościami.

Usiadł przy wielkim, ustawionym na koźle stole i wysypał na niego mąkę, dodając do niej wodę i tłuszcz. Następnie podszedł do paleniska i wsunął do ognia formę do pieczenia.

– Co upieczesz? – zapytała Tarissa. Wsparła się łokciami na stole, pochłonięta obserwacją jego poczynąń.

Przez chwilę pocierał brodę.

– Chyba coś słodkiego – zdecydował wreszcie. Pracował szybko, dodając do ciasta wszystko, co mógł znaleźć: suszone owoce i skórki, miód, cynamon. Po chwili podniósł wzrok. Tarissa przypatrywała się mu w cichym skupieniu.

– Pomóż mi ugniatać ciasto – poprosił. Potrząsnęła głową, lecz Jack nie dał się tak łatwo zniechęcić. Zaprzestał pracy i sięgnął ku dziewczynie. – Podaj mi ręce. – Kiedy je wyciągnęła, złapał obie dłonie i wytarł o nie swe palce. – Teraz chyba już możesz trochę pougniatać. Odrobina ciasta więcej nie zaszkodzi twoim dłoniom.

Tarissa skrzywiła się, podeszła jednak do niego. Jack stanął za plecami dziewczyny i położył jej dłonie na cieście. Powoli nauczył ją je ugniatać, a potem wałkować. Tłumaczył, że każdy rodzaj ciasta ma inną strukturę, i zademonstrował, jak ją sprawdzać. Prowadził jej palce i kierował ramionami.

Zdawał sobie sprawę z bliskości dziewczyny. Krzywizna jej szyi była najbardziej kuszącym widokiem, jaki ujrzał w życiu, a dotyk dłoni nappełniał go radością. Wkrótce zapomnieli o cieście. Ważne było tylko to, że się dotykali i byli blisko.

Skrzypnęły drzwi i do izby weszła Magra. Jack i Tarissa natychmiast zaprzestali swych poczynań. Zaczerwienili się oboje niczym przyłapani na pocałunku kochankowie.

– Widzę, że zajęliście się pieczeniem – zauważyła Magra.

– Jack uczył mnie ugniatać ciasto – wyjaśniła

Tarissa, zdrapując pospiesznie z palców resztki mąki.

– A więc jest piekarzem? – Postawiła z trzaskiem na stole koszyk z, jajami. – No cóż, tu, na pograniczu, nie trafi się pewnie nic lepszego.

Jack nigdy jeszcze nie czuł się tak zdezorientowany. Sądził, że Magra wyszła tylko po to, by zostawić ich sam na sam. Mimo to była w widoczny sposób niezadowolona z rezultatów. Najwyraźniej uważała, że nie jest godny jej córki. Dlaczego w takim razie próbowała ich do siebie zbliżyć?

Tarissa podeszła do miednicy i zaczęła myć ręce. Jack skończył ugniatać ciasto, zrzucił je na formę i nakrył wielkim, miedzianym garem, jaki w większości wiejskich chat zastępował piec. Naczynie zatrzymywało bijący z rozgrzanego kamienia żar. Nie liczył zbytnio na to, że uda mu się słodki chleb. Drożdże nie miały czasu zadziałać, ciasto będzie więc ciężkie.

Gdy spojrzał na Tarysę, w jego głowie zrodziło się mroczne podejrzenie. Być może Magra, choć niechętnie, starała się ich zbliżyć do siebie po to, by uniknąć czegoś gorszego.

Zaniepokojony kierunkiem, w którym zmierzały jego myśli, i przerażony tym, dokąd mogą go zaprowadzić. Jack uprzątnął szybko stół i wyszedł z

chaty. W dłoni trzymał pożyczony miecz. Miał ochotę coś rozwalić. Rovas zawiesił na konarze drzewa pustą beczkę po piwie, by Jack mógł ćwiczyć uchylanie się przed ciosem. Chłopak rozkołysał ją, nie zamierzał się jednak uchylać. Wymachując mieczem, rąbał beczkę raz za razem. W powietrze pofrunęły drzazgi. Jack nie zwracał na nie uwagi. Był zdecydowany dokonać dzieła zniszczenia. Metalowe obręcze uderzały ze zgrzytem o miecz, tępiąc ostrze, lecz drewno ustępowało niczym masło. Jack zadawał cios za ciosem, wyobrażając sobie, że ma przed sobą mężczyznę, który zawiesił atakowany przez niego przedmiot.

– Nie, Bodger. Kobiety z Brenu lubią niskich, kudłatych mężczyzn.

– To znaczy, że masz tu szansę. Grill.

– Obaj mamy, Bodger.

– Może i jestem niski, Grift, ale na pewno nie kudłały.

– Patrzyłeś ostatnio na swój kark? Nie chciałbym natknąć się na ciebie podczas pełni księżyca.

– Chyba nie wierzysz w to, co stare wieśniaczki opowiadają o wilkołakach. Grill?

– Zauważyłeś może, Bodger, że to właśnie stare wieśniaczki żyją najdłużej?

– Co masz na myśli, Grift?

– To, Bodger, że żyją tak długo właśnie dlatego, że znają wszystkie niebezpieczeństwa. Żadna stara wieśniaczka nie wyjdzie w noc pełni na dwór bez zapasu suszonych śliwek.

– Suszonych śliwek, Grift?

– Ehe, Bodger. To najgroźniejsze z owoców.

– A to czemu, Grift?

– No więc, wilkołaki chcą od kobiet dwóch rzeczy: najpierw je wygrzmocić, a potem pożreć. Nie wiem, czy kiedyś grzmociłeś się z dziewczyna” która miała na głowie śliwkę. Bodger, ale uwierz mi, że to żadna przyjemność.

Bodger potrząsnął głową z mądrą miną.

– A co z pożarciem, Grift?

– Nikt nie lubi smaku suszonych śliwek, Bodger. Nawet wilkołaki.

Obaj mężczyźni wzniesli toast za zdrowy rozsądek Grifta, po czym znowu usiedli na krzesłach.

– Skąd wiesz, co lubią breńskie kobiety, Grift?

– Od strażnika imieniem Ropusznik. Według niego, to w Rornie kobiety gustują w wysokich mężczyznach. Opowiedział mi też parę ciekawych rzeczy o diuku.

– Na przykład jakich, Grift?

– Wszyscy mówią, że jest niewyżyty jak puszczyk,

Bodger. Żyje tylko po to, żeby się grzmocić. Ale jest wybredny, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wybredny?

– Ehe. Pierońsko się boi zarazić tryprem. Według Ropusznika to właśnie było powodem śmierci jego ojca. Stary diuk zmarł wkrótce po tym, jak odpadły mu klejnoty. Dlatego jego następcą grzmoci się tylko z kobietami, których nikt przed nim nie dotknął.

– To znaczy z brzydkimi, Grift?

– Nie, ty durniu, z dziewczycami. To jedyny sposób, by mieć pewność, że dziewczyna nie ma trypra. – Grift dopił *ale*. – No, Grill, pora brać się za robotę. Te ławy nie wytrą się same.

– To był świetny pomysł, Grift, dogadać się z kapelanem. Gdyby nie to, wciąż musielibyśmy sprzątać stajnie.

– Ehe, Bodger. Moim zdolnościom perswazji dorównuje jedynie siła mojego intelektu.

Regularnie co ósmy krok wdeptywał w końskie łajno. Była to matematyczna osobliwość, fakt jednak pozostawał faktem. Być może konie dogadały się ze sobą, by załatwić to w ten sposób, gdyż taka odległość między odchodami akurat wystarczała, by dać człowiekowi fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Potem znowu płask! Gnój na butach.

Kosiarz poświęcał swym stopom bardzo wiele uwagi. Powtarzał sobie, że to dlatego, iż często się brudzą, w rzeczywistości jednak nawiedziło go nowe, dziwne doznanie: poczucie winy. Słyszał o nim, znał opowieści o ludziach, których poraziło, o smutku i szaleństwie. Szybcior twardo powtarzał, że poczucie winy to śmierć dla kieszonkowca. Kosiarz doszedł więc do logicznego wniosku, że jest to jakaś tajemnicza choroba, na którą można umrzeć, jeśli nie znajdzie się właściwego lekarstwa.

Wszystko to wina Tawla. W jakiś sposób rycerz zdołał go zarazie paskudnym przypadkiem poczucia winy. Choć Kosiarz był człowiekiem światowym i zajmował się tym, co powinien robić każdy człowiek interesu – ubijaniem interesów – czuł się tak, jakby popełnił zbrodnię stulecia. Wyglądało to tak źle, że ledwie mógł patrzeć ludziom w twarz. Dlatego cały czas wpatrywał się w ziemię niczym węszący za złotem smoluch.

Wszystko szło pomyślnie do chwili, gdy wciągnął w sprawę kobietę, która wcierała sobie w twarz szcurzy olej. Potem sprawy potoczyły się w dół szybciej niż wysmarowany tłuszczem arcybiskup. Co go opętało, że powiedział temu zarozumiałemu dandysowi. Blayze'owi, o wstydlivej przeszłości

Tawla? Wydawało mu się wówczas, że natchnęli go bogowie. Był to niezawodny sposób na sprowokowanie rycerza do wyrażenia zgody na walkę. Do tego udało mu się. Ukryty za drzewem rosnącym na rogu placu, widział wszystko: rozmowę, szamotaninę, kobiety i gwardzistów. Słyszał nawet, jak Tawl mówił, że jest gotowy do walki. O cóż więc chodziło? Dlaczego czuł się tak podle?

Spoglądając wstecz, próbował ustalić, w którym dokładnie momencie poczuł pierwsze ukłucie poczucia winy.

Stało się to mniej więcej wtedy, gdy Tawl oddalił się sam, pozwalając, by madame Thornypurse i jej żółtowołosa córka Corsella porozmawiały z Blayzem. Wielkie uszy nie wystarczyły, by podsłuchać, o czym mówiło tych troje. Był to zły znak. Szybcior mawiał: „im gorsza intryga, tym ciszej się ją knuje”. Kosiarz był pewien, że przy trzech złotych fontannach wydarzyło się coś, co źle wróżyło rycerzowi.

Od tej pory dręczyło go poczucie winy. Musiał coś w tej sprawie zrobić, zanim go ono zabije.

Nogi Kosiarza wybrały kurs na ulicę Burdelową. Towar w plecaku pobrząkiwał w rytm jego kroków. Dźwięk monet pogarszał tylko jego dolegliwość, która przeszła już w stan przewlekły. Ubił z Blayzem dobry

interes. Obrońca diuka dał mu dwadzieścia sztuk złota, nie wspominając już o dziesięciu srebrnikach, które Kosiarz zwędził podczas odliczania zapłaty. A także o złocie, które ukraść madame Thornypurse, gdy rozmawiali w oberży „Pod Przepelnionym Wiadrem”. Ależ ta kobieta umiała ukrywać kosztowności! Odzyskanie maksymalnie dużej części złota, którego pozbawiła Tawła, z pewnością było sprawiedliwym uczynkiem. Kosiarz nie miał wątpliwości, że monety ukryte w woreczku zawieszonym u bielizny madame Thornypurse prawowicie należały się rycerzowi. W ostatecznym rozrachunku cała ta sprawa przyniosła mu niezły zysk.

To jednak była tylko część problemu. Co jeśli jego przyjaciel przegra? Albo jeszcze gorzej, zginie? Jemu, Kosiarzowi, przypadnie w udziale część łupów, i jeśli już teraz cierpiął na przewlekłe poczucie winy, podobny cios z pewnością go wykończy.

Lepiej dopilnować, żeby do tego nie doszło. Ratując rycerza, ocali również siebie.

Dotarł pod budynek o czerwonych okiennicach. Z jakiegoś powodu pukanie do drzwi nie wydało mu się dobrym pomysłem, wśliznął się więc do sąsiedniego zaułka i odnalazł wypaczoną deskę, która już kiedyś tak bardzo mu się przydała.

W środku było ciemno i brudno. Za wcześnie, by zaczął się ruch. Kilka dziewczyn o znużonym wyglądzie wylegiwało się na ławach, próbując się upić, nim zjawią się klienci. Nigdzie nie było widać madame Thornypurse. Błysk jasnych włosów świadczył o obecności Corselli, która pracowicie wcierała róż w swą małą, skwaszoną twarz. Rozczarowany Kosiarz chciał już się oddalić, gdy usłyszał charakterystyczny odgłos wymiotów, dobrze znany chłopcu, którego spotkał ongiś wątpliwy zaszczyt mieszkania w sąsiedztwie najbardziej osławionego z masowych trucicieli Rornu – pana Sourgilla, właściciela „Smażalni Świeżych Ryb Sourgilla”.

Wymioty ustąpiły miejsca bolesnemu, suchemu kaszlowi. Nagle rozległ się piskliwy głos Corselli: – Psst, Tawl, obudzisz matkę.

Rycerz z pewnością przebywał w sąsiedniej izbie, Kosiarz skierował się więc na zaplecze. Zaduch, który już w zaułku był wystarczająco przykry, przerodził się w nieznośny smród. Jego źródło stanowił otwarty rynsztok. Biegł on wzdłuż ulicy i wypełniały go takie obrzydlistwa, że nawet Kosiarz wolał na nie nie patrzeć.

Znalezienie otworu, przez który mógłby zajrzeć do środka, nie było tak łatwe, jak na to liczył. Wreszcie

odsunął z listwy okiennej odrobinę chorobliwie wyglądającego zielska. W powstałej w ten sposób szczelinie roilo się od pajaków, można jednak było zajrzeć przez nią do środka.

Tawł przykucnął na podłodze. Całe jego ciało drżało. Na krótką chwilę w pamięci Kosiarza ożyła chata Bevlina, chwila, gdy rycerz kołysał w ramionach trupa. Od wywołanego wspomnieniem szoku skóra mu ostygła, a dłonie zaczęły dygotać. Młodego kieszonkowca nawiedziła nagle myśl, że stanął w obliczu spraw wykraczających poza jego zdolności pojmowania. Zawsze dotąd prowadził proste życie: zobaczyć, zapragnąć, ukraść. Znał zysk, dobre jedzenie i grę w kości. Niemniej po drugiej stronie ściany znajdował się człowiek, dla którego żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia. Co dziwne, to właśnie przyciągało do niego Kosiarza. Nie znał słów na określenie, miłości i nie wiedział, jak ich używać. Przyjaźń była wszystkim, na co pozwalało jego doświadczenie. Dlatego straszliwy gniew, który poczuł wobec odpowiedzialnej za to osoby – nie był głupi i domyślał się, że winę ponosi pewna wysmarowana olejem z gryzoni persona – przypisał owemu znajomemu uczuciu.

Poczucie winy narastało tak gwałtownie, że odnosił

wrażenie, iż natychmiast powali go trupem. Z pewnością nadszedł już czas, by złożyć pani tego domu niespodziewaną wizytę.

– Dziękuję, dobry człowieku, połóż to na stole.

Maybor odprawił posłańca ospałym gestem dłoni. Gdy tylko jednak drzwi się zamknęły, rzucił się na szkatułkę jak wilk na jelonka. Wieści z królestw.

Kilka nudnych zwojów od nadzorcy, uskarżającego się na kurczenie się zapasów na zimę, notatka od jego sługi Crandle'a, który informował swego pana, że jest zbyt chory, by wyruszyć do Brenu, a potem już ciekawe rzeczy. List od Kedraca oraz zaopatrzona we wstęgi i wosk epistoła napisana charakterem pisma, który widział dotąd tylko raz. Poprzedni list dostarczył orzeł.

Najpierw zabrał się za pismo od syna. Litery były wielkie i znajome, w związku z czym stosunkowo łatwo było mu je odczytać.

Świetnie. Kedrac odzyskał wreszcie zdrowy rozsądek i zapomniał o sprawie garderobianej. Pisał: „Żadna kobieta, zwłaszcza martwa, nie powinna być w stanie zniszczyć więzi łączącej ojca z synem”.

Chłopak umiał zręcznie dobierać słowa. Maybor był z niego zadowolony. Odzyskał go, a ponieważ utracił Melliandrę być może już na zawsze, cenił resztę

swej rodziny wyżej niż kiedykolwiek dotąd. Gdy czytał dalej, radość przerodziła się w podniecenie. Kedrac pisał o nowym królu. Najwyraźniej Kylock okazał się znakomitym przywódcą. „Ojczy, on jest genialny. Jego plan rozgromienia Halcusów jest śmiały i natchniony. Zamierza wysłać batalion wojsk na terytorium nieprzyjaciela i zaatakować broniące granicy oddziały od tyłu”.

Maybor uniósł dłoń i podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Jeśli Kylockowi się powiedzie, z pewnością będzie to oznaczało koniec sytuacji patowej, aczkolwiek wyglądało to na dość agresywne posunięcie, jak na kraj, który jakoby chciał jedynie bronić swych granic. Baralis się z tego nie ucieszy.

Gdy Maybor zwinął list od syna, jego usta wykrzywiły się w złośliwym uśmiešku. Kedrac dostarczył mu interesujący kasek, który mógł teraz podrzucić na talerz diuka. Musi jednak zachować ostrożność w swych politycznych knowaniach. Nikt nie może się dowiedzieć, że jest przeciwny ślubowi. Nawet jego syn, gdyż list zdawał się świadczyć, iż Kedrac podziwia nowego suwerena. Być może został nawet jednym z jego zaufanych ludzi. Plany ataku z pewnością były tajne. Tak, niewątpliwie wskazana była dyskrecja. Lepiej nie narażać się na gniew nowo

ukoronowanego króla.

Zabrał się do następnego listu. Był on zalepiony woskiem, lecz nie opatrzone go pieczęcią. Zgodnie ze słowami Crandle'a, przybył kilka dni po odjeździe Maybora do Brenu. Wielmoża rozwinął zwój palcami, które trochę za bardzo mu zeszywniały. Diabelne, zagraniczne pismo! Same pętle i wymyślne zawijasy. Można było zepsuć sobie wzrok, próbując je odcyfrować.

Powoli słowa nabierały dla niego sensu. Był to drugi list od tajemniczego współspiskowca z miasta leżącego daleko na południu. Tyle, że nie był on już taki tajemniczy. „Trafnie odgadłeś, że jestem człowiekiem kościoła. Zadaj więc sobie pytanie, kto jako jedyny z Bożych mężów sprawuje godną uwagę władzę?” To z pewnością był arcybiskup Rornu. Po plecach Maybora przebiegł słaby, lecz bardzo intensywny dreszcz. Wdał się w intrygi na naprawdę wielką skalę. To, co przeczytał dalej, również przypadło mu do gustu: „Związek Brenu z królestwami rzuci na północ rozległy cień. Ten, kto jest odpowiedzialny za ową unię, określi też jej skutki”. A dalej, na dole strony: „Jeśli żywisz pragnienie sprzeciwienia się temu małżeństwu, przekonasz się, że wspiera cię w tym moc południa”.

Arcybiskup najwyraźniej nie lubił bawić się słówkami na sposób autorów miłosnych wierszy.

Maybor odłożył lisi i ujął w rękę puchar. Otrzymał dwa bardzo interesujące pisma. Czuł się tak, jakby otworzyły się przed nim nowe możliwości. Wiązało się z nimi jednak również niebezpieczeństwo – najgorszego rodzaju – osobiste. Co innego być cierniem w boku Baralisa, a całkiem co innego zaryzykować swe posiadłości i pozycję. Musi stąpać ostrożnie, przemawiać cicho i zwodniczo jak anioł.

Zanurzył pióro w inkauscie i przystąpił do pisania odpowiedzi na list ze wschodu. Zajęło mu to wiele godzin. Podczas pracy Maybor uczył się subtelności.

Kosiarz załomotał głośno do drzwi.

– Otwierać! Otwierać! Przychodzę w imieniu diuka! Otworzyła mu Corsella, świeżo wyróżowana, co – jak stwierdził Kosiarz – tylko zaszkodziło jej urodzie.

– Spieprzaj, smarku – rzuciła, spojrzawszy na niego tylko raz. Kosiarz wsadził stopę w drzwi. Nie zamierzał rezygnować.

– Jestem przyjacielem twojej matki. Rozmawiałem z nią parę dni temu w oberży „Pod Przepelnionym Wiadrem”. To ja zaaranżowałem walkę Tawla.

– Faktycznie wydajesz mi się skądś znajomy. Kim

jesteś? Choć Corsella przypominała matkę z twarzy, najwyraźniej nie dorównywała jej inteligencją, co ułatwiało realizację planów Kosiarza.

– Jestem bratem Blayze’a... – Kosiarz przerwał, by wymyślić odpowiednie imię... nazywam się Scorch. Muszę jak najszybciej zamienić słówko z twoją matką.

Corsella uśmiechnęła się głupkowato na wspomnienie przystojnego obrońcy diuka.

– Wcale nie jesteś do niego podobny.

– Ach, no cóż, on ma nos po ojcu, a ja po dalekim kuzynie.

– Hmm.

– Posłuchaj, nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz. Pomyśl, jak zareaguje twoja matka, kiedy się dowie, że zamknęłaś drzwi przed posłańcem diuka?

Madame Thornypurse najwyraźniej nie była kochającą rodzicielką. Corsella zastanawiała się tylko chwilę.

– Wejdz – powiedziała wreszcie.

Poprowadziła go przez dużą, ogólnie dostępną izbę, do której zaglądał z zaułka. Leżące na ławach kobiety ignorowały chłopaka. W rogu siedział potężny mężczyzna, zajęty ostrzeniem noża. Kosiarz nigdy go tu nie widział. Ulicznik modlił się w myślach, by Tawl nie wychodził z izby na zapleczu. Nie byłoby dobrze,

gdyby go teraz rozpoznał. Po kilku minutach Corsella wróciła.

– Matka przyjmie cię w swej sypialni.

Madame Thornypurse w pościeli przedstawiała sobą godny zapamiętania widok. W białej koszuli nocnej i czepku wyglądała jak ohydny, mściwy anioł. W izbie unosił się lekki zapach zgnilizny, zapewne pochodzący od szczurzego oleju.

Kosiarz czuł się podenerwowany, lecz nie zamierzał tego okazywać. Ujął dłoń kobiety i ucałował ją.

– Dobry wieczór, piękna pani.

Piękna pani nie dała się tym razem zwieść pięknym słówkom. Cofnęła dłoń.

– Nie powiedziałeś mi, że jesteś bratem Blayze’a. Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie było powodu. Zresztą wszyscy w Brenie mnie znają – dodał po chwili zastanowienia. – Sądziłem, że ty też.

To wystarczyło. Z twarzy madame Thornypurse zniknął wyraz sceptycyzmu.

– Czego chcesz?

– No więc, jak wiesz, umówiłaś się z moim bratem, że... Umilkł, w nadziei, że kobieta dokończy zdanie za niego.

– Podam rycerzowi parę dawek trucizny? – zapytała.

Kosiarz wciągnął głośno powietrze w płuca. Nigdy w życiu nic nie rozgniewało go tak, jak te wypowiedziane od niechcienia słowa. To babsko truło Tawla!

Nim zdążył się zorientować, w jego dłoni znalazł się nóż. Przeklinał jego krótkie ostrze. Madame Thornypurse krzyknęła, odsuwając się od niego. Kosiarz ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Gorąco pragnął ukarać tę kobietę. Zagrzebała się w pościeli. Spod kołdry wystawała jedynie jej obuta w pantofel stopa. Chłopak dźgnął w nią z całej siły. Z rany trysnęła krew. Madame Thornypurse zawyła histerycznie.

Do izby wpadła Corsella, w towarzystwie mężczyzny, którego Kosiarz zauważył wcześniej. Dzierżył on przed chwilą naostrzoną broń. Corsella zamachnęła się z krzykiem na chłopaka. Ten uchylił się przed jej ciosem i znalazł się twarzą w twarz z nożem.

– Zabij tego małego sukinsyna! – darła się madame Thornypurse, trzymając się za zranioną stopę.

Jako że atak na tę część ciała już raz okazał się skuteczny, Kosiarz nadepnął z całej siły na palce nogi

nożownika.

– Ajj! – krzyknął mężczyzna. Popęłnił ten błąd, że pchnął nożem, próbując jednocześnie złapać się za bolącą kończynę. Kosiarz natychmiast przemknął pod jego ramieniem, lecz Corsella złapała chłopaka za kudły, próbując obalić go na podłogę. Ponieważ nie lubił, jak ktoś dotyka jego włosów, uderzył ją z całej siły w żołądek.

Powietrze wypełniły wrzaski matki i córki. Gdy Kosiarz dobiegł do drzwi, dopadł go nożownik. Na jego twarzy malowała się żądza mordu. Złapał chłopaka za rękę i wykręcił ją z całej siły. Ulicznik usłyszał trzask wyskakującej ze stawu kończyny. Oczy zaszyły mu łzami z bólu. Mężczyzna przycisnął mu ostrze do gardła.

– Posiekam cię na plasterki – zapowiedział, naciskając mocniej. W tej samej chwili do izby ktoś wszedł. Kosiarz usłyszał dźwięk wysuwanego z pochwy noża, a potem znajomy głos:

– Jeśli tkniesz tego chłopaka, zginiesz, nim zdążysz zaczerpnąć oddechu.

Był to Tawl.

Na pierś Kosiarza spłynęła wilgotna, lepka krew. Ostrze wbiło się w ciało. Kosiarzowi zrobiło się słabo. W jego ciało.

Nożownik cofnął się powoli. Matka i córka nie odzywały się.

Wyraz twarzy Tawla mógłby każdego skłonić do milczenia. Śmiertelnego milczenia.

Gdy tylko jego pierś uwolniono od noża, Kosiarz poczuł, że obejmują go silne ramiona. Ich dotyk pokrzepił go, jak nic dotąd. W następnej chwili zemdłał. Ostatnim, co dotarło do jego świadomości, był niosący poczucie bezpieczeństwa zapach rycerza, który wynosił go z burdelu.

12

Kosiarz poczuł tępy ból w barku. Poruszył się lekko w nadziei, że uda mu się go złagodzić, nie znalazł jednak ulgi. Poza tym, było mu wygodnie: niezbyt świeża, lecz również i nie brudna słoma, słabe światło, ciepło i charakterystyczny smrodek końskiego nawozu. Jeśli znajdował się w stajni, wołał o tym nie wiedzieć. Konie nie należały do jego ulubionych zwierząt.

Jego umysł wypełniły wspomnienia. Jak mógł być tak głupi, by dźgnąć nożem madame Thornypurse? Gdzie zgubił rozum? Nagle ogarnął go lęk: co się stało z jego workiem? Otworzył natychmiast oczy i przyjrzał się słomie. Ani śladu worka. Na domiar złego, faktycznie przebywał w stajni! Otaczały go drewniane boksy, a z gwoździ niczym święte relikwie zwisały uzdy, wędzidła i inne tajemnicze przybory związane z końmi. I parszające, rżące konie!

Gdy spróbował wstać, bark przeszył mu ból. Lewa ręka nie reagowała tak, jak powinna. Zwisała

bezwładnie u jego boku. Ściągną jej górnej części były paskudnie naciągnięte. Wszystko mu się przypomniało: nożownik, ostrze przyciśnięte do gardła, spieszący mu na ratunek Tawl. Pomacał zdrową ręką gardło. Było obandażowane i po obu stronach opaski wysmarowane czymś, co pachniało obrzydliwie w związku z tym, zapewne było dobre dla zdrowia.

Wierzeje otworzyły się i do środka wszedł Tawl. Wczoraj Kosiarz widział go tylko z tyłu i teraz wstrząsnęła nim zmiana w jego wyglądzie. Skórę miał bladą, a oczy podkrążone.

– Jak się czujesz? – zapytał, stawiając na ziemi rozmaite garnki i paczki.

Chłopak miał w głowie tylko jedno.

– Gdzie jest mój worek?

– Pewnie został u madame Thornypurse. – Stanowczym gestem rycerz ujął Kosiarza za ramiona i posadził go. – Lewa ręka wyskoczyła ci ze stawu.

– Musimy wrócić po mój worek. Jest w nim cała fortuna w złocie.

Tawl zignorował jego słowa. Zacisnął dłoń na nadgarstku Kosiarza i pociągnął mocno. Drugą ręką wepchnął ramię chłopaka z powrotem w staw.

Ulicznik krzyknął głośno. Ból był nie do zniesienia. Oczy zamgliły się, a w głowie zakręciło. Wciąż jednak

myślał tylko o worku.

– Straciłem zapas na czarną godzinę. Potrzebowałem paru miesięcy, żeby... Ajj! – krzyknął, gdy wszystkie mięśnie zaprotestowały przeciwko próbie poruszenia. Rozsądnie pozwolił, by dopiero co nastawiona kończyzna spoczęła bez ruchu u jego boku.

– Potrzebowałem paru miesięcy, żeby zgromadzić tę sumę. Musimy ją odzyskać.

Tawł potrząsnął głową.

– Nie możesz tam wrócić.

– W takim razie ty to zrób.

– Jeśli jeszcze kiedyś tam pójde, to po to, by załatwić własne sprawy, a nie twoje.

Twarde brzmienie głosu Tawła powstrzymało Kosiarza przed dalszymi próbami naciskania na niego. Chłopak spróbował innego podejścia.

– Te baby cię truły.

– Tak. Domyśliłem się tego, kiedy wymiotowałem drugi dzień z rzędu.

– To Blayze je do tego namówił.

Tawł wydawał się znużony, niemal obojętny.

– To ma sens. Chociaż wątpię, by chciał, żeby Thornypurse wpędziła mnie do grobu. Blayze nie wywarłby zbyt dobrego wrażenia, gdyby pokonał człowieka, który ledwo trzyma się na nogach.

Kosiarz dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Tawl jest chory. Mazał się jak dzieciak z powodu bolącej ręki i skaleczenia, podczas gdy rycerz zapewne połknął tyle trucizny, że mogłaby ona zabić wszystkie dziwki w burdelu.

– Proszę – powiedział Tawl, podsuwając mu świeży chleb. – Zjedz go. Pomoże ci odzyskać siły.

– A co z tobą, z trucizną?

– Nic mi nie będzie. Zorientowałem się, nim było za późno. Kosiarz miał wątpliwości.

– Skąd ta pewność?

Rycerz spuścił wzrok, zajęty rozpakowywaniem paczek. Przez chwilę Kosiarzowi wydawało się, że nie usłyszy odpowiedzi. Wreszcie Tawl zaczął mówić. Przemawiał cicho, ani na chwilę nie podnosząc spojrzenia.

– W Valdis nauczyłem się wiele o truciznach. Jak je rozpoznawać i jak zapobiegać ich skutkom. Thornypurse podała mi cykutę. Taki błąd mogła popełnić tylko nowicjuszka. Kawalek listka tej rośliny może zabić człowieka. Blayze chciał, żebym był osłabiony, nie martwy. Już rano zorientowałem się, że coś jest nie w porządku. – Tawl wzruszył ramionami. – W Valdis uczyli nas uważnie obserwować stan

własnego ciała. Poczulem, że coś wżera mi się w żołądek, sporządziłem więc trochę węgla drzewnego i połknąłem go.

– Połknąłeś węgiel drzewny! – zawołał z obrzydzeniem Kosiarz. Tawl zdołał się uśmiechnąć.

– Jeśli odpowiednio go przygotować, zmusza żołądek do opróżnienia się.

Kosiarz skinął głową.

– Słyszałem, jak wymiotowałeś, jeśli to masz na myśli.

– Pozbyłem się trucizny, nim było za późno. To kolejny dług, który zaciągnąłem w Valdis. – Uniósł do ust kawałek chleba, nie ugryzł go jednak, lecz odłożył nietknięty. Kosiarz zauważył, jak mocno drżą jego dłonie. Fakt, że rycerzowi udało się go wynieść z burdelu, zakrawał na cud. – Tak czy inaczej, wygląda na to, że Blayze dostanie to, czego chciał. Osłabionego przeciwnika.

– Chyba nie zamierzasz z nim walczyć? – Kosiarz był przerażony. – Zostały jeszcze tylko dwa dni. Nie jesteś w stanie...

– Nie jesteś moim stróżem, chłopcze – warknął Tawl. – Dałem słowo i dotrzymam go.

Kosiarz nie mógł na to pozwolić. Rycerz nie miałby szans w starciu z obrońcą diuka. Blayze był

zdrowy, w pełni sił i miał mięśnie jak rozplodowy buhaj. Tawl zaś powinien leżeć w łóżku. To było samobójstwo! Nadeszła jedna z owych rzadkich chwil, gdy wskazane było mówienie prawdy. Kosiarz zaczerpnął głęboko tchu:

– Posłuchaj, pójdę do Blayze’a i przekażę mu, że nic z tego. To ja powiedziałem madame Thornypurse, żeby zaciągnęła cię na to spotkanie. Wszystko to był mój pomysł.

Poruszył się niespokojnie, czekając na potok wymówek.

– To już nie ma znaczenia. Kosiarzu – odparł łagodnym głosem Tawl. – Raz zawartej umowy nie można zerwać.

Chłopaka zalała gwałtowna fala poczucia winy i to na domiar złego w chwili, gdy sądził, że się od niego uwolnił.

– Ale możesz zginąć.

– Lepiej ponieść śmierć niż narazić się na hańbę. – Wydawało się, że Tawl pożałował tych słów, kiedy tylko je wypowiedział. Wstał nagle. – Najedz się i wypocznij trochę. Wróć, nim się ściemni.

– To raczej ty potrzebujesz odpoczynku. Tawl otworzył drzwi.

– Potrzebuję całego mnóstwa rzeczy, Kosiarzu. Na

razie wystarczy, jeśli się czegoś napiję.

Rycerz zasunął zatrząsk, zostawiając chłopaka samego na sianie.

Bailor, ochmistrz diuka, siedział w najwygodniejszej komnacie pałacu: tej, która należała do niego. Już od siedemnastu lat, od chwili, gdy Jego Miłość przejął rządy, nie uważano za modne posiadania komnat bardziej luksusowych niż zajmowane przez niego. Dworzanom trudno było się do tego przyzwyczaić, jako że władca Brenu był człowiekiem o spartańskich upodobaniach, przedkładającym prostotę nad wyrafinowanie.

Nie miał jednak nic przeciwko ostentacji. W gruncie rzeczy, pałac wyglądał wspanialej niż kiedykolwiek: dwa nowe, piękne dziedzińce, kopulaste sklepienie, fontanny i barwione szkło. Budowa tych pięknych ozdóbek maskowała wzmocnienie fortyfikacji. Strzelnice kluczowe przerobiono tak, by bieły podłużnie, a kwadratowe baszty zburzono, aby zastąpić je okrągłymi. Wszystkie dachy były teraz pochyle, a wręby blanków osłonięto żelazem. Tak, diuk był człowiekiem o nieskomplikowanych gustach: inwazja i obrona.

I kobiety.

Bailor wstał i podeszedł do okna. Okiennica była

drewniana, lecz zawiasy, które właśnie odlewano, będą wystarczająco mocne, by wytrzymać ciężar metalowych płyt. Damom to się nie spodoba. W Brenie jednak ich zdanie się nie liczyło.

Pora brać się do roboty. Bailor zauważył ostatnio, że diuka szybko nudzą kobiety, które mu przyprowadzano. Wszystkie były piękne – kilka nawet wyjątkowo – z reguły do pewnego stopnia kulturalne i bez wyjątku młode oraz chętne. W normalnych okolicznościach Bailor nie miałby nic przeciwko niestałości Jego Miłości – ostatecznie, czym dziś znudził się diuk, jutro należało do niego – pan zamku zaczynał jednak okazywać irytację. Oskarżał go o to, że wybiera kobiety pozbawione werwy i inteligencji. Czego właściwie się spodziewał? Nie miał czasu ani ochoty zaprzętać sobie głowy zalotami i potajemnymi schadzkami. Chciał tylko pójść z dziewczyną do łóżka i mieć problem z głowy. Mimo to oczekiwał – wręcz żądał – by jego partnerki były wykształcone i kulturalne, jak damy dworu.

Bailor codziennie poświęcał wiele czasu na poszukiwania tego typu kobiet. Miał kontakty w Camlee, Annisie i Highwall, znał handlarzy żywym towarem z Tyro i Chelss, przyjaźnił się ze zubożałymi szlachcicami, którzy mieli młode córki i utrzymywał

szpiegów w każdym konwencie. Wszystko, co miał – wysoką pozycję, piękne komnaty, dobrze wypchane kufry i wielką odpowiedzialność – zawdzięczał jedynie umiejętności wynajdowania kobiet dla diuka.

Córki wyżej postawionej szlachty nie chciały się nawet do niego zbliżyć. Ryzyko dla ich drogocennej reputacji było zbyt wielkie. Nigdy nie słyszano, by diuk wypłacił jakiejś dziewczynie odszkodowanie za wstyd, który ją spotkał. Rzecz jasna, najtrudniej było upewnić się, czy kandydatki są dziewicami, a do tego właśnie władca Brenu przywiązywał największą wagę.

Było to trudne zadanie, lecz ochmistrzowi nawet by się nie śniło, by zlecić je komuś innemu. To w ten sposób zdobył wpływy.

Zaczął wcześniej: jako chłopak nosił liściki między kochankami. Któregoś dnia pewna młoda, wysoko urodzona dama poprosiła go o pomoc. Zakochała się, lecz jej uczucia nie spotkały się z wzajemnością. Była zrozpaczona, płakała i skłonna była sporo zapłacić za pomoc. Napój miłosny kosztował ją pięć sztuk złota. Podobne specyfiki nie cieszyły się w Brenie uznaniem. Uważano je za diabelski wymysł i żadna przyzwoita kobieta nie odważyłaby się ich używać. Bailor nie wzdrygał się przed niczym. Narkotyki, eliksiry, erotyczne akcesoria, młode kobiety i chłopcy – mógł

załatwić wszystko i dla każdego. Dworzanie polegali na nim i słono płacili za jego milczenie.

Zrzucił szybko jedwab, który zwykł nosić w swych komnatach, zastępując go wełną i płótnem, jak tego oczekiwano po człowieku o jego pozycji. Już dawno nauczył się, że skromny wygląd nie tylko jest zgodny z wymogami rozsądku, lecz również ułatwia targowanie.

Wszedł do małej sali przyjęć. Była urządzona po spartańsku, w przeciwieństwie do jego pełnych przepychu prywatnych komnat. Czekał na niego pewien mężczyzna. Brzydki, zdeformowany kaleka: handlarz żywym towarem, Fiscel.

– Nie ma potrzeby wstawać, przyjacielu – powiedział, ogarnięty obrzydzeniem na widok podejmowanych przez niego wysiłków. – Jak się dzisiaj czujesz?

– Dobrze. Podróż przebiegła gładko.

Na biurko spadły maleńkie kropelki śliny. Bailor oparł się pragnieniu cofnięcia dłoni.

– Co masz dziś dla mnie? Może dziewczynę z Annisu? Kobiety z Annisu uważano za najpiękniejsze na północy.

– Nie, z królestw.

Wysoki głos Fiscela drażnił nerwy Bailora.

– Kobiety z królestw są nieładne i gderliwe.

– Nie ta. To prawdziwa piękność. I nie są jej obce dworskie maniery.

– Córka szlachcica? Fiscel skinął głową.

– Nieślubna.

– Każ ją przyprowadzić.

Ochmistrz diuka zaczął się niecierpliwić.

– Daj spokój, Bailorze. Wiesz, że zawsze chcę ustalić minimalną cenę, nim pozwolę ci obejrzeć towar.

– Ile?

Fiscel rozsiadł się wygodniej.

– Pięćset sztuk złota.

– Nie bądź śmieszny. W żaden sposób nie mogę ci zagwarantować takiego minimum.

Cena była horrendalna, blisko trzykrotnie wyższa od normalnie żądanej.

Handlarz żywym towarem zacisnął dłoń na lasce, gotowy wstać i odejść.

– Jak chcesz. W takim razie zabiorę ją gdzie indziej.

To pobudziło zainteresowanie Bailora. Nie mógł pozwolić handlarzowi się oddalić, nim nie zobaczy kobiety, za którą można było zażądać tak wygórowanego minimum.

– Nie ma co się spieszyć, przyjacielu – powiedział kładąc dłoń na ramieniu kaleki. – Wypij ze mną kielich wina.

– Podobnie jak ty, Bailorze, nie zwykłem pić podczas targów. Obaj mężczyźni wiedzieli już, czego się spodziewać.

– Trzysta sztuk złota – zaproponował Bailor. – I zobaczę ją natychmiast.

– Pięćset albo nie ujrzysz jej wcale.

Nie tak zwykle przebiegały pertraktacje. W którymś momencie utracił kontrolę nad biegiem wydarzeń. Niech szlag trafi Fiscela! Prawda wyglądała tak, że rozpaczliwie pragnął zobaczyć tę dziewczynę. Być może uda jej się przyciągnąć zainteresowanie diuka na dłużej niż tydzień.

– Niech będzie czterysta. To moje ostatnie słowo.

– W takim razie to moja ostatnia odmowa. – W zdrowym oku Fiscela pojawił się błysk chytryści. – Posłuchaj, Bailorze, znamy się już od wielu lat. Czy zażądałbym od ciebie takiej ceny, gdybym nie wiedział, że towar jest jej wart?

– Zgoda, niech będzie pięćset, ale nie obiecuję, że ją kupię. Fiscel wstał.

– Kupisz.

Długie, piękne palce Alyshy wbijały się w jej ciało niczym szpony. Odkąd znaleźli się w pałacu, nie zwalniała uścisku nawet na chwilę. Melli jej nienawidziła. Rankiem Alysha przez kilka godzin szorowała ją i skubała jak bażanta w kuchni. Czekwały na nią nowa suknia, wstążki do włosów, perły na szyję i nadgarstki. Kobieta z południa była bezlitosna. Stosowanymi przez nią narzędziami tortur były szorstkie szczotki, szczypczyki, wykałaczkki i gryzące maści.

Wracał Fiscel. Gdy Melli zobaczyła, jak kuśtyka przez dziedziniec, po plecach przebiegł jej dreszcz strachu. Uścisk Alyshy nabrał jeszcze mocy. Była zmuszona ruszyć na spotkanie handlarzowi.

– Zgodził się na minimalną cenę?

Głos Alyshy zdradzał nietypowy dla niej niepokój. Fiscelowi zabrakło tchu. Wspierał się ciężko na lasce.

– Tak. Chodź za mną. Musimy zademonstrować towar, nim opuści go ciekawość.

Towar! Melli w najmniejszym stopniu się to nie spodobało. Zapała się nogami, nie chcąc ruszyć się z miejsca. Znajdowali się na jednym z pałacowych dziedzińców, gdzie między krzewami i fontannami przechadzała się garstka szlachty. Mogłaby krzyknąć głośno, że jest córką szlachetnie urodzonego, i zażądać

pomocy. Tyle, że była daleko od domu i imię Maybora nic by nie znaczyło dla ludzi z Brenu. A nawet gdyby znaczyło, nie była pewna, czy ojciec się jej po prostu nie wyprze.

Znalazła się w pułapce. Fiscel i Alysha ani na moment nie spuszczała z niej oka. Od z górą tygodnia nie pozwalali jej wychodzić z wozu. Zawsze, nawet korzystając z nocnika, pozostawała w zasięgu wzroku sprytniej, uśmiechniętej Alyshy. Początkowo miała się na baczności, wypatrywała szans ucieczki, i nieustannie dotykała swego noża. Nie trafiła się jednak żadna okazja i czujność ustąpiła stopniowo miejsca planowaniu. Bardzo dokładnie rozważyła perspektywę odzyskania wolności i uznała, że najlepiej będzie poczekać, aż ją sprzedadzą. Mężczyzna, który ją kupi, nie odniesie żadnej korzyści ze swego nabytku. Melli zniknie, nim ten typ zdąży jej dotknąć.

Tak przynajmniej wyglądał jej plan do niedawna. Kiedy nocą dotarli do Brenu, nie spodziewała się, że wyląduje w pałacu diuka. Zbiec stąd nie będzie łatwo. Panowała tu pozorna swoboda – biegający w różne strony służdy, przechadzający się dworacy – lecz na każdym rogu stali strażnicy, a krata w bramie pachniała świeżym smarem.

Palce Alyshy wbiły się w jej ramię z niezwykłą siłą

i Melli ruszyła naprzód. Gdy przechodzili przez pałacowe tereny, ludzie spoglądali w ich stronę. Wielu z nich sprawiało wrażenie świetnie zorientowanych, co się dzieje. Wreszcie dotarli do drewnianych drzwiczek, ulokowanych tuż za wejściem do kuchni. Fiscel odwrócił się nagle i uniósł laskę, dotykając nią piersi Melli.

– Jedno dowcipne słówko, skarbie, a rozwalę ci zebra na kawałki. Zostań tutaj – dodał, zwracając się do Alyshy.

Wszedł do środka, popychając dziewczynę przed sobą. Znaleźli się w małej, zagraconej izdebce, oświetlonej czterema świecami. Przy drewnianym stole siedział tusty mężczyzna w prostym stroju.

– Oto ona, Bailorze. Czy zbyt wysoko wyceniłem jej wdzięki? Nieznajomy wstał. Na jego twarzy nie uzewnętrzniały się żadne emocje. Złapał Melli za rękę i pociągnął ją w światło świec. Jego ubiór mógł być tani, lecz czuło się od niego zapach drogich olejków. Dziewczyna z wysiłkiem starała się zachować spokój podczas oględzin. Co dziwne, pomógł jej w tym fakt, że najwyraźniej nie wywarła na obcym zbyt korzystnego wrażenia. Gdyby się uśmiechał lub pożerał ją wzrokiem, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej. Po chwili mężczyzna zwrócił się w stronę

Fiscela.

– Wezmę ją – oznajmił.

Handlarz żywym towarem zlizął z warg kapkę śliny.

– Ach, ale nie uzgodniliśmy ceny.

– Cena wynosi pięćset.

Z głosu nieznajomego Melli wywnioskowała, że jest on kimś więcej niż zwykłym sługą.

– Pięćset wynosiła minimalna cena – poprawił go Fiscel. – Obaj wiemy, że dziewczyna jest warta więcej.

– Popatrzył na sękaty koniec swej laski. – Powiedzmy osiemset.

– To śmieszne. Wiesz, że nie jestem upoważniony, by zapłacić tak wiele. Jego Miłość...

– Nie gadaj głupstw, Bailorze – przerwał mu Fiscel.

– Nie targujesz się z jakąś prowincjonalną burdelmamą. Obaj wiemy, że możesz zapłacić.

Melli potarła dłonią stanik. Nóż nadal pod nim tkwił. Pośród całego tego obłędu wydawał się jej jedynym źródłem rozsądku. Nie wątpiła, że Fiscel postawi na swoim. Powinna się z tego cieszyć. Miała szansę uwolnić się od tej obrzydliwej pary i wreszcie uciec. Dlaczego w takim razie drżały jej dłonie, a nogi miała tak słabe, że ledwie mogły utrzymać jej ciężar?

– Niech będzie, Fiscelu – zgodził się nieznajomy. –

Zapłacę osiemset. – Po raz ostatni omiół spojrzeniem całą postać Melli. – Czy jesteś pewien, że jest dziewczcą?

Gdy już dobito targu. Fiscel stał się nadzwyczaj pokorny. Pokłonił się przesadnie nisko, a zdrowa połowa jego ust ułożyła się w coś co przypominało uśmiech.

– Sprawdzala ją moja dziewczyna, Alysha, która pochodzi z Dalekiego Południa.

To wyjaśnienie usatysfakcjonowało nabywcę. Najwyraźniej kobiety z Dalekiego Południa słynęły nie tylko z dwulicowości i włosków na twarzy.

Mężczyzna wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

– Nieżle na mnie zarobiłeś, co? – Melli zdała sobie nagle sprawę, że już nie musi się bać Fiscela. – Na twoim miejscu poszłabym prosto do chirurga, żeby sobie zaszyć tę klapniętą gębę.

Handlarz żywym towarem chwycił ją za włosy i szarpnął tak mocno, że głowa dziewczyny odskoczyła do tyłu.

– Jeśli ośmielisz się stąd uciec, przysięgam, że wytropię cię i zabiję.

W zdrowym oku Fiscela lśniła bezgraniczna złość. Melli wyrwała się mu, nie dbając o to, czy nie zostawi

w jego uścisku garść włosów.

– Skąd masz pewność, że nie uczynię tego samego z tobą? – odparła spoglądając na niego chłodno.

Drzwi otworzyły się znowu. Gdy złoto przechodziło z rąk do rąk, Melli odwróciła się do mężczyzn plecami. Zaczęło do niej docierać prawdziwe znaczenie tego, co ją spotkało. Jeden z obecnych tu ludzi sprzedał ją drugiemu! Ją, córkę Maybora, niegdyś obiecaną księciu, spieniężono niczym sztukę marlskiego jedwabiu. Ucieczka z Zamku Harvell nic jej nie dała. Zawiodła ją tylko do nieznanego jej miasta, leżącego kilkaset mil na wschód, gdzie znalazła się w sytuacji tysiącokrotnie bardziej poniżającej niż niechciane małżeństwo.

– Żegnaj, skarbie. – To był Fiscel, odgrywający rolę dobrodusznego patrona. – Mam nadzieję, że zapamiętałaś moją radę.

– Nie obawiaj się, Fiscelu – odpowiedziała. – Nigdy nie zapomnę niczego, co mi powiedziałeś, czy uczyniłeś.

Handlarz żywym towarem obrzucił ją ostrzegawczym spojrzeniem, nie raczyła jednak na nie zareagować. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, zwróciła się w stronę nieznanego.

– Któż zapłacił za mnie taką królewską cenę?

Mężczyzna uśmiechnął się. Sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, że pozbył się Fiscela.

– Spotkał cię wielki zaszczyt, moja droga. Oddam cię Jego Miłości.

Melli poczuła się zbита z tropu. Tytuł „Jego Miłość” z reguły nosili młodszy bracia króla. W Brenie jednak nie było króla... tylko diuk. Wreszcie zrozumiała. Nieznajomy skinął głową z zachwyconą miną.

– Tak, moja droga. Należysz teraz do diuka Brenu.
– Ujął ją delikatnie za rękę. Niemal się z tego ucieszyła. Usłyszawszy, że kupił ją najpotężniejszy człowiek na północy, przeżyła szok, od którego zakreśliło się jej w głowie. – Pozwól, że się przedstawię. Jestem Bailor, ochmistrz diuka. A jak ty masz na imię?

– Melli.

Wsparła się o niego. Wydawał się z tego zadowolony. Poklepał ją lekko po ramieniu.

– Melli skąd?

– Z Głębokiego Lasu. Melli z Głębokiego Lasu.

– Ach. – W tej sylabie dało się słyszeć niedowierzanie. – No cóż, Melli z Głębokiego Lasu, pod warunkiem, że będziesz grzeczna i zrobisz wszystko, co ci każę, twój pobyt tutaj będzie przyjemnością dla nas obojga. – Ową próbę okazania

dobrego humoru popsuł lekki, lubieżny uśmieszek. – Pokażę ci twój pokój i pozwolę na chwilę odpoczynku.

Melli poczuła ulgę. Po raz pierwszy od wielu dni wreszcie będzie sama.

– Wasza Miłość, kiedy zamierzasz wyznaczyć datę ślubu? Baralis uniósł kielich do ust, lecz wino nie dotknęło jego języka.

Przebywali w komnatach diuka. Były skromnie urządzone. Nie było tu dywanów osłaniających kamień ani płócien łagodzących blask słońca padający z okien. Królewski kanclerz był zdecydowany usłyszeć odpowiedzi na wszystkie zadane przez siebie pytania. Nie miał zamiaru pozwolić, by Jastrząb nadal krążył ostrożnie wokół niego. Czas już, żeby wylądował.

– Nie doszło jeszcze do zaręczyn.

Diuk nawet nie udawał, że pije. Jego kielich stał nietknięty na stole.

– Można je zawrzeć za pośrednictwem pełnomocnika. Moglibyśmy załatwić tę sprawę tu i teraz; – Baralis zmienił ton swego głosu. – Chyba że chcesz ignorować wolę własnego dworu, który pragnie tego małżeństwa.

Diuk wstał i wyciągnął miecz. Uniósł oręż ku światłu i zaczął się przyglądać jego ostrzu.

– Niezły z ciebie polityk, Baralisie. Tu w Brenie

cenimy jednak siłę, nie gładkie słówka.

– A w królestwach cenimy jasne odpowiedzi.

Ku zdziwieniu Baralisa, jego słowa wyraźnie zadowolily diuka, który odłożył miecz i zwrócił się ku niemu.

– Jeśli tak, to może odpowiesz mi jasno na pewne pytanie. Czy to prawda, że Kylock planuje nową ofensywę w Halcusie?

Baralis przeklinał Maybora. Wczoraj obaj otrzymali wiadomości z kraju i wyglądało na to, że grubas bez chwili zwłoki poinformował władcę Brenu o zamiarach Kylocka.

– Król chce umocnić swe granice. Co w tym złego?

– To przypomina raczej inwazję niż zwykłą obronę granic – odparł chłodny jak zawsze diuk.

– Któż może winić Kylocka o to, że chce raz na zawsze rozstrzygnąć spór graniczny, który trwa już przeszło pięć lat? Chce dać świeżo poślubionej żonie kraj zarówno bogaty, jak i bezpieczny.

– To godne pochwały, Baralisie.

– Catherine będzie królową, Wasza Miłość.

– Czy chciałbyś, żeby była też imperatorową?

Oto było sedno sprawy. Jak daleko sięgały podejrzenia Jastrzębia? A jeśli domyśla się, że Baralis chce stworzyć północne imperium, to czy zgodzi się

poprzeć jego plany?

Królewski kanclerz uznał, że rozsądniej będzie zmienić temat. Diuk nie był człowiekiem, który dałby się nabrać na piękne słówka o chwale.

– Kiedy dwa mocarstwa łączą się w jedno, zawsze istnieje ryzyko, że państwo, które w ten sposób powstanie, będzie nazywane imperium.

Diuk zacisnął wąskie usta.

– Nim wyznaczę datę małżeństwa, trzeba będzie uzgodnić pewne warunki.

Baralis nie pozwolił sobie na okazanie nawet śladu ulgi na wieść o tym, że jego rozmówca zgodził się porzucić tę niebezpieczną kwestię.

– To sprawa dla prawników, Wasza Miłość.

– Z pewnością możemy sami rozstrzygnąć pewne sprawy, królewski kanclerzu.

Użył tego tytułu niemal jako wyzwania.

– A mianowicie jakie, Wasza Miłość? – zapytał Baralis. Choć był nieufny, nie miał właściwie innego wyjścia.

– Na początek danina w drewnie i zbożu. Mógłbyś leż dać mi gwarancję na piśmie, że zasoby Brenu nie zostaną użyte w żadnej wojnie, której on sam nie wywoła. – Diuk uśmiechnął się, po raz pierwszy podczas tego spotkania. – Z pewnością twe

uprawnienia pełnomocnika wystarczą, by uzgodnić takie szczegóły.

Diuk był sprytny. Prośba o daninę w drewnie i zbożu była praktycznie szantażem. Zdobędzie też w ten sposób coś, co będzie mógł przedstawić swym poddanym jako bezpośrednią korzyść płynącą z małżeństwa. Jeśli chodzi o tę drugą sprawę – gwarancji na piśmie – cóż, z przyjemnością mu jej udzieli. Któż będzie mógł wymusić jej przestrzeganie, jeśli Jego Miłość spotka bolesny kres?

– Jak wiele tych towarów będziesz potrzebował?

– Zdaję sobie sprawę, jak trudny jest transport zboża i drewna przez góry. Dlatego zadowolę się daniną dostarczaną trzy razy w roku. Powiedzmy, pięć tysięcy buszli ziarna i dziewięćset ciężarów drewna.

Baralis uniósł kielich do ust i tym razem przełknął łyk wina. Diuk żądał zbyt wiele.

– Zgoda – powiedział. Nic nie mogło stanąć na przeszkodzie małżeństwu.

– A gwarancja?

– Każę ją spisać na rano.

– Świetnie – stwierdził diuk. – To już chyba będzie wszystko. Pozwolę ci się oddalić. Możesz uważać zaręczyny za formalnie zawarte.

Do komnaty zajrzała młoda, zdumiewająco piękna

dziewczyna o rudych włosach i jasnej cerze. Zobaczywszy dwóch rozmawiających mężczyzn, szybko się ulotniła. Nim zamknęła drzwi, Baralis zauważył w sąsiednim pomieszczeniu wielkie łożo.

– A data małżeństwa?

– Nim wyryjemy ją w kamieniu, zobaczymy najpierw inkaust na papierze.

Baralis zaczynał tracić cierpliwość.

– Jeśli każesz panu młodemu czekać zbyt długo, może go opuścić zapal.

– A jeśli będziesz za mocno naciskać na pannę młodą, może się przestraszyć i uciec. – Diuk podszedł do niego. – Wyznaczę datę w ciągu miesiąca. Teraz czekają mnie inne sprawy. – Pokłonił się płytko. – Mam nadzieję, że przyjdiesz pojutrze zobaczyć, jak walczy mój obrońca. Urządzamy tę walkę na waszą cześć.

– Oczywiście. Z radością obejrzę najlepsze, co ma do zaoferowania Bren.

– Nie będziesz rozczarowany – rzucił diuk.

Tavalisk jadł mózdzek. Było to przereklamowane danie, które wymagało mnóstwa sosu, by nadawało się do spożycia. Arcybiskup sam był dziś dla siebie kucharzem i podejrzewał, że mózdzek jest już nieco przegotowany, gdyż ostatni kawałek przeżuwał kilka

minut i nadal nie był w stanie go połknąć.

Nienawidził dni postu. Kościół obchodził ich rocznie około czterdziestu. Miały podobno oczyszczać ducha i wznosić umysł na wyższy poziom. W rzeczywistości jednak skłaniały tylko wszystkich do grzechu. W owe święta pościli jedynie więźniowie i dewoci. Tak jak we wszystkim, trzeba było jednak zachowywać pozory. Kuchnie były opustoszałe, a lady rzeźników puste. Za zamkniętymi okiennicami, wszyscy mieszkańcy miasta jedli ukradkiem w ciemnościach.

Tavalisk spojrzął na lirę. Wczoraj nadepnął na nią w ataku złości. Ów uczynek, choć stał się źródłem najczystsze go tonu, jaki zagrał w życiu arcybiskup, spłaszczyl fatalnie instrument, czyniąc go niezdatnym do użytku. Tamburyn spotkał podobny, choć nieco bardziej satysfakcjonujący koniec. Stał się przyczyną okulawienia jego kota. Tavalisk dał sobie wreszcie spokój z muzyką. Jedzenie kusilo go niczym kurtyzana. W porównaniu z ową pokusą uroki muzyki bladły.

Do środka wszedł Gamil. Nawet nie zapukał do drzwi. Przewracało mu się w głowie.

- Wasza Eminencjo, pogłoski okazały się prawdą.
- A które, Gamilu? W Rornie krąży ich tyle, że

handlarka ryb miałyby o czym szeptać przez okrągły rok. – Tavalisk dodał do grzejącego się w rondlu mózdzku odrobinę przypraw. – Jeśli już mowa o handlarkach ryb, jak się ma twoja szanowna matka?

– Dawno już umarła, Wasza Eminencjo.

Arcybiskup wydobył kawałek mózdzku i sprawdził między palcami jego konsystencję.

– Świetnie, świetnie. Pozdrów ją ode mnie.

– Lesketh nie żyje. Królem jest teraz Kylock. Mózdzek wypadł Tavaliskowi z palców.

– Umarł sam, czy ktoś mu pomógł?

– Wszyscy twierdzą, że nieszczęśnik wyzionął ducha we śnie, Wasza Eminencjo.

– A więc ktoś mu pomógł. – Arcybiskup nalał sobie kielich wina. – Jeśli teraz Catherine poślubi Kylocka, dojdzie do prawdziwego zjednoczenia obu mocarstw. Z dwóch tak wspaniale ulokowanych punktów łatwo będzie zdominować północ. Muszę przyznać, że ten pies Baralis jest wyjątkowo sprytny.

– Skąd pewność, na czym polega jego plan, Wasza Eminencjo?

– Przepowiedział to Marod, Gamilu: „Gdy dwa wielkie mocarstwa złączą się w jedno”. – Tavalisk pociągnął długi łyk wina. – Jesteśmy świadkami

narodzin imperium mroku.

– A co możemy zrobić, by temu zapobiec, Wasza Eminencjo?

– Więcej niż ci się zdaje, Gamilu. Nie ma nic bardziej bezbronnego niż noworodek. – Arcybiskup zamieszał w rondlu. – Możemy na przykład utrudnić życie rycerzom, poszukać przyjaciół w Brenie i, co najważniejsze, ostrzec inne północne państwa przed ambicjami Baralisa, a być może nawet zaoferować im pomoc, gdyby okazała się potrzebna.

– Nie rozumiem, w czym utrudnianie życia rycerzom pomoże twojej sprawie.

– Naszej sprawie, Gamilu – poprawił go Tavalisk. – Chyba że podoba ci się myśl o życiu w świecie pozbawionym kościoła, który płaci ci pensję.

Tłuścioch był bardzo zadowolony z siebie.

– Nie rozumiem, Wasza Eminencjo. Arcybiskup potrząsnął ze smutkiem głową.

– Och, Gamilu, zawiodłem się na tobie. Najwyraźniej nigdy nie czytałeś *Księgi słów* Maroda. Według niego imperium mroku spowoduje zagładę kościoła. Marod pisze: „Świątynie upadną”. – Tavalisk obrzucił swego sekretarza szybkim spojrzeniem. Na razie to wystarczy. Pozwoli, by Gamil poprzeżuwał trochę ten kąsek, nim da mu pełen posiłek. – Co do

rycerzy, ci hipokryci sprzymierzyli się z, diukiem Brenu. Część z nich walczyła nawet w ostatniej bitwie: masakrze pod Luncornem. To małe, żałosne miasteczko drogo zapłaciło za próbę zdobycia niepodległości.

Tavalisk nadział na widelec kawałek szarej substancji i zanurzył ją w czosnkowym maśle.

– Prowokowanie Tyrena to najlepszy sposób na zainteresowanie południa wydarzeniami rozgrywającymi się na północy. Rycerze bezustannie ścigają nasze towary, a diuk im w tym pomaga. Jeśli Bren stanie się potężniejszy, sprzymierzeni z nim rycerze również się wzmocnią.

Arcybiskup zdjął rondel z ognia. Móżdżek był już tak twardy, że nadawał się tylko do wyrzucenia.

– A jak sobie radzą nasze połączone oddziały czterech miast? Zabiły już jakichś rycerzy?

– Nie, Wasza Eminencjo.

– To wielki pech.

– Doszło jednak do starcia, Wasza Eminencjo. Tuż na północ od Camlee. Skonfiskowaliśmy osiem wozów towarów.

– I gdzie są teraz te towary, Gamilu?

– Zatrzymano je w Camlee, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Tavalisk uśmiechnął się. Tłuste wargi

rozchyliły się, odsłaniając drobniutkie, białe ząbki.

– Rozdzielcie je równo między Camlee, Marlsem a Toolay. Rorn nie weźmie nic. Dopilnuj, by wiadomość o tym podziale się rozeszła.

– Nie rozumiem, Wasza Eminencjo.

– Doprawdy, Gamilu, z dnia na dzień robisz się coraz bardziej tępy, jak nie ostrzony nóż. Tyren będzie szukał winnych, a najlepszymi kandydatami będą miasta, które zagarnęły towary. Chcę, żeby Tyren i jego północni kamraci sądzili, że całe południe opowiedziało się przeciw nim. Jeśli Marls, Camlee i Toolay podzielią się łupami, z pewnością tak będzie to wyglądało. A ponieważ Rorn nie zarobił na tym ani grosza, nikt nie będzie mógł nas oskarżyć, że to my zorganizowaliśmy całą tę aferę. – Tavalisk pociągnął łyk wina. – Sprawy idą znakomicie. Potrzebna nam jeszcze tylko dobra rzeź. Sądzę, że jeden rycerz to za mało. Wymordujmy cały oddział.

– Przekażę komu trzeba życzenia Waszej Eminencji.

– Jesteś jak zawsze dyskretny, Gamilu.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo. Jeśli to już wszystko, oddał się. Tavalisk podniósł się i wręczył sekretarzowi rondel z duszonym mózdzkiem.

– Ponieważ dziś w kuchniach nikogo nie ma,

Gamilu, pobiegnij przygotować mi lekki obiad: mięso, ryby, ciasta. Wiesz, co lubię.

Gamil z wysiłkiem ukrył irytację. Wyszedł sztywnym krokiem z komnaty. Z rondla skapnęły kropelki sosu. Arcybiskup cmoknął poirytowany. Kiedy jego sekretarz wróci, będzie musiał usunąć plamy.

13

Gdy stal uderzyła o stal, posypały się skry. Rovas walczył jak demon. Twarz miał czerwoną, a przy każdym ruchu głowy rozsiewał wokół kropelki potu.

– Pchnij, pchnij! – krzyczał. Powietrze w płucach Jacka płonęło. Ruchami jego broni nie kierowały umiejętności, lecz frustracja. Rozpaczliwie pragnął pokonać przemytnika, ten zaś świetnie zdawał sobie z tego sprawę i nieustannie go prowokował. Jack raz za razem rzucał się do przodu, by się przekonać, że przeciwnik z pewnością usunął się na bok.

Ćwiczyli na łące, położonej tuż na południe od chaty. Ciosy, które wymieniali, dawno już utraciły lekkość, charakterystyczną dla treningowego pojedynku. Dowodem na to była krew spływająca po ramieniu Jacka.

Zbliżała się wiosna i śnieg nie chrzęścił już pod ich stopami. W oddali słyhać było szemranie wody, a przez biel przebijały się zielone koniuszki trawy. Jack jednak nie miał czasu na rozważania nad zmianami pór

roku. Rovas był zdecydowany go pokonać.

– No jazda – drażnił go. – Spróbuj mnie trafić.

Chłopak spełnił jego życzenie. Rzucił się naprzód, napinając mięśnie w przygotowaniu na cios.

Stał zazgrzytała o stal. Rovas musiał cofnąć się o krok. Jack przypomniał sobie słowa przemytnika: „Nie marnuj żadnej szansy, nawet najmniejszej”. Skierował miecz ku górze, zmuszając przeciwnika do uniesienia obu rąk w obronnym geście. Chłopak z szybkością błyskawicy uderzył sztyletem. Ciął rywala w nadgarstek, zmuszając go do wypuszczenia krótkiego miecza. Jack odrzucił broń kopnięciem, by się upewnić, że przemytnik już jej nie podniesie. Został mu tylko sztylet.

Zastanowił się, co robić dalej. Rovas lubił mawiać: „Najlepszą bronią jest zaskoczenie”, postanowił więc go zaskoczyć. Cisnął sztyletem w jego pierś. Wycelował źle, nie miało to jednak znaczenia. Rzucił się naprzód i przycisnął sztych krótkiego miecza do piersi rywala, który był zmuszony unieść obie ręce w geście poddania.

Chłopak stłumił uśmiech. Widok przemytnika, który nie wiedział, co powiedzieć, czy zrobić, sprawił mu wielką przyjemność.

– Poddajesz się? – zapytał głosem nie

zdradzającym żadnych emocji.

Grubas pochylił głowę.

– Poddaję – wymamrotał nie podnosząc wzroku.

– Niezła walka, co, Rovasie? – rzucił Jack, cofając miecz. Wyciągnął rękę, lecz przemytnik jej nie uściśnął.

– Wydaje ci się, że wielki z ciebie mądrała, co? – zapytał. Podszedł do leżącego na ziemi miecza. – To był tylko szczęśliwy traf, nic więcej.

Jack usiadł na ziemi. Nie przeszkadzało mu, że wilgotny śnieg przemoczy jego portki. Odgarnął przylepione do twarzy włosy. Zgubił gdzieś rzemyk, którym zwykł je związywać.

– Uważasz, że jestem gotowy?

– Krótki miecz już opanowałeś. Nad długim trzeba jeszcze popracować. Również z łukiem radzisz sobie nietego.

Jack uśmiechnął się.

– Wielki z ciebie pochlebca.

Rovas odwzajemnił jego uśmiech.

– W mojej opinii pochlebstwo ma tylko jeden skutek.

– A mianowicie jaki?

– Ogłupia.

Obaj wybuchnęli śmiechem i napięcie, które od

tygodnia narastało między nimi, zniknęło.

– Dobrze się spisałeś, chłopcze – dorzucił przemytnik, gdy umilkli.

– Kiedy poznam imię kapitana? Rovas wstał.

– Pomóż mi malować ryby. Przy robocie wytłumaczę ci parę spraw.

Jack podążył za przemytnikiem do jego szopy. Tym razem śmierdziało w niej rybą, nie podrobami.

– Proszę – powiedział Rovas, wręczając mu szmatę. – Przytknij ją do rany. – Spojrzał na ryby. – W południe muszą już być na rynku.

– Sądząc po zapachu, powinny tam trafić już wczoraj. Jack skrzywił się, dotykając tkaniną skaleczenia.

– To nieważne. Liczy się wygląd.

Chłopak zauważył wiszącą zaszlachtowaną świnie. Krew ściekała do wielkiej miski. Przemytnik podniósł naczynie, ustawił je na stole, po czym zanurzył dłonie w krwi. Następnie zaczął smarować ryby częściowo skrzeptą już posoką. Krew odbierała im niezdrowy, cielisty kolor, przydając pozorów świeżości.

– Wracając do tego kapitana – odezwał się Rovas, nie zaprzestając pracy. – Stacjonuje w garnizonie liczącym czterystu żołnierzy. Nielatwo będzie się do niego dostać. Będziesz musiał dostać się tam nocą,

znaleźć go, wykończyć i w te pędy się ulotnić.

Jack był zaskoczony. Nie spodziewał się czegoś takiego.

– Czy nie ma innego sposobu? Dlaczego nie mogę go zaskoczyć, kiedy opuści garnizon?

– Nawet się do niego nie zbliżysz. Zawsze towarzyszy mu dwudziestu strażników. Załatwią cię w mgnieniu oka.

Brzmiało to nawet logicznie, lecz jakiś głęboko ukryty instykt kazał Jackowi wątpić w słowa przemytnika.

– Mógłbym go zastrzelić z łuku. Rovas potrząsała głową.

– Nie, chłopcze. Żaden z ciebie łucznik. Jeden niecelny strzał i strażnicy rzucą się na ciebie jak sępy. Mój plan jest najlepszy. Zaskoczysz go, gdy będzie bezbronny. Zakradniesz się do środka, a potem ulotnisz bez śladu. – Ręce przemytnika po łokcie zboczyła świńska krew. – Poza tym, znam garnizon jak własną kieszeń. Jest tam parę bardzo przydatnych tuneli: Umożliwiali naprawdę błyskawiczną ucieczkę.

Jack wciąż był nieufny.

– Jeśli mogę tamtędy zwać, to czemu nie miałbym wejść tą samą drogą do środka?

– Drzwi do takich przejść zawsze rygluje się od

wewnątrz. – Głos Rovasa miał sztuczne brzmienie, jakby przemytnik wygłaszał z góry przygotowany tekst. Być może sam to zauważył, gdyż szybko zaczął mówić dalej, bardziej już naturalnym tonem: – Wybierzemy świąteczną noc, kiedy wszyscy żołnierze zaleją się *ale*. Za tydzień zaczyna się Wiosenne Błogosławieństwo. Pijaństwo osłabi ich czujność. To znakomity moment.

Jack nadal miał wątpliwości, choć nie wiedział dlaczego. Spróbował zaskoczyć Rovasa.

– Tarissa powiedziała mi, dlaczego chcesz śmierci kapitana. Przemytnik podniósł wzrok.

– Tak? Nie powinna wtykać nosa w cudze sprawy. Chłopak miał ochotę wyznać mu, że wie, iż to Tarissa miała dokonać tego czynu, powstrzymał się jednak. Takie słowa rozgniewałyby tylko Rovasa, a w tej chwili chciał informacji, nie konfliktu.

– A więc byliście współnikami?

– Zgadza się. Potem ten sukinsyn zrobił się zbyt chciwy. Zerwałem umowę i teraz on posunął się do szantażu. Muszę płacić dziesięć sztuk złota na miesiąc, żeby nie doniósł na mnie władzom. – Wszystkie ryby świeciły się już zdrowo dzięki świńskiej krwi, Rovas wytarł więc dłonie w szmatę. – Pójdę przez niego z torbami.

– A w noc Wiosennego Błogosławieństwa uwolnisz się od tego problemu.

Choć w jego głowie wciąż odzywał się ostrzegawczy głos, Jack był podekscytowany. Zbliżała się rozstrzygająca chwila. Gdy halcuski kapitan zostanie usunięty, będzie mógł żyć własnym życiem, iść, dokąd zechce, i robić to, na co będzie miał ochotę. Wiedział już dokąd zamierza wyruszyć. Do Brenu. Jego myśli nieustannie wracały do tego miasta. Planował tam się udać, nim jeszcze Rovas powiedział mu o małżeństwie Kylocka z Catherine z Brenu. W snach widywał niekiedy gród o wysokich, zwieńczonych blankami murach, wzniesiony u podnóża wyniosłej góry. Był pewien, że tak właśnie wygląda Bren.

– Są jakieś wieści o nowym królu? – zapytał.

– Krążą pogłoski, że planuje inwazję na dużą skalę. Jeśli to prawda, zapewne czeka na nadejście wiosny. – Rovas splunął. – Nikt na północy nie ma zamiaru dać się zaskoczyć, a już zwłaszcza Halcusowie. Kowale zarabiają nieprzyzwoicie dużo pieniędzy, a każdy chłopak, który ma już trzynaście lat, zawzięcie ćwiczy walkę na miecze. Garnizony zapełniły się ludźmi, którzy chcą się zaciągnąć i ruszyć do walki z królestwami. – Przemysłnik przebiegł palcami po

brodzie. – Albo z Brenem, bądź też z oboma naraz.

Jack pomógł Rovasowi załadować na wóz kosze z rybami. Słońce wyszło zza chmur, a wiatr znacznie osłabł.

– A więc wybuchnie wojna? – zapytał chłopak.

– Gdy tylko Kylock wtargnie na halcuskie terytorium, nie będzie już można się cofnąć. Wszystkie państwa opowiedzą się po którejś ze stron, a gdy już do tego dojdzie, wojna stanie się nieunikniona. Pozostaje tylko kwestia, jak wielkie terytorium obejmie. O ile ograniczy się do północnych mocarstw, można będzie znaleźć rozstrzygnięcie, ale jeśli wtrąca się takie miasta, jak Camlee i Ness, mogą pociągnąć za sobą całe południe. – Rovas wdrapał się na wóz i złapał lejce. – Władcy południa już od dziesięciu lat szukają okazji, by zniszczyć rycerzy, a wojna na północy będzie dogodną sposobnością, żeby to zrobić.

– To znaczy, że wojna może się rozszerzyć na południe? Jack poczuł się jak głupiec. Nie miał pojęcia, że sytuacja jest aż tak napięta. Zaczynało do niego docierać, jak dalece odizolowane są królestwa od reszty Znanych Krain.

– To nie jest pewne – odparł Rovas. – Południowe mocarstwa będą chciały tego uniknąć. Nie podoba im się perspektywa, że któreś z ich białych, wykwinnych

miast może zbrukać masakra. – Przemysłownik pociągnął lejce i wóz potoczył się naprzód. – Zapamiętaj moje słowa, chłopcze. Prowadzą nas na rzeź jak barany. Są tacy, którzy chcieliby z naszej krwi stworzyć imperium.

Wóz oddalił się. Jack dygotał, nie wiedząc właściwie dlaczego. Słowa Rovasa poruszyły coś w jego wnętrzu. Imperium krwi. Świat zawirował wokół niego. Niebo zbliżyło się, tworząc łuk nad jego ciałem. Osunął się na ziemię, dręczony mdłościami i zdezorientowany. Śnieg parzył mu palce, a słońce duszę. Imperium krwi. Przed jego oczyma przebiegały kolory: zieleń, błękit, biel. Wszystkie zlały się w szkarłat. Uniósł dłoń do oczu, próbując osłonić je przed światłem. Pustkę wypełnił obłęd. Tysiąc wizji poruszających się niczym maleńkie owadzie skrzydła. Imperium krwi. Gród o wysokich, zwieńczonych blankami murach. Złotowłosa mężczyzna. Niemowlę płaczące w zamkniętym pokoju. I Melli. Była tam też Melli, która jednak zaraz zniknęła. Ujrzał również wiele innych obrazów, których nie potrafił zrozumieć. Jediną, wspólną cechą była krew.

Miał mokre dłonie. Panika przywróciła go do rzeczywistości. Otworzył oczy, nakazując niebu wrócić na miejsce. Kolory znów były normalne. Pod sobą czuł

zimny śnieg. Ręce zwilżyły mu łzy, nie krew.

Wstał z wysiłkiem. Fala mdłości narosła w nim niczym czary. W ustach czuł ich gorzki smak. Musiał się skupić, by nogi nie ugięły się pod nim w kolanach. Chwiejnie, krok za krokiem, ruszył ku chacie. Miał wrażenie, że świat stał się nagle miękki i ukazał mu swój środek. Serce wciąż waliło mu jak opętane, oszołomione wizją. Imperium krwi. Co to jednak miało wspólnego z nim? Był piekarzem, nie zbawcą. Stał jak wryty. Jak mógł choć przez chwilę pomyśleć, że ma odegrać jakąś rolę w tym, co się wydarzy? Niemniej obrazy, które widział, z pewnością wydawały się przekazem. Albo ostrzeżeniem. Ostrzeżenia wysyłano chyba tylko do tych, którzy mogli wpłynąć na bieg wypadków?

Westchnął ciężko, próbując przekonać samego siebie, że wszystko to nonsens. Walka z Rovasem, a potem zakrwawione ryby – łatwo było zrozumieć, w jaki sposób własny umysł wyprowadził go na manowce. Zatrzask wydawał się niewiarygodnie ciężki. Wreszcie ustąpił i Jack znalazł się w ciepłej chacie. Magra i Tarissa uniosły ku niemu wzrok. Gdy tylko ujrzały jego twarz, podbiegły do niego natychmiast. Osunął się w ramiona Tarissy. Dziewczyna pociągnęła go do ognia. Słyszał jeszcze

jej łagodne słowa otuchy zanim pochłonęła go ciemność.

Melli chodziła po całym pokoju. Choć starała się ignorować własne odbicie, nieustannie przyciągało ono jej wzrok. Była bledsza i starsza. Rysy twarzy zaostrzyły się, a gładkie niegdyś czoło pokrywały delikatne linie. Tej wiosny skończy dziewiętnaście lat, nie otrzyma jednak na urodziny żadnych smakołyków ani pięknych wstążek. Rozciągnęła wargi w słabym uśmiechu. Ojcu będzie brakować przyjemności dawania jej prezentów. Kupował jej suknie, ręczne zwierciadła, rzeźbione szkatułki, pantofelki. Wszystko to wybierał nie licząc się z kosztami. Zawsze starał się sprawiać jej przyjemność.

Zastanawiała się, gdzie teraz jest i co robi. Zapewne przebywał w swej posiadłości na Wschodnich Ziemiach, zajęty przygotowaniami do wiosennego sadzenia. Przynajmniej oficjalnie tym się zajmował. W rzeczywistości co noc się upijał, a w dzień wyruszał na polowanie. O ziemię dbał nadzorca. Melli po raz kolejny ujrzała własne odbicie. Tym razem w oczach miała łzy.

Tęskniła za ojcem. Za jego dumną, zaborczą miłością.

Ganiąc siebie za podobną słabość, otarła łzy, nim

miały szansę stoczyć się po policzkach. Była silna – dał jej to Maybor – i w związku z tym nie tolerowała słabości ani u siebie, ani u innych. U mężczyzn siła pociągała ją bardziej niż wygląd, tytuły i pieniądze. Spoglądając wstecz, rozumiała teraz, dlaczego młodzieńcy z dworu nie wydawali się jej interesujący. Brak im było tej siły, a także doświadczenia i sprytu.

Nim zdążyła się powstrzymać, jej myśli skierowały się na inny tor. Baralis. Oto był mężczyzna, który przyćmiewał sobą wszystkich. Nawet teraz, po wielu miesiącach, wciąż czuła w płucach jego oddech. Od owej chwili wypełniał je nieustannie. Kiedyś słyszała, jak jakiś lekarz mówił, że wewnątrz organizmu powietrze obraca się w ciało. Czy znaczyło to, że jakaś jej część wywodzi się od Baralisa?

Tym razem pilnowała się, by nie spojrzeć w zwierciadło. Bała się, że zobaczy na własnej twarzy rumieniec. Dlaczego wciąż przychodziły jej do głowy takie nonsensy? Starając się odciągnąć swe myśli jak najdalej od królewskiego kanclerza, skierowała je ku Jackowi. Co się z nim działo? Żył i czuł się dobrze. Była tego tak pewna, jak własnego imienia. Los nie wybrał go po to, by znalazł kres wśród wrogów.

Zaczerpnęła głęboko tchu i jej myśli pomknęły ku kwestii, której starała się unikać od wielu dni –

słowom, które Alysha powiedziała Fiscelowi, kiedy oboje myśleli, że Melli śpi: „Tam, skąd pochodzę, nazywamy takich jak ona złodziejami. Ich przeznaczenie jest tak mocne, że nagina losy innych ludzi do swych wymagań. A te, których nie może nagiąć, kradnie”. Czyżby los wybrał również ją? Z zadowoleniem usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołała, wracając do nawyków damy dworu. Do pokoju wszedł Bailor. Był ubrany znacznie lepiej niż poprzednim razem. Jedwabny strój był znakomicie uszyty, lecz jego przesadnie ozdobny styl nie harmonizował z wydatnym brzuszkiem i pajęczochudymi nogami. Ochmistrz spojrział na pustą tacę, która leżała na łożu.

– Widzę, że masz zdrowy apetyt.

– Jeśli martwisz się o moją figurę, musisz następnym razem przynieść mi mniej. Jak dobra, mleczna krowa, zjadam wszystko, co mi dadzą.

Melli opuściła wczorajsza nerwowość. Czuła się gotowa stawić czoło wszelkim trudnościom. Mnóstwo jedzenia, wygodne łoże, noc spędzona w całkowitej samotności oraz nieobecność Fiscela i Alyshy – wszystko to pobudziło jej podupadającego ducha.

– Nie, nie, moja droga – uspokoił ją Bailor. – Źle mnie zrozumiałaś. To miał być komplement. Diuk lubi

kobiety, które podczas jedzenia myślą o brzuchu, nie o talii.

Znała takich ludzi, jak on. Choć byli sługami, przywykli do tego, że wszyscy – w tym również szlachta – traktują ich z respektem. Zdobywali władzę nad dworzanami, dyskretnie dostarczając im takich zabronionych towarów czy rozrywek, jakie aktualnie były modne. Zamek Harvell mógł się poszczycić pokaźną grupą podobnych przedsiębiorczych indywiduów.

– Kiedy więc spotkani Jego Miłość? – zapytała z – miała nadzieję – miłym uśmiechem. Nie zaszkodzi, jeśli się zaprzyjaźni z tym człowiekiem.

Uśmiech pobudził nieco próżność Bailora. Ochmistrz wciągnął brzuch i wygładził bluzę.

– O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Jutrzejszej nocy dojdzie w Brenie do ważnego wydarzenia. Obrońca diuka stoczy walkę z tajemniczym złotowłosym nieznajomym. Obecna będzie połowa miasta. Jego Miłości towarzyszyć będzie dwóch ważnych zagranicznych dygnitarzy. Z reguły po podobnych walkach diuk lubi udać się do swych komnat, by... jak mam to ująć? Znaleźć odrobinę ukojenia u boku kobiety.

– To znaczy, że rozlew krwi pobudza jego żądzę.

– Nie ująłbym tego tak grubiańsko – odrzekł Bailor.

– Tak. To nie byłoby w twoim stylu. – Melli zdała sobie sprawę, że wypowiedziała te słowa na głos. Szybko spróbowała naprawić błąd:

– Jesteś zbyt wrażliwy, by wysławiać się tak trywialnie.

Bailor sprawiał wrażenie zadowolonego z komplementu. Brzuszek skrył się jeszcze głębiej pod jedwabiem.

– A ty jesteś bardzo dobrze wychowaną damą. Powiedz mi, z jakiej rodziny się wywodzisz?

W jej umyśle rozbrłyło gwałtowne ostrzeżenie. Próbował ją przyłapać. Opowiadała mu już o swym pochodzeniu. Przekleła własną głupotę. Odgrywała wielką damę, choć miała jakoby być nieślubną córką podupadłego szlachcica. Nikt nie może się dowiedzieć, że jej ojcem jest Maybor. Wystarczająco wiele wstydu przyniosła mu ucieczką. Nie pogorszy jeszcze sytuacji, wymieniając jego imię. Wtem przyszła jej do głowy kolejna myśl. Bailor był dokładnie takim człowiekiem, który mógłby szantażować jej ojca, gdyby tylko dowiedział się prawdy. Maybor byłby skłonny zapłacić bardzo wiele, by tylko wieść o hańbie jego córki nie dotarła do uszu dworzan.

– Moim ojcem jest lord Luff z Czterech Królestw – odparła, przypominając sobie kłamstwo, którym poczęstowała halcuskiego kapitana. – A matką służąca z Głębokiego Lasu.

– Ach. – Na twarzy Bailora pojawił się wyraz zrozumienia.

– No tak. No tak. Z królestw, co? Wygląda na to, że twój król niedługo poślubi Catherine.

– Król?

Melli poczuła silny ucisk w żołądku.

– Tak. – Bailor się rozpromienił. – Nic nie słyszałaś? Lesketh umarł i królem jest teraz Kylock.

Musiąca usiąść. Jej pierwsza myśl dotyczyła ojca. Na pewno zniósł to ciężko. To jego córka powinna dziś być królową. Ona powinna być królową. Spróbowała zbyć tę myśl wzruszeniem ramion, lecz jej ciężar był zbyt wielki. Jakimiż wpływami mogłaby dysponować! Do jej mózgu wkradł się żal. Nie potrafiła przeciwstawić się temu uczuciu. Zaledwie przed kilkoma miesiącami sądziła, że Kylock i Maybor podzieliliby się między sobą władzą, która przypadłaby jej w udziale. Teraz rozumiała, że władzy się nie dostaje, lecz ją bierze. Opuszczając zamek, nie pozwoliła, by ojciec zdecydował o jej przeznaczeniu. Wzięła los w swoje ręce. Gdyby dziś została królową,

nie byłaby nią tylko z nazwy.

Myśl o Kylocku powstrzymała jednak jej żale. Nie, nie chciałyby zostać jego żoną. Jego śniada, przystojna twarz nigdy nie wyrażała nic oprócz pogardy, a usta zamarty w grymasie okrucieństwa. Catherine z Brenu mogła go sobie zatrzymać.

– Moja droga Melli, czy nic ci nie jest? – zapytał Bailor. – Pobladaś jakoś.

Minął moment, nim zdołała się uspokoić. Jej myśli wciąż krążyły wokół tronu.

– Nic. Zakręciło mi się tylko w głowie. Wiesz, jak to bywa z kobietami.

Bailor skinął głową.

– Nie bez powodu nazywają was słabą płcią.

Melli szybko zaprezentowała odpowiednio niewinny uśmiech.

– Kiedy planuje się zawarcie małżeństwa?

– Chyba nie prędzej niż za kilka miesięcy. – Bailor ruszył ku drzwiom. – Zresztą nie musisz zaprzętać swej ładnej główki takimi sprawami. Spodziewam się, że będziesz gotowa, jeśli odwiedzę cię jutrzejszej nocy.

Melli nie zamierzała jeszcze pozwolić mu odejść. Chciała go poprosić o coś więcej.

– Czy mogłabym pospacerować po pałacowych terenach? Świeże powietrze korzystnie wpłynie na

moją urodę.

Bailor pogroził jej palcem.

– Nie sądzę, moja droga. Jeszcze nie teraz. Poczekajmy i zobaczymy, jak ułoży się wam z diukiem. O przysługach porozmawiamy potem.

Nie potrafiła się zdobyć na drugi uśmiech.

– Nie szkodzi. I tak jest za zimno na przechadzkę.

– Wiem. – W spojrzeniu, którym obrzucił ją Bailor, łatwo było dostrzec ostrzeżenie. – Muszę już iść. Jeśli potrzebujesz nowej sukni albo jakichś innych błahostek, poproś strażnika, żeby posłał po Veenę. Ona ci wszystko przyniesie.

Zamknął za sobą drzwi. Melli wyraźnie usłyszała odgłos zasuwanego rygla.

Do licha, przejrzał ją na wskroś! „Pospacerować po pałacowych terenach”. Jak mogła być taka głupia? Bailor nieprzypadkowo wspomniał o strażniku. Teraz będzie jej pilnował czujnie jak jastrząb. Rozgniewana na siebie Melli tupnęła, rozglądając się za czymś, czym mogłaby cisnąć. Chwyciła z tacy cynowy kubek i zamachnęła się w stronę zwierciadła, wtem jednak dostrzegła własne odbicie. Wyglądała zupełnie jak ojciec. Czerwona twarz, uniesiony podbródek, błysk w oczach – żywy obraz Maybora.

Pozwoliła, by kubek wypadł jej z dłoni, i osunęła

się na łożu. Uciekła tak daleko po to tylko, by się przekonać, że ojciec cały czas jej towarzyszył. Uśmiechając się leciutko, zwinęła się pod narzutą. Jej myśli krążyły niespokojnie i minęło wiele czasu, nim znalazła ukojenie.

Tawł wszedł do stajni i rzucił na ziemię dwa bukłaki *ale*, po czym natychmiast podszedł do Kosiarza i bez słowa zdjął mu bandaż z szyi. Przyjrzał się ranie i pomacał ją, by sprawdzić, czy nie ma opuchlizny. Następnie wydobyl spod bluzy skórzany mieszek, ujął w palce szczyptę zmieszanych z tłuszczem ziół i rozsmarował je wokół rany. Skończywszy, ponownie zawiązał bandaż i przeniósł uwagę na kontuzjowaną rękę chłopaka.

– Boli? – zapytał, unosząc ją lekko. Kosiarz pisnął z oburzenia.

– Chcesz mnie zabić? Pewnie, że boli. Tawł parsknął śmiechem.

– Będziesz żył. Za kilka dni ręka będzie już sprawna.

– Lepiej, żeby tak się stało, przyjacielu. Tej ręki używam do kradzieży. – Kosiarz czuł się lekko poirytowany całym tym obmacywaniem. Tawł za bardzo przejmował się zabawą w lekarza. – Dzięki

tobie będę musiał po powrocie do zdrowia zorganizować jeszcze więcej funduszy. Jak mogłeś uratować mnie, a zostawić mój worek?

– A co w nim było?

– Towar, oczywiście. Złoto, monety, klejnoty. Wszystko to, co najcenniejsze.

– Nie, Kosiarszu – poprawił go cicho rycerz. – Nie wszystko.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Udało ci się coś uratować?

– Istnieje coś, co ma większą wartość niż złoto. – Tawł usiadł na sianie. Kosiarz modlił się, by nie sięgnął po jeden z bukłaków. Płonne nadzieje. Tawł ściągnął pokrywkę, lecz nie podniósł naczynia do ust. – To, co zrobiłeś w burdelu, było warte więcej niż wszelkie skarby. Zaryzykowałeś wszystko, żeby ocalić przyjaciela. – Rycerz spojrzał mu prosto w oczy. – Najważniejsze w życiu jest chronić ludzi, których się kocha.

Te słowa parzyły Kosiarsza jak ogień. Nie mógł dłużej wytrzymać spojrzenia rycerza. Prawda o bólu Tawła była zbyt trudna do zniesienia. Ulicznik poczuł się nagle bardzo mały. Jego pierwszą reakcją było zaprzeczenie: nie zasługiwał na pochwały.

– To ja wpakowałem cię w tę kabałę. Gdyby nie ja,

nie otrułyby cię...

Tawł potrząsnął głową.

– Nic z tego się nie liczy. Ważne jest, że tam przyszedłeś.

– Jeśli jeden dobry uczynek może zrównoważyć całą masę złych, to czemu nie próbujesz znaleźć chłopca?

Gdy tylko te słowa padły z jego ust. Kosiarz zorientował się, że posunął się za daleko. Jednym prostym zdaniem przywołał z grobu Bevlina.

Rycerz zaskoczył go jednak swą łagodnością.

– Już nie chłopca, Kosiarzu. Pięć lat wystarczyło, by stał się mężczyzną.

Ulicznik zebrał się na odwagę.

– W takim razie dlaczego go nie odnajdziemy? – nie ustępował. – Pomogę ci. No wiesz, z forszą i takimi sprawami. Będzie jak kiedyś.

– Stare czasy nie wracają.

– Ale...

– Nic nie wiesz. – Tawł zaczynał się gniewać. – Nic. Żadne dobre uczynki nie wymażą tego, co uczyniłem.

Desperacja słyszalna w głosie rycerza uciszyła Kosiarza. Powinien był zachować większą rozwagę. Jakaś maleńka część jego umysłu zastanawiała się,

przez co jeszcze musiał przejść Tawl. Wydawało się, że dręczący go ból ma więcej niż jedno źródło. Chłopak pragnął do niego dotrzeć, pomóc mu, objąć go ramionami. Szybcior jednak nie pochwaliłby takiej czułości.

– Powinieneś posmarować sobie rękę maścią – powiedział tylko. – W takie poparzenia potrafi się wdać zakażenie.

– Nic mi nie będzie. Minęło już dobre kilka tygodni. Kosiarz wstał.

– Nalegam. Jeśli jutro w nocy masz stoczyć walkę, istnieje ryzyko, że rana się otworzy, jeśli będzie zbyt sucha i naciągnięta.

Podszedł do rycerza i ukląkł przy nim. Spodziewał się, że Tawl go odepchnie, lecz ku jego zdziwieniu wyciągnął do niego rękę.

– Jeśli masz być moim sekundantem, to pewnie możesz zacząć już od teraz.

Wspomnienie pełnej dezaprobaty twarzy Szybciora było jedynym, co powstrzymało Kosiarza przed okazaniem radości. Sekundant Tawla! To był najwspanialszy, najwartościowszy, najlepszy i jedyny zaszczyt, jaki zdobył w życiu. Gdy odwijał bandaż z ręki rycerza, w jego sercu wezbrała duma. Ręce drżały mu z podniecenia na myśl o nowo otrzymanym tytule.

To, co ujrzał pod opatrunkiem, położyło kres jego uniesieniu. Widziane z bliska, poparzenie wyglądało przerażająco. Skóra była nierówna i pomarszczona. W miejscu, gdzie strawił ją ogień, widać było skrawek ropiejącego ciała. Kosiarz musiał odwołać się do całych swych znacznych zasobów stoicyzmu, by nie okazać szoku. Wzdłuż oparzenia, przecinając kręgi niczym strzała, biegła stara blizna Tawła. Nie wyglądała już jednak na starą, lecz na krwawiącą, bolesną i świeżą.

14

Nad Brenem lśnił księżyc w pełni. Wiatr przegnał mgłę znad jeziora na północ, ku mroźnym pustkowiom. Na czystym niebie lśniły gwiazdy, lecz blisko pięć tysięcy ludzi niemal ich nie zauważało. Tłum spowijał dym buchający z pierścienia pochodni, którego blask wyznaczał środek nocy.

Arenę otaczała aureola światła, padającego na twarze wszystkich, którzy przyszli, rzucając na nich hipnotyczny urok. Ludzie byli cisi i spokojni. Założyli najlepsze stroje, palce przystroili pierścieniami, a do pasów przypięli wysadzane klejnotami sztylety. Nie kręcił się wśród nich ani jeden handlarz. Słyszeć było jedynie głosy zakładających się widzów. Nigdy dotąd nie robili tego z taką pasją.

Maybor otulił się dokładniej futrem. Mogła się już zbliżać wiosna, dzisiaj jednak w mieście królowała zima. Wkrótce miał się zjawić diuk. Dworzanie czekali na niego niespokojnie w swym połączanym sektorze. Był tam też Baralis. Stał samotny, odziany w czerń.

Twarz okrywał mu mrok. Maybor cieszył się z tego, że królewski kanclerz nie zasiadł na oficjalnym miejscu. Znaczyło to, że będzie mógł porozmawiać z Jastrzębiem w cztery oczy.

Dobrze widział obu przeciwników. Obrońca diuka obnażył pierś, by tłum mógł ją podziwiać. W mięśnie wcierano mu tłuszcz, a na czole miał opaskę w barwach Brenu. Wyglądał wspaniale – szeroki w barach i potężnie umięśniony. Przypominał nieco Maybora z lat młodości. Wielmoża spojrział na drugiego z rywali. Stał sam, wysoki i złotowłosy. Oczy miał podkrążone, a ramię owinięte bandażem. Maybor nie miał wątpliwości, na kogo powinien postawić.

To dobrze, że walk nie pozwala się oglądać kobietom, pomyślał spoglądając na tłum składający się wyłącznie z mężczyzn. Dzisiejszej nocy nie popsują żadne babskie fanaberie.

Ludzie wciąż spoglądali w jego stronę. Musiał wyglądać wspaniale w nowym, obszytym futrem płaszczu i z darem od diuka u boku. U jego stóp leżał piękny, szary dog. Jego małe oczka ani na moment nie przestawały się poruszać, zwisające uszy straszyły się na każdy dźwięk, a potężne szczęki czekały, jak gotowa się zatrzaskać pułapka. Maybor roztargnionym ruchem pogłaskał zwierzę po głowie. Otrzymanie w

prezencie jednego z psów diuka stanowiło nie lada zaszczyt. Jastrząb przyprowadził brytana osobiście, wkrótce po tym, gdy się dowiedział, że Kylock planuje inwazję. To była odpowiednia zapłata za tak tajną informację. Maybor uśmiechnął się. Diuk na pewno z radością pochwalił się przed Baralisem tą wiedzą.

Wreszcie się zjawił. Eskortował go tuzin uzbrojonych gwardzistów. Widok władcy Brenu wywołał w tłumie poruszenie. Jastrząb nie uznawał ozdobnych, ceremonialnych szat. Jak zawsze odziany był w wojskowy błękit. Maybor nie potrafił ukryć błysku dezaprobaty w oku. Ten człowiek nie miał pojęcia, w jaki sposób wywierać wrażenie.

Diuk skierował się prosto ku dworskiemu sektorowi. Pokłonił się najpierw Mayborowi, a potem Baralisowi. Wszedł na podium i zaczekał, aż tłum się uspokoi. Wszystkie spojrzenia były skierowane na niego. Gdy zapadła cisza, uniósł prawą rękę. Obaj przeciwnicy ruszyli naprzód. Ponieważ stali po przeciwnych stronach areny, podeszli do Jastrzębia dokładnie w tej samej chwili.

Maybor, który zasiadał za diukiem, widział wszystko wyraźnie. Obrońca pierwszy zaprezentował nóż. Jastrząb wziął broń w rękę i sprawdził jej długość, dotykając nią przedramienia. Usatysfakcjonowany,

zwrócił ją właścicielowi.

– Niech Borc obdarzy cię chwałą – powiedział. Z jasnowłosym nieznajomym wykonał ten sam rytuał, lecz jego błogosławieństwu brakowało siły pierwszego.

Obu mężczyznom towarzyszyli sekundanci. Za obrońcą diuka stał mężczyzna, który mógł być jedynie jego bratem. Nie był jednak tak przystojny, czy wspaniale umięśniony, a do tego wyraźnie utykał. Szepnął coś do Blayze'a. W blasku pochodni zaśniły wykrzywione do tyłu zęby. Po drugiej stronie stał chłopiec, który ledwie był w stanie utrzymać miecz. Prawą rękę miał na temblaku. Marny opiekun dla wojownika.

Przeciwnicy cofnęli się, razem z sekundantami. Nie marnowali energii na wymianę spojrzeń. Gdy tylko zajęli pozycje przy arenie, rozległ się krzyk:

– Honoru Brenu broni dziś Blayze, obrońca diuka.
– Tłum wydał z siebie długi, głośny okrzyk. Gdy wreszcie zapadła cisza, herold zawołał: – A jego przeciwnikiem jest Tawl, rycerz z Valdis.

Nim tłum zdążył zareagować, złotowłosy nieznajomy uniósł rękę.

– Nie, przyjacielu – powiedział. – Nie jestem z Valdis. Przez tłum przebiegły szepty podniecenia.

– Ale powiedziano mi... – zaczął herold.

– A ja ci mówię, że pochodzę z Nizin.

Maybor musiał przyznać, że jego słowa kryją w sobie nieodpartą siłę. Zatarł dłonie. Sprawy zaczynały przybierać interesujący obrót. Odrobina dramatyzmu przed walką dodawała jej smaku, jak sól mięsu.

– Jak sobie życzysz – zgodził się herold. – W Brenie zwykliśmy wierzyć ludziom na słowo. – Odwrócił się. – A jego przeciwnikiem jest Tawl z Nizin – krzyknął w stronę tłumu, który zareagował na jego słowa raczej szeptem niż aplauzem.

Obaj mężczyźni zeskoczyli na arenę. Uniesiono czerwoną chustkę. Herold spojrział na diuka, czekając na jego znak. Nadal stojąc, władca Brenu wznosił prawą rękę, zacisnął dłoń w pięść i gwałtownym ruchem przycisnął ją do piersi. Chustka opadła na arenę.

Kosiarz przyglądał się krążącym wokół siebie przeciwnikom. Nie widział szans na to, by Tawl dostrzegł u Blayze'a jakąś słabość. Obrońca diuka ze swej strony z pewnością zauważył, jak blady i wychudzony jest rycerz. Tawla osłabiała również oparzenie na prawym ramieniu, dobrze jednak ukrywał ten fakt. Większość widzów uważała, że bandaż ma zasłaniać kręgi – nawet teraz, gdy Tawl oświadczył, że

nie jest z Valdis. Kosiarz domyślał się, że zaparcie się rycerstwa kosztowało jego przyjaciela bardzo wiele.

Blayze skoczył naprzód, robiąc zamach nożem. Tawl uchylił się, lecz błyskawicznie wrócił do poprzedniej pozycji. Jego przeciwnik opuścił rękę, w której trzymał broń, był wystawiony na atak. Rycerz cofnął nóż, jakby zamierzał zadać mu cios, po czym uderzył Blayze'a w twarz lewą pięścią. Gapie byli oszołomieni. Syknęli, zdumieni podobnie podłym posunięciem.

Obrońca zatoczył się do tyłu. Tawl skoczył, pragnąc obalić go na ziemię. Nie docenił jednak potężnej siły fizycznej rywala. Blayze zachwiał się tylko lekko na nogach i odepchnął przeciwnika na bok z taką siłą, że ten omal się nie przewrócił. Kosiarz widział wyraźnie zalewający czoło Tawla pot. Widzów ogarnęło podniecenie. Zakładali się z pasją atakującej zboże szarańczy.

Blayze podszedł niespiesznie do odzyskującego równowagę Tawla. Pokrywający jego ciało tłuszcz lśnił w blasku pochodni. Obrońca dotknął lekko palcem podbródka. Ten nieznaczny gest miał sprowokować Tawla, skłonić go do ponowienia próby ataku. Rycerz skoczył naprzód, lecz Blayze był przygotowany. Uniósł nagle łokieć, trafiając

przeciwnika w szczękę. Było to ryzykowne posunięcie, gdyż nóż rycerza znajdował się blisko jego boku. Siła uderzenia okazała się tak wielka, że Tawl zdołał jedynie przejechać ostrzem po boku obrońcy – tak słabo, że ledwie pojawiła się krew.

Blayze nie dał mu czasu na odzyskanie sił. Podrzucił nóż w dłoni i spróbował pchnąć przeciwnika w pierś. Walczący znajdowali się tak blisko siebie, że nie sposób było zobaczyć, co się wydarzyło. Wtem Blayze cofnął się i na Tawla padło światło. Na jego lnianej koszuli widniała plama krwi. Tłum zawył opętańczo. Kosiarz poczuł gwałtowny ucisk w żołądku. Plama rosła wyraźnie.

Ulicznik rzucił spojrzenie na dworski sektor, by przyjrzeć się twarzy diuka. Sprawiał on wrażenie człowieka zadowolonego z tego, co widzi.

Tawl nie miał ani chwili wytchnienia. Blayze nie przestawał na niego naciskać i rycerz musiał się cofać. Kosiarz pragnął krzyknąć: „Otruto go!”, wiedział jednak, że poczucie honoru rycerza nie pozwoli mu tego ujawnić. Szanował go za to. To właśnie różniło Tawla od wszystkich innych znanych mu ludzi.

Trudno było ocenić, jak poważna jest rana. Więcej niż krew mówił fakt, że ruchy rycerza stały się wolniejsze. Stał pośrodku areny, a Blayze krążył wokół

niego niczym sęp. Obrońca nie przestawał poruszać błyskawicznie nożem, w nadziei, że sprowokuje Tawla do ataku. Sztychował też z niego, mówiąc, że z tego, co słyszał, nie dziwi go, iż Tawł nie chce się przyznać, że jest rycerzem. Kosiarcz czuł się głęboko zawstydzony. To on dał Blayze'owi tę broń.

Plama krwi sięgała już Tawłowi do pasa. Rycerz oddychał szybko i niemiarkowo. Po nosie i policzkach spływał mu pot. Mimo to udawało mu się odpierać ataki obrońcy diuka. Widzowie nie byli zadowoleni ze spadku tempa walki. Syczeli na Tawla i obrzucali go drwiącymi okrzykami za to, że zamiast atakować próbuje uników.

Blayze zaczynał tracić cierpliwość. Pragnął wymiany ciosów, by móc popisać się swymi umiejętnościami.

– Powiadam, że jesteś rycerzem i dowiodę tego! – zawołał głośno. Tłum krzyknął radośnie. Seria szybkich ruchów olśniła gapiów i zdeorientowała Tawla. Nóż Blayze'a kreślił w powietrzu skomplikowane wzory. Każdy błysk jego ostrza stanowił ostrzeżenie.

Wreszcie obrońca zaatakował. Błyskawicznym ruchem trafił Tawla w prawą rękę, przecinając bandaż. Blayze cofnął się, pozwalając, by tkanina opadła na

ziemię.

– Ach!

Widzowie zaczerpnęli tchu jak jeden mąż. Wszyscy wyraźnie zobaczyli kręgi. Kręgi, oparzenie i bliznę. Kosiarz poczuł dotkliwy ból w piersi. Ledwie mógł patrzeć na przyjaciela. Oczy zaszyły mu mgłą. Łzy spłynęły po twarzy niezauważone. Wszystko to jego wina.

Tawl oderwał wzrok od kręgów i spojrzął na tłum. Szydercze okrzyki umilkły. W twarzy rycerza było coś, co zmuszało do zachowania ciszy. Złote, lśniące w blasku pochodni włosy i skrwawiona bluza przerodziły się w godło. Jego głos, gdy wreszcie zabrzmiał, przeszył noc niczym piorun.

– Nie uważam się już za rycerza – powiedział Tawl. – Nie jestem godny Valdis.

Jego słowa przepelnione były szczerością i bólem. Gapie poruszyli się nerwowo. Ujawniono przed nimi ludzką tragedię i nie byli pewni, jak zareagować. Blayze zdecydował za nich. Niezadowolony z faktu, że uwaga przeniosła się z niego na rycerza, przystąpił do ataku.

Skoczył Tawlowi na plecy, obalając go na ziemię. Rycerz wyprostował nagle ręce i nogi. Odskoczył do tyłu. Jego przeciwnik nie zdołał znaleźć punktu

zaczepienia i padł na ziemię. Tawl runął na niego jak górski lew, uderzając mocno lewym kolaniem w nadgarstek. Trzasnęła kość. Z dłoni obrońcy wypadł nóż. Rycerz odrzucił go kopniakiem poza zasięg przeciwnika. Zmienił pozycję, przyduszając Blayze'a do ziemi. Wsparł się całym ciężarem na jego udach, by uniemożliwić mu zerwanie się na nogi.

Tłum był oszołomiony, a zarazem podekscytowany. Syki i zachęcające okrzyki rozbrzmiewały z równą siłą. Kosiarz obiecał Borcowi, że jeśli Tawl zwycięży, na całe życie wyrzeknie się kieszonkowych kradzieży.

Nóż rycerza opuszczał się coraz niżej. Blayze próbował odsunąć go od gardła, przegrywał jednak. Prawy nadgarstek miał złamany i nie był w stanie odepchnąć dłoni przeciwnika. Choć prawe ramię Tawla było poparzone, pozostawało silniejsze od lewej kończyny Blayze'a.

Gdy jednak czubek noża przebił skórę, coś się wydarzyło. Tawl zawahał się. Jego ręka zaczęła dygotać, po czym ciało ogarnęły konwulsje. Chwycił się za pierś, puszczając przeciwnika.

W powietrzu było gęsto od czarów. Wszystkie włosy na ciele Baralisa stawały dęba. Ktoś czerpał moc, kierując ją do złotowłosego nieznajomego.

Wypełniała mu ona płuca niczym rak. Kanclerz wysłał z ciała swą świadomość. Musiał się dowiedzieć, kto okazał się tak głupi, by spróbować podobnego wyczynu.

Był jak ślepiec próbujący wymacać drogę. Moc była słaba, niezogniskowana. Amator. Podążył za jej śladem ku ukrytemu w tłumie źródłu. Była nim drobna, spowita w płaszcz postać.

Baralis poczuł, jak walczący skupia swą wolę. Mógł niemal dotknąć tej, wspieranej przez los, siły. Jej gwałtowność zapierała dech w piersiach. Głęboko w jaźni kanclerza rozbłysło ostrzeżenie. Ów mężczyzna, ów złotowłosy wojownik, który niegdyś był rycerzem, miał przeznaczenie tak potężne, że nie pozwalało mu ono poddać się szokowi wywołanemu zaczerpnięciem mocy. Walczył z nim zaciekle. Baralis słyszał o takich ludziach podczas swego pobytu na Dalekim Południu. Powiadano, że ich los opiera się wszelkiej ingerencji, zwłaszcza czarodziejskiej. Zwano ich złodziejami, nie potrafił sobie jednak przypomnieć dlaczego.

Rycerz nie przestawał walczyć, choć nóż wysuwał mu się z dłoni. Czarodziej słabł już. Moc napięła się niby cięciwa łuku, gotowa odskoczyć. Otulony w płaszcz człowiek mógł być niedoświadczony, zaczerpnął jej jednak wystarczająco wiele, by zwęglić

sobie skórę na twarzy.

Ostry smak czarów sprawił, że do ust Baralisa napłynęła ślina. Przyjrzał się sprawcy uważniej. Był bardzo niski i szczupły. Kobieta! Kanclerza ogarnęło podniecenie. Ciekawość wzięła górę nad ostrożnością. Gdy tylko, zdążył zaczerpnąć tchu, ukształtował przymus. Utkął go z subtelną precyzją, wplótł w czar rzucony przez nieznaną. W następnej chwili spowita w płaszcz postać odwróciła się i spojrzała na niego. Choć uszy wypełniały mu krzyki tłumu, a na języku wciąż czuł świeży smak czarów, Baralis rozpoznał twarz Catherine z Brenu.

Wola rycerza uderzyła ze śmiertelnością siłą. Catherine natychmiast straciła panowanie nad zaczerpniętą przez siebie mocą. Ułamek sekundy później, kanclerz sam rzucił czar. Nie marnując czasu na zastanowienie, skierował całą duszę w przestrzeń dzielącą dziewczynę od rycerza. Napięta moc pękła. Usłyszał, jak przeszywa głośno powietrze. Pomknął jej na spotkanie. Nie miał czasu się przygotować. Uderzyła w niego z siłą burzy. Oderwała jego umysł od ciała, ciskając go w ciemność.

Kosiarz był pewien, że już po Tawlu. Atak apopleksji, który powalił rycerza, dał Blayze'owi czas, by odzyskać siły i nóż. Obrońca diuka chwycił broń w

lewą rękę i spróbował ciąć Tawla w twarz. Choć rycerz zgiał się wół z bólu, zdołał się uchylić. Nóż zranił go w ucho. Blayze ponownie ruszył naprzód, gotowy do zadania ciosu. Siły dodawały mu okrzyki tłumu. Zwycięstwo było w zasięgu ręki.

Nagle jednak Tawl wrócił do siebie. Wyprostował się i zdjął rękę z piersi. Spojrzał Blayze'owi w oczy i uśmiechnął się. W następnej sekundzie kopnął obrońcę diuka w rzepki. Obie. Zaatakowany runął na ziemię. Tawl natychmiast skoczył na niego. Grzmotnął go łokciem w twarz, łamiąc mu nos. Twarze obu mężczyzn spryskała krew. Rycerz zaskoczył tłum, odrzucając nóż. Ujął czoło przeciwnika w obie dłonie i zaczął tłuc jego głową o kamienną nawierzchnię areny. Uderzał raz za razem. Widzowie byli przerażeni. Wszyscy skupili wzrok na kałuży krwi, która gromadziła się wokół twarzy obrońcy diuka.

Kosiarz poczuł, że ktoś ciągnie go za ramię. Oderwał wzrok od walczących i spojrzał prosto w twarz dziewczyny z portretu.

– Każ mu przestać! – krzyknęła. Jedna sekunda, by zrozumieć sytuację – z pewnością była kochanką obrońcy – druga na to, by zastanowić się nad typową dla artystów przesadą – w rzeczywistości była znacznie bardziej wymizerowana niż na miniaturze – i Kosiarz

zeskoczył na arenę niczym spieszący na ratunek bohater.

Podbiegł prosto do Tawla. Rycerzem zawładnął morderczy szal. Do jego świadomości nie docierało nic poza żądzą zniszczenia. Chłopak położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

– Chodź, Tawł – powiedział cicho. – Pora przestać. Nie musisz już walczyć. – Rycerz podniósł wzrok. Oczy miał zamglone, wpatrzone w pustkę. Kosiarz zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel przebywa daleko stąd, toczy walkę, w której nie sposób zwyciężyć. – Proszę cię, Tawł, przestań. Zrób to dla mnie.

Rycerz zawahał się. Jego oczy odzyskały normalny wyraz. Znieruchomiał i pozwolił, by Kosiarz odciągnął go od przeciwnika. Wstał i ruszył ku wyjściu z areny.

Tłum czekał w milczeniu. Minęła chwila, nim Kosiarz zorientował się, o co chodzi. Czerwona chustka zwycięstwa wciąż leżała na arenie. Instykt podszeptał mu, że Tawł z pewnością jej nie podniesie. Jako jego sekundant mógł to zrobić za niego. Uniósł z kamieni szkarłatny skrawek materii, wznosząc go wysoko nad głowę. W tej samej chwili poszukał wzrokiem zakapturzonej dziewczyny z portretu. Nigdzie jej nie zobaczył.

Maybor patrzył, jak mały chłopak unosi chustkę

nad głowę. Tłum eksplodował niepewnym aplauzem. Wieczór okazał się nadzwyczaj interesujący. Do najciekawszego wydarzenia doszło przed niespełna pięcioma minutami, gdy Baralis nagle zemdłał. W jednej chwili królewski kanclerz okazywał wszystkim typową dla niego wzgardę, spoglądając na nich z ukosa jak nieproszony gość, w następnej zaś zrobił się błydy niczym świński smalec i załamały się pod nim nogi. Szybko zabrała go grupka służących. Leżał nieruchomo jak trup.

Nie wywołało to zbyt wielkiego zamieszania. Diuk zaledwie raczył oderwać wzrok od walki. Najwyraźniej, gdy w grę wchodził honor Brenu, chorzy posłowie nie mieli zbyt wielkiego znaczenia.

Maybor żywił nadzieję, że jakimś przedsiębiorczym dworakom przyszło do głowy otruc jego wroga bądź też powalił go śmiertelny atak apopleksji. Wydawało się, że dzisiejsza noc w nie obfituje. Również złotowłosy wojownik doznał jakiegoś ataku. Dziwne, że wrócił do siebie akurat w tej samej chwili, w której Baralis zemdłał.

Maybor nie potrafił ukryć uśmiechu. Otworzył manierkę i pociągnął solidny łyk brandy. Tak jest, nie brakowało dziś intryg i dramatyzmu, a do tego przedstawienie jeszcze się nie skończyło.

Diuk nie wyglądał na zadowolonego. Napinał mięśnie żuchwy, a jego oczy były zimne i ciemne, jak Wielkie Jezioro, którym władał. Gapie czekali, aż wykona jakiś znak, gest, choćby najmniejszy, który powie im, jak mają zareagować. Jastrząb okazywał po sobie bardzo niewiele. Wstał i pozdrowił trzymającego czerwoną chustkę leciutkim skinieniem głowy.

– Przywiedźcie do mnie zwycięzcę – zawołał.

Minęło kilka chwil. Maybor odnosił wrażenie, że chłopak musi wręcz wlec rycerza za sobą. Wreszcie obaj stanęli przed diukiem. Ranę na piersi wojownika pospiesznie obandażowano. Sądząc z ilości krwi, która zbroczyła jego bluzę, nóż z pewnością wbił się głęboko między kości. Mężczyzna wyglądał na chorego, niemal trawionego gorączką. Jego skóra przybrała szarawy odcień, a czoło lśniło od potu. Nie było już widać kręgów, które wywołały tak wiele zamieszania. Zakrywała je opaska z zielonego jedwabiu. Koszuli chłopaka, która miała ten sam kolor, brakowało jednego rękawa. Tłum umilkł, czekając, co się zdarzy.

– Zadam ci jedno pytanie – zwrócił się diuk do rycerza. – Czy uwolniłeś się od zobowiązań wobec Valdis?

Czas zwolnił bieg. Na podium padał blady blask księżyca. Twarze pięciu tysięcy ludzi zwróciły się ku

rycerzowi.

– Wyrzekłem się go już dawno – odparł.

– Uważasz się więc za wolnego człowieka?

– Tak jest.

– W takim razie proponuję ci, byś złożył mi przysięgę i przyjął tytuł mojego obrońcy.

Przez tłum przebiegł szmer zdumienia.

Rycerz spojrział na swego sekundanta. Poruszył lekko dłońią.

– Jestem gotów to uczynić – oznajmił.

Choć Maybor stał bardzo blisko diuka, nie potrafił przeniknąć jego myśli. Jastrząb zaczerpnął głęboko tchu i donośnym głosem, którego echo mogło wypełnić całe miasto, zaczął mówić:

– Powtarzaj po mnie: Ja, Tawl z Nizin, przyrzekam uroczyście bronić diuka i jego dziedziców ze wszystkich sił ciała i ducha, dopóki sam Borc nie wezwie mnie na spoczynek.

Po dłuższej chwili milczenia rycerz powtórzył przysięgę.

15

Złotowłosa mężczyzna znalazł się w samym środku miasta. Wysokie mury zamknęły się wokół niego niczym ostre zęby drapieżnika. Nigdy już się stamtąd nie wydostanie.

Jack obudził się. Był zdezorientowany, nie wiedział, gdzie się znajduje. Węgielek w palenisku rozbłysnął nagle jasnym płomieniem. Żaden sen nigdy nie wydał mu się tak bardzo jaskrawy, prawdziwy i tragiczny. Zalało go poczucie straty. Czuł się samotny, opuszczony. Musiał radzić sobie w pełnym niebezpieczeństw świecie. Porzucił go złotowłosa nieznajomy. Jack wiedział, że nigdy już nie zobaczy go we śnie.

Co dziwne, choć widział go dotąd tylko raz, odnosił wrażenie, że jest on jakimś symbolem. Symbolem czegoś bardzo ważnego i cennego jak nadzieja.

Chłód przenikał go do szpiku kości. Otulił się ciasno kocami, jak jednak mogły go one osłonić przed podobnym zimnem? Węgielkom zabrakło paliwa i

ogień wygasł na dobre. Została tylko ciemna skorupa z czerwoną iskrą w sercu. Jack nie potrafił określić, ile czasu minęło. Mógł spać całe godziny, minuty bądź też tylko sekundy. W kuchni było cicho i ciemno. Jedyne źródło światła stanowił dogasający ogień. Rovas spał w spiżarni, a Magra i Tarissa w izbie za kominem.

Chłopak wstał, podszedł do okna, otworzył okiennicę i wyjrzał w mrok. Niebo wydawało się niewiarygodnie wielkie. Gwiazdy rywalizowały swym blaskiem z księżycem w pełni, nic jednak nie przyciągało uwagi tak mocno jak ciemność. Był teraz naprawdę samotny. Co to mogło znaczyć? Dlaczego złotowłosa mężczyzna był taki ważny? I co zdarzy się teraz, gdy go opuścił? Przesunął dłonią po włosach. Ledwie zdążył wrócić do siebie po tym, co wydarzyło się wczoraj, gdy sny zawładnęły jego ciałem. Wpatrywał się w niebo w poszukiwaniu odpowiedzi, lecz panowała niczym nie zmacona cisza.

Za jego plecami skrzypnęła podłoga.

– Jack, dobrze się czujesz? – usłyszał głos Tarissy. Nie odwrócił się.

– Źle. Coś się zmieniło. Nie wiem co.

– Czy to znowu jakaś wizja? Oparła rękę na jego barku.

– Sen, wizja, nie wiem.

– Usiądź sobie. Rozpalę ogień.

Była tak blisko, że czuł na szyi jej ciepły oddech. Było mu tak zimno. Tylko Tarissa mogła go ogrzać. Zwrócił się ku niej, podążając za oddechem do jego źródła. Usta miała uchylone, jakby w jakiś sposób zdołała zrozumieć, czego mu trzeba. Wyszła mu na spotkanie. Jej cielesność stanowiła antidotum na pustkę przestrzeni, a ciepło przegnało chłód niczym płomień.

Usta się spotkały, ciało dotknęło ciała. Szarpnięcie za sznurek i gieżło Tarissy opadło na podłogę. Jej nagość stanowiła dar. Skóra dziewczyny lśniła w blasku księżyca, język Jacka przyciągały jednak cieniste miejsca. Wspaniały dołek w punkcie złączenia szyi z tułowiem, spód ciężkich piersi, wonne, wilgotne włosy pod pachą. Dotyk mu me wystarczył. Chciał poczuć się jej częścią, znieczulić na utratę, uchronić przed bólem samotności.

Jego pragnienie było tak silne, że powiodło ich tam, gdzie nie liczyło się nic poza wilgocią i miękkimi miejscami, w których ciało odsłaniało swe wnętrze. Tarissa ofiarowała mu je, poświęciła sile jego potrzeby.

Po wyjściu służebnej, Melli natychmiast podeszła do zwierciadła i starła z twarzy róż. Nie miała zamiaru pozwolić, by garnirowano ją jak bankietowe danie.

Zdjęła też suknię. Krótki pobyt u pani Greal wpoił jej głęboką niechęć do czerwonego koloru. Nie dbała o to, czy spodoba się diukowi.

Przebrała się w strój, który dostała od Fiscela i sprawdziła, czy nóż nadal jest na miejscu. Uradował ją dotyk twardego metalu. Diuk nieźle się wystraszy, jeśli spróbuje podejść zbyt blisko. Co prawda, nie zamierzała dopuścić do tego, by sprawy zaszły tak daleko. Znowu spojrzała w zwierciadło. Co jeszcze mogła uczynić, by wydać się nieatrakcyjną? Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. Następne dziesięć minut poświęciła na obgryzanie paznokci.

Było już dość późno. Miała wrażenie, że dawno minęła północ. Być może Jego Miłość dał sobie na razie spokój z szukaniem rozrywki u kobiet. Bailor nie przekazał jej dzisiaj żadnej wiadomości, niemniej Fakt, że przysłał dziewczynę, która miała zadbać o jej wygląd, świadczył, iż choć jest późno, może jeszcze ją wezwać.

Jakąś drobną częścią jaźni Melli żywiła nadzieję, że tak się stanie. Aczkolwiek starała się temu zaprzeczyć, myśl o konfrontacji z diukiem ekscytowała ją. Mówiono, że jest najpotężniejszym człowiekiem na północy. Ciekawie byłoby się dowiedzieć, jaki naprawdę jest mężczyzna okryty podobną sławą.

Skarciła się za uleganie podszeptom wyobraźni. Chcąc wymierzyć sobie karę, skupiła się na niepokojącej myśli. Jeśli faktycznie był tak brutalny, jak głośiły pogłoski, jak zareaguje, gdy Melli zagrozi mu nożem w jego własnych komnatach?

Rozległo się pukanie do drzwi, a następnie zgrzyt odsuwane rygła. Do środka wszedł Bailor.

– Jeśli zdjąć z lilii pozłotę, kwiat nadal pozostanie kwiatem – stwierdził przyjrząwszy się jej uważnie.

Dziewczyna poczuła, że się czerwieni. Przejrzał jej próby uczynienia się nieatrakcyjną. Zdecydowana do niczego się nie przyznawać, postanowiła udawać niewinną.

– Nie chciałam zakładać czerwonej sukni. W tym kolorze nie jest mi do twarzy.

– A paznokcie? Czy ich długość również ci nie odpowiadała?

– Złamałam jeden i chciałam, żeby wszystkie były równe.

– A róż?

– Błede policzki uchodzą w królestwach za szczyt urody. Bailor roześmiał się.

– Będziesz wielkim zaskoczeniem dla Jego Miłości. Jesteś równie sprytna, co wygadana.

Melli spróbowała udać oburzoną.

– Nazywasz mnie kłamczuchą, mój panie?

– To pewne, że nie jesteś niewiniątkiem. – Oszacował ją uważnym spojrzeniem. – Chodź ze mną.

Teraz, gdy chwila wreszcie nadeszła, Melli przekonała się, że nie jest w najmniejszym stopniu podekscytowana, a jedynie wystraszona. Pozwoliła, by Bailor wyprowadził ją z pokoju. Minęli kilka galerii i liczne kondygnacje. Im niżej schodzili, tym bardziej zaniepokojona stawała się dziewczyna. Z pewnością komnata diuka znajdowała się na jednym z górnych pięter. Stała przestraszona.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytała.

– Jak na nieślubną córkę nieźle zadzierasz nosa – zauważył Bailor, spoglądając na nią ostro. Spuściła wzrok. – Nie ma powodów do obaw – uspokoił ją. – Diuk ceni dyskrecję, zwłaszcza w sprawach osobistych. W kaplicy dla służby ukryte jest wejście do tunelu, który wiedzie do jego komnat.

– To bardzo wygodne mieć w zasięgu ręki i grzech, i zbawienie.

Melli poczuła ulgę. Ani przez chwilę nie wątpiła w słowa Bailora. Zamek Harvell cały był poprzesywany tunelami. Nie było powodu wątpić, że można je znaleźć i w pałacu diuka.

– Czy walka skończyła się pomyślnie? – zapytała

Melli, gdy zbliżyli się do niskich, drewnianych drzwi.

Bailor odwrócił się błyskawicznie.

– Pod żadnym pozorem nie wspominaj Jego Miłości o walce.

– Dlaczego?

– Stracił dziś swego obrońcę.

– Czy go zabito?

– Gorzej. Ma roztrzaskaną czaszkę. – Głos Bailora brzmiał ponuro. – Ledwie żyje. Lekarze robią, co mogą, ale nie ma wielkiej nadziei, by dożył do rana.

– A zwycięzca? Co się z nim stało?

– Jego los gra silniejszą melodię. Diuk mianował go nowym obrońcą. – Bailor rozejrzał się wokół, dotykając dłonią drzwi. – Nie miał właściwie wyboru. Patrzył na to cały dwór i zagraniczni posłowie. To dumny człowiek i źle zniósł klęskę swego obrońcy. Dlatego bez względu na to, co zrobisz, nie wspominaj ani słowem o walce.

Spojrzał na Melli, by się upewnić, że pojęła jego słowa. Drzwi otworzyły się nagle.

– Tak mi się zdawało, że słyszę jakieś głosy. Już za późno dla służby.

Melli natychmiast rozpoznała akcent z królestw. Odwróciła instynktownie głowę od mówiącego.

– Nie ty zwykle pełnisz tu straż – zauważył Bailor.

– Skąd się wzięłeś w kaplicy o tej porze?

– Razem z przyjacielem pomagamy kapelanowi. – Strażnik wskazał drugiego mężczyznę, który stał za nim. – Właśnie kończyliśmy zmywać podłogę.

Z tyłu widać było wiadro i parę szmat.

– Na przyszłość radziłbym wam nie pracować do tak późnej pory – rzucił Bailor. – Przepuście mnie.

Weszli do kaplicy. Melli pochyliła nisko głowę. Serce waliło jej jak szalone. Była niemal pewna, że to strażnicy z Zamku Harvell. Mogli ją rozpoznać w każdej chwili.

– Jak się nazywasz, człowieku? – zapytał Bailor żołnierza, który otworzył drzwi.

– Grift. A mój towarzysz to Bodger.

– No więc. Grift, mam nadzieję, że potrafisz trzymać język za zębami?

– Możesz być pewien nas obu.

– Miło mi to słyszeć. – Bailor złapał Melli za rękę.

– Chyba czas już, byście się udali na spoczynek.

Strażnik zwany Griftem pokiwał głową z mądrą miną.

– Oczywiście, mój panie. Nie musisz mówić nic więcej. Już stąd znikamy.

Obaj żołnierze ruszyli ku głównemu wyjściu z kaplicy. Bailor zaczął, aż zamkną za sobą drzwi.

– Pijani durnie – mruknął pod nosem, po czym poprowadził Melli w stronę ołtarza.

Ścianę za nim pokrywało kilka malowideł przedstawiających żywot Borca: od pasterza, przez bohatera, aż po boga. Bailor podszedł natychmiast do środkowego z nich i nacisnął je z lewej strony. Cała płyta otworzyła się jak drzwi. Zaskoczona Melli odskoczyła do tyłu. Była bardzo zdenerwowana. Incydent ze strażnikami wstrząsnął nią dogłębnie.

– Za mną – rzucił Bailor.

Ruszyli wąskimi, krętymi schodami. Melli pomyślała, że z pewnością spodziewano się ich przybycia, gdyż płonęły tu liczne pochodnie. Szli ciągle w górę, zapuszczając się w głąb pałacu. Wreszcie dotarli do drzwi. Bailor zapukał lekko. Otworzył je odziany w wojskowy błękit gwardzista, który skinął krótko głową i pozwolił im przejść. Minęli mały przedpokój i weszli do wielkiej, lecz oszczędnie umeblowanej komnaty. Przy pozbawionym okiennic oknie stał samotny mężczyzna.

Bailor odchrząknął.

– Wasza Miłość, czy mogę przedstawić ci Melli z Głębokiego Lasu?

Nieznajomy odwrócił się i skierował wzrok na Melli. Nigdy dotąd nie została obrzucona podobnym

spojrzeniem. Poddał ją chłodnej ocenie, odarł ze wszystkiego i odrzucił również to, co zostało.

– Zabierz ją – rozkazał.

– Ale, panie...

– Powiedziałem ci, żebyś ją zabrał.

Melli zalał gniew. Nikt nie będzie odsyłał jej tak obcesowo.

– Zrób, co ci kazał, Bailorze. Ostatecznie miał bardzo nieprzyjemny wieczór. Niech sam oplakuje swojego obrońcę.

Od wróciła się i ruszyła z powrotem tą samą drogą, którą przyszła.

Diuk doskoczył do niej natychmiast i uderzył ją w twarz tak mocno, że aż zachwiała się na nogach. Gdy już odzyskała równowagę, wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Szkoda, że twój obrońca nie potrafił się zdobyć na taki cios – powiedziała. – Wtedy walką mogłaby się zakończyć inaczej. Oczy o barwie granitu poddały ją ponownym oględzinom.

– Zostaw nas samych – polecił diuk, nie spoglądając na Bailora. Melli usłyszała oddalające się kroki. Wpatrywała się w oczy diuka, zdecydowana nie odwrócić wzroku pierwsza. Gdy jednak postąpił krok naprzód, nie mogła się nie wzdrygnąć.

– Nie jesteś taka twarda, jakby się zdawało – stwierdził rozciągając wargi w czymś, co mogło uchodzić za uśmiech.

– No cóż, jestem pewna, że szukasz kogoś, na kim mógłbyś się odegrać za swoją stratę. Akurat trafiłam ci się ja. – Uniosła brodę. – Jeśli zamierzasz mnie zbić, muszę cię ostrzec, że będę się bronić.

– Nie wątpię, że tak by było. – Odwrócił się, podszedł do wielkiego stołu i napełnił winem stojący na nim kielich. – Proszę – powiedział. – Wypij to.

Melli nie wiedziała, co robić, nie miała jednak zamiaru tego okazać.

– Chyba muszę odmówić – stwierdziła. – Zapewne jest zatrute, a nie mam zamiaru ułatwiać ci zadania.

Diuk uniósł kielich do ust i przełknął łyk trunku. Melli myślała, że zaoferuje jej resztę, odstawił jednak naczynie na stół.

– Nie ma żadnego Głębokiego Lasu – rzekł.

– Widocznie nie znasz królestw.

– Znam każdy ich cal, jak grzbiet własnej dłoni.

Diuk nie chwalił się, stwierdzał tylko fakt. Melli przestraszyła się, słysząc jego słowa.

– Dlaczego tak się nimi interesujesz?

Jego odpowiedź była szybka jak uderzenie bicia.

– A dlaczego nie mówisz prawdy o swym

pochodzeniu? Melli rozejrzała się po komnacie. Zauważyła stojące w kącie biurko i podeszła do niego. Potrzebowała czasu, by zastanowić się nad odpowiedzią. Pomieszczenie było prawie puste. Kamienna posadzka wyglądała pięknie, lecz nie pokrywały jej dywany, które grzałyby stopy i cieszyły wzrok. Na ścianach nie wisiało nic oprócz mieczy. Nie będzie łatwo oszukać diuka. Był bardzo bystry, a ponadto przywykł do tego, że jego pytania nie pozostawały bez odpowiedzi. Była jednak zdecydowana sprostać temu wyzwaniu.

– Kłamię, mówiąc, że pochodzę z Głębokiego Lasu, ponieważ szokuje to ludzi mniej niż prawda. Jestem dzieckiem z nieprawego łoża.

– Muszę przyznać, że masz bękarciego temperament.

– A ty bijesz kobiety jak bękart. Diuk parsknął głośnym śmiechem.

– Czy wszystkie dziewczęta w królestwach mają języki ostre jak szpilki?

– Ty mi to powiedz. Podobno poznałeś ten kraj bardzo dobrze. Mciii zastanawiała się, czy nie posunęła się za daleko. Fakt, że diuk świetnie znał jej kraj, nie powinien stanowić tematu do żartów. Biurko pokrywały liczne mapy. Lasy królestw otoczono na nich kręgami, jak prawdziwe skarby.

Diuk zauważył, gdzie skierowała wzrok, nie próbował jednak zakryć map.

– Jeśli zamierza się zawrzeć sojusz z jakimś krajem, trzeba poznać jego geografię – stwierdził. – Nie ma w tym nic dziwnego.

– I zasoby też?

Diuk wzruszył ramionami.

– To nie tajemnica, że Bren potrzebuje drewna. Jaki sens miałoby zawieranie sojuszu, który nie przyniesie żadnych korzyści?

– A co zyskają królestwa?

– Wsparcie najpotężniejszej armii w Znanych Krainach. Melli zdrząła. Z jej twarzy zniknął rumieniec, a w świadomości rozwarła się otchłań. Ze wszystkich sił starała się w nią nie runąć, gdyż kryła ona w swym wnętrzu prorocstwo. Zupełnie jak owego dnia w chacie hodującej świnie staruszki, gdy mu uległa, kusił ją obietnicą wyjawienia tego, co może przynieść przyszłość. Tyle, że Melli nie chciała tego oglądać. Przyszłość, w której ważną rolę odgrywała najpotężniejsza armia w Znanych Krainach, z pewnością nie wyglądała pięknie. Dziewczyna nakazała sobie skupić się na terażniejszości. Ukazująca przyszłe wydarzenia szczelina zamknęła się i Melli udało się nic nie zobaczyć.

Trzymała się biurka tak mocno, że kostki jej dłoni zbiełały. Małżeństwo Kylocka z Catherine niosło ze sobą znacznie więcej niż weselne uroczystości i ucztę.

– Idź już – powiedział diuk. – Gwardzista odprowadzi cię do twojej komnaty.

Dziewczyna była słaba i zdezorientowana. Tylko trzymając się biurka mogła utrzymać się na nogach. Zimna odprawa diuka wydawała się pozbawiona sensu. A może dostrzegł coś w jej twarzy? Minęło zaledwie kilka sekund. Melli czuła się jednak tak, jakby wbiegła na wysokie wzgórze i stała teraz zdyszana na jego szczycie. Władca Brenu czekał niecierpliwie, aż sobie pójdzie.

Zaryzykowała postawienie jednego kroku naprzód. Nogi się pod nią nie ugięły. Na przeciwległym końcu komnaty znajdowały się wielkie, rzeźbione drzwi z brązu. Ruszyła w ich stronę, lecz diuk ją powstrzymał.

– Masz wrócić tą samą drogą, którą przyszłaś – rozkazał.

Prawie nic nie pamiętała. Potrzebowała samotności, odpoczynku, snu. Zapomnienia. Diuk podprowadził ją do małych, bocznych drzwiczek, przez które weszła do komnaty. W przedpokoju czekał ten sam wartownik. Żołnierz ujął ją za rękę. Kiedy się obejrzała, diuka już nie było.

Miała wrażenie, że droga powrotna ciągnie się bez końca. Zmuszała swe stopy do odnajdywania stopni. Gdy jednak dotarli do kaplicy, jej umysł pracował już na najwyższych obrotach. Wstrząs wywołany przecuciem osłabił jej ciało, lecz nie umysł. Ten szybko odzyskał sprawność.

Jej plany całkowicie spaliły na panewce. Nadal miała u boku nóż, lecz nawet przez chwilę nie pomyślała o tym, by go wyciągnąć. Cały ten pomysł wydawał się jej teraz śmieszny. Diuk okazał się znacznie silniejszy i groźniejszy niż się spodziewała, nie wspominając już o fakcie, że jego komnat z pewnością dobrze strzeżono. Nie miałyby szans na szybką ucieczkę. Będzie musiała wymyślić coś nowego, Niemniej jednak, było to interesujące spotkanie: najpotężniejszy człowiek na północy nie był głupcem, a mimo to udało się jej go oszukać. Nic dziwnego, że Jack nie lubił mówić o swej rodzinie. Kiedy padało słowo „bękart”, wszelkie dociekania ustawały.

Żołnierz odprowadził Melli do jej komnaty. Gdy tylko zaryglował drzwi od zewnątrz, dziewczyna rzuciła się na łóżko. Próba oszukania najpotężniejszego człowieka na północy była bardzo wyczerpująca.

Gospoda opróżniła się już na noc. Zostali w niej

tylko głupcy i pijacy. Salę wypełniał gryzący dym, dobywający się z taniego łożu, a w pokrywającym klepisko sitowiu roiło się od szkodników. Taft zmiażdżył nogą szczura. Gdy go kopnął, gruchotane kości wydały z siebie przyjemny trzask. Stworzenie wylądowało na drugim końcu izby. Tuż pod stopami człowieka, którego zamierzał zamordować.

Nienawidził Halcusów, tej brudnej, żywiącej się psami hołoty. Przed tygodniem ośmielili się na niego napaść. Te sukinsyny ukradły mu konia, pobiły go i zostawiły przy drodze, licząc na to, że umrze. Przyszedł czas odpłacić im za to. Zjadł już suty, stanowczo zbyt drogi posiłek, wypił trzy bukłaki *ale* i zamówił nocleg. Potrzebował tylko pieniędzy, by za to wszystko zapłacić. Dostarczy mu ich ten tłusty, obleśny, pijany halcuski kupiec, który siedział na drugim końcu izby.

Traff wstał i podszedł do jego stołu.

– Dobry wieczór, przyjacielu. Masz ochotę na kufel *ale*? Kupiec zmierzył go wzrokiem.

– Nie jesteś tutejszy, prawda?

Traff skinął głową i przysiadł się do kupca.

– Urodziłem się w Silburze.

– A co tu robisz?

Traff miał ochotę przywalić mu w tłustą głowę.

– Chciałem się zaciągnąć do wojsk walczących z królestwami albo z Brenem.

– Jeśli chodzi o królestwa, zapuściłeś się za daleko na wschód – zauważył kupiec. – A jeszcze nie wiadomo, czy wybuchnie wojna z Brenem.

– Przejrzałeś mnie, przyjacielu – odparł Traff, zbliżając się niebezpiecznie blisko utraty panowania nad sobą. – Mam wykonać zadanie dla pewnego bogatego pana.

Kupca wyraźnie to zainteresowało.

– A którego?

– Nie mogę tego zdradzić, ale jeśli mi pomożesz, może będziesz coś z tego miał. – Przynął się do rozmówcy. – Chodzi o kobietę.

– A co ją wiąże z tym panem? Oddech kupca cuchnął cebulą.

– Kłopoty, jeśli dobrze mnie rozumiesz. – Traff zaczekał, aż mężczyzna skinie głową. – Ma jasną skórę, ciemne włosy i mówi z akcentem z królestw – dodał.

– Czy jest wysoka? – zapytał kupiec, którego zaczynało ogarniać podniecenie. – I urodziwa?

Traff skinął głową.

– Wyjątkowa piękność. Czyżbyś ją widział?

– Jakies trzy tygodnie temu widziałem dziewczynę

odpowiadającą temu opisowi. Zatrzymała się na noc w tej gospodzie. Podobno wywołała wielki skandal. Mężczyzna, z którym podróżowała, zamordował żołnierza. Złapał ją kapitan Vanly.

Traff starał się ukryć podniecenie. Odkąd opuścił królestwa, po raz pierwszy usłyszał o Melli.

– Gdzie jest teraz?

– Vanly ją sprzedał. – Podeksycytowany kupiec posapywał lekko. – Wszyscy w miasteczku o tym mówili. Zarobił mnóstwo złota. No wiesz, dlatego, że była dziewicą.

– A kto ją kupił?

– Handlarz żywym towarem imieniem Fiscel. Jak słyszałem, wybierał się na wschód.

– Do Brenu?

Kupiec wzruszył ramionami.

– Pewnie zajrzy tam, żeby dokupić jeszcze parę dziewczyn, ale wątpię, żeby się tam zatrzymał. Na Dalekim Południu można zarobić znacznie więcej.

– A co się stało z chłopakiem, który jej towarzyszył?

– Zwiął. – Kupiec przymrużył oczy. – Chyba wspominałeś, że będę coś z tego miał?

Traff na to właśnie czekał.

– Jeśli to ją widziałeś, dostaniesz pięć sztuk złota.

W wozie mam jej portret. Chodź na niego spojrzeć. Potem załatwimy sprawę.

Kupiec omal się nie zerwał z krzesła.

– Wróć za pięć minut – zawołał Traff do posługaczki.

Noc była zimna i pogodna. Z ust obu mężczyzn biły obłoki pary. Gdy minęli róg domu, Traff wydobył nóż. Nie widząc żadnego wozu, kupiec odwrócił się zdziwiony. Zauważył nóż i spróbował krzyknąć. Nie zdążył jednak tego zrobić. Traff jedną ręką chwycił go za pukiel włosów i odciągnął mu głowę do tyłu, drugą zaś poderżnął gardło. Ciało zeszytywniało na chwilę, po czym osunęło się do tyłu. Zabójca złapał je i położył na ziemi.

Rozejrzał się szybko wokół. Było już za późno, by kręcili się tu jacyś przechodnie. Zaczął rozrywać strój zabitego w poszukiwaniu kosztowności. Nie znalazł nic. Zwłoki były ciężkie i nieporęczne. Trudno je było poruszyć. Rozgniewany Traff chwycił nóż i pociął ubranie ofiary na strzępki. Gdy z martwego kupca spadła zboczona krwią bluza, zauważył przywiązany pod jego brzuchem worek. Złapał go chciwie. Było w nim parę sztuk złota, pięć srebrników oraz wielki, pięknie oszlifowany rubin. Niezły łup.

Początkowo zamierzał ukryć ciało i spędzić noc w

gospodzie, teraz jednak wydawało się to zbyt ryzykowne, a ponadto nie miał ochoty nigdzie ciągnąć ciężkiego grubasa. Kopnął jeszcze trupa parę razy, po czym opuścił miasteczko. Musi dotrzeć do Brenu. Tam odnajdzie trop Melli.

Idąc, gwizdał wesołą melodię. To była udana noc. Jego narzeczona żyła i była jeszcze dziewicą. Nie mógłby pragnąć nic więcej.

16

Jacka obudził Rovas, który potrząsał nim brutalnie.

– Coś długo dzisiaj śpisz, co?

Chłopaka natychmiast ogarnęła panika. Gdzie była Tarissa? Gdzie się podziały jej ubrania? W jakim stanie zostawili kuchnię? Czy chociaż zamknęli okiennicę? Jack rozejrzał się wokół. Wszystko wyglądało jak trzeba: jego łóżko było posłane, w kuchni panował porządek, a okiennica była zamknięta. Z ust wyrwało mu się westchnienie ulgi. Zbyt późno przypomniał sobie, że patrzy na niego Rovas.

Przemytnik zmrużył nagle oczy.

– Wstawiałeś w nocy?

– Dlaczego tak sądzisz?

To był jego drugi błąd: odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ogień zgasł. Ktoś grzebał w popiołach.

– Ach, to. Około północy zrobiło mi się trochę zimno. – Jack wstał i chlusnął sobie w twarz wodą. Choć odwrócił się do Rovasa plecami, wiedział, że

przemytnik na niego patrzy. Nie miał ochoty na gierki. To, co wydarzyło się nocą, było zbyt cenne i osobiste, by psuć to paskudnymi podejrzeniami. Zwrócił się w stronę Rovasa. – Jeśli masz coś do powiedzenia, to gadaj.

Przemytnik obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Mam coś do powiedzenia. Trzymaj swoje łapy, oczy i myśli z dala od Tarissy.

– Bo co?

– Bo cię zabiję.

Drzwi izby otworzyły się. Obaj mężczyźni zwrócili się w ich stronę. Do środka weszła Tarissa, niosąca kosz z praniem. Przyjrzawszy się rozgrywającej się wewnątrz scenie, natychmiast podeszła do Jacka i spoliczkowała go mocno.

– Pół nocy nie dałeś nam obu spać – powiedziała. – Ciagle chodziłeś po izbie. Kiedy następnym razem nie będziesz mógł zasnąć,, spróbuj chociaż być cicho. – Była wspaniała: błysk w oczach, rumieniec na policzkach, całe ciało drżące z gniewu. Jack miał ochotę ją pocałować. Widział, jak jej wybuch podziałał na Rovasa. Przemytnik najpierw był zdumiony, potem zdezorientowany, wreszcie wyraźnie zawstydzony. – Nie wiem, czemu się uśmiechasz, Rovasie – powiedziała. – Na ogół to twoje chrapanie prześladuje

mnie we śnie.

– Ja nigdy nie chrapię, kobieto – odparł.

– Pewnie. I jesteś też dobrym, uczciwym kupcem.

Wszyscy troje zanieśli się śmiechem. Rovas w charakterze przeprosin klepnął Jacka w ramię. Chłopak chciał w pierwszej chwili się odsunąć, lecz Tarissa obrzuciła go ostrzegawczym spojrzeniem. Nie po to włożyła tyle starań w swój występ, by zepsuł go drugoplanowy aktor. Poświęcił się dla niej i zniósł dotknięcie przemytnika. Podniósł wzrok i zobaczył stojącą w drzwiach Magrę. Jej twarz była nieprzeniknioną maską.

– Muszę już iść – rzucił Rovas. – Jeden człowiek w miasteczku już od trzech dni rzeźbi z drewna ziarnka pieprzu. Na pewno zrobił już ich tak dużo, że podwoją wagę prawdziwych i potroją mój zysk. – Wetknął sobie za pas bochen chleba i ruszył w stronę drzwi. – Wróćę przed zmierzchem.

– Pewnie jesteś z siebie zadowolona – powiedziała Magra do Tarissy, kiedy drzwi się za nim zamknęły. – Świetnie się ubawiłaś, robiąc z Rovasa durnia.

– Mamo, ja...

– To nie jest wina Tarissy – przerwał jej Jack.

– Wiem. – Starsza kobieta wydała się nagle zmęczona. Usiadła przy palenisku i naalała sobie kubek

holku z korzeniami. – Jack, zaciągnęliśmy u Rovasa dług tak wielki, że nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Ponad dwadzieścia lat temu, kiedy sam jeszcze był prawie chłopcem, przyjął nas pod swój dach. Mnie, znenawidzoną cudzoziemkę, i Tarrisę, która była jeszcze niemowlęciem. Nigdy nie zdołamy mu się odwdziżyć. Nigdy.

Tarissa wpatrywała się w podłogę. Szyję oblał jej rumieniec wstydu.

– Przepraszam, mammo.

Ujęła Jacka za rękę i uścisnęła ją delikatnie. Ów gest miał go uciszyć. Nie chciała, by zaprzeczał czemukolwiek, co mówiono o Rovasie. Magra potrząsnęła głową.

– Nie ma za co. Dobrze zrobiłaś. Tak będzie najlepiej.

Jack wrócił w myślach do nocy, gdy Rovas przewrócił kopniakiem wiadro ze szczapami, rozrzucając je po całej izbie. Magra miała rację. Tak będzie najlepiej. Nie dla niego – nie bał się Rovasa – ale dla obu kobiet, które musiały mieszkać z przemytnikiem. Nie miały innego wyboru. Pragnął zabrać je stąd, dać im dom, w którym uwolnią się od poczucia winy i zobowiązań. Rovas nie cofnie się przed niczym – szantażem, morderstwem,

wymuszeniem – by zachować kontrolę nad tą imitacją rodziny. Czas już, by ktoś położył kres dwudziestoletnim rządów terroru.

Ostatnia noc wszystko zmieniała. Tarissa oddała się mu. Nie można było opisać tego inaczej. Wyczuła jego żal i we wspañałym, bezinteresownym geście własnym ciałem złagodziła dręczący go ból.

Po chwili potrzeba ustąpiła miejsca namiętności. Jack nigdy się nie dowie, ile czasu spędzili razem, skapani w świetle księżyca. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. Później, znacznie później, nadeszły godziny, podczas których Tarissa spała w jego ramionach. Mimo to zdążyła się jeszcze wykraść, zabrać swoje ubrania, pościelić siennik i zamknąć, stanowiącą dowód ich czynu, okiennicę. A raniem uratowała go znowu.

Po raz pierwszy w życiu miał do spłacenia prawdziwy dług. Od Falka otrzymał dary równie cenne, jak od Tarissy, brodacz jednak nie pozwolił mu się odwdziżyć. Teraz wyglądało to inaczej. Jack zastanawiał się gorączkowo. Zabierze ją z tej chaty, będzie pracował, by dać jej nowy dom, dobre jedzenie i piękne stroje. Nie wybierze się do Brenu, nie będzie waleśał się po świecie w poszukiwaniu przygód. To już przestało się liczyć.

Ostatniej nocy coś się wydarzyło. Nie miał pojęcia co, jednakże zmieniło to wszystko. Już od wielu miesięcy odnosił wrażenie, że coś popycha go naprzód, ku wydarzeniom i miejscom, które nie on wybrał. Rankiem owo napięcie zniknęło.

Ważne były teraz inne sprawy. Całe życie pragnął mieć rodzinę. Teraz ją znalazł, gotową do zdobycia. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Tarissa mogła należeć do niego. Gdy tylko policzy się z halcuskim kapitanem, będzie mógł robić, co tylko zechce. Przeniesie się do Annisu albo Highwall i znajdzie pracę jako piekarz. Może też dorabiać jako skryba. Wkrótce zarobi tyle pieniędzy, że będzie mógł posłać po Tarrisę i Magrę.

Gdy snuł te plany, jakaś mała częśćka jego jaźni zachowywała wobec nich dystans. Ostrzegała go, że stara się tylko wypełnić pustkę, która powstała ostatniej nocy. A jeśli nawet, to co? Los go uwolnił i nikogo poza nim samym nie obchodziło, co teraz zrobi ze swym życiem.

– Nie, Bodger, nie przekonasz się, czy mężczyzna ma moc ogiera, sprawdzając, czyje dużo warzywek.

– Ale Ropusznik mówi, że im więcej warzywek zjada mężczyzna, tym lepiej potrafi zadowolić dziewczki.

– To niemożliwe, żeby gość cienki jak szczypiorek zdołał dogodzić dziewczce więcej niż jeden raz na noc. Nie, Bodger. Uwierz mi, prawdziwa oznaka mocy to włosy w nosie.

– Włosy w nosie, Grift?

– Włosy w nosie, Bodger. Im więcej ich zwisa z nochala, tym lepiej mężczyzna potrafi przysłużyć się dziewczkom. Na przykład, pan Frallit. Ma więcej włosów w nosie niż cała Królewska Straż pod pachami i nie znajdziesz człowieka, któremu ciasto podnosi się szybciej już po pierwszym ugniataniu.

– Widzę, że ty też masz tam sporo kudłów, Grift.

– Dziękuję, Bodger. Ty też radziłbyś sobie nieźle, gdybyś przestał je przycinać.

– Nigdy nie przycinałem sobie włosów w nosie, Grift.

– No cóż. W takim razie najlepiej będzie, jak skupisz się na jakości zamiast na ilości.

Bodger szybko ukrył swe braki, pociągając długi łyk *ale*.

– Myślisz, że będziemy mieli kłopoty za to, że byliśmy nocą w kaplicy, Grift?

– Chyba nie, Bodger. Kapelan kazał nam pilnować drzwi. Nie może się skarżyć na to, że zakradliśmy się do środka skosztować poświęconych trunków.

- Wymyśliśmy też podłogę, Grift.
- Ehe, świetnie sobie z tym poradziłeś, Bodger.
- Kiedy wartę przejmą regularni strażnicy, Grift?
- My jesteśmy teraz regularnymi strażnikami, Bodger. Kapelan powiedział, że ta robota należy do nas, pod warunkiem, że nie wygadamy, że co wieczór już przed szóstą upija się jak bażant.
- Ale mówił, żebyśmy nie włązili do kaplicy.
- Bodger, jeśli myślisz, że będę co noc sterczał w drzwiach, zamiast klapnąć sobie na ławie, to się grubo mylisz.
- Jak ci się zdaje, co kombinowało tych dwoje, Grift?
- Na pewno nie szli na północną mszę, Bodger. Jeśli mnie pytasz, to sędzę, że gdzieś tam jest tajne przejście, które prowadzi z kaplicy do komnaty kogoś ważnego. Ta dziewczyna wyglądała na zbyt szlachetnie urodzoną, żeby wybierała się na schadzkę z tym podejrzanym typem, który ją odprowadzał. Na pewno miała towarzyszyć wielkiemu panu.
- Zauważyłeś w niej coś znajomego, Grift?
- A co, Bodger?
- No więc, nie wiem, co ty na to, ale mnie się wydawało, że wygląda zupełnie jak córka Maybora, lady Melliandra.

– Pewnego dnia, Bodger, zapoznam cię ze swą teorią na temat mężczyzn, którzy mają słaby wzrok. Wcale nie była do niej podobna. Musiałeś wypić nieco za dużo tej wzmocnionej brandy kapelana.

– Chyba masz rację, Grift. A wracając do mężczyzn ze słabym wzrokiem?

– No więc, Bodger, mężczyźni ze słabym wzrokiem słyną z tego. że...

– Panie, jakaś dama chce się z tobą widzieć – oznajmił Crope. Pokłady bólu odpadły, odsłaniając krwawiące, obolałe ciało ukryte pod spodem. Każdy oddech był zwycięstwem, każda myśl ostrzem wnikającym w serce. Otrzymał cios prosto w pierś. Moc dosięgnęła go niczym chmura płonących strzał, przepaliła się przez skórę, mięśnie i niezbędną dla życia tkankę. Ból był nie do zniesienia. Nawet teraz, gdy kosztowne narkotyki przytępiły jego wrażliwość, czuł, jak próbuje zawładnąć jego ciałem.

Och, ale było warto. Gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby tak samo. Dama, która chciała się z nim zobaczyć, miała zostać najważniejszą kobietą w całej historii, i jej życie trzeba było ocalić za wszelką cenę. Gdyby Catherine z Brenu wczoraj zginęła, wszystkie jego plany obróciłyby się w proch.

Cóż za głupia, arogancka dziewczyna. Wydawało

się jej, że może czerpać czary samym wysiłkiem woli. Dziecko igrające z ogniem. Zapewne do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie ryzyko podjęła. Moc odskoczyła z niszczycielską siłą, nieporównywalną z tą, którą zaczerpnęła. Była ostra i skupiona, jak czubek sztyletu. Wejście do środka było prostą sztuczką, niczym więcej jak zmarszczką na wodzie. Złotowłosy rycerz zmienił jednak naturę mocy. Oparł się jej. Jego ciało zadziało niczym pryzmat, skupiło czar w wąską wiązkę, która, wydostawszy się na zewnątrz, uderzyła z zabójczą siłą. A jej celem była Catherine z Brenu, której przeznaczeniem było zostać monarchinią Czterech Królestw.

Baralis nie miał wątpliwości, że spłonęłaby natychmiast. Ocaliła ją jedynie szybkość jego odruchów. Sam zaczerpnął mocy i zdołał odbić cios, ściągając go ku sobie. Nie było innego wyjścia. Trudno było układać skomplikowane plany w takim pośpiechu. Miał tylko chwilę na to, by przygotować się na uderzenie. Zrobił, co mógł. Był to jedynie początek osłony, nic więcej. Ocalił jednak życie, podczas gdy Catherine nie miałaby szans. Miał wolę przetrwania nie tylko we krwi, lecz w każdej komórce, nerwie, w każdym oddechu. Żeby go wykończyć, trzeba by czegoś więcej niż upadły rycerz z czynnie opierającym

się ingerencji przeznaczeniem.

Połączenie bólu i narkotyków przyprawiało go o zawroty głowy. Jego ciało protestowało nawet przy najmniejszym poruszeniu. Pod narzutami były bandaże, a pod bandażami oparzenia. Skórę na piersi miał spaloną. Miną tygodnie, nawet miesiące, nim wróci do zdrowia. Nie był jednak bezsilny. Choć osłabł bardzo, odzyskiwał już czarodziejskie zdolności. Moc, której wczoraj zaczerpnął, nie była wielka. Odbiła tylko cios. Nadal mógł czerpać ze swego źródła, pod warunkiem, że nie będzie to wymagało zbyt wielkiego wysiłku.

Istniały pewne metody, których nauczył się na dzikich pustkowiach Wielkich Równin. Pozwalały one używać własnej siły życiowej jako drogi do odzyskania zdrowia. Wystarczało do tego delikatne zaczerpnięcie mocy. Paliwa dostarczała ofiara. Trzeba będzie to zrobić. Nie może sobie pozwolić na to, by spędzić kilka najbliższych miesięcy przykuty do łoża niczym inwalida. Musi pokryć swą pierś nową skórą.

– Poinformuj tę damę, że nie mogę się z nią teraz zobaczyć, Crope – powiedział cicho. – Powiedz jej, że jestem... – Zastanowił się. Czy lepiej ukryć słabość, czy też bardziej mu się opłaci odgrywanie męczennika? – ... chory i nie mogę przyjmować gości.

Kiedy Catherine pokisi się trochę w swym poczuciu winy, może łatwiej mu będzie sobie z nią poradzić.

– Ależ, panie, to córka diuka – sprzeciwił się Croke, wyraźnie zaniepokojony myślą o odesłaniu z kwitkiem tak wysoko postawionego gościa.

– Odpraw ją.

Tak jest, niech się trochę pomartwi. Będzie się bała, że Baralis opowie o wczorajszym epizodzie jej ojcu. Ostatecznie istniał tylko jeden powód, dla którego mogła pragnąć, by obrońca diuka wygrał walkę. Słodka Catherine nie była tak niewinna, jak by się zdawało. Baralis uśmiechnął się. Całkiem możliwe, że cała ta sprawa mu się opłaci. Zdobył teraz pewną władzę nad córką diuka. Fakt, że pojawiła się w jego komnatach tak wcześnie rano, świadczył dobitnie, iż obawia się, że kanclerz może zrobić użytek z tej władzy.

Wrócił Croke. Każde jego ciężkie stąpnięcie niosło się echem w obolałej piersi Baralisa.

– Poszła sobie, panie, ale błagała mnie... – olbrzym przerwał, próbując przypomnieć sobie słowa, których użyła – ...błagała mnie, bym przekazał ci wyrazy najgłębszego współczucia.

– Świetnie.

Tego właśnie oczekiwał. Jego osłabionym ciałem targnął atak kaszlu. Ból wydawał się odległy, jak obraz, widziany przez mgłę. Choć narkotyki były silne, mogły jedynie zamaskować chorobę, nie uleczyć. Czekало go mnóstwo zadań. Trzeba było sfinalizować zaręczyny, nie wyznaczono jeszcze daty ślubu, breński dwór nadal czuł się zaniepokojony jego perspektywą, a na domiar złego Kylock mógł wpaść na pomysł uderzenia na Halcus, co zagroziłoby wszystkiemu. Bardziej niż kiedykolwiek musiał być zdolny do walki.

Przeklął w myślach rycerza. Każdy inny człowiek uległby mocy bądź też odesłał ją w pierwotnej postaci. Gdyby Baralis otrzymał takie uderzenie, skończyłoby się na lekkim bólu głowy i piersi. Zamiast tego, utracił znaczną część pokrywającej ciało skóry. W przypadku człowieka, który zginął w Hanatcie, zaczerpnięcie mocy było silne i pewne. W niczym nie przypominało nieudolnej próby Catherine. Przeznaczenie rycerza musiało być naprawdę potężne, jeśli zdołało odbić cios z taką siłą. Baralis uzmysłowił sobie nagle, że nie zna wyniku pojedynku.

– Crope – odezwał się, zbyt osłabiony, by wydobyć z siebie coś więcej niż szept. – Kto wygrał walkę?

– Rycerz, panie. Pobił Blayze’a jak się patrzy.

Crope uśmiechnął się, zadowolony, że może być

źródłem informacji, po czym zajął się przygotowaniem wina z dodatkiem ziół. Baralis zdał sobie nagle sprawę, że sługa zapewne czuwał przy nim całą noc.

– Idź trochę wypocząć, Crope. Olbrzym potrząsnął głową.

– Nie, panie. Zostanę z tobą, dopóki nie wydobrzejesz.

– Niech będzie, ale później musisz się przespać. Jutro wyznaczę ci szczególne zadanie.

Jeśli miał dokonać szybkiego samouzdrowienia, Crope będzie musiał znaleźć mu ofiarę. Można z tym jednak poczekać do jutra. Był jeszcze zbyt słaby, by zaczerpnąć potrzebnej mocy.

Przypomniawszy sobie o rycerzu.

– Jak diuk przyjął porażkę swego obrońcy?

– Natychmiast zrobił rycerza nowym obrońcą.

Mały fragment zagadki został rozwiązany. Przeznaczeniem rycerza z pewnością było zostać obrońcą dziedzica diuka. Trzeba go będzie mieć na oku. Któż mógłby odgadnąć, jaką rolę ma odegrać? Baralis usiłował się skupić. Musi śledzić wszystko, co może wpłynąć na nadchodzące wydarzenia. Cofnął się myślą do chwili, gdy uderzyła w niego odrzucona energia. Wspomnienie pełne było ognia i siarki, lecz

pośród bólu zauważył przelotnie coś innego: człowieka” który nadał kształt mocy. Wszystkie włosy na jego ciele zjeżyły się nagle. W przeznaczeniu rycerza maczali palce potężni ludzie. Tavalisk. Larn, Bevlín. Ta trójka wychynęła z odrzuconej mocy niczym duchy.

Co to mogło oznaczać? Imienia Bevlína nie słyszał od z górą dziesięciu lat. Był on mistykiem, który spędzał czas na grzebaniu w starych prorocत्वach i ze złośliwą radością przepowiadał zagładę. Larn, wyspa mocy i jasnowidzenia. A na koniec Tavalisk, największy intrygant w Znanych Krainach. Co łączyło ich wszystkich z rycerzem?

Baralis poruszył się niecierpliwie pod pościelą. Musi szybko wrócić do zdrowia. Trzeba nawiązać kontakty z odpowiednimi ludźmi, odkryć motywy. Niczego nie wolno zostawić przypadkowi. Nigdy w życiu nie czuł podobnej frustracji. Dzisiaj był w stanie jedynie odpoczywać. Jakże gardził własną słabością.

– Przynies mi buteleczkę z czerwoną zatyczką – zawołał do Croke’a. Trzymał w niej najpotężniejszy środek nasenny. Jeśli nie mógł działać, lepiej będzie zapomnieć o świecie. Kiedy się obudzi, będzie silniejszy. Zdolny nie tylko myśleć, lecz również pracować. Drżącą dłonią uniósł buteleczkę do ust.

Nigdy jeszcze nie oczekiwały go tak liczne zadania.

Melli zauważyła wielkiego chrząszcza, który szedł po posadzce, i zajęła się zatruciem mu życia. Była bardzo znudzona. Co się z nią stało, jeśli jedynym sposobem na zabicie czasu było dla niej dręczenie biednego, nic nie rozumiejącego owada? Rzecz jasna, zawsze mogła też jeść. Pozwoliła insektowi umknąć i przeniosła uwagę na tacę, na której ustawiono śniadanie. Boczek i kiełbasę pochłonęła, gdy były jeszcze gorące. Został jej tylko zimny pieczony drób oraz miękki, smakujący drożdżami chleb. Wino w dzbanie solidnie rozwodniono, nie miała więc wielkich szans upić się celem złagodzenia nudy. Szczerze mówiąc, wybór potraw nie był zbyt atrakcyjny. Breńskim kucharzom rozpaczliwie brakowało polotu.

Podobnie jak temu, kto umeblował jej pokój: nagie kamienne ściany i posadzka, łoże, kufer, zwierciadło i urny walka. Ściana biegła po łuku, Melli sądziła więc, że przebywa w wieży lub w baszcie. Było tu wysokie, wąskie okno, lecz widziała przez nie jedynie niebo.

Oderwała kawałek wilgotnego chleba, padła na łoże i zaczęła go przeżuwać. Ostatnia noc była bardzo ciekawa. Diuk okazał się kimś zupełnie innym, niż się spodziewała. Rzeczywiście był arogancki, lecz również interesujący. Podobał się jej skromny ubiór jaki nosił.

Widziała, że nie dogadza sobie atłasami i jedwabiami. Dorastając u boku ojca, Melli przyzwyczaiła się do mężczyzn poświęcających na poprawienie swego wyglądu tyle czasu i pieniędzy, co dworskie piękności. W gruncie rzeczy, na całym dworze królowej Arinaldy liczyły się przede wszystkim pozory. W Brenie było inaczej. Diuk nie sprawiał wrażenia zainteresowanego błyskotkami. Jego ubiór był prosty, komnaty pozbawione ozdób, a w doborze służby – sądząc po jakości dań – nie kierowano się umiejętnościami prowadzenia domu.

Musiała przyznać, że jego znajomość królestw zaimponowała jej i być może trochę też ją przestraszyła. Spoglądając na te wszystkie mapy i spisy przypominał jej nieco sporządzającego remanent kupca. Z pewnością zamierzał grać dominującą rolę w nowo zawartym sojuszu. A był człowiekiem, który zwykł zdobywać to, czego pragnął.

Rygiel zazgrzytał cicho i drzwi otworzyły się nagle.
– Widzę, że dopisuje ci apetyt – zauważył diuk.

Melli, która leżała na łożu, podniosła się, próbując doprowadzić szaty do porządku. Gdy usiadła, jej zaskoczenie zdążyło już się przerodzić w oburzenie.

– Jak śmiesz wchodzić tu bez zapowiedzenia! – krzyknęła. Jej słowa nie zabrzmiały jednak tak ostro,

jak by tego pragnęła, gdyż usta wciąż pełne miała chleba.

– Śmiem dlatego, że jestem właścicielem tego pałacu i wszystkiego, co się w nim znajduje, łącznie z tobą, moja pani z Głębokiego Lasu.

– Czy pieniądze to jedyny sposób, w jaki możesz zdobyć kobietę? Melli natychmiast zerwała się z łoża. Jeśli miał znowu ją uderzyć, nie ułatwi mu zadania, siedząc spokojnie.

– Widzę, że sen nie stępił twojego języczka.

Diuk był spokojny, może nawet trochę rozbawiony. Trudno to było określić.

– A ja widzę, że nie poprawił twoich manier. – Melli wróciła już do siebie po szoku, jakim była jego wizyta. Poczuli się podniecona. Była to miła odmiana w porównaniu z dręczeniem chrząszczy. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność? Czyżbyś przyszedł wypytać mnie o moją ojczyznę? Może znam lokalizację jakichś lasów, które zapomniałeś zakreślić na mapie?

Diuk uśmiechnął się.

– Wątpię w to. – Wszedł do pokoju. Choć nie był wysoki, wydawał się wypełniać całe pomieszczenie. Melli miała wrażenie, że trudno mu się poruszać tak, by nie dotykać ścian. – Przyszedłem cię przeprosić.

Roześmiała się w głos. Myśl, że ten władczy, nieskłonny do wzruszeń mężczyzna chce ją przeprosić, wydawała się absurdalna.

– Za to, że mnie uderzyłeś, jak sądzę?

– Nie, na to zasłużyłaś. Chciałem cię przeprosić za to, że odesłałem cię tak obcesowo, zwłaszcza że najwyraźniej poczułaś się niedobrze.

Niedobrze? Melli na chwilę ogarnęła dezorientacja, wreszcie jednak dziewczyna zrozumiała, że na pewno chodziło mu o te parę minut, które spędziła na walce z wpływem przepowiedni. Widząc, jak trzymała się biurka, musiał się poczuć, delikatnie mówiąc, zdziwiony. Spróbowała zlekceważyć znaczenie tego incydentu.

– Byłam tylko zmęczona.

– Ach tak – odparł diuk. – O ile dobrze sobie przypominam, to zmęczenie uwidoczniło się zaraz po tym, gdy wspomniałem o armiach Brenu.

– Czyżby? Zupełnie sobie tego nie przypominam. – Melli nie podobał się obrót, jaki przybrała rozmowa. – Tak czy inaczej, przyjmuję twe przeprosiny. Sądzę jednak, że jesteś mi winien jeszcze jedno, za to, że wtargnąłeś tu, nawet nie pukając.

Była pewna, że przeprosiny stanowią tylko pretekst. Diuk nie sprawiał na niej wrażenia kogoś, kto

marnowałyby czas na podobne drobiazgi.

– Drugie przeprosiny nie wchodzi w grę – odparł diuk. – Rzadko zdarza mi się żałować swych uczynków. – Jego dłoń spoczywała na rękojeści miecza. Wydawało się dziwne, że nie chowa tak ostrej broni do pochwy, chyba że, oczywiście, chodziło mu o zastraszenie. – Bailor mówił mi, że pytałaś go, czy możesz się wybrać na przechadzkę.

– I co z tego?

– Jutro wyjeżdżam do domku myśliwskiego w górach. Będiesz mi towarzyszyła.

Mcii nie wiedziała, czy ma się czuć poirytowana jego arogancją, czy też cieszyć się z tego, że wreszcie opuści pałac. Nim zdążyła podjąć decyzję, jak zareagować, diuk był już u drzwi.

Pokłonił się jej płytko, po żołniersku.

– Do jutra – rzucił, po czym wyszedł.

Zanim rygiel zdążył się zasunąć, Melli złapała dzban wina. Mogło sobie być rozwodnione, ale czuła, że musi się napić. Była to z pewnością najslabsza mieszanka, jakiej w życiu kosztowała. Wypiła połowę naczynia, nim wreszcie poczuła działanie trunku.

Czego właściwie chciał? Przeprosić ją? Bardzo wątpliwe. Przed chwilą rozkazał jej, by pojechała z nim na polowanie. Gdyby przejmował się kurtuazją, z

pewnością znalazłby sposób, by nadać swemu rozkazowi pozory uprzejmego zaproszenia. Nie. Czcigodny diuk kierował się innymi motywami. Gdy wino przeniknęło powoli do krwi Melli, ogrzewając jej ciało i rozluźniając myśli, dziewczyna zaczęła się ich domyślać.

Nim rygiel odsunął się po raz drugi, rozległo się pukanie. Do izby wszedł Bailor. Tym razem Mcciii nie chciało się podejmować prób doprowadzenia się do porządku. Wylegując się na łożu, naląła do pucharu resztę wina.

Ochmistrz wydawał się lekko zasmucony tym, co zobaczył.

– Taka ładna dziewczyna nie powinna pić tak dużo przed południem.

– Bardzo mnie wzrusza twoja troskliwość – powiedziała Melli. – Jestem pewna, że wino, które przyniosą mi następnym razem, będzie miało więcej wspólnego ze studnią niż z winnicą.

Bailor zignorował jej słowa i zaczął spacerować po pomieszczeniu. Miał na sobie piękną szatę z zielonego jedwabiu, która łopotąła za nim niczym złamane skrzydło.

– Wygląda na to, że zrobiłaś na diuku wrażenie, moja droga.

– Wiem – potwierdziła patrząc mu prosto w oczy. Było to jedyne sensowne wytłumaczenie dziwacznych przeprosin i zaproszenia na wycieczkę do domku myśliwskiego. Czemu nie wpadła na to wcześniej? W Zamku Harvell przyzwyczaiła się do tego, że przyciąga uwagę mężczyzn. Dlaczego Bren – a jeśli już o tym mowa, jego diuk – miałby być inny?

– Dziś rano wezwał mnie do siebie – ciągnął ochmistrz, zacierając dłonie z podniecenia. – Pytał o ciebie. Chciał się dowiedzieć kim jesteś i skąd pochodzisz. Nie zdziwiłbym się, gdyby dziś znowu kazał ci przyjść.

– Przed chwilą stąd wyszedł.

I tak już wylupiające oczy Bailora uwydatniły się jeszcze bardziej.

– Przyszedł tutaj!

– Tak – odparła Melli, wzruszając od niechcenia ramionami. Zaczynała się dobrze bawić. – Zaprosił mnie do domku myśliwskiego w górach.

– Do domku! – Bailor wypowiedział te słowa tak, jakby chodziło o jakieś święte sanktuarium. – Jego Miłość nigdy nie zaprasza kobiet do domku. – Pochwycił stojący na stole dzban i uniósł go sobie do ust, nim zdał sobie sprawę, że jest pusty. – Co ci powiedział?

– Po pierwsze, przeprosił mnie za swą nieuprzejmość...

– Borcu, miej w opiece nas wszystkich! – Bailor padł na łożo obok niej i zaczął się wachlować rąbkiem szaty. – Diuk nigdy nikogo nie przeprasza. Co z nim zrobiłaś? Czy jesteś czarownicą?

Melli parsknęła śmiechem. Odkąd Bailor przestał się zachowywać tak chłodno, polubiła go znacznie bardziej. Wręczyła mu swój kielich. Na dnie zostało jeszcze trochę wina. Wziął od niej puchar i przełknął jego zawartość jednym haustem.

– Diuk wyrusza wczesnym rankiem. Będzie ci potrzebne odpowiednie ubranie. Wyślę po Veenę. Umiesz jeździć konno?

– Oczywiście.

– Znakomicie. A może przypadkiem potrafisz też polować? Jak córka najbardziej zapalonego myśliwego w królestwach mogłaby nie umieć polować? Maybor był dumny z tego, że wszyscy jego synowie, a nawet córka, ścigali już dziki, nim jeszcze inne dzieci nauczyły się dosiadać konia.

– Polowałam raz czy dwa. Ale w górach pewnie jest mało zwierzyny?

– Domek znajduje się na zboczu wielkiej doliny. Jest tam jezioro. Do wodopoju przychodzi mnóstwo

zwierząt. Niedźwiedzie, górskie lwy, jelenie.

– Kto pojedzie z nami?

– Chyba niewiele osób. To będzie krótka wyprawa. Dwa, najwyżej trzy dni. Diuk z pewnością nie zechce, byś rzuciła się w oczy. Nie lubi, gdy jego sprawy osobiste przyciągają uwagę ludzi.

– W takim razie chyba nici z polowania.

Mciiii czuła się nieco rozczarowana. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio zaznała myśliwskich emocji. Bailor wstał z łoża.

– Hmm, jeśli znajdzie się daleko od dworu, może być nieco mniej ostrożny. Trudno cokolwiek przewidzieć. Nigdy dotąd nie zabrał żadnej damy do domku myśliwskiego. Tak czy inaczej, będę pamiętał, żeby mu powtórzyć, że umiesz polować. Z pewnością będzie to dla niego miłą niespodzianką.

Melli zdała sobie sprawę, że jej wartość w oczach Bailora znacznie wzrosła. Ochmistrz niemal skakał po pokoju. Miała ochotę go zapytać, gdzie leży ten domek myśliwski, uznała jednak, że lepiej trzymać język za zębami. Bailor nie był głupi. Łatwo domyśliłby się jej motywów.

– Czego jeszcze chciał się o mnie dowiedzieć? – spytała tylko.

– Dopytywał się o twoich rodziców, o to kim jest

twój ojciec, gdzie cię wyszukałem i tym podobne rzeczy.

Sprawdzał jej opowieść.

– Nigdy nie wypytuje cię o kobiety, które kupił?

– Bardzo rzadko. Przyciągnąć jego uwagę to wielki zaszczyt.

Bez względu na czynione wysiłki, Melli nie potrafiła ukryć wzgardliwego uśmiešku. Była córką najbogatszego wielmoży w królestwach i omal nie została narzeczoną księcia. Rola najnowszej metresy diuka była dla niej, w najlepszym razie, wątpliwym zaszczytem.

– Muszę już iść – oznajmił Bailor. – Dopilnuję, by Veena przyniosła ci wszystko, czego będziesz potrzebowała.

Jego zadowolenie wydawało się niemal zbyt wielkie. Melli przyszła nagle do głowy pewna myśl.

– Czy diuk spotyka się też z innymi kobietami?

– Jest mężczyzną o silnych potrzebach.

– A co się dzieje z tymi, które przestają go interesować?

– To zależy. Niektóre znowu się sprzedaje, inne zostają w pałacu jako przyboczne dam dworu, a jeszcze inne odzyskują wolność i mogą się udać dokąd zechcą.

– Ale najpierw trafiają do ciebie? – Bailor nie chciał spojrzeć jej w oczy. Melli uznała to za potwierdzenie. – Powiedz mi, czy diuk pożegnał się ze swą poprzednią faworytą?

– Dziś rano wyraził życzenie, że nie chce już więcej widzieć Shanelli. – Ochmistrz był wyraźnie skrepowany. Skierował rozmowę z powrotem na Melli. – To kolejny dobry znak dla ciebie, moja droga.

– Dla ciebie też nienajgorszy, Bailorze – rzuciła, gdy zamykał drzwi.

Kosiarz nie cierpiał poranków. Im wcześniej musiał wstawać, tym jego niechęć stawała się silniejsza. Uświęconym tradycją obowiązkiem kieszonkowca była obecność na porannych targach, lecz w ciągu wszystkich lat jego złodziejskiej kariery nie było dnia, o którym mógłby szczerze powiedzieć, że z przyjemnością zerwał się z łóżka wcześniej jak skowronek. Teraz – gdy siedział uwięziony w tym przypominającym loch pałacu, w izbie leżącej blisko kuchni i browaru, z których dobiegały ogłuszające hałasy, i nie miał szans wymknąć się na drobną złodziejską wyprawę – nienawidził poranków bardziej niż kiedykolwiek.

Istniał tylko jeden powód, dla którego zgodził się znosić tak mało obiecujące warunki. Było to korzystne dla Tawła. Mieli tu lekarzy. Jeden z nich opatrzył ranę na piersi, drugi przyłożył na oparzenie na ramieniu chłodzący ziołowy okład, trzeci zaś podał nasenny napój, który pozbawił chorego przytomności na niemal

całą dobę. Ponadto ładna służebna przynosiła jedzenie i *ale*, żeby wzmocnić pacjenta.

Kieszonkowiec musiał w końcu jakoś sobie wynagrodzić przeciągający się okres nudy.

Rycerz zasnął. Zapewne należało się z tego cieszyć. Oparzenie, trucizna, rana i walka – wszystko to wyczerpało jego siły. Wymęczone ciało potrzebowało odpoczynku bardziej niż najwspanialszych eliksirów.

Jeśli można to było nazwać odpoczynkiem. Tawł kilkakrotnie w nocy budził chłopaka, krzycząc przez sen. Mamrotał jakieś słowa w obcym języku, wykrzykiwał dwa imiona, które brzmiały jak Anna i Sara, a raz, gdy noc była najciemniejsza, jego ciałem wstrząsnęło bezgłośnie łkanie. Kosiarz usiadł na łożu obok rycerza, objął go ramionami i został z nim, dopóki nie przestał płakać.

Świt zakradł się do izby niczym złodziej, kradnąc zalegające w kątach cienie i przyćmiewając blask świec. Sądząc po hałasach, pałacowa służba nie spała już od kilku godzin. Do nozdrzy Kosiarza dotarły zapachy fermentującego chmielu i świeżo upieczonego chleba, a bijący z potężnych pieców żar ogrzewał powietrze jak płonący od dawna ogień.

Przyprowadzono ich tu wkrótce po złożeniu przez Tawła przysięgi. Opuszczając dworski sektor, rycerz

powłóczył nogami. Nie zważał na gapiów. Jego prowizoryczny bandaż przesiąknął krwią. Diuk skinął dyskretnie dłonią i z tłumu wystąpił jakiś mężczyzna, ubrany w luźny jedwabny strój, który nie do końca ukrywał wydatne brzuszysko. Nalegał, żeby rycerz udał się razem z nim do pałacu. Tawł nie miał sił się opierać. Pozwolił, by nieznajomy go poprowadził. Grubas nie był zainteresowany Kosiarzem, chłopak jednak nie miał najmniejszego zamiaru rozstawać się z przyjacielem i zagroził, że jeśli nie będzie mógł mu towarzyszyć, zacznie krzyczeć na całe gardło. Dzięki temu jego również zaproszono do pałacu.

Zostali więc gośćmi samego czcigodnego diuka. Było tu lepiej niż w stajni – każde miejsce, w którym nie było koni, oznaczało poprawę – lecz nie można było liczyć na żadne zyski. Od czasu, gdy zostawił worek u madame Thornypurse, Kosiarz ani na chwilę nie zapominał o swych pieniądzach na czarną godzinę, czy raczej o ich przygnębiającym braku. Powinien wyjść na miasto, zająć się interesami, napęłnić puste kufry i wspomóc obieg pieniądza w Brenie.

Pałac był zapewne aż po krokwie wypełniony potencjalnymi łupami, szkopał jednak polegał na tym, że był tu gościem. Nie można było okradać gospodarza. To było niehonorowe. Szybcior, który w

swoim czasie gościł u siebie wielu towarzyszy w przestępczym rzemiośle, bardzo dobitnie pouczał Kosiarza o tym, że gościa i gospodarza łączy święta więź. „Możesz opić gospodarza do sucha, znieważyc jego dobre imię, a nawet wygrzmocić żonę, ale nigdy, przenigdy, nie wolno ci go okraść”. Były to wzruszające słowa i ulicznik słysząc je zawsze czuł ucisk w gardle. W związku z tym kradzież w pałacu nie wchodziła w grę.

Gdyby znalazł się tu pod jakimś innym pretekstem, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Podrapał się w podbródek. Przyszła mu do głowy pewna podstępna myśl. Szybcior nic nie wspominał o tym, że nie można rozejrzeć się po domostwie gospodarza, żeby się przekonać, gdzie trzyma kosztowności. Nie, z całą pewnością nie było takiej zasady. Może później wybierze się na mały rekonesans, rzecz jasna tylko z zawodowej ciekawości. Spacerując od niechcienia obok skarbcza, można się było bardzo wiele dowiedzieć.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wrywając Kosiarza z zamyślenia. W wejściu stała młoda kobieta – ta sama, która przedwczoraj błagała go, by przerwał walkę. Dziewczyna z miniaturowej. Zobaczyła, że Tawł śpi w łóżku, po czym weszła do izby, zamykając za sobą drzwi. Kiedy się zbliżyła, Kosiarz dostrzegł, że po

twarzy spływają jej łzy.

– Jak on się czuje? – zapytała.

Ulicznik poprawił bluzę i przyglądził włosy. Sądząc po stroju, była naprawdę wielką damą. Przedwczoraj miała na sobie prosty wełniany płaszcz, teraz jednak przyozdobiła się perłami i atlasami.

– Nienajlepiej, panienko. Przespał cały dzień.

Z jej ust wyrwał się cichy jęk rozpaczony. Rzuciła się na Tawła. Minęła chwila, nim Kosiarski zdał sobie sprawę, że przedmiot, który błysnął w dłoni dziewczyny, to sztylet. Pomknął ku niej z szybkością błyskawicy, złapał za nadgarstek i wyrwał nóż. Oddech nieznanego cuchnął brandy, a z przodu sukni miała plamę. Zabrakło jej sił, by walczyć. Znowu wybuchnęła płaczem.

– Nienawidzę go. Nienawidzę – mamrotała raz za razem. Kosiarski zrozumiał, że Blayze z pewnością umarł.

Po chwili dziewczyna odzyskała panowanie nad sobą. Otarła łzy rękawem sukni i podeszła do łóżka Tawła. Kosiarski obserwował ją uważnie, gotów rzucić się na nią, gdyby znowu spróbowała skrzywdzić jego przyjaciela. Szarpnęła śpiącego za bark. Tawł rozchylił powieki. Łatwo było dostrzec skutki działania środka nasennego. Minęła dłuższa chwila, nim zdołał skupić

wzrok. Nieznajoma zbliżyła lico do jego twarzy na odległość oddechu.

– Zabiję cię za to, co uczyniłeś przedwczoraj – zapowiedziała szeptem.

Kosiarz wstrzymał oddech. Tawl spojrzał dziewczynie w oczy.

– Już jestem potępiony, pani – rzekł. – Śmierć przyniesie mi tylko spokój.

Splunęła na niego. Kosiarz złapał ją za rękę.

– Zostaw go w spokoju. Dość już wycierpiał – krzyknął próbując ją odciągnąć.

Wyrwała się z jego uścisku i zwróciła w stronę rycerza.

– Jeszcze się zobaczymy, Tawlu z Nizin.

Jej słowa przeszły Kosiarza dreszczem. Stała przez chwilę, dygocząc z nienawiści, po czym odwróciła się i opuściła dumnym krokiem pokój.

Tawl usiadł powoli, opuścił stopy na podłogę i odrzucił narzuty.

– Na Borca, cóż takiego uczyniłem? – zapytał.

Kosiarzowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Wytłumaczenia nie było. Tawl pobił człowieka na śmierć i złożył przysięgę, której nie miał prawa złożyć. Chłopak nie wiedział wiele o rycerzach z Valdis, nie miał jednak wątpliwości, że godząc się na

przyjęcie stanowiska obrońcy diuka, jego przyjaciel złamał jakieś straszliwe prawo. Porzucił rycerstwo i nie było już dla niego powrotu. Kosiarz z całego serca żałował, że do walki w ogóle doszło.

Drzwi otworzyły się po raz drugi. Czy w Brenie nikt nie pukał? Do środka wszedł diuk we własnej osobie. Jego szczupłe ciało spowijał płaszcz. Najwyraźniej wybierał się w podróż. Jego twarz była zimna i pozbawiona wyrazu.

– Co robiła tu moja córka?

Kosiarz dobrze ukrył zaskoczenie. Córka diuka? To z pewnością była niespodzianka. Nim jednak przyszła mu do głowy jakaś odpowiedź, do rozmowy wtrącił się Tawl.

– Przyszła zapytać o moje zdrowie – wyjaśnił.

Można się było tego spodziewać. Nawet teraz, gdy dopiero co zerwał więzy z Valdis, Tawl zachował instynkty, które tam nabył: rycerskość i opiekuńczość. Czcici damy należało bronić za wszelką cenę. Z jakiegoś powodu Kosiarz poczuł się podniesiony na duchu.

Diuk najwyraźniej uwierzył w to wyjaśnienie.

– A jak ono się prezentuje?

– Lepiej, dzięki umiejętnościom twych lekarzy.

– Świetnie. – Władca Brenu odwrócił się plecami do ściany.

– Stoczyłeś przedwczoraj ciężki bój. Nade wszystko podziwiam ludzi, którzy nie chcą się pogodzić z porażką.

– Blayze był godnym przeciwnikiem.

– Tak, dobrze mi służył. Skonał dziś rano. I dobrze się stało. Tu nie miał już przyszłości. W Brenie nie szanuje się przegranych.

– Diuk umilkł na chwilę, spuszczać wzrok. – Przyznaję, że miałem opory przed przyjęciem twojej przysięgi, teraz jednak widzę, że tak będzie lepiej. Zwyciężyłeś. Jesteś lepszy. – Popatrzył na Tawla. – Nigdy cię nie zapytam, dlaczego opuściłeś rycerstwo, pamiętaj jednak, że teraz jesteś winien wierność mnie. Nie będę drugi po Valdis.

– Moja przysięga jest wiążąca. Jestem na twe rozkazy. Głos Tawla brzmiał pewnie i zdecydowanie.

– Wielce mnie to raduje – odparł diuk. – Wybieram się teraz na krótką wyprawę myśliwską. Kiedy wrócę, spodziewam się, że będziesz gotów zająć miejsce u mego boku.

– Tak się stanie.

Diuk wyciągnął rękę i Tawł uścisnął jego dłoń. Obaj mężczyźni znieruchomieli na chwilę, po czym diuk odwrócił się i wyszedł.

Po raz pierwszy od chwili przybycia do Brenu,

Kosiarz pomyślał, że dla jego przyjaciela jest jeszcze nadzieja. Minęło wiele czasu, odkąd Tawł ostatnio okazał podobne zdecydowanie.

Maybor zapukał do drzwi Baralisa. Miał wyruszyć z diukiem na myśliwską wyprawę w góry i w związku z tym gorąco pragnął uczynić dwie rzeczy: po pierwsze upewnić się, że Baralis nie powrócił przez noc w cudowny sposób do zdrowia, po drugie zaś, jeśli królewski kanclerz odzyskał przytomność, poinformować go, że spotkała go ciężka zniewaga ze strony diuka. Baralis nie jechał w góry. Nie otrzymał nawet zaproszenia.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Maybor zapukał po raz drugi. Czuł się wręcz zachwycony. Diuk powiedział mu: „Będzie mi towarzyszyło tylko kilku zaufanych druhów”. Jego również zaliczono w ich poczet, Baralisa natomiast spotkał afront: pominięto go. Maybor uważał za swój obowiązek powiadomić go o tym ciosie. Szkoda, że nie okaże się on śmiertelny.

Przyda mu się parę dni łowów. Świeże powietrze w płucach, piękny wici wice między udami i dobrze naostrzona włócznia w dłoni. Nadarzała się wspaniała okazja popisania się umiejętnościami myśliwskimi. Nie dalej jak wczoraj krawcy dostarczyli mu nową garderobę. Był w niej piękny wybór płaszczy i bluz,

które z pewnością zaimponują wszystkim. Wyprawa będzie dla niego wspaniałym sukcesem.

Miał również wielką ochotę zapoznać się z tutejszą zwierzyną. W królestwach nie można było spotkać nic tak ekscytującego jak górskie lwy. Miał nadzieję, że pora nie jest na nie za wczesna.

Gdzie się podział ten imbecyl Croke? Zapuka jeszcze raz i jeśli znowu nikt mu nie odpowie, wejdzie do środka.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich sługa Baralisa. W jednej ręce trzymał garnek, w drugiej zaś coś, co wyglądało na lnianą koszulę. Maybor miał już w przeszłości do czynienia z Cropem i wiedział, że próby wdarcia się do środka nie mają sensu.

– Jak się czuje twój pan? – zapytał.

– Śpi.

– Nie, idioto. Chcę wiedzieć, jak się czuje.

– Śpi.

Wielmoża zaczął tracić cierpliwość:

– Chcę się dowiedzieć, czy w stanie jego zdrowia zaszła poprawa – powiedział bardzo głośno, jakby miał do czynienia z głuchym.

– Śpi od wczoraj rana.

Borcu, ależ ten człowiek był brzydki! Twarz miał obwisłą jak zawiązana sakiewka, paciorkowate oczy

osadzone blisko siebie, wąsiska wielkie jak miotły, a włosy w nosie zdumiewająco czerwone. Podobnych osobników powinno się dusić zaraz po urodzeniu.

– Co się stało z twoim panem w noc walki? Dlaczego zemdłał? Croke zastanawiał się chwilę.

– Zachorował, panie.

Był równie głupi, jak brzydki. Dalsza dyskusja mijała się z celem. Zbyt dobrze go wyszkolono, by mógł cokolwiek zdradzić.

– Kiedy twój pan się ocknie, poinformuj go, że, w przeciwieństwie do mnie, nie został zaproszony do domku myśliwskiego diuka na polowanie. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Powtórz. – Maybor wysłuchał, jak Croke recytuje całe zdanie. – Świetnie. Nie zapomnij mu o tym powiedzieć. – Odwrócił się i miał już odejść, gdy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. – Czy to własność twego pana? – zapytał, wskazując na lniany przydziewek. Gdy tylko olbrzym skinął głową., Maybor zbliżył się nagle i wyrwał mu koszulę z dłoni. Zaskoczony Croke nie miał szans go powstrzymać. Wielmoża uśmiechnął się triumfalnie do oszołomionego sługi, po czym się oddalił.

Wetknął zdobycz pod bluzę, zastanawiając się nad

tym, czego się dowiedział od Croke'a. Jeśli Baralis przespał cały dzień, choroba musiała być naprawdę poważna. O ile jednak znał królewskiego kanclerza, z pewnością nie okaże się śmiertelna. Jego chudego karku nie da się skrócić tak łatwo. Przechodząc przez zawilgocone północne skrzydło pałacu, Maybor schował dłonie pod płaszczem. Musiał istnieć jakiś sposób na to, by załatwić Baralisa. Nie mógł pozwolić na to, by nadal stawał mu na drodze i upokarzał go publicznie. Lista długów do spłacenia nie przestawała rosnąć: kilka zamachów na jego życie, śmierć konia, pokrzyżowanie osobistych ambicji i na koniec zniknięcie jego córki.

Maybor poczuł ucisk w gardle. Zwolnił kroku. Co się stało z Melliandrą? Jego drogocennym, pięknym klejnotem. Postąpił jak głupiec. Nie trzeba jej było zmuszać do małżeństwa z Kylockiem. Była uparta, nieustępliwa i dumna, zupełnie jak on. Powinien był załatwić to inaczej. Zatrzymał się przy strzelnicy kluczowej i wyjrzał na spokojne, szare wody Wielkiego Jeziora. Gdzie podziewała się teraz? Pewnie ukrywała się gdzieś daleko, nie chcąc wrócić w obawie przed jego gniewem. Miał jej szukać Traff, lecz Maybor nie był pewien, czy naprawdę chce, by Melliandrę odnalazł były najemnik Baralisa. Ten

człowiek był niebezpieczny i nieprzewidywalny, a na dodatek uważał ją teraz za swoją własność.

Jak mógł obiecać rękę własnej córki najemnikowi? Oparł się ciężko o wilgotny, kamienny mur, zdając sobie sprawę z bezmiaru własnej głupoty. Wszystko to wina Baralisa. Odkąd królewski kanclerz zaczął swe knowania, Maybor nie myślał o niczym innym jak tylko o pokonaniu go w jego własnej grze. Ileż głupstw narobił!

Wyrzuty sumienia stanowiły dla niego nowe, bolesne doświadczenie. Nie był człowiekiem nawykłym do wsłuchiwania się w siebie. Liczyły się czyny. Wpadła mu do głowy pewna myśl. Napisze do Kedraca i poleci mu wysłać do wszystkich wsi i miasteczek Czterech Królestw listy z obietnicą pięciuset sztuk złota nagrody dla każdego, kto dostarczy informacje prowadzące do odnalezienia jego córki. Nie, zrobi więcej. Wyda publiczne oświadczenie, głoszące, że wybacza Melliandrze nieposłuszeństwo i jeśli powróci, przyjmie ją z powrotem na kochające łono rodziny.

Jego umysł pracował gorączkowo. Wyśle ten list jeszcze dziś. Był zdecydowany odzyskać córkę. Może nie wyjdzie już za króla, lecz tu, w Brenie, nie brakowało bogatych szlachciców, którzy z radością ją

poślubią. Miał przed oczyma jej obraz: ciemnoniebieskie, płonące oczy, biała jak śnieg skóra. Och, z całą pewnością była piękna. Na szczęście odziedziczyła wygląd po nim, nie po matce.

Gdy już zdecydował, co zrobi, ledwie mógł zapanować nad podnieceniem. Za kilka tygodni Melliandra wróci bezpiecznie do Zamku Harvell. Szedł lekkim krokiem, nucąc wesołą melodię, której słowa dawno już umknęły z jego pamięci. Był jeszcze wczesny ranek. Jeśli się pospieszy, zdąży napisać i wysłać list przed wyruszeniem na łowy.

Gdy jednak miał już wejść do swych komnat, ktoś stanął mu na drodze.

– Lordzie Mayborze, czy mógłbym zamienić z tobą słówko? Był to lord Cravin, człowiek, który zasiadał obok niego na powitalnym bankiecie.

– Oczywiście. Zapraszam do środka. Cravin potrząsnął głową.

– Nie. Wolałbym, żebyśmy przeszli się razem.

To wiele mówiło. Najwyraźniej Zamek Harvell nie był jedynym miejscem, w którym ściany miały uszy. Maybor skinął lekko głową, radując się tym nagłym upadkiem w wyściełaną jedwabiem otchłań intrygi.

Cravin ruszył przodem. Był mężczyzną o dystyngowanym wyglądzie. Podobnie jak diuka, zdołał

go imponujący, haczykowaty nos. Posiwiące już na skroniach włosy strzygł bardzo krótko. Dopiero gdy dotarli na dyskretny, obsadzony drzewami dziedziniec, uznał, że może mówić swobodnie.

– Diuk opuszcza miasto na kilka dni. Słyszałem, że wybierasz się z nim.

– No i co z tego?

– Byłoby lepiej, gdybyś został. Tu, w pałacu, można upolować grubszego zwierza.

– A jakiego?

– Kiedy diuk wyjedzie, będziemy mogli rozmawiać swobodnie. Czas już, byśmy omówili nasze wspólne interesy.

Maybor stanął przed dylematem. Kochał polowanie.

– A nie możemy porozmawiać po moim powrocie?

– Rozmawiać możemy do woli – odparł Cravin. – Nie jestem jednak głupi i nie powiem nic, co mogłoby dotrzeć do uszu diuka.

– Gdybym odwołał teraz wyjazd, mógłbym obrazić tym Jego Miłość.

Maybora kusila myśl o sekretnych knowaniach i spiskach, lecz jeszcze silniej pragnął wkraść się w łaski diuka. Kilka dni udanych łowów i dzielonych wspólnie niebezpieczeństw, a zostaną przyjaciółmi na całe życie.

– Diuk nawet nie zauważył twojej nieobecności. Ma na oku zwierzynę bardziej nieprzewidywalną niż górskie lwy.

– Kobiety?

W głosie Maybora pobrzmiwała tęsknota. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio czuł zaokrąglony brzusek dobrze zbudowanej dziewczki. Nie miał pojęcia, jak załatwić sobie kobietę w obcym mieście. Wszystkie służące, które widział, były albo za stare albo zbyt chude.

– Zwłaszcza jedną kobietę. Słyszałem, że jego spojrzenie przyciągnęła najnowsza faworyta. – Cravin przymrugnął powieki. – A może ty również pragnąłbyś znaleźć pociechę w damskim towarzystwie, lordzie Mayborze?

– Jestem mężczyzną o silnych pragnieniach.

– Mógłbym dziś przysłać do twojej komnaty kilka młodych kobiet.

To z pewnością przeważało szalę. Łowy mogły zaczekać. W tej chwili znacznie bardziej pociągała go myśl o przyjemnościach łoża.

– Przekażę diukowi przeprosiny. Czuję, że zaczyna mnie łąpać lekka gorączka.

Cravin pochylił głowę.

– Skontaktuję się z tobą we właściwym momencie.

– A więc do zobaczenia. – Maybor odwzajemnił pokłon. – Pamiętaj, żeby przysłać wszystkie kobiety jednocześnie.

Odpowiedziawszy na tę prośbę najchłodniejszym z uśmiechów, Cravin odwrócił się i ruszył w stronę pałacu.

Maybor stał jeszcze chwilę na dziedzińcu. Wietrzyk dmący od jeziora był rześki, ale nie zimny. Sprawy układały się coraz ciekawiej. Wróci do swych komnat, napisze list do syna w sprawie Melliandry, prześpi się trochę, by nabrać sił, a potem przygotuje na noc pełną miłosnych igraszek. Intrygi będą zaledwie przyprawą do tej uczty.

W drodze powrotnej Maybor przypomniał sobie o wypukłości pod bluzą. Koszula Baralisa. Uśmiechnął się szeroko. Oprócz zabawy znajdzie też czas na złośliwe figle.

Choć Melli była zdecydowana wzgardzić nowymi strojami, nie mogła nic poradzić na to, że podoba się jej własne odbicie w zwierciadle. Musiała przyznać, że dobrze dobrano kolor i styl. Błękit od dawna był jej ulubioną barwą, a haft zdobiący obrąbek sukni wyglądał bardzo pięknie. W morzu jedwabnych nici pływały małże i rozgwiadzy. Suknię z pewnością uszyto w Toolay i musiała kosztować niezłą sumkę.

Bailor nie oszczędził wydatków.

Miała jednak pewien problem. Miękki stanik utrudniał ukrycie noża. Usiadła na brzegu łóżka. Czy rzeczywiście potrzebowała broni? Sytuacja, w której się znalazła, w niczym nie przypominała tej, którą sobie wyobrażała. Pod wieloma względami wydawała się mniej niebezpieczna. Choć diuk był silnym mężczyzną, nie potrafiła sobie wyobrazić, by miał ją zniewolić. Z pewnością był na to zbyt honorowy. Z drugiej strony jednak Edrad z gospody w Duvitt również robił wrażenie człowieka honoru. Zaczęła owijać broń w kawałek tkaniny. Lepiej nie ryzykować.

Dostała to narzędzie od hodującej świnie staruszki, której imienia nigdy nie poznali. Dopóki go miała, czuła się bezpieczna. Był dla niej raczej talizmanem niż bronią.

Wetknęła owinięty w szmatkę nóż za stanik, starając się ulokować go tak, by przyciągał jak najmniej uwagi. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma większego biustu. Córka lady Helliarny, Carinnela, miała piersi wielkie jak półmiski. Mogłaby ukryć w staniku cały arsenał!

Rozległo się ciche pukanie i do pokoju wszedł Bailor. Uśmiechnął się szeroko.

– Dzień dobry, moja droga.

Melli nie mogła nie odwzajemnić jego uśmiechu. W swej nowej szacie z lśniącego jedwabiu barwy polerowanego złota ochmistrz wyglądał imponująco. W opinającej jego brzuszek tkaninie dostrzegła odbicie swej twarzy.

– Piękny dziś mamy ranek, moja droga. Zapowiada się idealny dzień na podróż. – Wyciągnął rękę i poklepał ją po barku. – Wyglądasz naprawdę ślicznie.

– Ty również, Bailorze.

Sprawił wrażenie zadowolonego z komplementu.

– Dziękuję, moja droga. Jedwab pochodzi aż z Isro. Wciągnął lekko brzuszek i przyjrzał się swemu odbiciu w zwierciadle.

Melli złapała się na myśli, że lubi Bailora. Zawsze był w pogodnym nastroju i traktował ją dobrze nawet wtedy, gdy nie musiał tego robić.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Jego Miłość oczekuje.

Spodziewała się tej odpowiedzi, lecz i tak po plecach przebiegł jej dreszcz. Była pewna, że kilka następnych dni odmieni jej życie. Być może ucieknie od diuka, zamorduje go, odnajdzie starego przyjaciela ojca albo może nawet przekona władcę Brenu, by zwrócił jej wolność. Wszystko mogło się zdarzyć. Zapięła płaszcz i ruszyła na spotkanie diuka, modląc

się, by sprawy ułożyły się pomyślnie.

Tarissa walczyła bezwzględnie. Nie przestrzegała żadnych zasad. Nie cofała się nawet przed wykorzystaniem swych kobiecych wdzięków. Poszli z Jackiem na południowe pole, poćwiczyć walkę na noże. Po raz pierwszy zmierzył się z Tarissą i już popełnił poważny błąd, lekceważąc ją tylko dlatego, że była dziewczyną. Stwardnienia na dłoniach zawdzięczała przelanej w pojedynkach krwi. Sądząc po groźnym cięciu, które zadała mu w nadgarstek, za chwilę zdobędzie przewagę.

Rozciągnęła usta w drżącym, niespokojnym uśmiechu. Jackowi, który właśnie przeszedł do ofensywy, zrobiło się jej żal. Zaczął się cofać. Okazało się to błędem. Był zły na siebie za to, że nie pojął tego wcześniej. Runęła na niego z szybkością błyskawicy. Silny cios w raniony już nadgarstek i broń Jacka pofrunęła w powietrze, nim chłopak zdążył się zorientować. Tarissa skoczyła przed siebie jak kotka i złapała nóż za rękojeść, zanim zdążył upaść na ziemię.

– Ha! – krzyknęła, leżąc w błocie. – Ha!

Jej triumfalny uśmiech był najbardziej irytującym, a zarazem najpiękniejszym widokiem, jaki oglądał w życiu.

– A więc Rovas myśli, że jesteś gotowy? –

krzyknęła, wymachując mu nożem przed twarzą. – Miejmy nadzieję, że w garnizonie nie będzie żadnych kobiet. Gdy w grę wchodzi bezbronne dziewczęta, jesteś durniem.

Jack runął na nią.

– Jestem durniem, co? – Nagłym ruchem lewej ręki pozbawił Tarrisę obu noży, po czym przycisnął ją szybko do ziemi. – Pokaż teraz, jaka jesteś bezbronna.

Wyduła wargi, zapraszając go do pocałunku. Nie był w stanie się jej oprzeć. Pochylił się ku jej ustom, gdy nagle chwyciła go za gardło.

– Chyba nie muszę, co?

Tarzali się w błocie, wierzgając nogami, śmiali i szczykali, próbując ściągnąć sobie nawzajem buty z nóg. Po raz pierwszy od dwóch dni byli ze sobą sam na sam i Jack radował się każdą chwilą.

Rovas przed godziną wyjechał na targ, a Magra – zajęta wiosennymi porządkami – pozwoliła im wybrać się na krótką przechadzkę. Gdy szli poćwiczyć, trzymając się za ręce, Jack postanowił, że nie wspomni o tym, co wydarzyło się przedwczoraj, chyba że Tarissa pierwsza poruszy ten temat.

Dziewczyna podniosła się z ziemi i wyciągnęła do niego rękę.

– Chodź – powiedziała. – Musimy się umyć.

W pierwszej chwili Jack myślał, że wrócić do chaty, Tarissa jednak ominęła domek i poprowadziła go dalej, między drzewa. Ziemia pod ich stopami była miękka. Od kilku dni było tak ciepło, że śnieg stopniał prawie zupełnie, a gleba przesiąknęła wodą. Ich twarze pieścił lekki wietrzyk, za słaby jednak, by wysuszyć błoto na policzkach.

– Na dół – rzuciła, przedzierając się przez krzaki i zjeżdżając ze skalistej skarpy. Jack podążył za nią. Na dnie parowu płynął strumyk, który nieco niżej przeradzał się w wodospad, a następnie tworzył staw, pełen najczystszej, najbardziej przejrzystej wody, jaką w życiu widział. W cienistych miejscach zalegał jeszcze biały śnieg, lecz brzeg otaczały zieleń i żółć. Na wietrze kołysały się żonkile, złociste i wspaniałe.

– Czyż nie jest tu pięknie?

– Cudownie – zgodził się Jack.

Woda szemrała cicho na skałach, tańcząc, dzwoniąc i błyszcząc jak kryształ. Dwie wierzby zanurzały w stawie nagie gałęzie, a gdzieś w chaszczach słychać było pierwsze wiosenne odgłosy godowe.

Tarissa ujęła go za rękę i poprowadziła nad wodę. Zdjęła buty i zanurzyła w stawie palce stopy. Skrzywiła się, cofając szybko nogę.

– Jest zimniejsza niż się zdaje.

Jej twarz lśniła w odbijającym się od tafli świetle. W piwnych oczach pojawiły się złociste błyski przypominające żonkile. Na policzku miała smugę brudu. Jack ściągnął kamizelkę i wrzucił ją do wody, po czym wykręcił ubranie i dotknął mokrą tkaniną twarzy dziewczyny. Zaczął ścierać delikatnie błoto z jej twarzy. Skóra Tarissy była gładka i ciepła jak mosiężna lampa. Ślad znikł już po pierwszym dotknięciu. Potem chłopak przeszedł do dłoni, rozpościerając jej palce, by dotrzeć do ukrytej między nimi ziemi. Na koniec zabrał się za nogi. Uniósł spódnicę dziewczyny do kolan i przesunął tkaniną po łydkach. Kostki, stopy i palce umył bardzo starannie i delikatnie. Nie przestawał, dopóki nie zniknął ostatni ślad brudu.

Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że Tarissa ma łzy w oczach.

– O co chodzi? – zapytał.

– Przepraszam cię, Jack.

– Za co?

Nie odpowiedziała. Nachyliła się tylko, by go pocałować. Poczuł na jej wargach słony smak soli. Za co miała go przepraszać? Nie rozumiał tego. Nagle jednak przez jego umysł przemknęło wspomnienie

przedwczorajszego wieczoru. Nie był w stanie tego powstrzymać. Gdy przytuliła się do niego, wszystkie pytania utraciły znaczenie. Zacisnął dłonie na jej talii. Jej ciało było nadzwyczaj kuszące.

Po chwili odsunęła się. Jack miał wrażenie, że padł ofiarą kolejnego z jej forteli.

– Kim była dla ciebie Mciiii? – zapytała, po raz drugi odwracając jego uwagę.

– Przyjaciółką – odpowiedział Jack po chwili zastanowienia.

– Ona też musiała uciekać?

Jak zdołała domyślić się tak wiele? Nie wspominał jej, że jest zbiegiem. Zaskoczył go obrót, jaki przybierała ta rozmowa. Dlaczego w tym pięknym, nastrojowym miejscu Tarissa postanowiła mówić o przeszłości?

– Oboje baliśmy się tego, co może nam grozić, jeśli zostaniemy w Zaniku Harvell.

Nie chciał jej okłamywać, nie czuł się jednak gotowy powiedzieć prawdy.

– Czy miało to coś wspólnego z tym, co wydarzyło się kilka dni temu, kiedy wróciłeś do chaty i zemdlałeś przy palenisku? – Ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na kolanach. – Jack, wiem, że jesteś inny niż wszyscy. To stało się dla mnie oczywiste już tego dnia, gdy strąciłeś

półkę do ognia. Dlaczego nie chcesz mi nic o sobie powiedzieć? Czy prawda ukazałaby cię w aż tak złym świetle?

Jack nachylił się nad wodą. W jej tafli odbijały się dwie twarze. Minęła krótka chwila, nim zorientował się, która z nich należy do niego. W cieniściej lasku było ciemno i obie wyglądały tak samo. Nagle zdał sobie sprawę, że może wyznać Tarissie wszystko. Była mu bliższa niż ktokolwiek inny, dobra i wspaniałomyślna. Mógł jej powierzyć swe tajemnice.

– Pewnego ranka, wiele miesięcy temu, spaliłem pierwsze poranne bochny. Bardzo się wystraszyłem. Mistrz piekarski nieraz bił chłopaków za mniejsze przewinienia. Nagle poczułem ból głowy. Kiedy się ocknąłem, leżałem na podłodze, a bochny nie były wcale spalone. Brązowiały dopiero.

Jack podniósł wzrok, by sprawdzić, jak Tarissa przyjmuje jego opowieść. Uśmiechnęła się delikatnie, chcąc dodać mu odwagi.

– To były czary – ciągnął. – Musiałem opuścić zamek. Nie mogłem ryzykować, że mnie ukamienują.

To nie było wszystko i Tarissa o tym wiedziała. Zachowała milczenie, by mógł je wypełnić swymi słowami.

– Od miesięcy miałem wrażenie, że coś kieruje

moimi poczynaniami. Znajdowałem się w sytuacjach, na które nie miałem wpływu. Podejmowałem kroki, których nie wybierałem z własnej woli. Coś mną sterowało, a ja nie miałem pojęcia dlaczego. Nie wiedziałem też, dokąd zmierzam. Kiedy Rovas wspomniał, że istnieje możliwość, iż Halcusowie wyruszą na wojnę z Brenem, coś we mnie pękło. Chciałem wszystko rzucić i popędzić tam, gdzie dzieją się ważne rzeczy. Później, gdy poczułem się źle, Rovas powiedział coś o imperium krwi... – Jack zawahał się na chwilę. Te słowa nadal sprawiały mu ból. – Tarrisso, kiedy to usłyszałem, to było tak, jakby wbił mi nóż w duszę. Nogi się pode mną ugięły, świat wokół zawirował. Wydawało mi się, że tracę zmysły.

Dygotał. Wspomnienie było tak straszliwe, że ledwie potrafił je znieść.

– Miałem wrażenie, że to kara za to, że nie potrafię zrozumieć.

– Zrozumieć czego? – zapytała Tarissa. Jack uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem. Być może moim przeznaczeniem było odegrać w tej wojnie jakąś rolę.

– Było twoim przeznaczeniem?

Miała bystry umysł. Nie potrafił dotrzymać jej kroku. Trafiła w samo sedno sprawy.

– tak. Było. Tamtej nocy coś się wydarzyło. Nie wiem co. Wiem tylko, że czuję się teraz wolny. Zupełnie jakbym do tej pory żył z rękami skrępowanymi za plecami i nagle przecięto mi więzy.

– Chodzi o tę noc, kiedy do ciebie przyszedłam. Nie było to pytanie.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił – wyznał Jack. Ujął dłoń Tarissy i unióś jej palce do warg. – Uratowałaś mnie. To, co przecięło więzy, zostawiło mnie z otwartą raną, a ty powstrzymałaś krwawienie. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie uczyniłaś. Nigdy.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Dla ciebie zrobiłabym wszystko.

Słyszając te słowa. Jack pojął, co znaczą prawda i przyjaźń. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że faktycznie zrobiłaby dla niego wszystko. Tak jak i on dla niej. Zdał sobie sprawę, że kocha tę dziewczynę o kasztanowatych włosach. Przyciągnął ją do siebie i nie przestawał jej obejmować, aż wierzby rzuciły na staw cienie.

Kiedy wracali, miało się już ku zachodowi. Zrobiło się zimno, a wietrzyk wyraźnie postanowił przerodzić się w wietrzysko. W oddali widać było światła chaty. Obojgu nie spieszyło się do powrotu. Tarissa obejmowała go i co parę kroków zatrzymywali się, by

się pocałować.

– Co zamierzasz zrobić teraz, kiedy jesteś już wolny? – zapytała.

Jack od dwóch dni nieustannie zastanawiał się nad tą kwestią. Był pewien tylko jednego: bez względu na to, dokąd się uda, musi zabrać ze sobą Tarrisę. Przed przybyciem w to miejsce znał dwa rzemiosła: piekarza i skryby. Teraz opanował trzecie: wojownika. Któreś z nich z pewnością umożliwi mu utrzymanie ich obojga. Dokąd jednak miał wyruszyć? Nie mógł wrócić do królestw. Opuściło go też pragnienie odwiedzenia grodu, który widywał w snach. Bren nie wchodził w grę. Choć już od pewnego czasu przebywał w Halcusie, zawsze pozostanie on nieprzyjacielskim terytorium. Pomyślał więc o Annis i Highwall.

To drugie miasto było potężną twierdzą. Słynęło ze strzelistych murów i potęgą niemal dorównywało swemu największemu rywalowi, Brenowi. Produkowano w nim najlepszą broń na północy, a umiejętności tamtejszych inżynierów były legendarne. Gdyby miało dojść do wojny, Highwall z pewnością odegra w niej ważną rolę.

Annis natomiast znany był z piękna i kultu wiedzy, rzemieślników i artystów. Jack pamiętał rzeźbioną w kości bransoletę, która należała do jego matki. Była

pięknie wykonana, inkrustowana srebrem i kwarcem. Kiedy zapytał Lucy, gdzie ją zrobiono, odpowiedziała mu, że w Annisie. Może więc tam właśnie się wybierze. Nie dlatego, że liczył na to, iż dowie się czegoś o matce – nabyła bransoletę od kupców odwiedzających Zamek Harvell – lecz ze względu na fakt, że najwyraźniej ceniono tam uczciwych rzemieślników i dobrą robotę. A jeśli nie znajdzie zajęcia jako piekarz bądź skryba, prędzej czy później przyda mu się świeżo nabyta umiejętność władania mieczem. Annis mógł nie słynąć z wojowniczości, lecz jego mieszkańcy będą walczyć, jeśli poczują się zagrożeni.

– Myślę, że powinniśmy wyruszyć do Annisu.

– Powinniśmy?

Jack zawstydzził się lekko. Jego uśmiech na pewno zdradzał odczuwane przez niego zażenowanie.

– Miałem nadzieję...

– Nadzieję? – przerwała mu Tarissa. Stała na ścieżce, wspierając ręce na biodrach. – Następnym razem lepiej będzie, gdy najpierw zapytasz.

Jej głos brzmiał brutalnie, lecz zdradzały ją oczy. Jack podniósł ją w górę. Drapała go, kopła i krzyczała.

– Udasz się ze mną do Annisu? – zapytał,

trzymając ją mocno. – Czy mam cię zrzucić ze wzgórza?

Wierzgała nogami w powietrzu. Twarz jej poczerwieniała jak burak.

– Nie jesteśmy na wzgórzu – krzyknęła.

– To będę cię musiał na jakieś zanieść.

Przerzucił ją sobie przez ramię, jakby była workiem zboża, i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszli. Tarissa znowu krzyknęła. Kopała go kolanem w pierś i okładała pięściami po plecach.

Jack zaczął pogwizdywać. Zerwał się do biegu, o ile poruszanie się z podobnym obciążeniem można było nazwać biegiem.

Przyniosło to pożądany skutek. Dziewczyna przestała się wyrywać.

– No dobra, dobra – krzyknęła. – Pojadę z tobą do Annisu. Tylko mnie puść!

Jack nadal trzymał ją mocno.

– Obiecujesz?

– Tak!

Natychmiast znalazła się na ziemi i w mgnieniu oka pomknęła za nim w stronę chaty.

Jack nigdy w życiu nie czuł się równie szczęśliwy. Zamartwiał się dotąd, że Tarissa nie zechce mu towarzyszyć. Ostatecznie nie znała żadnego innego

życia. Rovas był kłamcą, wykorzystywał swą rodzinę i terroryzował ją, potrafił jednak zapewnić jej utrzymanie. Wyjeżdżając z Jackiem, podjęłaby ryzyko, porzuciła wygodną, bezpieczną egzystencję. Nie sposób było przewidzieć, co zrobi Rovas, kiedy się przekona, że obie kobiety zniknęły. Uważał je za swą własność i nie będzie zadowolony Jeśli opuszczą go bez pozwolenia.

Pocałował lekko Tarissę w policzek. Nie zawiedzie jej.

Nie cofnie się dla niej przed niczym. Jego umysł pracował szybciej niż nogi. Będzie harował dzień i noc. Z pewnością znajdzie gdzieś pracę jako piekarz. Wieczorami, przy świetle świec, będzie dorabiał jako skryba. Nie niepokoiła go już myśl, że ludzie dowiedzą się, iż nie jest taki, jak inni. Miał wrażenie, że czary są w jego życiu zamkniętą księgą. Jeśli nawet dojdzie jeszcze do jakichś incydentów, był przekonany, że potrafi nad tym zapanować. Dopóki będzie przy nim Tarissa, da sobie radę ze wszystkim.

Nie będzie jednak łatwo. Nie miał listów polecających, ani żadnych dowodów na to, że jest piekarzem. Będzie im brakowało pieniędzy i przez jakiś czas czeka ich życie w biedzie. Pozostawała też Magia. Musi pojechać z nimi. Tarissa nie zgodzi się jej

zostawić. Była jej matką. Jack rozumiał wartość rodziny. Wyruszą do Annisu we troje.

Wiedział, że bierze na siebie wielką odpowiedzialność, miał jednak wrażenie, że musi to zrobić, nie tylko dla Tarissy, lecz również dla siebie. Przedwczorajszej nocy coś się wydarzyło, zupełnie jakby stracił jakąś część swej jaźni. Już od miesięcy nie czuł się taki lekki i wolny. Jednakże wrażenie nieważkości, przecięcia więzów, uwolnienia od odpowiedzialności i przeznaczenia budziło w nim uczucie zbliżone do głodu. Potrzebował w życiu sensu. Nie chciał dryfować bez celu i zobowiązań, nie martwiąc się o nic poza jedzeniem i ubraniem. Jego plecy mogły podźwignąć większy ciężar.

Tarissa i Magra staną się tym brzemieniem. Będzie pracował bez wytchnienia, by dać im wszystko, czego potrzebują. Podejmie się tego zadania z radością.

Po jakiejś minucie ucieczki Jack postanowił dać się złapać. Tarissa wpadła na niego zdyszana, chichocząc i przeklinając.

– A więc zamierzasz mnie zmusić, żebym pojechała z tobą do Annisu?

– Nie chciałybyś przecież złamać obietnicy.

– Nie chciałabym cię stracić. – Uniosła głowę i pocałowała go delikatnie. – Kocham cię, Jack –

powiedziała. Ujęła go za dłoń i poprowadziła w stronę chaty.

18

Czekał na nich Rovas. Na podłodze leżała przewrócona ława, a Magra pracowicie wycierała coś, co wyglądało na resztki gulaszu. Natychmiast pobudziło to czujność Jacka.

– Gdzie byliście? – zapytał Rovas niebezpiecznie cichym głosem.

– Już ci mówiłam – wtrąciła Magra, podnosząc wzrok. Każde słowo wypowiadała z wielką dokładnością. – Wysłałam Jacka, żeby poszukał Tarissy. Niepokoiliam się o nią. Za długo już jej nie było.

Próbowała dostarczyć im wymówki. Sądząc po drzeniu jej dłoni i panującym w chacie bałaganie, przed chwilą padła ofiarą jednego z napadów złości Rovasa. Jacka również zaczęła ogarniać wściekłość. Magra i Tarissa były teraz jego rodziną i nie pozwoli, by ktokolwiek źle je traktował.

Podszedł do Rovasa i stanął naprzeciw niego. Choć przemytnik ustępował mu wzrostem, był od niego

dwukrotnie szerszy w barach. Dzieliła ich odległość zaledwie dwóch stóp. Oddech grubasa cuchnął *ale*.

– Już wróciliśmy – stwierdził Jack. W jego głosie zabrzmiała groźba. – Nie musisz się więcej niepokoić.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie. Oczy Rovasa przepełniała nienawiść. Jack nie chciał się zastanawiać nad jej motywami. Takie myśli lepiej było trzymać w ciemności. Zdawał sobie sprawę z narastającego w jego głowie napięcia. Czuł palenie w gardle. Trudno powiedzieć, czy spowodowały to czary, czy strach. Tak czy inaczej, starał się nad tym zapanować. Powstrzymał z wysiłkiem skurcz żołądka, obawiając się, że może z niego wytrysnąć coś znacznie groźniejszego niż kwas. Chciał sam policzyć się z Rovasem, używając jako broni siły mięśni, nie czarów.

Przemytnik się cofnął.

Tarissa i Magra westchnęły głośno z ulgą. Część jaźni Jacka pragnęła uczynić to samo, chłopak nie poruszył się jednak, ani na moment nie spuszczał wzroku z Rovasa. Nie ufał mu. Przemytnik nie był człowiekiem, który łatwo się poddawał.

– No cóż, Jack – rzucił grubas. – Widzę, że jesteś już gotowy pomścić śmierć swej ukochanej. Podobna agresywność przyda ci się w walce z kapitanem Vanlym.

– To on zamordował Melli?

Jack poczuł straszliwe napięcie. Udało mu się powstrzymać przyływ czarów, lecz za jaką cenę? Serce waliło mu jak szalone.. Czuł, że z nosa spływa mu strużka krwi.

– Zamordował i zgwałcił, a potem uciął jej głowę.

Rovas wykrzywił wargi w szyderczym uśmieszku. Tarissa wciągnęła głośno powietrze.

Te słowa były celnie wymierzoną prowokacją. Jack skoczył, natychmiast na przemytnika i złapał go za gardło. Rovas był na to przygotowany. Chłopakowi zakreśliło się w głowie od potężnego ciosu jaki zadał mu mężczyzna. Obaj przeciwnicy padli na podłogę. Wokół nich posypały się garnki i rondle. Jack uderzył szczęką o kant stołu i przemytnik znalazł się na nim. Tarissa krzyczała. Czary narastały. Rovas złapał w rękę nóż.

Wtem ktoś oblał ich zimną wodą. Jack podniósł wzrok. Magra stała nad nimi jak bogini, trzymając puste, drewniane wiadro. Pochyliła się i zaczęła okładać nim walczących. Jej piękną twarz wykrzywił grymas wściekłości. Jack zrozumiał teraz, po kim Tarissa odziedziczyła siłę fizyczną. Ciosy były gwałtowne i bolesne. Obaj z Rovasem poddali się im niczym niegrzeczni chłopcy. Po chwili jednak

przemytnik miał już dość.

– Zostaw mnie, kobieto – zażądał. – Jutro będę cały posiniaczony.

– Mam nadzieję – wrzasnęła Magra. – I tobie leż się należy! – dodała, zwracając się do Jacka.

Rovas uśmiechnął się ze smutkiem, wyciągając rękę.

– Daj spokój, chłopcze. Niepotrzebnie to powiedziałem. Nie wiem, co mnie ugryzło. – Jack poczuł działanie potężnego uroku przemytnika. – Nie gniewasz się, co?

Jack uściśnął mu dłoń, chcąc zachować pokój ze względu na Magrę i Tarrisę.

– Nie gniewam – skłamał. Napięcie w izbie opadło. Rovas pomógł chłopakowi wstać. Wydawało się, że czary – gdyż ich metalicznego posmaku nie sposób było pomylić z niczym innym – tym razem ulotniły się w sposób naturalny. Choć serce nadal biło mu szybko, nie odczuwał już takiego napięcia. Krwotok z nosa ustał.

Magra zamieniła wiadro na dzbanek *ale* i naląła obu mężczyznom po pełnym kuflu. Jack wypił swój jednym haustem.

– To kiedy mam się policzyć z Vanlym? Rovas otarł z piany górną wargę.

– Pojutrze. Przed chwilą dotarła do mnie wiadomość, że Kylock najechał na zachodni Halcus. Nie minie wiele czasu, nim kapitana wezwą na front.

Kufel wypadł Jackowi z rąk. Kylock najechał na Halcus. Nie usłyszał już odgłosu spadającego na podłogę naczynia. Na dźwięk imienia Kylocka coś szarpnęło nagle jego myśli, naprowadzając je na temat Brenu, wojny, a potem – nieoczekiwanie – złotowłosego mężczyzny. Wyglądało na to, że nie się jednak nie zerwała.

Baralis ogrzewał nad ogniem tygiel z olejem. Gdy płyn osiągnął już pożądaną temperaturę, dodał do niego matowego, szarego proszku. Dłonie drżały mu ze zmęczenia. Ból w stawach był nie do zniesienia, a ten, który przeszywał klatkę piersiową, stanowił torturę.

Crope położył ciało na łożu. Pechową dziewczynę zwabiła obietnica złota. Baralis nie pytał, skąd się wzięła. Nie ulegało wątpliwości, że jest dziwką, i to – sądząc po nieumiejętnie ufarbowanych na żółto włosach – tanią. Nikt nie przejmie się jej zniknięciem.

Znajdowali się w małej karczmie w dzielnicy nierządu. Lokal był obskurny i zapchlony. Sitowie rozrzucone na podłodze cuchnęło pleśnią, a plamy na pościeli wiele mówiły o miejscu w którym się znaleźli. Tu zapewne nie zadawano żadnych pytań, jeśli tylko

oberżysta pokosztował złota. Baralis ledwie zniósł podróż do tego przybytku. Croke musiał wynieść go z pałacu i wsadzić do oczekującej lektyki. Ze skóry na jego piersi cały czas sączył się zwilżający bandaż płyn. Każdemu krokowi niosących lektykę ludzi towarzyszył ból. Wszystko to było jednak konieczne. Choć diuk był nieobecny, Baralis nie mógł ryzykować, że ktoś w pałacu odkryje jego poczynania. Zbyt wielu wrogów niecierpliwie oczekiwało na jego upadek.

– Nie wystarczy zakryć jej twarzy szmatą – wyjaśnił Croke’owi. – Trzeba zawiązać materiał z tyłu, żeby nic nie widziała. – Dziewczyna była nieprzytomna, kiedy jednak się ocknie, co z pewnością nastąpi, lepiej, żeby nie zobaczyła, co się z nią dzieje. – Zwiąż jej też ręce.

Baralis nieraz już widział, jak działa na ludzi strach, i zdawał sobie sprawę, że skrajne przerażenie może niekiedy obudzić w nich wielką siłę. Nie zamierzał podejmować ryzyka. Dziewczyna musiała umrzeć, by on mógł odzyskać zdrowie. Potrzebował nowej skóry na swą pierś. Proszek rozpuścił się w oleju. Po jego powierzchni pływały lekkie szumowiny. Baralis zgarnął je łyżką. Pozwolił, by do tygła wpadła kropla wody, która rozprysnęła się z sykiem. Świetnie. Olej był już gotowy. Baralis chwycił naczynie za

długą, zwązającą się rączkę i zaniósł je do łoża. Odciągnął szmatę z czoła dziewczyny i wylał jej gorący płyn na włosy.

Jej ciałem targnęły konwulsje. W gardle zabrzmiał cichy, bulgoczący jęk. Próbowwała krzyknąć, lecz przeszkodził jej zatykający usta knebel. Miotła się jak szalona na łożu. Otworzyła oczy pod szmatą. Pod cienkim płótnem uwidaczniały się mrugające w przerażeniu powieki. Gdy wrzący olej wżerał się w ciało, powietrze wypełnił odór palonego tłuszczu i tkanki.

Baralis przyglądał się temu spokojnie. Po kilku chwilach zaczął działać proszek, którego dodał do oleju. Dziewczyna uspokoiła się. Królewski kanclerz przesunął pokrytym bliznami palcem po brzegu, tygła, unosząc ostatnią kroplę płynu do ust. Pozwolił, by spłynął mu pod język. Był już chłodny, zachował jednak gorzki smak. Działał szybko, bardzo szybko. Obraz izby zamazał się nagle, po czym odzyskał ostrość. Stał się bardziej wyrazisty, groźniejszy. Baralis poznał dziewczynę. Otworzyło się przed nim jej małe, nędzne życie. Była taka, jak tysiące innych dziwek: chciwa, próżna i żalonna.

Zaczerpnięcie mocy, którego zamierzał dokonać, było w połowie czarami, a w połowie alchemią. Była

to szczególnie potężna mieszanka. Po dziś dzień używano jej wśród koczowników wędrujących j po Wielkich Równinach. Na owych odwiecznych stepach, gdzie przetrwanie zależało od kaprysu natury i szybkości włóczy, myśliwi byli pierwszymi po Bogu. Pasterze zajmowali się trzodami, myśliwi zaś jeździli na szybkich, pięknych koniach, zabijając wszystkich – ludzi i zwierzęta – którzy stanowili groźbę. Jeśli myśliwy został ranny, pasterz oddawał za niego życie. Tworzony przez tę ofiarę czar ratował rannego. Było to surowe prawo, lecz Baralis, który spędził wśród koczowników cały rok, nauczył się je szanować. Liczyło się wyłącznie przetrwanie plemienia.

Unikającym kontaktu z otaczającym ich cywilizowanym światem koczownikom udało się ocalić i rozwinąć swą magię. Ich starsi nosili w głowach wiedzę wielu pokoleń. Niczego nie zapisywano. Znajomość metod i ingrediencji wszelkich eliksirów przekazywano z ojca na syna. Ich czary były przesycone ziemią i krwią. Prymitywne i potężne, opierały się na ciele i kościach ofiar. Nawet lakus, ten najbardziej cuchnący ze wszystkich eliksirów, który potrafił wyleczyć setkę różnych chorób, był produktem rytualnego zabójstwa. Do jego wyprodukowania potrzeba było dwudziestu kóz oraz jednego

noworodka. Z wyciskanych kozich żołądków uzyskiwało się bladoszrebrny płyn, lecz to ofiara z dziecka dawała lakusowi życie. Bez niej byłby słaby jak mleko.

Koczownicy pilnie strzegli swych tajemnic. Tylko nieliczni znali prawdziwą naturę ich magii. Gdy przybył na Wielkie Równiny, prosto z Dalekiego Południa, czary pasterzy wydawały mu się prymitywne i nieudolne w porównaniu z subtelną, uderzającą do głowy magią Hanatty. Teraz wiedział lepiej. Były bliższe źródła: krwi i ciała, ziemi i natury. Niemal nie liczyły się z umysłem i intelektem. Składano ofiary, a nie obmyślano sposoby ich ratunku.

Przygotował nóż. Wszystko wymagało równowagi. Narzędzie musiało być tak samo ciepłe i słone jak skóra, którą miało przeciąć. Croke stał za jego plecami jak niespokojna niańka. Gdyby jego pan się przewrócił, będzie mógł go złapać.

Pasterze uratowali mu życie. Opuścił Hanattę okryty niesławą. Jego nauczyciel uważał swą bratanicę za jeszcze zbyt młodą na amory. Miała trzynaście lat. Łono ledwie zdążyło jej porosnąć włosami, a biodra się zaokrąglić. Mimo to była już gotowa. Jej rzucane ukradkiem spojrzenia były raczej uwodzicielskie niż skromne. Jego nauczyciel przyłapał ich razem. Uda

dziewczyny pokrywała krew, podobnie jak usta Baralisa. Następnego dnia uczeń musiał wyjechać na północ.

Podróże zawsze były dla niego niebezpieczne. Ta nie stanowiła wyjątku. Przystał do grupy wędrownych muzyków, którzy wybierali się na dwór Zamku Harvell, by wystąpić na uroczystości zaręczyn Arinaldy z Leskethem. Wtedy właśnie, słuchając rozmów minstreli.

dowiedział się, że tamtejszy monarcha jest słaby i interesuje się bardziej łowami niż polityką. Zaczął snuć plany. Wszystko wskazywało na to, że królestwom brakuje silnego przywództwa i przed ambitnymi ludźmi otwierają się tam wielkie szanse.

Nim jednak trafił do tego kraju, minęły jeszcze cztery lata. Trzysta mil na północ od Silburu ich grupę zaatakowali bandyci. Mieli trzykrotną przewagę liczebną. Baralis popełnił ten błąd, że spróbował obronnego zaczerpnięcia mocy. Napastnicy byli przesadnie głupcami. Uznali, że jest diabłem, a minstrele to jego słudzy. Zabili wszystkich oprócz niego. Diabła nie można było uśmiercić mieczem.

Pobili go, związali i zawlekli do swego obozu. Drwili z niego i obrzucali go szyderstwami, a kiedy się znudzili, przeszli do tortur. Wpychali mu ręce między

gorące węgle, nie raz, lecz wiele razy. Wreszcie poczuli się tym zmęczeni i zanieśli go na skalistą równinę, by tam umarł.

Miał szczęście, jak prawdziwy diabeł. Słońce i pragnienie wpędziły go w delirium. Był za słaby, by wykonać choćby najprostsze zaczerpnięcie mocy, tak bliski śmierci, że czuł jej zapach. Cuchnął jak padlina. Nawiedzały go wizje. Znalazł się na granicy szaleństwa. Gwiazdy jednak ukazały mu przelotnie czekającą go potęgę i chwałę. Na krawędzi unicestwienia można się było wiele nauczyć. Zobaczył wszystko. Otworzył się przed nim los, który kusił go obrazem gotowej do zdobycia północy, grożąc mu jednocześnie śmiercią i zapomnieniem.

Kiedy znaleźli go koczownicy, zawarł już pakt z diabłem. A może z losem, który zwracał przeciw sobie ludzi lub państwa, żeby się przekonać, kto zwycięży. Gdy leżał konający na równinach, przerodził się w siłę natury. Dwaj mężczyźni, którzy go w końcu znaleźli, nie mieli innego wyboru, jak pokłonić się jego losowi. Zaprowadzili go do serca plemiennego terytorium. Starsi zaopiekowali się nim, jakby był myśliwym. Pod wieloma względami faktycznie nim był. Płonął w nim nowo odkryty cci. Zwali go „wybrańcem” i oferowali mu wszystko, co mieli, jakby obdarowywali boga.

Przebywał z nimi dokładnie rok. Pasterzy nie obchodziło dobro i zło. Szanowali siłę, płodność i los. Spędzony tam czas wzmocnił jego ciało i ducha, a umysł wypełnił starożytną wiedzą. Kiedy opuścił równiny, miał już misję i środki niezbędne do jej wypełnienia.

Wrócił do terażniejszości, skupił się na dziewczynie. Znieruchomiała już i zamknęła oczy. Płótno było mokre od łez. Rozpuszczony w oleju proszek stworzył między nimi więź, lecz nóż był przeznaczony wyłącznie dla niej.

Och, ból był nieznośny. Pierś, mięśnie, ukryte pod spodem delikatne tkanki, wszystko to zostało uszkodzone, po to tylko, by uratować życie głupiej dziewczynie. Catherine z Brenu niebawem się przekona, że ma do spłacenia niemały dług.

Ujął nóż w spokojne mimo bólu dłonie i przeciął suknię ofiary. W słabym świetle pokazały się jej piersi i brzuch. Nie była taka młoda, jakby tego chciał, lecz jej skóra nadal była gładka.

– Odwróć ją – rozkazał. Na plecach znajdzie lepszy kawałek. Crope podszedł do dziewczyny i wykonał jego polecenie. – Świetnie. Teraz przynieś mi drugie naczynie.

Zatrzymał spojrzenie na plecach dziewczyny. Tego

właśnie potrzebował.

Crope chodził wokół stołu, aż wreszcie znalazł świeżo utarte w móżdżierzu liście.

– To, panie?

Baralis skinął głową.

– Potrzyмай je.

Pochylił się nad swą ofiarą i naciął skórę u podstawy jej szyi. Trysnęła jaskrawoczerwona krew, która spłynęła wzdłuż pokrytego solą ostrza do naczynia, gdzie zmieszała się z sokiem z liści. Baralis mocno przygryzł czubek języka. Usta wypełnił mu smak oleju. Jego krew skapnęła do mieszanki i eliksir był gotowy. Zamieszał go raz palcami, po czym przyciągnął do naczynka swą moc.

Był tak osłabiony, że zachwiał się na nogach. W cieniu czekał Crope, gotowy w razie potrzeby pochwycić go w ramiona. Iskra czarów ogarnęła eliksir, który stał się czymś więcej niż sumą jego składników. Baralis pochylił się nad prostytutką i wysmarował płynem jej plecy. Natychmiast poczuł na piersi palący ból. Udreka sięgnęła szczytów. Leżąca zaczęła się poruszać. Nóż zbliżył się do jej skóry. Baralis tylko go trzymał.

Przebiegł nim po jej plecach – w poprzek szyi, wzdłuż ramion i nad pośladkami. Dziewczyna wygięła

kregosłup, by wyjść mu na spotkanie. Baralis zaczynał się zatracać. Czuł wyraźnie każde cięcie. Serce mu waliło. Dłonie miał zbroczone krwią. Zachwiał się, czując moc ciemności. Przeszył go przerażający impuls bólu. Polem ofiara, piękna w swej bezsilności, należała już do niego.

Osunął się do tyłu. Teraźniejszość i przeszłość straciły znaczenie. W piersi gorzało mu piekło. Jego ciało trawiły płomienie.

Usłyszał dobiegający skądś głos.

– Ale ładny naszyjnik. Ma sowy. Mogę go sobie wziąć, panie? Baralis nie wiedział, czy skinął, czy potrząsnął głową.

Maybor był przyjemnie pijany. Życie było dobre, lecz *ale* było lepsze. Kufel w dłoni, dwie dziewczyny w łożu: któż mógłby pragnąć więcej? Jedna z młodych kobiet leżała z zamkniętymi oczyma, wyczerpana siłą jego namiętności. Druga – dziewczka zuchwała jak mało która – przyglądała mu się w nadziei na kolejną rundę igraszek.

Maybor nie czuł się jeszcze na siłach.

W gruncie rzeczy, gdy już nasycił się jak właściciel burdelu, jego pragnienia skurczyły się, podobnie jak członek. Umysł pozostał jednak aktywny, nawet jeśli wędzisko odmówiło posłuszeństwa.

Wstał z łoża, skromnie zakrywając organy wielką poduszką. Suka, którą dostał od diuka, nazywała się Rekindra, lecz Maybor zwał ją po prostu Rekin.

– Rekin – krzyknął, zbliżając się do stojącego przy łożu kufra. – Masz, chłopcze.

Wielmoża postanowił ignorować fakt, że Rekin jest w rzeczywistości dziewczynką.

– Jedno ci powiem – odezwała się piskliwym głosem leżąca na łożu dziewczka. – Nie namówisz, mnie na zboczone numery. Za żadną sumę.

Maybor zignorował kobietę, uśmiechając się radośnie do psa.

– Dobry chłopiec. Dobry. – Z początku obawiał się nieco groźnie wyglądającego zwierzęcia, teraz jednak, gdy widział, jak podchodzi do niego, merdając ogonem, a oczy lśnią mu inteligencją, poczuł, że je polubił. Suka polizała go po twarzy. – Kto jest wielkim skurwysynem, co? – zapytał ją z sympatią w głosie. Sięgnął do kufra. – Mam coś dla mojego dużego chłopca. Coś, na czym może zacisnąć ząbeczki. – Wyciągnął lnianą koszulę Baralisa i podsunął ją suce pod nos. – Zabij, chłopcze. Zabij.

Rekin warknęła jak brytan z piekła rodem i rozdarła przyodziewek na strzępy. Z pyska kapąła jej piana, a pierś dygotała z zawziętości. Gdy już zniszczyła ubiór,

nie przestawała szarpać jego resztek, jakby stanowiły zagrożenie dla jej życia. Maybor uśmiechnął się z zadowoleniem. Imię Rekin było bardzo odpowiednie.

Po kilku chwilach jego uwaga ponownie zwróciła się ku spoczywającej na łożu dziewczce. Czyżby wspominała coś o zboczonych numerach?

Melli zadarła suknię i zaczęła wcierać sobie w uda wonne olejki. Damy w Zamku Harvell wielokrotnie jej powtarzały, że podobne przygotowania mają wielkie znaczenie przy uprawianiu miłości. Jak twierdziły, mężczyźni najbardziej lubią, by dłonie i nos wiodły ich prosto do miodnego kwiatu. Melli nie znosiła takiego głupiego gadania. Miodne kwiaty, też coś! Damy z Zamku Harvell powinny nazywać rzeczy po imieniu!

Odetchnęła z ulgą, gdy olejek zaczął działać na jej ciało, chłodząc je, uśmierzając i kojąc ból. Mogła nie mieć w głowie myśli o uprawianiu miłości, z pewnością jednak miała na udach odparzenia. Sześć godzin w siodle! To dość, by nawet najbardziej zahartowany jeździec cały tydzień chodził na krzywych nogach.

Och, krajobraz był zachwycający: fioletowe góry z potężnymi śnieżnymi czapami, a poniżej bujne, zielone łąki, na które dotarła już wiosna. Nie wystarczyło to jednak, by złagodzić cierpienia towarzyszące podróży.

Zupełnie wyszła z wprawy. Jazda konna była niegdyś jej drugą naturą, lecz uważano, że gdy dziewczynie zaczęła już płynąć krew, nie wypada, by jeździła okrakiem w towarzystwie mężczyzn. Kolejny głupi, dworski zwyczaj! Bardzo się cieszyła z tego, że nie obowiązywał on podczas drogi do myśliwskiego domku. W gruncie rzeczy, diuk osobiście pomógł jej dosiąść konia, podsadzając ją na prawdziwe, męskie siodło.

Niestety, przez cały dzień Jego Miłość wykazał się galanterią tylko ten jeden raz. Ignorował ją całe sześć godzin. Jechała z tyłu, razem ze służbą i zapasami. Nikt się do niej nie odzywał. Gapili się tylko na nią i szeptali między sobą. Grupa była spora. Liczyła prawie dwadzieścia osób: diuk i czterech szlachciców, kilku stajennych, dwóch psiarczyków, garstka służących i kucharzy oraz przyboczna.

która – jak sądziła Mciii – miała usługiwać jej. Uzbrojonych strażników trudno chyba było uznać za członków grupy.

Bailor im nie towarzyszył. Melli miała nadzieję, że będzie inaczej, gdyż w całym Brenie tylko on był dla niej kimś w rodzaju przyjaciela. Dotarli do domku późnym popołudniem. Diuk natychmiast przesiadł się na drugiego konia i popędził na łowy. Cały dzień nie

miała z kim rozmawiać.

Do izby weszła przyboczna. Była ona jedyną, poza Melli, kobietą w grupie. Najwyraźniej na podobne wyprawy z reguły wybierali się wyłącznie mężczyźni.

Dziewczyna dygnęła z niechęcią.

– Mam ci służyć pomocą, pani.

Słowu..pani” nadała wyraźnie szydercze brzmienie.

– Mogłaś się zjawić wcześniej – warknęła poirytowana jej zachowaniem Melli. – Siedzę tu sama już od kilku godzin.

– Nie myślałam, że będziesz czegoś potrzebowała. – Dziewczyna wzięła w rękę słoik z wonnym olejkiem i powąchała jego zawartość. – Diuk powiedział, że masz zjeść z nim kolację w jego prywatnych pokojach, sądzę więc, że trzeba się będzie tobą zająć.

Z jakiegoś powodu Mciii poczuła się bliska łez. Nikt, nawet pani Greal, nie traktował jej z taką pogardą, jak ta dziewczka służebna. Najgorszy był fakt, że nie miała nic na swoją obronę. Była niewiele więcej niż niewolnicą i znacznie mniej niż prostytutką. Jedynym wyjściem był dla niej gniew.

– Odejdź. Nie chcę od ciebie niczego. Gdybyś przypadkiem spotkała Jego Miłość, zechciej go poinformować, że odprawiłam cię za bezczelność.

To okazało się skuteczne. Dziewczyna natychmiast

rozpoznała ton szlachcianki i odpowiednio zareagowała. Dygnęła nawet po raz drugi.

– Przepraszam, panienko. Nie chciałam cię obrazić. Ależ chciałaś, pomyślała Melli.

– Niech będzie. Tym razem ci daruję. Przynieś mi proszę trochę czerwonego wina i chleba z serem. Od rana nic nie jadłam i nie mam zamiaru czekać na wezwanie diuka, siedząc tu o pustym brzuchu. – Odkąd przybyła do domku myśliwskiego, tkwiła zamknięta w izbie, nikt nie poświęcał jej uwagi i nie miała nic do jedzenia. Nici z łowów i ucztowania! – A kiedy wrócisz, możesz mi pomóc się przebrać. Nie zależy mi na tym, żeby spodobać się Jego Miłości, lecz jeszcze mniej cieszy mnie perspektywa siedzenia tu w sukni cuchnącej końskim potem. Leć już, tylko szybko.

Powrót do dworskich obyczajów okazał się bardzo łatwy. Służbę trzeba było traktować ostro, jeśli chciało się zdobyć jej szacunek.

– Tak, panienko.

Dziewczyna dygnęła pospiesznie i czmychnęła, gotowa spełnić jej polecenie.

Po godzinie Mciiii pogryzała już resztki sera, a służąca sznurowała jej suknię.

– Och, panienko – krzyknęła. – Jeśli zjesz kolejny kawałek, szwy z pewnością puszczą.

– W takim razie nie zawiązuj sznurówek zbyt mocno, Nesso, gdyż kiedy spotkam się z diukiem, z pewnością zamierzam jeszcze trochę pojeść.

– Tak, Nesso – usłyszała rozbawiony głos. – Nakarmię tę piękną panią tym, co dziś upolowałem. Zwierzę było wielkie i potrzebny będzie pojemny brzuch.

To był diuk. Obie kobiety spojrzały na niego zaskoczone. Nessa przypadła natychmiast do podłogi w głębokim dygnięciu. Melli ledwie pochyliła głowę.

– Doprawdy, panie! Czy wszyscy mężczyźni w Brenie są tak źle wychowani jak ty? Jeśli tak, żal mi waszych kobiet. – Zwróciła się w stronę Nessay. – Wstawaj z podłogi, dziewczyno, i dokończ sznurować moją suknię. Jego Miłość może poczekać. Zresztą z pewnością przyszedł tu sobie popatrzeć.

Nessa podniosła się z oporami i skończyła pracę nad suknią. Melli czuła, że dłonie służki drżą.

Diuk bynajmniej nie sprawiał wrażenia obrażonego jej słowami. Rozdrażniło to Melli jeszcze bardziej, gdyż do tego właśnie chciała doprowadzić. Spacerował po izbie, zachowując się jak właściciel. Zatrzymał się, by dorzucić opału do ognia, a potem nalał sobie kielich wina. Kącikiem oka Melli zauważyła, że choć unosił naczynie do ust, poziom płynu nie opadał.

– Jakieś pół godziny temu odbyłem z Nessa interesującą konwersację – zauważył. – Wyznała mi, że ze swymi rozkazami i wymówkami zachowujesz się jak wielka dama.

Nessa obrzuciła ją spojrzeniem mówiącym: „Wybacz mi”. Melli jednak nie miała zamiaru nikomu wybaczać. Najpierw zwróciła się w stronę diuka.

– Następnym razem lepiej przyślij mi do pomocy przy ubieraniu skrybę zamiast przybocznej. Może nie poprawi mojego wyglądu, ale przynajmniej potrafi słowo w słowo zapisać to, co powiedziałam.

Potem przyszła kolej na Nessę.

– Co do ciebie, dziewczyno, na twoim miejscu uważałabym na język. Jeśli coś jest takie długie, łatwo może wypaść.

Melli była wściekła.

Twarz diuka nie wyrażała żadnych emocji.

– Zostaw nas – rozkazał Nessie. Służąca niemal wybiegła z pokoju. Gdy już zniknęła, wyciągnął rękę do Melli.

– Chodź, zaprowadzę cię do moich pokojów. Mięso już stygnie.

– A jeśli nie zechcę?

– Będę cię musiał tam zanieść.

Nie wątpiła, że potrafiłby to zrobić. Był silnym

mężczyzną. Ramiona miał umięśnione jak żołnierz, nie jak diuk. Chciała już rzucić jakąś jadowitą uwagę, powstrzymała się jednak. Jak mogła być tak nierozsądna! Zachowywała się jak wielka dama, nie zastanawiając się nad możliwymi skutkami. Miała podobno być nieślubną córką podupadłego wielmoży, a strofowała nie tylko służbę, lecz również samego diuka. Zaczął już coś podejrzewać. Człowiek o jego pozycji nigdy nie zniżał się do wypytywania służby, jeśli nie miał ważnych powodów. Przekląła własną głupotę! Zasugerował już, że jest wysoko urodzoną damą, a ona zamiast zaprzeczyć, swymi słowami i zachowaniem praktycznie przyznała się do winy.

To wszystko przez jej ojca. Krew Maybora była aż gęsta od arogancji. Nic dziwnego, że przekazał tę cechę córce.

Zdecydowana nie popełniać więcej błędów, Melli ujęła dłoń diuka. Zaskoczyła go jej potulność – zdradziło to lekkie uniesienie brwi – wyszedł jednak z izby bez słowa.

Określenie „domek myśliwski” było stanowczo zbyt skromne. Budowla była olbrzymia. Wzniesiono ją z sosnowego i cedrowego drewna i wydawało się, że jest tu cieplej niż w pałacu. Przeszli wysokim korytarzem ozdobionym ściennymi malowidłami

przedstawiającymi sceny z polowania, pokonali krótkie schody, a potem następny, długi korytarz, zakończony pięknie rzeźbionymi drzwiami. Diuk otworzył je i zaprosił dziewczynę do swych pokoiów.

Nie bawił się w ceremonie. Usiadł przy jednym końcu masywnego dębowego stołu, skinieniem nakazując Melli spocząć przy drugim. Miał rację twierdząc, że mięso stygnie. Na talerzu leżał wielki, parujący udziec jakiegoś zwierzęcia. Usługiwał im jeden służący. Chcąc się uspokoić, Melli pociągnęła zdrowy łyk wina. Okazało się to błędem, gdyż trunek był wzmocniony, mocniejszy od tych, do których była przyzwyczajona. Diuk to zauważył.

– Przynieś pani trochę wody – rozkazał.

Melli nie wiedziała, dlaczego poczuła się poirytowana, tak jednak było.

– Powiedz swojemu człowiekowi, żeby nie marnował czasu. Nie zwykłam rozcieńczać wina.

Wiedziała, że popełnia błąd – dopiero przed chwilą obiecywała sobie, że będzie potulna – lecz aroganckie zachowanie diuka obudziło w niej diabła.

– Jak sobie życzysz – zgodził się, odprawiając sługę skinieniem dłoni. Mężczyzna wyszedł z pokoju. Diuk zwrócił się w stronę Melli.

– Spróbuj mięsa.

Był to właściwie rozkaz.

Dziewczyna odkroiła spory kawał pieczeni. Była pyszna: soczysta, krwista, pokryta warstewką tłuszczu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła coś równie smacznego.

– Dobrze? – zapytał diuk. Rozsiadł się wygodnie, patrząc na nią, jakby była ćmą uwięzioną w słoju. W dłoni trzymał puchar pełen wina. Sługa ani razu nie dolewał mu trunku.

– Trochę za twarde. Mówiłeś, że co to za zwierzę?

– Nic nie mówiłem. To był młody, bystronogi jelonek.

– Smakuje raczej jak stary, ocieżyłały rogacz.

Diuk odrzucił głowę do tyłu i ryknął głośnym śmiechem. Uderzył pełnym pucharem o blat.

– Na Borca! Ależ z ciebie niezdolna dziewczka! – Nie sprawiał jednak wrażenia poirytowanego. W gruncie rzeczy, wydawał się raczej zadowolony. – Powiedz mi, czy ten ostry jęczyczek odziedziczyłaś po ojcu, czy po matce?

W głowie Mciiii rozległ się cichy sygnał ostrzegawczy. Niewinne pytanie, czy też próba przyłapania na kłamstwie? Dlaczego nie mogła trzymać języka za zębami?

– Chyba po ojcu.

– Hmm, to był lord Luff, prawda? Mciii niepokoiła się coraz, bardziej.

– Tak.

– To dziwne. Spotkałem go kiedyś i nie wydał mi się szczególnie bystry.

Mógł to być blef, lepiej jednak było tego nie sprawdzać.

– Ach, cóż, moja matka też nie była potulnym dziewczęciem. Mogłam to odziedziczyć po niej.

Mina diuka wyraźnie się zmieniła. Spojrzał chłodno na Melli.

– Kłamiesz – stwierdził.

Bez względu na wszelkie wysiłki, Melli nie potrafiła powstrzymać rumieńca. Jedyne, co mogła zrobić, to wstać i zwrócić poczerwieniałą twarz w stronę kominka. Po krótkiej chwili poczuła na ramionach dłoń diuka.

– Spójrz na mnie – rozkazał. Ścisnął ją tak mocno, że Melli musiała go posłuchać. Jej wina natychmiast odbiła się w jego matowoszarych oczach. Uniósł rękę. Przez krótką chwilę sądziła, że ją uderzy, lecz ujął ją tylko za brodę. Pachniał zwierzyną, na którą polował.

– Powiedz mi, kim jest twój ojciec – nakazał, wpijając palce w jej policzek. Jego głos był cichy. Pobrzmiewała w nim groźba. Nie zostawiał miejsca na

falsz ani wykręty.

Melli wpadła w panikę. Szukała jakiegoś przekonującego kłamstwa, wiedząc, że zostało jej tylko kilka sekund. Było już za późno, by się wycofać.

Podenerwowany wahaniem dziewczyny diuk jeszcze bardziej zagłębił palce w jej policzki.

– Mów – syknął.

Ktoś zapukał do drzwi. Diuk ani na moment nie oderwał spojrzenia od Melli.

– Nie przeszkadzajcie mi – zawołał.

– Wasza Miłość – rozległ się stłumiony głos. – To ważne wieści. Przybył posłaniec z dworu.

Diuk zaklął, odpychając dziewczynę w stronę kominka.

– Wejdz – krzyknął ochrypłym, niecierpliwym głosem. Choć Melliomal się nie przewróciła, odetchnęła z ulgą. Uderzyła łydką o rozgrzaną do czerwoności kratę paleniska. Zacisnęła usta, by nie krzyknąć głośno. Nienawidziła go!

Do środka weszło dwóch mężczyzn. Jednego z nich poznała. Przyjechał tu z resztą grupy. Drugi wciąż miał na sobie płaszcz oraz skórzany strój. Żaden z nich nawet na nią nie spojrział.

– Wasza Miłość, Kylock najechał na Halcus.

– Kiedy to się stało?

– Przed tygodniem – odparł mężczyzna w płaszczu.
– Gołębie dotarły do Brenu dopiero dziś.

– Ilu ma ludzi?

– Dwa bataliony. Za nimi zmierzają następni. Diuk zacisnął pięści.

– To nie jest obrona granic. Chce zdobyć coś więcej niż samego Nestora. Czy są już jakieś wieści z pola działań?

– Jeszcze nie. Wasza Miłość. Ale Kylock ma po swej stronie przewagę zaskoczenia. Halcusowie spodziewali się, że zaczeka, aż wiosna zacznie się na dobre.

Z gardła diuka wyrwał się cichy, drażniący śmiech.

– W takim razie są głupcami. – Zaczął spacerować po pokoju. Kiedy się odezwał, mówił raczej do siebie niż do dwóch przybyszów. – Szybko przystąpił do akcji. Jego ojciec umarł zaledwie przed miesiącem. Miał za mało czasu, żeby wyszkolić armię, lecz na jego korzyść działa fakt, że Halcusom rozpaczliwie brakuje ludzi. Kto w Brenie już o tym wie? – zapytał posłańca.

– Nikt poza ptasznikami, lordem Cravinem i mną, Wasza Miłość. Diuk zwrócił się w stronę pierwszego z mężczyzn.

– Chcę, żebyś jeszcze dziś w nocy wrócił do Brenu.

Nikt nie może dowiedzieć się o tym przed moim powrotem.

– Tak jest, Wasza Miłość – odparł. Pokłonił się i wyszedł.

– Zrób mi przysługę i odprowadź tę damę do jej pokoju – polecił diuk posłańcowi. – Twoje wieści dały mi wiele do myślenia.

Mężczyzna pokłonił się i podszedł do Melli. Twarz miał zmęczoną, lecz przyjazną. Posłużył jej ramieniem. Kiedy wychodziła, diuk nawet na nią nie spojrział.

Tavalisk przerzuczał poranną korespondencję. List od Tego Który Jest Najświętszy ledwie był wart pergaminu, na którym go napisano. Jego Świątobliwość, niech Borec przeklnie jego tchórzliwą duszę, zaczynał się niepokoić wydarzeniami rozgrywającymi się na północy. Usłyszał o złożonych z oddziałów czterech miast siłach, które miały ochraniać południowe towary, i obawiał się, że ich powołanie może zostać uznane za – Jak to ujął? – Arcybiskup przerzucił stronicę: – „Nieprzyjazny akt, który z pewnością pobudzi tylko i tak już niebezpiecznie rozpalone nastroje”.

Tavalisk odrzucił list. Lepiej byłoby, gdyby Jego Świątobliwość, zamiast wtrącać się w sprawy światowe, trzymał się tego, na czym znał się najlepiej: modlitwy i poezji. Już wiele lat temu powinien był zdobyć się na odwagę i ekskomunikować rycerzy z Valdis. To hańba, że pozwalano im czcić tego samego Boga i tego samego zbawiciela. Niech sobie wymyślą

własnego Boga, pomyślał. Chociaż zbawiciela mogli sobie zatrzymać. Legenda Borca blakła z dnia na dzień.

Gdyby to on był na miejscu Jego Świątobliwości, kazałby na całym kontynencie prześladować rycerzy jako heretyków. Wszystkie ich ziemie zostałyby anektowane, prowadzone przez nich interesy skonfiskowane, a przywódca spalony na stosie. Tyren był tak nędznym, małym osobnikiem, że płomienie pochłonęłyby go natychmiast, jak tłustego cielaka.

Tavalisk zasiadł wygodnie w fotelu i zabrał się za resztki śniadania. Och, gdyby dało się wrócić do tych wspaniałych dni, w których Ten Który Jest Najświętszy sprawował prawdziwą władzę, armie wyruszały do boju na jego rozkaz, a władcy liczyli się z każdym jego słowem. Przez ostatnie czterysta lat kościół chylił się ku upadkowi niczym zgrzybiały staruszek. Jego Świątobliwość był ostatnim z długiej linii bezwolnych, przesadzających z filozofią, nie mających własnego zdania głupców! Jedynym powodem, dla którego on, Tavalisk, zdobył władzę, był fakt, że miał odwagę po nią sięgnąć. Przed jego epoką stołek arcybiskupi w Rornie był jedynie bogato wyścielanym podnóżkiem. On uczynił z niego iron.

Jeśli wierzyć *Księdze słów* Maroda, nawet tym

żałosnym resztkom zagrażało niebezpieczeństwo. Nie było raczej wątpliwości, że słowa „Świątynie upadną” zapowiadają kres istnienia kościoła. Znając tę zmiję Baralisa, nastąpi to raczej wcześniej niż później.

Choć był jeszcze ranek, Tavalisk nalał sobie trochę brandy. Nie może dopuścić do powstania północnego imperium. Rycerze z Valdis nade wszystko pragnęliby zniszczyć istniejący obecnie kościół i mianować siebie jedynymi strażnikami wiary. Co by to oznaczało dla niego? Wylądowałby na ulicy, pozbawiony wszelkiej władzy. Owa myśl była tak niepokojąca, że arcybiskup przełknął trunek jednym haustem. Przynajmniej jednak nie zostanie bez grosza. Zapewni mu to pewna wypełniona skarbami rezydencja, mieszcząca się przy dyskretnej uliczce, nie dalej niż rzut kamieniem stąd. Niemniej bogactwo bez władzy było jak posiłek bez soli: pozbawione smaku i nieapetyczne. Nie, po prostu nie może dopuścić, by do lego doszło. Jego Świątobliwość najwyraźniej mu w tym nie pomoże. Tavalisk będzie musiał wszystko zrobić sam.

Było to wręcz jego przeznaczeniem. Pogłaskał dłońmi okładki księgi Maroda. Wtem nasunęła mu się pewna myśl. Z pewnością, jeśli zdoła ocalić kościół, przypadnie mu w udziale najwyższa chwała. Zostanie największym z obrońców wiary. Zdobędzie

wdzięczność kleru, a jego imię okryje się sławą. Powinno mu to umożliwić zajęcie pozycji Jego Świątobliwości.

Podniecony Tavalisk złapał *Księgę słów* i uniósł ją do warg. Marod był geniuszem. Jeśli będzie się kierował jego wskazówkami, osiągnie więcej niż sobie wyobrażał. Może zostać przywódcą kościoła!

Usłyszawszy pukanie do drzwi, pospiesznie odłożył Maroda na stół. Lepiej, żeby nikt go nie przyłapał na całowaniu książek. Ludzie mogliby źle to zrozumieć, uznać, że wrócił do dawnych, naukowych zainteresowań!

– Proszę – zawołał. Do środka wszedł Gamil.

– Wasza Eminencjo, przynoszę ważne wieści.

Tavalisk wygrzewał się jeszcze w blasku przyszłej chwały, był więc skłonny potraktować sekretarza z wyrozumiałości;].

– Doprawdy? W takim razie lepiej usiądź i podziel się nimi ze mną.

Przez całe dziesięć lat oddanej służby. Gamila ani razu nie poproszono, by usiadł w obecności arcybiskupa. Na jego twarzy wyraźnie malowała się ostrożność.

– Czy Wasza Eminencja dobrze się czuje?

– Nigdy w życiu nie czułem się lepiej. –

Arcybiskup rozpromienił się. – Chodź, Gamilu. Nie gap się na mnie jak żona, która właśnie przyłapała męża z inną kobietą. Przekaż mi te wieści.

Gamil nie usiadł.

– Przed chwilą otrzymałem informację, że doszło do starcia między siłami czterech miast a rycerzami.

– Były jakieś ofiary? – zapytał Tavalisk, zacierając radośnie ręce.

– Tak, Wasza Eminencjo. Po obu stronach. Zginęło dwóch naszych ludzi i dwudziestu rycerzy. Nasze siły miały pięciokrotną przewagę liczebną.

– Znakomicie! Znakomicie! – Tavalisk nalał brandy do dwóch kieliszków i jeden z nich wręczył sekretarzowi. – Takie wiadomości warto uczcić. Marls, Camlee i Toolay posunęły się już tak daleko, że nie będą mogły się wycofać. Zapamiętaj sobie moje słowa, Gamilu. To będzie początek otwartego konfliktu między południem a Valdis. Tyren na pewno się wściekł.

Gamil wpatrywał się w otrzymany od arcybiskupa kieliszek, jakby była w nim trucizna.

– Powołanie sił czterech miast było bardzo sprytnym posunięciem. Wasza Eminencjo.

– Nie tylko sprytnym, Gamilu. Genialnym. – Tavalisk wykonał dłonią gest mający skłonić jego

sekretarza do wypicia trunku. – Powiedz mi, jak doszło do tej utarczki?

– Nasi zwiadowcy wypatrzyli małą grupkę rycerzy niedaleko na północ od Camlee. Wrócili pospiesznie do obozu i oznajmili pozostałym żołnierzom, że zostali ostrzelani z łuków. Najwyraźniej wszyscy byli tak znudzeni całodziennym struganiem patyków i pilnowaniem osobliwego transportu towarów, że bardzo ucieszyli się z tego, iż znaleźli pretekst do wdania się w bijatykę. Według relacji doszło do prawdziwej jatki. Głowy rycerzy zatknięto na pale i ustawiono przy drodze. Każdy, kto wędruje tamtędy z północy na południe, z pewnością je zauważy.

Tavalisk uśmiechnął się szeroko. Jego Świątobliwość niewątpliwie miał powody do niepokoju. Nic nie rozpalało nastrojów skuteczniej niż zatknięta na pal głowa. Wszystko układało się pięknie. Kreślono już linie podziału i szybko zbliżał się moment, gdy wszyscy, którzy się liczą, będą zmuszeni opowiedzieć się po jednej ze stron. Wypadki, do których właśnie doszło na północ od Camlee, praktycznie nie pozostawiły południowym terytoriom wyboru. Tutejsze miasta nie mogły walczyć z rycerzami, nie wdając się jednocześnie w konflikt z Brenem, a co za tym idzie również z królestwami.

Czy jednak na pewno tak było? W obecnej sytuacji południowcy mogli twierdzić, że toczą spór wyłącznie z rycerstwem. Tavalisk potarł podbródek. Być może należało jeszcze trochę dopomóc biegowi wydarzeń.

– Gamilu, czy zaatakowani rycerze konwojowali jakieś towary?

– Tak, Wasza Eminencjo. Kilka wozów kosztownych tkanin, przeznaczonych dla Brenu.

– Znakomicie. Nie mogłoby być lepiej. – Umysł arcybiskupa pracował na pełnych obrotach. Otwierały się przed nim różne możliwości. Niczym człowiek zrywający z drzewa wiśnie, wybrał najlepszą z nich. – Myślę, że czas już, byśmy rozpuścili pewną pogłoskę, Gamilu.

– Znowu o zarazie. Wasza Eminencjo?

– Nie. Tym razem będzie to coś subtelniejszego. – Tavalisk podniósł się i podszedł do okna. – Wiemy, że Catherine z Brenu ma wkrótce poślubić króla Kylocka.

– Tak.

– A czego potrzebuje każda panna młoda?

– Pana młodego.

– Nie, ty durniu! Sukni ślubnej. Co jeśli wśród zagarniętych przez nas towarów znalazł się materiał, z którego zamierzano uszyć suknię ślubną dla Catherine?

– Ale diuk Brenu będzie wiedział, że to nieprawda,

Wasza Eminencjo.

– To nieważne, Gamilu. Nie rozumiesz? Jeśli ogłosimy, że zagarnęliśmy suknię ślubną ich ukochanej Catherine. Breńczycy zostaną upokorzeni bez względu na to, czy to prawda, czy nie. To tak, jakbyśmy spalili ich flagę. Gdy ta wiadomość się rozejdzie, będzie wyglądało na to, że południe pozostaje w konflikcie i z rycerzami, i z Brenem. Zagarnięta suknia stanie się rzuconą rękawicą.

– Rozpuszczę tę pogłoskę jeszcze dzisiaj. Wasza Eminencjo.

– Znając cię, Gamilu, nie wątpię, że o zachodzie słońca usłyszysz już o tym pół miasta.

Arcybiskup odprawił sekretarza niedbałym gestem. Był zbyt zadowolony z siebie, by wykombinować dla niego jakieś poniżające zadanie albo obelgę.

– To ilu ludzi liczy garnizon? – zapytał bez ogródek Jack. W rzeczywistości jednak czuł strach. Zaczynał zdawać sobie sprawę, jak trudne i niebezpieczne jest zadanie, które poprzysiągł wykonać.

Siedział naprzeciw Rovasa, przy kuchennym stole. Kobiety zostawiły ich samych, mamrocząc coś o tym, że muszą nzbierać ziół.

– Na stałe stacjonuje tam przeszło czterystu żołnierzy – wyjaśnił przemytnik. – Ta liczba może się

zwiększyć, w zależności od pory roku i lego, gdzie dochodzi do niepokojów. W tej chwili wszyscy skierowali spojrzenia na zachód. Kylock zaskoczył ich swoją inwazją.

– To znaczy, że będą czujni?

Rovas obrzucił go chytrym spojrzeniem.

– Nie, tak daleko na wschód nie będą. Szkolenie, pobór i ostrzenie mieczy pochłoną ich uwagę tak bardzo, że nie zauważą nawet drugiego przyjscia samego Borca.

Jack pociągnął łyk *ale*. żeby dać sobie czas na zastanowienie. Rovas starał się pomniejszyć grożące mu niebezpieczeństwo. Nie mógł właściwie mieć o to do niego pretensji. Ostatecznie na pewno nie zgodziłby się zakraść do garnizonu, gdyby był przekonany, że będzie tam na niego czekało czterystu uzbrojonych żołnierzy. Skłaniało go to jednak do ostrożności. Mogły istnieć też inne zagrożenia, które Rovas postanowił zminimalizować lub zignorować.

– Ilu ludzi pełni nocą straż?

– Na zewnątrz są cztery pary wartowników. Jedna stoi na górze, dwie przy głównym wejściu i jedna pilnuje tylnego wejścia dla służby.

Głos przemytnika brzmiał pewnie i Jack nie miał powodu wątpić w jego słowa.

– Jak są uzbrojeni?

– Ci, którzy stoją na murach, mają kusze. Pozostali włócznie i krótkie miecze.

Chłopak skinął głową.

– A w środku?

– To trudniej przewidzieć. – Rovas wydał policzki i cmoknął cicho. Z jego czerwonej twarzy złuszczała się skóra. Nadmiar (*ile*, słońca i wiatru sprawił, że naczynka na nosie mu pękały. – Nie chcę cię okłamywać. Jack – oznajmił, przesycając swój niski głos nutką uczucia. – Może tam być nawet dziesięć par wartowników. Nie mam też pewności, gdzie będą rozmieszczeni. Możesz się na nich natknąć praktycznie wszędzie.

Jack zastanawiał się, od kiedy stał się tak podejrzliwy. Próba okazania szczerości w wykonaniu Rovasa wydała mu się jedynie wy kalkulowanym podstępem. Dziwnie było pomyśleć, że przed zaledwie kilkoma miesiącami, gdy pracował w Zamku Harvell jako piekarczyk, wierzył wszystkim na słowo. Zaufanie należało do zamierchłej przeszłości.

Łatwo było zapomnieć, z czego utrzymuje się Rovas. Był przemytnikiem, oszustem i złodziejem. Żerował na biednych, głodnych ludziach, sprzedając im towary, które stanowiły obelgę dla ich skąpych

zasobów. Lubił roztaczać wokół siebie aurę zawadiackiego humoru, nie był jednak zawadiaką. Był łotrzykiem.

Próbował zmusić Tarrisę do zamordowania człowieka. Tego samego, którego zabójstwo planowali teraz, siedząc za stołem. Znalazł po prostu kogoś innego, kto mógł za nią wykonać tę brudną robotę. Jack przesunął się na brzeg krzesła. Musi uważnie słuchać każdego słowa padającego z ust przemytnika.

– Jak więc najlepiej się tam dostać?

– Przez wejście dla służby. Nie musisz wdzierać się do środka siłą. Dam ci beczkę *ale* ze znakiem miejscowej oberży. – Rovas pochylił się, by zaznajomić Jacka ze swym planem. – Mamy właśnie Wiosenne Błogosławieństwo i wszyscy będą chcieli wypić jak najwięcej. Jutro przez te drzwi będzie przechodzić cała masa ludzi: dziwki, kucharze, muzycy. Nie odzywaj się ani słowem. Akcent natychmiast by cię zdradził. Podejdz po prostu do wejścia z beczką *ale*, a wpuszczą cię do środka. Nikt nie będzie zwracał uwagi na głupiego, nieuzbrojonego chłopaka z oberży.

– Nieuzbrojonego?

– Ehe. Nie znają cię, więc na pewno cię przeszukają. Broń ukryjemy w środku beczki. Nie

straci ostrości, jeśli się trochę zamoczy. – Rovas sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. – Oczywiście będziesz, musiał znaleźć kilof albo łom, żeby się do niej dostać, to jednak nie powinno być trudne. W ostateczności możesz po prostu grzotnąć beczką o ścianę. Jeśli ktoś to zauważy, udawaj, że ją upuściłeś. Najprawdopodobniej wszyscy będą tak zalani, że w ogóle ich to nie zainteresuje.

Plan wydawał się wykonalny, lecz Jackowi trudno było uwierzyć, by miało się to okazać aż tak łatwe. Podczas świąt w Zamku Harvell pełniącym służbę strażnikom nie wolno było wypić ani kropli.

– Czy wszyscy będą pijani? – dopytywał się. Rovas cofnął się, odsuwając twarz od blasku świecy.

– Wszyscy oprócz czterech par żołnierzy pełniących służbę na zewnątrz.

Skierował skryte w cieniu oczy prosto na Jacka, chcąc go w ten sposób sprowokować.

Do jakiego stopnia mógł ulać przemytnikowi? Rovas był doświadczonym kłamcą. Każdy, kto potrafił sprzedać pomalowane krwią ryby jako świeże, musiał wprawnie obracać językiem. Chłopak wiedział jednak, że nie ma innego wyboru, jak uwierzyć w jego słowa. Miał niewielkie szanse przyłapania go na kłamstwie, a do tego przemytnik chciał przecież, by Vanly zginął.

Dlaczego miałby ukrywać grożące Jackowi niebezpieczeństwa?

Chłopak się bał. Udawał tylko twardego, nic więcej. Co w jego dotychczasowym życiu mogło go przygotować do tego zadania? Potrafił teraz, radzić sobie z bronią, więcej satysfakcji sprawiało mu jednak ugniatanie ciasta niż atakowanie przeciwnika. Uśmiechnął się. Nie było to już do końca prawdą. Dobrze się czuł z mieczem w dłoni. Szybko nauczył się nim władać, prawie jakby było to jego drugą naturą. Posiadł też umiejętność przewidywania ruchów człowieka, z którym walczył. Rovas uczył go, że powinien w tym celu patrzeć w oczy nieprzyjaciela, chłopak przekonał się jednak, że to nie wystarcza. Trzeba było obserwować grę jego mięśni, by się przekonać, w którym momencie drgną, a także pamiętać wszystkie ruchy, które już wykonał. Człowiek zawsze lubił pochwalić się czymś nowym.

Można powiedzieć, że pieczenie przygotowało go do walki: długie godziny w kuchni wyrobiły w nim wytrzymałość, ciężka praca pod rozkazami Frallita nauczyła samodyscypliny, a ugniatając ciasto przez sześć godzin dziennie i wlokąc ze spichrza worki zboża, wyrobił sobie stalowe mięśnie ramion.

Nic jednak nie przygotowało go do zakradnięcia się

do garnizonu, ani do tego, by zabić człowieka z zimną krwią, a potem uciec. Zupełnie nic. Gdyby nie Tarissa, pewnie by tego nie zrobił. Melli nie żyła. Jeśli ktoś był winien śmierci dziewczyny, był to Jack, nie Vanly. Zabicie człowieka w jej imieniu byłoby kłamstwem. Dlatego robi to dla Tarissy.

– Skąd mam wiedzieć, że strażnicy wpuszczą mnie z *ale* do garnizonu? Równie dobrze mogą mi je odebrać przy wejściu.

Wiedział, że jedynym sposobem zabezpieczenia się przed Rovasem jest sprawdzanie każdego detalu.

– To proste. Dopilnuję, żebyś wziął beczkę z israńskim kurkiem. Nikt poza oberżystami nie potrafi ich otwierać. Jeśli chcą *ale*, będą musieli cię wpuścić.

– Rovas uśmiechnął się czarująco. – A, uwierz mi, będą go chcieli. Nic nie rozgrzewa krwi lepiej niż bursztynowe israńskie.

– Gdzie będzie Vanly?

Cała twarz Rovasa rozpromieniła się, gdy usłyszał to pytanie. Z pewnością oczekiwał go już od pewnego czasu.

– Ach, tu właśnie przydadzą się zdobyte przeze mnie informacje. Wiem z pewnego źródła, że z Helchu wyjechała trupa tancerek, które zmierzają do garnizonu. Te dziewczyny to niewiele więcej niż

dziwki, a jedna z nich jest podobno tak piękna, że mężczyźni padają na kolana na sani jej widok. Znam dobrze czcigodnego kapitana i nie wątpię, że cały wieczór będzie się starał zaciągnąć ją do łóża. – Rovas mrugnął figlarnie. – Znam też dobrze tancerki z Helchu i wiem, że nie będzie to trudne.

– A więc nie będzie z nim nikogo oprócz tej dziewczyny?

– Jestem tego prawie pewien. Gdzieś o zachodzie słońca zje ze swymi ludźmi kolację w kantynie. Wypije kilka bukłaków *ale* i podnieci się, patrząc na tancerki z Helchu. Potem pójdzie do siebie, trzymając w ramionach najpiękniejszą z dziewczyn.

– Jak odszukam jego kwaterę? – zapytał Jack. Zbliźali się do najniebezpieczniejszej części planu. Dostać się do garnizonu nie będzie zbyt trudno, jeśli jednak przyłapią go na wałęsaniu się w pobliżu oficerskich kwater, będzie to oznaczało więzienie. Albo gorzej.

Rovas wysypał na stół odrobinę mąki, rozprowadził ją na blacie dłonią i zaczął kreślić schematyczny szkic garnizonu.

– Tu jest wejście dla służby – powiedział rysując południowy mur. – Skręć po prostu w lewo i idź wzdłuż wschodnich obmurowań, aż dojdiesz do

zadaszonej arkady. – Każdemu słowu Rovasa towarzyszył ruch palca, kreślącego w mące linie. – Na jej końcu są dwuskrzydłowe drzwi. Przejdź przez nie i wejdź po krótkich schodach po prawej stronie. Pierwsze drzwi, na które natrafisz, prowadzą do sypialni Vanly’ego.

Jack nie patrzył na plan. Wpatrywał się w twarz Rovasa, szukając choćby najdrobniejszej wskazówki świadczącej, że przemytnik kłamie. Nie znalazł nic. Niemniej Rovas ominął jeden znaczący raki. Oficerskie kwatery z reguły były strzeżone. Chłopak nie wierzył, by była to niewinna pomyłka.

– Co z wartownikami? Rovas wzruszył ramionami.

– Pod drzwiami może stać dwóch. Jeśli zaczekasz odpowiednio długo, uda ci się przemknąć w chwili zmiany warty. Kto wie, może będą tak pijani, że pozwolą ci przejść. Przez te twoje długie włosy mogą cię nawet wziąć za przyjaciela któregoś z oficerów, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Co prawda, jesteś trochę zbyt wysoki i za dobrze umięśniony. – Rovas roześmiał się z własnego dowcipu. – Chodzi o to, że w dzień Wiosennego Błogosławieństwa wszyscy będą myśleć tylko o winie i babach, a ci, którym nie w głowie rozrywki, będą się zamartwiać trwającą na zachodzie wojną. Nie moglibyśmy wybrać lepszego

momentu.

Nadszedł czas na zadanie najważniejszego pytania.

– Jak mam uciec?

Jack wpatrywał się w Rovasa niczym jastrząb. Ze wszystkich kłamstw, które mógł wymyślić przemytnik, naprawdę liczyło się tylko to jedno. Chłopak wiedział, że największe niebezpieczeństwo będzie mu groziło po dokonaniu zabójstwa. Przemytnik spojrzał mu prosto w oczy.

– W kwaterze Vanly’ego jest ukryte wejście do tunelu, który prowadzi do lasu.

– Dlaczego nie mogę dostać się nim do środka? Jack słyszał już odpowiedź, chciał się jednak upewnić.

– Wejście będzie zaryglowane od wewnątrz.

– Skąd wiesz o tym tunelu?

– Jack, zapomniałeś, że prowadziłem z tym człowiekiem interesy. Cały czas używaliśmy tego korytarza do przenoszenia towarów. – Rovas rozgarnął dłonią mąkę, by zrobić miejsce dla kolejnego szkicu. – Zbudowano go w tym samym czasie, co garnizon. To nic dziwnego, że w oficerskich kwaterach znajdują się tajne przejścia, umożliwiające w razie konieczności szybką ucieczkę. Gdyby doszło do oblężenia garnizonu, przemycano by tamtędy do środka żywność i inne towary. – Tłusty palec nakreślił w mące narożnik

koszar. – Popatrz, tu jest kwatera Vanly’ego. Wejście do tunelu jest ulokowane pod łóżkiem. To zapadnia wyposażona w zawiasy. Kiedy ją podniesiesz, będziesz musiał zeskoczyć osiem stóp w dół, więc lepiej uważaj. Nie skacz na oślep, bo możesz sobie złamać nogę. Zsuń się do korytarza stopami naprzód. Będzie tam ciemno jak w grobie. Mógłbyś zabrać świecę, lecz spowolniłaby twoje ruchy. Lepiej uciekać po ciemku. Droga jest tylko jedna. Na pewno nie zabłądzisz.

Rovas nakreślił wiodącą z garnizonu biegnącą łukiem linię.

– Tunel ma jakieś cztery stopy wysokości i przejść nim nie będzie łatwo. Jest leż długi. Nie zakręca natychmiast do lasu, bo po drodze jest strumień. Dlatego musi biec po łuku, by go ominąć. Kiedy dotrzesz do końca, będziesz potrzebował całej swej siły, by otworzyć właz. Leży na nim wielki kamień. Niech ci się nie wydaje, że wystarczy podnieść drugą klapę. W drewnie są wycięte uchwyty. Wejdź po nich na górę i pchaj ze wszystkich sił.

Jack nie znajdował podstaw, by wątpić w słowa Rovasa. Przemysłownik potrafił przytoczyć mnóstwo przekonujących szczegółów. Mimo to wciąż próbował znaleźć w jego opowieści słabe punkty.

– Myślałem, że na mnie zaczekasz.

– Zaczekam, ale nie w lesie: Co godzinę przechodzi tamtędy patrol. To byłoby zbyt wielkie ryzyko. Nie wiem, ile czasu będziesz potrzebował. – Poruszał palcem w macie, rysując kreski mające symbolizować las. – Będę stał z zapasowym koniem tu, na skraju boru, gdzie strumyk płynie wzdłuż linii drzew.

– Czy człowiek z, dwoma wierzchowcami nie wzbudzi podejrzeń?

– Zgadza się, chłopcze. Może wzbudzić. Mam jednak nadzieję, że mnie nie zauważą. Do strumyka jest dosyć daleko. Wartownicy patrolują tylko środek lasu, bo wiedzą, że tam jest tunel.

– Czy w takim razie będą obserwować wyjście?

Jack domyślał się, że Rovas będzie miał na podorędziu przekonującą odpowiedź. Nie spotkało go rozczarowanie.

– Nie, chłopcze. Tylko oficerowie wiedzą, gdzie się ono znajduje. Nie byłoby dobrze, gdyby każdy żołnierz, z garnizonu mógł się wymknąć na swobodę, kiedy tylko by tego zapragnął. – Grubas potarł porastającą mu brodę szczecinę. – Jeśli się nad tym zastanowić, to strażnicy mogą nawet nie wiedzieć o tunelu. Nie ma potrzeby informować ich, z jakiego powodu kazano im obserwować las.

Jack szukał w słowach Rovasa nielogiczności albo

sprzeczności. Nie znalazł żadnych. Istniał jednak sposób na sprawdzenie jego blefu.

– Zaprowadź mnie dziś do tego wejścia. Rovas nawet się nie wzdrygnął.

– Cóż, jak sobie życzysz. Musimy tylko poczekać, aż minie północ. Gdyby nas zauważyli, trzeba by odwołać całą akcję.

– W porządku. To nieważne.

Jack był usatysfakcjonowany. Nie było już powodu tam chodzić. Gdyby Rovas zawahał się choć na moment, sprawy wyglądałyby inaczej. Uspokojony chłopak zadał ostatnie pytanie:

– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać? Że mnie nie złapią albo nie zabiją?

Jasnoniebieskie oczy Rovasa spojrzały prosto w jego oczy.

– Gdybyś nie wrócił, Magra i Tarissa nigdy by mi nie wybaczyły.

Maybor czekał przy otwartym rynsztoku tuż za rzeźnickim dziedzińcem. Najwyraźniej pałac diuka nie potrzebował gnojowiska. Wszystkie nocniki opróżniano wprost do jeziora. Żalosalne rozwiązanie. Krew i rozkładające się wnętrzności mogły nie śmierdzieć tak paskudnie, jak gnojowisko, przyciągały jednak równie gęste roje much. Doskonałe miejsce na

potajemne spotkanie. Ohydny zapach zapewne odstraszał podsłuchujących.

Wreszcie zjawił się lord Cravin. Był wyraźnie niezadowolony z tego, że zmuszono go do odwiedzenia tak nieprzyjemnego miejsca. Mimo to udawało mu się przechodzić nad zaszlachtowanymi zwierzętami z pewną dozą gracji. Miał leż na nogach piękne buty. Maybor uznał, że w rozgrywce z Cravinem pierwszy punkt należy do niego. Udało mu się wyprowadzić go z równowagi.

– Miło cię widzieć, Mayborze – rzekł breński wielmoża lekko poirytowanym tonem. – Gdybym wiedział, że gustujesz w jatkach, zaproponowałbym spotkanie w lazarecie. Tam mógłbyś sobie popatrzeć, jak odrąbuje się kończyny ludziom.

– Dziękuję, zwierzęta gospodarskie mi wystarczą.

Maybor zdjął z czubka buta coś, co wyglądało na kawałek świńskiego ucha, i rzucił to do rynsztoka. Cravin wyraźnie się uspokoił.

– Mam nadzieję, że kobiety przypadły ci do gustu?

– Były znakomite, przyjacielu. – Maybor czuł się bardzo zadowolony z siebie. – Chociaż ta druga dziewczyna była trochę za chuda, jak na mój gust. Jej biodra były jak uczta plantatora soczewicy. Całkiem przyjemne, ale brakowało w nich mięsa. Co do

pierwszej...

– Dość już tego – syknął Cravin. – Nie przyszedłem tu rozmawiać o kobiecej anatomii. Zbliżył się o krok i na prawą połowę jego twarzy padł cień haczykowego nosa. – Wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia, albo odejdz, nie uzyskawszy nic poza krwią na butach.

– Słucham.

– Jak dobrze znasz lorda Baralisa?

To pytanie zaskoczyło Maybora. Jego pierwszym odruchem było zachować ostrożność.

– Mógłbym ci o nim opowiedzieć to i owo.

– Zdajesz więc sobie sprawę, że to niebezpieczny człowiek o groźnych ambicjach?

Oczy Cravina załśniły przenikliwie niczym ślepie jastrzębia. Maybor skinął głową z niezwykłą dla siebie oględnością.

– Małżeństwa Catherine z Kylockiem nie zaaranżowano pod wpływem chwili. Baralis planował je od z górą dziesięciu lat. Być może nawet dłużej.

– A skąd o tym wiesz?

Maybor wybrał już sposób dalszej rozmowy. Nie będzie nic mówił i pozwoli breńskiemu wielmoży gadać do woli.

– Od dziesięciolecia niszczył, mordował albo zastraszał wszystkich, którzy pragnęli związku z

księciem Kylockiem.

Melliandra! Myśli Maybora natychmiast zwróciły się ku córce. Zachował jednak spokój.

– Mów dalej.

– Czy nigdy nie dziwiło cię, że ksiązę o znaczeniu Kylocka do osiemnastego roku życia nie otrzymał ani jednej oficjalnej propozycji małżeństwa? – Cravin nie czekał na odpowiedź. – Powiem ci, dlaczego tak się stało. Dlatego, że Baralis, wykorzystując swą pozycję królewskiego kanclerza, nie dopuścił, by te propozycje docierały do uszu króla. Diuk Highwall ma córkę, która niedługo skończy piętnaście lat. Gdy miała osiem, rozpoczął negocjacje z królestwami, chcąc doprowadzić do jej małżeństwa z Kylockiem. Baralis wysłał dziewczynce podarek: pudełko słodkich łakoci. Po tygodniu zapadła na mózgową gorączkę. Po miesiącu nie pamiętała nawet, jak ma na imię. Po dziś dzień przetrzymują ją w maleńkiej izdebce w zamku diuka, przywiązaną do łoża, by nie zrobiła sobie krzywdy.

Maybor wierzył w każde słowo. Królewski kanclerz groził również Melliandrze.

– Czy podejrzenia padły na Baralisa?

– Krążyły takie pogłoski, lecz uciszył większość z nich, oznajmiając, że jest gotowy zawrzeć zaręczyny

bez względu na stan dziewczynki. Wiedział oczywiście, że diuk nigdy do tego nie dopuści, niemniej jednak wywarł w ten sposób dobre wrażenie.

Smród rozkładających się wnętrzności wydawał się odpowiednim tłem do takiej rozmowy.

– Co jeszcze słyszałeś?

Cravin zamarł na chwilę, pogrążony w myślach. Jego skryte pod szatą ciało było twarde i żylaste.

– Ja też rozpocząłem w pewnej chwili negocjacje z Baralisem. Było to przed wieloma laty. Moja najstarsza córka, Fellina, była w wieku odpowiednim dla Kylocka. Wysłałem do króla list z propozycją, odpowiedział mi jednak Baralis. Był nadzwyczaj uprzejmy. Pisał, że słyszał o urodzie i manierach mojej córki, lecz swym listem postawiłem go w trudnej sytuacji, gdyż niedawno otrzymał podobną propozycję od mojego wielkiego rywala, lorda Gandrela. Podkreślił, że choć osobiście wolałby Fellingę, nie mógł dokonać wyboru, gdyż król nie chciałby obrazić żadnego z nas.

– Twa córka miała szczęście – stwierdził Maybor, zaskoczony siłą emocji, które słyszał w swym głosie.

Gavin skinął głową z ponurą miną.

– Nigdy nie przestanę się z tego cieszyć. Po kilku latach dowiedziałem się, że Gandrel nigdy nie

planował wydania którejs z swych córek za Kylocka. Baralis wszystko to sobie wymyślił. To sprytny pies. Wiedział, że nie zapytam Gandrela, czy to prawda. Nienawidziłem go wówczas tak mocno, że przemawiałem do niego tylko w gniewie.

– Przed kilkoma miesiącami Baralis porwał moją córkę – rzekł Maybor. – Od tej pory jej nie widziałem.

Cravin nie wyglądał na zaskoczonego.

– Ten człowiek nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć swój cel. Maybor rozejrzał się wokół, szukając uszu należących do ludzi, nie świń.

– A co jest jego celem? – zapytał cichym, pełnym napięcia głosem.

– Władza – wyszeptał Cravin. – Chce zapanować nad północą. Uważa, że mając do dyspozycji armie Brenu, będzie mógł podporządkować sobie Annis, Highwall i Borc wie kogo jeszcze. – Odwrócił się i spojrzał rozmówcy prosto w oczy. – Mówiłem już, że to niebezpieczny człowiek.

Maybor zaczynał wszystko pojmować. Dlaczego sam na to nie wpadł? Baralis zamierzał stworzyć północne imperium. Z jego planem harmonizował pięcioletni konflikt graniczny z Halcusem. Chciał tylko osłabić wroga, by uderzyć na niego z pełną mocą, gdy już wybuchnie prawdziwa wojna.

– Syn pisał do mnie, że z rozpoczęciem wiosny Kylock zamierza uderzyć na Halcus.

Cravin rozciągnął wargi, odsłaniając w uśmiechu ostre zęby.

– Już to zrobił. Gołąb przyniósł mi wczoraj wiadomość. Maybor ukrył zdumienie.

– Ach. A więc zdecydował się działać szybko.

– Na to wygląda – stwierdził Cravin. – Niewątpliwie chodziło mu o zaskoczenie. – Otulił się ciasniej płaszczem, chroniąc się przed nagłym powiewem. – Jedno jest pewne. Diukowi nie spodoba się to w najmniejszym stopniu.

– To dlaczego nie odwoła małżeństwa? – zapytał Maybor. żałując, że sam nie założył płaszcza.

– To nie takie proste. Sprawy zaszły już za daleko. Gdyby się wycofał, straciłby twarz. Uznano by go za tchórze. Najlepsze, co mógłby zrobić, to znaleźć jakiś sposób, by zneutralizować to małżeństwo.

– Jak to zneutralizować?

– Powinien dopuścić, by odbyło się zgodnie z planem, lecz w jakiś sposób, przez bezpośrednią akcję albo drogą traktatu, pozbawić je znaczenia. W tej chwili sytuacja jest bardzo ryzykowna. Annis i Highwall się niepokoją, rycerze mają kłopoty na

południu, a na dodatek Kylock jest zajęty najazdem na Halcus. – Cravin potrząsnął głową. – Diuk musi zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze zmniejszyć napięcie na północy, a po drugie pokazać Baralisowi, gdzie jest jego miejsce.

Maybor nie mógł się z tym nie zgodzić. Bez względu na muchy, ohydny smród i przenikliwy wiatr, jego samopoczucie zdecydowanie się poprawiło.

– Myślisz, że może mu się udać?

– Radziłbym traktować diuka jak najpoważniej – odparł Cravin. – Musimy jednak obaj uważnie obserwować bieg wypadków. Jeśli nadarzy się sposobność, a zgodnie z moim doświadczeniem, prędzej czy później zawsze się nadarza, będziemy musieli wykorzystać ten moment.

Wyraz oczu Cravina nie pozwalał wątpić, że breński wielmoża mówi o zdradzie.

Cravin sięgnął za pazuchę i wydobył skrawek pergaminu nie większy niż dłoń. Wręczył go Mayborowi.

– Weź to. Jest tu adres mojego domku, położonego w południowej dzielnicy miasta. Dyskrecja jest zapewniona. Nikt nie wie o jego istnieniu. Gdybyś kiedykolwiek zechciał spotkać się z kimś na osobności, poza zasięgiem dworskich spojrzeń, możesz

swobodnie z niego skorzystać. – Cravin zaczął się oddalać. – Słudzy zawsze wiedzą, jak się ze mną skontaktować, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Pokłonił się jeden raz i natychmiast zniknął.

Maybor zatknął sobie pergamin za pas, odczekał chwilę i podążył do pałacu śladem Cravina. Było to łatwe, gdyż przesączone krwią podeszwy butów breńskiego wielmoży zostawiały wyraźne odciski na drodze.

Melli szła za Nessą do stajni. Jej zmysły wypełniły dawno zapomniane wonie siana, gnoju i tłuszczu do smarowania uprzęży. Diuk, który wczoraj całkowicie ją ignorował, zażyczył sobie, by towarzyszyła mu podczas krótkiej przejażdżki. Dlatego przysłała do stajni, odziana w solidny płaszcz, pozbawiony choćby jednej falbanki, która łagodziłaby surowe wrażenie. Była zdecydowana wybrać najlepszego rumaka. Ojciec miał stajnie w swych posiadłościach we Wschodnich Krainach i Melli z doświadczenia wiedziała, że nic nie irytuje właściciela koni bardziej niż niedoświadczony gość, który pragnie dosiąść jego najwspanialszego wierzchowca. Zdawała sobie sprawę, że nie jest bynajmniej niedoświadczona, lecz diuk nie był tego świadomy i z pewnością się wścieknie.

– Wezmę tego – oznajmiła stajennemu, wskazując pięknego, kasztanowatego ogiera.

– Ależ panienko – sprzeciwił się sługa – diuk lubi sam dosiadać Sparsisa.

– Czyż nie powiedział wyraźnie, że mogę sobie wybrać dowolnego konia? – zapytała Melli, zwracając się w stronę Nessy.

Ta skinęła energicznie głową. Spędziły razem cały dzień i Melli przeciągnęła ją do swego obozu.

Stajenny nie wyglądał na zadowolonego, spełnił jednak życzenie Melli. Osiodłał konia, mamrocząc pod nosem, że to nieprzyzwoite, by kobieta dosiadała ogiera. Wyprowadził zwierzę na dziedziniec i wyciągnął rękę, by pomóc dziewczynie wsiąść.

Melli wskoczyła na konia ze swobodą doświadczonych jeźdźca. Usadowiła się wygodnie w siodle, a jej stopy odnalazły strzemiona. Wszystko pięknie pasowało. Stajenny miał dobre oko. W porównaniu z tym potężnym stworzeniem, wierzchowiec, na którym tu dotarła, był nic nie wart. Pochyliła się i wyszeptała do ucha zwierzęcia delikatne słowa zachęty. Była pewna, że zostaną przyjaciółmi.

– Gdzie wybiera się dziś Jego Miłość? – zapytała stajennego. Ujrawszy, jak wprawnie dosiadła konia, sługa nabrał dla niej nieco więcej szacunku.

– No więc, panienko, nie jestem pewien, ale na krótkie przejażdżki najczęściej wybiera się na łąkę po zielonej stronie doliny, lam za drzewami.

Wskazał miejsce, które wyglądało na odległe o nie

więcej niż dziesięć mil.

– Bardzo dobrze. Powiedz Jego Miłości, że będę tam na niego czekała.

Ściągnęła wodze, nakazując koniowi zawrócić.

Nessa i stajenny rozdziawili usta z wrażenia, nie dała im jednak czasu na wyrażenie protestów. Kopnęła piętami boki ogiera, który pomknął przed siebie.

Miała wiatr we włosach i świeże powietrze w płucach, a między udami czuła potężne zwierzę. To było cudowne. Po raz pierwszy od wielu tygodni miała wrażenie, że jest wolna. Sam laki znalezienia się pod gołym niebem napełniał ją radością. Widok zapierał dech w piersiach. Domek myśliwski wznosił się na łuku stoku opadającego ku przecudnej dolinie, pośrodku której dostrzegła jezioro. Nad jego brzegami rosły małe skupiska drzew, głównie jodeł, przypominających tańczące kobiety. Przed nią piętrzyły się góry, przerażające w swym splendorze. Lśniły jeszcze białą, zimową pokrywą.

Koń nie czuł się pewnie pod nowym jeźdźcem i reagował nerwowo na polecenia dziewczyny, ta jednak traktowała go łagodnie i w miarę jazdy przez dolinę zwierzę stopniowo się uspokajało.

Bardzo łatwo byłoby po prostu odjechać i więcej nie wrócić. Łatwo, ale i niebezpiecznie. Melli zanadto

cenila życie, by pogalopować w góry. To dziwne, ale myśl o ucieczce nie pociągała jej teraz tak bardzo, jak kilka dni temu. Nie groziło jej żadne fizyczne niebezpieczeństwo. Diuk nie próbował jej zmuszać do świadczenia seksualnych usług. Chwilowo czuła się bezpiecznie. A szczerze mówiąc, naprawdę pragnęła, by ją dogonił. Radowała ją myśl, że zareaguje na jego gniew wyniosłością, a potem przyprawi go o zmieszanie, demonstrując biegłość w konnej jeździe. Był tak arogancki, że wręcz prosił się o nauczkę.

Sądziła, że wczoraj zażąda jej wizyty. Całe popołudnie czekała na wezwanie. Uczesła włosy, założyła piękne, ciasne pantofelki, a policzki poczerwieniały jej od znakomitego wina. Kiedy się nie odezwał, poczuła się rozczarowana. Nudziła się w pokoju, a towarzystwo Nessy pozostawiało wiele do życzenia. Diuk mógł być irytujący, przynajmniej jednak nie był nudny.

Uznała, że w sprawie swego pochodzenia najlepiej postąpi, trzymając się oryginalnej wersji i nie zdradzi nic bez względu na wszelkie naciski ze strony diuka. Upór był dla niej czymś naturalnym, nie powinna więc mieć trudności. Nie uda mu się ponownie jej oszukać ani zaskoczyć.

Zdając sobie sprawę, że koń nie wykorzystał dotąd

nawet dziesiątej części swych możliwości, Melli skłoniła go do galopu. Na chwilę przestraszyła się jego mocy, potem jednak strach zmienił się w zachwyty. Pochyliła się i zwolniła wodze. Rowy, strumienie, zwalone drzewa i głązy: rumak przeskakiwał przez wszystkie z gracją demona. Czując, że jej spódnice nasiakają jego potem. Grunt przerodził się w zamazaną plamę. Celem były odległe drzewa. Nie potrafiła określić, czyje serce bije szybciej: jej czy zwierzęcia.

Gdy tylko ściągnęła wodze, usłyszała z tyłu tętent kopyt. Mógł to być jedynie diuk. Zatrzymała się i zwróciła w tamtą stronę. Nim zdążył się zbliżyć, minęło parę minut. Jego pierwsze słowa brzmiały:

– Oszalałaś! Co ci strzeliło do głowy? Wzięłaś mojego najlepszego ogiera. To cud, że cię nie zabił.

Uniosła brwi.

– Nie wiedziałam, że masz tak silne opiekuńcze instynkty. Być może w poprzednim życiu byłeś pasterzem.

Zawróciła konia w miejscu i pogalopowała przed siebie.

Nie potrafiąc ukryć uśmiechu, pomknęła ścieżką wiodącą ku dalekim drzewom. Słyszała ścigającego ją diuka. Po jakiejś minucie wyraźnie się zbliżył.

– No. Sparsis – wyszeptała do konia. – Czas, byś

pokazał swemu właścicielowi, ile jesteś wart.

Ściśnięcie ud i lekkie pociągnięcie za wodze wystarczyły by zmienić trasę biegu ogiera, skierować go ku kilku małym strumyczkom, które spływały do jeziora. Rumak i jeździec przeskakiwali je niczym bogowie. Wreszcie nadszedł ostatni skok. Potok płynął w zagłębieniu i dopóki nie znaleźli się na szczycie stoku, trudno było ocenić jego szerokość. Brzeg po drugiej stronie był stromy. Wierzchowiec przeskoczył strumień i uderzył kopytami o skarpe.

Mciiii wyrzuciło z siodła. Jak w zwolnionym tempie, widziała zbliżający się skalisty brzeg. Wiedziała nawet, który kamień przeznaczony jest dla niej. Trzask! Ostry ból w głowie, jeszcze ostrzejszy w boku. Potem zapadła ciemność.

Jack poczuł nagły ból głowy. Kubek z wodą wypadł mu z dłoni i roztrzaskał się na podłodze. Magia podniosła wzrok.

– Jack, nic ci nie jest?

W jej głosie brzmiała prawdziwa troska.

Wolałby, żeby się nie odzywała, gdyż dopóki jej słowa nie dotarły do jego świadomości, widział obraz Mciiii. Teraz zniknęła. Gdy Magia podniosła się z krzesła, zaczynał już wątpić, czy zdarzyło się to naprawdę.

Kobieta ujęła jego dłoń, nie zwracając uwagi na stłuczony kubek.

– Chodź, Jack – zaproponowała. – Usiądź na chwilę przy ogniu.

Jej piękną, wyniosłą twarz pokryły bruzdy troski. Poprowadziła chłopaka ku ławce i posadziła go na niej. Następnie zaskoczyła go, klękając u jego stóp. Ścisnęła jego rękę w chłodnej dłoni.

– Jack – powiedziała. – Nie musisz tego robić. – Chciał się sprzeciwić, lecz nie pozwoliła mu dojść do słowa. – Nie, wysłuchaj mnie. Możesz dziś opuścić chatę. Odłożyłam trochę złota. Nie jest tego wiele, ale wystarczy, żeby ułatwić ci podróż. Weź je, proszę. – Uścisnęła mocno jego dłoń. – Gdyby coś ci się stało, nigdy bym sobie nie wybaczyła.

Jack spojrzał w jej intensywnie niebieskie oczy. Mówiła prawdę. Minęło wiele czasu, odkąd ktoś się o niego martwił. Uniósł jej dłoń do ust i ucałował lekko. Była bardzo gładka i krucha. Gdyby jego matka żyła, byłaby w tym samym wieku.

– Nie ma powodu do niepokoju. Wrócę – zapewnił. – Obiecuję.

– Mam nadzieję, że dotrzymasz tej obietnicy. Jack.

Magia uśmiechnęła się. Przez chwilę wydawała się tak podobna do swej córki, że zaparło mu dech w

piersiach. Jeszcze raz uścisnęła mu dłoń, po czym wstała, poprawiając spódnicę i cmokając nad rozbitym kubkiem.

Do izby wpadła Tarissa. Jackowi podobało się u niej to, że nie przepadała za dyskretnymi wejściami.

– Co tu się działo? – zapytała widząc, że Magia zbiera potłuczone skorupy. – Wysłałam tylko na chwilę nakarmić kury, a kiedy wracam, widzę, że oboje chcecie zburzyć domek.

Jack i Magia wybuchnęli śmiechem. Pod nieobecność Rovasa atmosfera w chacie stawała się znacznie swobodniejsza. Tarissa poszła namoczyć szmatę, a Jack wrócił do ugniatania ciasta na chleb, który miał im wystarczyć na cały tydzień. Nie mieli pieca, ciasto trzeba więc było zabierać do miasta. Czuł się tu bardzo dobrze. Wszyscy byli zajęci pracą, żartowali i przekomarzali się, na ogniu grzał się hoik, a łożowe świece paliły się kopcącym płomieniem. Zupełnie jak w domu.

Jackiem zawładnął nagły przypływ nienawiści do Rovasa. Jak przemytnik mógł grozić, że wygna z domu te dwie uczciwe, ciężko pracujące kobiety, jeśli Tarissa nie wykona jego rozkazu? Był prawdziwym nikczemnikiem. Magia i Tarissa zasługiwały na kogoś lepszego niż człowiek, który próbował je sobie

podporządkować, oplatając je siecią zależności i wspólnej winy.

Skończył ugniatać ciasto i ułożył bochny na wielkiej, drewnianej tacy. Ponacinał ich grzbiety ostrym nożem, po czym nakrył je wilgotną, lnianą szmatką.

Magra podeszła bliżej.

– Jeśli są już gotowe, zaniosę je do miasta. Wzięła w ręce tacę.

– Ale Rovas zabrał wóz – sprzeciwił się Jack. – Nie możesz sama iść taki kawał. Pójdę z tobą.

– Nie, Jack. Nie powinieneś tam się pokazywać. – To była Tarissa. – Matce nic się nie stanie. Kiedy już dotrze na miejsce, znajdzie Rovusa i wróci razem z nim.

– Tak właśnie zamierzałam zrobić – potwierdziła Magia. Jack zrozumiał, że był to plan, przygotowany przez obie kobiety po to, by mógł zostać sam na sam z Tarissą. Ściągnął szmatkę i zdjął z tacy połowę bochnów. Nie zamierzał pozwolić, by Magia dźwigała podobny ciężar aż do miasta. Zaczęła się sprzeciwiać, lecz nie dał jej dojść do słowa.

– Inaczej nie wypuszczę cię z domu – zapowiedział. – Poza tym, jestem pewien, że uda mi się jakoś je upiec na palenisku. Mogą być trochę za

płaskie, lekko przypalone i pozbawione smaku, ale ostatecznie możemy dać je Rovasowi.

Wszyscy troje parsknęli śmiechem. Magia podniosła lżejszą teraz tacę, a Tarissa otworzyła przed nią drzwi.

– Uważaj na siebie, mamó – poprosiła całując ją w policzek. Jack stanął obok niej i oboje patrzyli, jak kobieta oddała się błotnistą ścieżką, a potem równie błotnistym gościńcem.

– Jesteś pewna, że może iść sama? – zapytał Jack, gdy Tarissa zamknęła drzwi.

– Daj spokój, Jack. Wiesz przecież, że mama jest znacznie twardsza niż by się zdawało. Mogła kiedyś być delikatną dworską pięknoscią, ale od tego czasu minęło już przeszło dwadzieścia lat. – Wzięła go pod rękę. – Chodź, nie marnujmy czasu.

Pociągnęła go w stronę paleniska.

Jej słowa naprowadziły myśli Jacka na temat, nad którym dawno się nie zastanawiał.

– Kto jest twoim ojcem? – zapytał.

Po twarzy Tarissy przemknął wyraz zaskoczenia.

– Dlaczego pytasz mnie o to teraz?

– A co w tym złego? Czy to taka wielka tajemnica? Dziewczyna zwróciła się z westchnieniem ku palenisku.

– Był bardzo ważną osobą.

– Był?

– Już nie żyje. – Tarissa odwróciła się w jego stronę. – Proszę cię Jack, nie marnujmy dzisiejszego dnia na grzebanie w przeszłości. Ja nie zadaję ci żadnych pytań i ty też proszę tego nie rób. – Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w usta. – Jeśli już musimy o czymś rozmawiać, mówmy o przyszłości.

Odwzajemnił pocałunek dziewczyny. Jej usta działały na niego jak narkotyk, odciągając umysł od wyznaczonego celu. Nie liczyło się nic poza podążeniem ku skrytej za zębami miękkości.

Kochali się przy płonącym spokojnie ogniu. Było zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Nie było straszliwego szału, wrażenia, że jest to balsam na jego ranę, a jedynie delikatność i dotyk – a także zdumienie, kiedy spojrzął na jej postać. Gdy wreszcie się rozłączyli, nie zważając na klejącą się do siebie, spoconą skórę, czuli czułość, nie ulgę.

Jack uniósł brodę Tarissy i spojrzął jej prosto w oczy. W ich kącikach wzbierały łzy.

– O co chodzi? – zapytał, przestraszony, że zrobił coś złego.

– Jack, tak się o ciebie martwię. Mogę już nigdy cię nie zobaczyć. – Po policzku dziewczyny spłynęła

ciężka łąza. – Obiecuj mi, że nie uczynisz nic lekkomyślnego. Jeśli zrobi się niebezpiecznie, uciekaj tak szybko, jak tylko można.

– Obiecuję. – Złożył dziś już drugą obietnicę. Zdał sobie nagle sprawę, że to, co powiedział mu Rovas, było prawdą. „Gdybyś nie wrócił, Magra i Tarissa nigdy by mi nie wybaczyły”. Mógł chyba zaufać przemytnikowi?

Bardzo dokładnie przemyślał jego plan i kilka szczegółów wciąż go niepokoiło.

– Czy pomagałaś kiedyś Rovasowi przemycać towary do garnizonu? – zapytał, starając się, by jego głos zabrzmiał bez troski.

– Tak. Stałam na straży przy wejściu do tunelu, wypatrując patrolu. – Otarła łzy z oczu. – Czemu o to pytasz?

– Tamtędy właśnie mam uciec. Wchodziłaś kiedyś do tego przejścia?

– Nie, ale słyszałam, że kończy się gdzieś w oficerskich kwaterach. – Zaczęła się ubierać. – Wiesz, że na wejściu do niego leży wielki głaz?

Jack skinął głową. Ucieszył się z tego, co powiedziała Tarissa. Potwierdziło to słowa przemytnika.

– Czy Rovas ci pomoże? – zapytała.

– Nie – odparł Jack. – Powiedział, że dam sobie radę sam. Poza tym okolicę regularnie patrolują żołnierze, byłoby to więc zbyt niebezpieczne.

– Może dla Rovasa. On nie potrafiłby się ukryć nawet w ciemnej stodole. Dla mnie to łatwizna. Zawsze to robiłam. Wdrapywałam się na drzewo, czekając, aż kamień się poruszy, a potem schodziłam na dół, żeby pomóc go odsunąć. Jeśli zbliżał się patrol, pohukiwałam jak sowa i Rovas wiedział, że lepiej zaczekać.

– Nie pójdziesz tam – sprzeciwił się Jack. – To zbyt niebezpieczne.

– Pójdę, pójdę. Rovas nie musi o niczym wiedzieć. Pomogę ci odsunąć głaz. Sama tam trafię.

– Nie zrobisz tego.

– Zrobię. Nie możesz mnie powstrzymać. Była bardzo zdeterminowana.

Choć Jackowi się to nie podobało, podziwiał odwagę Tarissy. Na myśl, że gotowa jest podjąć dla niego ryzyko, zrobiło mu się ciepło na sercu. Złapał dziewczynę za ramię i przyciągnął do siebie. Pisnęła z oburzenia. Wciągała właśnie majtki i wylądowała mu na kolanach w zupełnie niedystyngowanej pozycji. Jack parsknął śmiechem. Nie potrafił się powstrzymać. Uderzyła go w policzek, bez zbytej delikatności, po

czym wstała na nogi.

– Pójdę lam i tyle. Żaden mężczyzna nie będzie mi mówił, co mam robić.

Jak mógł ją powstrzymać? Pod pewnymi względami Tarissa przypominała Mciii. Była diabelnie uparta. Czcęścią jaźni Jack cieszył się z jej postanowienia. Miło było pomyśleć, że będzie na niego czekała.

– No cóż, wygląda na to, że muszę się na to zgodzić. Zrzuciła mu ramiona na szyję.

– Będziesz jednak musiała złożyć tę samą obietnicę, co ja – powiedział, uwalniając się z objęć dziewczyny i odsuwając ją od siebie, by spojrzeć jej w oczy. – Żadnego ryzyka ani pokazów odwagi. Pierwsza oznaka niebezpieczeństwa i znikasz.

– Obiecuję.

Złapał ją mocno za ręce, zastanawiając się, jak wzmocnić tę obietnicę. Wydawało mu się, że to zbyt słaba ochrona dla kogoś tak cennego.

– Przysięgasz na pamięć swego ojca?

Tarissa skierowała na niego spojrzenie głębokich oczu o nie dającym się odczytać wyrazie.

– Przysięgam – odpowiedziała.

Tavalisk jadł wydry. Dokładnie mówiąc, wydry morskie. Te piękne, futerkowe zwierzęta wkrótce po

opuszczeniu macicy miały bardzo miękkie mięso. Te tutaj złapał prawdziwy mistrz: delikatnych czaszek nie szpeciły ślady po ciosach maczugi. Z pewnością je uduszono i to bardzo ostrożnie. Skaliste wybrzeże ciągnące się tuż na północ od Toolay było jedynym miejscem, w którym żyły te rzadkie stworzenia. Według ludzi zajmujących się ich połowem ich liczebność z roku na rok spadała. Arcybiskup nie wierzył w ani jedno słowo tych opowieści. Wszystko to była sztuczka, mająca na celu podbicie cen. Na przykład te sześć ślicznotek. Kosztowały go po sztuce złota. Istny skandal! Niewiele jednak miało się zmarnować. Każe zrobić sobie z ich skórek piękny kołnierz.

Och, ależ były soczyste. Wystarczyło włożyć kość do ust i ssać. Mięso schodziło z nich szybciej niż szaty z kleryka w burdelu. Smak miało właściwie dziwny: trochę słony, trochę rybi i trochę pikantny. Szczerze mówiąc, nie przepadał za nim zbytnio, było jednak drogie. Niekiedy to właśnie było najważniejsze.

Usłyszał pukanie do drzwi i do komnaty wszedł Gamil. W rękę trzymał zapieczętowany woskiem list.

– Właśnie dostarczył go szybki posłaniec, Wasza Eminencjo – oznajmił. – Niósł go aż z Brenu.

Gdy Gamil pochylił się nad nim, by wręczyć mu

pismo, Tavalisk złapał jego szatę i wytarł w nią tłuszcz z dłoni. Sekretarz nie miał innego wyboru, jak zignorować tę zniewagę.

– Ach – powiedział Tavalisk, łamiąc pieczęć. – To od naszego przyjaciela, lorda Maybora. Z pewnością oddano mu w Brenie mój list. – Przebiegł wzrokiem po pokracznych literach. – Pisze jak ślepy mnich. Hmm, nadal jest po naszej stronie, choć zaleca ostrożność. Mówi – Tavalisk zacytował fragment listu: – „... istnieją sposoby na pozbycie się tego nikczemnego łotra bez atakowania planów małżeństwa”. Z pewnością obawia się, że jeśli otwarcie sprzeciwi się temu związkowi, może utracić ziemie i pozycję. Oczywiście to prawda. Kylock jako suweren nie może przecież pozwolić, by któryś z poddanych jawnie lekceważył jego życzenia. Tavalisk czytał dalej.

– W skrócie. Maybor pyta mnie, czy mógłbym użyć swych wpływów celem zamordowania Baralisa. „Jesteś wielkim człowiekiem, który ma kontakty w całych Znanych Krainach. Z pewnością znasz w Brenie kogoś, kto mógłby dokonać tego czynu”. – Arcybiskup wybuchnął wysokim, dźwięcznym śmiechem. – Nie. Nie, mój drogi Mayborze. Na to nie dam się nabrać. Prędzej w Suchych Krainach spadnie śnieg, nim wykonam za kogoś brudną robotę.

– Nie rozumiem. Wasza Eminencjo.

– Otaczają mnie głupcy! – Choć w głosie Tavaliska brzmiała irytacja, w rzeczywistości arcybiskup był raczej zadowolony. Lepiej głupcy niż lisy. – Maybor to samolubny tchórz. Na pewno Baralis czymś go uraził i teraz sądzi, że może wykorzystać mnie, bym się za niego zemścił. – Tłuścioch wziął w rękę żebro wydry i zanurzył je w sosie. Uniósł je do ust i ugryzł, a następnie, mówiąc dalej, zaczął machać nim przed nosem Gamila. – Co prawda, nie lubię Baralisa nie mniej niż inni, lecz nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila, by dokonać zamachu na jego życie. Najpierw należy wziąć pod uwagę inne czynniki.

– Na przykład jakie. Wasza Eminencjo?

– Na przykład, rycerzy z Valdis. Gdyby Baralisa zabito teraz, garnek zostałby zdjęty z ognia. Utraciłbym niepowtarzalną szansę na danie Tyrenowi ostatecznej nauki. – Miał zamiar wspomnieć o swych planach zostania głową kościoła, powstrzymał się jednak. Nie był pewien, do jakiego stopnia może ufać sekretarzowi. – Zresztą jako duchowny nie powinienem sankcjonować morderstwa.

Czyżby Gamil parsknął pod nosem?

– Co więc Wasza Eminencja zamierza uczynić w sprawie Maybora?

Tavalisk przesunął językiem po kości, po czym zaczął ssać jej koniuszek.

– Lord Maybor wkrótce zrozumie, że wplątał się w coś poważniejszego niż zwykle, osobiste rozgrywki. Będzie wówczas potrzebował poparcia przyjaciół. Napisz do niego list stwierdzający, że gdy znajdzie odwagę konieczną, by postąpić zgodnie ze swymi przekonaniem, chętnie wesprę go złotem.

– Bardzo dobrze, Wasza Eminencjo. Czy jest coś jeszcze?

– Rzeczywiście jest. Myślałem o naszym drugim przyjacielu, rycerzu. Od dawna nie otrzymałem o nim żadnych wiadomości. Jeśli pamięć mi dopisuje, Stary chyba wysłał za nim dwóch swoich ludzi, czy tak?

– Tak, Wasza Eminencjo. Podałem zdrajcę przesłuchaniu, by się dowiedzieć, co kombinuje Stary, lecz niestety przesłuchiwany zmarł.

Tavalisk przerwał odrywanie wydrze nogi.

– To była wielka nieostrożność, Gamilu. Zastanawiam się, dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś.

– Błagam Waszą Eminencję o wybaczenie. Brak mi w tych sprawach jego biegłości.

– No cóż, dobrze, że przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę. Mów dalej.

Kończyna oddzieliła się od reszty ciała. Ściągną trzasnęły w bezsilnym proteście. Mięso na nodze nie było tak apetyczne, jak na żebrach.

– Ostatnio słyszeliśmy, że rycerz miał walczyć z obrońcą diuka. Nie zdołałem jeszcze ustalić, czy wygrał, czy też przegrał, wszystkie relacje twierdzą jednak, że był w kiepskim stanie, jest więc wielce prawdopodobne, że wynik nie był dla niego korzystny. Jeśli nawet jeszcze żyje, jego dni są z pewnością policzone. Stary nie słynie z misji miłosierdzia, a jego dwóch ludzi niewątpliwie dotarło już do Brenu.

– Tak, jestem pewien, że już tam są. – Tavalisk stracił zainteresowanie wydrami i odstawił talerz na bok. – Zanim odejdziesz, Gamilu, może mógłbyś wyświadczyć mi drobną przysługę.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł popędzić do dzielnicy targowej. Te wydry morskie są miękkie, obawiam się jednak, że mogą być nieświeże. Bądź tak uprzejmy i załatw dla mnie zwrot kosztów. Powiedz właścicielowi straganu, że zamierzam zachować futra, by ukarać go za sprzedawanie wybrakowanego towaru. Rzecz jasna, jestem też gotowy przyjąć wszelkie podarunki, które może zechcieć mi przekazać, gdy poruszysz kwestię zawiadomienia władz.

Gamil pokłonił się.

– Wasza Ekscelencja jest mistrzem zawołowanych gróźb.

Tawl musiał wydostać się z pałacu. Potrzebował samotności, by pomyśleć, pochodzić po ciemnych ulicach, popatrzeć na gwiazdy. Od wielu dni nie czuł się tak dobrze. Podniósł się z siennika. W pierwszym odruchu zachował się jak rycerz po walce: sprawdził myślą wszystkie mięśnie i ścięgna, każdą komórkę w swym ciele, w poszukiwaniu uszkodzeń. Procedury tej nauczył się w Valdis. Zaczął od serca, posuwając się na zewnątrz wzdłuż linii głównych tętnic. Jego świadomość płynęła z nurtem krwi.

Nagle natknął się na blokadę. Naczynia krwionośne w górnej części klatki piersiowej były uszkodzone, niektóre z nich zatkane. Przeciął je nóż Blayze'a, a zamknęło żelazo, którym wypalono ranę. Doszło również do uszkodzenia mięśni. Będzie trzeba przystawić pijawki, by skłonić krew do popłynięcia przez tkanki. Przeniósł się wyżej. Mózg miał obrzęknięty od nasennych wywarów. Wyobrażając sobie nienaturalne substancje jako zanieczyszczenia, Tawl skoncentrował się na wypłukaniu ich za pomocą krwi. Następnie skierował uwagę na żołądek. Doszło w nim do drobnego wewnętrznego krwawienia, które

było pozostałością po cykucie lub walce. Delikatne obkurczenie naczyń krwionośnych pozwoli śluzówce się zagoić. Nerka wracała już do zdrowia po doskonale wymierzonym ciosie. Był niewielki obrzęk, mógł jednak sobie z tym poradzić.

Wreszcie zajął się kończynami. Niezliczone uszkodzone żyły i tętnice zmuszały go do lawirowania, jak na pełnej kłód drodze. Blayze pozostawił po sobie jakieś dwadzieścia siniaków. Niektóre z nich były ledwie widoczne, inne zaś, jak ten na lewej goleni, otaczały kałuże żółknącej krwi. Tawl pracował szybko, zmuszając krew do płynięcia przez naczynia, którym groziło zamknięcie, i odciągając ją od tych, które były zbyt słabe, by wytrzymać wzmożony przepływ.

Na koniec przyszła kolej na kręgi na ramieniu. Oparzenie goiło się powoli. Wokół strupa tworzyła się nowa skóra. Różowa i lśniąca, delikatna jak u noworodka, zaczynała zarastać ranę. Minie wiele miesięcy, nim ręka odzyska pełną sprawność. Nie mógł w żaden sposób przyspieszyć tego procesu. Nawet metody z Valdis miały pewne ograniczenia.

Ukończywszy przegląd, Tawl wycofał umysł z wnętrza ciała. Towarzyszyły temu lekkie zawroty głowy. Lekarze wykonali dobrą robotę. Przybędzie mu kilka nowych blizn, ale trwałych uszkodzeń nie było

zbyt wiele. Na jego ustach wykwitł słaby uśmieszek. Najwyraźniej, by go zabić, trzeba będzie więcej niż jednego człowieka.

Nigdzie nie było widać Kosiarza. Zapewne wyruszył gdzieś na poszukiwania łupów lub kłopotów i pewnie znajdzie i jedno, i drugie. Tawł uśmiechnął się po raz drugi, tym razem z prawdziwą przyjemnością. Nikt nie potrafił pakować się w kłopoty tak szybko, jak mały ulicznik.

Na stole leżał bukłak pełen *ale*. Tawł wziął go w rękę, wyciągnął zatyczkę i zaczął wylewać zawartość do ognia. Kiedy naczynie opróżniło się w połowie, uniósł je do ust i pociągnął zdrowy łyk. Nigdy już nie zatraci się w piciu, lecz nie potrafił żyć jak święty. Jeden haust jednak wystarczył. Reszta napoju powędrowała z sykiem w płomienie.

Czas już stawić czoło przeszłości. Wsunął nóż za pas i ruszył do kuchni. Ładna posługaczka wskazała mu drogę do wyjścia, po czym napomknęła, że większość wieczorów ma wolne. Pokłonił się jej głęboko. Choć kusila go ta propozycja, odmówił dziewczynie. Była zbyt młoda i niewinna, on zaś potrzebował zbyt wiele. Odarłby ją z wszelkich złudzeń.

Na dworze było zimno. Wiatr kąsał go w policzki,

unosząc ostatnie resztki senności. Idąc ku bramie, czuł ból w piersi. Pałacowi strażnicy pozwolili mu przejść skinieniem dłoni. Cienie robiły się coraz dłuższe. Gdy dotarł na drugi koniec placu, zlały się w jedność i przerodziły się w noc.

Bevlin nie żył. Dokończenie misji nie miałooby teraz sensu. Tawl nie wiedział, dlaczego chłopiec jest ważny i co było mu przeznaczone. Odgarnął włosy znad oczu. Musi uporządkować swe życie. Nie będzie to proste, ale na początek wystarczy. Nie był już rycerzem, lecz żył zgodnie z kodeksem Valdis tak długo, że stanowił on podstawę jego tożsamości. Jego życie wypełniały mu obowiązki i dyscyplina. Głęboko zakorzeniła się w nim potrzeba okazania się godnym. *Es nil hesii*. Nie jestem godny. To były ostatnie słowa na ustach każdego z rycerzy. On również wypowie je przed śmiercią. Valdis będzie mu towarzyszyło aż po grób.

Uniósł obandażowaną rękę. Z pewnością może jakoś naprawić swe błędy. Nie publicznie – dawno już przestało go obchodzić, co myślą o nim inni ludzie – ale osobiście, dla siebie. Nie było dla niego wybaczenia, mógł więc liczyć jedynie na to, że przekona się, iż nie popełnił swych grzechów na darmo. Jedyłą podporą była dla niego złożona niedawno diukowi przysięga. Będzie miał

przynajmniej szansę dobrze się komuś przysłużyć. Jeśli los go pobłogosławi, to nie utraci przy tym honoru.

Składając przysięgę, w pełni zdawał sobie sprawę z jej znaczenia. Nie oszołomił go trunek ani ciosy, nie kręciło mu się w głowie od utraty krwi. Był całkowicie trzeźwy. Przysięga oznaczała rozstanie ze stanem rycerskim i koniec misji. Zdając sobie z tego sprawę, wypowiedział ją z pełną powagą. W pewnym sensie była niewiele więcej niż deklaracją tego, o czym wiedział już od nocy, gdy zamordował Bevlina: nie było dla niego powrotu. W ten sposób zerwał wszelkie więzy z przeszłością.

Skręcił w wąski zaułek, wzdłuż którego stały mroczne budynki. Księżyc w pełni – wcześniej widoczny – skrył się za kominami i dachami. Daleko z tyłu usłyszał kroki, ciche jak odgłos lądującego ptaka. Bezwiednie sięgnął ręką ku nożowi. Było ich dwóch. Wiatr niósł ich zapach, a poza tym płoszyli więcej szczurów niż jeden człowiek.

Broń wysunęła się bezszelestnie z pochwy. Zwolnił, by ścigający mogli go dogonić. Policzył do dwunastu, po czym odwrócił się w ich stronę. Miał nadzieję, że są porządnie uzbrojeni. Dobrze byłoby zginać w walce. Gdy skoczył naprzód, usłyszał czyjś krzyk:

– Spokój, Tawl! Zatrzymaj się. Nie po to przybyliśmy tu aż z Rornu, by dać się zamordować w ciemnej uliczce, prawda, Ciem?

Ciem potrząsnął głową.

– Nie po to, Moth.

Tawl stanął pewnie na nogach. Nie mógł w to uwierzyć. Dlaczego śledziło go dwóch ludzi Starego? Po krótkiej chwili sam sobie odpowiedział na to pytanie: przybyli do Brenu zabić go za to, że zamordował Bevlina. Nie sprawiali jednak wrażenia żadnych krwi.

– Widzę, że wreszcie znalazłeś sobie porządną broń – zauważył Moth, wpatrując się w jego nóż. – Oczywiście Ciem ma lepszą, prawda Ciem?

Drugi łotrzyk skinął z entuzjazmem głową.

– Widzę, że trochę się dziwisz, że (u jesteśmy, przyjacielu – ciągnął Moth. – Muszę przyznać, że sami jesteśmy lekko tym zaskoczeni. Nigdy nie myślałem, że zobaczymy piękne, mosiężne blanki Brenu, prawda, Ciem?

– Nie mosiężne blanki. Nie, Moth.

Tawl nie wiedział, jak zareagować. Jakaś jego część pragnęła uścisnąć obu mężczyznom dłonie i zaprosić ich do gospody. Inna była jednak zbyt głęboko zawstydzona i mogła jedynie czekać, aż sami

zdradzą swój cel. Ile wiedział Stary?

– Trudno cię wytropić, przyjacielu. Gdyby nie Ciem, nigdy nie udałoby się nam cię znaleźć.

– Dlaczego ja, Moth?

– Przecież to ty nalegałeś, żebyśmy poszli na przechadzkę w blasku księżyca w pełni.

Ciem uśmiechnął się z dumą.

– To fakt. Moth.

– A więc zasługa przypada tobie. Ciem.

– Ale to ty go zauważyłeś, Moth.

– Racja, Ciem. Powiedziałbym, że Stary może być dumny z nas obu.

– Po co tu przybyliście? – zapytał wreszcie Tawl. Odnosił nieodparte wrażenie, że jeśli zostawić ich samym sobie, Moth i Ciem będą tak gawędzić całą noc. – Chcecie mnie zabrać do Starego?

– Bynajmniej, przyjacielu. Gdyby taki był nasz plan, nie stałbyś teraz tutaj. Prawda, Ciem?

Moth miał rację. Podczas ich poprzedniego spotkania Tawl nie usłyszał nawet, że się zbliżają.

– Mamy dla ciebie list, prawda, Ciem?

Tawl poczuł po obu stronach czoła gwałtowne uderzenia pulsu. Nozdrza wypełnił mu smród rzeźni.

– A od kogo?

Moth zdjął czapkę. Szturchnął łokciem Clenia,

który zrobił to samo.

– Od zmarłego niedawno tragiczną śmiercią Bevlina. Tawł nie mógł patrzeć na żadnego z nich.

– Dlaczego chcecie go oddać mnie?

– Dlatego, że jest do ciebie adresowany, przyjacielu – odparł Moth. – Ów dobry człowiek na krótko przed śmiercią wysłał do Starego pismo, wewnątrz którego znajdował się drugi list. Najwyraźniej przekazał instrukcje, że... – Zwrócił się w stronę towarzysza. – Jak to ujął, Ciem?

– Że w przypadku jego śmierci list należy przekazać rycerzowi. Moth.

– Piękna robota, Ciem. Nikt nie potrafi zapamiętać tekstu słowo w słowo tak bezbłędnie, jak ty.

Tawła dopadły mdłości. Zawędrował tak daleko, złożył przysięgę, która skazywała go na wieczne potępienie, i zaczął wreszcie godzić się ze swym losem. Nie chciał wskrzeszać przeszłości. Kryła w sobie zbyt wiele wspomnień, które mogły pociągnąć go w przepaść. Jedyным wyjściem było dla niego zostawić to wszystko za sobą.

– Nie chcę tego listu.

Moth wyglądał na lekko zmieszanego.

– No cóż, musimy ci go oddać, przyjacielu. Zechcesz to uczynić, Ciem?

Ciem sięgnął pod bluzę i wydobył stamtąd złożony w pół kawałek pergaminu. Choć było ciemno, w wosku wyraźnie widać było pieczęć Bevlina. Miała kolor krwi. Ciem podsunął list Tawlowi, który – bez względu na wszystko – nie potrafił się powstrzymać przed wyciągnięciem ręki. Jego palce pragnęły dotyku gładkiej powierzchni pergaminu. Gdy jednak miał już ująć list w dłoń, zza kominów wyłonił się wielki księżyc w pełni. Wydawało się, że zajmuje całe niebo, lecz jego światło skupiało się tylko na jednym miejscu: ramionach Tawla. Skrywający kręgi bandaż zaślnił biało w jego blasku. Tawl cofnął odruchowo rękę i księżycowa poświata podążyła za jego ruchem. Schował rękę za sobą, lecz światło w jakiś sposób wciąż padało na bandaż. Pod płótnem były kręgi, a pod kręgami człowiek niegodny ich nosić.

Nie był już rycerzem z Valdis. Nie miał misji. Nie miał prawa przyjąć listu. Służył teraz diukowi Brenu, nie pamięci Bevlina.

– Nie mogę wziąć tego listu. Przykro mi. Gdybyście znaleźli mnie przed czterema dniami...

Nie potrafił nawet dokończyć tej myśli, nie mówiąc już o ubraniu jej w słowa.

– Ale zawędrowaliśmy tak daleko – sprzeciwił się Moth. – Stary nie będzie zadowolony, prawda, Ciem?

– Wręcz się wścieknie, Moth.

– Posłuchaj, obaj z Clemem sobie pójdziemy. List zostawimy na ziemi. Będziesz mógł go sobie wziąć i nikt się o niczym nie dowie.

Tawl uśmiechnął się do Motha, potrząsając głową.

– To nie jest takie proste. Chciałbym, żeby było, ale tak nie jest.

– Bardzo nas martwi, że jesteś taki przygnębiony. Tawl – mówił Moth. – Czy moglibyśmy ci jakoś pomóc, tak po cichu? Stary nie musi o niczym wiedzieć.

– Nie, to niemożliwe. Ale i tak wam dziękuję. – Tawl wyciągnął rękę i uściskał ramiona obu mężczyzn. – Zostawcie mnie już, proszę. A z listem zróbcie to, co musicie.

Moth i Ciem odsunęli się na chwilę i wymienili pośpiesznie kilka słów.

– Ciem chce wiedzieć, czy potrzebujesz gotówki – oznajmił Moth.

– Nie, dziękuję, Ciem.

Ledwie mógł znieść ich dobroć. Nie zasłużył sobie na nią. Znowu kilka pośpiesznie wyszeptanych słów i obaj zwrócili się w jego stronę.

– No cóż – stwierdził Moth. – Wygląda na to, że musimy już ruszać. Postanowiliśmy, że jednak

zostawimy tu list, prawda, Ciem? Nie możemy z nim wrócić. To nie wyglądałoby dobrze.

Ciem skinął głową z poważną miną i położył pismo u stóp Tawla.

– Obaj z Clemem życzymy ci zyskowej podróży.

– I zdrowia w domu – dodał Ciem.

– Pięknie powiedziane, Ciem – pochwalił go Moth. Obaj oddalili się tyłem, jakby Tawl był królem. Gdy dotarli do końca zaułka, pożegnali go bezgłośnym salutem i zniknęli w miejskim mroku.

Tawl pragnął przywołać ich z powrotem. Ale tego nie zrobił. Chciał przeczytać list. Ale nie mógł. Stał w blasku księżyca – samotna postać bez płaszcza – czekając, aż poczuje się gotowy. List poruszył się na wietrze. Jego rogi uniosły się kusząco. Przez chwilę widać było fragment tekstu, naskrobanego brzydkim charakterem pisma Bevlina. Tawl wiedział, że musi już iść. Gdyby został dłużej, uległby pokusie i otworzył list. Jego dusza krzyczała głośno, że chce go przeczytać. Obowiązek mu tego zabraniał. Był teraz na rozkazy diuka. Jedna złamana przysięga wystarczy. Odwrócił się i odszedł.

Skryty w mroku Kosiarz obserwował wszystko, ledwie ważąc się oddychać. Każdą, cząstką drobnego jeszcze ciała próbował skłonie Tawla do podniesienia listu, ten jednak tego nie zrobił. Rycerz – gdyż dla ulicznika zawsze miał pozostać rycerzem – oddalił się od leżącego na ziemi pisma, nie spoglądając za siebie. Serce Kosiarza ścisnął ból, po policzku spłynęła mu łza, a uszy wypełniło echo słów Szybciora: „To właśnie spotyka tych, którzy podglądają tam, gdzie ich nie prosili”.

Jak jednak mógłby pozwolić, by Tawl poszedł do miasta sam? Rycerz był słaby, ranny i najwyraźniej pomyłony. Wylał do ognia cały bukłak *alei* Ktoś taki wymagał starannej obserwacji.

Kosiarz śledził go już od chwili, gdy wstał z siennika. Wyszedł za nim z pałacu. Strażnicy sprawili mu trochę kłopotów. Nie chcieli wierzyć, że jest gościem diuka. Chłopak prychnął z oburzenia. Szybko dał im nauczkę. Przeprosili go nawet i zaproponowali,

że podziela się z nim kolacją. W tej chwili zaczynał żałować, że nie skorzystał z ich propozycji. Miał w żołądku dziurę wielkości porządnego wieprzowego pasztetu, która robiła się coraz większa. Były chwile, gdy obawiał się, że brzuch go zdradzi. Podczas rozmowy dwóch ludzi Starego z rycerzem burczało mu w nim straszliwie.

Wiedział, że przychodzą od Starego, nim jeszcze otworzyli usta. Ich groźne, niepodobne do siebie postacie dobrze znano na ulicach Rornu. Nikt ich nie zaczepiał. Wszyscy się zgadzali, że to bardzo niebezpieczna para. Specjalizowali się w biciu opornych sklepikarzy. Kosiarz nie pamiętał ich imion, lecz twarze trudno było zapomnieć.

Kiedy ich zauważył, pomyślał, że pokroją Tawla na plasterki. W pewnej, przerażającej chwili przemknęło mu przez głowę, że będzie musiał rzucić się przyjacielowi na ratunek. Znowu. Tak się jednak nie stało. Chcieli tylko porozmawiać z rycerzem. Wydawali się wręcz przyjaźnie nastawieni. Kosiarz skłaniał się do przypuszczenia, że zamierzają go porwać – zwłaszcza w chwili, gdy ten większy sięgnął ręką za pazuchę. Nie wydobył jednak noża, lecz list.

Ulicznik szybko podkradł się bliżej. Chciał usłyszeć, co mówią. Był tylko o kilka stóp od nich.

Ciało przycisnął *do* butwiejącego drewna, a stopy wetknął w kupkę... nieczystości. Po palcach nóg kąsały go zawzięte szczury, a na wietrze unosił się smród rzeźni. Zupełnie jak w domu. Słyszał wszystko. List był od Bevlina i Tawl nie chciał go wziąć. Choć rycerz był nieustępliwy, chłopak nie wątpił, że podniesie pismo, gdy tylko słudzy Starego sobie pójdą. Nie zrobił tego jednak. Przed dwoma minutami oddalił się, zostawiając opieczętowany list na ziemi.

To nie było w porządku. Nie ma mowy, by on, Kosiarz, przyjaciel wybitnych złodziei i w swoim czasie uczeń Szybciora, zostawił pismo tam, gdzie mogła je sobie wziąć byle mleczarka albo tragarz. Nie. Było prywatną własnością. Tawl mógł go nie chcieć, lecz Kosiarz z pewnością chciał.

Spojrzał szybko w lewo, a potem w prawo, powęszył i – brodząc w nieczystościach – wyszedł na ulicę. Podszedł prosto do listu i schował go za pazuchę. Co dziwne, przez całe życie Kosiarz nie uważał się właściwie za złodzieja. Kradzież kieszonkowa była raczej rozrywką niż zbrodnią. Dopiero teraz, gdy wracał do pałacu z listem pod bluzą, po raz pierwszy miał wrażenie, że wziął coś, co nie należy do niego. Poprzysiągł sobie, że nigdy nie otworzy tego pisma. Było własnością Tawla i miał obowiązek zachować je

dla niego.

Gdy tylko Rovas wysadził go z wozu, Jack zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak nieść beczkę *ale*. Była szersza niż człowiek. Nie mógł ułożyć jej wygodnie na ramieniu ani złapać pewnie, by dźwigać ją przed sobą. Nie pomagały mu też spocone dłonie. Bał się. Mówić o zamordowaniu Vanly'ego to jedno, a spełnienie obietnicy to coś całkiem innego. Znajdował się na drugim końcu miasteczka. Według słów Rovasa garnizon leżał półtorej mili na południe stąd.

Uniósł beczkę po raz ostatni, pochylił głowę i zarzucił sobie ciężar na ramiona. Jeśli trzymał tułów pochylony do przodu, mógł nią balansować na plecach. Rovas wypełnił ją niemal całkowicie. Idąc chłopak słyszał pluskanie *ale*. Bezwładność płynu przeszkadzała mu, spowalniając ruchy i myląc kroki. Zapewne wyglądał na pijanego.

Po pięciu minutach poczuł, że faktycznie musi się trochę napić. Wygięte pod nienaturalnym kątem plecy ugniatał straszliwy ciężar. Mięśnie ramion zaczynały protestować przeciw tak długiemu unoszeniu ich nad głowę. Wypłynęło już z niego tyle potu, że mógłby nim wypełnić drugą beczkę. Najbardziej jednak przeszkadzały mu włosy. Ich mokre kosmyki opadały mu na twarz, tak że nie widział, dokąd idzie.

Postawienie beczki nie wchodziło w grę – gdyby to teraz zrobił, nie był pewien, czy zdołałby ją podnieść – zmuszony był więc iść dalej, wpatrując się we własne stopy.

Było chłodno, lecz nie zimno, a księżyc w pełni świecił jasno, oświetlając każdy krok. Nie była to najlepsza noc na dyskretną ucieczkę. Dźwiganie *ale* uspokajało nerwy Jacka. Podczas jazdy zaschło mu w gardle tak bardzo, że nie mógł się odezwać do Rovasa ani słowem, teraz jednak, gdy musiał skoncentrować się na dźwiganiu ciężaru dorównującego wagą Tarissie, lecz znacznie mniej poręcznego, myślał tylko o wykonaniu zadania.

Próbując poprawić sobie nastrój, zaczął gwizdać jakąś melodię. Natychmiast zrozumiał, że to błąd. Cichy dźwięk sprawił, że noc wydała się jeszcze straszniejsza. Postanowił jednak, że nie przerwie, przynajmniej dopóki nie dotrze do refrenu.

Wyprzedził go wóz pełen ludzi. Byli pijani i weseli. Ryknęli śmiechem na widok jego brzemienia. Jack uśmiechnął się i pochylił jeszcze bardziej. Był już blisko garnizonu. Zbliżając się od północy, dotrze najpierw do wejścia dla służby. Droga stała się błotnista. Minęło go dwóch wędrujących na piechotę ludzi, którzy nie zwrócili uwagi na dźwigającego

beczkę chłopaka. Gdy Jack wszedł w cień fortu, ponownie poczuł suchość w gardle.

Goście, którzy przybyli wozem, prosili o wpuszczenie do środka. Zgodnie ze słowami Rovasa przy wejściu stało dwóch uzbrojonych we włócznie i krótkie miecze wartowników. Wszyscy się śmiali, w tym również żołnierze. Z wozu zdjęto kosz z pokrywką, który otworzono celem inspekcji. Nozdrza Jacka zaatakowała woń pieczonego kurczaka. Ogarnęły go mdłości. Żołądek tak mu się skurczył, że nie mógł nawet myśleć o jedzeniu. Przerzuciwszy zawartość kosza i wybraawszy kilka smakołyków dla siebie, strażnicy przepuścili grupę, po czym skierowali uwagę na Jacka. – Co tu masz, chłopcze?

Zsunął beczkę z pleców i postawił ją przed nimi na ziemi, kurkiem do góry. Odgarnął włosy z twarzy i wskazał na swój ładunek.

– Coś z tobą nie tak? – zadrwił drugi żołnierz. – Zapomniałeś języka w gębie?

Serce Jacka waliło tak mocno, że był pewien, iż wartownicy to usłyszą. Potrząsnął gwałtownie głową, a po chwili namysłu pokłonił się strażnikom głęboko.

– Jest niemy – orzekł pierwszy żołnierz. – Pewnie też trochę głupkowaty.

– Ehe, to fakt – zgodził się jego towarzysz. – Włosy

też ma deczko przydługie. Nie pamiętam, żebym widział w mieście kogoś z takimi włosami. Skąd pochodzisz, chłopcze?

Jack nie miał innego wyboru, jak wskazać ręką w stronę miasta.

– Nie dowiesz się od niego wiele, Wesik. Brak mu rozumu. Pewnie Ottley przyjął go do pracy w gospodzie. On zawsze szuka tanich pracowników.

Jack skinął z wigorem głową. Miał ochotę wesprzeć ten gest głupawym uśmiechem, lecz zamiast tego pokiwał tylko głową jeszcze trochę.

– Słyszałeś, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu w gospodzie, Grimpley? – wtrącił Wesik, drugi strażnik. – Z zimną krwią zamordowano kupca. Poderżnięto mu gardło i tak dalej. Skąd wiesz, że nie zrobił tego ten długowłosy młodzieniec?

– Daj spokój, Wesik. To nie zabójca. Wyrobił sobie mięśnie dźwigając beczki, nie ciała.

Jack ponownie kiwnął głową. Zmęczyło go już udawanie głupiego. Miał ochotę zdzielić obu mężczyzn w gębę. Najpierw Wesika.

– No dobra, dobra. Jak sobie chcesz. Co jest w tej beczce, chłopcze? Sądząc po kurku, bursztynowe israńskie.

Jack skinął głową.

– No to nie stój tak. Nalej nam kufel – ciągnął Wesik. Jack nie miał pojęcia, jak się otwiera kurek.

– No jazda. Pospiesz się.

Gdy sięgał do kurka, ręce drżały mu niepowstrzymanie. Przeklinał pod nosem Rovasa za to, że nie pokazał mu, jak to się robi. Kurek był wykonany z mosiądzu. Miał zasuwkę, dźwignię i sterzącą z niej śrubę. Chłopak najpierw złapał za dźwignię, a potem spróbował obrócić śrubę. Obaj strażnicy stali tuż obok, obserwując każdy jego ruch. Jack nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się poci, dopóki nie otarł dłonią czoła. Było zupełnie mokre. Gdy już odkręcił śrubę na tyle, że *ale* mogłoby popłynąć, odsunął zasuwkę. Nic.

– W co ty grasz, chłopcze? – warknął Wesik.

Jack miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Ogarnięty paniką, zaczął szarpać, ciągnąć i obracać kurkiem, rozpaczliwie próbując sprawić, by *ale* popłynęło.

Wesik kopnął go w tył głowy.

– Cholerny dureń!

W czasie Jacka eksplodował ból. Chłopak poleciał na beczkę, uderzając brodą w metalowy kurek.

– Zostaw chłopaka, Wesik – powiedział Grimpey, powstrzymując towarzysza ruchem ręki. – Idą panie.

Jack poczuł w ustach smak krwi. Podniósłszy

wzrok, zauważył trzy zbliżające się na piechotę kobiety.

– Masz broń, chłopcze? – zapytał Wesik. Jack potrząsnął głową.

Grimpley przesunął grotem włóczni wzdłuż bluzy i nóg Jacka, naciskając mocniej co kilka cali w poszukiwaniu metalu.

– Nic przy sobie nie ma.

Wesik przykucnął obok Jacka i złapał go za kołnierz koszuli.

– Posłuchaj, chłopcze – wycedził cichym, pełnym groźby głosem. – Dam ci piętnaście minut. Jeśli do tej pory nie wyjdiesz, pójdę cię poszukać. – Między zębami wartownik miał kawałki skóry kurczaka. Pociągnął Jacka za kołnierz. – Kapujesz?

Chłopak pokiwał głową.

– Dobrze. A teraz znikaj mi z oczu.

Jack podniósł się, przechylił lekko beczkę i dźwignął ją przed sobą. Wydawała mu się dwukrotnie cięższa niż przedtem. Na drewnie pokazała się jego krew. Żołnierze wpuścili go do środka.

– Piętnaście minut, chłopcze. Polem pójdę cię poszukać – powtórzył Wesik, odczekawszy, aż Jack zejdzie ze schodów.

Chłopak zniknął za pierwszym rogiem. Postawił

beczkę na ziemi, nie dbając o to, jak wyląduje. Dręczyły go zawroty głowy, dłonie mu drżały, a z ust płynęła krew. Piętnaście minut. Nie ma czasu do stracenia. Musi rozbić beczkę.

Rozległ się odgłos kroków, a potem szepty. Były to trzy kobiety, które widział przy bramie. Minęły Jacka, zupełnie jakby nie istniał. Rozejrzawszy się wokół, zorientował się, że stoi w słabo oświetlonym kącie dziedzińca. W oddali, pod murem, dwóch mężczyzn grało w kości. Byli to wartownicy. Na ziemi, obok płaskich bukłaków, leżały włócznie. Po prawej wznosił się wielki, dobrze oświetlony budynek o otwartych okiennicach. Pełno w nim było pijących, wznoszących toasty ludzi. Zapewne była to kantyna. Łączył się z nią mniejszy budynek: kuchnie.

Co zrobić teraz? Jack czytał opowieści o bohaterach. Zawsze, bez wyjątku, wiedzieli, co zamierzają uczynić i jak się do tego zabrać. On nie miał o tym pojęcia. Rovas mówił, że łatwo mu będzie znaleźć łom, by otworzyć nim beczkę, chłopak nie wiedział jednak, gdzie szukać czegoś takiego. Nadałaby się jedna z należących do żołnierzy włócznie, lecz próba jej kradzieży byłaby szaleństwem. Może znajdzie coś w kuchniach. Trzeba spróbować.

Podjąwszy już decyzję, Jack nie marnował czasu.

Potoczył beczkę w głąb mrocznego rogu i osunął się pod zachodnim murem. Po chwili ruszył do kuchni. Zajęci grą w kości strażnicy nawet nie zauważyli, że przechodził. Przemknął szybko pod murem kuchennego budynku i zanurzył się w znajdujący się za nim wąski zaułek. Od drzwi biła woń pieczystego. Z kantyny dobiegał dźwięk śmiechów i śpiewów, a z kuchni kłótni i wrzasków.

Trzymając się blisko rzucającego cień muru. Jack zbadał kuchenny dziedziniec. W jego rogu stał rzeźnicki pniak. Oczy chłopaka poszukały blasku topora. Z drzwi wyszedł odziany w fartuch mężczyzna. Jack wstrzymał oddech, widząc, że kieruje się on w stronę muru, do którego przywarł. Po plecach spływały mu strugi potu. Nieznajomy zatrzymał się o dwie długości konia od niego. Księżyc wybrał akurat ten moment, by zniknąć za chmurą. Jack podziękował bezgłośnie Borcowi. Intruz uniósł fartuch, rozwiązał dolne sznurki bluzy i wy dobył spod niej swą męskość. Odlął się pod murem, nucąc przy tym jakąś melodię. W prawej nodze Jack zaczął odczuwać kurcze. Oparł się pragnieniu przełożenia ciężaru ciała na lewą kończynę. Nie wolno mu było drgnąć nawet o cal.

Nieznajomy załatwił się wreszcie, popatrzył z dumą na swą męskość i wepchnął ją pod bluzę.

Zatrzymał się na chwilę, jakby czegoś nasłuchiwał, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem do kuchni. Odetchnąwszy głośno z ulgą. Jack pochylił się, by rozciągnąć obolały mięsień. Nozdrza wypełniła mu woń moczu.

Zaczynało mu brakować czasu. Opadł na czworaki i zaczął się czołgać przez dziedziniec w kierunku pniaka. Z miejsca, w którym się znajdował, nie widział topora, lecz po drugiej jego stronie z pewnością znajdzie coś użytecznego.

Powłóczył jedną nogą. Kurcz nie ustąpił. Wiedział, że wygląda głupio, nie było to jednak ważne. Liczyło się tylko to, by jak najszybciej otworzyć beczkę. Choć od kilku dni nie padało, grunt był błotnisty. Podejrzewał jednak, że to krew zwilżyła ziemię wokół pniaka.

Sprzyjało mu szczęście. Za pniakiem leżał rzeźnicki hak. Topór byłby lepszy, ale dobre i to. Zatknął go sobie za pas i poczołgał się z powrotem pod mur.

Zaczął się robić niebezpiecznie. Nie mógł dopuścić do tego, by ktokolwiek zobaczył go w bluzie upapranej błotem i krwią. Żołnierze zaprzestali gry. Jeden z nich osuszał trzeci bukłak, drugi zaś poddawał ogłędzinom grot włóczni. Jack wynurzył się z zaułka i

skrył pod murem. Zza chmur wychynał księżyc. Ile czasu minęło? Pięć minut? Dziesięć? Nie potrafił tego określić. Jedno było pewne: nie mógł sobie pozwolić na czekanie, aż księżyc znowu zniknie. Ruszył naprzód, przyciskając plecy do muru. Wszystko szło dobrze, dopóki nie potknął się o korzeń, który w jakiś sposób przecisnął się pod murem. Obaj strażnicy podnieśli wzrok. Jack zamarł. Żołnierz, który trzymał włócznię, ruszył w stronę muru. Chłopak modlił się, by nie zauważył go w cieniu.

– Daj spokój, Bomis. To tylko szczury – zawołał drugi wartownik. – Chodź łyknąć trochę *ale*, zanim sam wysuszę bukłak.

Żołnierz wahał się chwilę, po czym wrócił do towarzysza.

Jack zmusił się do policzenia do stu, nim znowu ruszył z miejsca. Czas miał teraz kluczowe znaczenie.

Dotarł do celu bez dalszych incydentów. W załomie murów panowała przyjemna ciemność, lecz – chcąc się zabezpieczyć – Jack przetoczył beczkę do skrytej za bramą wnęki. Nikt go teraz nie zobaczy, choć jeśli nie będzie ostrożny, stojący na zewnątrz strażnicy mogą go usłyszeć. Złapał hak i wepchnął jego czubek w szczelinę między deskami. Dlaczego dłonie wciąż mu drżały? Delikatnie, bardzo delikatnie,

ruszając hakiem w obie strony, wypychał go coraz głębiej. Rozległ się odgłos pękającego drewna i narzędzie ugrzęzło. Jack złapał za rękojeść i pchnął ją z całej siły. Trzask! Beczka się otworzyła. Na jego stopy trysnęło *ale*. Nigdy w życiu nie czuł piękniejszego zapachu.

Gdy pękły dwie deski, łatwo było wbić pozostałe do środka. Metalowe obręcze nie stanowiły już problemu. Jack podważył pokrywę i – tak jak się tego spodziewał – znalazł przytwierdzony do niej od spodu, owinięty w impregnowaną tkaninę nóż. Rovas nie kłamał. Chłopak rozwinął zawiniątko, wytarł ostrze o bluzę i sprawdził je na palcu. Było tak ostre, że nawet nie poczuł, gdy przecięło mu skórę.

Podstawił złożone dłonie pod dziurę w beczce i nałapał w nie sporo pianistego napoju. Uniósł go do twarzy i nie tyle wypił *ale*, co wykapał się w nim. Odrobina, która znalazła drogę do jego ust, smakowała wyśmienicie. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Uniósł pozostałość beczki nad głowę i wylał sobie jej zawartość na pierś. Jeśli ktoś go teraz zobaczy, uzna go za kolejnego opitego piwem durnia.

Zostało niewiele czasu. Pora brać się do roboty. Jak mówił Rovas: kwatery dla oficerów znajdują się na lewo od wejścia dla służby? Tuż przed wynurzeniem

się z cienia, Jack odwrócił się i sięgnął po hak. Może mu się przydać.

Strażnicy przy bramie byli zajęci przesłuchiowaniem kolejnego gościa i nie zauważyli, jak przemknął obok nich. Chłopak podążał wzdłuż muru, dopóki ten nie skręcił w kierunku wschodnim. Ani na moment nie zapominał o nakreślonej przez Rovasa w mące mapie. Zgodnie ze słowami przemytnika, przed nim znajdowała się zadaszona arkada. Przemykając się pod wewnętrzną ścianą, Jack natknął się na belkę wspornikową. Przykucnął tak, by jego głowa znalazła się poniżej poziomu oczu stojącego mężczyzny, i zajrzał w głąb arkady. Dwuskrzydłowe drzwi. Dwóch strażników. Czekanie na zmianę warty nie wchodziło w grę. Nie miał na to czasu. Co robić? Jak zachowaliby się w takiej sytuacji bohaterowie? Bezgłośnie posiekali obu wartowników na plasterki?

Nogi chłopaka protestowały przeciw skulonej pozycji, postanowił więc wstać. Zatknięte za pas metalowe narzędzie zahaczyło o materiał portek, rozdzierając je aż do pasa.

– Do licha! – mruknął Jack pod nosem. Złapał za hak i miał go już odłożyć na ziemię, gdy jego uwagę przyciągnęły czyjeś głosy. Po drugiej stronie dziedzińca, za drewnianymi kolumnami arkady,

zobaczył grupę kobiet i oficerów – w sumie siedem lub osiem osób – zmierzających w jego stronę.

Miał hak w ręku. Mógł zrobić tylko jedno. Trzymając się blisko belki i jej cienia, zamachnął się prawą ręką, wkładając w ten gest całą swą siłę. Cisnął z rozmachem metalowym przedmiotem, celując w oficerów i towarzyszące im kobiety.

Hak przemknął na tle nieba niczym srebrna błyskawica. Rozległ się głuchy łoskot, a potem okrzyk bólu. Później rozpętało się istne piekło. Kobiety darły się w panice, mężczyźni wzywali krzykiem pomocy. Ze wszystkich stron zbiegali się strażnicy. Narzędzie wbiło się jednemu z oficerów w kark.

Żołnierze stojący pod dwuskrzydłowymi drzwiami opuścili posterunek i pognali ku oficerom. Jack wymknął się zza słupa i pobiegł wzdłuż cienistej arkady. Drzwi były otwarte. Przedostał się przez nie w jednej chwili. Co powiedział Rovas? Schody po prawej. Pierwsze drzwi.

Pobiegł w górę. Od wejścia dzieliło go zaledwie kilka stóp. Zatrzymał się na progu, by odzyskać dech w piersiach. Wyciągnął nóż spod bluzy, odgarnął włosy z oczu, uniósł zapadkę i wpadł do izby.

Unosiła się na chmurach tak wysoko, że dotarła do miejsca, gdzie firmament przechodził w niebiosą.

Cienka niebieska linia, a potem nic oprócz bieli. Ból dawno już zniknął. Czuła, że coś odciągają od ciała. Nie przez oczy, usta czy nos, ale przez bok. Wyciekała przez otwór między żebrami.

Olej na jej czole, liść tymianku na języku, krew skapująca powoli do miski.

– Odchodzi od nas. Wasza Miłość. Straciła zbyt wiele krwi. Jej dłoń uścisnęła silna, pokryta stwardnieniami ręka.

– Melli. Musisz przygotować duszę na spotkanie z Bogiem. Czas zaprzestać kłamstw. Niebo czeka tylko tych, którzy gotowi są wyznać prawdę.

Cienka niebieska linia stała się jeszcze cieńsza. Biel była tak blisko, że ocierała się o jej policzki. Gorąca i zimna, twarda i miękka, bezpieczna, lecz zarazem groźna.

– Mów, dziecko. Powiedz nam, kim są twoi krewni, by twoje ciało nie zgniło, czekając na ojca, który je pochowa.

Chmury niosły ją w górę, ku matce. Słowa przychodziły jej z trudnością. Tymianek na języku był ciężki jak ołów.

– Powiedzcie ojcu, że go przepraszam.

– Musimy się najpierw dowiedzieć, kim jest.

To, co zostało z niebieskiej linii, zaczęło migotać i

blednąc. Wiedziała, że musi odpowiedzieć, nim zniknie.

– Maybor, możnowładca ze Wschodnich Ziem. To on jest moim ojcem.

Zewsząd otoczyła ją biel. Zakradła się do jej ciała przez otwór w boku. Zaczynała wypierać stamtąd resztki jaźni.

– Trzeba ją uratować za wszelką cenę. Nie obchodzi mnie, do czego się odwołacie, do czarów, czy diabelstwa. Ocalcie ją!

Na łożu zobaczył mężczyznę leżącego na kobiecie. Po jej twarzy spływały łzy. Na policzku wyraźnie widać było odcisk dłoni, a z ust sączyła się krew.

– Pomóż mi – załkała.

Vanly zerwał się z łoża, jedną ręką podciągając portki, a drugą sięgając po miecz. Jack rzucił się naprzód. Ciął nożem lewą dłoń przeciwnika. Mężczyzna pozwolił, by jego spodnie opadły na podłogę. Jack miał czas podziękować Borcowi za to, że koszula kapitana jest wystarczająco długa, aby zakryć jego organy. Nie podobała mu się myśl o walce z nagim człowiekiem. Vanly cofnął się. Zrzucił kopniakiem portki, które pofrunęły w stronę Jacka. Chłopak musiał się uchylić. Dało to jego przeciwnikowi czas na pewne uchwycenie miecza.

Kapitan rzucił się przed siebie, ściskając oręż w obu dłoniach, na sposób Halcusów. Jack skoczył na łożo. Kobieta krzyknęła. Miecz oficera przeciął pościel. Jack przeszedł nad leżącą i zeskoczył po drugiej stronie. Vanly musiał się odwrócić, by się bronić. Nogi miał skrzyżowane, a ciężar ciała nieodpowiednio rozłożony. Jack wykorzystał ten fakt, zmuszając przeciwnika do dalszego odwracania się za pomocą serii szybkich ataków na jego lewe ramię. Rozgniewany podobną zniewagą Vanly nie mógł zrobić użytku ze swego potężnego miecza, gdyż jego stopy były zbyt blisko siebie. Zamachnął się jak szalony. Używanie miecza jak noża było straszliwym błędem. Był zbyt ciężki. Jack uchylił się i znalazł miejsce na to, by przejechać ostrzem wzdłuż boku przeciwnika.

Vanly cofnął się o krok pod wpływem szoku. Pod wysmarowanymi tłuszczem wąsami, jego usta przerodziły się w wąską linię.

Jack wiedział, że powinien walczyć z bliska, nie może pozwolić, by nieprzyjaciel znalazł miejsce na zrobienie właściwego użytku z broni. Skoczył na niego. Vanly uniósł oręż i chłopak był zmuszony powstrzymać atak. Nie czuł się gotowy do nadziania na halcuski miecz.

Poczuł coś pod nogą: nogawki portek kapitana. Odbijając cios, zauważył, że jego przeciwnik stanął obiema nogami na drugim ich końcu. Pochylił się i szarpnął z całej siły za materiał. Vanly stracił równowagę i zatoczył się do tyłu. Jack runął na niego z wyciągniętym nożem. Kapitan nie trzymał już miecza w obu dłoniach, gdyż jedną musiał się podeprzeć. Oznaczało to koniec walki. Tak masywną broń trzeba było dzierżyć w dwóch rękach. Chłopak skoczył naprzód i wbił nóż w serce przeciwnika. Miecz Vanly'ego upadł z brzękiem na podłogę. Jego właściciel osunął się w ślad za nim.

Jack nie miał czasu radować się triumfem. Na schodach słyhać było krzyki. Zamknął drzwi i zwrócił się w stronę kobiety.

– Pomóż mi przesunąć łożo.

Była zbyt wstrząśnięta, by mogła go nie posłuchać. Otarła łzy z oczu i krew z ust, wstała z łoża i stanęła obok chłopaka. Wspólnie przesunęli dębowy mebel. Przyszło im to z łatwością.

Pod spodem ujrzeli wystający nieco nad poziom podłogi kwadrat: zapadnię. Jack poczuł tak wielką ulgę, że złapał kobietę i pocałował ją.

– Przepraszam. Nie chciałem tego zrobić – powiedział, szybko zdając sobie sprawę, że w tej

chwili zapewne panicznie boi się wszystkich mężczyzn.

Pochyliła się i odgarnęła mu włosy z czoła.

– Nie szkodzi. Nic się nie stało – zapewniła go, próbując się uśmiechnąć.

Rozległo się głośne walanie do drzwi.

– Kapitanie! – krzyknął ktoś. – Do garnizonu wtargnął intruz. Załatwił już jednego człowieka rzeźnickim hakiem.

– Kapitan mówi, że przyjdzie za minutkę – krzyknęła kobieta, zaczerpnąwszy głęboko tchu. – Już kończy.

Mężczyzna chrząknął.

– Lepiej mu powiedz, żeby się pospieszył. To nie czas na igraszki z dziewczkami.

Jack i kobieta wsłuchali się w oddalające się od drzwi kroki.

– Szybko – powiedziała. – Otwórzmy tę klapę.

Chłopak skinął głową. Wzięli się za zapadnię. Była ciężka, lecz we dwoje zdołali ją unieść. Spoglądając w dół. Jack nie widział nic oprócz ciemności.

– W porządku – ocenił. – Zeskoczę pierwszy, żeby sprawdzić, jak jest głęboko. Potem stanę na dole i cię złapię.

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę pójść z tobą.

– Jeśli tu zostaniesz, nie sposób przewidzieć, co zrobią żołnierze.

– Nie – odparła. – Muszę zostać. Nie mogę się ukrywać jak przestępca. Nie miałabym z czego żyć. Powiem im, że mnie obezwładniłeś. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Obrzuciła go błagalnym spojrzeniem.

– To wielkie ryzyko. Chodź lepiej ze mną. Dopilnuję, żeby nieci się nie stało.

Była nieustępliwa.

– Nie. Marnujesz cenny czas. Strażnik za chwilę wróci.

Jack nie miał innego wyboru, jak ją zostawić. Bawił się chwilę myślą o ogłuszeniu jej i przerwaniu sobie ciała przez ramię. Nie, nie mógł tego zrobić. Była zbyt piękna, żeby uderzyć ją w głowę. Wyciągnął do niej rękę i uścisnęła mu dłoń.

– Niech szczęście ci sprzyja – rzekła.

– I tobie też.

Chwyciwszy się mocno otaczających otwór desek, Jack wsunął nogi w ciemność. Nawet wisząc na ramionach, nie czuł pod stopami ziemi. Kobieta, której imienia nigdy nie miał poznać, uśmiechnęła się do niego po raz ostatni. Odwzajemnił uśmiech, policzył w

myśli do trzech, po czym zwolnił uchwyt.

Łup! Wylądował po niespełna dwóch sekundach. Obie nogi przeszył mu ostry ból. Padł na plecy. Podniósłszy wzrok, zauważył, że kobieta zasuwa już klapę. Ten widok otrzeźwił go nieco. Oboje musieli teraz radzić sobie sami. Wstał, by sprawdzić, czy z jego nogami wszystko w porządku. Mięśnie obu miał obolałe, a jedną z kostek lekko skręcony. Nad jego głową rozległa się seria zgrzytów i łoskotów, po czym znalazł się w całkowitej ciemności. Pora stąd zniknąć.

Podłoga tunelu wyłożona była butwiejącym drewnem, które pękato z trzaskiem przy każdym kroku, strop zaś znajdował się na wysokości barków Jacka. Musiał iść z pochyloną głową. Plecy, które przeszły już wiele podczas dźwigania beczki z piwem, protestowały przy każdym kroku. Wyciągając ręce przed siebie, gnał korytarzem tak szybko, jak tylko potrafił. Miał w głowie tylko jedno: Tarysę. Będzie na niego czekała na końcu tunelu.

Trasa wiodła przez chwilę w dół, po czym stopniowo stała się pozioma. Jack nigdy w życiu nie zetknął się z tak nieprzeniknioną ciemnością. Jego nos czuł woń ziemi, a stopy dotyk drewna, oczy jednak nie widziały nic. Gdy dotykał bocznych belek, w dłonie wbijały mu się drzazgi. Zatrzymawszy się na chwilę,

by zaczerpnąć tchu, usłyszał z tyłu głosy. Obejrzał się za siebie. W oddali rozbłysło blade światło. Potem usłyszał łatwe do rozpoznania ujadanie psów. Napełniło go to strachem. Pognał przed siebie ze wszystkich sił. Biegł coraz szybciej. Psy się zbliżały. Oddech palił mu gardło niczym ogień. W brzuchu czuł przeszywający ból. Pędził wciąż przed siebie, nie trudząc się już wyciąganiem rąk.

Nagle uderzył o coś twardego. Całym jego ciałem targnął gwałtowny wstrząs. Jeden z nadgarstków wygiął się gwałtownie. Jack usłyszał jednoczesny trzask wszystkich kosteczek. Walnął w przeszkodę kolanem, a na koniec brodą. Zwijając się z bólu i od zawrotów głowy, padł na podłogę, by wymacać przejście wokół przeszkody. Psy były coraz bliżej. Rozróżniał już poszczególne pochodnie, kołyszące się w rytm ruchów trzymających je ludzi.

Bariera składała się z twardej, ubitej ziemi. Ktoś zasypał tunel. Przejścia nie było. Chłopak zaczął rozgrzebywać ziemię palcami. Był uwięziony.

Uwięziony!

Wtem dopadły go psy. Ogarnięty paniką Jack uniósł dłoń, by się przed nimi osłonić. Jedno ze zwierząt zaatakowało jego rękę, drugie nogę. Jazgot był ogłuszający. Żądne krwi brytany warczały i

szczeptały. Chłopak poczuł narastające mu w głowie napięcie. Wiedział co to jest i witał je z radością. Któryś z psów skoczył mu do twarzy. Odtrącił go. Napięcie nie przestawało narastać, domagając się uwolnienia. Poczul na języku ostry smak czarów. Nim jednak zrobił z nich użytek, coś uderzyło go mocno w pierś. Ból był tak straszliwy, że nie był w stanie go znieść. Spuściwszy wzrok, ujrzał sterczące z bluzy drzewce strzały. Wydawało się to nierealne. Psy otoczyły go ciasno i później nie wiedział już nic.

– Nie. Bodger, jeśli chcesz jak najszybciej zaciągnąć kobietę do łóżka, nie mów jej, że ma galantą parę melonów.

– Ale Ropusznik przysięga, że to skutkuje, Grift.

– W takim razie na pewno spotyka się tylko z kobietami głuchymi jak pień, bo podobne uwagi nie podobają się żadnym dziewczkom, które znani.

– A co im się podoba, Grift?

– Wyrafinowanie, Bodger, wyrafinowanie. Podchodzisz do takiej, uśmiechasz się bardzo sympatycznie i mówisz: „Może tak byśmy poszli trochę się pogrzmocić? Miałem od groma kobiet i żadna nigdy się nie skarżyła”.

– Hmm. To pewnie mogłoby poskutkować, Grift.

– Nigdy nie zawodzi, Bodger. Kobieta lubi, jak mężczyzna wyklada karty na stół. Nie zaszkodzi też dać do zrozumienia, że twoja męskość jest pokaźnych rozmiarów.

– Ale chyba od razu to zauważy, Grift?

– Mam nadzieję, że nie, Bodger. W zasadzie lepiej jest jej nie wyjmować, dopóki kobieta nie powie tak albo nie.

– Nie, Grift, chodziło mi o białka oczu. Czy nie mówiłeś, że po nich poznaje się wymiary mężczyzny?

– Ehe, faktycznie mówiłem. Cieszę się, że zapamiętałeś moje nauki, Bodger.

– Nigdy nie zapominam żadnego twojego słowa. To od ciebie dowiedziałem się wszystkiego, co wiem.

– Bodger zmarszczył brwi i podrapał się po głowie. – Jeśli już o tym mowa, Grift, odkąd cię poznałem, w ogóle nie udaje mi się z kobietami. Nie chcą nawet na mnie patrzeć.

– Bodger, musisz się jeszcze wiele nauczyć. Jeśli na ciebie nie patrzą, to pewny znak, że są tobą zainteresowane.

Bodger spróbował obrzucić przyjaciela zjadliwym spojrzeniem, lecz jego wysiłki zakończyły się całkowitym niepowodzeniem, zadowolił się więc głośnym beknieniem.

– Od dwóch dni w pałacu panuje pierońskie zamieszanie. Grift. Diuk to wraca z domku myśliwskiego, to wyjeżdża z powrotem, zabierając ze sobą tłumy doktorów, kapłanów i różne różności. Ciekawe, co kombinuje.

– Ehe, to diabelnie dziwne, Bodger. Wczoraj zawiózł tam Bailora i swych osobistych lekarzy, a dzisiaj znowu wrócił. Główny stajenny mówił, że rozkazał mu przygotować świeże wierzchowce, więc na pewno wybiera się z powrotem do domku.

– To na pewno coś poważnego. Grift. Słyszałem, że domek leży sześć godzin jazdy od pałacu.

– Ehe. Bodger, ktoś taki jak diuk nie spędzi dobrowolnie w siodle dwunastu godzin, chyba że chodzi o sprawę życia i śmierci.

Jaskrawe kolory gobelinów blakły we wpadających ukośnie do komnaty promieniach słońca, a miliony tańczących w powietrzu drobin pyłu lśniły jasno. Baralis siedział na łożu, popijając holk z korzeniami. Dłonie jak zwykle go bolały – trudno mu nawet było ująć w nie kubek – lecz, pomijając tę jedną dolegliwość, nigdy w życiu nie czuł się lepiej.

Oparzenia zniknęły całkowicie. Jediną pozostałością po nich była biała, wypukła linia otaczająca pierś niczym szew sukni. Czuł miejsca, których dotknęły czary. Wyczuwał nawet ich obecność, pozostałość skłaniającą stare ciało do połączenia się z nowym. Nie było to nieprzyjemne wrażenie. Płodne pączkowanie naciągało skórę, grało na włóknach nerwowych niczym skrzypek, wysyłając

do mózgu niezliczone, słabiutkie impulsy.

Przespał trzy dni. Trzy absolutnie pozbawione marzeń sennych dni, podczas których do jego świadomości docierał jedynie delikatny dotyk dłoni Croke'a. Sługa był teraz przy nim. Dokładał opału do ognia tak cicho, jak tylko potrafił. Baralis miał u potężnego mężczyzny dług, którego nigdy nie zdoła spłacić.

Poznali się rok po jego odjeździe z Wielkich Równin. Miał już wówczas cel, a nawet wiedział, dokąd będzie się musiał udać. Do Czterech Królestw. Niemniej nie czuł się jeszcze gotowy. Musiał się przygotować, wiele nauczyć, obmyślić plany. Dlatego skierował się najpierw do Silburu.

Silbur, lśniący klejnot umieszczony w samym sercu Znanych Krain. Rzeczywiście był klejnotem. Piękne, wielobarwne miasto spełniało jedynie funkcje reprezentacyjne. Odbywały się w nim religijne uroczystości, a tysiące pielgrzymów przybywało tu obejrzeć święte relikwie. Ten Który Jest Najświętszy zasiadał na połączanym tronie, a każdy uczonec, który kiedykolwiek dotknął piórem pergaminu, przechwalał się, że spędził długie godziny na twardych ławach tamtejszych sławnych bibliotek. Silbur był martwym grodem, relikwią laka samą, jak kości, włosy i zęby

dawno zmarłych świętych i zbawicieli, które stanowiły źródło jego zysków. W żyłach miasta nie płynęła już krew, a kośćca nie porastały mięśnie, które mogłyby zmusić je do ruchu. Niegdyś była to wielka metropolia, o niezrównanej arogancji i mocy. Wznoszono w niej sięgające nieba wieże i drwiące z najeźdźców mury. Poza Bogiem Silbur nie miał wówczas sobie równych.

To wizja jego władców ukształtowała Znaną Krainę. Twierdzili oni, że nikt nie powinien przerastać potęgą Pana. Ich armie systematycznie niszczyły królestwa i imperia tworzące mapę cywilizowanego świata. Cesarze byli źli, a królowie zawarli kontrakty z diabłem. Potęga kraju umniejszała moc Boga. Państwa trzeba było złamać. Kontynent rozdarły straszliwe, krwawe wojny, jakich nigdy dotąd nie widziano. Wojny o wiarę. Sto lat później pozostały jedynie państwa-miasta, a Silbur był matką ich wszystkich.

Stopniowo, gdy stulecie dobiegało końca, potęga religii zaczęła się zmniejszać i wielcy możnowładcy ponownie rzucili wyzwanie władzy kościoła. Na północnym zachodzie Harvell jako pierwszy wykuł dla siebie nowe królestwo. Borso z Helchu wkrótce podążył za przykładem sąsiada, poświęcając całe życie na stworzenie państwa, które zwano teraz Halcusem. Słaby, gnijący od wewnątrz Silbur, któremu

przewodził cały szereg słabeuszy i fanatyków, nie mógł w żaden sposób ich powstrzymać. Inna sprawa, że jego władców nigdy zbyt nie interesowała północ.

Teraz, po dwustu latach, tę samą pozycję chciał zdobyć Bren. Diuk pragnął utworzyć królestwo tam, gdzie niegdyś było miasto. Baralis uśmiechnął się do swego kubka holku. Ten gród nie będzie miał suwerena. Na tronie nie zasiądzie król. Po raz pierwszy od czterech stuleci w Znanych Krainach powstanie imperium.

Kolejny łyk holku przywołał wspomnienie jasnych, słonecznych poranków w Silburze. Jego pierwszym posiłkiem zawsze był tam kubek tego właśnie trunku i brzoskwinia zapiekana w cieście. Wynajmował mieszkanie w dzielnicy uczonych. Płacił za nie, pracując jako skryba i uzdrowiciel. Pod wieloma względami był to najlepszy okres w jego życiu. Zrywał się codziennie o świcie, odbywał długą wędrówkę do biblioteki i spędzał cały dzień na nauce. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Był jednym z tysięcy odzianych w czarne szaty uczonych, którzy przychodzili tam czytać starożytne teksty. Kolejnym młodym człowiekiem podążającym za najszlachetniejszym ze wszystkich powołań: nauką.

Nocami zajmował się uzdrawianiem. W Silburze nie tolerowano czarów pod żadną postacią. Tych, którzy je praktykowali, czekało spalenie na stosie. Musiał być ostrożny: eliksiry stosować dyskretnie, a magią posługiwać się oszczędnie. Pewnej nocy, gdy wracał z domu, w którym umierała młoda dziewczyna, natknął się na bandę młodzieńców bijących jakiegoś mężczyznę. Ofiara leżała jęcząc na ziemi, zasypywana kopniakami. Biciem dyrygował trzymający w ręku pałkę chudzielec.

To nie był jego interes. Baralis spuścił wzrok i wyszedł na drogę, by nie zbliżać się do miejsca bójki.

– Proszę, przestańcie. Przepraszam. Przepraszam – skowyczał leżący na ziemi osobnik.

Chudzielec podszedł do niego i z całej siły uderzył go pałką w twarz.

– Zamknij się, ty przygłupie – wrzasnął. – Za późno błagać o litość.

Wspominając tę chwilę, Baralis nie potrafił określić, co skłoniło go do zawrócenia i stawienia czoła napastnikom. Arogancki ton głosu mężczyzny? Żalodne błaganie ofiary? A może było to coś innego: delikatny impuls losu?

Tak czy inaczej, zrobił to. Uderzenia natychmiast ustały.

– Czego się gapisz? – zapytał człowiek z pałąką. – Wynoś się. To nie twój interes.

Baralis wiedział, że nie wolno mu okazać strachu.

– Zostawcie go – nakazał. Popatrzył kolejno na każdego z napastników, nadając groźny wyraz swym szarym oczom. Dwaj młodzieńcy cofnęli się. Już wówczas jego głos wywierał taki wpływ na ludzi.

– Bo co nam zrobisz?

Baralis odstawił powoli sakwę z eliksirami i zwojami, z uwagą wybierając miejsce wolne od pyłu.

– Wypalę wam serca w piersiach, zostawiając skórę nietkniętą. Powiedział to spokojnym tonem, bez śladu przechwałki w głosie.

To właśnie przstraszyło napastników. Ci dwaj, którzy już się cofnęli, rzucili się do ucieczki. Zostało jeszcze dwóch, a jednym z nich był człowiek z pałąką. Ostatnie kopnięcie w pachwinę leżącego, i ten drugi również się ulotnił. Baralis uniósł brwi.

– Chyba lepiej będzie, jeśli weźmiesz przykład ze swych koleżków. Nie byłoby rozsądnie mierzyć się ze mną w pojedynkę.

Nieznajomy popatrzył mu w oczy, rozciągnął powoli wargi w szyderyczym uśmiechu, po czym się oddalił.

– Dziękuję ci, panie – leżący na ziemi człowiek

odezwał się słabym, cichym głosem. – Dziękuję.

Mężczyzna wstał. Baralis nie mógł uwierzyć własnym oczom. Był to olbrzym, szeroki w barach jak wóz, a wysoki jak dom.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Croke, panie.

Poważnie go pobito i to niejedną raz: twarz pokrywały mu stare sińce i blizny. Głowę zwieszał nisko, w żalostnej próbie ukrycia swego wzrostu.

– Chodź ze mną do domu, Croke – zaproponował Baralis. – Trzeba ci opatrzyć rany.

Gigant poszedł za nim i od tego czasu zawsze już byli razem.

Nie było nic, czego Croke nie zrobiłby dla niego. Od urodzenia był wyrzutkiem, wyszydzanym i prześladowanym, oskarżanym o wszystko od porwania po gwałt, od morderstwa po kradzież. Jego jedyną obroną wobec tych zarzutów było nieustanne powtarzanie: „przepraszam”. W większości przypadków nie miał nawet pojęcia, za co właściwie przeprasza. Nikt nigdy nie okazał mu dobroci. Żył w świecie strachu, a jego podstawowym odruchem było unikanie ludzi, którzy mogliby go zaatakować: chłopaków, pijanych, żądnych bójk żołnierzy. Wychodził na dwór jedynie nocą. Baralis zmienił jego

życiu. Stał się dla niego opiekunem, zbawcą, jedynym przyjacielem. Otrząsnął się ze wspomnień. Nigdy nie lubił poświęcać im zbyt wiele czasu. Liczyła się przyszłość, nie przeszłość.

– Crope – zawołał. – Czy ta młoda dania o mnie pytała?

– Ta piękna, ze złotymi włosami?

– Tak, ty durniu. Catherine, córka diuka.

– Była tu wczoraj, panie. Chce się z tobą zobaczyć, kiedy tylko wydobrzejesz.

– Świetnie. Świetnie. Kiedy znowu przyjdzie, przyjmę ją. Baralis odstawił kubek i potarł podbródek. Mieli z Catherine wiele spraw do omówienia: czary, seks i zdradę. Zawdzięczała mu życie, a on nie był człowiekiem skłonny darować spłatę tak poważnego długu.

Maybor uczył swą sukę zabijania. Wziął poduszkę, wypchał ją strzępkami koszuli Baralisa, i zawiesił na krokwiach na wysokości głowy człowieka. Nakłaniał właśnie Rekin do atakowania miejsca, w którym powinno się znajdować gardło kanclerza. Zwierzę uczyło się szybko. Wielmoża przywołał je do siebie, poklepał ostrożnie po głowie i wręczył mu wielki ochłap krwistego mięsa.

– Dobry chłopiec. Dobry chłopiec.

Po dłuższej chwili wstał, podszedł do poduszki, rozkołysał ją i cofnął się na bezpieczną odległość.

– Zabij, Rekin! Zabij! – krzyknął.

Pies zerwał się z miejsca niczym wojownik, odsłaniając ostre jak noże zęby. Tym razem skoczył prosto do gardła i już go nie puścił. Uścisk był tak potężny, że Rekin zawisła w powietrzu, z zębami wbitymi w tkaninę. Kołysała się chwilę, szarpiąc zawzięcie szyją i wierzgając nogami, aż wreszcie sznur się zerwał. Suka i poduszka runęły na podłogę, zwierzę jednak nie puściło zdobyczy. Targało nią, aż wreszcie nic z niej nie zostało.

Dobijanie się do drzwi odwróciło uwagę Maybora od tego pięknego spektaklu. Któż śmiał pukać tak arogancko? Wielmoża natychmiast otrzymał odpowiedź na to pytanie. Do komnaty wszedł diuk.

– Ach, Maybor. Cieszę się, że cię tu znalazłem. Widzę, że ćwiczyłeś Rekindrę – dodał, zauważywszy fruujące w powietrzu pióra i rozdarte na strzępy płótno.

Maybor wzruszył ramionami.

– Tylko dla samoobrony.

– Masz jakieś powody do obaw, lordzie Mayborze?

– Zapewne mniejsze niż ty. Wasza Miłość.

Diuk wybuchnął śmiechem.

– Celna uwaga, przyjacielu. Władzę sprawowaną przez człowieka można mierzyć liczbą jego wrogów. – Klepnął się w udo i Rekindra podeszła do niego. Pochylił się i pogłaskał ją po uszach. – Dobra dziewczynka. Dobra dziewczynka.

Maybor cieszył się, że ma czas na zebranie myśli. Istniał tylko jeden powód, dla którego Jastrzab mógł odwiedzić jego komnaty. Chciał pomówić o najeździe Kylocka na Halcus. Nie byłoby dobrze, gdyby to on pierwszy poruszył ten temat. Cravin zdradził mu tę wiadomość w tajemnicy. W gruncie rzeczy, gołębie wyprzedzały ludzi tylko o dzień albo dwa i nie zdziwiłby się, gdyby wiedziała już o tym połowa Brenu. Niemniej w tej dogodniej dla niego chwili lepiej było udawać niewiedzę.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, Wasza Miłość?

Diuk podszedł do stołu i napełnił winem dwa puchary. Pierwszy wręczył Mayborowi, drugiego zaś nie dotknął.

– Zastanawiałem się, czy nie zechciałbyś zaprosić swej rodziny do Brenu, na ceremonię ślubną.

Maybor omal się nie zadławił winem. Trunek spłynął mu w głąb gardła, zmierzając wprost do płuc. Grubas kaszlnął, prychnął, poczerwieniał jak burak.

Ślubną! Cóż to miało znaczyć? Diuk zachowywał się tak, jakby małżeństwo Kylocka z Catherine miało mimo wszystko dojść do skutku. To nie miało sensu. Wniosek mógł być tylko jeden: nikt go nie poinformował o inwazji.

Władca Brenu czekał, aż Maybor wróci do siebie, zaciskając usta w wyrażającym lekki niesmak grymasie.

– Czy wiesz, Wasza Miłość – zapytał wielmoża, ocierając wino z brody – że Kylock najechał na Halcus?

Diuk skinął głową.

– Oczywiście.

Ton jego głosu nie dopuszczał żadnych pytań. Maybor był zbity z tropu. Z pewnością taka wiadomość musiała rozwścieczyć diuka? Ludowi Brenu nie spодoba się myśl o wydaniu umiłowanej dziedziczki tronu za żadnego krwi króla. Po śmierci diuka Brenem będzie władala Catherine, a atakując Halcus, Kylock dowiódł, że nie jest człowiekiem, który biernie patrzyłby na to, jak jego żona sprawuje samodzielne rządy. W gruncie rzeczy, zaczynało wyglądać na to, że Bren może stać się jedynie drobną częścią północnego imperium Kylocka. A mimo to diuk nadal spokojnie snuł plany małżeństwa. To nie

miało sensu.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Mayborze – zauważył diuk. – Czy twoja rodzina przybędzie do Brenu?

– Mój najstarszy syn. Kedrac, to bliski przyjaciel króla. Jestem pewien, że Kylock będzie nalegał, by był obecny na ślubie.

Maybor nie potrafił się oprzeć pokusie przesady. Poza tym, jeśli do ślubu miało dojść, musiał okazać poparcie tym planom. Kylock natychmiast skonfiskowałby posiadłości zdrajcy. Cravin miał rację. Najlepszym rozwiązaniem byłoby w tej chwili zamordowanie Baralisa. Ten człowiek zdobył zbyt wielką władzę i wywierał nadmierny wpływ na wydarzenia. Gdy już się go usunie, małżeństwo przestanie być aż taką groźbą.

– A twoja córka?

Maybor po raz drugi dał się zaskoczyć.

– Córka, Wasza Miłość?

– Masz przecież córkę? – zniecierpliwiał się diuk. – Jak jej na imię?

– Melliandra.

Władca Brenu odwrócił się nagle.

– Ach, a więc w dzieciństwie zapewne zwano ją Mciii? – Nie czekał na odpowiedź. – Słyszałem, że to

piękna dziewczyna. Masz może jej portret?

Oszołomiony Maybor skinął głową.

– Pokaż mi go. Jeśli Melliandra przybędzie na ślub, może spotkają zaszczyt zostania druhną Catherine.

Maybor odetchnął z ulgą. A więc o to chodziło diukowi. Chciał się przekonać, czy jego córka jest wystarczająco ładna, by pełnić tę funkcję. Pognał do biurka. Nie zaszkodzi, jeśli Melli zbliży się do Catherine. W gruncie rzeczy, była to znakomita okazja. Kiedy już odnajdzie córkę, będzie mogła pozostać na breńskim dworze. Nie tylko otrzyma szansę zaprzyjaźnienia się z kobietą, której przeznaczeniem było władać najpotężniejszym miastem na północy, lecz również znajdzie się w bezpiecznej odległości od wszelkich plotek, które mogły okryć ją niesławą w Zamku Harvell.

Otworzył szkatułkę z cedrowego drewna i wyjął z niej podobiznę córki. Wytarł ją ostrożnie o szatę. Miniaturę pokrywały niezliczone odciski palców. Ciągle jej dotykał, gdyż stanowiła jedyną pamiątkę po Melli. Podał portrecik diukowi.

– Oto moja córka, Wasza Miłość.

Diuk wziął miniaturę w dłoń i uniósł ją do padającego z okna światła. Sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, co zobaczył.

– Och, tak, tak – odezwał się cicho, raczej do siebie niż do Maybora. – To ona.

– Czy więc powinienem ją zaprosić, by towarzyszyła Catherine.

Diuk obrzucił Maybora przebiegłym spojrzeniem.

– Jak sobie życzysz.

Zwrócił portret i ruszył ku drzwiom. Przy każdym kroku jego miecz połyskiwał w promieniach słońca.

– Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, lordzie Mayborze – rzekł zatrzymując się na progu. – Wiem już od pewnego czasu, że byłeś przeciwny małżeństwu Catherine z Kylockiem. Pozwól jednak, że cię zapewnię, iż nie musisz się go obawiać.

Pokłonił się płytko i wyszedł.

Maybor mógł jedynie wpatrywać się w miejsce, w którym przed chwilą stał jego gość. Nie miał najmniejszego pojęcia, o co mu chodziło. W gruncie rzeczy, cała ta wizyta była wręcz dziwaczna. Rozmowa o rodzinie i przyjaźni. Całkowita obojętność wobec jawnej agresji Kylocka. Co to wszystko miało znaczyć? Maybor nalał sobie drugi kielich wina i usiadł na łożu. Rekin położyła się u jego stóp. Nagle przypomniały mu się wypowiedziane przed paroma dniami słowa Cravina. Być może Jastrząb znalazł sposób na zneutralizowanie planowanego małżeństwa.

Jeśli chodzi o szkodniki, pająki ustępowały jedynie koniom. Oba rodzaje stworzeń miały irytującą skłonność do pozostawiania po sobie odpadków, w które człowiek łatwo wdeptywał. Pajęczyny mogły być mniej odrażające niż końskie łajno, lecz za to znacznie łatwiej było się ich przestraszyć. Zwłaszcza w ciemności, gdy czuło się tylko ich lepkie nitki ocierające się o twarz, a potem dotyk nówek zbiegającego po szyi pająka. Kosiarz czuł, że pod bluzą myszkuje mu garstka ośmionożnych stworzeń. Niestety, by się od nich uwolnić, musiałby się rozebrać, a tego nie zamierzał robić. W żadnym wypadku. Nikt nie złapie go w podziemnym przejściu odzianego w samą bieliznę. Nie był tego rodzaju chłopcem.

Pałac diuka okazał się nadzwyczaj interesujący. To zdumiewające, dokąd mógł zaprowadzić człowieka mały rekonesans. Nie mniej zaskakujący był („akt, że ludzie w ogóle nie zwracali uwagi na wałęsającego się samotnic chłopaka. Kosiarz doszedł do wniosku, że widać nie wygląda na groźnego bandziora. Choć nieco go to rozczarowało, z pewnością tak było lepiej. W świecie kucharzy, palaczek i rzeźników po prostu nie istniał. Wartownicy od czasu do czasu przyglądali mu się pobieżnie, lecz na ogół po krótkiej dyskusji

zostawiali go w spokoju.

Znalazł się więc w tajemnych głębinach pałacu, gdzie dotrzymywał towarzystwa fundamentom. Było to nawet interesujące, jeśli nie zwracał uwagi na pająki.

Trafił tu przypadkowo. Przedwczoraj, gdy szedł niewinnie wyglądającym korytarzem do szlacheckich komnat, zaczepiła go para strażników. Byli pijani i szukali jakiejś rozrywki. Zaczęli go wypytywać i drwić z niego, kłując w pierś włóczniami. Nim odeszli, mniejszy zdzielił go z całej siły w brodę. Kosiarz mocno uderzył w ścianę. Gdy żołnierze się oddalili, zadowoleni ze zwycięstwa nad słabszym, chłopak poczuł, że z murem za jego plecami coś się stało. Uderzył łopatką o maleńki występ w kamieniu. Nie odważył się poruszyć, dopóki gwardziści nie zniknęli mu z oczu. Kiedy odgłos ich kroków ucichł w oddali. Kosiarz odsunął się od ściany. Gdy tylko jego bark stracił kontakt z kamieniem, wewnątrz muru rozległa się seria ledwie słyszalnych trzasków. Chłopaka rozdzierały sprzeczne instynkty: strach i ciekawość. Zwyciężyła ta druga. Został na miejscu, wpatrzony w otwierającą się ścianę.

Na Borca, ależ ten korytarz cuchnął! Zaduch rozkładających się gryzoni harmonizował z silnym

odorem pleśni. Chłopak miał wrażenie, że wrócił do kryjówki Szybciora. Na moment zalała go lala nostalgii. Oczywiście nie mógł zrobić nic innego, jak wejść w mrok. Gdy tylko jego stopy dotknęły znajdujących się wewnątrz kamieni, ściana natychmiast wróciła na miejsce. Kosiarz musiał przyznać, że nieco przestraszył się całkowitej ciemności. W porównaniu z nią zaułki Rornu o północy spowijał miły półmrok. Otuchy dodały mu jednak słowa Szybciora. „Nigdzie nie znajdzie się większych zysków niż tam, gdzie jest ciemno” – mawiał jego nauczyciel, spoglądając na zachodzące nad Rornem słońce. Powtarzając sobie tę maksymę, Kosiarz ruszył tunelem w głąb pałacu diuka.

Ostatnie dwa dni okazały się bardzo pouczające. Możliwości niegodziwych zysków były tu niemal nieograniczone. Szybcior rozplakałby się z radości. Nie można było przewidzieć, dokąd się trafi: do spiżarni z mięsem, komnat dla szlachty, zbrojowni. Był nawet tunel, który docierał do miasta, do otwartego ścieku. Cały pałac wręcz dopraszał się kradzieży!

Kosiarz szybko wybrał najlepszy sposób działania. Będzie wędrował korytarzami, rozkładając szeroko ramiona i strącając nimi pająki, aż dotrze do miejsc, w których przez wąziutkie szczeliny w kamiennym

murze przesączało się światło. Potem będzie stawał na wszystkich otaczających szparę kamieniach, aż jeden z nich ustąpi i ściana się otworzy. Musi rzecz jasna zachować ostrożność, gdyż istniała możliwość, że po drugiej stronie muru będą ludzie.

Gdy po raz pierwszy wyszedł z tajnego przejścia, zaskoczył wyglądającą na szlachciankę damę, która klęczała przed gwardzistą, pomagając mu rozwiązać sznurówki portek. Kosiarz uchylił z szacunkiem czapki.

– Jeśli masz trudności z tymi węzłami, pani, to muszę ci poradzić, że mnie zawsze pomagała odrobina świńskiego tłuszczu – powiedział.

Dama uciekła z krzykiem, a żołnierz stał tylko bez ruchu, jak przybity do podłogi. Kosiarz w mgnieniu oka zniknął w tunelu. Dobrze zapamiętał sobie tę nauzkę: zawsze wyęzaj słuch, nim kogoś przestraszysz niespodziewanym wejściem.

Niektóre korytarze były za wąskie dla dorosłych. Nawet jemu trudno się było przez nie przecisnąć. Wiele z niżej położonych przejść było podmokłych, a kilku nie sposób było pokonać, gdyż woda sięgała znacznie wyżej niż jego głowa. Kosiarz podejrzewał, że przyczyną tego jest fakt, iż pałac wzniesiono na brzegu jeziora i wszystko, co leżało poniżej poziomu

jego tafli, dawno zostało zalane. Czasami trafia) w miejsca, które były dobrze oświetlone. Kraty umocowane od strony jeziora wpuszczały do środka i światło, i wodę. Zapewne wprawiono je tam po to, by najeźdźcy nie mogli dostać się do zamku, wpływając do niego. Było to dosyć sprytne. Jedną, z krat wyposażono w ostre kolce skierowane na zewnątrz. Wystarczyłaby porządna fala i płynący tamtędy nurek nadziałby się na nic. Kosiarz był pełen podziwu dla autora tej modyfikacji.

Zwiedził już niemal całe podziemia i zastanawiał się, czy powinien podzielić się nowo zdobytą wiedzą z Tawlem. Tajne przejścia doskonale nadawały się do niepostrzeżonego wymykania się z pałacu. Rzecz jasna, dotąd udało mu się znaleźć tylko drogę prowadzącą przez kanały, po której przebyciu człowiek nie pachniałby zbyt pięknie, lecz korzyści płynące z szybkiej ucieczki znacznie przeważały nad niebezpieczeństwami wiążącymi się z wodą pełną nieczystości.

Niepokoił się o Tawla. Rycerza trzeba było mieć na oku, by nie uczynił czegoś głupiego. Gdy tylko zaczął odzyskiwać rozsądek i godzić się z niedawno złożoną przysięgą, nadział się na ludzi Starego, którzy obudzili stare wspomnienia, a wraz z nimi poczucie winy.

Próbowali skłonić rycerza do przyjęcia tajemniczego listu od człowieka, którego śmierć była przyczyną jego obłądu – Bevlina. Tawł ani słowem nie napomknął o tym incydencie i Kosiarz również tego nie zrobił. Chłopak jednak nie zapominał o liście. Był on obecnie ukryty w małym pokoiku obok kuchni, który zajmowali, bezpieczny przed wodą i nieczystościami. Nie było sensu go otwierać. Ulicznik potrafił przeczytać zaledwie kilka słów i nic by z niego nie rozumiał. Nie tylko to jednak powstrzymało go przed złamaniem pieczęci.

Czuł, że jego świętym obowiązkiem stało się zatrzymanie listu dla Tawła, do chwili, gdy będzie go on potrzebował. Kosiarz ani przez moment nie wątpił, iż nadejdzie czas, gdy jego przyjaciel gorzko pożałuje tego, że wyrzucił pismo. Jego zadaniem było być wówczas na miejscu.

Posuwał się w górę z wyjątkową swobodą. Był teraz przekonany, że potrafi widzieć w ciemności. A nie zjadł w życiu ani jednej marchewki! Miał nadzieję, że namówi Tawła do opuszczenia pałacu. Więź łącząca gościa z gospodarzem zaczynała go irytować. Czuł pałaca, potrzebę zorganizowania odrobiny funduszy. Odkąd dowiedział się, jak ważne są pieniądze na czarną godzinę, nigdy jeszcze nie zdarzyło się, że ich

w ogóle nie posiadał. Nie miał ani jednej złotej monety, ani połowy sztuki srebra, czy nawet mosiężnego pierścienia. Sama myśl o tym budziła niepokój. Musiał wrócić tam, czy raczej tutaj, wolny od ograniczających go zobowiązań gościa. Mówiąc obrazowo, nie będzie to już kradzież kieszonkowa, lecz kradzież z włamaniem. Czuł się gotowy do tego awansu. Szybcior byłby z niego dumny!

Zostało mu jedynie skłonić przyjaciela do zgody na ten plan. Pod żadnym pozorem nie zamierzał zostawiać rycerza samego. Gdzie Tawl, tam i on. W związku z tym jego jedyną szansą było wykombinowanie przekonującego powodu, dla którego rycerz powinien opuścić zamek. Nic dotąd nie wymyślił, ale był wielkim zwolennikiem improwizacji i nie wątpił, że gdy tylko zobaczy przyjaciela, coś mu wpadnie do głowy.

Barwa ciemności zaczęła się stopniowo zmieniać. Kosiarz zdał sobie sprawę, że jest już blisko wyjścia. Przypadkowo udało mu się na nie natrafić. Znajdowało się niedaleko kuchni, w kaplicy. Nie było takie samo, jak pozostałe. Skrywała je drewniana płyta. Droga wiodła po spirali w górę i kończyły ją pojedyncze drzwi. Ten, kto wybudował tajne przejścia, musiał pragnąć, by było odcięte od pozostałych, ponieważ nie

znalazł w nim żadnych innych wejść. Kosiarz dostał się do niego wąskim, prowadzącym w odpowiednim kierunku kanałem wentylacyjnym. Kusiły go górne drzwi, lecz pod wpływem niedawno otrzymanej lekcji przykucnął tylko pod nimi, by usłyszeć, co można znaleźć po drugiej stronie. Sądząc po dźwięku, zapewne wartowników. Odgłos kroków słyhać było w regularnych odstępach. Świadczyło to, że znajduje się tam ktoś ważny albo coś ważnego. Nie trzeba być silburskim uczonym, by się domyślić, że otwarcie tych drzwi oznacza kłopoty, Kosiarz wycofał się więc po cichu.

Przecisnąwszy swe odporne ciało przez tunel wentylacyjny, chłopak znalazł się tuż przy wejściu do kaplicy. Przystawił ucho do drewna. Po drugiej stronie panowała cisza. Jedno mocne pchnięcie i drewniana płyta odsunęła się. Tak, jak przewidywał, kaplica była pusta. Kosiarz wyszedł na zewnątrz, zamknął przejście i zdjął czapkę. Jeśli ktoś go teraz zauważy, uzna, że chłopiec modli się o przewodnictwo Borca.

Wymknął się przez główne drzwi. Gdy miał już się ulotnić, usłyszał czyjś głos:

– Hej, chłopcze! Co robisz w kaplicy?

Był to strażnik, lecz, sądząc z jego ubioru i akcentu, nie regularny gwardzista. Kosiarz uśmiechnął się ze

smutkiem i wbił wzrok w podłogę.

– Modłę się zaduszę zmarłych najbliższych.

– Hmm – ciągnął żołnierz. – Nie widziałem, żebyś tu wchodził. A ty widziałeś, Bodger?

– Nie mogę powiedzieć, żebym widział, Grift. – Zza kolumny wyszedł drugi wartownik. – Ale chyba nie powinniśmy dręczyć chłopaka w dniu żałoby, Grift.

– Zawstydzasz mnie, Bodger – odparł pierwszy z mężczyzn. – Możesz iść, chłopcze. Masz. – Wręczył Kosiarzowi pół bukłaka *ale*. – Weź to. Może ulży ci w twym żalu.

Kosiarz przyjął bukłak i pokłonił się nisko obu mężczyznom.

– Dziękuję wam, panowie – rzekł. – Moja matka, Borcu błogosław jej duszę, rozplakałaby się na widok takiej hojności wobec obcego. Zawsze mawiała, że człowiek, który jednego dnia oddaje *ale*, następnego odda serce.

– Świetnie powiedziane, przyjacielu – pochwalił go starszy strażnik. – Miło zobaczyć młodego człowieka, który szanuje pamięć matki, prawda, Bodger?

Mężczyzna zwany Bodgerem pociągnął głośno nosem.

– Ehe, Grift. – Wysmarkał się w szmatę do podłogi.
– Bardzo miło.

Kosiarz poklepał go delikatnie po ramieniu i oddalił się. Spodobali mu się ci dwaj strażnicy. Łatwiej było się z nimi dogadać niż z innymi, których spotykał w pałacu. Bodger i Grift, co? Nie zaszkodzi zaprzyjaźnić się z tą dwójką, zwłaszcza że strzegli najbliższego kuchni wejścia do tuneli.

Po krótkiej chwili dotarł do izby, którą dzielił z Tawlem. Wszedł do środka, nie zawracając sobie głowy pukaniem. Wszelki ślad po rycerzu zniknął. Nie było jego plecaka ani broni. Kosiarza ogarnęła rozpacz. Tawl go opuścił. Chłopak odwrócił się błyskawicznie, by dokładniej przyjrzeć się pokojowi. Większa część ubrań rycerza leżała na kupie przy jego sienniku, a na podłodze wały się rozmaite garnki i rondle. Nawet posłanie zawieszono nad kominkiem, by dym wypłoszył ćmy. Kosiarz uradował się na ten widok. Tawl mógł się gdzieś przenieść, lecz z pewnością zamierzał wrócić.

– Obudź się, moja droga. Obudź – rozległ się głos, odrobinę mniej odległy niż poprzednim razem. Melli wydawało się nawet, że go poznaje. Nie był to bliski przyjaciel, czy członek rodziny, ale ktoś, komu na niej zależało.

Częścią jaźni pragnęła się ocknąć, był to jednak zbyt wielki wysiłek. Powieki miała ciężkie jak z ołowiu. Wiedziała też, że gdy tylko odzyska przytomność, słaby, nieprzyjemny ucisk, który czuła w boku, wzmoże się i obróci w ból. W tej chwili owo wrażenie docierało do jej świadomości, lecz nie zdawała sobie sprawy z odniesionych ran. Tak było lepiej. Gdyby tylko głos zostawił ją w spokoju. Nie chciał jednak umilknąć. To dodawał jej odwagi, to błagał. Był niespokojny, a potem, gdy się lekko poruszyła, pełen radości. Czuła też dotyk. Klepano ją po dłoniach, pocierano czoło, otwierano usta niczym zapadnię. Prawdę mówiąc, nie ruszała się po to, by ich zachęcić, lecz po to, by odsunąć się od natrętnych,

dokuczliwych rąk. Chciała zostać sama.

Tak było jednak niemożliwe. Następnego ataku dokonano posługując się zimną wodą. Melli poczuła, jak spływa ona wzdłuż granicy jej włosów, a potem poszyi na pierś.

– Obudź się, moja droga. Wszystko jest już dobrze.

Tego naprawdę było zbyt wiele. Na co przyjdzie kolej teraz? Na gorący olej? Magiczne eliksiry? Jedno było pewne: nie zamierzali zrezygnować. Zostało jej tylko jedno wyjście.

Z wielkim wysiłkiem napięła otaczające oczy mięśnie. To dziwne. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia. Myślała, że oczy po prostu otwierają się i zamykają same z siebie. Wyglądało na to, że owe mięśnie zamierzają teraz powetować sobie dziewiętnaście lat anonimowości. Udało im się to znakomicie. Rozchylaniu przez nią powiek towarzyszył delikatny, przypominający wyciąganie igieł ból.

– Obudziła się! Obudziła!

Zamazana postać nabrała nagle wyrazistości. Jej imię dotarło do świadomości Melli, niczym dar.

– Bailor.

– Jest przytomna. Poznaje mnie.

Mężczyzna wydawał się z jakiegoś powodu bardzo

podniecony. Wokół tłoczyli się inni ludzie. Dziewczyna nie byłaby zaskoczona, gdyby wybuchnęli aplauzem. Sprawdzano jej odruchy, zagłądano w źrenice, pokazywano palce i kazano je liczyć. Powtarzała posłusznie „dwa” albo „trzy”, zaczynała się jednak czuć tym znudzona. Podczas snu życie było prostsze. Miarę przebrała próba wiania jej do gardła jakiegoś obrzydliwego płynu.

Uniosła ręce i zamachała nimi.

– Zostawcie mnie! – krzyknęła.

Z pewnością przyniosło to pożądany efekt. Wszyscy cofnęli się od niej, kiwając głowami i cmokając. Bailor wyprowadził ich z pokoju, po czym stanął przy jej łożu. Uścisnął jej dłoń.

– Masz wielkie szczęście, moja droga. Mało brakowało, byś zginęła.

Melli doszła do wniosku, że Bailor może zostać. Przemawiał delikatnym tonem i nie patrzył na nią tak, jakby była świeżo poddanym sekcji okazem. Poza tym, jeśli sprzyjało jej szczęście, chciała się o tym czegoś dowiedzieć.

– O co ci chodzi?

– Moja droga, spadłaś z konia. Nie pamiętasz?

Nagle wszystko do niej wróciło: koń, góry, skok. Zadrżała na to wspomnienie. Jak mogła być taka

głupia? Dla nieostrożnej jazdy nie było usprawiedliwienia.

– Co się stało później?

– O to właśnie chciałem cię zapytać – odparł bardzo cicho Bailor, klękając u jej boku. – Uderzyłaś głową o kamień i straciłaś przytomność, ale nie to spowodowało największe obrażenia. – Przerwał na chwilkę i uściśnął delikatnie jej dłoń. – Pod stanikiem miałaś nóż. Upadłaś na niego i wbił ci się w bok. Omal nie wykrwawiłaś się na śmierć.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Niewypowiedziane pytanie – dlaczego miała ukrytą broń? – leżało między nimi ciężarem. Kryła się w tym ironia. Nosila ten nóż całe miesiące, po to tylko, by w razie potrzeby użyć go do samoobrony, a w rezultacie omal przez niego nie zginęła. Co gorsza. Bailor i diuk zapewne uważali ją za skrytobójczynię. Dziwne jednak, że nie traktowali jej odpowiednio do jej uczynku. Nie było chyba normalne, by cała zgraja lekarzy opiekowała się skrytobójczynią w sypialni nadającej się dla króla?

– Gdzie jest diuk? – zapytała.

– Niestety, moja droga. Jego Miłość musiał wyjechać wczesnym rankiem. W pałacu oczekuje go wiele obowiązków. Powinien jednak wrócić przed zachodem słońca. Wczoraj dotarł tu tak późno, że

myśleliśmy, iż już się nie zjawi. – Twarz Bailora rozpromieniła się. – Zadaje sobie dla ciebie mnóstwo trudu, moja droga. Sprowadza tu lekarzy, medykamenty i służące. Nalegał, żebym przybył do domku osobiście, a wczorajszej nocy przyjechał z nim człowiek, który ma cię strzec. Jego Miłość ceni cię naprawdę bardzo wysoko.

– Dlaczego?

Nie miało to żadnego sensu. Kim mogła być dla diuka? Własnością, niczym więcej. Dziewczyną, z którą mógł się zabawiać, dopóki się nią nie znudzi i nie zamieni na następną. Mógł czuć do niej pociąg, nie tłumaczyło to jednak, dlaczego zadaje sobie tak wiele trudu.

Bailor podniósł się z trzaskiem stawów i znalazł sobie krzesło. Usadowił się na nim, i odwrócił twarz od ognia, kryjąc ją w cieniu.

– Melli, moja droga, on się chyba zakochał – odpowiedział.

– We mnie?

To było niedorzeczne. Prawie go nie знаła. Spotkali się tylko kilkakrotnie i przy każdej okazji go obrażała!

– Tak, w tobie. Nigdy nie widziałem, by Jego Miłość tak się przywiązał do dziewczyny. Gnając do

pałacu i z powrotem, zajeździł kilka koni. Oddał ci nawet swoją sypialnię. – Bailor pochylił się nieco. Jego twarz załśniła w słońcu. – Moja droga, osobiście nie sądzę, by kiedykolwiek spotkał kobietę, która traktowałaby go tak źle, jak ty. Myślę, że to pobudziło jego zainteresowanie. Większość kobiet po prostu pada mu do nóg.

Jakąś drobną częścią jaźni Melli czuła się zadowolona ze słów Bailora. Uważała się za mniej potulną niż większość dam dworu i myśli, że diuk to zauważył, schlebiała jej próżności. Fakt, że najwyraźniej cenił mocne kobiety, ucieszył ją jeszcze bardziej. Skarciła się w myśli. Najwyraźniej zgłupiała od uderzenia w głowę. Diuk nie mógł być zainteresowany dziewczyną nabytą od handlarza żywym towarem, który twierdził, że jest córką z nieprawego łoża. Nie. Musiało się w tym kryć coś więcej.

Wtem nasunęła się jej niepokojąca myśl.

– Czy mówił mu coś w gorączce?

Być może zapomniała, że powiedziała coś, co mogło zdradzić jej tożsamość.

– Nie, moja droga – odparł krzątający się w kącie komnaty Bailor. – Odezwałaś się po raz pierwszy od trzech dni. – Wydawało się, że niechętnie porusza tę

kwestię. Szybko zmienił temat. – Wszyscy mówią, że Jego Miłość był bliski szafu. Pierwszej nocy, gdy straciłaś tak wiele krwi, byli pewni, że umrzesz. Podobno diuk przeklął lekarzy, groził, że ich pozabija, jeśli cię nie uratują. Miałaś doprawdy wielkie szczęście.

Mcii spróbowała usiąść, lecz bok przeszył jej ból.

– Spokojnie, moja droga. Zaszyto ci ranę i jeszcze przez kilka dni będzie cię bolało.

Melli poczuła się nagle zmęczona. Opadła na poduszki.

– A więc diuk przybędzie tu dziś w nocy? – zapytała, choć bardziej pragnęła zasnąć niż usłyszeć odpowiedź.

– Najprawdopodobniej. Byłby tu i w tej chwili, gdyby nie kłopoty na zachodzie.

– Kłopoty? Bailor skinął głową.

– Kylock przed tygodniem uderzył na Halcus. Najwyraźniej rozbił w puch wojska pograniczne. Diuk otrzymał dziś raport mówiący, że zmierza prosto na Helch, mordując po drodze kobiety i dzieci.

– Zawsze myślałam, że siły królestw i Halcusu są mniej więcej wyrównane.

Senność nagle opuściła ją bez śladu.

– Moja droga, słyszałem, że Kylock wprowadził do

akcji bandy najemników. Każe im podpalać wioski, a polem uderza regularnymi wojskami, żeby dokończyć dzieła.

– To podłe metody – oburzyła się Mcii. – Król Lesketh nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego.

Bailor uśmiechnął się do niej, jakby była dzieckiem.

– Król Lesketh nigdy nie wygrał żadnej wojny.

Jak na Bailora, była to dość brutalna opinia. Melli nie wierzyła, by to wszystko wyjaśniało.

– Dlaczego Kylock zabija kobiety i dzieci?

– Żeby szerzyć terror. Rozchodzą się wieści, że jest bezlitosny. Mężczyźni boją się o swe rodziny i dlatego się poddają. – Bailor westchnął ciężko. – Ale to nic nie zmieni. Kylock i tak każe wszystkich pozabijać.

– Skąd masz taką pewność?

Mimo, że zadała to pytanie, Melli była przekonana, że Bailor mówi prawdę.

– Zrobił tak trzy dni temu, w wiosce Shorthill, niedaleko na wschód od granicy. Dwieście kobiet dano jako nagrodę najemnikom. Zgwałcili je, a potem zamordowali. Następnie spędzili razem wszystkie dzieci i zarżnęli je jak bydło.

Melli poczuła, że wzdłuż kręgosłupa przebiegł jej dreszcz. Po raz pierwszy zrozumiała to, o czym

nieświadomie wiedziała przez całe życie: Kylock był zły. W przeszłości nazywała go okrutny ni, ponurym i wzdurliwym, lecz nie miała nigdy na to konkretnych dowodów. Dostrzegała jednak ostrzegawcze znaki. To był prawdziwy powód, dla którego uciekła z Zamku Harvell. Nie zrobiła tego dlatego, że ojciec chciał ją do czegoś zmusić wbrew jej woli, lecz ze względu na fakt, iż myśl o małżeństwie z Kylockiem budziła w niej wstręt. Upiekło się jej. Nie tak, jak kobietom i dzieciom z Shorthill.

Nie chcąc roztrząsać dłużej tej kwestii. Mccii wypowiedziała na głos pierwszą myśl, która przysła jej do głowy:

– A co sądzi o tym wszystkim diuk? Bailor przysunął krzesło bliżej.

– No cóż, to bardzo dziwne – odpowiedział cicho. – Kilka dni temu Jego Miłość wyglądał na bardzo zaniepokojonego. W najmniejszym stopniu nie cieszył się na myśl o wydaniu córki za króla, który wydaje się zdecydowany podbić Halcus. Teraz jednak najwyraźniej pogodził się z tą perspektywą. – Bailor wzruszył ramionami, wyraźnie zdziwiony. – Kiedy rozmawiałem z nim dziś rano, był w niemal radosnym nastroju. Przygotowywał nawet plany ceremonii ślubnej.

– Nie rozumiem – zauważyła Melli. – Jeśli dojdzie do ślubu, z pewnością, po śmierci diuka Brenem będzie władał Kylock.

– Sądząc po minie, jaką miał diuk, gdy go ostatnio widziałem, nie czuje się już zaniepokojony tą, możliwością. – Widząc, że Melli ziewnęła, ochmistrz wstał z krzesła. – Muszę już iść, moja droga. Potrzeba ci trochę odpoczynku. Zajrzę do ciebie później. – Ruszył ku drzwiom. – Jeśli przyślę lekarzy, żeby cię zbadali – zapytał z błyskiem wesołości w ciemnych oczach – to czy obiecujesz, że tym razem ich nie zbijesz?

Melli uśmiechnęła się.

– Obiecuję.

– Panie, przyszła lady Catherine.

Baralis wstał natychmiast, poprawił szatę i rozejrzał się po komnacie. Wszystko wyglądało jak trzeba.

– Wprowadź ją, Crope.

Po dwóch mrugnięciach świecy do środka weszła Catherine z Brenu. Baralis, który od dawna uważał się za odpornego na kobiecą urodę, wciągnął gwałtownie powietrze. Była olśniewająca. Jej złociste włosy były piękniejsze niż jakakolwiek korona, a niebieskie oczy wspanialsze niż wszelkie klejnoty. Jeśli się nie mylił,

dołożyła specjalnych wysiłków, by zaprezentować się jak najlepiej. Suknia, którą miała na sobie, była zdecydowanie zbyt wspaniała, by zakładać ją w dzień. Świetnie. Znaczyło to, że czegoś od niego chce.

– Cieszę się, że cię widzę, pani – powiedział kłaniając się nisko. – Czy mogę cię czymś poczęstować? Może odrobiną wina?

Uniosła piękne brwi.

– A czy ty też trochę wypijesz, lordzie Baralisie? A może jesteś taki, jak mój ojciec? Napełnisz sobie puchar, ale nawet nie umoczysz ust?

Baralis pochylił lekko głowę i podszedł do komody z kasztanowego drewna. Nalał wina do dwóch kielichów. Nim wręczył drugi Catherine, uniósł pierwszy do warg i wypił całą zawartość.

– Nie jestem twym ojcem, pani.

Wzięła od niego kielich, ocierając przy tym dłoń o jego nadgarstek.

– Widzę to.

Baralis poczuł, że traci panowanie nad sobą. Bliskość Catherine w połączeniu z mocnym, uderzającym do głowy breńskim winem przyprawiły go o lekkie oszołomienie. Skarcił się za to. To nie był czas na popełnianie błędów. Odwrócił się do niej plecami.

– Powiedz mi, pani. Czy w tych komnatach można rozmawiać bezpiecznie?

– Rozczarowujesz mnie, lordzie Baralisie. Przypominasz mojego ojca bardziej niż myślałam. Jesteś równie podejrzliwy, jak on.

Znów się do niego przysunęła.

Jej woń odwracała jego uwagę. Pachniała jak dziecko.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – zauważył, ponownie napełniając jej kielich. Tym razem nie mogło umknąć jego uwadze, że uściśnęła delikatnie jego nadgarstek.

– Jeśli chodzi ci o tajne przejścia, lordzie Baralisie, wiem o jednym czy dwóch.

Kanclerz ukrył podniecenie.

– Spodziewałem się tego. Czy są wśród nich jakieś szczególnie interesujące?

– Masz na myśli te, które wiodą do komnaty mojego ojca? Zaskoczyła go jej bezpośredniość.

– A gdyby takie przejście istniało, to czy powiedziałabyś mi o nim? – zapytał, przeklinając kielich wina, który był zmuszony wypić.

– Tak.

Jej niebieskie oczy wpatrywały się w niego. To zaczepny wyraz nadawał im szczególnego blasku.

Baralis zaczął zdawać sobie sprawę, że Catherine jest niebezpieczna. Jej kochanka brutalnie zamordowano, a jej ojciec wywyższył człowieka, który to uczynił. To zemsta nią kierowała. Musiał się dowiedzieć, czy zamierzają wyrzucić na ojcu, czy na rycerzu. Lepiej będzie na razie nie poruszać tematu tajnego przejścia. Nie miał wątpliwości, że ono istnieje, lecz nie była to odpowiednia chwila, by naciskać na Catherine. Lepiej niech myśli, że najważniejsze dla niego jest coś innego.

– Czy Blayze wiedział, że potrafisz czerpać moc?
Drgnęła się na dźwięk imienia kochanka.

– Tak. Ale wszystkie walki wygrywał sam. Nigdy mnie nie prosił o pomoc.

– Nie wątpię w to. – Baralis uznał, że czas już przypomnieć dziewczynie o jej długu. – Gdyby to uczynił, już byś nie żyła.

Próbowała zbyć jego słowa wzgardliwym spojrzeniem, nie zdołała jednak do końca ukryć strachu.

– Moja pani, czary to niebezpieczna broń – ciągnął Baralis cichym, kuszącym głosem. – Nie powinno się używać ich lekkomyślnie.

– Lekkomysłnie, lordzie Baralisie! – Smagnęła go słowami jak biczem. – Nigdy nie robię tego

lekkomyślnie. Blayze'owi groziła śmierć. Nie miałam wyboru.

– To była głupota! Gdybym nie interweniował, na lej twojej ładnej piersi nie zostałby ani kawałek skóry. Przejąłem uderzenie na siebie.

– Wyglądasz na zdrowego.

Baralis złapał za materiał szaty i rozdarł ją. Jedwab rozerwał się jak pergamin, odsłaniając ukryte pod spodem ciało.

Z ust Catherine wyrwał się cichy jęk. Uniosła drżącą dłoń do piersi i potrząsnęła powoli głową.

– Nie, nie.

– Tak, moja słodka Catherine – powiedział Baralis, celowo pomijając jej tytuł. – To właśnie zrobiła ze mną zaczerpnięta przez ciebie moc.

Jego słowa wywarły pożądaný skutek. Catherine zbladła jak prześcieradło. Dopiła wino i usiadła na łożu.

– Nie miałam pojęcia. Naprawdę.

Baralis zakrył pierś jedwabiem, ukrywając szwy łączące starą skórę z nową.

– Mate dziewczynki nie powinny się bawić ogniem. Catherine była wyraźnie podenerwowana. Wsunęła kciuk do ust i obgryzała paznokiec.

– Powiesz ojcu? Na to właśnie czekał.

– Nie. To będzie nasza mała tajemnica.

– A czego oczekujesz w zamian?

– Przyjaźni, moja słodka Catherine. Niczego więcej. – Baralis przemawiał jak zalotnik. Jego słowa były pochlebstwem i pieśszczotą. – Oboje możemy sobie wzajemnie pomóc. Mamy te same plany i pragniemy tego samego. Nie ma nic, czego nie moglibyśmy wspólnie dokonać.

Pochylił się i przebiegł dłonią po nieskazitelnej gładkości jej policzka. W pierwszym odruchu Catherine chciała się odsunąć, lecz po chwili wahania zaakceptowała dotyk, a gdy cofnął rękę, skłoniła nawet ku niemu głowę.

– O jakie plany ci chodzi?

Baralis wiedział, że już ją ma. Musiał tylko powiedzieć jej to, co chciała usłyszeć.

– Oboje pragniemy śmierci rycerza.

Wypowiedziawszy te słowa, zdał sobie sprawę, że tak jest rzeczywiście. Moc, która uderzyła w niego w noc walki, dostarczyła mu wielu informacji o człowieku, który ją odrzucił. Rycerz był niebezpieczny. Stali za nim potężni ludzie. Jego przeznaczeniem było zostać obrońcą diuka. Zwycięstwo w walce nie było szczęśliwym trafem. Wspomagał go los. Trudno było przewidzieć, dokąd

może go poprowadzić, nigdy jednak nie wybierał przypadkowo. Jutro Baralis dowie się więcej.

Dziś jednak najważniejsza była Catherine. Nim dziewczyna opuści komnatę, musi ją przeciągnąć na swoją stronę.

– Powinniśmy sobie pomagać – stwierdził.

– A jaki masz w tym interes, lordzie Baralisie?

Ile powinien jej powiedzieć? Zdradzenie całego planu nie byłoby rozsądne. Catherine zapewne nienawidziła w tej chwili ojca, czy jednak chciałaby jego śmierci? Baralisowi trudno było ocenić siłę więzów rodzinnych. Dlatego w podobnych sprawach skłaniał się ku ostrożności.

– Chcę, żeby ślub odbył się bez przeszkód.

– I to wszystko?

Piękna twarz dziewczyny nabrała przebiegłego wyrazu.

– Wszystko, moja słodka Catherine? Nie powinnaś tak lekceważąco mówić o najważniejszym związku w całej historii Znanych Krain. – Baralis nadał swemu głosowi brzmienie fanfary. – Będziesz władała olbrzymimi obszarami północy. Ludzie i armie będą na twe rozkazy. Zdobędziesz nieporównane z niczym klejnoty i bogactwa. Zostaniesz kimś więcej niż królową. Zostaniesz Imperatorową.

Na policzkach Catherine wykwitły dwie jaskrawoczerwone plamy. Jej miękkie wargi zadrżały, a potem zacisnęły się w wąską linię.

– Imperatorową?

Należała do niego. Trafnie ją osądził. Pragnęła chwały równie mocno, jak jej ojciec. Dynastia władająca Brenem była tak samo żarłoczna, jak znajdujący się w jej godle jastrząb. Jej członkowie mieli ambicję we krwi, podobnie jak rozpustę. Pas cnoty, który nosiła Catherine, nie służył jedynie na pokaz. Zbyt wiele córek Brenu zhańbiło się już przez swe nieokiełznane żądze. Były jak grzejące się kotki. Nawet w tej chwili córka diuka trzymała nogi o szerokość pięści dalej od siebie niż nakazywałyby przyzwoitość, a stanik miała o palce niżej niż wymagał tego dobry smak. Baralis odwrócił się do niej plecami. Nie mógł sobie pozwolić na to, by zawróciła mu w głowie jej uroda.

– Rozmachem swej wizji przewyższysz ojca. On widzi królestwo, ty stworzysz imperium. Twe imię będzie na ustach wielu pokoleń. Catherine, imperatorową północy, na zawsze zapisze się w historii. O twych czynach będzie się mówić jeszcze długo po tym, gdy wszyscy już zapomną imię twego ojca. – Baralis odwrócił się gwałtownie i ponownie

spojrzał jej w twarz. – Pomagając mi, pomożesz sobie samej.

– Czego ode mnie żadasz?

Gdy wypowiedziała to jedno, cudowne zdanie, Baralis poczuł, że z jego ciała odpływa napięcie. Podszedł do komody i nalał sobie pół kielicha wina. Odpowiedział jej dopiero wtedy, gdy je wypił.

– Na początek, muszę dokładnie znać poczynania twego ojca. Wiedzieć z kim się spotyka, dokąd chodzi, jakie informacje otrzymuje, a nawet co myśli. Później może zechcę poznać przejście wiodące do jego komnat. Rycerz będzie tam często przebywał i ułatwi to zaaranżowanie jego zabójstwa. Na koniec, chcę, żebyś uświadomiła ojcu, jak bardzo ci zależy na tym małżeństwie. Powiedz mu, że byłaś w mieście i słyszałaś od swych poddanych jedynie słowa zachęty. Mogłabyś też dostać ataku hysterii i zagrozić, że rzucisz się z blanków, jeśli diuk zabroni ci poślubienia Kylocka. Kieruj się własnym rozeznaniami.

Catherine wszystkie jego słowa kwitowała posłusznymi kiwnięciami głowy.

Baralis zauważył na jej twarzy znajomy blask intrygi.

– Nim odejdziesz, powiedz mi jeszcze, co ci wiadomo o najeździe Kylocka na Halcus – dodał.

Mówiła jednym tchem, jak mała dziewczynka pragnąca przypodobać się starszemu. Wysłuchał wszystkiego, co miała do powiedzenia. Treść go zaniepokoiła, lecz z wykonania był bardzo zadowolony.

Jackowi chluśnięto w twarz zimną wodą, za którą poleciało wiadro.

– Wstawaj, ty skurwysynu z królestw.

Chłopak otworzył lewe oko – prawa powieka odmawiała mu posłuszeństwa – i przyjrzał się otoczeniu. Z początku myślał, że jest w piekle, gdyż wszystko wydawało mu się czerwone jak sam diabeł. Po chwili zdał sobie sprawę, że widzi świat przez szkarłatną mgiełkę. Zdrowe oko zalewała mu krew. Nie było to zbyt korzystne, gdyż z drugiego nie miał w tej chwili większego pożytku. Niemniej jednak, lepiej mieć jedno oko widzące na czerwono niż nie mieć żadnego.

Mężczyzna, który cisnął w niego wiadrem, był wściekły jak Frallit w świąteczny dzień. Jego twarz miała też taki sam kolor. Czerwień policzków mistrza piekarskiego nie miała jednak nic wspólnego z zakrwawionym okiem.

– Co się tak głupio uśmieciesz, chłopcze? Chłopak poczuł szybki kopniak w nerki.

Jack ze wszystkich sił starał się zmienić wyraz twarzy. Nie było to łatwe. Szczeka nie chciała funkcjonować normalnie, a wargi miał zbyt obrzękłe, by mógł nimi poruszać.

– Nie rób ze mnie dumnia, chłopcze, bo zaraz zmażę ci z gęby ten uśmieszek.

Mężczyzna spoliczkował mocno Jacka. Chłopak zatoczył się do tyłu.

Poczuł przeszywające mu pierś ukłucie bólu. Wszystkie mięśnie i kości, wszystkie komórki jego ciała zakrzyczały na znak protestu. Każdą z kończyn ogarnęła odrębna fala cierpienia. Plecy i brzuch stanęły w płomieniach. Miał wrażenie, że przez środek czaszki biegnie mu szeroka szczelina. Ból był tak ogromny, że po początkowym szoku wywołanym jego odkryciem zlał się w jedno, skupiając się na wyjściowym punkcie w piersi.

– Już się nie uśmiechasz, co? – zadrwił strażnik.

Umysł Jacka spowiły obłoki udreki. Nie był pewien, jak zareagować. Na zmianę próbował kiwać głową i spoglądać spode łba. Na szczęście, to pierwsze przychodziło mu łatwiej i strażnik uspokoił się nieco. Chłopak poczuł ulgę. Nie uważał się bynajmniej za bohatera. Odetchnął głośno. Był to kolejny błąd, gdyż jego klatka piersiowa zaprotestowała gwałtownie

przeciw takiemu wysiłkowi. Z płuc do gardła popłynęła mu ciepła, przyprawiająca o mdłości fala bólu. Towarzyszyła jej krew. Pochylił się i wypluł czerwoną, spienioną ślinę.

– Na twoim miejscu bym się tym nie przejmował, chłopcze – zauważył strażnik. – Życie nauczyło mnie, że powieszenie to najlepszy z uzdrowicieli. Leczy wszelkie choroby skuteczniej niż jakikolwiek lekarz.

Jack miał już serdecznie dość tego strażnika. Poszukał w pamięci odpowiedniego wyzwiska. Przyszedł mu do głowy tylko „halcuski owcojebca” i postanowił zrobić z niego użytek.

Łup! W brodę trafił go celnie wymierzony kopniak. Potem następny. I następny.

– Daj spokój, Gleeless! Zostaw chłopaka – rozległ się drugi głos. – Powieszą go dopiero za tydzień, a co to za przyjemność zakładać pętlę trupowi?

Gleeless chrząknął, raz jeszcze kopnął Jacka w zębra, po czym wyszedł z celi w ślad za swym kompanem. Rozległ się zgrzyt metalu, szczęk klucza, a potem odgłos butów stukających o kamień.

Jack wiedział już, że lepiej nie wzdychać. Położył się na plecach, wpatrzył w niskie, beczkowe sklepienie celi i próbował rozluźnić obolałe mięśnie. Mógł sobie poradzić ze wszystkim – nawet dalszymi ciosami

strażnika – pomijając ból w piersi. Przypominał on wir, który wciągał jego siły i świadomość. Był zmuszony cały czas stawiać mu opór. Przypominał sobie niejasno sterczącą mu z ciała strzałę i psy o ostrych jak noże zębach. Nie, nie chciał o tym myśleć. Musiał się jednak na coś skupić, by uratować swój umysł przed wirującą pułapką utworzoną przez ból w piersi. Mógłby podnieść głowę i obejrzeć uważnie swe ciało, miał jednak przeczucie, że nie spodoba mu się to, co zobaczy. Odrzucił więc ten pomysł, tłumacząc się, że jest zbyt wrażliwy.

Mógł skupić myśli tylko na jednym. Od rany po strzale w piersi mogła je odciągnąć wyłącznie Tarissa. Nocą z pewnością czekała na niego w lesie. Spędziła wiele godzin w ciemnościach, a on nie przyszedł. Grzmotnął pięścią w ziemię. Zawiódł ją. Ta myśl była dla niego torturą. Kiedy zrezygnowała z czekania. O północy? O świcie? Widział ją oczyma wyobraźni: kasztanowe loki wymykające się spod kaptura, twarz napięta z niepokoju, dłoń zaciśnięta na nożu. Był pewien, że czekała do świtu.

Co sobie pomyślała? Że go pojmano, zabito bądź też – co najgorsze – że wykonawszy zadanie po prostu sobie poszedł i ją zostawił.

To była wina Rovasa. Tunel był zablokowany i

Jack wszedł prosto w pułapkę. Po śmierci Vanly'ego, przestał być potrzebny przemytnikowi. Najłatwiej było oddać chłopaka żołnierzom. W ten sposób Tarissa i Magra pomyślały, że go schwytano, nie zdradzono. Jack raz za razem uderzał pięścią w podłogę. Jak mógł być tak głupi! Rovas prowadził go jak na sznurku, cały czas się z niego śmiejąc. Jego plan był bezbłędny: niech ktoś inny wykona za niego brudną robotę, a potem da się za to powiesić.

W tej chwili przemytnik zapewne pocieszał Tarysę, trzymając ręce nieco zbyt nisko wokół jej talii, a usta trochę za blisko ucha.

Jack poczuł wewnątrz głowy narastający ucisk. Nie mógł znieść wizji Rovasa dotykającego Taryssy. Poczul ostry posmak w ustach, a potem cęła zaczęła się trząść. Z beczkowego sklepienia spadł kamień, który upadł z trzaskiem u jego stóp. Podziałało to jak uderzenie w twarz. Wstrząsnęło Jackiem, a zarazem przywróciło mu rozsądek. Zapanował szybko nad sobą, wyobrażając sobie, że czary to żółć, którą trzeba przełknąć. Napięcie w głowie szukało uwolnienia, z nosa popłynęła krew. Po chwili poczul też ciepły strumyczek ciekący z ucha.

– Co to było, na Borca? – krzyknął ktoś.

Jack dygotał od stóp do głów. Czary, upadek

kamienia i wizja Rovasa ściskającego Tarysę: było tego zbyt wiele. Miał ochotę się rozplakać, lecz bohaterowie nigdy nie robili takich rzeczy, jemu więc honor również tego zabraniał. Poza tym, jego twarz była obecnie w takim stanie, że płacz przysporzyłby mu tylko więcej bólu.

Czuł się bardzo słaby i bezradny. Jego umysł po raz pierwszy odsłonił przed nim to, o czym podświadomie wiedział już od pierwszego tygodnia pobytu w chacie przemytnika: Rovas pragnął Tarissy. Był w niej zakochany i nie zamierzał jej oddać nikomu innemu. Tłumaczyło to bardzo wiele. Magra próbowała zbliżyć ich do siebie nie dlatego, że chciała, by zostali kochankami, lecz z uwagi na fakt, iż alternatywa była znacznie gorsza. Nie mogła pozwolić, by jej córka wpadła w łapska Rovasa. Przez niemal dwadzieścia lat był dla niej jak ojciec i jego pożądanie było bliskie kazirodztwu. Magra, wysoko urodzona szlachcianka, wolała, by Tarissa związała się z piekarczykiem niż z człowiekiem, który niegdyś był jej kochankiem i przybranym ojcem jej córki.

Jackowi kręciło się w głowie. Trzeba ocalić Tarysę przed Rovasem. Nie minie wiele czasu, nim przemytnik wykombinuje następny ohydny plan, mający związać ją z nim mocniej. Nie cofnie się przed

niczym. Morderstwo, szantaż, wymuszenie – wszystko, by tylko zachować nad nią władzę.

Chłopak uderzył pięścią w kamienną podłogę. Rovas pragnął Tarissy. Dlaczego nie umiał uświadomić sobie tego wcześniej? Gdyby mu się to udało, nie przebywałby teraz w halcuskim lochu, podczas gdy przemytnik służył dziewczynie szerokim ramieniem, na którym mogła się wyplakać. Tak łatwo dał się oszukać. Powinien był sprawdzić tunel, nim przystał na plan Rovasa. Ani przez chwilę nie wątpił, że zablokowano go już dawno temu i że przemytnik świetnie o tym wiedział. Świadomie wysłał go na śmierć.

Jack przeklinał własną głupotę. Okazał się podatny jak świeżo ugniecione ciasto. Koniec z tym. Leżąc tak na podłodze halcuskiej celi, jakaś część jego jaźni stwardniała. Zbyt długo godził się na dominację innych. Frallil go terroryzował, Baralis bił, a Rovas zdradził. Czas wziąć swój los we własne ręce. Nie pozwoli więcej prowadzić się jak bydło na pastwisko. Od dziś sam będzie określał własną przyszłość.

Istniało coś, co należało tylko do niego, siła, której zbyt długo już starał się wyprzeć bądź ją ignorować. Miał we krwi czary. To one kazały mu teraz dygotać, to one wyrwały kamień z sufitu. Udało mu się już

wpłynąć na budynki i ludzi, a także zmienić naturalny porządek *rzeczy*. Czego jeszcze potrafi dokonać? W tej chwili jego moc była objawem wściekłości. Przywoływał ją gniew, a potem długie miesiące pozostawała w uśpieniu. Musi nauczyć się nad nią panować. Jeśli osiągnie ten cel, nikt już nie odważy się go wykorzystać.

Zacisnął mocno pięści. Rovas wysłał go do zasypanego tunelu. Nie ujdzie mu to na sucho. Strażnik powiedział, że egzekucja będzie dopiero za tydzień. Świetnie. Będzie miał mnóstwo czasu na zaplanowanie ucieczki. Potrzebował kilku dni, by odzyskać siły. Wątpił, by w tej chwili był w stanie utrzymać się na nogach, nie mówiąc już o bieganiu czy wyrwaniu przeciwnikowi miecza. Co ważniejsze, musiał też poćwiczyć nad mocą. Zapanuje nad czarami, które się w nim kryły.

Ignorując protesty rozlicznych mięśni, Jack podniósł się do pozycji siedzącej. Rana w piersi przypomniawsza o swej obecności, przeszywając jego ciało głębokim bólem. Chłopak opierał się całą siłą woli. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Kamień leżący u jego stóp wydawał się dobrym punktem startu. Sprawdzi, że się poruszy. Oczyszczył umysł ze wszystkiego, i zaczął skupiać uwagę na środku

kamienia. Powoli skierował własną wolę na jego powierzchnię, wyobrażając sobie, że przesuwa go umysłem. Nic. Żadnych drgnień w żołądku ani ucisku w głowie. Spróbował raz jeszcze, tym razem wyobrażając sobie, że wchodzi do wnętrza kamienia i popycha go od środka. Bez względu na to, jak mocno się koncentrował, głąz nawet nie drgnął.

Rozczarowany, lecz właściwie nie zaskoczony, Jack przesunął się lekko. Wiedział, co musi zrobić. Przywołał wizję pocieszającego Tarissę Rovasa, wielkich, czerwonych łap przemytnika spoczywających delikatnie na jej plecach, gdy pochylał się, by szeptać kłamstwa do jej ucha. Nie potrzebował nic więcej. Natychmiast poczuł, że w ustach gęstnieją mu czary, a mózg uciska czaszkę. Nastąpiła krótka chwila, podczas której starał się skupić energię. Potem kamień roztrzaskał się na tysiąc odłamków. Odpryski uderzyły o ciało Jacka niczym strzały. Z podłogi wzbily się tumany kurzu.

Kiedy pył opadł, odsłonił gruz. Jack czuł mdłości, nie triumf. Zmęczony, na granicy omdlenia, wrócił do pozycji leżącej. Drzenie, które ani na moment nie ustało całkowicie, stało się nagle znacznie dokuczliwsze. Uniósł kolana do piersi i zwinął się w kłębek, by nie zmarznąć. Słabość owiała jego ciało jak

chłodny wietrzyk. Po krótkiej chwili zapadł w niespokojny sen, trzymając głowę blisko tego, co zostało z kamienia.

Tawl niepokoił się o Kosiarza, ponieważ wiedział, że chłopak z pewnością martwi się o niego. Nie powinien był wychodzić, nie zostawiając młodemu kieszonkowcowi żadnej wiadomości, nie dano mu jednak wyboru. W jednej chwili siedział w izbie, smarując tłuszczem miecz, w następnej zaś do środka wszedł diuk, rozkazując, by udał się z nim w góry. Nie mógł odmówić. Złożył władcy Brenu przysięgę bezwarunkowego posłuszeństwa. Oczywiście Kosiarza nigdzie nie można było znaleźć – Borc jeden wiedział, co chłopak porabiał za dnia – a czas miał zasadnicze znaczenie. Na dziedzińcu czekały konie, a diuk nie należał do cierpliwych ludzi. Kartka nie zdałaby się na wiele, gdyż kieszonkowiec nie umiał czytać. Mógł jedynie zostawić jak najwięcej swoich rzeczy, by Kosiarz miał pewność, że zamierza wrócić.

Był bystrym chłopcem, zdecydowanie za bystrym, jak na swój wiek. Tawl nie wątpił, że jest wystarczająco zaradny, by się dowiedzieć, dokąd

wyjechał. Nie znaczyło to jednak, że nie będzie się o niego niepokoił. Uśmiechnął się na myśl o małym uliczniku. Kosiarz uważał się za jego niańkę. Opatrywał mu rany, dolewał wody do *ule* i śledził każdy jego ruch. Był jak natarczywa mucha. Nie sposób było się od niego opędzić. Z taką wiernością mógłby zostać znakomitym rycerzem – pod warunkiem, że nie pozwalaliby mu zbliżać się do złota!

Dobrze się czuł wiedząc, że ktoś gdzieś o nim myśli. Kosiarz uratował mu życie, towarzyszył mu przez setki mil i nigdy nie uznał go za straconego. Tawł nie wiedział, czym sobie zasłużył na podobną przyjaźń, niemniej jednak cieszył się z całego serca, że owego pamiętnego dnia, gdy Rybacka Szajka zawinęła z powrotem do Rornu, napotkał na swej drodze ulicznika. Złożył przysięgę diukowi i to musiało być najważniejsze, miał jednak wielki dług u Kosiarza i jeśli chłopak będzie go potrzebował, zawsze może na niego liczyć.

Problem w tym, że podczas gdy on siedział w górach, pilnując najnowszej faworyty diuka, kieszonkowiec zapewne pakował się w Brenie w najróżniejsze kłopoty. Był w tym naprawdę dobry. Zapewne jednak nic mu się nie stanie. Jego odporność dorównywała pomysłowości.

Wstał i rozprostował obolałe mięśnie. Cała noc spędzona na twardej ławie nie wyszła mu na zdrowie. Minęło już jednak wiele czasu, odkąd najpoważniejszą dolegliwością, na którą się skarżał, był ból mięśni, a drewniana ława stanowiła wygodne łoże w porównaniu z rozłożonym na ziemi kocem. Szybko wracał do zdrowia. Zawsze tak było: bez względu na to, jak mocno maltretował swe ciało, nigdy go nie zawiodło. Z tego przynajmniej powinien się cieszyć.

Do drzwi podeszło dwóch lekarzy. Tawl rozpoznał ich, pozwolił więc, by weszli. Zastanawiał się, co jest takiego szczególnego w przebywającej w komnacie kobiecie. Lekarze, służące, krawcowe i kapłani: wszyscy przychodzili ją odwiedzić.

– Strzeż jej – nakazał diuk, nie wyjaśniając dlaczego ani jak długo. Podczas sześciogodzinnej jazdy Tawl nie zadał mu ani jednego pytania. Jako rycerz nauczył się szanować rozkazy, a teraz – gdy nie był już rycerzem – były one wszystkim, co mu pozostało. Nadawały jego życiu porządek, jeśli nawet nie znaczenie. Diuk był zasługującym na szacunek przywódcą, żołnierzem, który sam prowadził wiele kampanii. Służba u niego nie była taka zła. Lepsze to niż spędzać dni na upijaniu się do nieprzytomności, a noce na walkach na arenie.

Podeszła do niego służąca z zastawioną jadłem i napojami tacą. Wręczyła mu ją, po czym zaczekała, aż popróbuje pożywienia. W kuchniach zadali sobie mnóstwo trudu: wspaniałe mięsa i sery, a do tego piękna dziewczyna, która je przyniosła. Podziękował jej uśmiechem, ona zaś odwzajemniła się własnym, który był propozycją. Szerokie biodra wydymały jej spódnicę, a kształtne ramiona zagrażały szwom sukni.

– Jeśli będziesz potrzebował jeszcze czegoś, panie, znajdziesz mnie w kuchniach – oznajmiła.

Zbyt długo już obywatel się bez kobiety. Teraz, gdy jego krew uwolniła się od *ale*, a ciało od bólu, poczuł znajomą potrzebę namiętności, pragnienie zatopienia się w krągłościach i fałdach kobiecego ciała i być może – jeśli mu się poszczęści – zapomnienia na chwilę o swych demonach.

– Moja pani – odparł łagodnym tonem. – Przyjść odwiedzie cię później, jeśli pozwolisz.

Ujął jej dłoń i unióśł ją do ust. Pachniała masłem i pietruszką.

– Będę czekała – zapewniła. Pokłoniła się nisko i odeszła, kołysząc biodrami, tak jak potrafiły to robić tylko dojrzałe kobiety, pewne siły swych wdzięków. Tawł patrzył, jak oddala się od niego korytarzem, ani na chwilę nie przestając jej podziwiać. Drogę przecięła

jej jakaś postać i służąca dygnęła nisko. Mógł to być jedynie diuk. Tawl wstał, czekając, aż do niego podejdzie.

– Cieszę się, że cię tu widzę, przyjacielu – powitał go władca Brenu, ściskając mu dłoń. – Kiedy ci mówiłem, że masz pilnować pani, nie spodziewałem się, że będziesz czekał pod jej drzwiami.

Tawl odwzajemnił mocno uścisk. Uśmiechnął się z przekąsem.

– Wasza Miłość powinien wiedzieć, że traktuję rozkazy poważnie. Jednak mógłbym zamordować pierwszego człowieka, którego złapałbym z poduszką. Ta ława jest twardsza niż kamień.

Diuk uśmiechnął się, lecz gdy przemówił, jego słowa brzmiały poważnie.

– Tawlu, nie przywiozłem cię tu jako strażnika, lecz dlatego, że potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać. – Szare oczy patrzyły na niego chłodno. – Myślę, że ty zasługujesz na zaufanie.

Tawl spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie złamię przysięgi.

– Wiem. – Dłoń diuka spoczęła na rzeźbionych drzwiach. – W tej komnacie jest dama, która wkrótce znajdzie się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Pewni ludzie będą chcieli ją zamordować. Później, gdy

wszystko zostanie już sfinalizowane, powiem ci więcej, jedno jednak jest pewne: za wszelką cenę trzeba jej zapewnić bezpieczeństwo. Gwardziści nadają się tylko na pokaz. Ludzie z włóczykami nie powstrzymają zdeterminowanego skrytobójcy. Potrzebny mi człowiek z inicjatywą, ktoś kto będzie czuwał dzień i noc, a także potrafił sobie poradzić z nagłą groźbą.

Diuk przerwał na chwilę, by ocenić, jaki wpływ jego słowa wywarły na Tawla.

– Kiedy oglądałem cię tamtej nocy, na arenie, ujrzałem człowieka, który był zdecydowany zwyciężyć bez względu na koszty. Dowiedziałem się też, że byłeś niegdyś rycerzem, co znaczy, że twoje umiejętności i wierność nie podlegają dyskusji. Sądzę, że będziesz bronił tej damy nawet z narażeniem własnego życia.

– Będę.

– Cieszę się z tego – stwierdził diuk. Odwrócił się od Tawla i przebiegł dłonią po zdobiącej drzwi płaskorzeźbie przedstawiającej jastrzębia, dotykając palcami jego szponów. – Rzecz jasna, obrona przybiera różne formy.

Tawl wyczuł, że rozmowa skręciła na inne tory, nie odzywał się jednak, pozwalając mówić diukowi.

– Wielu ludzi będzie chciało z nią porozmawiać.

Zapraǳną wypełnić jej głowę kłamstwami albo manipulować jej myślami. Trzeba trzymać ją z dala od podobnych wpływów. Chcę ją całkowicie izolować od dworskich rozgrywek. Nikomu nie wolno widzieć się z nią bez mojego pozwolenia. Nie chcę też, by opowiadano jej cokolwiek o polityce i sprawach państwowych. Nie można ani na chwilę spuszczać jej z oka.

Tawłowi to się nie spodobało.

– Chcesz więc, bym został jej dozorcą?

– Nie – zaprzeczył szybko diuk. – Jej przyjacielem.

– Sam sobie wybieram przyjaciół, Wasza Miłość.

– W takim razie powinieneś poznać damę, o której mówimy. Diuk otworzył drzwi i skinieniem zaprosił go do środka. Minęli jadalnię i weszli do słabo oświetlonej sypialni. Na łożu siedziała chuda, ciemnowłosa dziewczyna. Oczy miała duże i ciemne, a podbródek mocno wysunięty.

– Tawłu – odezwał się diuk – przedstawiam ci lady Melliandrę.

Melli nie była w dobrym nastroju. Miała po dziurki w nosie opukiwania i obmacywania, a także przymusowego karmienia słodzonym zsiadłym mlekiem. Jej ojciec słusznie nienawidził lekarzy. Nie wystarczało im, że pacjent jest chory. Musieli go

jeszcze unieszczęśliwić. Potrzebowała wołowego udźca – całego, ledwie upieczonego, – dzbanka porządnego czerwonego wina oraz nocnika, który nie wrzynałby się jej w pośladki jak nóż.

Nie podobała jej się również nieustanna krzątanina. Odkąd wczoraj odzyskała przytomność, ludzie wchodzili do jej sypialni, zupełnie jakby drzwi – i zwyczaj pukania w nie – po prostu nie istniały. Lekarze ją leczyli, kapłani się za nią modlili, krawcowe brały z niej miarę, i wszyscy oni za nic mieli jej prywatność. Na domiar złego, nikt nie odpowiadał na jej pytania. Bez względu na to, czego chciała się dowiedzieć, uśmiechali się tylko, kiwali głowami i mówili: „Zobaczymy”. Gdy jednak zdążyła się przygotować do satysfakcjonującej demonstracji swego oburzenia, do komnaty wszedł diuk.

Ktoś mu towarzyszył: złotowłosa mężczyzna, który wyglądał, jakby przybył tu prosto z legendy.

– Melliandro – rzekł diuk – chciałbym, żebyś poznała mojego nowego obrońcę. Tawła z Nizin.

Mężczyzna pokłonił się uprzejmie, wyginając plecy w łuk.

– Pani.

Mdli nie wiedziała, jak zareagować. Stojący przed nią nieznajomy niczym nie zasłużył na to, by paść

ofiara jej złości. Kiedy się wyprostował, zauważyła, że jeden bandaż ma owinięty wokół piersi, a drugi wokół ramienia. Spojrzał na nią swymi błękitnymi oczyma i to, co w nich zobaczyła, natychmiast ugasiło jej gniew.

– Cieszę się, że mogę cię poznać, Tawlu – stwierdziła.

– Cóż to, Melliandro? Czyżby upadek z konia pozbawił twój język jadu? – Diuk uśmiechnął się. Podszedł do okna, odsunął zasłony i otworzył okiennice, po czym odwrócił się, by spojrzeć na nią. – Strasznie schudłaś i zbladłaś.

– A ty, panie, w najmniejszym stopniu nie straciłeś umiejętności obrażania dam. – Coś niepokoiło Melli. Nie przypominała sobie, by zdradziła komukolwiek w Brenie swe prawdziwe imię, a mimo to od wczoraj wszyscy zwali ją Melliandrá, i do tego „lady”! Być może Bailor mówił prawdę i diuk faktycznie był w niej zakochany, gdyż od chwili wypadku ludzie traktowali ją ze zwiększonym szacunkiem. Na jej czole pojawiła się zmarszczka dumy. To zrozumiałe, że człowiek taki jak diuk dostrzegł jej prawdziwą wartość. Była córką najpotężniejszego możnowładcy w królestwach. Z pewnością arystokratyczne maniery przebijały się przez maskę, którą przywdziała.

– Zostaw nas teraz, Tawlu – polecił diuk. –

Wypocznij trochę. Pomówię z tobą później.

Złotowłosy mężczyzna pokłonił się po raz drugi i opuścił komnatę. Dziewczyna zauważyła, że porusza się zupełnie bezgłośnie.

– Dlaczego było takie ważne, bym poznała twego obrońcę? – zapytała, gdy zamknęły się za nim drzwi. – Czy to kolejna osoba, która ma mnie pilnować?

– Pochlebiasz sobie, Melliandro – powiedział diuk, siadając na jej łożu. – Ale nie bez powodu. Tak, chciałbym, żeby miał cię na oku. – Z jego szczupłej, smagłej twarzy nie można było nic wyczytać, a oczy lśniły jak u jastrzębia. – Dbam o bezpieczeństwo wszystkiego, co wysoko sobie cenię.

– A więc jestem dla ciebie cenna?

Melli lekko zaniepokoiła nagła zmiana lematu. Diuk był tak blisko, że czuła jego zapach.

– Tak.

Uniósł jej dłoń i przytknął ją do ust.

Dotyk jego szorstkich palców był przyjemny. Zaniepokojona, cofnęła rękę.

– Skąd ta nagła zmiana nastawienia? O ile pamiętam, podczas naszej poprzedniej rozmowy nie okazywałaś podobnej troski.

– Kiedy mi powiedziano, że możesz umrzeć, zdałem sobie sprawę, że nie chcę cię stracić.

Diuk przemawiał gładko, lecz wypowiedzane słowa niezbyt do niego pasowały.

– Mnie? Nieślubnej córki zubożałego wielmoży?

Diuk podniósł się nagle. Melli po raz pierwszy zauważyła, że nie ma u boku miecza. To dziwne. Nigdy dotąd nie widziała go bez broni. Zatrwożyło ją, to nieco.

– Melliandro, odkąd, przed dwunastoma laty, zmarła moja żona, w moim życiu nie było kobiet. Tak, zaspokajałem swe żądze. W przeciwnym razie trudno by mnie było nazwać mężczyzną. Szukałem jednak tylko przyjemności, nie towarzystwa. – Zwrócił się w jej stronę. – Do tej chwili. Odkąd cię spotkałem, ani na moment nie przestaję o tobie myśleć. Twa duma i dowcip nie mają sobie równych. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, a zarazem zachwycasz. Od śmierci żony nie stanąłem wobec podobnego wyzwania. Zapomniałem już, co to znaczy przebywać w towarzystwie kobiety, która jest mi równa.

Melli zakręciło się w głowie. Podobnie górnolotna deklaracja była ostatnim, czego się spodziewała. Powiedział..równa”. Po raz pierwszy w życiu Mciiii spotkała się z uznaniem za to, kim była – nie za tytuł urodę, czy wielkie bogactwa ojca – lecz za to, co kryło się w jej wnętrzu. Siedzący obok mężczyzna nie

zalecał się do córki Maybora, lecz do dziewczyny bez pieniędzy i perspektyw, a mimo to traktował ją jak równą sobie. Była tym zachwycona.

Diuk wstał, czekając na jej odpowiedź.

Nie była pewna, co mu rzec. Szybko wypróbowała w myśli kilka zdań, lecz żadne nie wydawało się odpowiednie.

– Zaskoczyłeś mnie, Wasza Miłość.

– Ciesz się mnie to. – Diuk rozciągnął usta w drapieżnym uśmiechu, napinając skórę wokół haczykowatego nosa. – Martwię się jednak, czy cię nie męczone. Lekarze powiedzieli mi, że potrzebujesz wypoczynku.

– Czuję się świetnie. – Nie chciała by odchodził. – Niepokoję się jednak o konia. Co się z nim stało?

– Nie żyje. Zginął z mojej ręki. Kulawy wierzchowiec na nic by mi się nie zdał.

Melli poczuła wstyd. Jej duma, za którą parę chwil temu chwalił ją diuk, doprowadziła do śmierci rumaka.

– Przykro mi – powiedziała.

Skinął współczująco głową. Sięgnął pod bluzę i wydobyl stamtąd owiniętą w jedwab paczuszkę.

– Mam tu coś, co chciałbym ci ofiarować.

Była pewna, że to nóż, który dostała od hodującej świni kobiety. Drżącymi dłońmi ujęła zawiniątko.

– Odpakuj to.

Melli rozwinęła jedwab. Coś ciężkiego upadło na łożo. Faktycznie był to nóż, lecz nie ten, który tak długo skrywała pod suknią, a pięknie wykonany ze srebra i złota sztylet o rękojeści wysadzonej rubinami i szafirami – najpiękniejszy przedmiot, jaki widziała w życiu.

– Podoba ci się? Pomyślałem, że potrzebny ci nowy nóż. Poprzedni wygiął się paskudnie.

Melli szukała w jego głosie ostrzeżenia, lecz znalazła tylko ironię. Ujęła oręż w dłoń. Pasował jak rękawiczka. Klejnoty zatańczyły w blasku słońca, sypiąc kolory niczym iskry.

– To damski sztylet, wykonany pięćset lat temu dla pewnej pięknej cesarzowej z Dalekiego Południa. Podobno wzięła go w rękę tylko raz, by zabić kochankę męża. – Diuk ruszył w stronę drzwi. – Jutro przyniosę ci pochwę, żebyś nie miała pretekstu trzymać go blisko piersi.

Obrzucił ją przebiegłym spojrzeniem, pokłonił się krótko, po żołniersku, a potem wyszedł. Pod jego nieobecność komnata wydała się większa.

Melli przesunęła ostrzem po prześcieradle, przecinając je bez trudu. Czuła się zdezorientowana, podniecona i rozczarowana, że odszedł.

Garon, diuk Brenu, zwany przez wrogów Jastrzębiem, pomaszerował długim korytarzem do niewielkich pokojów, które tymczasowo zajmował. Niecierpliwie pragnął przypiąć miecz. Brakowało mu jego uspokajającego ciężaru u pasa i chłodnego dotyku metalu muskającego udo. Czekala na niego świezo nabyta dziewczyna. Zażądał wcześniej jej obecności, przekonał się jednak, że nie ma ochoty na miłość. Odesłał ją ruchem ręki. Umknęła jak szczur, wydając z siebie cichy okrzyk rozczarowania. Diuk niemal go nie usłyszał.

Wizyta u Melliandry zakończyła się sukcesem. Wielkim sukcesem. Niezwykłe było to, że w pewnym punkcie uwodzicielskich zabiegów naprawdę zaczął wierzyć we własne słowa. Faktycznie wzbudziła jego zainteresowanie. Miała ostry języczek i żywy temperament. Rzeczywiście wyjątkowa kobieta.

Nalał sobie pół kielicha wina i – upewniwszy się, że w komnacie nie ma służącego – wypił je. Podarowanie Melliandrze wysadzanego klejnotami sztyletu było wspaniałym pomysłem. Musi pamiętać, by podziękować Bailorowi za tę sugestię. Ochmistrz był bystrym człowiekiem. Domyślił się, że tej kobiety nie zainteresują zbytnio brosze i kolczyki. Miał rację. Córka lorda Maybora mogła mieć wszystkie ozdoby,

jakich zapragnęła, i kilka błyskotek więcej nie wywarłoby na niej wrażenia. Rzecz jasna, ciekawiło go, dlaczego w ogóle trzymała pod stanikiem nóż, był jednak skłonny patrzeć na to z wyrozumiałością, może nawet z podziwem. Była damą gotową bronić swej czci.

Potaął podbródek, wyczuwając szorstkimi palcami lekki zarost. Zbliżał się czas drugiego golenia. Podeszedł do stołu, wziął miecz i przypiął go do pasa. Nie uznawał pochwy. Wolał nagi oręż. Nie tylko wyglądał groźniej, lecz również zmuszał go do zastanowienia przy każdym ruchu. Groźba skaleczenia w nogę lub dłoń dobrze wpływała na koncentrację.

Wycierając broń miękką szmatką, myślał o Melliandrze. Potrzebował nowej, pięknej żony. I rozbrykanego chłopaka jako dziedzica. Ożeni się z Melliandrą, a ona da mu następcę. To był znakomity plan. Pod każdym względem doskonały. W obecnej chwili Catherine musiała wyjść za Kylocka. Umowę małżeńską zatwierdzono przez pełnomocnika, co równało się wyryciu jej w kamieniu. Problem – i lord Baralis doskonale o tym wiedział, aczkolwiek nie zamierzał tego przyznać – polegał na tym, że Kylock wydawał się zdecydowany podbić Halcus, co nie tylko bardzo zaniepokoi Annis i Highwall, lecz również

prędzej czy później doprowadzi do wojny. Sedno sprawy tkwiło w tym, że Catherine była jego jedynym dzieckiem, co oznaczało, że, gdy on umrze, władzę w Brenie przejmie ona, a co za tym idzie również jej mąż. Diukowi nie podobało się to nawet w najmniejszym stopniu. Ów fakt nie pozwalał mu spać po nocach, zwłaszcza od chwili, gdy dotarli do niego wieści o zakończonym powodzeniem najeździe Kylocka na Halcus.

Odwołanie ślubu byłoby w tej chwili katastrofą. Mogłoby nawet doprowadzić do kolejnej wojny, gdyż królestwa uznałyby to za straszliwą zniewagę. Sprawę pogarszały jeszcze pogłoski, jakoby koalicja południowych sił skonfiskowała, a potem spaliła, suknię ślubną Catherine. Małżeństwo stało się przez to kwestią dumy. Nie pozwoli, by południowcy myśleli, że udało im się go zastraszyć. Diuk naciągnął mocno szmatkę na ostrzu. Jastrzab nie boi się nikogo. Cała sytuacja robiła się zbyt niebezpieczna. Jego sojusz z Tyrenem i rycerstwem zaniepokoił południe, lecz do chwili ogłoszenia związku Brenu z królestwami tamtejsi władcy nie ingerowali w bieg wypadków. Wiedział, czego wszyscy się boją: powstania obejmującego całą północ mocarstwa, którego filarami byłyby królestwa na zachodzie i Bren na wschodzie.

Podobnego imperium nie widziano od stuleci. Tego właśnie chcieli Kylock i Baralis. Och, królewski kanclerz był wytrawnym dyplomata, zaprzeczał istnieniu tej groźby i minimalizował ją. Niemniej to właśnie był cel, na który kierował swe bystre, wyrachowane spojrzenie. Diuk zaczął spacerować po komnacie. Jeśli się ożeni i spłodzi syna z prawego łoża, pokrzyżuje plany Baralisa i Kylocka, rozproszy narastające na północy napięcie, a południowcy nie odniosą wrażenia, że brak mu stanowczości.

Och, to był wspaniały plan. Jeśli będzie miał syna, Catherine przestanie być jego dziedziczką i jej małżeństwo z Kylockiem przerodzi się z niebezpiecznej unii potęg w tradycyjny dynastyczny związek, tworzący więzy przyjaźni i handlu.

Niech Kylock robi z Halcusem, co zechce. Gdy tylko Melliandra poczne dziedzica, Bren straci zainteresowanie tą sprawą. Osobiście zwróci się do Annisu i Highwall, by zapewnić je o swej neutralności. W ten sposób zapobiegnie eskalacji wojny, gdyż królestwa w żaden sposób nie mogły samodzielnie przeciwstawić się potędze Highwall. Ów gród o osławionych granitowych blankach już w tej chwili przygotowywał się do wojny. Diuk codziennie otrzymywał stamtąd raporty. Władze Highwall

traktowały sytuację poważnie. W zeszłym tygodniu wydano tam edykt mówiący, że każdy mężczyzna musi przez dwadzieścia godzin tygodniowo ćwiczyć strzelanie z łuku, a piątą część wszystkich dochodów należy oddać na potrzeby wojny.

Usiadł za biurkiem. W ciągu pół godziny jego nieobecności przybyły nowe raporty. Przeczytał pobieżnie jeden z nich. Kylock zdobył miasto Nolton. Miało ono duże strategiczne znaczenie, albowiem leżało w połowie drogi między granicą a stolicą, Helchem. Po jego upadku wymordowano pięć tysięcy kobiet. Nie podano liczby zabitych mężczyzn. Diuk potarł dłońmi krótko przystrzyżone włosy. Zastanawiał się, do czego właściwie zmierza Kylock. Podobna rzeź była po prostu bezsensowna. Sam był żołnierzem i w minionych dwudziestu latach zdobył wicie miast i wiosek, nigdy jednak nie nakazał zabijać kobiet. Było, rzecz jasna, nieuniknione, że podczas działań wojennych trochę ich zginie, a wiele zostanie zgwałconych, lecz ich celowe mordowanie nie przynosiło żadnych korzyści. W gruncie rzeczy, zabijanie niewinnych z reguły zwiększało determinację przeciwnika.

Bez względu na jego motywy, Kylock z pewnością radził sobie dobrze. Wbił się w halcuskie linie jak w

masło. Do tego wciąż werbował nowych najemników. Przed czterema dniami cały ich batalion przeszedł przez Bren, zmierzając na front. Diuk wstał. Był niespokojny. Musiał wrócić do miasta. Trzeba było trzymać rękę na pulsie wydarzeń. Tu, w domku myśliwskim, czuł się odcięty od świata.

O ironio, jego plany wymagały, by tu pozostał. Melliandra nie mogła jeszcze podróżować, a konieczne były szybkie zaloty. Zaręczyny trzeba będzie ogłosić, nim sytuacja wymknie się spod kontroli. Sądząc po tym, jak szybko Kylock posuwał się przez Halcus, zdarzy się to już wkrótce.

Ważne było też bezpieczeństwo dziewczyny. Gdy tylko Baralis dowie się o planowanym ślubie, wpadnie w szal. Będzie to śmiertelny cios dla jego planów. W pierwszym odruchu spróbuje zamordować narzeczoną lub narzeczonego. Diuk nie obawiał się o siebie, lecz Melliandry trzeba będzie pilnować dniem i nocą. Poczul się lepiej, wiedząc, że będzie jej strzegł Tawl. Rycerz przypadł mu do gustu. Był mężczyzną zdolnym poświęcić życie w obronie damy. Nie byłoby jednak rozsądne nie doceniać Baralisa. Był śliską żmiją o zatrutym języku. Pożądał władzy i z pewnością nie pozwoli, by sprzątnięto mu ją sprzed nosa.

Wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby

staremu królowi Leskethowi nie przyszło do głowy wyzionać ducha przed sfinalizowaniem małżeństwa. W gruncie rzeczy okazało się to błogosławieństwem, gdyż pozwoliło diukowi uświadomić sobie, że popełnia straszliwy błąd. Kylock nie chciał żony, lecz Brenu.

Diuk usiadł przed małym, srebrnym zwierciadłem, wziął w rękę nóż i przystąpił do golenia. Ten wykonywany dwa razy dziennie rytuał zawsze sprawiał mu przyjemność. Nigdy nie pozwalał zbliżać się do siebie sługom z mydłem czy świńskim smalcem. Wolał golić się sam, na sucho. Nóż był tak ostry, że ciął bez potrzeby naciskania. Przemykał po jego skórze niczym czółno po spokojnej wodzie. Diuk nie zaciął się ani razu od dziesięciu lat.

Zostanie tu na noc i odjedzie późnym rankiem. To powinno mu dać jeszcze przynajmniej jedną szansę na rozmowę z Melliandra. Musi postępować z nią bardzo ostrożnie. Bailor miał rację. Ona również prowadziła swoją grę. Zwała się: „Potrafię sobie poradzić bez imienia i bogactwa ojca”. Trzeba jej było schlebiać, lecz nie w tradycyjny sposób. Poezja i komplementy nie na wiele by się zdały. Jego słowa o równym partnerstwie wyraźnie sprawiły jej przyjemność. Da jej tego więcej. Wreszcie przyda mu się też na coś dawno zmarła żona-złośnica. Jej śmierć otaczała go atrakcyjną

aurą wciąż na nowo przeżywanej tragedii. Cóż, ich związek poniekąd rzeczywiście był tragiczny. Z pewnością zrobiła, co tylko mogła, by na całe życie obrzydzić mu małżeństwo.

Omali nie zaprzepaścił dziesięcioletniego rekordu, uśmiechając się w tym momencie. Dłonie jednak miał szybkie i udało mu się nie naruszyć skóry.

Tak, Melliandra będzie wymagała pospiesznych, lecz subtelnych zalotów. Ani słowem nie zdradzi, że zna jej tożsamość. Niech sobie myśli, że zakochał się w nieślubnej córce Luffa, że pragnie jej dla niej samej. Mógłby pewnie poślubić którąś z licznych dam dworu, lecz nie po to przez dwanaście lat unikał powtórnego małżeństwa, by teraz zawierać je wyłącznie z motywów politycznych. Melliandra faktycznie była jedyną kobietą, która zainteresowała nie tylko jego lędźwie, lecz również umysł. Poza tym, jeśli ożeni się z dziewczyną z Zamku Harvell, może uda mu się zachować dobre stosunki z królestwami.

Rzecz jasna, nigdy by mu się nie śniło jej poślubić, gdyby nie była córką Maybora. Wszystko wspaniale się ułożyło. Pozyska w lordzie Mayborze potężnego przyjaciela, zneutralizuje konsekwencje ślubu Catherine z Kylockiem i w zarodku stłumi groźbę powstania imperium. Być może w charakterze posagu

zażąda pasa ziemi ciągnącego się na zachód od Nestora. Bardzo uradowałoby to jego poddanych, jako że przed ośmiuset laty ziemie te należały do króla, który władał terytoriami Brenu. Odzyskanie ich sprawiłoby mu wielką satysfakcję, nie wspominając już o zysku.

Skończywszy golenie, puknął nożem w blat, by go oczyścić. Spadła z niego ledwie dostrzegalna garstka włosów. Inni mężczyźni nie zawracaliby sobie głowy tak nieznacznym zarostem, diuk jednak rozumiał znaczenie dyscypliny i rytuału.

Baralis dotknął ust czubkiem palca, by posmakować kapkę miodu. Słodki, palący smak niewiele zawdzięczał pszczołom. W głębi komnaty, Crope przysunął solidne krzesło do ognia i dorzucił do niego węgla, by płomienie wesoło zatańczyły. Tym razem porzucone ciało kanclerza nie zmarznie na kamień.

Krew wciąż płynęła z palca, który wydawał się bezkrwisty. Zbierała się na skórze jak lśniący, czerwony klejnot. Gdy skapnęła do kubka, zaczerpnięta moc kazała jej się poruszyć. Czekając na oparzenie, Baralis zmarszczył czoło. Nakreślił na nim linię horyzontu, po czym pochylił się, by odetchnąć narkotykiem, który wyswobodzi jego umysł z

cielesnych okowów. Płuca ze wszystkich sił opierały się działaniu trucizny. Nagle stał się lżejszy. Zbyt lekki, by mogło go utrzymać ciężkie ciało, zanadto niespokojny, żeby dać się zamknąć w czterech ścianach. Wznosił się coraz wyżej i wyżej, zmierzając ku szczytowemu punktowi. Uszy wypełniał mu szcęk ziemskich łańcuchów.

Niebo nie było go dziś w stanie skusić. Było kobietą, której uroda dawno już wyblakła.

Wędrował na południowy wschód pod coraz ciemniejszym firmamentem, nad apatyczną ziemią, a potem płochliwym morzem. Wiedzieli, że się zbliża, i wysłali mu przewodnika, choć znalazłby drogę i bez niego. Lain lśnił w ciemnościach niczym perła.

Czekała na niego komnata i czterech mężczyzn zasiadających wokół kamiennego stołu. Oczy mieli zamknięte, a umysły przygotowane do spotkania.

– Witaj. Baralisie – rozległ się pierwszy głos, który w rzeczywistości nie był wcale głosem, a jedynie czystą myślą. – Radujemy się z twego przybycia. Czego od nas pragniesz?

Baralis stworzył dla siebie nierzeczywiste ciało i rzucił je na ścianę niczym cień. W pomieszczeniu wyczuwało się napięcie. Lani kierował się własnymi motywami. Jego najwyższych kapłanów dręczył strach.

Teraz jednak to on będzie mówił. Jeśli ich cele okażą się zbieżne, niech sami go o tym poinformują.

– Interesujecie się rycerzem o imieniu Tawl. Chciałbym się dowiedzieć, co się za tym kryje.

Baralis poczuł, że wszyscy wciągnęli powietrze.

– Przybył tu po prorocstwo. Wskazaliśmy mu drogę.

– Dokąd?

– Do królestw.

Teraz z kolei Baralis zapragnął zaczerpnąć głęboko powietrza, nie miał jednak ciała, które by mu na to pozwoliło. Jego cień zamigotał.

– Czego szukał?

– Chłopca.

– Dlaczego?

Odpowiedzią na jego pytanie była cisza. Świeca się dopaliła i płomień zgasł. Spłynął po niej strumień gorącego wosku, który ściekł na dłoń jednego z czterech kapłanów. Mężczyzna nawet się nie wzdrygnął. Baralis zaczynał tracić cierpliwość. Wiedział, że kapłani komunikują się ze sobą, snując intrygi, kalkulując i rozważając ryzyko. Coś ich niepokoiło i – jeśli się nie mylił – mieli zamiar zwrócić się do niego z prośbą o pomoc.

Wreszcie jeden z nich się odezwał.

– Zgoda na prorocstwo mogła być błędem. Odkąd

rycerz nas opuścił, wielu jasnowidzów dręcza koszmary. Widzą, jak świątynia obraca się w gruzy, a ich kamienie pękają. Podejrzewamy, że nasz los może spoczywać w rękach rycerza.

– A co ma z tym wszystkim wspólnego mędrzec Bevlin?

– Pragnieniem jego życia było zrównanie naszej świątyni z ziemią.

– Było?

– Już nie żyje.

Baralis dobrze ukrył zaskoczenie. Nie miało sensu pytać jak zginął mędrzec. Władcy Larnu byli biegli w sztuce morderstwa.

– A więc rycerz był jego uczniem?

– Być może. Dlaczego się nim interesujesz?

– Jest teraz obrońcą diuka Brenu. Czuję na języku silny posmak jego przeznaczenia.

– A czy nadal szuka chłopca?

Umysł Baralisa na mgnienie oka wypełniło coś, z czym zetknął się w odległej przeszłości: dziecinny wierszyk mówiący o krwi trojga ludzi. Wspomnienie jednak natychmiast pierzchło. Zaniepokoił go ten incydent. Był jak ostrzeżenie. Rycerz i tajemniczy chłopiec. Obaj mogli w jakiś sposób wpłynąć na przyszłość. Jego przyszłość. Co ich łączyło z Larnem?

Sam fakt, że najwyżsi kapłani byli zaniepokojeni, stanowił wystarczający powód do obaw. Ich moc i możliwości były tak wielkie, że tylko poważna groźba mogła wzbudzić w nich coś więcej niż przelotną troskę. Baralis miał wrażenie, że wszystko to się ze sobą łączy: imperium, rycerz i Larn. Nie potrafił jednak dostrzec wspólnego elementu.

– Dlaczego o to pytasz?

– Chcielibyśmy się upewnić, że rycerz nigdy go nie znajdzie. Jeśli nam w tym pomożesz, będziemy skłonni w zamian pomóc tobie.

– W jaki sposób?

– Znamy twe plany, Baralisie. Wiemy, po co się narodziłeś. Nim jeszcze macica twojej matki przyjęła nasienie, które cię spłodziło, wiedzieliśmy, kim się staniesz. Nasz los łączy się z twoim. Kiedy ty idziesz w górę, my wznosimy się z tobą.

#Choć Baralis słyszał to po raz pierwszy, słowa wydały mu się dziwnie znajome. Zagrały w jego uszach jak dobrze znana pieśń. Los nie wybrał go po to, by tańczył sam. By osiągnąć sukces, potrzebował potężnych sojuszników. Miał ochotę wypytać kapłanów dokładniej, odnosi jednak wrażenie, że oni również, nie dostrzegają całego obrazu. Usłyszałby w odpowiedzi jedynie zagadki. Nie szkodzi. Może sam

zbadać tę sprawę.

– Jeśli sobie tego życzyście, będę miał rycerza na oku – stwierdził. – A gdyby postanowił opuścić miasto, powstrzymam go, nim dotrze do murów.

– Czego żądasz w zamian?

– Informacji o waszych prorocत्वach. Wkrótce wybuchnie wielka wojna i chciałbym wówczas wykorzystać wszelkie możliwości, jakie daje jasnowiedzenie.

– Nasi jasnowiedze rzadko podają fakty. Baralisie. Tylko wskazówki.

– Nie musisz udzielać mi lekcji, najwyższy kapłanie.

– Jak sobie życzysz. Przekażemy ci takie informacje, jakie naszym zdaniem będą ci potrzebne.

Rozgrywka już się zaczęła. Ludzie tego rodzaju najbardziej ze wszystkiego lubili szermierkę na słowa.

– Mam nadzieję, że waszym przekazom nie zabraknie treści.

– Skoro jesteś tak cyniczny, Baralisie, dla przypieczętowania paktu damy ci próbkę naszych możliwości.

– Mówcie.

Baralis czuł, że słabnie. Zapuścił się za daleko i przebywał tu zbyt długo. Jego cień zafalował i zaczął

blednąc. Potem zaczęły się skurcze. Odległe o setki mil ciało zaczęło okazywać swą moc, przyciągając go z całej siły.

– Przed dwoma dniami jeden z naszych jasnowidzów wspominał o lobie. Powiedział, że w tej chwili największą groźbą jest dla ciebie dziewczyna z nożem u boku. Czy to jest dla ciebie wystarczająco treściwe?

Baralis poddał się niepowstrzymanemu naciskowi ciała, mocy fizycznego świata. Jego przyciąganie wytworzyło próżnię i nie miał innego wyboru, jak ją wypełnić. Pożegnał się z kapłanami, choć zaczął już zanikać w ich myślach.

– Pilnuj rycerza – przypomnieli mu jeszcze. Ledwie usłyszał te słowa. Uszy wypełnił mu potężny szum. Musiał opuścić świątynię.

Morska sól miała smak, a ptasie odchody cuchnęły octem. Potem zaczęło się przyspieszenie i nie widział już nic więcej.

Jacka obudzono kopniakiem. Bez zastanowienia zaatakował napastnika, wyciągając rękę, by złapać go za kostkę.

– Ty skurwysynu z królestw – usłyszał znajomy głos. Strażnik o imieniu Gleeless kopnął więźnia po raz drugi, chcąc go ukarać za bezczelność.

Jack nie przejął się bólem. Wczoraj w pewnej chwili przestał go czuć i od tego momentu chłopak żył w stanie rozgorączkowanego spokoju. Kopniak był jednak obelgą. Gleelessa trzeba było nauczyć obowiązujących w więzieniu manier. Gdyby tylko zdołał się podnieść z podłogi, podjąłby się tego zadania. Wyglądało jednak na to, że jedyną jego sprawnie funkcjonującą kończyną jest lewa ręka, podczas gdy wszystkie członki strażnika były w dobrym stanie – aczkolwiek trochę oszczędzał prawą nogę – a czterokrotna przewaga była, delikatnie mówiąc, zniechęcająca.

Gleeless oddalił się i po chwili wrócił z kuflem *ale*

i miską węgorzy. W książkach Baralisa bohaterowie zawsze otrzymywali czerstwy chleb i wodę, jego jednak od chwili pojmania karmiono wyłącznie węgorzami. Halcusowie umieli wykorzystywać żywność jako broń. Zawroty głowy pognały przed sobą jego myśli niczym pędzone do zagrody bydło. Poczul pod czaszką straszliwy ciężar i przeniósł się do świata, w którym kiełbasy trzymały w rękach noże, a szynki mierzyły z kusz do serów.

Kiedy odzyskał przytomność, tłuszcz na węgorzach zakrzepł już. Wnikające do środka przez szczeliny strzelnic światło padło na szereg zmierzających ku misce chrząszczy. Jack popchnął węgorze w ich kierunku. Mogły je sobie zeżreć. Jednak *ale* nie zamierzał oddać. Trudno mu było chwycić naczynie, gdyż jego dłonie ciągle znajdowały się nie tam, gdzie powinny, a do tego dygotały tak mocno, że nie sposób ich było porządnie zacisnąć. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że co kilka sekund przed oczyma pojawiały mu się dwa kufle i nigdy nie był pewien, po który powinien sięgnąć. Przetoczył się na brzuch i przysunął głowę do naczynia, lecz wzrok zdradził go po raz kolejny – obok pierwszego natychmiast ujrzał drugie. Nagle wpadł na wspaniały pomysł. Skieruje usta w miejsce między obydwoma kufłami. Okazało się to

skuteczne. *Ale* było ciepłe i pływało w nim coś nieprzyjemnego, lecz mimo to wychłptał je jak pies. Pijąc usłyszał jakiś plusk. Po chwili zdał sobie sprawę, że to pot, skapujący mu z czoła do piwa.

Na węgorzach roiło się już od chrząszczy. Martwe ryby poruszały się ospale pod setką głodnych owadów, które wgryzały się w mięso. Ten widok przyprawił Jacka o mdłości. Chłopak podniósł się i skoncentrował na misce. Nabierał biegłości w przywoływaniu czarów. Wyobraził sobie, że jego żołądek jest pełnym wody bukłakiem, i zacisnął jego mięśnie, przesuając płyn do góry. Jednocześnie oczyścił myśli, zapominając o wszystkim poza jednym: pragnieniem zniszczenia miski. Opał był na miejscu, potrzebował jednak iskry, by rozpalić ogień. Przywołał wizję Rovasa, pochylającego się nad Tarissą, by szeptać jej do ucha słowa pocieszenia. Czary wypełniły ciało Jacka, podnosząc się do ust. Poczul je na języku i chwilę później miska z węgorzami eksplodowała.

Ciało zasypał mu deszcz chrząszczy i ich fragmentów. Ryby wraz z sosem plasnęły o jego skórę, a odłamki miski poraniły dygoczące ciało. Wezbrała w nim fala mdłości. Nie był w stanie jej powstrzymać. Pochylił się i opróżnił żołądek na sitowie. Wymiotów nie spowodowały owady, węgorze ani czary, lecz fakt,

że aby przywołać ukrytą w sobie moc musiał się zniżyć do podobnych metod. Wstydził się tego, że użył Tarissy jako katalizatora. W Zamku Harvell znał kiedyś brzydką praczkę o imieniu Marnie. Pewnego dnia zaprosiła go ona do małego, ciemnego pokoiku, w którym trzymała zapasy ługu i ziemi foluszowej. Położyła mu na ramieniu muskularną dłoń i podsunęła cienkie wargi do pocałunku. Nie miał ochoty jej całować, lecz wyobraził sobie twarz Findry, podkuchennej, i przesłonił nią oblicze nieładnej dziewczyny. Natychmiast ogarnęło go podniecenie. Całował ją i pieścił jej silnie umięśnione piersi. Czuł potem wyrzuty sumienia. Wykorzystał nie tylko Marnie, lecz również Findrę. Choć nigdy już nie zbliżył się do pralni, nie zapomniał o swym występku. Po dziś dzień zapach świeżo upranych ubrań wystarczał, by czerwienił się ze wstydu.

Wykorzystał obraz Tarissy tak samo, jak wówczas Findry.

Poczuł, że opuszcza go przytomność. Opierał się, nie chcąc tracić dalszych godzin na zrodzone z gorączki wizje. Strzepnął odpadki, pamiętając, by nie spojrzeć na ramiona. W ciągu ostatnich dwóch dni nabrał wielkiej biegłości w unikaniu patrzenia na własne ciało. Widok był zbyt przerażający. Widział

podchodzące ropą ślady zębów i nie zamierzał dopuścić, by to się powtórzyło.

Źródłem prawdziwych cierpień była dla niego jedynie rana po strzale. Znajdowała się wysoko na piersi, niedaleko prawego barku. Jack czuł, jak otaczające ją ciało trawi choroba. Grot ktoś wyrwał – nie wiedział kto, z całą pewnością nie Glecess – nie uczyniono jednak nic więcej. Nie wypalono rany gorącym żelazem, nie obandażowano jej ani nie wysmarowano maścią. Bluza mocno do niej przywarła. Jack doszedł do wniosku, że gdyby próbował oderwać ją od dopiero co uformowanego strupa, zapewne wykrwawiłby się na śmierć.

Zaczął się zatracać w płątaniu myśli. Pojawiła się przed nim Marnie, żądająca, by zdjął bluzę i pozwolił jej ją wyprać. Za nią stał pan Frallit, który lajał go za to, że zanieczyścił ciasto ropą. Grift napełniał szklanę Bodgera *ale* o barwie chrząszczy, tłumacząc mu jednocześnie, dlaczego praczki są najlepsze w łożu.

– Ty leniwy, bezużyteczny łotrze – rozległ się krzyk.

– Jazda, ty śmierdzący robaku – usłyszał po chwili.

– Wstawaj i okaż odrobinę szacunku.

Potrzeba było kilku kopniaków, by przekonać Jacka, że głos nie jest elementem snu, gdyż padające

słowa wydawały się pasować do jego treści.

Otworzył oczy akurat na czas, by zobaczyć, jak Gleeless przechyla wiadro, którego zawartość wylądowała na jego twarzy.

– Tak sobie pomyślałem, że to cię obudzi – oznajmił strażnik, kiwając głową jak chirurg, któremu udało się postawić diagnozę. – Mam tu dla ciebie kumpla. – Skinął dłonią i do celi wszedł drugi strażnik, popychający przed sobą jakiegoś mężczyznę. – Pochodzi z twojego kraju, więc powinniście się dogadać. – Gleeless zwrócił się w stronę nieznanego. – Jak masz na imię, koleżko?

– Bringe – odparł mężczyzna.

Wyglądał fatalnie. Nos miał złamany, oczy podbite, a na nadgarstkach wyraźne ślady sznura. Prawdopodobnie przywiązano go do beczki, a potem wychłostano.

– Bringe spędzi z tobą noc – oznajmił Gleeless, kierując się ku wyjściu razem z drugim strażnikiem. – Nie zapomnij zapytać go o opinię na temat haleuskich tortur. Jutro o tej porze główny oskarżyciel przyjdzie po ciebie i lepiej, żebyś się zawczasu dowiedział, co potrafi zrobić, jeśli go zdenerwujesz.

Gleeless uśmiechnął się po przyjacielsku, odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

Tavalisk przebiegł pulchną dłonią po jasnej, galaretowatej substancji. Wybrał odpowiedni punkt, a potem wbił w nią palec. Znakomicie. Flaki były miękkie i kuszące, jak uda młodego chłopca. Substancja zadrżała, jakby była żywa. Z jej powierzchni o barwie ostryg unosił się subtelny aromat żółci. Niezliczone, maleńkie gruczoły dodawały jej szorstkości, stanowiąc jedyne urozmaicenie mdłych, bezkrwistych jelit. Flaki: świńskie wnętrzności. Nikt nie uważał ich za wielki smakołyk. On uważał, że były pyszne. Nic nie mogło się równać z ich konsystencją i smakiem, nic tak rozkosznie nie prowokowało języka. Większość ludzi popełniała błąd, gotując je z solą i cebulą, Tavalisk jednak wiedział lepiej. Trzeba je było delikatnie zagotować w wieprzowym rosolu z octem. Dopiero wtedy odkrywały prawdziwe bogactwo swych smaków. Jeśli przyrządzono je jak należy, można w nich było wyczuć niemal wszystkie pokarmy spożyte za życia przez świnie.

Odkroił sobie porcję, zdumiewając się łatwością, z jaką nóż przebija potrawę. Gdy tylko uniósł ją do ust, usłyszał pukanie do drzwi. Cmoknął gniewnie.

– Proszę – krzyknął tonem, który przerodził to słowo w obelgę i ostrzeżenie.

– Mam nadzieję, że Wasza Eminencja czuje się

dziś dobrze – odezwał się Gamil, wchodząc do komnaty.

– Jeszcze przed dziesięcioma sekundami czułem się całkiem nieźle, Gamilu, lecz potem z jakiegoś powodu mój nastrój nagle się pogorszył.

– Przynoszę wieści o najeździe Kylocka. Wasza Eminencjo – ciągnął sekretarz, zupełnie jakby Tavalisk nic nie powiedział. – Wygląda na to, że przemknął przez zachodni Halcus niczym pożar lasu. To prawdziwy demon. Każę mordować kobiety i dzieci, wyrzyna bydło i wznosi tamy, by zalać pola. Nie wspominając już o fakcie, że pali wszystkie stodoły i kurniki, na które padnie jego wzrok. Nowo ukoronowany król jest wyraźnie zdecydowany powalić Halcus na kolana.

– Hmm. – Arcybiskup pogryzał Haki. – Okazuje się, że ten Kylock to ciekawa postać. Muszę przyznać, że w pełni popieram jego decyzję wymordowania halcuskich kobiet. Wszystkie są diabelnie brzydkie i pyskate!

– Ale czy Wasza Eminencja nie niepokoi się konsekwencjami? Jeśli Kylock dotrze do Helchu, cała północ stanie się jednym wielkim polem bitwy.

– No, no, Gamilu! – skarcił go Tavalisk, kiwając owiniętym we flaki widelcem. – Pole bitwy na północy

nie powinno nas obchodzić. Nam chodzi o południe. Chodzi o to, by nie straciło ono zainteresowania wojną, lecz nie dało się w nią bezpośrednio wciągnąć. – Tavalisk rzucił trochę flaków kotu. Zwierzę chciwie pochwyciło kąsek. – Marls i Toolay zwinęłyby sztandary i uciekły na widok pierwszego żołnierza wymachującego halabardą. Mam zamiar zrobić użytek z ich strachu.

– W jaki sposób, Wasza Eminencjo?

– Bardzo prosty, Gamilu. Przekonam ich władców, że jeśli nie chcą dopuścić do rozszerzenia się wojny na południe, muszą na dobre powstrzymać Baralisa i Kylocka na północy. Oczywiście będzie to wymagało wielu środków: broni, finansów, najemników, zaopatrzenia... – Arcybiskup zatoczył szeroki łuk ręką. – A wszystko to mogą dostarczyć jedynie południowe miasta. Nie wspominając już o fakcie, że dzięki temu będą się mogli wreszcie uwolnić od tych świętoszkowatych rycerzy.

– Jeśli już mowa o rycerzach. Wasza Eminencjo. Tyren i diuk Brenu zawarli porozumienie. Obie strony zgodziły się strzec towarów transportowanych z południa na północ. Przypuszczam, że przyczyna była pogłoska o zagarnięciu sukni ślubnej. Diuk Brenu nie może raczej pozwolić, by siły czterech miast jawnie

konfiskowały jego własność. To zbyt upokarzające. Gdy więc uderzymy teraz na rycerzy, będzie się to równało atakowi na Bren.

– Czyż konflikt przeradzający się w wojnę światową to nie wspaniały widok, Gamilu? – Tavalisk cisnął kotu drugi kawałek flaków. Tym razem podrzucił smakołyk wysoko do góry, tak by wylądował na wiszącym na ścianie gobelinie. To trochę utrudni życie zwierzęciu. – Tu jakaś zniewaga, tam wyróżnione stadko bydła i nim ktokolwiek zdąży się zorientować, ludzie stają po przeciwnych stronach i wyciągają noże, gotowi do walki. To doprawdy bardzo ekscytujące.

Kot, który przez kilka chwil wpatrywał się w pozostający poza jego zasięgiem kasek, postanowił wreszcie przystąpić do akcji. Skoczył w górę, wyciągając pazury, by wbić je w tkaninę. Gobelin, który wisiał na łańcuchu, rozkołysał się jak szalony. Zwierzę trzymało się go rozpaczliwie, rozpościerając wszystkie cztery kończyny na podobnie rumaka Kesmonta. Wtem kawałek flaków spadł na podłogę z głuchym plaśnięciem. Kot chciał skoczyć za nim, lecz jeden z pazurów uwiązał w tkaninie i rzuciwszy się na dół, przekonał się, że zwisa z gobelinu na tylnej łapie.

Sekretarz ruszył ku niemu, chcąc go uwolnić.

– Nie pomagaj mu, Gamilu – rozkazał arcybiskup.

– Nawet zwierzęta muszą się dowiedzieć, że za chciwość trzeba płacić.

Kot pisnął głośno, szarpiąc jak opętany wszystkimi kończynami.

– Ależ, Wasza Eminencjo, zrobi sobie krzywdę.

– Powinien był pomyśleć o tym wcześniej. Jest coś jeszcze? Gamil był zmuszony mówić głośno, by przekrzyczeć piszczące stworzenie.

– Dwie sprawy, Wasza Eminencjo. Po pierwsze, rycerz został obrońcą diuka Brenu, a po drugie dwóch ludzi Starego wraca do domu.

Rozległ się głośny trzask i kot runął na podłogę razem z gobelinem. Tavalisk zignorował hałas.

– A więc nie udało im się zamordować rycerza?

– Nie, Wasza Eminencjo. Nie próbowali tego zrobić. Wysłano ich z listem, nie z nożem.

Tavalisk przerwał jedzenie.

– Byłoby bardzo interesujące poznać treść tego listu, Gamilu.

– Arcybiskup westchnął delikatnie. – Musimy nadal uważnie obserwować rycerza. Nigdy nie wiadomo, co uda nam się odkryć. Jeśli to już wszystko, zechciej łaskawie się oddalić.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo – odparł sekretarz, kierując się ku drzwiom.

– Zanim odejdiesz, Gamilu, może mógłbyś wyświadczyć mi drobną przysługę?

– Zabrać kota do lekarza, żeby się przekonać, czy da się powstrzymać krwotok?

– Znakomicie, Gamilu. Widzę, że nauczyłeś się już odgadywać moje życzenia.

Bringe nie czuł się szczęśliwy. Odkąd zniszczył sady Maybora, sprawy szły dla niego coraz gorzej. Baralis zapłacił mu natychmiast – dziewiętnaście sztuk prawdziwego, królewskiego złota – nie miał więc powodu się uskarżać. Niestety po kilku dniach jego żona uznała, że nadeszła pora na doroczne czyszczenie kadzi, w której warzyli jabłecznik. Gdy Bringe siedział w pobliskiej gospodzie, wychylając kufel najlepszego trunku z krągłoudą Gerty, jego małżonka o szczurzej twarzy odkryła pod kadzią monety, owinięte w płótno i wysmarowane tłuszczem, by nie pobrzękiwały.

Kiedy wrócił, już jej nie było. Po kilku porządnych szturchańcach, Gerty wyznała, że mają ciotkę w Highwall. Po kilku zdrowych kopniakach, miejscowy rządca oznajmił, że ostatnio widziano żonę Bringe'a, jak płaciła dwie sztuki złota podróżującą na wschód kupcom, by pozwolili jej pojechać ze sobą. Bringe ruszył w pościg, ciągnąc za sobą zrozpaczoną, płaczącą Gerty. Po czterech dniach dogonił kupców, lecz żona

napuściła na niego strażników. Gdy strzelali do niego z łuków, Gerty szybko dogadała się ze starszą siostrą. Tabor odjechał i Bringe został sam.

Nadal wędrował na wschód, kradnąc po drodze żywność i pieniądze. Zamierzał dopaść obie kobiety w Highwall, lecz przeszkodzili mu Halcusowie. Przed dwoma tygodniami zatrzymali go jako nieprzyjacielskiego szpiega. Po najeździe Kylocka wpadli w istny amok. Wyłapywali wszystkich ludzi z królestw, by poddawać ich torturom, a następnie spalić.

Dlatego właśnie wylądował w halcuskiej celi z twarzą stłuczoną na kwaśne jabłko. Gapił się na niego jakiś ogarnięty maligną dzikus.

– Nie zbliżaj się do mnie, długowłosa – ostrzegł go. Nikomu nie pozwoli zarazić się tryprem. Ani żadnym innym choróbskiem.

Gdy wzrok Bringe’a przyzwyczaił się do ciemności, mężczyzna zdał sobie sprawę, że nieznajomy jest młodszy niż mu się z początku zdawało. Wyglądał fatalnie. Oba ramiona całe miał w ranach, które wyglądały na ślady po ugryzieniach. Drżał od stóp do głów. Bringe splunął z niesmakiem.

– Za co tu siedzisz, chłopcze?

Młodzieniec spoczywał w stosie brudnego sitowia.

Po szyi – w miejscu, gdzie kopnął go strażnik – spływała strużka krwi.

– Zamordowałem człowieka – odparł.

Morderstwo? Bringe poczuł do chłopaka znacznie większy szacunek.

– Ja jestem podejrzany o to samo. Parę tygodni temu w gospodzie zaszlachtowano kupca i wszyscy przysięgali, że zrobił to cudzoziemiec. Kiedy się przekonali, że nie da się mnie w to wrobić, oskarżyli mnie o szpiegostwo.

Nie była to do końca prawda, lecz w ten sposób wydawał się kimś ważniejszym, niż gdyby przyznał, że jest po prostu jednym z setek ludzi zgarniętych tylko dlatego, że pochodzą z królestw. Opowieść o morderstwie w gospodzie była prawdziwa, ale oskarżenie padło nie na niego, lecz poprzedniego towarzysza z celi.

– Jak masz na imię, chłopcze?

– Jack.

Bringe'owi w najmniejszym stopniu nie podobał się nowy współwięzień. Jego skóra miała chorobliwy odcień, a w oczach płonął ogień szaleństwa.

– Mnie zwą Bringem. – Jego wyznanie nie spotkało się z odpowiedzią, nie dawał jednak za wygraną. – Pochodzisz z królestw? Skąd dokładnie?

– Z Zamku Harvell.

– Ja jestem ze Wschodnich Ziem. No wiesz, niedaleko posiadłości lorda Maybora.

Na wspomnienie o lordzie Mayborze chłopak pobałdł.

– Znałeś jego córkę, Melliandrę? – zapytał, dźwigając się na kolana.

Bringe widział raz czy dwa, jak przejeżdżała obok jego chaty w towarzystwie braci. Wyglądała na bardzo zarozumiałą dziewczkę.

– Tak, znani ją dobrze. Oczywiście więcej czasu spędza teraz na dworze.

– Była piękna, prawda?

Chłopak spojrział na Bringe'a, domagając się potwierdzenia.

– Ehe. Piersi jędrne jak orzechy. Takie dziewczuchy zawsze mają dużo włosów na dole.

Chłopak dźwignął się z wysiłkiem. Portki porwała mu na strzępy chyba cała psiarnia, a nogi dygotały pod nim jak galareta. Kiedy już wstał, ruszył chwiejnym krokiem w stronę współwięźnia. Z podbródka skapywał mu pot, a w oczach lśnił obłęd. Bringe zbyt późno zdał sobie sprawę, że młodzieniec zamierza go uderzyć. Pięść napastnika wylądowała prosto na jego niedawno złamanym nosie. Po przyprawiającym o

mdłości trzasku nastąpił nagły ból. Chłopak niemal natychmiast zatoczył się do tyłu i runął na podłogę.

Bringe uniósł rękę do nosa, by powstrzymać krwawienie. Zastanawiał się, czy przyłożyć leżącemu, doszedł jednak do wniosku, że wpakowałby się tylko w jeszcze większe kłopoty, przestał więc na szybkim kopniaku w brzuch. Młodzieniec jęknął i splunął krwią. Bringe nawet go szanował: mężczyzna broniący czci kobiety nie był taki zły. To one były najgorsze: występne, chciwe kobyły.

– Wstawaj, Jack – powiedział, wyciągając do niego rękę. – Nie ma sensu kłócić się o babę.

Chłopak odmówił przyjęcia pomocy. Usiadł o własnych siłach, spoglądając na niego spode łba.

– Oczywiście trzeba oddać kobietom z królestw, co im należy – ciągnął Bringe, przechodząc na jeden ze swych ulubionych tematów. – Żadne inne nie mogą się z nimi równać, jeśli chodzi o uda. Halcuskie baby są zbyt chude, te z Highwall za bardzo muskularne, a te z Annisu takie wysokie, że nie wiesz, czy łapiesz za udo, czy za drzewo.

Bringe nie doczekał się odpowiedzi, postanowił jednak mówić dalej.

– Każdy wie, że baby z królestw są najlepsze. Dlatego właśnie doszło do tego morderstwa w

gospodzie. Tutejszy kapitan, zapomniałem jak mu na imię, sprzedał dziewczynę z królestw handlarzowi żywym towarem. Wszyscy mówią, że zarobił na tym fortunę. Po paru tygodniach zjawił się jakiś człowiek, który o nią pytał. Podobno jej narzeczony. No i następnego dnia tego kupca, którego o nią wypytywał, znaleziono martwego. Poderżnął mu gardło w ciemnej ulicy.

– Czy ten kapitan nazywał się Vanly? – zapytał chłopak. Bringe skinął głową.

– Zgadza się.

– Kiedy to się stało?

Wygląd młodzieńca uległ nagłej zmianie. Wydawał się teraz całkowicie przytomny. Pochylił ciało do przodu, oczekując niecierpliwie na odpowiedź.

– Sprzedano ją chyba z parę miesięcy temu. Jeszcze zimą. Podobno Vanly znalazł ją w jakimś kurniku.

– Jak miała na imię?

Bringe podrapał się po głowie, próbując sobie przypomnieć, co usłyszał od współwięźnia.

– Zaczynało się jakoś na M. Może Minnie albo Melda.

– A może Melli?

– Hmm, nie jestem pewien.

– Pomyśl. Pomyśl!

Bringe poczuł się odrobinę zaniepokojony. Chłopak był wyraźnie zdenerwowany.

– Mówisz Melli? To brzmi znajomo.

– I sprzedano ją handlarzowi żywym towarem?

– Ehe. Wszyscy o tym wiedzą. Ludzie w miasteczku całe tygodnie gadali tylko o tym, ile zgarnął Vanly.

Bringe popatrzył niespokojnie na towarzysza. Jedno spojrzenie i głęboko zakorzeniony instynkt nakazał mu się cofnąć. Nie wiedział, z kim ma do czynienia, ale jedno było pewne: ten chłopak był niebezpieczny.

Oszukano go. Tarissa. Magra i Rovas zrobili z niego durnia. W tej chwili grzali się zapewne przy palenisku, wyśmiewając się z jego głupoty.

Przez cały ten czas, który spędził w ich chacie, Melli żyła.

Jak Tarissa mogła to zrobić? Jak mogła go kochać, całować i łącać w żywe oczy? Czuł się zmiażdżony ciężarem jej kłamstw.

Powoli zaczął narastać w jego wnętrzu nacisk. Niemal go nie zauważał.

Gdzie kończyły się jej kłamstwa? Czy naprawdę nienawidziła Rovasa? A może to również była gra?

Napór wzrastał się nieustannie, biegnąc na

spotkanie jego myślom.

Mówiła, że to ona miała zabić Vanly'ego.

Mówiła, że Melli nie żyje.

Ból głowy uderzał falami do taktu wymienianych kłamstw Tarissy.

Mówiła, że uda się z nim do Annisu.

Mówiła, że go kocha.

Mówiła, że na niego zaczeka.

KŁAMSTWA. KŁAMSTWA. KŁAMSTWA.

Nie mógł już znieść bólu. Nacisk przerodził się w ogień w jego krwi. Wypalił szlak wzdłuż języka i uderzył z siłą bicia. Jack poczuł przyływ czarów. Cudowne, straszliwe, niepowstrzymane. Karmiły się jego myślami niczym paliwem. Wgryzały się w duszę.

Zdradziła go.

Powietrze wokół zamigotało, a potem zgęstniało. Budynek zadrżał. Na podłogę posypały się kamienie i cegły. Ziemia podskakiwała pod jego stopami. Zaczęła się kołysać. Kamienie kruszyły się, obracając się w błoto. Zasuwy się wygięły i drzwi wypadły z futryny. Celę wypełnił ciepły wiatr, niosący zapach rozgrzanego metalu. Moc, która wyrwała się z jego ciała, przeraziła go i wprowadziła w trans. Nie tracąc czasu na zastanowienie, wyszedł z celi i ruszył przez garnizon.

Usłyszał przebijające się przez zasłonę ognia krzyki. Wokół biegali jacyś ludzie. Krew znaczyła ich ciała, jak piętna znaczą skórę bydła. Wszędzie panowało zniszczenie. Tam, gdzie przechodził, waliły się ściany, metal strzelał iskrami, a drewno ogarniały płomienie. Grunt eksplodował, tworząc wzgórki ziemi i kamienia. Głazy przeszywały powietrze. Beczki wybuchały, a ich zawartość tryskała z sykiem w płomienie.

Zdradziła go.

Czary tańczyły wokół niego niby błyskawica.

Przebył ten chaos nietknięty. Pograżony w transie, niezdolny, by się powstrzymać, przeszedł przez garnizon niczym upiór śmierci.

Drewniany dach głównego budynku stanął w płomieniach. Rozjarzył się jak hubka, obracając swym blaskiem zmierzch w środek dnia. Ciemny, gęsty od popiołu dym przyćmił wkrótce niebo, przesłonił dziedziniec dławiącym całunem, przemieniając go w otchłań. Ogromna, poprzeczna belka podtrzymująca dach zwała się w dół, przygniatając dwóch strażników. Posypały się z niej iskry, które uniósł wiatr. Przybudówki też wkrótce zajęły się ogniem, a za nimi stajnie i stróżówka.

Konie stały się niespokojne. Świnie kwiczały.

Ludzie przebiegali mu drogę. Ubrania na nich płonęły. Na twarzach mieli przerażenie, a na ustach krzyk. Jack parł nieustępliwie naprzód. Każdemu jego krokowi towarzyszyło skwierczenie czarów.

Ujrzał przed sobą wyjście. Krata była uniesiona, a tylna brama płonęła. Zatrzymał się, by popatrzeć, jak trawi ją ogień. Jego włosy unosiły się, targane gwałtownym, gorącym powiewem. Na wieży dostrzegł młodego strażnika, któremu płomienie odcięły drogę ucieczki. Żołnierz nie wiedział czy powinien skoczyć, chroniąc się w ten sposób przed ogniem. Na jego czarnej od sadzy twarzy widniał strach. Ogień zbliżył się, sięgając jego pięt. Mężczyzna nakreślił znak miecza Borca i rzucił się w dół. Głuchy łoskot towarzyszący jego lądowaniu podziałał na Jacka jak zimny prysznic. Chłopak zmusił się do popatrzenia na ciało strażnika. Krew sączyła się z rany na jego głowie. Prawa noga wygięła się pod nienaturalnym kątem, a palce drgały kurczowo, jakby grał na lutni.

Jack wiedział, że musi przestać. Ten człowiek nie zasługiwał na śmierć. Skoczył ku pewnej zgubie, lecz jeśli czary się nie uspokoją, jego odwaga pójdzie na marne.

Sięgnął w głąb siebie. Ku źródłu. Czuł się tak, jakby płynął pod wartki prąd światła. Moc srożyła się.

Sprzeciwiała się mu na każdym kroku, czerpiąc siłę z brzucha, a bystrość z głowy. Ta część jaźni Jacka, która zachowała rozsądek, zdała sobie sprawę, że czary nie będą mogły istnieć bez bólu wywołanego zdradą. Źródłem ich życia były gwałtowne emocje. Spróbował zapomnieć o Tarissie. Zapuszczał się coraz głębiej, mijając warstwy tkanki wypełnione muzyką magii. Wprowadził myśli do źródła, tak pewnie, jakby wkładał dłoń w ogień, i spróbował powstrzymać strumień.

Jego umysł przypalił się niby kawałek mięsa i soki nie mogły wyjść na zewnątrz. Nie potrafił uwolnić się od bólu. Przerażony i drżący, otworzył usta.

– Nie! – krzyknął.

Ów dźwięk również posiadał moc. Zadziałał jak sztylet, przesywając obłąd chłodnym blaskiem stali. Wola Jacka podążyła za nim, spychając czary z powrotem do krwi. Przez jedną, niemożliwą do zniesienia chwilę, miał wrażenie, że jego ciało zostało rozdarte na dwoje, potem jednak wszystko się scaliło, przybierając inną, lecz kompletną postać. Jego tkanki ogarnęła ssąca fala, która odarła mięśnie z siły. Jack uspokoił się.

Nagle przekonał się, że nie może utrzymać się na nogach, unieść ręki ani nawet mrugnąć oczami. Osunął

się na ziemię w odległości kilku stóp od strażnika, który zeskoczył z murów. Zebrawszy resztki sił, sięgnął ku miotającej się bezładnie dłoni mężczyzny. W kręgosłup wgrzył się ból. Odnosił wrażenie, że rękę ma przysypaną całą górą ziemi. Mimo to nie poddawał się. Pragnienie dotknięcia strażnika przerodziło się w obsesję. Tylko ono liczyło się w płonącym piekle, którym stała się noc. Cal za cal, przesuwając rękę po ziemi, aż wreszcie nie mógł już sięgnąć dalej. Dzielili ich od siebie zaledwie długość palca. Żołnierz, jakby zdawał sobie sprawę z wysiłków Jacka, otworzył oczy. Miały barwę czystego, spokojnego błękitu.

Choć całym jego ciałem targały spazmy, a jasne oczy przyćmiewał ból, wyciągnął powoli rękę do Jacka. Chłopak poczuł dotyk szorstkich palców. Serce wypełniła mu radość. Tarissa zniknęła. Ból zniknął. Liczyli się tylko on i strażnik, leżący obok siebie na spalonej ziemi.

Upewniwszy się, że moc się wycofała. Baralis wstał z łoża. Z irytacją zauważył, że drży. Przywdział piękną gronostajową szatę i podszedł do kominka. Dzisiejszej nocy dłonie paskudnie go bolały. Jak zwykle, wśród węgielków czekał na niego dzbanek holku. Nalał sobie pełen kufel i jednym haustem przełknął ciepły, korzenny napój. Dopiero gdy holk

złagodził ból dłoni, poczuł się na tyle spokojny, by móc myśleć o tym, czego przed chwilą doświadczył.

Dziś w nocy, gdzieś w Znanych Krainach, zaczerpnięto moc na skalę urągającą zdrowemu rozsądkowi.

Obudzony z wczesnego, niespokojnego snu, Baralis poczuł pierwszą lalę najpotężniejszych czarów, z jakimi spotkał się w życiu. Ich siła była przerażająca. Przeszyły go spazmami aż do kręgosłupa, wbijając się w samą duszę. Wydawało się, że trwają bez końca. Moc płynęła i płynęła. Najpierw przez sekundy, potem minuty, a wreszcie godziny. Nigdy dotąd nie wyczuł niczego, co mogłoby się z tym równać. Jeszcze w tej chwili samo powietrze skrzyło się od ich pozostałości. Połowa mieszkańców Brenu zapewne obudziła się w łóżkach. Tylko nieliczni jednak znali przyczynę.

Baralisa ogarnął strach. Osoba, która tego dokonała, była niewypowiedzianie potężna.

Zebrawszy siły, wysłał na zewnątrz swe zmysły. Osłabiła go wczorajsza wyprawa do Larnu i mógł co najwyżej sprawdzić esencję czarów. Jak człowiek unoszący pod wiatr wilgotny palec, potrafił określić, z której strony nadchodzi pozostałość: z zachodu. O ile się jednak nie mylił, z miejsca położonego gdzieś bliżej niż same królestwa. Oznaczało to Halcus, Annis

lub Highwall. Przez głowę przemknęła mu przerażająca myśl: czy mógł to być Kylock, uwolniony nagle od tyranii narkotyków? Serce Baralisa zabiło szybciej. Posmakował szybko otaczające go powietrze. Czary zagrały na jego języku znajomą melodię. Nie Kylock. Nie. Ktoś inny. Ktoś, kogo już kiedyś spotkał. Ktoś, kto słowo w słowo przepisał całą bibliotekę Tavaliska.

Piekarczyk.

Ryzykując obłąd, Baralis wciągnął pozostałość czarów w głąb swego umysłu, nie korzystając z pomocy eliksirów. Cóż za lekkość, ból, migotliwe płomienie. A potem jasnoniebieskie oczy bliskiego śmierci człowieka. Wszystko to wypisano w obcym języku. Baralis nie rozumiał wiele, a nie miał czasu na tłumaczenie. Jedno było pewne: za zaczerpnięcie mocy odpowiedzialny był Jack. Nie mylił się. Czary charakteryzowały się indywidualnością. Wystarczyło mu zetknąć się z nimi raz, by nigdy ich nie zapomnieć. Piekarczyk już po raz trzeci podpisał się własnym imieniem pod zaczerpnięciem mocy. Wypuścił gwałtownie powietrze z płuc, pragnąc uwolnić się od obcej siły. Opuściła go, lecz nie dobrowolnie. Czuł, jak wpija mu się w mózg, próbując przekształcić jego umysł na podobieństwo tego, od kogo pochodziła. Był

zbyt wielkim mistrzem, by dać jej na to szansę. Niczyja pozostałość nie zrobi z niego szaleńca.

Trzeba jednak było za to zapłacić. Ogarnęła go straszliwa, porażająca słabość. Nie miał już siły wrócić do łoża, usiadł więc przy ogniu, popijając holk. Wiedział, że musi się przespać, by odzyskać siły, jak człowiek dotknięty chorobą, lecz jego myśli gnały jak opętane, zostawiając ciało samemu sobie.

Jaki był cel mocy Jacka? Podobny dar – gdyż talentu tej skali nie sposób było opanować ani odziedziczyć – zawsze służył jakiemuś celowi. Zaczął szukać we swych wspomnieniach związków, proroctw i regularności tańca. Coś mu się przypomniało. Coś, co usłyszał wczoraj przy stole najwyższych kapłanów Larnu, gdy mówili o rycerzu:

- Przybył tu po proroctwo. Wskazaliśmy mu drogę.
- Dokąd?
- Do królestw.

Chłopiec, którego szukał rycerz, pochodził z królestw. Włoski na karku Baralisa zjeżyły się. Chodziło o Jacka, piekarczyka. Wiedział to z całą pewnością. Larn żył w strachu przed jego byłym skrybą.

Co to mogło oznaczać? I – co ważniejsze – jak wpływało to na jego plany? Ogrzał splecione na

dzbanku dłonie, próbując zrozumieć znaczenie tej informacji. Chłopak był ważny. Dysponował wielką mocą, mędrzec Bevlin nakazał rycerzowi go odszukać, a władcy Larnu nie chcieli, by go odnaleziono. Co powiedzieli kapłani, nim się z nimi rozstał?

„Nasz los łączy się z twoim. Kiedy ty idziesz w górę, my wznosimy się z tobą”.

Jeśli więc chłopak zagrażał Lamowi, stanowił groźbę również dla niego. Baralis właściwie wiedział o tym już przedtem. Odgadł to przed wieloma miesiącami, gdy sto sześćdziesiąt zwęglonych bochnów przerodziło się z powrotem w ciasto. Jack był wówczas cierniem w jego boku i wyglądało na to, że nadal się od niego nie uwolnił. Powinien kazać go zabić, wtedy gdy jeszcze mógł to uczynić.

Klucz do zagadki stanowił mędrzec Bevlin. On jeden znał prawdziwy cel, któremu służył chłopiec. Mędrzec jednak nie żył, zapewne z winy władców Larnu, i swe tajemnice zabrał ze sobą do grobu.

A może nie? Dzbanek stał przed chwilą w ogniu i Baralis zauważył, że ma na palcach popiół. Roztargnionym ruchem strzepnął srebrzysty pył. Mędrzec mógł się obrócić w proch, lecz, jego księgi i zapiski pozostały. Tak jest. Jutro zastanowi się, jak zagarnąć spuściznę Bevlina. Taki człowiek, jak on, z

pewnością powierzył swe myśli pergaminowi. Trzeba jedynie dowiedzieć się, kto obecnie jest właścicielem jego notatek, a potem złożyć mu propozycję nie do odrzucenia.

Miał już plan, poczuł więc, że odzyskał kontrolę nad biegiem wydarzeń. Dotrze do sedna tej sprawy. Piekarczyk mógł mieć wielkie zdolności, lecz w ostatecznym rozrachunku zawsze zwyciężały doświadczenie i spryt.

Jack obudził się gwałtownie. Było zimno, a ubranie na nim przemokło całkowicie. W pobliżu słyszał ludzi, którzy krzyczeli, biegali i taszczyli przez mrok jakieś ciężary. Po krótkiej chwili błogiej dezorientacji chłopak przypomniał sobie całą przeżyta przez siebie grozę. Strażnik! Co się stało ze strażnikiem, który skoczył z murów? Jack rozejrzał się wokół. Leżał dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio, a żołnierz spoczywał u jego boku. Jak długo był nieprzytomny? Minuty? Godziny? Nie potrafił tego określić. Brama obróciła się już, jednak w zwęglone, dymiące ruiny. Wydawało się, że resztę garnizonu spotkał taki sam los. Tu i ówdzie tlił się jeszcze ogień, nie miał już jednak poprzedniej gwałtowności.

Wiedział, że musi wstać. Nie minie wiele czasu, nim biegający w różne strony ludzie dojdą do wniosku,

iż leżących obok bramy mężczyźni trzeba gdzieś zabrać. Przysunął ręce do ciała, by się podźwignąć. Mięśnie przeszył mu nagły ból, a gardło wypełniła twarda kula mdłości, którą omal się nie zadławił. Zwymiotował gwałtownie, wypluwając suchy kawałek jakiejś różowej substancji. Szybko przysypał go ziemią. Wolał nie wiedzieć, co to takiego.

Ponownie spróbował wstać, przenosząc ciężar ciała na ramiona. Tym razem był zdecydowany zignorować ból. Wszystko szło dobrze do chwili, gdy nadszedł czas, by swą rolę odegrały nogi. Zadrżały gwałtownie, po czym załamały się pod nim. Chłopak runął na ziemię. Wylądował fatalnie. Gdy uderzył barkiem o grunt, ostry spazm bólu przebiegł prosto ku ranie w piersi.

– Do licha! – zaklął, sfrustrowany własną słabością. Zaczerpnął głęboko tchu i zaczął podnosić się raz jeszcze. Nucąc jakąś melodię, wstał na nogi. Zachwiał się, tak jak poprzednio, nie pozwolił jednak kończynom zgiąć się w kolanach, dzięki czemu utrzymał równowagę. Przez kilka sekund stał na baczność jak żołnierz, aż krew zaczęła spływać mu w dół i poczuł się odrobinę silniejszy. Ktoś do niego podszedł.

– Nic ci nie jest, przyjacielu? Potrzebujesz

pomocy?

Spojrzał bez wyrazu na nieznanego. Na jego twarzy nie dostrzegł oskarżenia, a jedynie troskę. Mężczyzna nie wiedział, z kim ma do czynienia. Jack zdawał sobie sprawę, że lepiej się nie odzywać, skinął więc tylko głową i pogłaskał się delikatnie po gardle, by wskazać, że boli go ono od gorąca.

– A co z tym drugim?

Od chwili odzyskania przytomności chłopak nie zauważył, by żołnierz się poruszył. Uniósł ręce w geście oznaczającym ciągnięcie i nieznanomy podszedł bliżej, by pomóc mu podnieść ciało.

– Chyba nigdy cię nie widziałem, przyjacielu – powiedział, chwytając strażnika za barki. – Chociaż masz tak usmoloną twarz, że pewnie bym cię nie poznał, nawet gdybyś był moją żoną. – Uśmiechnął się szeroko, ukazując niewiarygodnie krzywe zęby. – No chodź, chłopcze. Żwawiej, łap go za nogi. Swoją drogą, na imię mi Dilburl.

Jack pochylił się i chwycił strażnika za kostki. Nie potrafił niemal uwierzyć w to, co poczuł. Nogi były ciepłe. Nie zimne ani chłodne, ale ciepłe. Żołnierz żył. Poczował, że zalewa go fala zwykłej radości, która podtrzymała go na duchu, dodała wigoru i przegnała ból.

– Z czego tak się cieszysz, chłopcze? – zapytał Dilburt z sympatią w głosie. – Czyżby cała ta sadza uderzyła ci do głowy? A może ulżyło ci, kiedy poczułeś, że nogi tego biedaka nie śmierdzą tak strasznie, jak się spodziewałeś? – Odliczył do trzech i nie czekając na odpowiedź uniósł leżącego w górę. – Tędy, chłopcze – rzucił, wskazując głową w stronę bramy. – Przygotowali tam obóz dla rannych.

Jack uważał dźwiganie strażnika za swój obowiązek. Mięśnie go bolały, miał zawroty głowy i choć większą część ciężaru niósł nieznajomy, nacisk na jego bark wywoływał piekielny ból.

Po dwóch minutach dotarli do prowizorycznego obozu. Wzniesiono tam pospiesznie namioty i rozpalono ogniska. Na ziemi leżały sienniki i pośłania. Ludzie skupiali się w liczne grupy. Nastrój wydawał się wręcz świąteczny. W blasku ognia lśniły pieniste kufle, a powietrze wypełniała woń pieczonego mięsa. Gdzieś jakaś kobieta o pięknym głosie śpiewała pieśń, która bynajmniej nie była smutna. Wszędzie wokół ludzie wysokimi, podekscytowanymi głosami rozmawiali o tym, co wydarzyło się w nocy.

Jack nie chciał się przyłączyć do tłumu. Zatrzymał się nagle, wskutek czego Dilburt również musiał stanąć.

– O co chodzi, chłopcze? Jesteś zmęczony? – zapytał. – Jeszcze tylko kawałek. Rannymi zajmują się po drugiej stronie, pod murem.

Wydawało się, że Jack nie ma innego wyboru, jak za nim podążyć. Z jakiegoś powodu czuł się odpowiedzialny za wypadek strażnika i miał wrażenie, że nie byłoby uczciwe zostawić go, dopóki się nie upewni, że otrzyma potrzebną pomoc. Mógł zrobić przynajmniej tyle. Spuścił głowę i ruszył naprzód.

– W porządku, chłopcze – rzucił Dilburt, przesuując ręce, tak by jeszcze większa część brzemienia przypadła na jego barki.

Jack pożałował, że nie może się odezwać. Z chęcią podziękowałby krzywozębemu człowiekowi, który, nie zadając żadnych pytań, pospieszył z pomocą i jemu, i strażnikowi. Zamiast tego, uśmiechnął się delikatnie.

Mężczyzna najwyraźniej go zrozumiał.

– Hej, chłopcze – powiedział – w takich chwilach ten, kto nie jest skłonny pomóc innym, nie może się czuć człowiekiem.

Gdy szli przez tłum, nikt nie spoglądał w ich stronę. Ludzie wydawali się dziwnie podekscytowani, zupełnie jak w wigilię wielkiego święta w Zamku Harvell. Na czołach wielu mężczyzn lśnił pot, a zarumienione kobiety rozluźniały dla zdrowia

sznurówki sukien. Do uszu Jacka docierały strzępki rozmów:

– To było trzęsienie ziemi. Jestem tego pewien. Przedwczoraj strażnicy mówili, że pod celami coś zadrżało.

– To robota szpiegów z królestw. Nasączyli drewno olejem i podpalili budynki płonącymi strzałami.

– Zrobili podkop pod garnizonem i podpalili go. Dlatego ziemia się zatrzęsała.

– Słyszałem, że jakiś człowiek przeszedł przez płomienie nietknięty, jak anioł.

– To był diabeł.

– Nie, Kylock.

– To jedno i to samo.

Jack ucieszył się, gdy wreszcie dotarli do szpitalnego namiotu. Nasłuchał się już dość plotek. Na ziemi, równo niczym karty, leżało kilka szeregów poczerniałych od sadzy, jęczących ludzi. Powietrze wypełniały odgłosy kaszlu.

– Martwy czy żywy? – zapytał krótko i rzeczowo lekarz o zarozumiałej minie.

– Żywy, dopóki nie wpadnie w twoje łapska – odgryzł się Dilburt.

Jack musiał się ugryźć w język, by nie wybuchnąć śmiechem. Jego towarzysz z każdą chwilą wydawał

mu się sympatyczniejszy.

– W takim razie tam – polecił doktor, wskazując na czysty, pokryty płótnem siennik. Kiedy ułożyli na nim strażnika, zwrócił się w stronę Jacka. – Kiepsko wyglądasz pod tą całą sadzą. Zaczekaj tam przy tarasie. Przyjrę ci się, kiedy tylko będę miał chwilę czasu.

Obrzucił chłopaka chłodnym spojrzeniem, dostrzegając ranę w piersi i ślady po ukąszeniach na ramionach.

Jack był zaniepokojony. Zastanawiał się, jak wielką część jego obrażeń pokryła sadza, nie ośmielił się jednak na nie spojrzeć. Popatrzył na Dilburta, prosząc go o pomoc.

– Na twoim miejscu, chłopcze – odezwał się ten – za nic nie pozwoliłbym mu się do siebie zbliżyć. Jesteś żywy i trzymasz się na nogach, a jeśli Borc pozwoli, przeżyjesz noc. Nie można pragnąć więcej. – Podeszedł do Jacka i objął go za ramiona. – Chodź, chłopcze. Nie zawracajmy już temu dobremu człowiekowi głowy. Jeśli na dłuższy czas zostawi swych pacjentów, mogą zacząć sami wracać do zdrowia, a wszyscy wiemy, że to mogłoby się bardzo źle skończyć.

Wyszczrzył zęby w promiennym, rozbajającym uśmiechu, po czym mrugnął do lekarza i poprowadził

Jacka ku wyjściu z obozu.

Chłopak wyrwał mu się na chwilę. Chciał się pożegnać ze strażnikiem. Dilburt skinął leciutko głową.

– To bardzo ładnie z twojej strony, chłopcze. Zaczekam tu na ciebie.

Co takiego było w tym człowieku? Wydawało się, że Dilburt czyta w jego myślach z równą łatwością, jak inni rozumieją słowa. Jack odczekał, aż mężczyzna oddali się na bezpieczną odległość. Łysina Dilburta lśniła w blasku księżyca niczym dno wzniesionego w toaście pucharu. Chłopak podszedł do strażnika i wsparł lekko dłonie na jego ramionach. Czoło rannego pokrywała warstewka potu. Drżał cały. Prawa noga zwisała bezwładnie, a skóra nad kolanem była blada i rozciągnięta przez złamaną kość.

– Przykro mi – wyszeptał Jack.

Strażnik otworzył oczy. Spoglądał przez chwilę na chłopaka. Jasnoniebieskie oczy żołnierza wyrażały współczucie.

– Wiem – odparł po prostu.

Jack ścisnął go za rękę, zapewne za mocno – nie panował zbyt dobrze nad swymi ruchami.

– Śpij dziś dobrze, przyjacielu – powiedział cicho, po czym odwrócił się i odszedł.

Dilburt wyszedł mu na spotkanie i pozwolił wesprzeć się na swym ramieniu. Po raz trzeci lej nocy krzywozębememu mężczyźnie udało się odczytać jego myśli, nie powiedział bowiem ani słowa, wyprowadził tylko chłopaka z obozu.

Po pół godziny, zbyt wyczerpani, by mówić lub myśleć, Jack i Dilburt dotarli do małego budynekczku wzniesionego z równo ociosanych desek. Halcus praktycznie niósł chłopaka.

– Jesteśmy na miejscu, chłopcze – oznajmił. – Nie ma to, jak w domu.

Wstawał świt. Pierwsze promienie słońca otaczały chatynkę niczym aureola.

Na spotkanie wyszła im kobieta o twarzy wielkiej i gładkiej jak krążek sera.

– Meżu! – krzyknęła. – Czemu wałęsas się po lesie z chorym człowiekiem? Chodź tu natychmiast i pozwól mi go opatrzeć.

– Zaczekała gniewnie, podeszła do Jacka i wzięła go za drugą rękę.

– Doprawdy! Dilburcie Wadwell! Zawsze ci mówiłam, że masz łój zamiast mózgu, i dziś się okazało, że miałam rację. Ogień najwyraźniej ci go stopił.

Jack poczuł, że pani Wadwell przyciska go do

obfitych piersi. Jej zapach był cudownie znajomy: drożdże i masło, gotowe do dodania do ciasta. Przez drzwi tak niskie, że musiał się schylić, wprowadziła go do ciepłej, jasnej kuchni. Zaścielające klepisko sitowie było tak świeże, że trzaskało pod stopami.

Pani Wadwell ani na chwilę nie przerywała dobrodusznej tyrady, skierowanej pod adresem męża.

– Dilburcie, nie stój tak, jakbyś czekał na drugie przyjście Borca. Nalej chłopakowi kubek holku i to nie laki skapy, jak potrafisz, ale laki, żebym nie zobaczyła brzegu. – Zdecydowanym ruchem popchnęła Jacka na wyścielany fotel. – A jak już się ruszasz, to przynieś mi też miskę i trochę wody. Tego młodzieńca trzeba solidnie wyszorować.

Dilburt spojrzał Jackowi w oczy i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Tak, tak. Z mojej żony byłby świetny generał, gdyby tylko urodziła się mężczyzną.

– Dość już gładzenia, mężu – nakazała pani Wadwell, nie wyglądając bynajmniej na niezadowoloną. – Chłopakowi rozpaczliwie brak mojego holku. – Położyła ciężką dłoń na czole Jacka, poczuła, jak gorącą ma skórę i podwinęła rękawy sukni. – Widzę, że spędzę tu cały ranek.

Jack rozsiadł się wygodnie, pozwalając, by kobieta

się nim zaopiekowała. Jej dotyk był wprawny, choć nieco brutalny, a entuzjazm nie znał granic. Nim wypaliła się ćwiartka świecy ogoliła go, oczyściła mu wszystkie „przyzwoite części”, wtarła masę w liczne ślady po ugryzieniach i przyłożyła na czoło zimny kompres. Na koniec zabrała się za ranę na piersi. Podczas mycia, jej ścierka ominęła masę zakrzepłej krwi. Teraz kobieta przyjrzała się jej uważniej.

– Mężu, odłóż ten kompres i przynieś mi najlepsze letnie wino – poleciła.

Dilburt natychmiast ruszył na drugi koniec chaty. Pani Wadwell wykorzystała tę okazję, by szepnąć chłopakowi do ucha:

– Podejrzewam, że pod całą tą krwią znajduję paskudną ranę po strzale.

Jack otworzył usta, by spróbować jakoś się usprawiedliwić, zdał sobie jednak sprawę, że nie może nic powiedzieć, by nie zdradził go akcent. Musiał się zadowolić wzruszeniem ramion.

Pani Wadwell pochyliła się nad nim bardzo nisko, ocierając się o jego twarz wielkimi piersiami.

– Cieszę się, że nie nadużywasz mojej cierpliwości kłamstwem, chłopcze. To tylko zdenerwowałoby mojego Dilburta. To zacy człowiek. Gdy tylko zobaczy kogoś chorego, zaraz musi go przyprowadzić

do domu. Wbił sobie do głowy, że potrafię się opiekować cierpiącymi lepiej niż doktorzy. Muszę przyznać, że ma rację. – Poklepała Jacka po ramieniu. – Jeśli mój mąż uważa, że nie musi ci zadawać żadnych pytań, to ja też nie będę tego robić. Och, wiem bardzo dobrze, skąd się wzięły rany na twoich rękach i nogach, chociaż wątpię, by mój Dilburt to wiedział. Ufam jednak jego instyktom. Odkąd go znam, nigdy nie przyprowadził do domu nikogo złego i nie sądzę, żebyś ty miał się okazać pierwszym. Jack uznał, że musi zaryzykować i coś powiedzieć.

– Dziękuję – rzekł.

Pani Wadwell zamokła raz jeszcze.

– Musisz podziękować Dilburtowi, nie mnie, chłopcze.

Jej mąż wrócił z dzbanem wina. Złamał woskową pieczęć i napełnił trzy kielichy ciemnoczerwonym płynem.

– Nie, mężu, to wino nie jest do picia, a po to, żeby oczyścić chłopakowi ranę.

– Może i tak kobieto, ale uważam, że czas już, żebyśmy się trochę pokrzepili.

Tym razem pani Wadwell nie sprzeciwiła się mężowi. Wzięła z ochotą kielich i podała drugi Jackowi.

- Chyba wzniosę toast, żono – oznajmił Dilburt.
- Słusznie, mężu – zgodziła się pani Wadwell, z mądrą miną kiwając wielką głową.
Dilburt uniósł kielich.
- Za długą noc, jasny ogień i przyjaciół spotkanych w potrzebie.
- Ładnie powiedziane, mężu. – Pani Wadwell przełknęła wino jednym haustem, po czym wspaniale beknęła. – A teraz pomóż mi położyć chłopaka do łóżka. Kiedy już oczyszczę i opatrzę tę ranę, natychmiast każę mu zasnąć.

26

– Nie, nie mogę się z tobą zgodzić, Bodger. Myślę, że kiedy przyjdzie pora na pierwszy raz dla naszego Kosiarza, lepiej, żeby wybrał sobie starszą kobietę, a nie dziewczątko bez mięsa na kościach i włosów pod nosem.

– To ile musi mieć lat, Grift? – zapytał Kosiarz, widząc oczyma wyobraźni obraz starej, wąsatej baby.

– Tyle, żeby nawet po ciemku wiedziała, co robi. Kosiarzu.

– Nie wiedziałem, że kobietom z wiekiem poprawia się wzrok, Grill – wtrącił Bodger.

– Nie wzrok, Bodger, tylko umiejętność zadowalania mężczyzn. Potrafią też wtedy być wdzięczne.

– A za co? – zapytał Kosiarz.

– Za męskie towarzystwo. Zapamiętaj sobie moje słowa, młody Kosiarzu. Starsza kobieta nie tylko ma więcej doświadczenia leżąc w pościeli, ale jest skłonna później ją wyprać.

– Nigdy bym jej na to nie pozwolił, Grift – oburzył się Bodger. – Od czystej pościeli skrofuły podchodzą mi wydzielina.

Podczas gdy Grift i Bodger zatopili się w dyskusji na temat najlepszych sposobów wysuszania skrofułów. Kosiarz zajął się popijaniem *ale*. Choć było jeszcze wcześniej i w powietrzu unosił się poranny chłód, chłopiec był już lekko pijany. W ciągu kilku ostatnich dni udało mu się zaprzyjaźnić z dwoma strażnikami, którzy pełnili służbę pod kaplicą, i wchodząc do tajnego przejścia bądź je opuszczając, zawsze wypijał z nimi kilka łyków. Bodger i Grift doszli do wniosku, że tak głęboko przejął się utratą matki, iż spędza cały wolny czas w odosobnieniu, modląc się za nią w kaplicy. Czuł z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia, lecz pod nieobecność Tawla miał niewiele do roboty i jedyne źródło rozrywki stanowiły dla niego tajne przejścia. A także dobre *ale* i złe rady, które otrzymywał od Bodgera i Grifta. Kobieta z włosami pod nosem, dobre sobie!

– Wyczułeś w nocy coś w powietrzu, Grift? – zapytał Bodger.

– Ehe. Obudziłem się zupełnie zniecka, Bodger. Miałem galanty sen. Śniło mi się, że wróciłem do Zamku Harvell, wszyscy siedzieli w kuchniach, zajęci

swoją robotą, i nagle nasz przyjaciel Jack, piekarczyk, wywołał pożar. Cały budynek ogarnęły płomienie. Ależ to było okropne. Kiedy się obudziłem powietrze było tak gęste, że ciarki łążyły mi po skórze, jak plaga wijów.

– Na twoim miejscu nie powtarzałbym nikomu tej historii, przyjacielu – rozległ się cichy, złowieszczy głos.

Kosiarz, Bodger i Grift jak jeden mąż spojrzeli w stronę, z której dobiegał. W mroku stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna spowity w czarny jedwab. Obaj strażnicy natychmiast zerwali się z miejsca, poprawiając ubrania.

– Lordzie Baralisie, to dla nas nieoczekiwana przyjemność – odezwał się Grift, pospiesznie zakrywając szmatą buklak *ale*.

– Nie bójcie się, panowie. Nie przyszedłem was sprawdzać ani żądać spłaty długu, choć nie zaszkodzi wam przypomnieć, że macie wobec mnie pewne zobowiązania. – Rozciągnął wąskie wargi w zimnym uśmiechu, odsłaniając połyskujące zęby. – Nie. Nie chodzi mi o was, lecz o waszego młodego towarzysza. Nazywa się Kosiarz, jeśli się nie mylę.

Kieszonkowiec odnosił nieodparte wrażenie, że człowiek, którego ma przed sobą, bardzo rzadko się

myli.

– To ja! Czego chcesz?

– Porozmawiać na osobności.

Kosiarz, sądził do tej pory, że Bodger i Grift są niezdolni do szybkiego ruchu. Wydawało się, że żyją w leniwym, półpijanym oszołomieniu, a ich zadki nigdy nie tracą kontaktu z krzesłami. Borcu, mylił się całkowicie! Gdy tylko usłyszeli słowa „na osobności”, wypadli z kaplicy tak szybko, że mogliby zwyciężyć w niejednych wyścigach.

Mężczyzna w czerni odczekał, aż drzwi zamkną się za nimi, po czym ruszył w stronę ołtarza, usiadł przed centralną płytą, za którą znajdowało się tajne przejście, po czym odwrócił się.

– Jesteś przyjacielem rycerza, prawda? – zapytał.

Lord Baralis nie krył się już w cieniu, lecz ciemność nadal spowijała go niczym unoszący się w powietrzu zapach. Kosiarz nie potrafił go dostrzec dokładnie – pomijając oczy, które lśniły zimnym blaskiem, jak u drapieżnika.

– A jeśli nawet, to co?

– Nie próbuj się ze mną przerzucać słówkami, chłopcze, bo źle się to dla ciebie skończy. – Lord Baralis pohamował się wyraźnie. Zatarł dłonie i zbliżył się nieco do kieszonkowca. – Jeśli jednak powiesz mi

natychmiast prawdę, może ci się to opłacić.

Kosiarz poczuł słodki zapach gotówki.

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Znamy się już od dawna.

– Ach. – Uśmiech lorda Baralisa był równie gładki, jak jego głos. – Widzę, że jesteś rozsądnym chłopcem.

– Najrozsądniejszym w Rornie.

– Tam właśnie spotkałeś rycerza? W Rornie? Kosiarz potarł podbródek.

– A co będę z tego miał, jeśli ci to powiem?

Nie sądził, by ta informacja mogła w jakikolwiek sposób zaszkodzić Tawlowi. Dlaczego więc nie miałby zgarnąć trochę grosza? To nie była żadna tajemnica.

– Jeśli odpowiesz na wszystkie moje pytania, dam ci dziesięć sztuk złota.

– Zgoda! Pod warunkiem, że masz pieniądze przy sobie. Lord Baralis sięgnął za pazuchę i wydobył aksamitną sakiewkę.

Nie zadając sobie trudu, by przeliczyć monety, wręczył ją Kosiarzowi.

– To powinno wystarczyć.

Chłopiec przyjął mieszek. W pierwszym odruchu pragnął przeliczyć zdobycz, przypomniał sobie jednak, jak zachowywał się w podobnych sytuacjach Szybcior i bez słowa schował sakiewkę pod bluzę. Rzecz jasna,

gdy tylko jego mentor został sam, przeliczał pieniądze z biegłością zawodowego lichwiarza. A jeśli przekonał się, że jest ich za mało, wysyłał natychmiast jednego ze swych ludzi, by połamał winnemu palce. Kosiarz jednak wiedział, że nie mógłby tak postąpić z lordem Baralisem.

– Jak długo znasz już rycerza?

– Wystarczająco długo, by zwać go przyjacielem.

Kosiarz sądził, że lord Baralis nie będzie zadowolony z tak mglistej odpowiedzi, mężczyzna przeszedł jednak do kolejnego pytania.

– Czy kiedy go poznałeś, szukał już chłopca?

– Od dawna.

Dopiero wypowiedziawszy te słowa, Kosiarz zaczął się zastanawiać, skąd lord Baralis wie o misji Tawla.

– Czy odwiedziłeś z nim kiedyś mędrca Bevlina?

Przy każdym pytaniu lord Baralis zbliżał się do chłopca o kilka kroków. Dzielili ich od siebie już tylko długość wyciągniętego ramienia. Jego oddech miał ostry, słodki zapach.

Sakiewka za pazuchą nagle wydała się Kosiarzowi ciężkim brzemieniem.

– Spotkałem go tylko raz. Bardzo miły gość, wyleczył mnie z północnej drżączki.

– Gdzie leży jego dom?

– Mniej niż trzy tygodnie jazdy na wschód stąd.
– Wiesz może, czy miał jakichś krewnych albo znajomych, którzy mogą obecnie być w posiadaniu jego dobytku? – Lord Baralis przymrużył oczy. – Rzecz jasna, wiem o jego śmierci.

Sakiewka stała się nie tylko ciężka, lecz również gorąca.

– W lej sprawie nie potrafię ci pomóc, przyjacielu.
– Myślisz, że jego rzeczy mogą jeszcze być w domu?

Kosiarz pochował Bevlina. Wykopał płytki grób, a potem wyciągnął zwłoki mędrca z chaty do leżącej tuż przed progiem mogiły. Zeskrobał krew z podłogi, wygasił ogień, wyrzucił wszystkie psujące się towary, wypuścił kury z kurnika i świnię z chlewu, pozamykał okiennice i drzwi.

– Tak – odparł. – Całkiem możliwe, że ciągle tam są. Dlaczego o to pytasz? – dodał po chwili zastanowienia.

– Obaj zajmowaliśmy się podobnymi studiami. Łączyła nas pasja do pełzających owadów. Bevlin posiadał niezrównaną kolekcję ksiąg na ten temat i martwię się, że jeśli wpadną w niepowołane ręce, mogą zginąć. – Lord Baralis skinął lekko dłonią, jakby chciał zganić sam siebie. – Tylko znawcy, tacy

jak ja, potrafią docenić ich wartość. – Spojrzał Kosiarzowi prosto w oczy. – Czy pamiętasz dokładnie, jak trafić do jego domu?

Owady? To było do niego podobne.

– Tak.

– Jeśli narysujesz mi mapę – głos lorda Baralisa był słodki i kuszący jak miód – sowicie cię wynagrodzę. Jeśli wyruszysz tam z moim sługą, uczynię cię bogaczem.

Choć propozycja brzmiała interesująco, Kosiarz nie miał zamiaru się zgodzić. Nie tylko honor nakazywał mu poczekać na powrót Tawła, lecz również – co ważniejsze – długa podróż oznaczała coś, czego nienawidził najbardziej na świecie: konie. Nikt go nie zmusi, by dosiadł jednego z tych brzydkich, złośliwych, zapchlonych zwierzaków, chyba że chodziłoby o sprawę życia i śmierci. Z pierwszą ofertą Baralisa łączył się jednak pewien problem. Nie umiał pisać, nie mówiąc już o rysowaniu map.

– Mogę ci dokładnie opowiedzieć, jak tam trafić, ale nic nie narysuję. No wiesz, zraniłem sobie dłoń, pływając łodzią.

– Hmm. – Lord Baralis przeciągnął ten dźwięk na dwie pełne sceptycyzmu sylaby. – Niech będzie. Jeśli mi wszystko opowiesz, za godzinę każę ci dostarczyć

pieniądze.

Rozsądek kazał Kosiarzowi nie kwestionować uczciwości rozmówcy. Dostanie gotówkę. W takich sprawach instynkt nigdy go nie zawodził. Zaczepnął głęboko tchu.

– No więc, musisz jechać na wschód, aż do...

Tarissa śmiała się z niego. Otworzyła szeroko usta, loki podskakiwały wokół jej twarzy, a głowa kołysała się w przód i w tył. Rechotała tak długo i głośno, że sznurówki jej stanika puściły i spod materiału wyskoczyły piersi. Pojawiła się szorstka dłoń, która wepchnęła je z powrotem. Palce zatrzymały się na dłuższą chwilę na mlecznobiałym ciele.

– Rovas! – krzyknął. – Rovas!

– Psst, chłopcze. Psst. Wszystko już jest dobrze.

Jack zobaczył przed sobą gładką, okrągłą twarz pani Wadwell.

– To był tylko zły sen. Nie ma się czego bać.

Jej głos podziałał na niego uspokajająco. Granica między snem a jawą nabrała wyrazistości. Rozluźnił mięśnie i opadł na pościel. Była wilgotna od potu.

Pani Wadwell wstała i zaczęła się krzątać po izbie. Otworzyła okiennice, dorzuciła drew do ognia i naląła do miski trochę rosołu.

– Usiądź, chłopcze i wypij to – poleciła. Podąła mu

miskę i nie spuściła z niego wzroku, dopóki nie podniósł łyżki do ust. – Bardzo dobrze.

Jack nie miał najmniejszej ochoty na rosół, gdy tylko jednak poczuł na języku ostro przyprawiony płyn, ogarnął go wilczy głód. Od tygodnia nie jadł prawie nic. Było to tak, jakby jego ciało domagało się pożywienia, bez względu na opory umysłu. Pani Wadwell pokiwała z aprobatą głową i przyniosła mu więcej jedzenia: drugą miskę rosółu, cały, kruchy bochen chleba, kawał sera tak wielki, że wystarczyłby, żeby przeszkodzić w zamknięciu drzwi, oraz zimnego, pieczonego kurczaka, który wyglądał tak, jakby tymi właśnie drzwiami oberwał.

– Ścisnęłam go podczas pieczenia – wyjaśniła pani Wadwell, widząc, że Jack podejrzliwie spogląda na płaskiego ptaka. – Soki krążą wtedy wewnątrz mięsa, które robi się od tego bardzo delikatne.

– Ehe, chłopcze, nikt nie piecze ptaka tak, jak moja żona.

– Dilburt podszedł do łóżka. Twarz rozpromieniał mu uśmiech nieskrywanej dumy. Poklepał czule panią Wadwell po pośladkach.

– Nigdzie nie znajdziesz lepszej kobiety.

– Ty stary, sentymentalny durniu – odparła, mrugając do Jacka. – Idź narąbać trochę drewna. Jeśli

ogień przygaśnie jeszcze bardziej, nie będę mogła nawet odgrzać kurczaków, nie mówiąc już o ich upieczeniu.

Dilburt posłusznie wyszedł z chaty. Pani Wadwell pościeliła łóżko, upewniła się, że chłopak ma jedzenie w zasięgu ręki, po czym podążyła za mężem, mrużąc coś o tym, że nie powinno się rąbać zielonych drzewek.

Jack nie tracił czasu. Gdy tylko drzwi się zatrzasnęły, rzucił się na posiłek. W życiu nie jadł nic pysniejszego. Chleb był miękki i smakował orzechami, ser gęsty i doprawiony ziołami, a płaski kurczak tak delikatny, że mięso samo odchodziło od kości z każdym kęsem wspomnienie o polanych sosem węgorzach bladło coraz bardziej.

Zapomnieć o ostatniej nocy nie było jednak tak łatwo. Im bardziej napęniał brzuch, tym szybciej jego myśli nabierały ostrości. Wszystko przypomniało mu się dokładnie: ogień, skry, trzask belek i głuchy łoskot poruszonej ziemi. Najgorsze były krzyki. Pełne przerażenia wrzaski ludzi, którzy płonęli, dusili się bądź też po prostu bali. Ich dźwięk wypełnił nagle izbę. Był widzialną siłą, która zmaciła powietrze niczym tornado. Jedzenie nabrało smaku popiołu. Uniósł dłonie do uszu, rozpaczliwie pragnąc osłonić

się przed hałasem.

To była jego sprawka! Przez niego zginęli ludzie. Wina spada na niego i tylko na niego. Tarissa i Rovas zrobili z niego dumnia, okłamali go, mówiąc, że Mcii nie żyje, że tunel jest otwarty i że im na nim zależy. Zamiast jednak skierować gniew na nich, zwrócił go na niewinnych ludzi.

Krzyki ucichły, jakby zadowolone na chwilę tym, że przyznał się do winy.

Musi się upewnić, że do niczego podobnego nigdy już nie dojdzie. Moc, którą miał w sobie, była zbyt niebezpieczna, by używać jej w gniewie. Kazała mu uderzać na oślep, stawała się jego panem. Miał rację, gdy w halcuskiej celi próbował podporządkować czary swej woli, lecz późniejsze wypadki udowodniły, że mu się to nie udało. Wątpił, by potrafił tego dokonać o własnych siłach. Któż jednak mógł mu pomóc? Nawet człowiek tak potężny, jak Baralis, musiał ukrywać swe moce. Świat potępiał czary. Ludzi, którzy ich używali, nazywano demonami i palono na stosie. Po ostatniej nocy wiedział już dlaczego.

Czy czary nadają się tylko do tego? Do niszczenia?

Postawił stopy na podłodze, chcąc sprawdzić siłę nóg. Nogi mu drżały lecz pilnie potrzebował się załatwić, a nie zamierzał brać nocnika do łóżka jak

inwalida. Wolał paść na twarz, próbując wyjść na zewnątrz. Zaczerpnął głęboko tchu, przeniósł ciężar ciała na nogi, jęknął jak starzec i podniósł się z wysiłkiem. Brzuch ogarnęła mu fala mdłości. Musiał przełknąć gwałtownie ślinę, by je powstrzymać. Rozciągnął usta w nieustępliwym uśmiechu. Nie chciał więcej widzieć prasowanych kurczaków. Ten pierwszy nie wyglądał zbyt apetycznie, nawet jeśli okazał się bardzo smaczny.

Gdy tylko poczuł, że nogi zdołają utrzymać jego ciężar, zaryzykował ruszenie naprzód. Mięśnie jego piersi, brzucha, pośladków i nóg zaprotestowały gwałtownie, gdy jednak Jack zignorował ich sprzeciw, zadowolily się drzeniem, przywodzącym na myśl węgorze w galarecie. W końcu zaczęły spełniać jego wolę. Chłopak czuł, że to nie jest dobry pomysł, lecz mimo to włókł się dalej.

Otworzywszy drzwi, zastał za nimi piękny, pogodny dzień pachnący obietnicą wiosny. Po obu stronach kwitły kwiaty, a muchy, rozleniwione po porannej krzątaninie, wygrzewały się w słońcu, siedząc na szerokich, zielonych liściach. Na drugim końcu ogrodu pan i pani Wadwell pograżyli się w rozmowie z niskim, ciemnowłosym mężczyzną. Gdy tylko Dilburt zobaczył, że Jack wyszedł z chaty, odepchnął

nieznajomego, by odwrócić jego uwagę, po czym odprowadził go błotnistą ścieżką. Pani Wadwell podbiegła do chłopaka, dotykając grubym palcem jeszcze grubszych warg.

– Do środka, chłopcze, do środka – syknęła.

Jack posłuchał jej natychmiast. Nie zadowolila się zamknięciem drzwi, lecz zasunęła również rygiel.

– Natychmiast do łóżka. Jeśli dokucza ci potrzeba, przyniosę nocnik.

Chłopak skinął tylko głową, zbyt zawstydzony, by cokolwiek powiedzieć.

– Posłuchaj, chłopcze. Gdyby ktoś tu przyszedł, to jesteś chorym bratankiem Dilburta z Todwodly. – Pani Wadwell przerwała na chwilę, by się zastanowić. – I nie możesz mówić, bo gorączka odebrała ci głos.

A więc wiedziała, że Jack pochodzi z królestw. W takim razie mógł mówić swobodnie.

– Kim był ten mężczyzna w ogrodzie? – zapytał.

– Przyjacielem Dilburta z garnizonu. – Pani Wadwell wręczyła mu największy nocnik, jaki w życiu widział. Na jego bokach wymalowano wodospady. – Robi je moja siostra – wyjaśniła.

Wziął naczynie z jej rąk i postawił je na podłodze. Załatwienie potrzeby będzie musiało zaczekać.

– Czy wiedzą, co spowodowało pożar?

– Wywołał go więzień – odparła pani Wadwell nie owijając w bawełnę. – Człowiek z królestw o kasztanowych włosach, z raną od strzały w piersi.

– Pójdę już – stwierdził Jack. Ciężka dłoń opadła na jego bark.

– Nie możesz teraz nigdzie iść, chłopcze Zaczekaj chociaż jedną noc, żeby odzyskać trochę sił.

W jej ciemnych oczach lśniły delikatne ogniki odwagi, a zaciśnięta szczęka świadczyła o straszliwej determinacji.

Jacka zdumiała jej propozycja. Był nieznajomym, wrogiem i mordercą, a mimo to była gotowa narazić się na niebezpieczeństwo, ukrywając go. Nie mógł do tego dopuścić.

– Nie, muszę iść – zaprotestował. – I tak już zaciągnąłem u was zbyt wielki dług. – Ujął dłoń kobiety i ucałował ją delikatnie. – Choć dziękuję z całego serca za waszą dobroć.

Pani Wadwell prychnęła lekceważąco.

– Dilburt nigdy się nie myli co do ludzi. Jeśli mówi, że jesteś w porządku, to mu wierzę. – Uśmiechnęła się, odrobinę smutno, i zmierzwiła mu włosy. – No cóż, jeśli koniecznie chcesz odejść, możesz równie dobrze dowiedzieć się najgorszego. Całe hrabstwo roi się od szukających cię żołnierzy. Zaalarmowano wszystkich

mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszędzie powtarzają już sobie twój rysopis. Jutro nie będziesz mógł pokazać twarzy w promieniu stu pięćdziesięciu mil od garnizonu. Za tydzień nie znajdziesz schronienia nigdzie.

– Co o mnie wiedzą?

– Najwyraźniej więzień, z którym dzieliłeś celę, powiedział, że jesteś szpiegiem wysłanym przez króla Kylocka ze specjalną misją wdarcia się do garnizonu i zniszczenia go. – Pani Wadwell przyjrzała mu się uważnie. – Twierdzi też, że jesteś potężnym czarnoksiężnikiem, a żywioły spełniają twoje rozkazy.

– Uwierzyli mu?

– Znasz ludzi. Nigdy nie chcą wierzyć w nic, co pachnie czarami. Dlatego wymyślają różne teorie, które mają wyjaśnić ogień i wybuchy. Jednakże opowiadają sobie różne rzeczy, a jeśli o czymś nie mogą mówić publicznie, szepczą o tym na osobności.

Jack otworzył usta, chcąc coś wyjaśnić.

– Nie, chłopcze – powstrzymała go szybko. – Wolę nie znać prawdy. Kiedy patrzę na ciebie, widzę młodego człowieka, który jest chory i zagubiony. Nic więcej. – Uśmiechnęła się radośnie. – Zostawmy to, dobrze?

Ciche pukanie do drzwi nie pozwoliło Jackowi jej

podziękować. Nastąpiła chwila pełna napięcia, gdy pani Wadwell odsuwała rygiel. Dilburt był jednak sam.

– Widział chłopaka? – zapytała go.

– Tak, ale powiedziałem mu to, co radziłaś, i wyglądał na przekonanego. – Wymienili przelotne, znaczące spojrzenie. – Bardzo mi przykro, chłopcze, ale uważam, że lepiej będzie, jeśli nas opuścisz – odezwał się Dilburt. – Gdyby chodziło tylko o mnie, mógłbyś tu sobie zostać, dopóki nie zapukają do drzwi, ale moja żona... – Potrząsnął powoli głową. – Gdyby coś się jej stało, nie zniósłbym tego.

Jack skinął głową.

– Wiem, Dilburcie. Twoja żona to najodważniejsza kobieta w całym Halcusie. Za nic w świecie nie chciałbym, żeby stała się jej krzywda.

Wypowiadając te słowa, zdał sobie sprawę, że mówi całkowicie szczerze.

Dilburt podszedł do Jacka i objął go.

– Dobry z ciebie chłopak. Naprawdę. Cieszę się, że przyprowadziłem cię do domu.

Z gardła pani Wadwell wyrwał się odgłos podejrzenia przypominający łkanie. Kobieta wyciągnęła z rękawa chustkę wielkości małego obrusu i wysmarkała się w nią głośno, po czym zwróciła się w stronę Dilburta.

– No to na co czekasz, mężu? Jeśli chłopak musi nas opuścić, trzeba mu dać coś na drogę.

Dilburt uśmiechnął się smutno do Jacka i zaczął krzątać się po chacie, owijając w szmatki kawałki sera i mięsa, wypełniając bukłaki winem i wyciągając z kufra ubrania.

Pani Wadwell dotknęła szeroką dłońią czoła Jacka.

– Masz jeszcze trochę gorączki – stwierdziła, *f* – Muszę ci dać odrobinę lekarstwa. – Wydobyła spod bluzy srebrną manierkę i kazała mu wypić jej zawartość do ostatniej kropli)

Jack dotąd pił brandy tylko raz. Pewnej Wigilii Zimy pan Frallit dostał butelkę od wdowy po handlarzu drobiu – kochliwej kobiety, która pragnęła szybko ponownie wyjść za mąż – i natychmiast ukrył ją między workami z mąką. Jack znalazł ją tam następnego ranka i nim mistrz piekarski go przyłapał, połowa trunku zdążyła zniknąć. Chłopak był tak pijany, że w ogóle nie poczuł lania, jakie mu sprawił pan Frallit. Zdał sobie teraz sprawę, że świadczy to, iż brandy jest dobrym lekarstwem. Jeśli coś potrafiło znieczulić człowieka na ciosy rozwścieczonego Frallita, musiało mieć naprawdę potężną moc.

Kiedy pił, pani Wadwell przyglądała się jego licznym skaleczeniom i siniakom. Od czasu do czasu

potrzęsała głową i cmokała cicho. Ponownie opatrzyła ranę na jego barku i natarła mu ręce i nogi resztką dobrego wina. Kiedy skończyła, do chłopaka podszedł Dilburt, który dał mu do wyboru kilka kompletów ubrań.

Pani Wadwell przerodziła się nagle w wojskowego dowódcę, wybierającego strój, który najlepiej wtopi się w otoczenie. Niestety zupełnie nie przejmowała się rozmiarami. Brązowa bluza, na którą się zdecydowała, była tak długa, że szybko została potraktowana okazałymi nożycami – Jack zaczynał zdawać sobie sprawę, że w domu Wadwellów wszystko robi się na wielką skalę. Portki nastęrczały podobny problem, lecz podtrzymano je owiniętym wokół pasa kawałkiem sznura, wystarczająco grubego, by mógł służyć jako cuma.

Kiedy już skończyli. Jack był obładowany niczym juczny koń i uzbrojony po zęby: w jego stroju ukryto trzy zabójczo ostre noże rozmaitych rozmiarów. Fakt, że Dilburt miał w domu zapas przyrządów służących w razie konieczności do obrony przed napastnikami, w najmniejszym stopniu nie zaskakiwał Jacka. Wadwellowie byli zapobiegliwym małżeństwem.

Pani Wadwell pochyliła się i pocałowała go w policzek pulchnymi wargami, przyciskając mu do

piersi swój masywny biust.

– Żegnaj, chłopcze. Żal mi, że odchodzisz. – Jeszcze jeden miażdżący uścisk i odsunęła się od niego, w jednej chwili przeradzając się z Matki Ziemi w generała. – Cały czas idź lasem. Ukrywaj się, kiedy tylko będziesz mógł. Wiosna przyszła w tym roku wcześniej i jest już sporo liści, które rzucają przyzwoity cień. Przejdź jakieś półtorej mili prosto na południe. Potem napotkasz potok. Idź w górę strumienia przez mniej więcej... – Przerwała, by się zastanowić. – Jak sądzisz, mężu?

– Nie więcej niż dwanaście mil. żono.

– Masz rację. Po dwunastu milach dojdiesz do rozwidlenia. Pójdź wzdłuż tego strumyka, który wypływa spomiędzy wzgórz. Będziesz szedł na północny wschód. Później sam już znajdziesz drogę. Lasy są opustoszałe, ale na wszelki wypadek miej oko na kłusowników.

Słuchając jej wskazówek, Jack kiwał potulnie głową. Krew płonęła mu od brandy, a ciężkie zapasy utrudniały utrzymanie się na nogach. Nie miał serca im powiedzieć, że dali mu za dużo. Kiedy już będzie sam, zostawi gdzieś część ładunku. Było to smutne, gdyż cenił sobie ich podarunki, lecz jego nogi nie dawały mu wyboru. Wiedział, że jeśli zażąda od swych

kończyn zbyt wiele, nie zniosą tego. Drżały już teraz, choć stał tylko, objuczony potężnym ciężarem.

Dilburt uściśnął mocno jego dłoń.

– Uważaj na siebie, chłopcze. Nie zapomnij też wskazówek mojej żony. Nikt nie zna okolicy lepiej niż ona.

Odprowadzili go do drzwi, sprawdzili, czy na dworze nikogo nie ma, i wyszli razem z nim. Gdy towarzyszyli Jackowi na zaplecze chaty, chłopak zauważył, że trzymają się pod rękę. Taka nieskrępowana, codzienna demonstracja uczuć wzruszyła go głęboko. Wyobrażał sobie do niedawna, że będzie przebywał podobne chwile z Tarissą, że będą się brali pod rękę bez świadomego zamiaru albo wymieniali pocałunki swobodnie jak uśmiechy. Wszystko to już minęło. Został sam. Jego marzenia rozprysły się niczym szkło, pozostawiając po sobie okruchy, które raniły mu duszę. Jak mogła to zrobić? Jak mogła dopuścić się tak straszliwej zdrady?

Nie miał już w sobie gniewu, a tylko smutek. Był też, jak trafnie odgadła pani Wadwell, zagubiony. Tarissa powiedziała, że go kocha, a wszyscy, nawet Bodger i Grill, mówili mu, że tych, których się kocha, nie powinno się krzywdzić. A więc kłamała. Nikt do tej pory nie sprawił mu takiego bólu.

– Idź już, chłopcze – odezwała się pani Wadwell, przerywając tok jego myśli. – Las jest tam. To kawałek drogi, ale kiedy już znajdziesz się między drzewami, będziesz bezpieczny.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie. Z jej twarzy niemal całkowicie zniknęły zmarszczki.

Pożegnali się już, pozostało mu więc tylko podziękować. Zwrócił się ku małżonkom. Halcus toczył wojnę z królestwami, lecz mimo to tych dwoje ludzi okazało mu od wczoraj więcej dobroci niż ktokolwiek w jego ojczyźnie, może z wyjątkiem hodującej świnie staruszki mieszkającej przy wschodnim trakcie harvelskim. Z całą pewnością dowiedli mu, że Halcusowie nie są aroganckimi, bezbożnymi ludźmi, za jakich uważano ich powszechnie w królestwach. Myśl o wojnie nagle wydała się Jackowi odrażająca. Łatwo było nienawidzić kraj, gdy jednak poznało się jego mieszkańców, stawało się to trudniejsze. Pan i pani Wadwell byli szczęśliwi i dobroduszni. Nie zasługiwali na to, by Kylock rzucił ich na kolana.

Ogarnęło go głębokie znużenie, które zaciążyło mu na ramionach niczym dodatkowe brzemię. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił wyjaśnić, czuł się odpowiedzialny za wszystko, nie tylko za zniszczenie

garnizonu i los stojącego przed nim małżeństwa, lecz za więcej. Znacznie więcej.

– Pora już ruszać – powiedział cicho.

– Tak, chłopcze – wyszeptał Dilburt.

– Chcę podziękować wam obojgu za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Nigdy nie zapomnę waszej dobroci. – Jack popatrzył najpierw na Dilburta, a potem na jego żonę. – Nigdy.

Znowu pojawiła się wielka chustka pani Wadwell. Kobieta otarła nią oczy.

– Idź już, chłopcze – powiedziała. – Będę na ciebie patrzyła, dopóki nie znikniesz bezpiecznie między drzewami.

Jack uśmiechnął się, odmówił szybko modlitwę do Borca prosząc go, by dodał sił jego nogom, po czym ruszył w długą drogę do lasu.

Melli zaczynała żałować, że poprosiła o przyniesienie zwierciadła. Twarz, którą w nim zobaczyła, z pewnością nie mogła należeć do niej. Kim była ta śmiertelnie blada dziewczyna o oczach wielkich jak naleśniki?

– Nesso – zawołała. – Przynieś mi trochę wina, jak najmocniejszego.

W każdej chwili mógł się zjawić diuk i chciała, by jej policzki nabrały nieco koloru, nawet jeśli miałyby w tym celu się upić.

Odłożyła zwierciadło i wzięła w rękę małą, srebrną fiolkę zawierającą wonności. Spryskała nimi biust i szyję, wylała trochę na pościel a ostatnią kroplę opuściła sobie na język. Skrzywiła się od gorzkiego smaku.

Gdy zastanawiała się, czy lepiej będzie, jeśli diuk zastanie ją w łóżu, czy też na ławie pod oknem, wróciła Nessa z winem.

– Jego Miłość jest już w drodze, panienko –

oznajmiła. – Będzie tu za chwilę.

– No to dawaj szybko tego wina, dziewczyno – warknęła Melli. Gdy tylko kielich znalazł się w jej dłoni, uniosła go do ust. Wypiła trunek, pozostawiając odrobinę na dnie. Pod wpływem impulsu umoczyła palce, by wetrzeć wino w policzki. Wiedziała, że zachowuje się jak gorliwa kurtyzana. W innej sytuacji, z innym mężczyzną, nigdy by się nie zniżyła do strojenia i wdzięczenia, lecz przez kilka ostatnich dni przekonała się, że czuje coraz silniejszy pociąg do diuka, i bardzo pragnęła mu się przypodobać.

Kłopot w tym, że nie wiedziała, jak to zrobić. Nigdy w życiu nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do wyglądu. Odkąd sięgała pamięcią, wysławiano ją jako urodzoną piękność. Słyszała to tak często, że nauczyła się gardzić wszystkimi zwyczajowymi kobiecymi ozdobami. Pudry, perfumy i skubanie brwi stanowiły dla niej tajemnicę, podobnie jak barwione woski do ust, sadza z tłuszczem do rzęs oraz róż.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł diuk. W pierwszej kolejności powąchał powietrze. Melli natychmiast zorientowała się, że przesadziła z perfumami. Szybko zrzuciła z łoża wonną narzutę.

– Cuchniesz jak lania dziewczka – rzucił.

Melli poczuła, że się rumieni. Obrzuciła Nessę

jadowitym spojrzeniem. To od niej dostała te perfumy. Nie mogąc wymyślić należytej riposty na zniewagę diuka, zadowolila się wyniosłym odprawieniem służącej.

– Nie gap się tak, dziewczyno. Zostaw nas. Zabierz ze sobą tę narzutę. Masz ją uprać sama. To cię oduczysz rozlewania perfum.

Diuk odczekał, aż Nessa opuści komnatę, po czym podszedł do łoża Melli. Ujął ją za rękę i ucałował szybko w nadgarstek. Usta miał chłodne i suche.

– Mam dla ciebie nowy podarunek – powiedział, wydobywając zza pazuchy jakiś owinięty w jedwab przedmiot.

Melli odnosiła wrażenie, że władca Brenu zachowuje się zdawkowo, jakby wykonywał dobrze przygotowany wojskowy manewr: najpierw pocałunek, potem prezent, a po nim trochę słownych gier. Wczoraj, kiedy dał jej pochwę na nóż, zastosował identyczny scenariusz. Obróciła paczuszkę w dłoni, zastanawiając się, czy jej obawy wywodzą się ze zdrowego rozsądku, czy też są to tylko urojenia wywołane nudą. Ostatecznie siedziała tu sama już od pięciu dni.

– Rozpakuj to – rozkazał.

Melli odwinęła jedwab i znalazła w środku wielką

rękawicę z grubej, pomalowanej w jaskrawe spirale skóry.

– Sokolnicza rękawica? – zapytała.

– Tak – odparł diuk. – I sokół też.

Klasnął głośno w dłonie i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Na jego ramieniu siedział wielki, milczący, zakapturzony ptak.

– Białożór – powiedziała Melli, niezdolna ukryć zachwytu.

– Tak, panienko – potwierdził sokolnik, podchodząc bliżej. – I to też panienka.

Melli wiedziała, że samice białożora uważane są za najcenniejsze ze wszystkich, wykorzystywanych do polowania ptaków.

– Jest naprawdę piękna. Diuk uśmiechnął się delikatnie.

– Załóż rękawicę.

Melli usłuchała go, lekko podenerwowana. Ojciec miał w swych wschodnich posiadłościach ptaszarnię, lecz w królestwach sokolnictwo uważano za czysto męski sport, nigdy więc nie polowała z sokołem.

– Posmarowałem rękawicę specjalnym pachnidłem, panienko. Będzie dla niej pachniała jak dom.

Sokolnik ustawił bark na tej samej wysokości, co bark dziewczyny, poklepał delikatnie ptaka po

brzuchu, po czym opuścił rękę. W tej samej chwili diuk ujął ramię Melli od spodu i przesunął je naprzód. Białozór zrozumiał wskazówkę i przeszedł zgrabnie na rękawicę. Dzwonki przy wiązane do jego nóg zadźwięczały radośnie.

Pierwszym, co zwróciło uwagę Melli, był ciężar sokoła. Stworzenie było bardzo masywne. Diuk wciąż trzymał ją za rękę przy łokciu. Była mu wdzięczna za pomoc. Kiedy poczuła, że szpony ptaka zaciskają się na jej osłoniętym skórzaną rękawicą nadgarstku, przestraszyła się.

– Spokojnie, panienko – tłumaczył sokolnik. – Nie obawiaj się. Moja ślicznotka nie zrobi ci krzywdy.

Przesunął palcami po brzuchu stworzenia, szepcząc ciche, uspokajające słowa.

Melli poczuła, że diuk trzyma mocno jej rękę, nie pozwalając jej drżeć. Zgodnie z jego radą odważyła się unieść drugą dłoń i pogłaskać ptaka. Cętkowane pióra na jego piersi były niewypowiedzianie miękkie. Dotyk ciepłego puchu nappełnił ją radością. Serce sokoła biło szybciej od jej serca. Nabrawszy odwagi, przysunęła dłoń bliżej głowy ptaka. Białozór poruszył się, poprawił skrzydła i ponownie uściśnął jej nadgarstek. Tym razem Melli sprawiło to przyjemność.

Sokolnik uśmiechnął się do niej.

– Masz wrodzony talent, panienko. Nigdy nie widziałem, żeby moja ślicznotka była spokojniejsza.

Choć Melli wiedziała, że mężczyzna stara się jej schlebić, nie potrafiła powstrzymać zadowolenia.

– Jak ma na imię?

– Panienko, sokół ma dwa imiona. Pierwsze nadaje się mu, kiedy jest jeszcze pisklęciem, świeżo zabranym z gniazda, a drugie wtedy, gdy jest gotowy zasiąść na nadgarstku pana.

– A ona jest gotowa? – zapytała Melli. Sokolnik skinął głową.

– Nie dalej jak przedwczoraj złapała dla mnie żurawia. Powinnaś zobaczyć jej lot, panienko. Była pewna i słodka jak anioł.

– A więc. Melliandro, potrzebne jej drugie imię – wtrącił diuk. Melli zrozumiała zawartą w jego słowach propozycję.

– Chcesz, żebym ja je wybrała?

– Należy do ciebie i ty musisz to zrobić.

– Ale ja nic nie wiem o sokolnictwie. Nie mogę jej przyjąć.

– Kiedy wrócisz do zdrowia – zaczął diuk – wybierzemy się do doliny, z ptakami na nadgarstkach, i nauczę cię wszystkiego, co będzie ci potrzebne. – Wyciągnął rękę i pogłaskał białozora po piersi,

dotykając jednocześnie palców Melli. – Przyjmij ją i nadaj jej imię.

Dziewczyna była zachwycona. Brakowało jej słów, by to wyrazić. To wspaniałe stworzenie wzbije się do lotu na jej rozkaz.

– Nadaję jej imię Aravella.

W jej oczach wezbrały nagle, niespodziewane łzy. Choć minęło tak wiele lat, wciąż wzruszało ją brzmienie imienia matki.

– Pięknie, panienko. Pięknie – pochwalił ją sokolnik.

– Takie imię sugeruje wielkość – zauważył władca Brenu. Melli oderwała wzrok od ptaka i zauważyła, że patrzy prosto w oczy diuka. Zalała ją fala smutku, a zarazem radości.

– Dziękuję – rzekła. – Nigdy w życiu nie otrzymałam tak cennego daru.

– Oddałbym ci wszystko, co mam – odparł – gdybyś tylko zechciała zostać moją żoną.

Baralis spacerował po jednym z wielu opustoszałych dziedzińców pałacu diuka. Przed chwilą opłacił człowieka, który miał wyruszyć do chaty Bevlina i przetrząsnąć ją dokładnie. Gdy próbował obliczyć, ile czasu minie, nim stanie się właścicielem biblioteki mędrca, pierś przeszył mu ostry ból.

Wrażenie było tak nagłe i gwałtowne, że stanął jak wryty.

Zamknawszy oczy, odszukał mrok samoświadomości. Szalone bicie serca wyprzedzało jego myśli, nadając pulsowi rytm bezgłosego ostrzeżenia. W umyśle Baralisa niczym błyskawica rozjarzyły słowa, które ledwie zapamiętał pośród tak wielu innych, jakie wypowiedziano w Larnie.

„Przed dwoma dniami jeden z naszych jasnowidzów mówił o tobie. Powiedział, że w tej chwili największą groźbą dla ciebie jest dziewczyna Mnożeni u boku”.

Baralis rozejrzał się po dziedzińcu. Trudno mu było utrzymać się na nogach. Zobaczył wykonaną z piaskowca ławę stojącą w osłoniętej gęstym listowiem altanie. Kiedy do niej dotarł, zdążył się już uspokoić. Jego ciężkie od proroctwa ciało osunęło się na kamień. Właściwie nie było to proroctwo – wygłosili je już jasnowidze z Larnu – lecz raczej potwierdzenie jego spełnienia. Gdzieś ważył się czyjś los, a przyspieszone bicie serca Baralisa świadczyło, że rezultat tego wydarzenia z pewnością wpłynie na jego plany.

Ocierając pot z czoła, wyteżał umysł, próbując odgadnąć, kim może być owa dziewczyna z nożem.

– Spokój, chłopcze, spokój – wyszeptał Maybor,

przesuwając dłonią po rozdziawionym pysku suki. Z głębi gardła zwierzęcia wydobył się warkot, przeszywający dreszczem dźwięk świadczący o morderczych zamiarach. Gdy poczuło zapach wroga, zjeżyły mu się włosy na grzbiecie. Szkolenie się opłacało. Pragnąca rzucić się na samotnie siedzącego w oddali człowieka suka szarpała smycz jak zabójca, którym rzeczywiście była. – Dobry chłopiec. Dobry chłopiec.

Maybor przekonał się ostatnio, że połączenie wspaniałych szat, które zakładał i imponującego zwierzęcia u boku przyciąga spojrzenia, zwłaszcza kobiece. Zaczął codziennie przechadzać się po pałacowych terenach, prowadząc Rekin na pięknej skórzanej smyczy. Sprawiały mu przyjemność pełne podziwu spojrzenia dam i zazdrość widoczna w oczach wielmożów. Dzisiejszego popołudnia dostrzegł jednak coś bardziej interesującego niż rumieniące się dziewczę. Zobaczył Baralisa, który potajemnie korzystał z usług czeladnika. Posłańca, sądząc po tym, jak chudą miał szkapę.

Do spotkania doszło w pobliżu stajni. Natknąwszy się na nich, Maybor bawił się myślą o spuszczeniu Rekin ze smyczy, w pobliżu było jednak zbyt wielu stajennych, a każdy z nich mógł go zauważyć. Co

ważniejsze, któryś z nich mógł postanowić uratować Baralisa i rzucić się na psa z oporem. Maybor przyzwyczał się już do brytana i nie podobała mu się myśl o jego utracie. Dlatego pozostał na miejscu, obserwując z oddali rozmowę dwóch mężczyzn. W najmniejszym stopniu nie był zaskoczony tym, że zakończyła się ona wręczeniem czeladnikowi wypchanej sakiewki. Baralis mógł skłonić innych do spełnienia swej woli jedynie za pomocą pieniędzy. Rozmówcy rozstali się na jego oczach i kanclerz ruszył z powrotem do pałacu.

Nigdy nie wybierał tradycyjnych dróg. Przemykał się zaułkami i przechodził pod mostami, szukając bardziej odludnej trasy. Maybor śledził go cały czas. Rekin umiała tropić ofiarę. Ani na chwilę nie spuszczała Baralisa z oczu. Wreszcie dotarli do sporego dziedzińca. O tej porze roku był opuszczony, choć w środku lata zapewne służył jako przystań dla zakochanych. Na drzewach i krzewach zaczynały się już pokazywać liście, a klomby okopano, przygotowując je do zasadzenia kwiatów.

Maybor miał już zamiar ruszyć za Baralisem przez dziedziniec, gdy ten zgiął się nagle w pół, łapiąc się za pierś. Jego twarz przybrała nieprzyjemny, brązowofioletowy odcień. Maybor odmówił

natychmiast modlitwę do Borca, dziękując mu za to, że zesłał na jego wroga atak. Niestety kanclerz szybko przyszedł do siebie. Dowłókł się do ławy i usiadł na niej, by odetchnąć.

Rekin rzucała łbem z boku na bok. Spuściwszy wzrok, Maybor zauważył, że zwierzę z mrozącą krew w żyłach determinacją próbuje przegryźć smycz. Wielokrotnie już rozszarpywało torby wypełnione resztkami koszuli Baralisa. Jego woń odcisnęła się piętnem na duszy suki. Nadszedł czas, by zaatakować ofiarę.

– Spokój, chłopcze, spokój.

Maybor wyrzał szybko z krzaków, spoglądając na siedzącego kanclerza, który zatopił się głęboko w myślach i nie sprawiał wrażenia, by miał nagle wstać i odejść. Grubas odwrócił się nagle, by przyrzeć się pobliskim murom. Aha! Tego właśnie szukał. U podstawy jednego z nich wypatrzył wykutą w kamieniu ozdobę: amorki mierzyły z łuków w demony, a nimfy igrały z lwami. Ramię jednego z amorków stanowiło wypukłą płaskorzeźbę, a jego łokieć tworzył pętlę. Maybor przeciągnął przez nią smycz, zawiązując ją w piękny, żołnierski węzeł.

Suka warknęła ze złości i zaczęła się szarpać. Całe jej ciało miotało się gwałtownie, lecz węzeł ani kamień

nie puścili.

Nim klęknął na ziemi, Maybor upewnił się, że znajduje się poza zasięgiem smyczy. Rerkin wpadła już w szal. Wybałuszyła ślepią, a z pyska skąpy wała jej piana.

– Psst. Cicho. – Zwierzę uspokoiło się trochę. – Dobry chłopiec. – Maybor odważył się nieco pochylić. Zacerpnął głęboko tchu. – Zabij, Rekin, zabij! – syknął.

Jego słowa wywarły na suce piorunujące wrażenie. Nastroszyła uszy, zjeżyła sierść i zaczęła ze straszliwą zajadłością gryźć smycz. Jej zęby przegryzały rzemień tak łatwo, jakby był z jedwabiu.

Maybor wiedział, że pora szybko się oddalić. Za niespełna dwie minuty Rekin się uwolni. Nie mógł sobie pozwolić na to, by być w pobliżu w chwili, gdy pies rozerwie Baralisowi gardło. Zatrzymał się na moment, aby z podziwem przyrzeć się śmiercionośnym zębom zwierzęcia. Wyobraził sobie, jak będą wyglądały pokryte krwią, po czym ruszył pośpiesznie ku stajniom.

Diuk rozkazał sokolnikowi zabrać ptaka. Melli niemal nie poczuła, że zdjęło jej sokoła z nadgarstka. Kręciło się jej w głowie. Żoną! Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czyżby diuk postradał zmysły?

Odważyła się spojrzeć mu przelotnie w twarz. Szare oczy wpatrywały się w nią bez zmrużenia powiek.

– Myślisz, że żartuję, Melliandro? Jego głos był równie poważny, jak twarz.

Drzwi zamknęły się z dyskretnym stukotem. Sokolnik wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą ptaka.

Melli wstała i podeszła do okna. Potrzebowała czasu na zastanowienie. Diuk jednak miał widocznie inne plany, gdyż usłyszała za plecami jego kroki, a potem poczuła na ramieniu ciężar dłoni. Uścisnął ją mocno. Tak mocno, że musiała się odwrócić.

– Melliandro – zaczął. – Nie zwykłem rzucać słów na wiatr. Parę diiii temu mówiłem ci, co do ciebie czuję. Czy nie domyśliłaś się, że pragnę cię poślubić?

Przesunął dłoń wzdłuż ramienia Melli i ujął ją za palce.

Zauważyła, że jego ręka jest zupełnie sucha.

– Kupiłeś mnie, jakbym była workiem zboża, a teraz chcesz się ze mną ożenić?

To nie miało sensu. Diuk był dumnym człowiekiem, a mimo to proponował małżeństwo dziewczynie, która – jak sądził – pochodziła z nieprawego łóża. Podobny związek z pewnością okryłby go wstydem. Chyba że był zbyt zakochany, by o to dbać. Duma Melli wzniosła się niczym pokrywka

nad stojącym na ogniu garnkiem. Dlaczego nie miałyby się w niej zakochać? Zdarzyło się to już wcześniej wiele razy. Zamek Harvell pełen był mężczyzn, którzy padali jej do nóg. Była jednak wystarczająco bystra, by zdawać sobie sprawę, że uginali kolana nie tylko przed jej wdziękami, lecz również przed fortuną jej ojca.

W przeciwieństwie do nadętych, pryszczatych szlachciców z królestw, diuk nic nie wiedział o jej rodzinie i majątku, a mimo to pragnął ją poślubić. Z pewnością musiało to o czymś świadczyć?

Odwzajemniła uścisk jego dłoni.

Uznał to za wskazówkę.

– Melli, jeśli zgodzisz się za mnie wyjść, przysięgam, że nie będziesz dla mnie jedynie kobietą do łoża. Będziemy się wspólnie bawić, polować i zajmować polityką. Zasiądziesz u mojego boku nie jako kochanka czy żona, lecz jako równa partnerka. – Uścisnął mocno jej dłoń. – Wyobraź to sobie, Melliandro. Ty i ja, diuk i diuszesa Brenu, spacerujący ramię w ramię po pałacu, w jednej chwili zajmujący się polityką i władzą, a w następnej miłością i życiem.

To dziwne, pomyślała Melli. Same słowa były kuszące, lecz diuk wypowiadał je bez pasji niczym aktor po raz pierwszy wygłaszający tekst nowej roli. Był z natury beznamiętny i – jak sam przyznał – od

wielu lat nie darzył silnym uczuciem żadnej kobiety poza zmarłą żoną. Być może to połączenie naturalnej powściągliwości ze staromodną nerwowością kazało mu przemawiać w ten sposób.

– A co z moją przeszłością? – zapytała, rozpaczliwie pragnąc zdobyć chwilę czasu na zastanowienie. – Wielu będzie mną gardzić z jej powodu.

– Jeśli ktoś odważy się tobą gardzić, Melliandro, przysięgam, że go zabiję. – Tym razem w jego głosie słychać było uczucie: ochryplą groźbę i drżenie gniewu. – Nie zniosę ani jednego słowa drwiny czy lekceważenia.

Serce Mciiii przeszył dreszcz na myśl o sile diuka. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że zabiłby każdego, kto by ją obraził. Przyjemnie było pomyśleć że taki mężczyzna jest gotowy bronić jej czci. Nie chcąc zdradzić swych myśli, odsunęła się od niego.

– Skąd mam wiedzieć, że naprawdę chcesz mnie dopuścić do spraw państwowych? – zapytała diuka, chcąc go sprawdzić. – To może być tylko sztuczka, mająca mnie skłonić, bym wyraziła zgodę.

Podszedł do kredensu i wziął w rękę dzban z winem. Przekonawszy się, że jest pusty, odwrócił się w stronę Melli. Odbijający się od jego miecza blask padł

na jej twarz.

– Nie jesteś kobietą, która spędzałaby spokojnie całe dni, zajęta haftowaniem – stwierdził, unosząc kąciki ust w bladym uśmiešku. – Nie interesuje cię ogrodnictwo, plotki ani zajęcia domowe. Za to właśnie cię kocham. Jesteś pełna werwy, niezależna i nie boisz się mówić tego, co myślisz. – Uśmiechał się teraz szeroko, pełen radosnego podziwu. – Z pewnością mogłabyś nauczyć breńskie damy paru rzeczy.

– Na pewno nie używania kosmetyków. Diuk parsknął śmiechem.

– Właśnie się zastanawiałem, co to za plamy na twoich policzkach.

– Jedno z twoich najlepszych czerwonych win – odpowiedziała, żywiąc w duchu nadzieję, że nie wygląda zbyt śmiesznie.

– Następnym razem ograniczyłbym się do jego picia.

– Ha!

Melli uniosła z łoża poduszkę i cisnęła nią. W jednej chwili wydobył miecz. Poduszka nie zdążyła do niego dolecieć. Ostrze przecięło ją wpół. Puch zawirował w powietrzu niczym płatki śniegu. Diuk wyglądał wspaniale: wyciągnięty miecz, napięte mięśnie, smagła skóra otoczona obłokiem białego

pierza. Skierował powoli wzrok na Melli. Uśmiechnął się.

– Następnym razem będziesz musiała być szybsza.

– Nie, chyba po prostu stępię twój miecz, kiedy nie będziesz patrzył.

– Lubię kobiety, które potrafią szybko myśleć.

– A ja lubię mężczyzn, którzy ładnie wyglądają obsypani gęsim puchem.

Oboje roześmiali się wesoło. Dźwięk ich śmiechu podziałał na komnatę niczym urok. Zmienił panującą w niej atmosferę, uczynił ją radośniejszą i mniej poważną. Zza odległych chmur wyjrzało słońce, którego blask rozpromienił ich szczęście.

Diuk odłożył miecz, podszedł do Melli, która przysiadła na łożu, i klęknął u jej stóp.

– Zgódź się, Melliandro, albo Borc mi świadkiem, że zamknę cię w tej komnacie, dopóki nie zmienisz zdania.

– I każesz mi pozbierać wszystkie pióra?

– Pincetą.

Melli przyjrzała się diukowi. Był przystojnym mężczyzną: bruzdy pokrywające mu twarz świadczyły o doświadczeniu, a haczykowaty nos o niepodważalnej władzy. Podobał się jej jego prosty, żołnierski ubiór, a także fakt, że każdy jego ruch świadczył o niezwykłej

dumie. W przeciwieństwie do Kylocka, umiał się śmiać i miał poczucie humoru. Choć nie wątpiła, że potrafi być zimny i wyrachowany, była też pewna, że nigdy nie jest okrutny. Pod tym względem od Kylocka dzieliła go przepaść.

– Co mi odpowiesz, Melliandro? – zapytał cichym głosem. Wyciągnęła rękę, by strzepnąć puch z jego barków. Pod palcami poczuła twarde jak kamień mięśnie.

– Zgadzam się za ciebie wyjść. Garonie, diuku Brenu. Zostanę twoją żoną.

Nadszedł już czas, by opuścić to miejsce. Serce uspokoiło mu się po szoku wywołanym prorocstwem, a hulające po dziedzińcu wietrzysko było bardzo zimne. Jego skryte pod szalą dłonie skuliły się jak świeżo wyklute pisklęta. Musi je wyprostować, by móc jakoś unieść narkotyk do ust.

Gdy tylko napiął mięśnie, żeby wstać z ławy, pierś przeszło mu ostre ukłucie. Serce przestało nagle bić. Wzdłuż lewego ramienia przebiegł tępy ból. Jego duszę ogarnęła panika. Zrozumiał, że jej przyczyną jest drugie prorocstwo. Silniejsze niż poprzednie, dużo silniejsze. Odcięło wszelką łączność między oczyma a mózgiem. Pustkę wypełniła wizja.

Ogarnęła zarówno jego głowę, jak i brzuch. Ujrzał

ciemnowłosą dziewczynę. Jej usta ukształtowały słowa, których nie słyszał. Mężczyzna, do którego mówiła, był jedynie pozbawionym postaci cieniem. Baralis poczuł ucisk w umyśle i w brzuchu. Znał ją. Widział ją naga, gdy wychodziła z kąpieli, a na pręgi na jej plecach padał blask świec. To była córka Maybora, Melliandra.

Gdy tylko przez głowę przemknęło mu jej imię, wizja umknęła z powrotem do serca. Towarzyszył temu wstrząs, który przebiegł wzdłuż jego kręgosłupa niczym błyskawica. Serce znowu zaczęło bić, wywołując szok i mdłości. Płuca skurczyły się gwałtownie, wypychając powietrze pełne wizji. Gdy dotknęło jego języka, kanclerz poczuł smak tanich perfum i drogiego wina.

Brakowało mu czasu i sił. Nie był w stanie rozsądnie myśleć. Otworzył jednak oczy. Mknęła ku niemu jakaś ciemna plama. Pędziła naprzód, ledwie dotykając łapami kamiennej powierzchni. Rozdziawiła pysk, ukazując ostre zęby. Z głębi jej gardła wyrwał się niski warkot. Z paszczy kapiała piana. Zwierzę chciało go zabić.

Baralisowi został jedynie instynkt i ułamki sekund. Dręczyły go zawroty głowy. Ledwie mógł myśleć, nie mówiąc już o zareagowaniu. W głębi jaźni znalazł

jednak coś prymitywniejszego i groźniejszego niż myśl: wolę przetrwania. Woń psa i błysk jego zębów wystarczyły, by pobudzić ją do działania. Zwierzę pędziło naprzód. Od Baralisa dzieliło je już tylko kilka stóp. Spod bluzy kanclerza wyłoniła się nagle dłoń. Nie był niemal w stanie uwierzyć, że należy do niego. Miał za mało czasu i zbyt wielki zamęt w głowie, by mógł zaczerpnąć mocy. Z pomocą przyszło mu coś dawno już zapomnianego. Coś, co poznał na równinach. Rytuał przejścia czyniący z chłopca myśliwego. Nie mając broni ani czasu na przygotowanie, lecz za to wysoki poziom alkoholu we krwi, potrafili zatrzymać szarżującego dzika.

Wyciągnął dłoń, by wydać zwierzęciu rozkaz, i wbił wzrok w punkt między jego oczyma. Z jego wnętrzości wzniosło się gęste pasmo instynktu. Uderzył w psa siłą swej woli.

Poczuł na twarzy powiew. Zobaczył czarno-różowe dziaśła. Spojrzał w lśniące gwałtownością oczy. Słowa i myśli stały się bezużyteczne. Liczyło się poczucie celu. Wola starła się z wolą na pół sekundy przed tym, nim zderzyły się ciała. Patrząc zwierzęciu prosto w oczy, Baralis zmiażdżył je mocą swego umysłu.

W owej chwili w całym wszechświecie nie istniała większa siła. Pies zareagował jak uderzony biczem.

Jego ciało opuściła siła, a z duszy znikła determinacja. Impet niósł go jednak ku gardłu Baralisa. Zamknawszy i opuściwszy pysk, uderzył w mężczyznę całym swym ciężarem. Baralis runął na ziemię, przygnieciony przez zwierzę. Zemdlał.

Jego twarzy dotykało coś ciepłego i wilgotnego. Serce galopowało mu jak wyścigowy ogier, a całe ciało drżało. Skupił myśli i spojrzenie. Leżał na plecach, spoglądając w późnopołudniowe niebo. Brytan spoczywał u jego boku, liząc go po twarzy. Krew na jego pysku nie wyschła jeszcze. Unosił w górę jedną z przednich łap, jakby ją sobie zranił.

Kiedy ujrzał, że Baralis się poruszył, zamerdał ogonem i ze zdwojonym zapalem zabrał się do lizania. Kanclerz poczuł w jego oddechu smród zbrodniczych knowań. Co dziwne, poczuł, że polubił zwierzę. Uniósł dłoń, zbyt powykręcaną, by pokazywać ją damom, i podrapał sukę po uszach.

– Nic mi się nie stało, piękna pani – powiedział.

W przedpokoju czekało dwóch ludzi. Jednego z nich diuk znał od dwudziestu lat, drugiego zaś od dwudziestu dni, lecz mimo to obu ufał bez zastrzeżeń.

Najpierw porozmawiał z Bailorem. Odprowadził go na bok, by jego słowa dotarły tylko do uszu ochmistrza.

– Przygotowana przez ciebie przemowa okazała się skuteczna, przyjacielu. Pani się zgodziła.

Bailor uśmiechnął się triumfalnie, lecz jego słowa brzmiały niezwykle skromnie.

– Zdecydowało raczej twe wykonanie, Wasza Miłość. Diuk spojrział na drugiego z mężczyzn. Tawł odwrócił wzrok i zajął się ostrzeniem miecza. Władca Brenu pozwolił sobie na parsknięcie krótkim śmiechem.

– Było drewniane jak podłoga, na której stałem, ale pani to nie przeszkadzało.

– A prezent?

Ochmistrz zawsze był łasy na pochwały. W tym przypadku diuk nie zamierzał mu ich skąpić.

– To była znakomita sugestia, Bailorze. Była zachwycona. Gdy dostała ptaka od sokolnika, jej oczy zalśniły jak szafiry. – Przerwał na chwilę, wspominając twarz Melliandry. – Wiem, że świetnie sobie poradzi z sokołem. Ma więcej animuszu niż dwudziestu myśliwych. To naprawdę niezwykła kobieta.

– Zgadza się, Wasza Miłość.

Diuk zauważył, że ochmistrz spogląda na jego ramiona.

– Rzuciła we mnie poduszką – wyjaśnił, strzepując resztki gęsiego puchu. – Nigdy nie spotkałem bardziej

irytującej mnie dziewczki.

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie jej delikatnych, niepewnych pocałunków. Minęło wiele lat, odkąd jakaś kobieta podnieciła go tak bardzo. Krew rozpalila mu nie tyle jej uroda, co niezwykle połączenie pewności siebie z niewinnością. Nie wątpił, że poślubi ją już niedługo. Nie zamierzał czekać kilku miesięcy, żeby powieść ją do małżeńskiego łóżka. Był za stary na długie narzeczeństwo, a ponadto jego plany wymagały szybkiej realizacji. Mógł ją wziąć już teraz – nie była niechętna – nie chciał jednak ryzykować poczęcia dziecka przed dniem ślubu. Kiedy Melliandra zajdzie w ciążę, ludzie z uwagą będą liczyć miesiące szukając choćby najdrobniejszego pretekstu, by zawołać: „Bękart”! Potrząsnął głową. Nie pozwoli nawet na cień zwątpienia.

Poza tym, podobała mu się myśl o czekaniu. Było to dla niego nowe doświadczenie, które z pewnością zwielokrotni radość pierwszego zbliżenia, gdy w końcu do niego dojdzie. Czekając na tę chwilę, nie weźmie do łóżka żadnej innej kobiety. Wszystkie wydawały mu się w porównaniu z nią bladymi imitacjami.

– Bailorze – rozkazał. – Pójdź teraz do Melliandry. Jesteś tu jedynym człowiekiem, którego może zwać przyjacielem. Jeśli ma jakieś wątpliwości, rozwiej je.

Dopilnuj, by otrzymała wszystko, czego zapragnie. Powiedz jej, że przyjdę później i zabiorę ją na krótki spacer po ogrodach. Na pewno czuje się tu zamknięta. Całymi dniami siedzi w tej sypialni. Sprowadź Shivrala, żeby podczas spaceru przygrywał nam na harfie. Każ też, żeby przyniesiono do ogrodu jakieś przekąski. Poncz i słodycze, no wiesz, takie tam rzeczy.

– Tak, Wasza Miłość. – Bailor zawahał się na mgnienie oka. – Może mógłbym coś zasugerować?

– Słucham.

– Lepsze będzie mocne wino i mięso. Ta pani ma inne upodobania niż cieplarniane kwiatuszki z dworu.

Diuk potarł podbródek.

– Jak uważasz.

Bailor pokłonił się i ruszył ku pobliskim drzwiom. Diuk powstrzymał go, po raz pierwszy przemawiając głosem mającym dotrzeć do uszu obu obecnych w komnacie mężczyzn.

– Dowiedz się od lekarzy, kiedy będzie gotowa do podróży do Brenu.

Ochmistrz skinął głową i wyszedł. Diuk zwrócił się do swego obrońcy.

– Tawlu, czy potrafisz dochować tajemnicy? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Nie czekał na

odpowiedź. – Pani, której kazałem ci strzec, przed chwilą zgodziła się zostać moją żoną.

Tawł wykonał prosty ukłon.

– Życzę ci radości, Wasza Miłość.

Diuk poznał w życiu tysiące ludzi. Niektórzy z nich byli dobrzy, inni źli, a większość mieściła się gdzieś pośrodku. Nauczył się szybko oceniać człowieka, dostrzegać jego silne i słabe strony. Odgadywać, co nim kieruje. Jednakże, bez względu na całe swe doświadczenie, nie potrafił rozgryźć Tawła. Och, zauważał w nim wiele. Rycerz był całkowicie godny zaufania, wierny i zapewne bardzo odważny, lecz trudno było określić jego motyw. W przeciwieństwie do Blayze'a, nie był zainteresowany korzyściami płynącymi z chwały. Piękne ubranie i wypchana złotem sakiewka nic dla niego nie znaczyły.

Najwyraźniej to samo dotyczyło kontaktów z możliwymi ludźmi. Breński dwór wypełniony był mężczyznami i kobietami, którzy chcieli zdobyć władzę i wpływy, wkradając się w jego lub córki łaski. Bailor był jednym z nielicznych, którym udało się odnieść sukces w tej aż nazbyt popularnej grze. Instynkt mówił diukowi, że Tawł nie dba o takie sprawy. Choć stanowiło to zagadkę, znaczyło też, że jest człowiekiem, któremu może śmiało powierzyć swą

najcenniejszą własność: Melliandrę.

Diuk omiół rycerza szybkim spojrzeniem. Był wysoki i imponujący, zbudowany jak wojownik, lecz znał też dworskie maniery. Idealnie nadawał się na strażnika jego narzeczonej: honorowy, lojalny i doskonale władający mieczem.

– Rozumiesz więc, Tawlu, dlaczego tej pani grozi wielkie niebezpieczeństwo – rzekł diuk.

Rycerz skinął głową.

– Tak. Ale jeszcze większe oczekuje ją na dworze.

– Wiem. Muszę jednak podjąć to ryzyko.

– Sugeruję, byście oboje wyruszyli do Brenu oddzielnie. Ja będę towarzyszył Melliandrze i batalion gwardzistów byłby dla mnie tylko obciążeniem. W razie niebezpieczeństwa muszę być w stanie poruszać się szybko.

Diuk skinął głową. To była rozsądna rada.

– Odpowiadasz za jej bezpieczeństwo.

– Kto jeszcze wie o zaręczynach?

– Bailor. – Diuk zastanowił się chwilę. – Kiedy prosiłem ją o rękę, był przy tym sokolnik.

– To był błąd. Diuk uśmiechnął się.

– Wiem, Tawlu, ale jeśli moment jest odpowiedni...

Wzruszył ramionami.

– Zdrowy rozsądek trafia szlag. – Rozbawiony

Tawl uniósł brwi. Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem. – Każ Bailorowi jak najszybciej porozmawiać z sokolnikiem. Znajdź wszystkich ludzi, z którymi mówił po wyjściu z komnaty pani. Rozkaż ich zamknąć tu, w domku myśliwskim, i strzec ich dniem i nocą, dopóki oficjalnie nie ogłosisz zaręczyn.

Diuk skinął głową.

– Coś jeszcze?

– Gdy pani przybędzie do Brenu, chcę osobiście sprawdzić jej komnaty, nim w nich zamieszka. Wszyscy, jej strażnicy i służący muszą słuchać moich rozkazów, a jedzenie ma dostawać prosto od twojego osobistego kucharza. Masz sługę kosztującego potrawy?

– Tak.

– Świetnie. Na podróż musisz jej dać najłagodniejszego wierzchowca. Po upadku z konia z pewnością boi się jeździć.

– A co z szybkością?

– W razie potrzeby przesadzę ją na własnego rumaka. Rycerz, był dobry. Bardzo dobry. Znacznie lepiej będzie, jeśli Melliandra w niebezpiecznej sytuacji pojedzie za jego plecami, niż gdyby musiała radzić sobie sama. Diuk cieszył się, że wybrał Tawla na jej strażnika. Już w tej chwili zrobiło mu się lżej na

sercu.

– Potrzebujesz czegoś na podróż?

– Chłopięcego napierśnika dla pani, a dla siebie łuku i kołczanu strzał z zadziorami. Mieczy i noży mam pod dostatkiem.

– Zauważyłem – odparł diuk, wskazując na leżący na podłodze zielony filc. Rozłożono na nim tyle błyszczącej stali, że można by nią uzbroić cały garnizon.

Tawł uśmiechnął się niemal z zażenowaniem. Diuk lubił go coraz bardziej.

– Jeszcze jedno, Tawlu. Chcę, żebyś się z nią zaprzyjaźnił. Nie zna w Brenie nikogo poza Bailorem i mną. Z pewnością brak jej towarzystwa.

– A co z twoją córką, Catherine?

Diuk wciągnął głęboko powietrze. Co z Catherine? Będzie wściekła, gdy tylko dowie się o planowanym ślubie. Ograbi ją w ten sposób nie tylko z chwały, lecz – jeśli Melliandra powije syna – również z dziedzictwa. Catherine zawsze była nieprzewidywalna. Lepiej, żeby na razie o niczym nie wiedziała. I tak zważyło mu się na głowę zbyt wiele spraw. Nie miał czasu ani ochoty znieść kolejnego dziecinnego napadu złości córki.

– Nie chcę, żeby dowiedziała się o małżeństwie,

dopóki oficjalnie nie ogłoszę zaręczyn.

– Jak sobie życzysz.

– To już chyba wszystko. Bailor jest na twoje rozkazy, podobnie jak reszta służby. Pamiętaj, by poinformował cię, kiedy pani będzie mogła bezpiecznie wyruszyć w drogę. – Diuk skierował się ku drzwiom. – Tawlu – dodał, zatrzymując się na progu. – Czuję się lepiej, wiedząc, że Melliandra pozostaje pod twoją opieką.

Rycerz pochylił głowę.

– W razie potrzeby oddam życie w jej obronie.

Spożywając niewielkie śniadanie, złożone z wieprzowiny i wilgotnych sucharów, Jack zajął się wyliczaniem popełnionych przez siebie błędów. Wczoraj, godzinę po wejściu do lasu, wyrzucił połowę rzeczy, które dostał od pani Wadwell. Pierwszym błędem było pozbycie się ciężkiego płaszcza z impregnowanej tkaniny. Niebo było wówczas błękitne i bezchmurne, doszedł więc do wniosku, że wiosenna pogoda się nie zmieni. Nieprawda. W środku nocy zaczęła się ulewa. Nim znalazł schronienie, chodząc w ciemności po szybko zmieniającej się w błoto ziemi, przemókł do suchej nitki.

Drugim błędem było przełożenie potrzebnych przedmiotów z ciężkiej skórzanej torby do lżejszego płóciennego worka. W rezultacie wszystkie jego zapasy były teraz tak samo mokre jak on. Wbrew powszechnemu mniemaniu zamoczenie sucharów w wodzie nie poprawiało ich smaku.

Trzecim błędem był wybór miejsca, w którym

zostawił rzeczy. Porzucił je na otwartej przestrzeni, gdzie każdy mógł je zobaczyć. Wczoraj nie wydawało mu się to ważne: stanowiły jedynie zbyteczny ciężar, którego chciał się jak najszybciej pozbyć. Dzisiaj martwił się tym, że zdradza kim był, dokąd się wybierał i – co najważniejsze – kto udzielił mu pomocy. Wielkość była znakiem firmowym Wadwellów, a jeśli on odkrył ten fakt, spędziwszy z nimi mniej niż dobę, z pewnością wiedzieli o tym wszyscy w okolicy. Jedno spojrzenie na rozmiar słoja z maścią, długość bandaży, czy średnicę sera wystarczy, by przypieczętować ich los.

Jak mógł być tak głupi? Rzucił suchary na ziemię. Wylądowały bezgłośnie na mokrych liściach. Musi się nauczyć myśleć, nim zacznie działać. Podniósł się i rozrzucił kopniakiem stertę liści, aż pofrunęły w powietrze. Świeże i zielone, strącone z drzewa przez wciąż padający deszcz, opadły ciężko na ziemię. Niekiedy nawet myślenie bywało niebezpieczne.

Co dziwne, gorączka naprawdę minęła. Od tygodni nie myślał jaśniej. Delikatność natury działała na niego niczym balsam. Krople deszczu zbierające się pod gałęziami odbijały ciepłe, słoneczne promienie. Rozpleniona wiosenna zieleń była łagodna dla oczu, a jeszcze łagodniejsza dla stóp. Zewsząd dobiegał

dźwięk skapującej, płynącej i tworzącej kałużę wody, rywalizujący z głosami małych zwierząt i ptaków. Wszystko jednak przytłaczała woń – świeża i stara zarazem. Zapachy młodych liści i pradawnej ziemi mieszały się ze sobą w przesyconym mgłą powietrzu. Wypełniały płuca Jacka, płynęły z nurtem jego krwi i dotykały delikatnie skórę.

Mięśnie, wczoraj napięte i obolałe, stały się teraz rozluźnione. Rany po ukąszeniach psów przesiały ropieć, a strupy przyschnęły. Nawet szrama na piersi nie dokuczała mu już tak bardzo. Ból był mniej ostry, a straszliwe swędzenie towarzyszące gojeniu się ciała i kości znacznie złagodniało.

Nie potrafił określić, ile z tego jest zasługą natury, a ile pani Wadwell. Pod koniec dnia, spoglądając na ciągnący się wokół gęsty bór. Jack doszedł do wniosku, że i jedno i drugie pomogło mu ozdrowieć.

Czas już ruszać w drogę. Worek, który przerzucił sobie przez lewe ramię, był tak mokry, że skapywała z niego woda. Wieprzowina, suchary, orzechy, ubranie na zmianę, kilka dobrych noży i jego posłanie, wszystko to przemokło. W gruncie rzeczy, całość ważyła teraz prawie dwukrotnie więcej niż przed ulewą. Jack uśmiechnął się ze smutkiem. Z całą pewnością nie nadawał się na poszukiwacza przygód.

Każdy szanujący się bohater zorientowałby się, że nadciąga deszcz, zbudowałby w kilka godzin przyzwoite schronienie, a zbyteczne zapasy pochowałby w nieoznaczonej mogile. Jemu natomiast przemokły buty, włosy przylepiły się do głowy, a na plecach ciążył worek wypełniony niemal wyłącznie wodą.

Popatrzył na przesłonięte gałęziami niebo, lecz ujrzał jedynie monotonną szarość. Nie sposób było określić, z którego kierunku dobiega światło.

Pani Wadwell powiedziała mu: „Idź na wschód, a potem północny wschód. Rusz w górę strumienia”. No cóż, strumień znalazł. Krył się on za krzakami leszczyny i głogu, ku którym zmierzał, sądząc jednak z hałasu, nie był to już szemrzący leśny potoczek, lecz raczej rozszalała struga zmierzającej do wyznaczonego celu wody. Zostało mu tylko podążyć wzdłuż brzegu.

Nie czuł się jeszcze gotowy opuścić Halcusu ani nawet miasta garnizonowego. Musiał załatwić jeszcze jedną sprawę. Spotka się z ludźmi w pewnej dobrze zaopatrzonej chacie, która według jego oceny leżała kilkanaście mil na zachód stąd.

Po kilku godzinach Jack znalazł się w cieniu garnizonu. Deszcz obmywał jego czoło, po czym spływał wzdłuż nosa i szyi, przedostając się pod

koszulę. Chłopak uznał, że jest już niedaleko miejsca, gdzie kończył się tunel, nim ktoś zasypał go ziemią i kamieniami. Miejsca, w którym miała na niego czekać Tarissa i w którym go zdradzono.

Wiedział, że lepiej się wystrzegać takich myśli. Były zdecydowanie zbyt niebezpieczne, zwłaszcza tu, gdzie w oddali majaczyły wysokie, poczerniałe mury garnizonu. Nie był to czas ani miejsce na kolejną katastrofę. Głęboko ukrył odniesione rany, osłaniając je przed światłem swych rozważań. Bał się, że nawet wspomnienie krzywizny policzka Tarissy albo połysku jej włosów wystarczy, by na nowo rozpalić drzemiący w nim ogień.

Tę okolicę lasu patrolowano. Mówił mu o tym Rovas i potwierdzały to również jego własne obserwacje. Pozostawione niedawno w błocie ślady stóp i walające się po obu stronach ścieżki wyplute kawałki żujki świadczyły, że niedawno przechodzili tędy strażnicy. Od pożaru minęły dopiero dwie doby i z pewnością żołnierze mieli się na baczności. Jack opuścił ścieżkę, kryjąc się między krzakami. Kolce rozdzierały mu portki, a cierniste gałęzie czepiały się worka. Czuł w piersi coraz silniejszy ból. Dawały o sobie znać długa wędrówka i dźwiganie ciężkich zapasów. Pomógłby mu łyk brandy. O ile dobrze sobie

przypominał, miał w worku cynową manierkę. Nie wątpił, że pani Wadwell napełniła ją odrobiną jasnozłotego trunku. Pochylił się pośród chaszczy i usiadł na ziemi, by przeszukać swój dobytek.

Gdy tylko dotknął pośladkami gleby, usłyszał odgłos kroków. Trzasnęły gałązki. Mżawka zmniejszała widoczność o połowę. Przez mgłę przebijały się odległe, stłumione głosy.

Jack wciągnął głęboko powietrze i pochylił się jeszcze niżej. Sięgnął powoli do worka.

– Czwarty błąd – wyszeptał do siebie. Nie miał za pasem noża. Pomacał ręką, szukając jego ostrza. Pod wieprzowiną i manierką, na samym dnie, w powstałej z sucharów i deszczówki brei, znalazł drewnianą rękojeść. Wyciągał ją bardzo wolno, uważając, by nie poruszyć otaczających ją przedmiotów.

Głosy były coraz bliżej. Mężczyźni rozmawiali od niechcienia, skarżąc się na deszcz i swego dowódcę. Jack nie odważył się wyrzeć z krzaków. Wytarł nóż o gałąź, usuwając mokre okruchy sucharów z ostrza. Rękojeść nie była ważna.

Gdy tylko głosy ucichły, zorientował się, że żołnierze natknęli się na jego ślady. Zachowali się sprytnie. Nie podnieśli alarmu, co dałoby mu szansę ucieczki. Jack wyobraził sobie, jak podążają jego

tropem do miejsca, w którym się ukrywał. Nadal przykucnięty, lekko wspiał się na palce, w każdej chwili gotowy rzucić się do ataku.

Po jego prawej stronie zaszeleściły krzaki. Usłyszał gwałtowne szepty. Stał uderzyła o skórzane spodnie. Chłopak napiął mięśnie.

– Kto idzie? – rozległ się głos, bliżej niż się spodziewał.

Jack wypadł z zarośli. Obaj strażnicy zwrócili się ku niemu, wyciągając miecze. Na chwilę na ich twarzach pojawił się strach. Potem runęli na niego. Pierwszy z żołnierzy skoczył naprzód, podczas gdy drugi osłaniał go z boku.

Zamachnął się nożem, lecz tylko na próbę. W jego uchu, niczym prowadzony na bieżąco komentarz, rozbrzmiewały rady Rovasa: „Nigdy nie wpadaj w panikę. Pamiętaj, że przeciwnik zawsze boi się przynajmniej w takim samym stopniu jak ty”. Ale nie mówił mi nic o dwóch przeciwnikach, pomyślał Jack. A może mówił? Słowa: „Staraj się ich rozdzielić” chyba pasowały do obecnej sytuacji.

Postawił krok naprzód i zahaczył stopą o worek. Jego umysł dostrzegł nagle szansę. Jack wykorzystał ją, nim jeszcze pomysł zdążył się na dobre ukształtować. Kopnął z całej siły toból, który uderzył

w pierś pierwszego z Halcusów. Nie zatrzymując się ani na chwilę, zwrócił się ku drugiemu. Na natłuszczonych wąsach żołnierza zbierały się maleńkie kropelki deszczu.

W uszach rozbrzmiewał mu głos Rovasa: „Rób wszystko, żeby odwrócić uwagę przeciwnika: tańcz, śmieję się, krzycz. Wszystko”. Rozległ się wstrząsający ziemią wrzask. Minęła chwila, nim Jack zdał sobie sprawę, że wyrwał się on z jego gardła.

Skoczył na drugiego napastnika i obalił go na ziemię. Nim żołnierz zdążył się zorientować, wbił mu nóż w rękę, w której trzymał miecz. Krew trysnęła na błoto. Mężczyzna machnął opętańczo orężem, próbując jednocześnie kopnąć Jacka. Chłopak podskoczył w górę. Wylądował na przeciwniku i ugodził go w serce, wspierając cios całym ciężarem swego ciała.

Zerwał się na nogi z szybkością błyskawicy. Cała zawartość worka rozsypała się wśród krzaków. Pierwszy strażnik krążył wokół niego nerwowo, trzymając się jednak w pewnej odległości. „By sprowokować do ataku ostrożnego przeciwnika, udawaj słabość”. Po boku Jacka spływała krew zabitego. Chłopak zatoczył się w lewo, jakby był ranny, wyprostował się, a potem ruszył naprzód, oszczędzając drugi bok. W oku żołnierza załśni) błysk

świadczący, że dostrzegł osłabienie przeciwnika.

Ignorując ból w barku, Jack skupił się na obserwacji postawy strażnika. Był pewien, że przeciwnik zaatakuje go z lewej strony. Gdy Halcus spróbował zadać cios, był na to przygotowany. Miecz uderzył prosto w kierunku płamy krwi. Jack obrócił się ku niemu, zacisnął lewą pięść i uderzył w dłoń trzymającą rękojeść. Nie miał pojęcia, jak udało mu się tego dokonać. Potrzebna była ta bezbłędna celność, jak i wybór odpowiedniej chwili. Wytracił przeciwnikowi oręż z dłoni.

„Nigdy nie marnuj czasu na podziwianie własnych dokonań, nawet najznakomitszych”. Jack skoczył naprzód. Strażnik pochylił się, macając ręką w błocie, by znaleźć swą broń. Chłopak zachwiał w na chwilę. Dostrzegł przeszywający powietrze błysk. Żołnierz rzucił mieczem. Jack odskoczył w bok. Poczul, że metal ociera się o kość jego goleni, a potem w piersi eksplodował mu ból. Wylądował w błocie.

Nim zdążył się zorientować, Halcus rzucił się na niego. Nie miał już miecza. Dźwigał w rękach wielki, mokry kamień. Uniósł go wysoko nad głowę, chcąc uderzyć nim Jacka w twarz. „Kiedy przeciwnik obali cię na ziemię, zawsze atakuj jego kolana”. Chłopak zadał błyskawicznego kopniaka. Nie trafił

nieprzyjaciela w kolano, lecz w goleń. Strażnik zatoczył się do tyłu, usiłując odzyskać równowagę. Jack spróbował wstać, trzymając nóż przed sobą. Nabierając rozpędu, pośliznął się. Runął ku żołnierzowi, mając na wprost noża jego pachwinę.

Chłopak skulił się, gdy nóż wbił się w ciało. Zamierzał pchnąć Halcusa w pierś. Strażnik krzyczał przeraźliwie. Krew zalała jego uda, nasaczyła portki. Kamień wypadł mu z rąk i wylądował u jego boku. Jack stanął na nogi i dokładnie wycelował nóż. Tym razem zadał czysty cios prosto w serce. Gdy tylko wyrwał ostrze, żołnierz osunął się na ziemię.

Nie zważając na pulsujący ból w piersi, drżenie całego ciała oraz zbliżającą się panikę, Jack zerwał się do biegu. Musiał stąd zniknąć. Zabił dwóch ludzi. Ich krzyki wypełniały mu uszy, a krew splamiła jego ubranie. Rovas wykonał świetną robotę.

Uciekł z miejsca walki, nie zatrzymując się, by pozbierać porozrzucone rzeczy. Biegł przez błoto i jeżyny, przeskakiwał kłody i gałęzie, gnał aż ból siał się tak silny, że nie był w stanie go znieść. Lepkie ciepło, które czuł pod bluzą, świadczyło, że rana od strzały znowu się otworzyła. Wsunął nóż za sznur, który służył mu jako pas, i ścisnął mocno ranę wolną dłonią. Policzył dziesięć razy do stu, nim zwolnił

uścisk. Krwawienie ustało, ale tkanina bluzy przylgnęła mu do skóry. Skrzywił się na ten widok, lecz zostawił ją w spokoju.

Szedł teraz powoli. Każdy krok wymagał maksymalnego wysiłku mięśni i woli. Nie zdając sobie z tego sprawy, zbliżył się do garnizonu. Za coraz rzadszymi drzewami widział teraz szare, kamienne mury. Przed nim znajdowała się droga i główna brania. Stróżówka nie miała już dachu ani podtrzymujących belek. Górne warstwy kamiennych umocnień runęły na ziemię, tworząc poczerniałą, otoczoną sadzą stertę gruzu. Wzrok Jacka przyciągnęło coś jasnego. Z początku myślał, że to flaga, lecz zbliżywszy się, rozpoznał kształt niedawno wzniesionej szubienicy. Na jej poziomej belce wisiał mężczyzna w czerwonej kurtce. Sznur obracał się powoli na wietrze. Nawet z, oddali, Jack rozpoznał twarz swego współwięźnia, Bringe'a. Powieszano go za jego kłamstwa.

Chłopak nie żałował go zbyttnio.

Uderzył w niego ostry podmuch wiatru, który przeszył mu ciało dreszczem. Odwróciwszy się od garnizonu, Jack zauważył na horyzoncie dwa wzgórza. Oświetlone padającymi przez przerwę w chmurach promieniami słońca, wydawały mu się dziwnie znajome. Wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę,

nim zdał sobie sprawę, że przez kilka miesięcy oglądał je z drugiej strony. W dolinie za nimi kryła się chata Rovasa.

Upewniwszy się, że droga jest pusta, Jack przeskoczył przez nią i skrył się między drzewami. Szedł przez kilka godzin.

Deszcz przestał padać, temperatura się obniżyła, a las przeszedł w pojedynczy rząd drzew. Jack niemal tego nie zauważył. Wbił wzrok w punkt, w którym stykały się dwa odległe wzgórza. Liczyło się tylko to, by dotrzeć do celu.

Tavalisk uważnie przyglądał się karczochom. Najważniejszy był ich wygląd. Wystarczał, by się przekonać, czy żółty miąższ jest odpowiednio miękki. Szeroka i płaska podstawa musiała spoczywać na talerzu z niejaką indolencją, gotowa okazać uległość niczym postarzała dziwka. Cierniste liście na szczycie zawiązka powinny natomiast przypominać wiernych w konfesjonale, pragnących gorąco wyznać swe tajemnice.

Arcybiskup zamarł z dłonią nad talerzem, gotowy dokonać wyboru. Wszystkie karczochy wyglądały tak smakowicie, że chciał już, zacząć odliczać: jeden kwiatek, drugi kwiatek. Wtem do komnaty wszedł Gamil.

– Nie zapukałeś! – zawołał Tavalisk głosem wysokim z gniewu.

– Cóż za wieści, Wasza Eminencjo. Sekretarz dyszał ciężko.

– Żadne wieści nie mogą być tak ważne, by usprawiedliwić pogwałcenie mojej prywatności, Gamilu. Absolutnie żadne. – Tavalisk ponownie zwrócił się ku karczochom. – Zaczekaj łaskawie, aż pozwolę ci mówić.

Arcybiskup chwycił za najbliższe warzywo. Ze złością pourywał zewnętrzne liście, odrzucając je na bok. Nie zniży się do lego, by zeszkrobywać z nich miąższ zębami jak biedak. Interesował go tylko środek. Chcąc ukarać Gamila, rzucił kilkoma liśćmi w jego stronę, upewniwszy się najpierw, że są porządnie natuszczzone. Usunięcie z jedwabiu plam z ciepłej oliwy z oliwek było prawie niemożliwe.

Pojawiło się wewnątrz, żółte niczym mocz i lśniące jak klejnot. Tavalisk opuścił je na język. Żadne inne warzywo nie rozpływało się na nim tak łatwo.

– Chyba lepiej zacznij już mówić, Gamilu – odezwał się, wybierając z talerza drugą jarzynę. – Milczenie niezbyt ci odpowiada. Wyglądasz jak marlska kiełbasa. Jesteś źle wypchany i brak ci mięsa.

W rzeczywistości Tavalisk był ciekawy wieści, nie

chciał jednak zdradzić się z tym przed sekretarzem.

– Połączone oddziały czterech miast pojmały posłańca zmierzającego do Valdis. Wiózł list przeznaczony dla samego Tyrena.

– Od kogo? Od diuka Brenu? Baralisa?

– Nie było na nim podpisu ani pieczęci, Wasza Eminencjo. Posłaniec jednak mówił z akcentem z królestw, a liberię miał ozdobioną złotym herbem.

– Daj mi ten list.

Tavalisk był tak podniecony, że wytarł dłonie o własną szatę.

Gani ii wydobył z torby zwój pergaminu i wręczył go arcybiskupowi.

Ten studiował pismo przez chwilę, po czym odłożył je na biurko.

– Zdajesz sobie sprawę, że to list od Kylocka?

– Tak właśnie sądziłem. Wasza Eminencjo.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, chce zawrzeć porozumienie z Valdis. Tyren wyśle rycerzy do Halcusu, a w zamian Kylock obiecuje rycerstwu wyłączne prawa do handlu na północnym wschodzie oraz udział w wojennych łupach.

– Myślę, że umowę już zawarto, Wasza Eminencjo. Nie dalej, jak dziś rano otrzymałem raport z Camlee mówiący, że ośmiuset rycerzy przeszło tamtędy w

drodze na północ.

– I nasze połączone oddziały ich przepuścimy?

– Nie mieliśmy wyboru. Wasza Eminencjo. Nasze siły są rozciągnięte, a rycerzy było zbyt wielu, by ich zaatakować.

– Hmm. – Tavalisk zabrał się do kolejnego karczocha. – Czy byli dobrze uzbrojeni?

Gamil skinął głową.

– Rumaki bojowe, pełna zbroja i cały rynsztunek.

– Sprawiali wrażenie, że wybierają się na wojnę?

– Na to wygląda, Wasza Eminencjo.

Dotarłszy do mięszu, Tavalisk zmiażdżył go pięścią.

– Nowo ukoronowany król wprost uwielbia niespodzianki. Najpierw uderzenie na Halcus, a teraz tajny traktat z Tyrenem. Młody Kylock okazuje się czarnym koniem.

– Co Wasza Eminencja zamierza zrobić w tej sprawie?

– No cóż – zaczął Tavalisk, zdrapując z dłoni żółtą masę. – Upublicznienie dokumentu nie zda się na wiele. Brak na nim podpisu, jest więc bezwartościowy. Kylock po prostu wyprze się, że go napisał. – Nalał sobie kielich wina. – Ciekawie jednak byłoby zobaczyć, co się stanie, jeśli list wpadnie w ręce diuka

Brenu. Idę o zakład, że on nic nie wie o tym przymierzu, a kiedy się o nim dowie... – Tavalisk potrząsnął głową – ...kto wie, co może uczynić.

– Niewątpliwie postawi go to w trudnej sytuacji. Wasza Eminencjo. Wszyscy wiedzą, że jest zwolennikiem rycerstwa i w związku z tym dojdą do wniosku, że zwrócił się do Tyrena o pomoc dla Kylocka.

– Z pewnością masz rację, Gamilu. Kiedy ta wiadomość ujrzy światło dzienne, wywoła wrażenie, że diuk Brenu potajemnie starał się rzucić Halcus na kolana. – Tavalisk pociągnął długi łyk wina. Był coraz bardziej podekscytowany. – W Annisie i Highwall nie ucieszą się z tego faktu. Uznają go za dowód, że diuk planuje utworzenie wielkiego północnego imperium. Bren, królestwa, Halcus. To tylko kwestia czasu, nim na tej liście znajdą się również ich nazwy.

– Oba te miasta nie zbroją się już potajemnie. Wasza Eminencjo. Żołnierze otwarcie defilują tam po ulicach. W zeszłym tygodniu przechwyciliśmy towary wiezione do Highwall. Osiem krytych wozów pełnych żywicy, siarki i niegaszonego wapna.

Arcybiskup uśmiechnął się.

– Przygotowują się do oblężenia – stwierdził. – To bardzo interesujące. Mam nadzieję, że je

przepuściliśmy?

– Pobrawszy odpowiednie myto, Wasza Eminencjo.

– Myto?

Arcybiskup uniósł kielich do ust, przekonał się jednak, że jest pusty. Czyżby wypił już tak dużo?

– Za każde trzy wozy wartość jednego. To odpowiednia suma. Kupiec nie przejął się tym jednak. Stwierdził, że dalsze transporty są już w drodze.

– Naprawdę? Najwyraźniej Highwall przygotowuje się do działań wojennych, zbierając wszystkie swe siły.

– Tavalisk przebiegł palcem po brzegu kielicha. – I nie bez powodu. Leży między Halcusem a Brenem.

– Gdyby list był podpisany, Wasza Eminencjo, mógłby wywołać wielką wojnę.

– I tak do niej dojdzie, Gamilu. Z pomocą Tyrena, Kylock dotrze do Helchu. Rycerstwo ma swoich ludzi w Halcusie już od z górą pięciu lat. Jeśli dobrze sobie przypominam, to prowadzą tam ponoć pokojowe negocjacje. Tak czy inaczej, w tym czasie z pewnością poznali już umocnienia zamku jak własną kieszeń. Tyren dostarczy Kylockowi nie tylko ludzi, lecz również informacji.

Tavalisk wypuścił z dłoni kielich, który upadł na posadzkę i rozbił się z głośnym trzaskiem.

Nie czekając na rozkaz, Gamil zbliżył się do arcybiskupa, uklęknął i zaczął zbierać leżące u jego stóp szkło. Widok wygiętego grzbietu sekretarza okazał się zbyt kuszący dla Tavaliska. Arcybiskup uniósł nogi i oparł je na jego plecach.

– Młody Kylock wykonał bardzo zręczne posunięcie, zawierając sojusz z Tyrenem. Oczywiście, Tyren może na tym wyjść gorzej. Zaangażował się w sprawę, która nie ma nic wspólnego ze szlachetnością. Pomordowane kobiety i dzieci, miasta zrównane z ziemią. W pewnej chwili rycerze zaczną kwestionować uczciwość swego wodza.

– Ależ rycerze przysięgli Tyrenowi posłuszeństwo. Wasza Eminencjo – wtrącił „podnóżek”. Gamil był zmuszony klęczeć na czworakach jak pies, dopóki arcybiskup nie raczy zdjąć z niego stóp. – To jedna z podstawowych zasad Valdis.

– Jeśli będę potrzebował lekcji historii, wezwę uczonego, nie sługę, Gamilu. – Tavalisk wbił pięty w plecy sekretarza. – Tyren przerobił swych rycerzy w najemników. Sprzedał ich usługi najpierw Brenowi, a teraz królestwom. – Tłuszcioch potrząsnął głową. – Bez względu na podstawowe zasady, w Valdis znajdują się ludzie, których nie uraduje taki obrót rzeczy. Nie minie wiele czasu, nim dadzą wyraz swemu niezadowoleniu.

Nikt nie czyni więcej hałasu niż oburzeni moralisci.

– Być może Kylock obiecał rycerzom nawrócenie, Wasza Eminencjo.

Arcybiskup zdjął nogi z pleców sekretarza. Gamil naprawdę powiedział coś inteligentnego.

– Powiedział im: „Walczcie za nas, a jeśli zwyciężymy, wszyscy nawrócimy się na fanatyzm Valdis”?

Gamil skinął głową, podnosząc się z podłogi.

– Fanatyzm to mocne słowo, Wasza Eminencjo. Wierzenia Valdis prawie niczym nie różnią się od naszych. Rycerstwo jest po prostu bardziej gorliwe.

– Doprawdy, Gamilu, teologia i historia jednego dnia. Chyba minąłeś się z powołaniem.

– Przyznaję, Wasza Eminencjo, że zawsze pociągała mnie kariera uczonego.

– Nie, Gamilu. Miałem namyśli pracę miejskiego herolda. Oni słyną z tego, że wykrzykują wieści, które wszyscy już znają. – Tavalisk uśmiechnął się słodko do sekretarza. – Pora już, żebyś sobie poszedł, Gamilu. Spróbuj się dowiedzieć, czy w teorii, że Tyren zmierza do objęcia religijnej władzy nad północą, tkwi ziarenko prawdy. Wyślij też list do diuka Brenu. Wykorzystaj najszybszego posłańca. Nie, lepiej użyj ptaka. Liczy się szybkość.

– Gołąb będzie za mały, Wasza Eminencjo. Arcybiskup westchnął ciężko.

– Zejdę później na dół i nałożę przymus na orła. Pozbawi mnie to sił na cały wieczór. Będę zbyt zmęczony, żeby pobłogosławić siedmiu świętych cudzoziemców.

– Może Wasza Eminencja mógłby się ograniczyć do dwóch albo trzech.

Gamil zaczynał się robić trochę zbyt bezczelny. Rytuał siedmiu świętych cudzoziemców wykonywano w Rornie od stuleci. Raz do roku bramy miejskie były zamknięte od południa do północy. Siedmiu cudzoziemców, którzy jako pierwsi weszli do miasta po ich otwarciu, błogosławił arcybiskup, kąpały w wodzie święconej piękne dziewice, a sam stary, zidiociały diuk wręczał im po sztuce złota. Rytuał miał charakter raczej handlowy niż religijny, gdyż jego celem była promocja Rornu jako miasta, które zawsze chętnie wita cudzoziemskich kupców i zagraniczne pieniądze.

Był bardzo popularny – zapewne ze względu na udział mokrych, skapo odzianych dziewic – i oczekiwano na niego miesiącami. Każde dziecko zjadało siedem wiśni, każdy mężczyzna wypijał siedem kielichów wina, a każda kobieta zakładała

siedem bransolet. Sugerując arcybiskupowi, by pobłogosławił tylko dwóch albo trzech cudzoziemców, Gamil dopuścił się wręcz bluźnierstwa.

– Zapłać tej starej wiedźmie z kuchni, Kamilu. Niech ona nałoży przymus na ptaka. Nie mogę tego zrobić osobiście.

Publiczne ceremonie były zbyt ważne, żeby je zaniedbywać, zwłaszcza teraz, gdy bardziej niż kiedykolwiek potrzebował poparcia mas. Jeśli zbliżała się wojna, lud Rornu musiał ufać mu na tyle, by podążyć za jego przewodnictwem. Poza tym, używanie czarów zawsze było ryzykowne. Nigdy nie wiadomo, kto mógł wykryć zacerpnięcie mocy. Lepiej, żeby dokonał go ktoś inny. W razie potrzeby umożliwi to rzucenie na niego winy.

– Jest coś jeszcze, Wasza Eminencjo?

Arcybiskup obrzucił sekretarza chłodnym spojrzeniem. – Ponieważ udzieliłeś mi dziś tylu lekcji, Gamilu, pora, żebym jakoś ci się odwdzieczył. Będzie to nauczka za twoją arogancję.

Jack uczył się sztuki niedopuszczania wrażeń do świadomości. Zdawał sobie sprawę z bólu, wyczerpania, głodu i pragnienia, lecz jedynie niejasno, jak gdyby były tylko sennym koszmarem. W gruncie rzeczy, czuł się niemal jak pijany. Upojeniu nie

towarzyszyły jednak poczucie lekkości i zawroty głowy, a jedynie ucisk pod czaszka, i ciężar w nogach – zupełnie jak wtedy, gdy pan Frallit przyłapał go na picciu. Nadużycie ale, po którym następowało solidne lanie i grad obelg, dziwnie wpływało na chłopięcy umysł. Nie wspominając już o ciele.

Jack uśmiechnął się do siebie. Wspominał teraz to zdarzenie niemal z nostalgią. Zamek Harvell istniał w jego pamięci jako bezpieczna, z radością przywoływana w pamięci przystań, w której zmartwienia były dziecinne, a życie łatwe, nawet jeśli odrobinę nudne.

W tej chwili nuda wydawała mu się bardzo pociągająca. Znowu rozpadał się deszcz, który przeszedł w gwałtowną ulewę. Wiatr szarpał chłopaka za kostki niczym mały, złośliwy piesek. Było wyjątkowo zimno, jak na wiosnę. W taką noc należało grzać się przy kominku, nie szukać przygód.

Szedł już od wielu godzin. Dwa wzgórze, które tak długo widział przed sobą, rzucały teraz cień na jego plecy. Grunt stawał się coraz bardziej płaski i choć Jack nie rozpoznał jeszcze ani jednego drzewa, wiedział, że zbliża się do chaty.

Było ciemno. Chmury i deszcz pogarszały jeszcze widoczność. Widział własne stopy i potrafił zauważyć

drzewa, nim na nie wpadł, lecz wszystko inne ginęło w mroku. Posuwał się na oślep, krok za krokiem. Pomagał mu śpiew. Frallit nauczył go wielu piekarskich piosenek. Niektóre były sprośnymi balladami o mistrzach piekarskich dodających do ciasta miłosne eliksiry, kilka prawdziwymi recepturami, ułożonymi do rymu, by łatwiej je było zapamiętać, inne zaś powolnymi, miarowymi melodiami mającymi ułatwiać ugniatanie ciasta. Jack najbardziej lubił te ostatnie. Pomagały mu teraz znieść otaczającą go ciemność i samotność. Działały jak talizman, niosący ze sobą wszystkie dobre wspomnienia.

*Nie jestem zbyt bystry, więc piekę dość wolno
Cały ranek ugniatani, a śpię kiedy wolno
Nocą czuwam, dodaję do pieca opału
Ale w dzień chwilę odpoczywam
Choć mistrz patrzy na to krzywo
I wznoszę dzięki za to, co życie mi dało.*

Nogi Jacka poruszały się w rytm słów, tak samo, jak kiedyś dłonie. Po dziesięciu zwrotkach nawet najtwardsze ciasto stawało się wystarczająco miękkie, by po upieczeniu pokryć się chrupiącą skórką. Po

jedenastu Jacka z reguły dopadał atak ziewania. Piosenka nie była zbyt żwawa. Była jednak prosta i uczciwa, a w każdej jej linijce pobrzmiwała radość z wykonywanej czynności. Potrzebował teraz właśnie czegoś znajomego i miarowego, co pomoże mu zapomnieć o bólu i ułatwi wędrówkę.

Nagle poczuł pod stopą pustkę. Poruszył nogą, starając się wyczuć twardą ziemię, napotkał jednak tylko śliskie błoto. Ześliznął się w dół, tracąc równowagę. Szukał w ciemności jakiegoś punktu oparcia, nie znalazł jednak nic. Korzenie i gałązki kaleczyły go w nogi, gdy zjeżdżał po urwisku w mrok na dole. Oberwał w policzek ciernistą gałęzią. Uderzył kolanem w coś twardego i wyszczerbionego. Mknął naprzód, wierzgając stopami w błocie. Zalśniło przed nim coś białego. Jego ostatnia myśl brzmiała: Skały!

Ocknął się, gdy deszcz przestał padać. Nieustanny stukot kropel stanowił akompaniament do jego snów. Kiedy przestały uderzać go w policzek, sen przerodził się w koszmar o nagłym, gwałtownym upadku. Jego ciałem targnęły konwulsje. Otworzył oczy. Wpatrywał się w niebo. Szare, wiszące nisko nad ziemią chmury były zapowiedzią kolejnego, zbliżającego się deszczu.

Leżał na oblepionych błotem skałach. Ręce i nogi miał sztywne jak kije od mioteł. Uniósł rękę i pomacał ostrożnie tył głowy, tuż nad szyją.

– Uch!

Coś bolesnego i wielkiego jak jajo siewki sprzeciwiało się jego dotykowi. Bardzo ostrożnie obmacał guz. Włosy wokół niego były sztywne i pozlepiane. Pomyślał, że być może to zeschłe błoto, lecz tak naprawdę wiedział, że to krew. Przesunął dłoń do przodu i przebiegł palcami po policzku. Wyczuł na nim równą linię drobnych strupów, którą otaczał dwudniowy zarost, sterczący niczym ciernie. Usiadł.

Woda, która zbierała mu się na zapadniętym brzuchu, ściekła po udach na kamienie. Wiedział teraz, co to znaczy przemoknąć do suchej nitki. Ubranie lepiło mu się do ciała, palce obrzękły niczym kiełbasy, a stopy wręcz pływały w butach. Nagle zrobiło mu się zimno, zupełnie jakby siadając przebudził własne zmysły. Zaczął dygotać.

Musiał jakoś pobudzić krążenie. Naprężył mięśnie i wstał z miejsca. Zawroty głowy omal nie powaliły go z powrotem, nie poddał się jednak.

Kiedy wstał poczuł ból. Piersi, głowa, nogi, kolana, wszystko to ze złośliwą rozkoszą przysparzało mu cierpienia. Jack słyszał kiedyś z ust pewnego lekarza, że nie można czuć jednocześnie bólu w więcej niż jednym miejscu. Ten człowiek był durniem.

Czuł w gardle dziwną suchość. Kiedy zrozumiał, co to takiego, wybuchnął głośnym śmiechem. Chciało mu się pić! Otaczały go kałuże, wilgotne powietrze i mokre ubrania, przed chwilą przestało padać i znowu zanosilo się na deszcz, a jemu chciało się pić. To było naprawdę zabawne.

Gdy jego śmiech już umilkł, ustąpił miejsca innemu dźwiękowi – szumowi płynącej wody rozbijającej się na skałach. Był on tak głośny, że Jack dziwił się, dlaczego nie usłyszał go przedtem. Wyglądało na to, że

jego zmysły budzą się po kolei, a słuch jest z nich ostatni. Tuż przed nim rósł gęsty zagajnik. Odwróciwszy się, zauważył, że daleko po lewej stronie na skały spada wodospad. Powlókł się ku niemu, ślizgając się na błocie. Drogę do wody przegrodził mu wielki głaz i był zmuszony wdrapać się na niego.

To, co zobaczył po drugiej stronie, sprawiło, że stanął jak wryty. Był to staw, nad który zaprowadziła go Tarissa tego dnia, gdy powiedziała mu, że go kocha. Skały, wodospad, polanka. Zniszczone przez dwa dni straszliwej ulewy. Czysta ongiś woda zbrązowiała od błota. Jej talie pokrywały gałązki i liście. Pływały w niej martwe ptaki i szkodniki. Wodospad przynosił do sadzawki coraz więcej plugastwa, a to, które już tam było, zataczało powolne kręgi, gnane jego prądem. Woda śmierdziała. Żonkile zniknęły. Ziemię pokrywały ich rozbite deszczem, rozkładające się szczątki. Ulewa postrzącała z wierzb pączki liści. Nagie, stojące nad stawem drzewa przypominały szkielety.

Trawa była zmierzwiona i gęsia od wilgotnego błota. Robaki, wije i inne zamieszkujące glebę stworzenia kłębiły się w niej, zmuszone do wyjścia na powierzchnię przez wszechobecną wodę. Były wszędzie, gdzie tylko spojrzeć.

Cofnął się wspomnieniami do tego pięknego dnia –

najlepszego w jego życiu – gdy siedząc przy stawie, umył Tarissie nogi. Była taka piękna, tak pełna życia, znacznie inteligentniejsza od niego. Wtedy właśnie zgodziła się wyruszyć z nim do Annisu. Zarzucając ją sobie na plecy, nie dał jej wielkiego wyboru. Uśmiechnął się, wspominając jej gwałtowne krzyki i kopniaki. Nie było drugiej takiej dziewczyny jak ona. Na całym świecie.

Wspomnienie rozwiało się. Miał przed sobą ruinę nieskazitelnej ongiś scenerii. Jak mogła mu to zrobić? Uśmiechała się i zachęcała go, mówiła, że go kocha i nawet oddała mu się. Przez cały ten czas za każdym jej słowem, pocałunkiem, czułym spojrzeniem skrywały się kłamstwa. Melli żyła, a wszyscy troje – Tarissa, Rovas i Magra – wmawiali mu, że zginęła. Zatrzymali go w chacie, starannie nakierowując jego nienawiść na człowieka, który – według ich słów – ją zabił, zupełnie jak uzbrojeni w pałki pasterze, prowadzący bydło. Jak dureń, popełnił dla nich morderstwo.

Jego nogom zabrakło sił i osunął się na skały. Gdy tak na nich leżał, woda omywała mu barki, a głowa opadła na pierś. Wreszcie dygotanie stało się zbyt gwałtowne i musiał wstać.

Melli miała właśnie zamiar dobrać się do drugiego talerza jajecznicy z boczkim, gdy do drzwi sypialni

ktoś zapukał.

– Ubieram się, proszę przyjść później – zawołała. Stukanie rozległo się po raz drugi. Towarzyszył mu męski głos.

– Chyba dość trudno ubrać się bez sukni, pani.

Głos wydawał się znajomy, a ton drwiący. Ktokolwiek to był, musiał wiedzieć, że nie trzyma w sypialni sukien, a tylko kilka nocnych koszul. Pobudziło to jej zainteresowanie. Odłożyła nóż i łyżkę.

– Kto to?

– Tawl, obrońca diuka.

Ach, byt to więc człowiek, któremu polecono dbać o jej bezpieczeństwo. Już od wielu dni zdawała sobie sprawę z jego obecności po drugiej stronie drzwi. Czasem, kiedy się otwierały, udawało się jej go dostrzec. Zawsze siedział na podłodze, zajęty cerowaniem ubrania albo ostrzeniem broni. Odwracał uprzejmie wzrok, by przypadkowo nie dostrzec roznegliżowanej damy.

– Proszę – powiedziała.

Drzwi otworzyły się i Tawl wszedł do środka. Miał na sobie prosty strój, który nie ukrywał zbyt dobrze potężnych mięśni.

– Jesteś sama? – zapytał, rozglądając się po komnacie.

– Z pewnością o tym wiesz. Ciągłe patrzysz na moje drzwi jak jakiś dozorca.

Ujęła w palce plasterek boczku i wsunęła go sobie do ust. Tawl wzruszył ramionami.

– Obserwuję wchodzących i wychodzących lekarzy.

– I co udało ci się wyczytać z ich twarzy? Melli była w odrobinę figlarnym nastroju.

– Ulgę – odparł z powagą Tawl. Parsknęła śmiechem.

– Co cię tu sprowadza? Myślałam, że masz mnie pilnować, ale na odległość.

– Przyszedłem cię zabrać do Brenu.

– Słucham? – Melli była zaskoczona. – Myślałam, że lekarze powiedzieli, iż mój stan zdrowia jeszcze przez dzień czy dwa nie pozwoli na podróż.

– To prawda.

– Ale...

– Zabiorę cię teraz, bez względu na opinię lekarzy – oznajmił Tawl.

Mciiii była raczej zadowolona. Znudziła się już, siedząc w sypialni jak uratowana z opresji dziewczica.

– A czy diuk o tym wie?

– Wyjechał do Brenu dziś rano. Powiedziałem mu,

że dołączysz tam do niego wieczorem. Nikt więcej o tym nie wie. – Tawł podszedł do łoża, na którym Melli siedziała ze skrzyżowanymi nogami, trzymając przed sobą talerz zjedzeniem. – Rozchył szatę.

Melli wytrzeszczyła oczy.

– Chcę przyjrzeć się twojej ranie.

– Jak śmiesz proponować coś takiego! – Melli była oburzona. – Wyjdź natychmiast albo będę zmuszona zawołać strażników.

Tawł nawet nie drgnął.

– Pani – zaczął głosem zdradzającym lekką niecierpliwość – nie chodzi mi o to, by zobaczyć cię nagą. Muszę obejrzeć twoją ranę, by się przekonać, czy jesteś zdolna podróżować. Nieraz już się przekonałem, że lekarze są skłonni do przesadnej ostrożności, chciałbym jednak mieć pewność, nim wsadzę cię na konia. – Skrzyżował ramiona z mogącym doprowadzić do szału spokojem. – Albo rozchyłisz szatę i pokażesz mi bok albo możesz sobie krzyczeć, dopóki nie zsiniejesz. O ile się nie mylę, w zasięgu słuchu nie ma ani jednego strażnika.

Mciiiii zdała sobie sprawę, że rozdziawiła usta. Zamknęła je gwałtownie. Kipiała z gniewu. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Spojrzała groźnie na Tawła, wymamrotała pod nosem

kilka przekleństw i przewróciła się na bok. Chcąc mieć to już za sobą, pociągnęła tkaninę tak gwałtownie, że powyrywała wstążki. Ostentacyjnie demonstrując urażoną skromność, rozchyliła szatę tylko na tyle, by odsłonić obandażowaną ranę tuż pod żebrami.

– Proszę bardzo – rzuciła. – Możesz mnie sobie zbadać. Tawl podszedł do dziewczyny. Nim jej dotknął, dmuchnął sobie na dłonie, żeby je ogrzać. Melli wyciągnęła szyję, by śledzić jego poczynania. Powietrze przeszył srebrny błysk. Dopiero, gdy poczuła, że bandaż spadł z jej ciała, zdała sobie sprawę, że Tawl wyciągnął nóż. Dotykał jej delikatnie, lecz stanowczo. Jedną dłoń położył na klatce piersiowej, drugą zaś poniżej rany. Naciskał powoli ciało, najpierw obmacując mięśnie, a potem sięgając głębiej, by poczuć narządy wewnętrzne. Minę miał poważną. Melli zauważyła, jak piękne są jego usta. Odchrząknął cicho, po czym przesunął kciukiem wzdłuż rany. Po krótkiej chwili Melli poczuła dotyk jego kciuków po obu stronach blizny. Wstał.

– Zaczekaj tu – polecił.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, by pogrzebać w skórzanym juku. Kiedy wrócił, trzymał w dłoni niebieski słoiczek. Otworzył go i zanurzył w nim palce, wydobywając coś, co podejrzenie przypominało

wyglądem smar do osi. Uśmiechnął się, ujrawszy minę Melli.

– Sam sporządziłem tę maść – wyjaśnił. Rozgrzał mazidło między palcami, po czym wtarł je w skórę dziewczyny. – Rana goi się czysto, ale mięśnie pod spodem są jeszcze bardzo sztywne. Nie ma wielkiego ryzyka, że otworzy się podczas jazdy, ale bok będzie ci trochę dolegał.

Cały czas wcierał maść mocno w jej ciało, tak by dotarła do mięśni.

– Gdzie nauczyłeś się tego wszystkiego? Czy jesteś jednym z tych lekarzy, którzy zmęczeni się krwią i wnętrznościami i postanowili wybrać spokojny żywot wojownika?

Melli czuła się nieco skruszona. Ponadto dotyk wielkich dłoni Tawla naciskających jej brzuch był całkiem przyjemny. Zignorował tę próbę żartu.

– Nie. Czasami człowiek musi sobie radzić sam. Nauczyłem się różnych rzeczy. – Wzruszył ramionami.
– Na przykład tego, jak załatać rany, zanim dotrę do następnego miasta.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Chciała zadać mu następne pytanie, lecz nagle stuknął ją w żebra.

– Wstań na chwilę – polecił. – Muszę zawiązać bandaż. Wykonała polecenie. Poczuła, że zrzeczne

dłonie Tawla obejmują jej krzyż i przeciągają bandaż z tyłu. Zacisnął go mocniej niż lekarze, a także umieścił odrobinę niżej. Skończył robotę, zawiązując wokół jej talii najdziwniejszy węzeł, jaki w życiu widziała. Z niemal wzruszającą delikatnością obciął wystrzępione końce, a potem poprawił bandaż, tak by jej nie uciskał.

– To wszystko, na co mnie stać – oznajmił, chwytając poły jej szaty i przyciągając je do siebie. – Na razie cię opuszczę. Przyślę tu służącą, żeby pomogła ci się ubrać. Załóż luźną, wełnianą spódnicę i w żadnym razie nie wkładaj gorsetu. Później przyniosę ci napierśnik. Dopilnuję, żeby miał na bokach miękką wyściółkę.

– Zbroja?

Melli była wstrząśnięta. Tawl skinął głową.

– Twemu życiu grozi niebezpieczeństwo. Są ludzie, którzy nie cofną się przed niczym, by zapobiec powtórnemu małżeństwu diuka.

Czując się trochę głupio, zapytała go dlaczego. Spodziewała się, że usłyszy typową, protekcjonalną męską odpowiedź, w której fakty są maksymalnie uproszczone, tak by była je w stanie zrozumieć kobieta. Dlatego zdziwiła ją jego bezpośredniość.

– Przed wszystkim chodzi o czas. Wkrótce ma nastąpić ślub Catherine z Kylockiem i obie strony

sądzą, że będzie to najważniejsze wydarzenie dziesięciolecia. – Tawł stał maść z palców resztkami bandaża. – Nie sędzę, by oboje ucieszyli się zbytnio z faktu, że przyćmicie ich z diukiem. W gruncie rzeczy, większość mieszkańców Czterech Królestw wścieknie się jak diabli. Są przekonani, że ich król żeni się z jedyną dziedziczką Brenu.

– Moje małżeństwo nie zmieni statusu Catherine.

– Zmieni, jeśli urodzisz dziecko i będzie to chłopiec.

Melli poczuła nagły niepokój. W co się wdała? Wychodziła za mężczyznę, którego prawie nie znała, i który również nic o niej nie wiedział. Złapała za poły szaty, ściskając tkaninę między palcami. Diuk nie wiedział, że jest córką Maybora. Jak zareaguje na tę wiadomość? Czy będzie zły, że go oszukała, czy też ucieszy się z tego, że jego żona okazała się jednak dobrze urodzona i posażna? Sprawiał wrażenie, że nie obchodzi go jej społeczna pozycja. To właśnie ją w nim pociągało. Osądzał kobietę na podstawie charakteru, nie rodziny czy majątku. Podobała się jej też jego siła. Nie wyobrażała sobie siebie z mężczyzną, który nie byłby jej równy. Potrzebowała kogoś silnego, kto dominowałby nad innymi.

Diuk był najpotężniejszym człowiekiem na

północy. Sam jeden uczynił ze swego miasta królestwo. Było tylko kwestią czasu, nim każe się tytułować królem. Wypuściła tkaninę z rąk. Dłonie miała wilgotne od potu. Być może życzenie jej ojca jednak się spełni. Pewnego dnia zostanie królową.

Co jednak dziwne, nie zależało jej na tytule. Nie warto zdobywać go po to tylko, by nosić piękne stroje i koronę. Nie, chciała prawdziwej władzy, takiej, jaką obiecał jej diuk. Pragnęła podejmować decyzje i wpływać na wydarzenia, być partnerką, nie własnością. Miała w sobie zbyt wiele z Maybora, by mogła grać rolę biernej małżonki. Diuk to rozumiał i nie tylko akceptował, lecz wręcz się z tego cieszył. Chciał, by towarzyszyła mu nie tylko w łożu, lecz również w sali obrad. Mógł mieć tysiąc pięknych, uległych kobiet, a mimo to wybrał ją. To właśnie był najważniejszy powód, dla którego zgodziła się za niego wyjść.

Nie wiedziała o nim nic, nawet tego, ile ma lat. Teraz, gdy wysłuchiwała słów Tawla, wyglądało na to, że nie może być nawet pewna jego motywów. Czy żenił się z nią dla dziecka? Z pewnością nie. Na jego dworze musiało być wiele kobiet, które byłyby bardziej odpowiednimi matkami potencjalnego następcy tronu. Był przekonany, że jest córką z nieprawego łoża. Raczej nie zechciałby przekazywać synowi podobnego

dziedzictwa. Potrząsnęła głową). Nie, w to nie wierzyła. Nawet jego prezenty – nóż, pochwa i sokół – świadczyły, że jest człowiekiem pragnącym ekscytujących przygód, nie ciepła domowego ogniska.

Do terażniejszości przywołał ją Tawl.

– Wrócę za godzinę, pani – oznajmił delikatnym tonem, jakby wyczuł, że Melli myślami przebywa daleko stąd.

Skinęła głową.

– Proszę bardzo.

Pokłonił się, wyginając plecy w łuk, a złotymi włosami niemal muskając podłogę. Następnie odwrócił się i wyszedł.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Melli odetchnęła głęboko. A więc wieczorem będzie z diukiem w Brenie. Opuściła to miasto jako niewolnica, a wróci jako jego pani. Była w tym tak niewiarygodna ironia, że trudno było uwierzyć, że to tylko przypadek.

Tłąca się w kominku kłoda rozjarzyła się nagle. Z jej wnętrza buchnęły skry i płomienie... Tam, skąd pochodzę, nazywamy takich jak ona złodziejami. Ich przeznaczenie jest tak mocne, że nagina losy innych ludzi do swych wymagań. A te, których nie może nagiąć, kradnie”. Razem z dymem w górę wzniosły się słowa Alyshy. Czyżby zausznicą handlarza żywym

towarem miała rację? Czy jej przeznaczeniem było wyjść za diuka? A jeśli tak, to czy wszystko, co czyniła, i wszyscy ludzie, których spotkała, byli tylko środkiem służącym realizacji tego celu? Halcuski kapitan, Fiscel, Bailor, być może nawet Jack i jej ojciec: czy wykorzystwała ich po to, by znaleźć się tutaj?

Nie ruszyła się z miejsca, żeby zgasić iskry, które spadły na dywan. Wiedziała, że żadna z nich nie stanie się źródłem pożaru.

Jeśli wierzyć słowom Tawla, jej ślub z diukiem wywrze istotny wpływ na przyszłość północy.

– Pani – dobiegł jej czyjś głos. Była to służąca, Nessa. – Nic ci nie jest? Trochę pobladłaś.

Melli ucieszyła się, że dziewczyna wyrwała ją, z zamyślenia. Myśli zawiodły ją w niebezpieczną okolicę, w której wszystkie wydarzenia były z góry określone, a ludzie byli niewiele więcej niż marionetkami losu.

Spróbowała okazać wesołość.

– Nic mi nie jest, Nesso. Nie gap się tak na mnie. Szybciej, pomóż mi się ubrać. Za niespełna godzinę wyruszam do Brenu.

Dziewczyna podeszła do niej i zaczęła czesać jej włosy.

– Ależ panienko, drżysz jak listek. Boisz się

podróży?

Melli potrzęsnęła głową. Usiadła na chwilę, próbując się odprężyć. To nie podróży do Brenu się bała – była pewna, że nic jej się nie stanie – lecz tego, co będzie musiała zrobić, gdy już tam się znajdzie. Musi powiedzieć diukowi, kim jest. Zbyt długo już go okłamywała. Pora wyznać prawdę. Stawka była wyższa niż się jej do tej pory zdawało. W grę wchodziły polityka, władza, sukcesja, a nawet wojna. Melli westchnęła ciężko. Czas już, by diuk dowiedział się, że jego przyszła żona jest córką najbogatszego i najbardziej wpływowego wielmoży w królestwach.

Jack leżał płasko na ziemi. Nogi i brzuch miał pograżone w błocie. Od godziny nieustannie siąpiła mżawka. Niemal nie zauważał już zimna i deszczu. Obserwował chatę Rovasa.

Ciężkie chmury przyspieszyły nadejście nocy, sprawiając, że zapadła wcześniej niż z reguły działo się to wiosną. W chacie zapalono lampy. Jack widział ich ciepły blask przedostający się przez dziury w okiennicach. Rozpalono też solidny ogień, o czym świadczył buchający z komina gęsty dym. Widok był bardzo sympatyczny. Miły domek o drzwiach obramowanych bluszczem, którego bielone wapnem ściany witały swym połyskiem właściciela.

Jack splunął wściekle. Ślina miała smak żółci. Popatrzył w lewo. Na drodze nadal nie było widać Rovasa.

Nie potrafił określić, ile czasu już tu leży. Wystarczająco długo, by jasny dzień przerodził się w zmierzch. Przyszedł tu wprost od wodospadu. Im był bliżej, tym bardziej się pochylał. Pod koniec posuwał się na czworakach, jak pies. Nie chciał, żeby go zobaczyli. Przez cały okres jego znajomości z trojgiem mieszkańców chatki, to oni trzymali w ręku lepsze karty. Złapali go w pułapkę i manipulowali nim, obserwując go jak owada pod szkłem. Teraz nadszedł czas na rewanż.

Rola obserwatora dawała pewną władzę. Leżąc w ciemności i przyglądając się chatce, Jack czuł dreszczyk. Był szpiegiem. Panował nad sytuacją. To on pokieruje biegiem wydarzeń, gdy będzie gotowy, kiedy Rovas wróci z targu i wszyscy będą już w domu. Zaskoczenie będzie po jego stronie.

Jego uszy dosłyszały w oddali łoskot. Po paru chwilach pojawił się wóz Rovasa. Jego właściciel siedział na koźle. Narzucił na siebie ciężką tkaninę, która chroniła go przed deszczem. Nim zdążył zeskoczyć na ziemię, drzwi się otworzyły. Jack wstrzymał oddech. To była Tarissa.

Już od wielu godzin wiedział, że dziewczyna jest w chacie. Raz czy dwa, zanim jeszcze zamknięto okiennice, zauważył jej sylwetkę na tle impregnowanej tkaniny. Gdy jednak ujrzał ją teraz, przeżył szok. Była tak blisko, że dostrzegł na jej twarzy bruzdy zmartwienia, których przedtem lam nie było, lecz zarazem zbyt daleko, by mógł usłyszeć jej głos. Zdjęła materiał z pleców Rovasa i wpuściła przemytnika do środka. Gdy zamykały się za nimi drzwi. Jack zauważył, że uniosła rękę, by sprawdzić temperaturę jego czoła. Ten drobny, intymny gest, zaoferowany i przyjęty tak swobodnie, sprawił, że z, serca Jacka zniknęły ostatnie skrupuły. Nie miał już wątpliwości, że byli ze sobą w zмовie. Wspólnie uknuli wszystko od samego początku. Tarissa udawała tylko, że go kocha i nienawidzi Rovasa.

Podniósł się. Nogi tak długo już nie czuły jego ciężaru, że ugięły się pod nim i runął z powrotem na ziemię.

– Do licha! – syknął. Miał już dość słabości, gniewał się na własne ciało za to, że go zawiodło, zmęczył się życiem w świecie, w którym musiał uciekać lub się ukrywać. Rovas odpowie mu za to.

Tym razem nogi utrzymały jego ciężar. W miarę, jak zbliżał się do chaty, stąpały coraz pewniej.

Wystarczająco pewnie, by mógł otworzyć drzwi kopniakiem.

Trzask!

Ból przebiegł mu wzdłuż boku, sięgając do barku. Drzwi wyrwały się z zawiasów. Usłyszał krzyki Tarissy i Magry. Drugi kopniak i drzwi wpadły do środka. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był Rovas. Przemytник miał w ręku nóż do krajania mięsa. Za jego plecami kulily się dwie kobiety.

– Jack! – krzyknęła Tarissa, rzucając się ku niemu. Rovas odepchnął ją łokciem.

– Zostań na miejscu.

Uderzyła go mocno w plecy. Nagły atak zaskoczył przemytника. Udało się jej przemknąć obok niego. Wyciągając ramiona, pobiegła w stronę Jacka.

Wyglądała na tak uradowaną, że omal jej nie uległ. Nie zrobił tego jednak. Odsunął się na bok.

– Nie zbliżaj się do mnie, Tarisso.

Mimo to podeszła ku niemu. Tą samą dłoń, którą przed chwilą dotykała Rovasa, wyciągnęła w jego stronę.

– Jesteś ranny i przemoczony. Mamo, zagotuj wody – dodała zwracając się do Magry.

– Nie trudź się, Magro – rzucił Jack. – Nie zabawię tu długo. Tarissa położyła dłoń na jego ramieniu.

Jack odsunął się.

– Tarisso, wyjdź na dwór i zabierz Magrę ze sobą.

– Ale, Jack...

– Powiedziałem wyjdź!

Wzdrygnęła się od siły jego słów. Zauważył, że popatrzyła na matkę. Magia skinęła niepewnie głową. Obydwie kobiety ruszyły w stronę wyrwanych drzwi. Mijając go, Magia szepnęła cicho, tak by dotarło to wyłącznie do jego uszu:

– To nie jest tak, jak sądzisz, Jack.

Usłyszał ją, lecz nie odpowiedział spojrzeniem ani gestem. Patrzył tylko na Rovasa. Przemysłownik stał swobodnie, nawet wyzywająco, opierając jedną rękę o obudowę paleniska. W drugiej trzymał nóż. Choć starał się okazać nonszalancję, Jack zauważył, że kostki zaciśniętej na rękojeści dłoni ma zupełnie białe.

Usłyszał, że obie kobiety wychodzą z chaty.

– No więc, Rovasio, ile jest warte dla ciebie twoje życie? – zapytał odczekawszy chwilę, by miały czas się oddalić.

Przemysłownik zaprezentował swój znany, czarujący uśmiech.

– Chłopcze, powiem ci jedno. Ty mi go nie odbierzesz.

– Czyżby?

Jacka zaskoczył chłód słyszalny w jego głosie. Ruszył naprzód, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Co mi zrobisz, chłopcze? – Głos Rovasa nabral szyderczego tonu. – Podpalisz mnie?

Jack jednym susem znalazł się po drugiej stronie izby. Nie wyciągając noża zza pasa, z gołymi rękami rzucił się do gardła Rovasa. Przemytnik zacisnął pięść i uderzył go prosto w ranę po strzale.

W piersi eksplodował mu ból. Oczy zaszyły łzami. Zatoczył się do tyłu, wymachując rękami w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby powstrzymać jego upadek. Uderzył bokiem o stół. Kant mebla trafił w same nerki. Dodatkowy ból pomógł mu się skupić. Wyciągnął szybko rękę i złapał się blatu.

Odyskując równowagę, poczuł, że w brzuchu zapłonął mu ogień czarów. Miał wrażenie, że jakaś ciasna obręcz ściska jego czaszkę.

Nie, nie, powtarzał sobie. Policzył się z Rovasem o własnych siłach. Rozpaczliwie pragnąc podjąć jakąś fizyczną akcję, chwycił stojącą na stole wazę. Była ciężka, pełna stygnącego rosolu z kury. Cisnął nią wprost w twarz przeciwnika.

Powietrze wypełniła woń kurzego mięsa i cebuli. Rosół zalał brodę i ramiona Rovasa. Przemytnik uniósł rękę, by osłonić twarz. Odbił wazę, która uderzyła o

palenisko, rozpryskując się na kawałki.

Jack poczuł w ustach słony, metaliczny smak. Była to krew. W gardle wezbrały mu czary. Pragnął je powstrzymać tak gorąco, że ugryzł się w język. Zacisnął mocno wargi, bojąc się nawet najdrobniejszego tchnienia mocy, które mogłoby się wyrwać z ust.

Rovas otarł twarz rękawem. Trzymając nóż przed sobą, ruszył naprzód, a potem skręcił w bok, odcinając Jacka od lewej części izby, w której znajdowało się palenisko. Chłopak rozumiał jego taktykę. Przemysłownik chciał zająć jak największą część dostępnej przestrzeni. Była to forma zastraszenia, mająca sprawić, że przeciwnik poczuje się zagrożony. Rovas stanął na palcach, uginając lekko nogi w kolanach. – No jazda, Jack – prowokował go. – Przekonajmy się, czy jesteś na tyle dobry, by pokonać swego nauczyciela.

Chciał odwrócić jego uwagę. Jack go nie słuchał. Sam nic nie mówił, a nawet wstrzymał oddech.

Skoczył naprzód, mocno się pochylając, i ciałem nożem w uda Rovasa. Nawet nie zauważył, kiedy wyciągnął broń. By się osłonić przed atakiem, przemysłownik musiał się pochylić, przez co wygiął niezgrabnie plecy. Jack poczuł, że przeciwnik przejechał mu nożem po barku. Ucieszył się z tego.

Wszystko, co rzeczywiste, każde wrażenie czy uczynek – nawet ból – odwracało jego uwagę od czarów. Wyprostował się nagle, unosząc łokieć nad brodą, i uderzył mocno Rovasa w szczękę. Przemysłnik odwzajemnił się próbą kopniaka w krocze. Jackiem władwały odruchy. Odskoczył do tyłu, na tyle, by ochronić organy, atakując jednocześnie nożem nogę Rovasa.

Usta miał pełne krwi, płuca paliło mu zużyte powietrze, a brzuch pękał od czarów. Mimo to nadal nie oddychał, zatrzymując moc wewnątrz. Tylko w ten sposób, mógł zachować panowanie nad sytuacją.

Nacisk w głowie doprowadzał go do szału. Raz jeszcze rzucił się naprzód. Przewodnikiem była mu wyłącznie desperacja. Tym razem Rovas nie dał się zaskoczyć. Cofnął się. Jack zobaczył, że sięga za siebie. W chwilę później między nimi pojawiło się coś lśniącego barwą miedzi.

W mgnieniu oka chłopak skupił myśli. Nie na przeciwniku, lecz na trzymanym przez niego w rękę przedmiocie. Otworzył usta, wypuszczając z nich wiązkę czarów.

– Ach! – zawył Rovas. Ciężki miedziany garnek wypadł mu z rąk i runął na podłogę. Wylądował – z sykaniem i skwierczeniem – w kałuży rosółu. Jack

dostrzegł przelotnie dłoni przemytnika. Była przysmażona niczym kotlet.

Chłopak dygotał. Czuł, że po brodzie spływa mu ciepła strużka krwi. Nacisk mocy zniknął i znowu mógł oddychać swobodnie. Pewna część jego jaźni triumfowała. Udało mu się w jakiś sposób zapanować nad czarami, wypuścić z siebie tylko tyle mocy, ile było potrzeba.

Lewa ręka Rovasa zwisała bezwładnie u boku. Nóż ścisnął w prawej.

– Nie jesteś człowiekiem – syknął, zataczając bronią kręgi w powietrzu. – Jesteś wybrykiem natury.

Jack wypełnił płuca świeżym powietrzem i uderzył prawą pięścią w twarz przeciwnika, wspierając cios całym ciężarem ciała. Kiedy się cofał, przemytnik zahaczył go nożem. Nawet tego nie zauważył. Czuł się mocny, potężny. Panował nad sytuacją. Nadszedł czas, by odplacił Rovasowi za swe krzywdy.

Kontrolował teraz przebieg walki. Znał ruchy przemytnika, nim ten zdążył je wykonać. Przewidywał jego zasłony i udaremniał ataki. Gdy tylko zauważył jakąś słabość, natychmiast ją wykorzystywał. Robił użytek ze wszystkiego, co mogło mu zapewnić przewagę. Nie dawał Rovasowi czasu, miejsca ani okazji. Był młodszy, szybszy i sprawniejszy. Mógł

zameczyć przeciwnika.

Nim grubas zdążył się zorientować, padł na podłogę. Jack zacisnął mu dłonie na gardle. Oba noże dawno zniknęły. Chłopak ścisnął czerwoną, tłustą szyję, wpijając palce w tchawicę. Rovas wybałuszył oczy. Ciekły mu z nich łzy, a nos i skronie spływały krwią. Jack zaciskał ręce coraz mocniej, aż spomiędzy warg przemytnika wynurzył się czubek języka, a w głębi gardła rozległ się charkot. Chłopak wciąż, wzmacniał uścisk. Czuł już krzywiznę tchawicy. Liczyło się tylko to, by ją zamknąć. Twarz Rovasa zaczęła sinieć, a charkot przeszedł w słabe syczenie. Jack aż po knykcie zagłębił kciuki w jego szyi. W umyśle przesuwwały się mu obrazy ogarniętego płomieniami garnizonu, zasypanego ziemią tunelu, Tarissy wyciągającej rękę, by sprawdzić temperaturę czoła przemytnika. Uszy wypełnił mu śmiech, okrutny i szyderczy. Zacisnął kciuki jeszcze mocniej.

– Przestań! Przestań!

Poczuł, że ktoś ciągnie go za rękę. Uderzył na oślep. Usłyszał stukot garnków i rondli, a potem głuchy łoskot ciała, uderzającego o ścianę. Podniósł wzrok i zobaczył, że na podłodze leży Tarissa. Nim zdążył zareagować, coś twardego grzmotnęło go w szczękę. Cios był tak silny, że zatoczył się i upadł na

bok, wypuszczając z rąk szyję Rovasa. Zerwał się na nogi i odwrócił błyskawicznie. Zobaczył przed sobą Magię, dzierżącą ten sam miedziany garnek, którego już raz przeciw niemu użyto. Uniosła go, gotowa uderzyć po raz drugi.

– Zostaw go – krzyknęła – albo Borc mi świadkiem, że cię zabiję.

Jack cofnął się od ciała Rovasa. Oczy zaszyły mu mgłą, a szczęka bolała go tak, jakby oberwał w nią młotem. Usłyszał, że leżąca za jego plecami Tarissa wstaje na nogi.

Magia postawiła garnek na stole. Zbliżyła się do Rovasa i uklękła u jego boku. Przystawiła ucho do jego ust, nasłuchując brzmienia oddechu. Jej piękna twarz była napięta z niepokoju. Wyglądała na dziesięć lat starszą niż wtedy, gdy Jack widział ją ostatnio. Po chwili wyprostowała się.

– Żyje – oznajmiła głosem pozbawionym wszelkich emocji. Podniosła się z ciężkim westchnieniem. – Tarrisso, przynieś mi trochę wody i skwaśniałego wina.

– Nie, mamo. – Dziewczyna podeszła do niej i potrząsnęła głową.. – Muszę zająć się Jackiem.

Obie kobiety wymieniły spojrzenia. Po chwili Magia wzruszyła ramionami.

– Zrób to, co uważasz za konieczne. Odwróciła się

i ruszyła w stronę spiżarni.

– Jack – odezwała się cicho Tarissa. – Nic ci się nie stało? Cały jesteś we krwi.

Uniosła niespokojnie dłoń, bojąc się go dotknąć, lecz zarazem pragnąc to uczynić.

– Nic – odparł, odsuwając się od niej. Był zdezorientowany i zmęczony. Siła odpłynęła z niego wraz z uczuciami.

– Bardzo się o ciebie martwiliśmy – mówiła szybko. W oczach lśniły jej łzy. – Rovas obserwował garnizon. Kiedy nie zjawiał się tamtej nocy, nie wiedziałam, co myśleć. Nie mogłam spać ani jeść.

– Powinnaś występować na scenie, Tarrisso.

– O co ci chodzi?

Jack mówił cicho. Był zbyt zmęczony, by okazać gniew.

– Wiesz bardzo dobrze, o co mi chodzi. Tunel był zasypany. Oboje z Rovasem zastawiliście na mnie pułapkę.

Tarissa rozdziawiła usta.

– Ależ Jack...

– Nie. – Uniósł dłoń. – Nie chcę już słyszeć żadnych kłamstw.

– Nie kłamię. – Tarissa odzyskiwała animusz. Policzki miała pokryte wypiekami. – Odkąd odszedłeś,

każdego dnia cię szukaliśmy. Kiedy tylko się dowiedziałam, że cię pojmano, błagałam Rovasa, by spróbował cię uratować.

– Ale tego nie zrobił, prawda? Głos Jacka brzmiał ostro.

– Nie. To byłoby zbyt ryzykowne. Mieliliśmy poczekać na dzień, kiedy zabiorą cię na przesłuchanie.

Jack potrząsnął głową.

– Posłuchaj, Tarisso, nie obchodzi mnie, co mówisz. Rovas chciał mojej śmierci. Wysłał mnie do garnizonu, wiedząc, że tunel jest zasypany.

Spuścił wzrok. Widok Tarissy zbijał go tylko z tropu. Nie był pewien, w co wierzyć.

– Nie wiedziałam o tym. – W jej głosie pojawiła się nuta irytacji. – Czekałam na ciebie całą noc. Kiedy opuściłam las, zrobiło się już jasno.

W głębi chaty Magra udzielała pomocy Rovasowi. Przemysłnik odzyskiwał przytomność. Jego kaszel stał się dla Jacka sygnałem, że pora ruszać w drogę. Przybywając tu, nic nie osiągnął. To był błąd. Lepiej odejść i nigdy nie wrócić.

Rozejrzył się po izbie w poszukiwaniu noża. Wypatrzył go pod stołem i schylił się, by go podnieść.

– Wiem, że kłamałaś, mówiąc, że Melli nie żyje – odezwał się cicho. – Muszę się dowiedzieć, co się z nią

stało.

Usłyszawszy, że Tarissa wciągnęła głośno powietrze, przygotował się na kolejne kłamstwo.

– Przepraszam cię, Jack – szepnęła. – Wszystko było przygotowane, nim jeszcze cię poznaliśmy. Potem było już za późno.

– Wszystko było przygotowane – powtórzył Jack, wybuchając gniewem. – Chcesz powiedzieć, że oboje z Rovasem zaplanowaliście, że oszustwem skłonicie mnie, bym popełnił dla was zabójstwo.

– To nie było tak.

Po policzkach Tarissy spłynęły wielkie łzy. Podniósł się, zaciskając dłoń na rękojeści noża.

– To już mnie nie obchodzi. Powiedz mi tylko, co się stało z Melli. Dziewczyna otarła twarz.

– Sprzedano ją handlarzowi żywym towarem o imieniu Fiscel. Zabrał ją na wschód, w stronę Brenu.

– Czy tam właśnie zamierzał ją sprzedać?

– Nie wiem. Za górami mógł skręcić na południe.

– To wszystko, co wiesz?

– Tak.

Popatrzył w jej piwne oczy. Był pewien, że tym razem powiedziała prawdę.

– Załaduj mi do torby trochę zapasów. Żywność, wodę, ubrania, no wiesz, takie rzeczy.

– Chyba nie odchodzisz? – Tarissa wyglądała na przerażoną. – Jesteś mokry i krwawisz. Nie możesz odejść.

– Nic więcej już nie mów.

Jack nadał swemu głosowi twardy ton, obawiając się, że ulegnie czarowi dziewczyny. Przeszedł nad leżącymi drzwiami i ruszył w chłodną noc.

Tarissa podążyła za nim.

– Zabierz mnie ze sobą – poprosiła. Potrząsnęła głową.

– Nie. Złapała go za rękę.

– Proszę cię, Jack. Proszę. Przepraszam za kłamstwa. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Miałam zamiar powiedzieć ci o Melli tego dnia przy stawie.

– Za późno, Tarisso. – Wyrwał rękę. – Idź do chaty. Nie zwracaj sobie głowy zapasami.

Padła na kolana, łapiąc go za portki.

– Jack, nie zostawiaj mnie. Proszę cię. Błagam. – Jej głos brzmiał wysoko, niemal histerycznie. – Zabierz mnie ze sobą. Tu nic mnie nie czeka. Nienawidzę Rovasa.

– Przestań kłamać, Tarisso.

Delikatnie oderwał jej palce od tkaniny. Pokusa, by pochylić się i wziąć dziewczynę w ramiona, była tak

silna, że musiał odwrócić się do niej plecami.

– Proszę cię, Jack – powtórzyła, klęcząc na mokrej ziemi. – Przepraszam cię. Przepraszam.

– Nigdy już nie mógłbym ci zaufać, Tarisso. Nigdy. Przeklinał swój głos, który się załamywał. Nie mógł się teraz obejrzeć, by nie zobaczyła łez w jego oczach. Ruszył przed siebie.

– Dokąd idziesz? – zawołała. Jej głos wydawał się cichy i pełen strachu.

– Na wschód – odpowiedział spokojnie.

Wiatr zadął silniej, zasłaniając mu twarz włosami i niosąc dźwięk łkania Tarissy prosto do jego uszu. Nie zatrzymał się. Szedł wciąż przed siebie, krok za krokiem oddalając się od kobiety, którą kochał.

Ranek w Brenie był piękny. Deszcz, który prześladował miasto przez całe siedem dni, przestał wreszcie padać i wszystko – niebo, ulice, budynki, a nawet ludzie – wyglądało teraz radośniej. Słońce lśniło złotym blaskiem, po raz pierwszy tego roku dając prawdziwe ciepło, a wiatr niósł ze sobą woń górskich kwiatów. Kobiety od wielu miesięcy nie ubierały się tak śmiało. Kiedy wychodziły na ulice, kołysały znacząco biodrami. Mężczyźni wychylali się przez okna, by się im przyglądać, wypinając piersi i gwizdząc jak ptaki. Do miasta nad jeziorem przysła wreszcie wiosna. Jak zwykle się spóźniła, lecz, mimo to była wspaniała.

Madame Thornypurse kazała służącej otworzyć okiennice. W zasadzie nie lubiła świeżego powietrza – szcurzy olej parował od niego szybciej – lecz jako kobieta interesu i światowa dama musiała się należycie przystosować do pory roku. Myśli mężczyzn zwracały się wiosną ku żądzy i nic, absolutnie nic, nie

przyciągało ich mocniej niż dom pełen dziwek.

W tym tygodniu przyjęła trzy nowe dziewczyny – wszystkie zdrowe i tłuste, o krągłych brzuchach i grubych udach. Żadna z nich nie była piękną, to jednak nie było najważniejsze. Krzywe zęby, kilka śladów po ospie i żółtą cerę można było ukryć, zamaskować albo po prostu nie zauważać. Z drugiej strony, tyłek o kształcie naleśnika był wadą zbyt poważną, by można ją było zignorować. Mężczyźni musieli mieć za co chwycić.

– Miła siostrzo – usłyszała za sobą. – Czy mogę się ośmielić posłużyć ci radą?

Madame Thornypurse zwróciła się ku swej siostrze, pani Greal. Przybyła z królestw przed dwoma tygodniami, gdy jej ukochana Corsella zniknęła bez śladu. Niestety, straciła resztki urody. Brakowało jej dwóch przednich zębów, a lewy nadgarstek miała zniekształcony. Połamane kości wyglądały tak, jakby miała na rękę dziwną, prymitywną bransoletę. Madame Thornypurse chętnie by ją zapytała, co się jej stało i dlaczego musiała opuścić Duvitt, trochę jednak bała się starszej siostry, trzymała więc taktownie język za zębami.

– Oczywiście, najmilsza siostrzo. Twoje rady są dla mnie cenne jak złoto z Tyro.

– Zgoń te leniwe dziewczuchy ze stołków. Niech nie siedzi) na tyłkach, tylko stoją, przy oknach. Tak, to mogą złapać najwyżej przeziębienie.

Madame Thornypurse skinęła głową. Musiała z irytacją przyznać, że sugestia jej siostry jest trafna. Klasnęła w dłonie.

– Dziewczęta! Dziewczęta! Podejdźcie do okien i nawołujcie wszystkich przechodzących mężczyzn.

– Obciągnijcie też sobie dekolty, żeby widzieli, że macie się czym chwalić – dodała ostrym tonem pani Greal.

Dziewczyny jęknęły, ale opuściły zaboty. Podeszły do okien i oparły się o parapety, popatrując ze złością na panią Greal. Madame Thornypurse zauważyła, że żadna z nich nie lubi zbytnio jej siostry, lecz wszystkie jej słuchają.

– Czy mogę się ośmielić zgłosić następną sugestię, miła siostrze?

– Oczywiście, najmilsza siostrze.

Pani Greal podeszła bliżej i położyła zdrową dłoń na ramieniu młodszej kobiety.

– Musimy zainwestować w prawdziwą piękność.

– Naprawdę?

Madame Thornypurse podziwiała siostrę, czasem jednak nie potrafiła ukryć irytacji jej zachowaniem.

Pani Greal była wyraźnie zdecydowana przejąć kierownictwo nad jej zakładem. W nieco ponad dwa tygodnie wzięła na siebie odpowiedzialność za zamawianie potraw i napojów, zaczęła nadzorować służące, a teraz wyglądało na to, że ośmiela się kwestionować dokonany przez nią wybór dziewcząt!

– Tak, miła siostró. Dziewczyny, które ostatnio pozyskałaś, są trochę, jakby to ująć... – Pani Greal uniosła cienki nos niczym mleczarz próbujący wyczuć zapach pleśni. – Brzydkie.

– Brzydkie? – warknęła madame Thornypurse. Zdrowa dłoń pani Greal zacisnęła się niczym imadło.

– Nie denerwuj się, miła siostró. Nie chciałam cię urazić. Wszystkie są tłuste jak kielbasy i jestem pewna, że nabyłaś je tanio, ale potrzebujemy jednej dziewczyny, tylko jednej, o urodzie tak zniewalającej, że wieści o niej rozejdą się po całym mieście. Ona jedna przyciągnie tu tuziny klientów.

– Ale jedna dziewczyna może przez noc obsłużyć tylko czterech mężczyzn.

– Aha! Tu cię mam. – Pani Greal wbiła w ramię siostry krzywy palec. – Większość będzie musiała się zadowolić innymi.

– Ale czy po prostu sobie nie pójda?

– Nie po dwóch szklankach mojego specjalnego

piwa z Duvitt. – Pani Greal uśmiechnęła się, zaciskając wargi, by ukryć lukę w uzębieniu. – Kiedy już sobie popiją, wszystkie kobiety wydadzą im się do siebie podobne. Zgasimy większość świec, zatkamy komin, żeby wypełnić izbę dymem i podamy mocne trunki. Nie będą w stanie zobaczyć własnych dłoni, nie mówiąc już o różnicy między pięknym żrebakiem a kobyłą. Sztuka, miła siostrzo, polega na tym, by ich tu zwabić – dokończyła triumfalnie pani Greal.

Madame Thornypurse próbowała znaleźć luki w rozumowaniu siostry, nic jednak nie przyszło jej do głowy.

– To się chyba opląci.

– To najstarsza praktyka w Znanych Krainach, miła siostrzo. Nazywa się przynęta i podmiana.

– Przynęta i podmiana? Pani Greal skinęła głową.

– Na swą drobną skalę robiłaś to sama przed zniknięciem Corselli. Moja siostrzenica była tak piękna, że przyciągała mężczyzn z daleka.

Madame Thornypurse była rozdarta między oburzeniem na słowa „na swą drobną skalę” a dumą z komplementu, który spotkał jej ukochaną córkę. Duma zwyciężyła.

– No wiesz, ma wygląd po mnie. Wszyscy tak mówią.

– Uroda to cecha rodzinna, miła siostró. – Pani Greal uniosła dłoń do chudej piersi. – Złamała mi serce wieść, że nie mogę zobaczyć mojej drogiej siostrzenicy. Czy ludzie ze straży mają pojęcie, co się z nią stało?

Madame Thornypurse westchnęła ciężko.

– Nie. Mówią, że prędzej czy później się zjawi. Co noc modłę się do Borca, by nic jej się nie stało.

– Miła siostró, połóż się na chwilę – zaproponowała pani Greal. – Widzę, że jesteś podenerwowana. Każę służącej przynieść kropelkę brandy.

– Kochałaś Corsellę, prawda, najmilsza siostró? Przysyłałaś jej masę podarków: naszyjniki, bransolety...

– Była dla mnie jak córka, miła siostró. Kiedy zachorowałaś na ospę, opiekowałam się nią, jakby była moim dzieckiem. – Pani Greal wyprostowała się. – Jeśli przez jakiegoś mężczyznę spadł jej choć włoszek z głowy, przysięgam, że wyślę go za to do piekła.

Gdy madame Thornypurse usłyszała słowa siostry, zrobiło się jej ciepło na sercu. Pani Greal mogła mieć wiele wad – była arogancka, lubiła się rządzić i miała piskliwy głos – lecz nade wszystko nigdy nie rzucała słów na wiatr.

Nagły hałas kazał obu kobietom skierować spojrzenie ku oknom. Dziewczyny krzyczały głośno. Jedna z nich, która miała słodką twarzyczkę i zajęczą wargę, zwróciła się w ich stronę.

– Mamy gościa, madame. Już tu idzie. Madame Thornypurse zataiła dłonie.

– A jest jeszcze tak wczesnie. – Skinęła głową do siostry. – Dzięki za twą mądrość, pani Greal.

Starsza kobieta skłoniła głowę niczym królowa.

– Znasz mnie, madame Thornypurse. Zrobię wszystko, żeby interes się kręcił.

Obie ruszyły ku drzwiom. Ze względu na obolałe stopy madame Thornypurse, pani Greal pierwsza dotarła do celu. Otworzyła drzwi na oścież. Po drugiej stronie czekał mężczyzna, wychudły i zmęczony podróżą.

– Dzień dobry, szlachetny panie – odezwała się. – Szukasz uciechy?

– Tak, a także przyzwoitego żarcia i noclegu, jeśli można to u was dostać.

Nieznajomy wypluł kawałek żujki i wdeptał ją obcasem w ganek.

– Wejdz, wejdz – odezwała się madame Thornypurse, odpychając siostrę na bok. – Czekają tu na ciebie gorący posiłek, ciepłe łóżko i najładniejsze

dziewczęta w Brenie.

– Oczywiście musisz najpierw dać drobny zadatek
– dorzuciła pani Greal.

Mężczyzna wyciągnął sakiewkę i wsunął jej w dłoń złotą monetę.

– A teraz przynieś mi trochę *ale*, kobieto – polecił.

Pani Greal, chcąc nie chcąc, musiała spełnić jego życzenie. Oddaliła się, zamiatając gwałtownie spódnicami na znak protestu. Madame Thornypurse zwróciła się w stronę gościa, ujęła go pod rękę i uśmiechnęła się kokieteryjnie. Ona przynajmniej miała wszystkie przednie zęby.

– Jak zwą cię w domu, przystojny panie? – zapytała, prowadząc go do głównego pomieszczenia.

– Zwą mnie Traffem. Jestem Traff. Uważnie przyglądał się dziewczynom.

– A czym się zajmujesz, Traff?

Madame Thornypurse skinęła na swe dwie najlepsze dziewczyny: Dolly i Moxie. Przyszły szybko, chichocząc i kołysząc biodrami, tak jak je nauczono.

Mężczyzna wyciągnął rękę i ścisnął pierś Moxie.

– Jestem najemnikiem.

Madame Thornypurse ucieszyła jego odpowiedź. Tacy ludzie zawsze mieli pieniądze bądź też umieli je zdobyć.

– Co sprowadza cię do naszego pięknego miasta?

Puściła jego ramię, by zrobić miejsce dla Dolly. Jeśli jej się poszczęści, Trafi” zapłaci za obie dziewczyny. Najemnik rozciągnął usta w gorzkim uśmiechu.

– Przyjechałem odszukać narzeczoną – odparł.

Tawl zapukał cicho i wszedł do środka. Melli stała w rozkroku na środku pokoju. Rozłożyła ręce, atakując srebrnym nożem wyimaginowanego wroga. Na jego widok zaczerwieniła się i opuściła ramiona.

– Mogłeś zapukać – poskarżyła się.

– Zapukałem. Mogłaś słuchać.

Widział, że dziewczyna nie umie się zdecydować, czy zmarszczyć brwi, czy się uśmiechnąć. Przez kilka ostatnich dni przekonał się, że emocje Melli zawsze są wyraźnie wypisane na twarzy. Strach, radość, ból, gniew i – najczęściej – oburzenie rozbłyskały regularnie w jej oczach, wywoływały grymas ust lub bruzdy na czole. Nawet odcień jej skóry się zmieniał. Nie była w stanie niczego ukryć.

– No to następnym razem pukaj głośniejsz – poleciała, decydując się na połowiczny grymas.

Tawl pokłonił się, przyjmując do wiadomości tę reprimendę. Podszedł do dziewczyny i położył jej dłonie na ramionach.

– Kiedy będziesz miała do czynienia z prawdziwym przeciwnikiem, nie trzymaj broni tak sztywno. Ugnij trochę kolana. – Nacisnął barki dziewczyny, by przybrała właściwą pozycję, odchylił jej ciało do tyłu i ustawił ramiona. – W ten sposób zmniejszysz ryzyko utraty równowagi. – Zacisnął dłoń wokół jej palców, by sprawdzić, jak trzyma nóż, po czym delikatnie zmienił uchwyt na prawidłowy. – Z drugiej strony, nadgarstka nigdy nie powinnaś zginać, bo w przeciwnym razie zmarnujesz całą siłę, jaką masz w barkach i w boku. – By podkreślić swe słowa, przebiegł palcami po mięśniach, które miał na myśli. – Jeśli zegniesz nadgarstek, złamiesz linię i zostaną ci tylko mięśnie przedramienia. Gdybyś spróbowała pchnąć w ten sposób człowieka nożem, w najlepszym razie nadwerżyłabyś sobie nadgarstek, a w najgorszym go złamała.

Mówiąc Tawl zdawał sobie doskonale sprawę z bliskości Melli. Pachniała świeżością i czystością. Jej ciemne włosy lśniły pięknie, a skóra była tak gładka, że miał wrażenie, iż dotyka rozgrzanego słońcem marmuru. Przebywała w pałacu diuka już cztery dni i za każdym razem, gdy ją widział, wyglądała inaczej. Robiła się silniejsza i pulchniejsza, ciemne kręgi pod oczyma bladły, a policzki nabierały barwy. Błada,

chuda dziewczyna, którą zobaczył po raz pierwszy, zniknęła. W jej miejsce pojawiła się kobieta, silna i pełna życia, mająca własną wolę i bystry umysł.

Zaczął pojmować, co właściwie zobaczył w niej diuk.

Środki ostrożności, które przedsięwziął przed wyruszeniem w podróż, okazały się zbyt skuteczne. Był niemal pewien, że sokolnik nie rozmawiał z nikim, nim go uwięziono, i w związku z tym wiadomość o oświadczeniach nie miała szans się rozejść. Jedynym zagrożeniem, z jakim się zetknęli, był padający nieustannie deszcz. Grunt szybko nasiąknął wodą i zrobił się śliski. Konie trzeba było często zmuszać do dalszej jazdy. Bojąc się o zdrowie Melli, zdjął płaszcz i owinał nim dziewczynę. Gdy po jakimś czasie obejrzał się za siebie, dostrzegł przelotnie jej twarz. Wyglądała na chorą. Skórę miała poszarzałą i błyszczącą, a usta zaciśnięte z bólu. Zdjął ją z siodła i posadził za sobą. Jazda trwała dziewięć godzin zamiast normalnych sześciu. Większość tego czasu Melli spędziła wsparta o jego plecy, obejmując go w pasie. Nie odzywała się ani słowem.

Kiedy przybyli, diuk zszedł do stajni, by ich przywitać. Oboje zdążyli już zsiąść i Melli nie napomknęła o fakcie, że większą część drogi pokonała,

siedząc za Tawlem. On również o tym nie wspomniał. Widział, jak diuk patrzy na swą przyszlą żonę i choć władca Brenu zachęca) go, by się z nią zaprzyjaźnił, wątpił, by ucieszyła go wiadomość, iż prawie połowę dnia spędzili tak blisko siebie, że nie mogła się między nich dostać nawet woda.

Tawlowi podróż dała czas na przemyślenia. Wychowywał się na bagnach i kochał deszcz. Dorastał, słysząc jego szum. Smak, woń i dotyk ulewy przywołały reminiscencje starsze niż kobieta, która mu towarzyszyła. Takie było jego najdawniejsze wspomnienie – leżał w kołysce, słuchając kapania wody przesączającej się powoli przez strzechę. Matce nigdy nie chciało się naprawić dachu. Mówiła, że nie mają pieniędzy, by zatrudnić kogoś kto go załata. Tawl jednak podejrzewał, że tak samo jak on, lubi widok spadających kropel. Najlepsze były chwile, gdy przestawało padać. Matka zlewała wodę ze wszystkich garnków i rondli do najlepszego miedzianego kotła, dodawała do niej różnych ziół i przypraw, po czym stawiała ją na małym płomieniu. Nic w życiu nie smakowało mu lepiej niż holk robiony przez matkę z deszczówki.

Jego myśli przeszły od dzieciństwa do czasów rycerstwa, od misji do przysięgi, od przeszłości do

teraźniejszości. Wielu spraw nie dotykał. Myślenie o nich nadal sprawiało mu zbyt wicie bólu. Zawsze będzie sprawiało mu ból.

Podczas lej podróży w deszczu osiągnął pewien spokój. Tu, w Brenie, odnalazł cci i złożył przysięgę, która go z nim związała. Miał wierność we krwi. Potrzebował kogoś lub czegoś, czemu mógłby poświęcić życie. Zawsze tak było. Odkąd matka kazała mu przysiąc, że zaopiekuje się siostrami, żył po to, by służyć innym. Po to się narodził. Teraz, gdy zerwał więzy łączące go z rycerstwem, ich miejsce zajęła wierność wobec diuka. Jego misja należała do przeszłości. Pogodził się już z tą myślą. Znacznie lepiej zostawić porażkę za sobą niż co noc przeżywać ją na nowo na arenie.

Jedynym, co przyciągało jeszcze jego myśli, był list. Dręczył go w snach i rzucał cień na jego dni. Nigdy już się nie dowie, co chciał mu przekazać Bevlin. Słowa mędrca zniknęły na zawsze. Pergamin zbutwiał na ulicy, razem z pomyjami i brudem. Tawł z całego serca żałował, że nie mógł przyjąć pisma od Motha i Clema. Gdyby tylko znaleźli go wcześniej, nim złożył przysięgę diukowi, wszystko wyglądałoby wtedy inaczej.

Wierność miała swą cenę i zawsze zamykała więcej

drzwi niż ich otwierała. Misja, którą zlecił mu Bevin, należała do tych zamkniętych. Tak musiało być. Zbyt dobrze znał siebie. Gdyby przyjął list od Motha i Clema i przeczytał go w owym ciemnym zaułku, gdzie płuca wypełniałby mu smród rzeźni, a akompaniamentem do czytanego tekstu byłby tupot łapek pierzchających szczurów, nie wróciłby już do pałacu. Bez względu na to, co mówił list, jakie składał obietnice, jakie oferował wyjaśnienia, czy o jakie prosił przysługi, czułby się nimi związany. Gdyby poznał jego treść, Bren nie byłby w stanie go zatrzymać.

Co oznaczało, że złamałby niejedną, lecz dwie przysięgi.

Mógł tu zrobić coś dobrego. Jego obecność była przydatna. Na jego oczach Znane Krainy wciągał wir wojny. Gromadziły się siły, które walcząc ze sobą o zwycięstwo tworzyły prąd tak potężny, że wsysał innych w swój nurt. W najlepszym razie miało to oznaczać przesunięcie ośrodków władzy na północy, w najgorszym wojnę i zniszczenie. Jedno było pewne: ośrodkiem tego wiru był Bren.

A Mciii, dumna, piękna i skrywająca wiele tajemnic, miała się znaleźć w oku cyklonu. Jej życiu zagrażało poważne niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy

zaręczyny zostaną oficjalnie ogłoszone. Pewne osoby będą chciały jej śmierci. Jedną z nich była córka diuka, Catherine; drugą kanclerz Kylocka, Baralis. Nie wspominając już o dworze pełnym szlachty powiązanej ze sobą pokoleniami intryg. Nikomu z dworzan nie spodoba się, że diuk żeni się z obcą zamiast zjedną spośród nich.

Dodatkową komplikację stanowiła narzeczona. Melli nie była osobą, za którą się podawała. Akcent świadczył, że pochodzi z królestw, a maniery, iż jest szlachetnie urodzona. Nie potrafił uwierzyć, by mogła być nieślubnym dzieckiem zubożałego wielmoży. Naiwna córka prowincjonalnego szlachcica nie zachowywałaby się w pałacu tak nonszalancko, nie byłaby w takim stopniu przyzwyczajona do luksusów i władzy.

No cóż, te kłamstwa to nie jego sprawa. Miał być obrońcą Melli. Odpowiadał za jej bezpieczeństwo i strzeżenie jej stało się najważniejszym elementem jego życia. Już od z górą tygodnia obserwował ją we dnie i w nocy, bojąc się odejść od drzwi nawet na chwilę, i po powrocie przekonać się, że zniknęła. Nie zginie pod jego nieobecność, tak jak jego siostry. Nie może popełnić drugi raz tego samego błędu. Opieka nad nią była dla niego jedyną szansą, by tego dowieść. Jeśli ją

usatysfakcjonowanego słowami dziewczyny i tonem jej głosu. Jego mina wyraźnie złagodniała. Podeszedł do Mcii i ucałował ją delikatnie w policzek.

– A więc, Melliandro, uczyłaś się sztuki samoobrony?

– Tawł nalegał. Mówił, że niepotrzebny mi nóż, jeśli nie potrafię się nim posługiwać.

Diuk skinął głową. Spojrzał na Tawła.

– Masz rację, przyjacielu. Cieszę się, że wpadłeś na ten pomysł. – W jego głosie brzmiała wdzięczność. – Gdyby coś miało się wydarzyć pod twoją i moją nieobecność, czułbym się lepiej, wiedząc, że Melliandra może przynajmniej się bronić.

Tawł chciał powiedzieć, że zawsze będzie u boku Melli, uznał jednak, że lepiej trzymać język za zębami. Pokłonił się tylko.

– Twoja przyszła żona ma talent do władania bronią – zauważył. – Jeśli pozwolisz, zostawię was teraz samych.

Diuk wyciągnął rękę, by go powstrzymać.

– Chciałbym, żebyś został jeszcze na moment, Tawłu. Przed chwilą otrzymałem coś, co może cię zainteresować – Wyciągnął spod bluzy zwój papieru. Był wilgotny, pokryty plamami inkaustu i bardzo zmięty. Wręczył go Tawłowi. – Obejrzyj to i powiedz

mi, co na ten temat myślisz.

Tawl wziął list w ręce. Jego brzegi były jeszcze mokre i bał się, że papier rozpadnie mu się w dłoniach. Był adresowany do Tyrena i zawierał spisana w punktach propozycję traktatu między Valdis a Czterema Królestwami. W zamian za pomoc królestwom w wojnie z Halcusami rycerstwo miało otrzymać wyłączne prawa do użytkowania szlaków handlowych na północnym zachodzie oraz udział w łupach wojennych. Tawl oddał list diukowi.

– Skąd wiesz, czy jest autentyczny?

– Nie wiem tego. – Diuk wręczył pismo Melli. – Dotarł do mnie dziś rano, przymocowany do nogi orła. Domyślałem się, że przysłał mi go arcybiskup Rornu. Ma wszędzie w Znanych Krainach swoich ludzi, głównie duchownych, którzy służą mu jako szpiedzy i informatorzy. Jego ambicją jest dowiadywać się o wszelkich ważnych wydarzeniach szybciej niż ktokolwiek inny.

Tawl zmienił temat. Nie darzył miłością arcybiskupa Rornu.

– Obserwujesz przełęcze?

– Tak. I to właśnie mnie niepokoi. Od dziesięciu dni docierają do mnie meldunki o ruchach oddziałów rycerzy.

– Na zachód? Diuk skinął głową.

– Mają pełny rynsztunek, posiadają bojowych rumaków i prowadzą ze sobą wystarczająco wiele mułów, by zaopatrzyć oblegającą armię.

– W takim razie list zapewne jest autentyczny.

Tawł gorąco pragnął się napić. Wyglądało na to, że za każdym razem, gdy udawało mu się zaprowadzić w swym życiu jakiś ład, zdarzało się coś, co burzyło to, co zdołał zbudować. Och, słyszał plotki mówiące, że Tyren jest skorumpowany, nigdy jednak nie potrafił w nie uwierzyć. Do tej chwili. List stanowił dowód na to, że wykorzystywał on Valdis dla własnych celów. Zrobił z rycerzy najemników.

Tawła ogarnęło głębokie poczucie utraty. Przez bardzo długi czas rycerstwo było wszystkim, co miał: rodziną, religią i życiem. Wiadomość o jego upadku zasmuciła go dogłębnie. Przez wszystkie te lata wierzył w jego ideały. Nie utracił tej wiary. Gdyby istniała możliwość powrotu, zrobiłby to. Było już jednak za późno. Valdis było jak zamknięte drzwi.

– Co wiesz o Tyrenie? – zapytał diuk. Podeszedł do stojącego pod ścianą stołu i napełnił trzy kielichy różną ilością wina. Najwięcej nalał Melliandrze, najmniej sobie.

Tawł pociągnął łyk trunku. Wolałby *ale*.

– Był pierwszym rycerzem z Valdis, którego poznałem. Zwerbował mnie, nim jeszcze został wodzem. Zawsze uważałem go za przyjaciela.

– A teraz?

– Nadal jest moim przyjacielem.

Wieloletnia lojalność nie traciła łatwo mocy. Tawl nie potrafił się zdobyć na to, by wypowiedzieć choć jedno słowo krytyki pod adresem Tyrena.

Diuk obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Ja również uważam go za przyjaciela – powiedział po chwili.

– Słyszałem, że wysyłał rycerzy, by walczyli w twych południowo-wschodnich kampaniach.

– To prawda. Przyznaję leż, że obiecałem mu prawa do ochrony breńskiego handlu. Nigdy jednak nie sankcjonowałem zbytecznego rozlewu krwi ani grabieży. Większość miast poddaje się bez walki. – Diuk uniósł kielich do warg, lecz nie przełknął ani kropli. – Kiedy na południu zaczęto prześladować rycerzy, zaoferowałem im bezpieczną przystań. Bren i Valdis są sojusznikami już od wielu lat.

– Być może Tyren nadal uważa cię za sojusznika. Ostatecznie będzie walczył dla człowieka, który wkrótce poślubi twoją córkę.

Tawl westchnął ciężko. Nie lubił polityki.

Dyplomację uważał za pretekst usprawiedliwiający kłamstwa i oszustwa, a traktaty były dla niego jedynie przykładem chciwości i kompromisów.

– Jeśli masz rację, to dlaczego nie poinformował diuka o swych zamiarach? – zapytała Melli, trafiając w samo sedno sprawy.

Tawl znał odpowiedź na to pytanie i podejrzewał, że diuk również ją zna. Tyren chciał się znaleźć po stronie zwycięzcy, a w tej chwili wyglądało na to, że dominację nad północą zdobędzie Kylock. Wódz rycerzy miał nadzieję skorzystać z jego sukcesu. Po co zawracać sobie głowę pytaniem diuka, kiedy człowiek, który pewnego dnia miał zająć jego miejsce, był znacznie ambitniejszy i mniej wymagający? Tyle, że mogło się okazać, iż Kylock nie zajmie miejsca diuka. Troje ludzi przebywających w tej komnacie – a także sokolnik – wiedziało, że wkrótce zostaną ogłoszone zaręczyny, które mogą pozbawić Catherine i jej męża tytułu władców Brenu. Melli musiała jedynie powić syna, by układ sił na północy zmienił się, a jego centrum przesunęło się z powrotem na wschód, do miasta diuka. Tawl bardziej niż kiedykolwiek dotąd niepokoił się o bezpieczeństwo dziewczyny. Był zmuszony dodać Tyrena i jego rycerzy do wciąż rosnącej listy potencjalnych zamachowców.

– Czy mogę mówić bez ogródek, Wasza Miłość?

– Oczywiście.

– Ogłoś zaręczyny jak najszybciej i zawrzyj ślub zaraz polem. Miał zamiar powiedzieć więcej, uzasadnić swą radę, diuk jednak powstrzymał go ostrzegawczym spojrzeniem.

– Całkowicie się zgadzam, przyjacielu. Jeśli pani jest tak piękna – przerwał i uśmiechnął się do Melli – mężczyźnie trudno jest czekać.

Tawl pokłonił się, przyjmując do wiadomości tę reprimendę. Diuk najwyraźniej pragnął, by jego narzeczona pozostała nieświadoma politycznych uwarunkowań towarzyszących ich małżeństwu. Prawda brzmiała tak, że musiał poślubić ją szybko, nim wydarzenia po drugiej stronie gór wymkną się spod kontroli.

Tawl poczuł się nagle zmęczony i zapytał, czy może odejść. Nie chciał być świadkiem podstępów diuka. Odstawiwszy kielich, z zaskoczeniem zauważył, że nadal jest on prawie pełny. Pragnienie picia na szczęście go opuściło. Uśmiechnął się do siebie. Gdyby to było *ale*, sprawy mogłyby wyglądać inaczej.

Przechodząc przez komnatę, spróbował spojrzeć Melli w oczy, lecz celowo unikała jego wzroku. Zastanawiał się, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę,

jak bardzo władca Brenu jej nie docenia.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Melli zwróciła się w stronę diuka.

– A więc chcesz poślubić mnie szybko?

Wyszła na środek komnaty, stając na zielono-szkarłatnym dywaniku, leżącym na kamiennej posadzce. Jak zawsze, gdy była zaniepokojona, instynkt nakazywał jej przejść do ataku. Diuk odstawił kielich i ruszył w jej stronę. Uczyniła z dywanika swoje terytorium i nie chciała, by na nie wtargnął. Uniosła rękę.

– Nie zbliżaj się, Wasza Miłość, bo możesz przynieść ze sobą prawdę.

Nie wyglądał na zadowolonego, został jednak na miejscu.

– Nie niepokój się tym, co mówił Tawl – rzekł ze śladem zniecierpliwienia w głosie. – Już przedtem zamierzałem poślubić cię jak najszybciej. – Jego szare oczy wpatrywały się w nią, nie mrugając. Stał prosto, z lśniącym mieczem u boku. Ciemnoniebieski płaszcz nadawał zimny odcień twarzy, która i tak była blada. – Nie widzę powodu, by zmieniać zamiary.

Mciiii poczuła strach. Po raz pierwszy, odkąd go spotkała, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest potężny. Jego słów słuchały armie. Cały czas wiedziała, kim

jest, lecz do tej chwili nie dostrzegą kryjącej się w nim siły. Odnosiła wrażenie, że chciałby poślubić ją już teraz, choćby musiał ją ogłuszyć i zaciągnąć przed ołtarz nieprzytomną.

Nadszedł czas wyznać mu, kim jest. Zbyt długo już to odwlekała: minęło pięć dni, odkąd wróciła z domku myśliwskiego. Paradoksalnie, teraz, kiedy czuła się najslabsza, moment wydał się jej odpowiedni. Zdecydowana zachować panowanie nad sytuacją, kazała diukowi czekać, aż weźmie stojący na kufrze kielich. Wróciła na środek dywanika tak powoli, że granoczyło to z bezczelnością. Hamując pragnienie wypicia wina jednym haustem, pociągnęła długi, prowokujący łyk.

– A co dałoby ci powody, by je zmienić?

Z twarzy diuka nie sposób było nic odczytać. Jego dłoń zatrzymała się na rękojeści miecza.

– Kiedy poznasz mnie lepiej, Melliandro, przekonasz się, że nie lubię słownych igraszek. Mów, co masz do powiedzenia, nim stracę cierpliwość.

Nie była to wskazówka, na jaką liczyła, lecz całe życie spędziła wśród ludzi skorych do gniewu – była to cecha wszystkich mężczyzn z rodu Maybora – i nie pozwoliła się zastraszyć.

– Proszę bardzo – odrzekła. – Oto co mam do

powiedzenia: nie jestem osobą, za którą mnie uważasz.

Czyżby przez twarz diuka przemknął uśmiech? Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Mów dalej – rzucił.

– Moim ojcem nie jest lord Luft, nie pochodzę z nieprawego łóża. – Mówiąc Melli zauważyła, że w jej głosie zabrzmiała nuta dumy. – Moja rodzina ustępuje w królestwach znaczeniem jedynie Kylockowi. Mym ojcem jest Maybor, pan Wschodnich Ziem.

Nie wiedziała, jakiej reakcji oczekiwać po diuku – niedowierzania, rozczarowania, gniewu – czegoś jednak oczekiwała. Władca Brenu zachował jednak panowanie nad sobą, a nawet pociągnął łyk wina.

– A jak znalazłaś się tutaj? – zapytał, ocierając usta zaciśniętą pięścią.

Melli przygotowała już swą opowieść.

– Posprzeczałam się z ojcem i uciekłam z domu. Gdy zdałam sobie sprawę, że postąpiłam błędnie i miałam zamiar wrócić do Zamku Harvell, porwał mnie handlarz żywym towarem, Fiscel. Co cię to zresztą obchodzi? – dodała z odrobiną jadu, by złagodzić nieco nienaturalne brzmienie swych słów. – Nie jesteś moim stróżem.

– Ale jestem mężczyzną, za którego zgodziłaś się wyjść.

Diuk odwrócił się do niej plecami. Melli wykorzystwała tę sposobność, by pociągnąć zdrowy łyk wina. Zdumiewało ją, że przyjął tę wiadomość tak spokojnie.

– Nie mogę powiedzieć, by zaskoczyły mnie twoje słowa – powiedział, zwracając się nagle ku niej. – Odkąd cię poznałem, nigdy nie dostrzegłem w tobie nawet śladu pokory, którą często charakteryzują się dzieci z nieprawego łoża. Łatwo zauważyć, iż jesteś kobietą przyzwyczajoną do bogactw i władzy. Nie wątpię, że jesteś córką Maybora.

– I czy wpływa to na twoją opinię o mnie?

– Nie. Prosiłem o rękę ciebie, nie twoich krewnych.

– Gniewasz się?

– Nie. Kłamałaś po to, by bronić dobrego imienia swej rodziny, a potem wpadłaś w pułapkę własnych kłamstw. Mam nadzieję, że pewnego dnia również zasłużę sobie na tak wspaniałe oddanie.

Melli ledwie potrafiła uwierzyć własnym uszom. Diuk szukał dla niej usprawiedliwień! I to szlachetnych. Mogło to tłumaczyć tylko jedno. Naprawdę ją kochał.

Podszedł bliżej. Tym razem pozwoliła mu postawić stopę na dywaniku. Wyjął kielich z jej rąk i cisnął nim o kufer, gdzie rozbił się z trzaskiem. Posadzkę pokryto

wino i kawałki szkła. Ujął ją, za dłoń i przyklęknął na jednym kolanie.

– Wysłuchaj mnie. Melliandro – zaczął. – Pragnę ciebie i tylko ciebie. Nie zwykłem podejmować decyzji lekkomyślnie i potrzeba czegoś więcej niż kilka kłamstw, by skłonić mnie do zmiany zdania. O zaręczynach z moją pierwszą żoną zdecydowano zaraz po naszym urodzeniu, jesteś więc jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek prosiłem o rękę. A skoro się zgodziłaś, pragnę, by ślub odbył się jak najszybciej. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Mogę być wyrozumiały, ale nie jestem cierpliwy.

Melli ogarnęła fala sprzecznych emocji: przyjemność, duma, zdziwienie. Żaden z dotychczasowych uczynków diuka nie wywarł na niej większego wrażenia niż fakt, że całkowicie zlekceważył wiadomość o jej pochodzeniu. Było mu wszystko jedno, czy jest bogata, czy biedna, czy jest wysoko urodzona, czy pochodzi z nieprawego łoża. Ten mężczyzna, dzierzący władzę równie swobodnie, jak inni dzierżyli miecze, chciał ją pojąć za żonę. Uklęka obok niego i uniosła jego dłoń do swych ust.

– Wyjdę za ciebie tak szybko, jak tylko zapragniesz – obiecała. Wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Jego wargom brakowało miękkości i wkrótce poczuła

dotyk twardych zębów. Odsunął się od niej szybko.

– Muszę już iść. Trzeba poczynić przygotowania. Mam zamiar ogłosić nasze zaręczyny w Święto Pierwszych Siewów. – Podniósł się i zaczął spacerować po komnacie. – W takim przypadku, z błogosławieństwem kościoła, będziemy mogli się pobrać w ciągu miesiąca.

Melli została na miejscu. Czuła na ustach jego powoli schnącą ślinę. Była rozczarowana, że odsunął się od niej tak szybko. Swą bliskością poruszył coś w jej wnętrzu i kiedy się oddalił, poczuła się oszukana.

– Przyślę do ciebie Bailora – zapowiedział. – Możecie załatwić wszystko między sobą: ubrania, klejnoty, miejsca przy stole. Zostawiam to wam.

– Czy mogę powiadomić rodzinę? Znowu się uśmiechnął.

– Sądzę, że to nie jest jeszcze konieczne.

– A czy wolno mi już swobodnie poruszać się po pałacu?

– Na razie nie. Dopóki nie ogłoszę zaręczyn, będziesz widywać tylko Bailora. Tawła, służącą i mnie. Musisz okazać jeszcze trochę cierpliwości, kochanie – dodał, być może zdając sobie sprawę, że jego słowa zabrzmiały zbyt brutalnie. – Po Święcie Pierwszych Siewów sprawy będą wyglądały inaczej.

Mciiii przebiegła palcami po wątku dywanika. Wzór z oddali przypominał kwiaty, z bliska jednak zauważyła, że w rzeczywistości są to zręcznie utkane łańcuchy.

– Jeśli będziesz mnie trzymał w zamknięciu zbyt długo, narażasz się na niebezpieczeństwo, że mogę uciec – zauważyła. W tym żarcie nie było wiele wesołości. Z jakiegoś powodu jej nastrój ponownie przeszedł z czystego zachwyty w zwątpienie. Dlaczego ukrywał ją przed dworem? I dlaczego chciał ją poślubić tak szybko? Wierzyła, że ją kocha, wydawał się jednak zbyt wyrachowany, by mogła nim zawładnąć młodzieńcza żądza. Gdy tak chodził po komnacie, myśląc na głos, wydawało się, że planuje nie ślub, lecz kampanię wojenną.

– Obiecuje ci, że nie będziesz już musiała długo czekać – powiedział, zbliżając się, by pocałować ją na pożegnanie.

– Wyjaśnij mi coś jeszcze, nim sobie pójdziesz – poprosiła. – Czy fakt, że pochodzę w królestw, wpłynie w jakiś sposób na małżeństwo twojej córki z Kylockiem?

Diuk obrzucił ją długim, uważnym spojrzeniem. – Ich ślub odbędzie się zgodnie z planem. Nie o to jej chodziło i diuk dobrze o tym wiedział. Nim jednak

zdążyła zadać następne pytanie, otworzył już drzwi.

– Muszę iść. Mam umówione spotkanie. Jutro każę Bailorowi zaprowadzić cię do skarbcza, żebyś mogła wybrać sobie obrączkę.

Pokłonił się uprzejmie i wyszedł z komnaty.

Melli opadła na dywanik. Nie czuła się usatysfakcjonowana przebiegiem spotkania. Podejrzewała, że padła ofiarą przebiegłej manipulacji, choć nie potrafiła dokładnie określić, na czym by ona miała polegać. Ostatecznie diuk wybaczył jej wszystkie kłamstwa i najwyraźniej nie obchodziło go, czy jest szlachetnie urodzona, czy też pochodzi z nieprawego łoża. Zaczerpnęła głęboko tchu i podniosła się. Zapewne niepotrzebnie doszukiwała się we wszystkim ukrytych podtekstów. Kochał ją i chciał się z nią ożenić, a jeśli z powodów politycznych pragnął uczynić to jak najszybciej, trudno było to uznać za niewybaczalny grzech. Nie mogła mieć do niego pretensji o to, że zachowuje się jak władca. Przecież nim był.

Idąc do łoża, poczuła, że po ramieniu spływa jej coś ciepłego i lepkiego. Wyciągnęła rękę ku cieczy i nim jeszcze ją zobaczyła, wiedziała już, że (o krew. Skaleczyła się okrucieństwem szkła.

Baralis wiedział, że postępuje nierozsądnie,

przyjmując nawet połowę dawki środka przeciwbólowego, zrobił to jednak. Czekalo go spotkanie z diukiem – pierwsze od kilku tygodni – i musial miec jasny umysl. Ostatnio bardzo dolegala mu okalajaca pierś blizna i doszlo juz do tego, że ból macił jego myśli w takim samym stopniu, jak narkotyk.

Gorzki smak wydal mu się przyjemny. Pasował do jego nastroju. Przełknął proszek bez popijania. Sprawy nie szły dobrze. Władca Brenu zbyt długo już, go unikal. Odwoływał spotkania, uciekał do domku myśliwskiego w górach i odrzucał wszystkie prośby o audiencję. Grał na zwłokę. Nie chciał, by zmuszono go do wyznaczenia daty ślubu Kylocka z Catherine. Teraz, gdy wydarzenia w Halcusie weszły w rozstrzygającą fazę, a Kylock zawarł potajemny pakt z rycerstwem, wydawało się prawdopodobne, że może zerwać zaręczyny. Albo przynajmniej spróbować to zrobić.

Baralis poglaskał sukę Maybora. Należała teraz do niego. Wylegiwała się u jego stóp, napawając się ciepłem kominka. Pochrapywała cicho. Pachniała swym ostatnim posiłkiem. Croke lubił ją rozpieszcać. Przynosił jej najsoczystsze nerkówki i najkrwistsze wątróbki, ogrzewając je najpierw między dłońmi, aż osiągnęły temperaturę żywego ciała. Baralis

uśmiechnął się do siebie. Mógł być panem woli zwierzęcia, lecz jego serce i żołądek należały do Crope'a.

Wiedział, że czas już ruszać – diuk nie lubił, gdy kazano *mu* czekać – nie miał jednak ochoty gnać na wezwanie Jego Miłości niczym płatny sługus czy nadgorliwy kupiec. Czas już, by diuk zrozumiał, że królewski kanclerz nie jest człowiekiem, którego można lekceważyć. Poza tym czuł się zmęczony. Wrócił właśnie z rozmowy z ptasznikiem diuka, który z początku nie chciał przyznać, że przeczytał przyniesioną przez ptaka wiadomość. Przymus, który w efekcie na niego nałożył, skutecznie rozwiązał mu język, lecz również pozbawił Baralisa wszystkich sił.

Opłaciło się jednak. Wiedział teraz dokładnie, co Kylock kombinuje z Tyrenem. Problem w tym, że wiedział o tym również diuk. To właśnie niepokoilo Baralisa. Wezwanie na rozmowę otrzymał zaledwie kilka godzin po przybyciu orła.

Zaczarowany ptak był jak kobieta, która zbyt obficie spryskała się wonnościami. Jej przybycie dawało się wyczuć, nim jeszcze stała się widoczna, a ślad jej obecności utrzymywał się jeszcze długo po tym, gdy już odeszła. Kiedy tylko orzeł wylądował w pałacowym gołębniku, Baralis się o tym dowiedział.

Odczekał godzinę, by zdążono przekazać wiadomość, po czym złożył wizytę ptasznikowi. W normalnych warunkach nie zwracałby sobie głowy takimi drobiazgami, lecz od czasu, gdy na dziedzińcu nawiedziło go gwałtowna wizja, starał się, by nawet najdrobniejsze incydenty nie umknęły jego uwadze.

Coś nie szło zgodnie z planem. Każdy skrawek jego pokrytego bliznami ciała przebiegało ostrzegawcze mrowienie. Na pewno wiedział jedynie to, że w grę wchodzi jakaś dziewczyna. Dowiedział się o tym od władców Larnu. Wizja, którą sam ujrzał, pomogła mu określić jej tożsamość. Zaczął masować obolałe dłonie. Nie miał pojęcia, w jaki sposób śliczna, ciemnowłosa Melliandra mogła się stać dla niego groźna. Była zhańbioną uciekinierką, nikim więcej. To nie miało sensu.

Nawet bez pomocy proroctwa wiedział, że sytuacja nie rokuje dobrze. Kylock wkrótce miał rzucić Halcusów na kolana. Fale wywołane przez ten prosty fakt dotrą do najdalszych zakątków Znanych Krain. Wszystkie oczy zwróciły się na północ i nie można było mieć wątpliwości, co zobaczą: rodzące się imperium. Baralis nie wątpił, że diuk snuje obecnie plany ograniczenia udziału Brenu w tej awanturze. Przeczytawszy dziś rano list Kylocka, z pewnością

zapraǳał to uczynić jeszcze bardziej.

Baralis wstał. Suka chciała pójść za nim, lecz odprawił ją skinieniem dłoni. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Kylock nie spieszył się tak bardzo z pokazaniem zębów. Chłopak okazał się wojskowym geniuszem – wygrywał wojnę, w której od dawna panował zastój – zadziałał jednak zbyt szybko. Małżeństwo powinno było zostać skonsumowane, nim choć jeden żołnierz przekroczył Nestora. Gdyby Baralis przebywał w królestwach, zamiast siedzieć tu, czekając na diuka, którego nieobecność stawała się coraz bardziej podejrzana, nie utraciłby kontroli nad biegiem wydarzeń. Nowy król mógł wykazywać się zdolnościami na polu bitwy, był jednak zbyt młody i niedoświadczony, by zrozumieć subtelności polityki.

Baralis posuwał się ciężkim krokiem przez wysokie, kamienne korytarze, zmierzając ku komnatom diuka. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego Jastrząb zażądał spotkania, był jednak wystarczająco bystry, by odgadnąć, że władca Brenu coś kombinuje.

Przywitał go gwardzista, który spodziewał się jego przybycia. Żołnierz zaprowadził go do prywatnej klatki schodowej. Baralis wspiał się na niewysokie schody i dotarł do ciężkich drzwi z brązu, które gwałtownie się otworzyły.

– Ach, lord Baralis. Zastanawiałem się już, co się z tobą stało. – Diuk zaprosił go skinieniem do środka. – Myślałem, że może mój posłaniec nie zdołał cię odnaleźć.

Baralis nawet nie próbował wypełnić ciszy usprawiedliwieniami. Niech Jego Miłość sobie myśli, co tylko zechce.

Diuk siał pośrodku wielkiej komnaty audiencyjnej. Gestem dłoni polecił Baralisowi usiąść.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, postoję, Wasza Miłość. Diuk wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz. – Podszedł do okna i otworzył metalowe okiennice. – Piękny dziś dzień, nieprawdaż, lordzie Baralisie?

– Tak, jeśli chodzi ci tylko o pogodę.

Królewski kanclerz podszedł swobodnym krokiem do biurka diuka. Pokrywały je rozmaite mapy. Rozpoznał wśród nich zarys granic królestw.

– Chodzi mi o wszystko, lordzie Baralisie. – Diuk uśmiechał się, spoglądając na jezioro. – Wszystko jest dzisiaj piękne.

Baralisowi nie podobało się brzmienie jego głosu.

– Być może powinieneś mi powiedzieć, z czego się tak cieszysz, Wasza Miłość. Osobiście nie widzę powodów do podobnej satysfakcji.

– Jesteś w odrobinę kwaśnym humorze, jak na człowieka, który wkrótce ma otrzymać dobre wieści.

– Jeśli coś czeka zbyt długo, na ogół kwaśniej. Jastrząb odwrócił się nagle.

– W takim razie położę kres twemu oczekiwaniu. Wiesz, dlaczego cię tu dziś wezwałem?

– Wiem, dlaczego nie wzywałeś mnie dotąd.

– Przyznaję, iż nie spieszyłem się zbyt z wyznaczeniem dokładnej daty ślubu córki, zamierzam jednak naprawić to zaniedbanie. – Diuk zbliżył się do niego o krok. – Powiedz mi, lordzie Baralisie, czy dwa miesiące od dzisiaj to dla ciebie odpowiedni termin?

To było ostatnie, czego spodziewał się Baralis. Przybył na spotkanie przekonany, że diuk nadal będzie grał na zwłokę bądź też spróbuje w ogóle wycofać się z umowy. Ukrył zaskoczenie.

– Za dwa miesiące będzie już lato. Można to chyba uznać za zadowalające. Rzecz jasna, pragnąłbym otrzymać pisemną deklarację twych intencji.

Baralis spodziewał się, że diuk sprzeciwi się, ten jednak skinął tylko głową.

– Otrzymasz ją przed upływem tygodnia. Każę moim skrybom zająć się jej spisaniem, a prawnikom aspektami prawnymi. Potrzebujesz czegoś więcej?

Zaskoczenie ustąpiło miejsca podejrziwości. Diuk

był zbyt ustępliwy.

– Czy mogę zapytać Waszą Miłość, co wywołało ten nagły pośpiech?

– Oczywiście, lordzie Baralisie. Wczoraj przysłała do mnie Catherine, która błagała mnie, bym wyznaczył datę. – Diuk uśmiechnął się gładko. – Któryż ojciec mógłby odmówić prośbom córki?

Baralis był pewien, że to kłamstwo.

– To dziwne, że nigdy dotąd cię o to nie błagała.

– Daj spokój, Baralisie. Sądziłem, że zdobyłeś choć tyle doświadczenia z kobietami, by wiedzieć, że są nieprzewidywalne.

Diuk wyglądał na dość zadowolonego z siebie.

– A od kiedy dokładnie stałeś się tak pobłażliwy wobec kobiet? Jadowity ton tego pytania wywarł zauważalny wpływ na diuka.

Jego uśmiech przerodził się w wąską linię zaciśniętych ust, a brwi opuściły się. Przeszedł szybko przez komnatę.

– Mam ważniejsze sprawy na głowie, niż przrzucanie się z tobą złośliwościami. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, teraz ty również poczyn przygotowania.

Baralis nie dał się zbyć tak łatwo.

– Kiedy będę mógł oficjalnie ogłosić zapowiedzi?

– Ja je ogłoszę, lordzie Baralisie. Za cztery noce będzie Święto Pierwszych Siewów. Zrobię to wtedy.

– Nie będę miał czasu spytać o zdanie króla.

– Jeśli sobie życzysz, zawsze mogę to odłożyć. Baralisowi nie spodobało się to w najmniejszym stopniu, lecz – o czym diuk świetnie wiedział – zapowiedź bez królewskiej zgody była lepsza od żadnej.

– To nie będzie konieczne. Święto Pierwszych Siewów będzie w sam raz.

– Tak leż sądziłem. Oczekiwałem, że wyrazisz zgodę. – Diuk obrzucił Baralisa przebiegłym spojrzeniem. – Możesz już odejść. Mam nadzieję, że zachowasz dyskrecję, nim ogłoszę swą decyzję publicznie.

Odwrócił się i wbił wzrok w leżące na biurku mapy. Baralisowi pozostało tylko pokłonić się i wyjść.

Maybor miał wrażenie, że popada w obłęd. Słyszał, że zdarza się to niekiedy ludziom, którzy jedzą za mało mięsa, on jednak miesiąc w miesiąc pochłaniał tyle wieprzowiny i dziczyzny, że wystarczyłoby tego na rok dla całej wioski. Nie potrafił tego pojąć. Gdyby chodziło o ryby, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej. Były one pokarmem odpowiednim dla kobiet i kapłanów i nigdy, ale to nigdy, ich nie jadał, chyba że były dobrze wypchane mięsiwem.

Jego wyobraźnię podsycił fakt, że mógłby przysiąc, iż w ciągu kilku ostatnich dni dwukrotnie widział w pałacu swą córkę. Nie dalej jak dziś rano, niecałą godzinę temu, wracał – rzecz jasna, dyskretnie – z komnaty pewnej damy. Usłyszawszy kroki, obejrzał się i dostrzegł w oddali jakąś dziewczynę. Widok wysokiej, szczupłej postaci o ciemnych włosach opadających do talii sprawił, że serce zabiło mu jak szalone. Wyglądała jak Melliandra. Za nią szedł złotowłosa mężczyzna. Zapominając o dyskrecji,

Maybor podążył za tą parą, w nadziei, że uda mu się dojrzeć twarz dziewczyny. Oboje minęli ciąg korytarzy i schodów, po czym skryli się za ciężkimi drzwiami z brązu. Nieznajoma ani razu nie spojrzała za siebie.

Kiedy tylko zniknęła, Maybor zaczął wątpić, czy faktycznie była to jego córka. Zapewne zobaczył tylko jakąś młodą szlachciankę, która przypadkowo przypominała wzrostem i kolorem włosów Melliandre. Próbował zlekceważyć ten incydent traktując je jako złudzenie, nie chciał on jednak zniknąć z jego myśli. Widział tajemniczą dziewczynę już dwukrotnie i za każdym razem mógłby przysiąc, że to jego córka, co – w jego własnej opinii – czyniło go albo szaleńcem, albo głupcem.

Melliandra mogła przebywać wszędzie na północy. Napisał do swego syna, Kedraca, prosząc go, by wyznaczył nagrodę dla tego, kto ją odnajdzie, do tej pory jednak nikt się nie zgłosił. Maybor potarł policzki. Gdyby tylko był na miejscu. Osobiście dopilnowałby, żeby odszukano jego córkę. Był człowiekiem, którego wolę na ogół spełniano.

Ale tylko w królestwach. Zdał sobie sprawę, że to właśnie jest prawdziwa przyczyna jego szaleństwa. Miał dość siedzenia w mieście, w którym nie zajmował znaczącej pozycji i w którym nikt nie wiedział, jak

bardzo jest bogaty i wpływowy. To mogłoby doprowadzić do obłądu samego Borca! W gruncie rzeczy, o ile dobrze pamiętał pismo, pod koniec zbawiciela nawiedzały wizje dawno utraconych bliskich. Być może on również zbył długo przebywał w Brenie!

– Więcej mięsa, Prisk! – zawołał do swego sługi. – Przynieś mi też trochę ryby – dodał po chwili zastanowienia.

Jeśli chodzi o zdrowie własnych zmysłów, zapobiegliwości nigdy za wiele.

Prisk, chudzielec mający na twarzy znamię wielkości ogórka, zatrzymał się i kaszlnął, co było jego sposobem na poinformowanie pana, że ma mu coś do powiedzenia.

– O co chodzi, Prisk? – warknął Maybor. – Gadaj. Nie stój tak, kaszłac jak suchotnik.

– Wiadomość od diuka, wasza lordowska mość. Żąda byś udał się do jego komnat na krótkie spotkanie w cztery oczy.

Maybor wstał i uderzył sługę w twarz.

– Jak śmiałeś nie powiedzieć mi tego od razu? – Odwrócił się plecami do oszołomionego nieszczęśnika. – Przynieś mi płaszcz, ten czerwony, podszyty gronostajem. I plasterek cytryny, żeby poprawić

oddech.

Po kilku minutach Maybor paradował już przez pałac, wyglądając jak król. Być może później, po rozmowie z diukiem, złoży wizytę swej przyjaciółce. Szkoda, żeby laka wspaniałość się zmarnowała.

Przechodząc przez wielką komnatę, zauważył kogoś, kogo nie widział już od kilku dni: Baralisa. Towarzyszyła mu Rekin. Zobaczywszy Maybora, kanclerz zmienił kierunek. Zwierzę podążało za nim jak cień.

– Dzień dobry, lordzie Mayborze – powiedział ociekającym pogardą głosem. – Czyżbyś wybierał się na koronację? – zapytał, omiatając spojrzeniem jego płaszcz.

Rekin warknęła, jak na rozkaz. Maybor ledwie mógł uwierzyć, że Rekin – jego Rekin – warczy na niego. Rozejrzawszy się szybko, upewnił się, że wokół jest zbyt wielu ludzi, by kanclerz mógł spróbować jakichś sztuczek.

– Co zrobiłeś z moim psem? – zapytał.

– Teraz to raczej mój pies – poprawił go Baralis. Poglaskał czule Rekin po uszach. – No wiesz, potrafię sobie radzić ze zwierzętami.

Maybor miał ochotę wyciągnąć miecz i natychmiast odrąbać swemu wrogowi głowę. Kochał

Rekin! Co prawda, zawsze się jej trochę bał, ale pod koniec bardzo ją polubił. Nie mógł patrzeć, jak ociera się o nogę Baralisa niczym grzejąca się kotka.

– Zaczarowałeś ją – syknął.

– A ty, lordzie Mayborze – odparował Baralis z irytującym spokojem – wytresowałeś ją z myślą o zamachu na mnie.

– Udowodnij to.

Baralis uśmiechnął się pogodnie.

– Fakt, że zabójstwo się nie udało, jest dla mnie wystarczającym dowodem.

– Wydaje ci się, że jesteś taki bystry, Baralisie? Niedługo będziesz musiał wrócić do królestw z podwiniętym ogonem. Diuk nie ma zamiaru wydać córki za Kylocka.

Maybor był przekonany, że to prawda. Ostatecznie władca Brenu już od wielu tygodni zwlekał z wyznaczeniem daty ślubu. Teraz, gdy Kylock szybko zbliżał się do halcuskiej stolicy, wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, by wyraził zgodę na to małżeństwo.

Baralis wybuchnął gromkim śmiechem.

– Och, lordzie Mayborze, masz rozpaczliwie złe informacje. Zwłaszcza jak na człowieka, który pyszni się tytułem posła korony.

– Królewski kanclerz uniósł rękę do brody, jakby pogrążał się w zamyśleniu. – No, ale przecież reprezentujesz zmarłego króla. Lesketh większą część zimy spędził w grobie.

Maybora szybko opuszczała cierpliwość:

– Co chcesz przez to powiedzieć. Baralisie? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– To, lordzie Mayborze, że obaj z diukiem wyznaczyliśmy już datę ślubu. Gdybyś nie był tak zajęty szkoleniem psów i strojeniem się w królewskie szaty, wiedziałbyś już o tym.

– Jak śmiesz! Baralis zbliżył się nagle.

– Nie. Jak ty śmiesz, lordzie Mayborze? Jeśli jeszcze raz spróbujesz dokonać zamachu na moje życie, zmiażdżę cię natychmiast.

– Odsunął się z błyskiem nienawiści w oczach. – Po naszym poprzednim spotkaniu w tej komnacie, powinieneś już wiedzieć, że to nie jest pusta groźba.

Obaj mężczyźni stali jeszcze przez chwilę, wpatrując się w siebie z wściekłością.

Wreszcie Baralis się odwrócił.

– Chodź, moja droga, opuśćmy to miejsce – powiedział poklepując delikatnie Rekin po szyi. – Twego byłego pana czeka wicie zajęć. W pierwszej kolejności musi się zaznajomić z bieżącymi

wydarzeniami.

Pożegnał Maybora pochyleniem głowy, po czym ruszył w stronę kuchni. Rekin podążała za nim krok w krok.

Maybor spojrzął za oddalającym się kanclerzem. Jego nienawiść do Baralisa była tak głęboka, że przenikała do kości i krwi. Ten człowiek był demonem.

Wygladził szatę i rozejrzał się po komnacie. Nikt nie przechodził tak blisko, by mógł usłyszeć, o czym mówiono. Młoda dziewczyna o przyjemnie pulchnej talii, dźwigająca na barkach koromysło, zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się do niego. Odwrócił się. Miał zbyt wiele na głowie, by mógł sobie pozwolić na nawet najkrótszy flirt. Przede wszystkim, był spóźniony na spotkanie z diukiem. Co prawda, nie spieszyło mu się już tak bardzo, jak pięć minut temu. Jeśli słowa Baralisa były prawdą, królewski kanclerz i diuk uzgodnili datę ślubu i poczynili inne ustalenia, nie pytając go o zdanie. To skandal! Jako poseł korony powinien brać udział we wszystkich spotkaniach dotyczących małżeństwa. Pomknął w górę po schodach. Miał Jego Miłości to i owo do powiedzenia. Mógł być obłąkany, z pewnością jednak nie był głupi.

U wejścia do komnaty diuka Maybora przywitał

gwardzista w prostym stroju, który skinieniem dłoni skierował go na ukryte schody. Grubasowi spodobało się takie rozwiązanie. Znaczyło to, że komnata diuka w rzeczywistości znajduje się na oddzielnym, wyższym piętrze niż wejście. Było to dobre tak z punktu widzenia bezpieczeństwa, jak i dyskrecji. Kiedy wreszcie wyjedzie z tego przeklętego przez Borca miasta, każe w swej posiadłości na Wschodnich Ziemiach zbudować podobne przejście.

Drzwi u szczytu schodów były ciężkie i imponujące. Nie stał pod nimi strażnik. May bor otworzył je sam. Znalazł się w dużej komnacie audiencyjnej. Diuk, którego zastał przy biurku, gdzie przyglądał się różnym papierom, ruszył mu na spotkanie.

– Ach, lord Maybor. Cieszę się, że mogłeś przyjść tu tak szybko. – Rzucił spojrzenie na blat. – Bardzo szczęśliwie się też złożyło, że przybywasz akurat teraz. Uratowałeś mnie przed nieuniknioną nudą. Czytanie kontraktów sprawia mi mniej więcej tyle samo przyjemności, co przystawianie pijawek. – Diuk uściśnął mocno jego dłoń. – Dobrze, że cię widzę, przyjacielu. Usiądź sobie. Należę ci trochę wina. Zdaje się, że lubisz czerwony lobanlern?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i zaczął

napełniać winem kielichy.

Maybor był trochę zaskoczony. Po pierwsze spodziewał się zastać kolejnych wartowników, nie samego diuka, po drugie zaś nie rozumiał, dlaczego władca Brenu witał go tak, jakby zobaczył dawno utraconego przyjaciela.

– Tu jesteś, Mayborze – rzekł diuk, wręczając mu wypełniony po brzegi puchar. – Sądzę, że wskazany byłby toast. Jak myślisz?

– To zależy, za co mamy go wznieść.

Diuk uśmiechnął się i uniósł kielich, zbliżając go do trzymanego przez wielmożę z królestw.

– Wzniesmy go za przyszłość, albowiem już od wielu tygodni nie rysowała się ona tak pomyślnie, jak dziś.

Maybor odsunął kielich.

– A więc to prawda, że wyznaczyłeś datę ślubu? Diuk omal nie wylał wina na posadzkę.

– Kto ci to powiedział? – zapytał.

– Baralis.

– Kiedy?

Maybor nie lubił odpowiadać na pytania jak prosty sługa.

– To nieważne. Chcę się dowiedzieć, kiedy dokładnie osiągnęliście to porozumienie.

– Nie zawierałem z nim żadnego porozumienia. Poinformowałem go o swych zamiarach i tyle. Nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Maybor chrząknął. To było podobne do Baralisa: wyolbrzymiać rolę, którą odegrał w wydarzeniach.

– Dlaczego nie poinformowano mnie w tej samej chwili, co jego?

– Kazałem mu przyjść tu nocą, razem z prawnikami i skrybami. Z tobą chciałem się zobaczyć w cztery oczy. – Diuk pociągnął łyk wina. Orlim nosem dotykał brzegu pucharu. – Powiedz mi, lordzie Mayborze, czy mam rację, sądząc, że twe poparcie dla tego związku nie było zbyt entuzjastyczne?

Maybor nie lubił owijać w bawełnę.

– W najmniejszym stopniu nie ufam Baralisowi. Jest stanowczo zbyt ambitny. Sądzę, że chce zdobyć dla Kylocka pozycję, która pozwoli mu zapanować nad całą północą, w tym również nad Brenem. Szczerze mówiąc. Wasza Miłość, dziwię się, że tak biernie mu na to pozwalasz.

Grubas zakończył przemowę, osuszając jednym haustem kielich lobanfernu, po czym z niejaką satysfakcją uderzył pustym pucharem o blat.

Diuk nie sprawiał wrażenia zaskoczonego jego wybuchem. Stał bardzo spokojnie. W jednej ręce

trzymał kielich, drugą zaś oparł na rękojeści miecza.

– Lordzie Mayborze, kiedy poznasz mnie lepiej, przekonasz się, że nigdy nie zachowuję się biernie – powiedział cicho.

Mayborowi zaimponował ton diuka, nie chciał jednak, by władca Brenu to zauważył.

– Niedługo już przestanę mnie to obchodzić. Wasza Miłość.

Zachowuj się biernie albo czynnie, jak sobie życzysz. Moje zadanie zostało wykonane i chcę jak najszybciej wrócić do królestw.

Choć powiedział to tylko, by osiągnąć dramatyczny efekt, myśl o powrocie do domu bardzo pociągała grubego wielmożę. Dobrze byłoby wyspać się we własnym łóżu, najeść dobrego, prostego jadła z królestw i wrócić między ludzi, którzy go szanują.

– Na twoim miejscu jeszcze bym nie wyjeżdżał, lordzie Mayborze.

W głosie diuka było coś dziwnego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Maybor.

– To, przyjacielu, że powinieneś zostać przynajmniej do Święta Pierwszych Siewów. Wtedy właśnie zamierzam oficjalnie ogłosić zapowiedzi.

Jastrząb uśmiechał się przebiegle.

– Zostanę, jeśli to oficjalna prośba.
– Nie, zrób to z innego powodu.
– A jakiego?
– Możesz przyjemnie się zdziwić tym, co wówczas usłyszysz i kogo spotkasz.

– Nie przepadam za zagadkami. Wasza Miłość. Maybor zaczął się robić lekko niecierpliwy.

– Ja również, przyjacielu. Powiem ci tyle: zostań do Święta Pierwszych Siewów, a będziesz świadkiem tego, jak wreszcie pokażę twemu współposłowi, gdzie jest jego miejsce. – Diuk podszedł do drzwi i otworzył je. – Jeśli mi wybaczysz, muszę teraz osobiście odwiedzić narzeczoną.

Wielmoża z królestw wyszedł za nim. Zeszli razem po schodach i dotarli do głównego wejścia. Kiedy znaleźli się przy drzwiach, diuk odwrócił się i położył dłoń na ramieniu towarzysza.

– Pozwól, że nim odejdiesz, udzielę ci pewnej rady. Rady? Mayborowi to się nie spodobało.

– Mów.

– W Święto Pierwszych Siewów zebrane za stołem osoby mogą przeżyć kilka szokujących momentów, sugeruję jednak, byś ty, przyjacielu, postarał się ukryć zaskoczenie. Byłbym bardzo zadowolony, wiedząc, że mogę liczyć na twe... – diuk przerwał, szukając

odpowiedniego słowa... opanowanie.

Grubas odsunął się od niego. Nie zgodzi się na nic w ciemno.

– Nie mogę ci niczego obiecać. Wasza Miłość.

Co dziwne, diuk sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.

– Jak sobie życzysz.

Pożegnał się skinieniem głowy i skierował długim korytarzem ku komnatom dla kobiet.

Maybor ruszył w przeciwną stronę. Jego krok był lżejszy niż wtedy, gdy tu zmierzał. Nie wiedział, co sądzić o tym spotkaniu, z pewnością jednak nie zaszkodzi zaczekać kilka dni, by się przekonać, co kombinuje diuk. Wszystko, co dawało nadzieję na ruinę planów Baralisa, było tego warte.

– No więc, masz rację, a zarazem jej nie masz, Bodger – stwierdził Grift. – To prawda, że od *ale* mężczyzna robi się napalony, lecz jego możliwości spadają, wszystko jednak zależy od tego, ile wypije.

– Chcesz powiedzieć, że im więcej *ale*, tym słabsze możliwości?

– Ehe, tak to mniej więcej wygląda, Bodger. Mało kto jednak wie, że jeśli mężczyzna wypije odpowiednią ilość *ale*, powiedzmy ze dwadzieścia bukłaków, mija mu stan upojenia i może się grzmocić

jak bosto ogier.

– Grzmocie jak boski ogier, Grift?

– Ehe, Bodger. Słyszałeś, że jeśli żołnierze podczas kampanii nie myją się dostatecznie długo, w końcu robią się czyści sami z siebie?

– Ehe. Grift.

– No więc, z *ale* jest dokładnie tak samo. Jeśli wypije się wystarczająco dużo, człowiek robi się trzeźwy jak świnia i niewyżyty jak królik. Kłopot z większością mężczyzn, Bodger, polega na tym, że brak im do tego wytrzymałości. Ich brzuch nie może pomieścić tak wiele.

– A co z tobą, Grift? Udało ci się kiedyś osiągnąć stadium boskiego ogiera?

– A jak myślisz, skąd wziął się uśmiech na twarzy wdowy Harpit w ostatnią Wigilię Zimy, Bodger?

Bodger pomyślał nad tym przez chwilę, skinął głową, nalał sobie kubek *ale*, wypił go, a potem nalał sobie następny.

– Grunt to spokój, Bodger. Wszystko zależy od wyboru odpowiedniej chwili.

Bodger wypił drugi kubek i napełnił trzeci.

– Chyba spróbuję się dziś umówić z palaczką Tessą.

– Stać cię na coś lepszego niż palaczką, Bodger. To

najędzniejsze z nędznych. Nie chcesz chyba się grzmocić z kobietą, która stoi niżej od ciebie?

– Palaczki nie mogą stać niżej ode mnie, Grift. Pamiętam, jak kiedyś mówiłeś, że najwytworniejsza dziewczyna w kuchniach to właśnie palaczką. Zdaje się, że była matką Jacka.

– Ehe. Bodger, rzeczywiście tak mówiłem. Miała na imię Lucy. – Grift uśmiechnął się. – Piękna dziewczyna. I do tego bystra. Oczywiście nie zawsze była palaczką. Na tym właśnie polega różnica.

– A kim była przedtem?

– Garderobianą, Bodger. Spędzała cały czas na górze, w komnatach szlachty. Potem, kiedy zaszła w ciążę, ukryła się w kuchniach. Przyjęła najędzniejszą pracę, jaką mogła znaleźć. Pilnowała ognia w największym piecu i nigdy już nie postawiła nogi na górze.

– To się wydaje trochę dziwne. Grill.

– Może chciała ukryć swą hańbę, Bodger. Nigdy nie powiedziała, kto był ojcem jej dziecka.

Obaj mężczyźni pili przez chwilę w milczeniu, czując potrzebę okazania odrobiny szacunku zmarłym.

Wracając do komnaty Melli, Tawl usłyszał nagle za sobą kroki. Wydawało się, że dobiegają znikąd. Sięgnął instynktownie po miecz, odwrócił się nagle,

wyciągnął broń i spojrzał na napastnika.

– Nie! To ja, Kosiarz.

– Skąd się tu wzięłeś, na Borca! – krzyknął na niego zagniewany. Zamarł z uniesionym mieczem, który drżał w jego dłoni.

Ulicznik wzruszył ramionami z zażenowaną miną.

– Nigdy już tego nie rób – syknął Tawl, wstrząśnięty tym, jak niewiele brakowało, by zaatakował chłopaka. – Mogło cię to kosztować życie.

Schował oręż.

Kosiarz zaryzykował uśmiech.

– Przepraszam, Tawl. Chciałem tylko sprawdzić twój refleks. Nie złość się, ale chyba jesteś trochę podenerwowany.

Tawl musiał się odwrócić, by ukryć uśmiech. Na tego chłopaka nie sposób było się gniewać. Spojrzał w kierunku, z którego nadszedł Kosiarz. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie dostrzegł go przedtem. Korytarz był długi i prosty.

– Jak ci się udało mnie podejść? – zapytał.

– Nie obrażaj mnie takim pytaniem, Tawl. Jestem kieszonkowcem, nie? Skradanie się to mój zawód.

– No to zakradnij się z powrotem tam, skąd przyszedłeś.

– Czy nie mogę zostać przez chwilę z tobą? Od

twego powrotu do pałacu prawie cię nie widuję. Odkąd kazali ci pilnować tej jakiejś wielce dostojnej damy, chyba zapomniałeś o dawnych przyjaciółach. – Kosiarz wyprostował się. – No cóż, niech nikt nie mówi, że pcham się tam, gdzie mnie nie chcą. Wracam na ulice.

Zaczął się oddalać.

Tawl wyciągnął rękę i złapał go za rękaw. Czuł się zobowiązany do opieki nad chłopcem i nie chciał, by wrócił do życia ulicznika. Co prawda. Kosiarz mógł blefować, wołał jednak nie podejmować takiego ryzyka.

– No dobrze, możesz posiedzieć ze mną pod drzwiami komnaty pani. Ale musisz mi obiecać, że będziesz grzeczny i nie ukradniesz żadnych kosztowności.

Kosiarz uśmiechnął się szeroko.

– Będę je traktował tak, jakby należały do mnie.

– Hmm, tego właśnie się obawiam.

Obaj ruszyli w stronę komnat. Kosiarz opowiedział Tawlowi o swych nowych przyjaciółach – Bodgerze i Grifcie – po czym rozmowa zeszła na temat Baralisa.

– Coś ci powiem, Tawl – mówił Kosiarz – ten Baralis jest straszny jak sam diabeł. Już tylko jego głos wystarcza, żeby człowiekowi zaczęły drżeć kolana.

Tawl kilkakrotnie już słyszał, jak diuk wymieniał

imię Baralisa. Widział go nawet w pałacu raz czy dwa. Był wysoki, ciemnowłosy i ubierał się na czarno. Ludzie zawsze schodzili mu z drogi. Od chwili, gdy diuk ogłosi zamiar zawarcia małżeństwa, Tawl zamierzał uważnie obserwować owego człowieka. Jako poseł królestw z pewnością się nie ucieszy, że Kylocka okradziono z tego, co przyjechał tu dla niego zdobyć: pozycji dziedzica władcy Brenu.

Tawl tak bardzo skupił się na potencjalnych zagrożeniach dla Mciii, że mało brakowało, by jego uwadze umknęło coś ważnego. Mało brakowało. Gdy dotarli pod drzwi salonu Mciii, złapał Kosiarza za bluzę i przyciągnął do siebie.

– Jak to się stało, że rozmawiałeś z Baralisem? – zapytał. Chłopak uwolnił się z jego uchwytu, ostentacyjnie demonstrując godność. Oparł dłoń na piersi niczym aktor chcący wskazać, że przemawia wprost z serca.

– Znasz mnie, Tawl – powiedział. – Potężni ludzie chodzą za mną gromadą. Nie mogę nic na to poradzić.

Tawl mrugnął do dwóch stojących pod drzwiami wartowników, po czym złapał Kosiarza za ucho, wykręcił je mocno i wprowadził chłopaka do komnaty. Dopiero gdy drzwi się za nimi zamknęły, złagodził nieco uścisk.

– No więc. Kosiarzu – zaczął miłym łonem – masz do wyboru albo wyznać mi prawdę i w tym przypadku sprawię ci tylko trochę bólu, albo mnie okłamać i wtedy urwę ci ucho. – Zademonstrował, że potrafi to zrobić, pociągając za nie mocno. Kosiarz zawył. – Co wolisz?

Ulicznik usiłował się uwolnić, lecz Tawl ścisnął jego ucho jeszcze mocniej.

– No dobra, dobra – powiedział. – Puść mnie, to wszystko ci opowiem.

Tawl potrząsnął głową.

– Nie puszcę cię, dopóki nie usłyszę prawdy.

– Jesteś okrutny, Tawl. – Twarz Kosiarza nabrała nieprzyjemnego, czerwonego koloru. Chłopak zaczerpnął głęboko tchu. – Baralis wypytywał mnie o Bevlina.

O Bevlina? To było ostatnie, czego mógł się spodziewać. Puścił ucho Kosiarza. Opuściła go ochota na żarty.

– Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło. Kosiarz poprawił bluzę i potarł ucho.

– Przyszedł do kaplicy, kiedy siedziałem z Bodgerem i Griftem. Zadał mi mnóstwo pytań. No wiesz, dopytywał się, gdzie mędrzec mieszkał i gdzie trzymał książki. O ciebie też pytał.

– Co mu powiedziałeś?

Głos Tawla brzmiał ponuro. To, co usłyszał, nie spodobało mu się w najmniejszym stopniu. Dlaczego Baralis się nim interesował? To nie miało sensu.

– Tylko to, co i tak wszyscy wiedzą. Tawl. Przysięgam. Opowiedziałem mu, gdzie jest chata Bevlina, od jak dawna cię znam, i takie rzeczy. O misji już wiedział...

– Wiedział, że szukałem chłopca? – przerwał mu Tawl. Kosiarz skinął głową.

– Przysięgam na honor Szybciora.

– A dlaczego interesował się chatą Bevlina?

– Zależało mu na jego książkach. Najwyraźniej łączyła ich miłość do pełzających owadów.

Tawl poczuł w brzuchu ostrzegawczy skurcz. Żółć podeszła mu do gardła. Baralis chciał zdobyć księgi Bevlina. Ale po co? Owady nie były przekonującym usprawiedliwieniem. Kiedy próbował odgadnąć, o co mogło tu chodzić, przez umysł przemknęła mu inna myśl, która przyćmiła wszystkie pozostałe troski.

– Jeśli pojedzie do chaty, co w niej znajdzie?

Kiedy ją opuszczał, cała podłoga splamiona była krwią, a na samym środku izby leżały zwłoki.

Kosiarz natychmiast zrozumiał to pytanie.

– Ładny, czysty domek, w którym wszystko będzie

w porządku.

– A ciało?

– Pochowałem je.

Tawł zajął głęboko w brązowe oczy chłopaka. Młody kieszonkowiec nie przestawał go zdumiewać. Zadbał o wszystko. Kiedy on uciekł, gnany dręczącą, tchórzliwą gorączką, Kosiarz został w chacie, by uprzątnąć ciało i krew. Wstydził się za siebie, a zarazem czuł głęboki szacunek dla ulicznika.

– Dziękuję – powiedział.

– Zrobiłem tylko to, czego uczył mnie Szybcior. Zadbałem o interesy przyjaciela.

Tawł wyciągnął rękę i Kosiarz ją uściskał.

– Rzeczywiście jesteś moim przyjacielem. Jedynym jakiego mam – potwierdził, ściskając mocno ramię chłopaka.

– I nigdy nie będziesz potrzebował ich więcej.

Drzwi otworzyły się i do komnaty wszedł diuk. Zobaczywszy Kosiarza, uznał, że to sługa.

– Zostaw nas, chłopcze. Chcę porozmawiać z moim obrońcą w cztery oczy.

– W noc walki było ciemno. Wasza Miłość – wtrącił Tawł, kładąc dłoń na ramieniu kieszonkowca, by go powstrzymać. – Dlatego wybaczam ci, że nie poznałeś mojego sekundanta. Kosiarza z Rornu.

Popchnął chłopca ku diukowi.

Kosiarz pokraśniał z dumy. Zademontrował imponujący ukłon.

– Wasza Miłość.

Diuk pochylił uprzejmie głowę.

– Przyjmij proszę moje przeprosiny. Z Rornu, tak? Znasz może arcybiskupa?

– Mogę ci o nim powiedzieć tyle. że to cwany skurczybyk. Diuk parsknął śmiechem.

– Możesz, w każdej chwili zadudnić się u mnie. Kosiarzu. Chciałbym mieć więcej doradców, którzy potrafiliby wyrażać się tak zwięźle.

Kosiarz uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Kiedy tylko będziesz potrzebował rady. Wasza Miłość, możesz zwrócić się do mnie. Tawl zawsze wie, gdzie mnie znaleźć. – Pokłonił się raz jeszcze. – Muszę już iść. Wzywają mnie interesy.

Tawl i diuk spoglądali w ślad za nim.

– Nadzwyczajny chłopak – zauważył diuk, gdy Kosiarz wyszedł z komnaty.

– I to pod wieloma względami – potwierdził Tawl. Postanowił, że nie będzie już więcej wypytywać Kosiarza o Baralisa. Żywił silne podejrzenie, że chłopak sprzedał mu informacje, takie już jednak były jego zwyczajem. To właśnie czyniło go tym, kim był, i

nie można było mieć o to do niego pretensji. Poza tym, wyglądało na to, że Baralis miał też innych informatorów. Ktoś powiedział mu o poszukiwaniach chłopca. Tawl zastanowił się, kto jeszcze wiedział o jego misji. Arcybiskup Rornu. Tyren. Władcy Larnu.

– Tawlu, nic ci nie jest? – wyrwał go z zamyślenia diuk. – Wyglądasz jak człowiek, który myślami przebywa daleko stąd.

Bardzo daleko. Setki mil na południe, na zdradzieckim obszarze oceanu, gdzie znajdowała się przeklęta wyspa Larn. Przyczyna jego upadku. Czyżby ci, którzy nią władali, nadal starali się mu szkodzić? Czy nie wystarczało im to, co już zrobili? Tawl odsunął się.

– Jestem odrobinę zmęczony. Wasza Miłość. Nic więcej.

– Zbyt wiele czasu poświęcasz na strzeżenie mojej pani – stwierdził diuk.

– Chcesz ze mną porozmawiać?

– Tak. Chwilę. – Diuk wskazał na drzwi na drugim końcu komnaty. – Melliandra jest w sypialni? – Gdy Tawl skinął głową, ściszył głos. – Za dwie noce, w Święto Pierwszych Siewów, ogłoszę zapowiedzi swego małżeństwa. Liczę na to, że będziesz obserwował rozgrywające się za stołem wydarzenia. Ja

będę zajęty odpieraniem słownych ataków. Chcę, żebyś miał oko na ludzi. Zwracaj uwagę na ich reakcje, zwłaszcza lorda Baralisa, i bądź gotów natychmiast wyprowadzić Melliandrę, gdyby coś zaczęło się dziać.

– Będę na miejscu – zapewnił Tawl.. Diuk skinął głową.

– Świetnie. Chcesz siedzieć tuż obok Melliandry, czy wolałbyś bardziej dyskretny punkt obserwacyjny?

– Lepiej czułbym się w ukryciu.

– Jak sobie życzysz. Załatw wszystko, co konieczne. – Diuk miał ponurą minę. – To na razie wszystko. Nie mogę kazać narzeczonej czekać. – Podszedł do drzwi sypialni. – Pamiętaj, Tawlu. Liczę na to, że powiesz mi, kim są moi wrogowie.

Zapadła ciemność i nadszedł czas, by poszukać schronienia. Szedł po zoranej, gotowej pod siew ziemi, co znaczyło, że w pobliżu zapewne znajduje się gospodarstwo rolne, a w gospodarstwach na ogół bywały przybudówki, kurniki i stodoły – budynki, w których można było spokojnie spędzić noc. Rzecz jasna, pod warunkiem, że zniknie się o świcie. Rolnicy wstawali jeszcze wcześniej niż kapłani.

Omiótł wzrokiem horyzont. W którą stronę się skierować? Odkąd opuścił chatę Rovasa, instynkt kazał mu zmierzać na wschód. Dlaczego miałby teraz

zmieniać kurs? Zmęczony, głodny, przemarznięty i samotny, wciąż włókł się wprost przed siebie.

Minęły już dwa dni, odkąd cokolwiek jadł. Prawie oszalały z głodu, zakradł się za dnia na teren gospodarstwa. Najdalej położonym zabudowaniem był kurnik, ruszył więc w jego stronę. Nim poszczuto go psami, zdążył rozbić i zjeść pół tuzina jaj. Potem rzucił się do ucieczki. Żółtko spływało mu po brodzie. Pod bluzę wepchnął sobie jeszcze kilka sztuk. Udało mu się ujść bez szkody, lecz niestety nie można było tego powiedzieć o jego łupie. Nie tylko popękały skorupki, ale żółtko w jakiś sposób spłynęło na portki. Po kilku godzinach smród zrobił się tak okropny, że na całe życie odechciało mu się jajek.

Wreszcie musiał skoczyć w ubraniu do strumienia. Po zeszłotygodniowych ulewach nie tylko przyzwyczał się, że ciągle jest przemoczony lecz również w pewnym stopniu uodpornił się na to. Żeby go zabić, trzeba by teraz czegoś więcej niż szybkie zanurzenie w wodzie – nawet jeśli łachy schły potem cały dzień.

Czasami chciało mu się śmiać. Były piekarczyk i skryba Baralisa uciekał przez wschodni Halcus, ścigany przez wrogów, nie mając nic oprócz ubrania na sobie i noża za pasem. Ciało pokrywało mu tak wiele

ran, że co chwila musiał sprawdzać, czy któraś się nie otworzyła i nie zaczęła krwawić. Z pewnością nie tak opisywano przygody w książkach. Powinien być już teraz stawny, bogaty i doświadczony, mieć drużynę oddanych zwolenników i posłuch wśród królów. Powinien leż zdobyć dziewczynę swych marzeń.

Czasami chciało mu się płakać. Kiedy myślał o Tarissie, o tym, jak klęczała w deszczu pod chatą Rovasa, mówiła, że go przeprasza i błagała, by zabrał ją ze sobą, zastanawiał się, czy postąpił słusznie. To były najgorsze chwile. Chwile, w których najtrudniej mu było iść dalej. Chwile, gdy musiał z wysiłkiem powstrzymywać się przed zawróceniem i pobiegnięciem pod jej drzwi. Raz, tylko raz, uległ temu impulsowi.

Była późna noc – zawsze najgorsza pora dla samotnych – i nie mógł zasnąć. Bez względu na wszystkie wysiłki nie potrafił zapomnieć o Tarissie. A potem, gdy księżyc zaczął się skłaniać ku zachodowi, dotarł do punktu, w którym nie chciał już o niej zapomnieć. Pragnął ją zobaczyć, dotknąć, objąć ramionami i wyszeptać cicho, że wszystko będzie dobrze. Zawrócił natychmiast, nie czekając na świt. Szedł z powrotem długie godziny po ścieżkach, które raz już przemierzył. Mrok był mu sprzymierzeńcem, a

cienie przyjaciółmi. Wiodły go przez noc, sprawiając, że wydawał się sobie tak mały i pozbawiony znaczenia, iż tracił wiarę we własne opinie. Jakie miał prawo kogokolwiek potępiać? Kim był, by kogoś porzucać, jeśli sam miał na sumieniu tak wiele win? W blasku odległych gwiazd świat wydawał się tak ogromny, że Jack miał wrażenie, iż nic co mógłby powiedzieć lub uczynić, nie ma znaczenia. Samotność była przerażająca. Potrzebował kogoś, kto wynagrodziłby mu wszystkie jego braki. Potrzebował Tarissy.

Wschód słońca wszystko zmienił.

Wzniosło się nad wzgórze, blade i majestatyczne. Jego delikatne promienie wyszukały wątpliwości równie niezawodnie jak cienie, i kazały im wszystkim natychmiast zniknąć. W miarę, jak stawały się coraz silniejsze, wzmacniały również siłę woli Jacka. Słońce się wznosiło, a on zwalniał kroku. Świat znowu miał granice: wzgórze i strumienie, lasy i góry. Był niniejszy, mniej przerażający. Samotny człowiek mógł w nim się liczyć. Odzyskał stanowczość. Tarissa go zdradziła. Nie potrzebował jej. Lepsza samotność niż towarzystwo kogoś, komu nie można zaufać.

Zatrzymał się nad brzegiem strumienia i uniósł sobie wodę do ust. Czuł padające mu na plecy

promienie słońca. Ogrzewały go, dodawały odwagi, skłaniały do zawrócenia. Pożegnał się już i zawędrował bardzo daleko. Powrót byłby czystą głupotą. Jack wstał, odwrócił się i ponownie ruszył na wschód, ku słońcu.

W miarę upływu dnia, zataczało ono na niebie powolny łuk. Wreszcie nadeszła chwila, gdy znalazło się za jego plecami. Natura jego promieni uległa wówczas zmianie: nie wzywały go już, lecz popychały.

W oddali dostrzegł światelko. Gospodarstwo. Serce zabiło mu mocniej na ten widok. Jeśli będzie miał szczęście, znajdzie na noc schronienie. Zmierzając w tamtą stronę, przyjrzał się swemu ciału. Pozostała po spotkaniu z Rovasem szrama na przedramieniu goiła się ładnie. Przebiegając palcami po strupie, nie wyczuł wilgoci ani obrzęku. Świetnie. Nerki od kilku dni sprawiały mu ból, teraz jednak był on już możliwy do zniesienia. Uniósł rękę i pomacał wargę. Wciąż była wielka jak ciastko na drożdżach piwnych. Magra władała miedzianym garnkiem z biegłością walczącego na arenie wojownika. Jednym, celnie wymierzonym ciosem trafiła go i w szczękę, i w policzek. Jack drżał na myśli o tym, jak musi wyglądać jego twarz: siniaki, obrzmiałe zadraśnięcia i tygodniowy zarost. *Zaczai* unikać stojącej wody, by nie przeżyć szoku na widok

swego odbicia. Zawsze pil z wartkich potoków.

Wszystkie stare rany na rękach i nogach – ukąszenia psów oraz inne obrażenia, które odniósł podczas licznych starć w garnizonie – były właśnie w stadium przechodzenia ze strupów w blizny, nie dolegały mu więc już, pomijając miejsce wysoko po prawej stronie klatki piersiowej, gdzie ugodziła go halcuska strzała. Pani Wadwell opatrzyła ranę i zapewne już by się ona zagoiła, gdyby w sam jej środek nie trafiła pięść Rovasa. Jack przekonał się, że musi oszczędzać tę stronę. Nie mógł dźwigać zbyt wielkich ciężarów w prawej ręce ani zarzucać ich sobie na prawe ramię. Wystarczyło wsunąć rękę pod bluzę, by się przekonać, że w ranę wdało się zakażenie. Była obrzęknięta, a po całodniowym marszu niekiedy sączył się z niej płyn. Wyglądała równie paskudnie, jak pachniała. Tuż pod powierzchnią biegły fioletowe żyłki, a ponadto – dzięki Rovasowi – otaczał ją teraz żółtozielony siniec.

Zbliżając się do gospodarstwa, czuł w niej pulsujący ból. Później, nim zaśnie, będzie musiał ją naciąć, żeby wypuścić ropę. Starał się czyścić ranę i zawsze mył ją, raz dziennie, żeby jednak zrobić to jak należy, potrzebował wina, nie wody. Albo żelaza do wypalania.

Skulił się w krzakach. Od zabudowań dzieliła go tylko mała łączka. Było to gospodarstwo mleczne. Nasłuchiwał głosów psów albo gęsi, lecz do jego uszu docierało tylko ciche muczenie bydła i cieląt. Odważył się podejść bliżej. Zwierzęta wyczuły jego woń, lecz po kilku ostrzegawczych dźwiękach uspokoiły się. Wiedziały, że nie jest lisem. Przeszedł szybko przez łąkę. Wdeptywanie w krowie placki nie było przyjemne, był jednak z tego pewien pożytek. Nadawały mu swojski zapach, na wypadek, gdyby w pobliżu były jakieś gęsi albo inny drób. Dotarł do zaplecza budynku. Był tam wielki chlew, który ominął szerokim łukiem, oraz stodoła i mleczarnia. Skierował się do tej ostatniej. Jeśli mu się poszczęści, znajdzie tam ser, śmietanę i maślankę.

W brzuchu zaburczało mu głośno na myśl o jedzeniu.

– Już niedługo – wyszeptał cicho do własnego żołądka, jakby był on małym zwierzątkiem.

Drzwi mleczarni zamknięto na przerdzewiały zatrzask. Uniósł go z łatwością i wszedł do środka, przechodząc z blasku księżyca w mrok.

Kilka minut siał bez ruchu, by jego oczy miały czas się przyzwyczaić do ciemności. Nos jednak poinformował go, że jest tu żywność, a dokładniej

mówiąc ser.

Głód wyczyniał z człowiekiem dziwne rzeczy. Jack nie czuł żadnych wyrzutów sumienia na myśl, że zje wszystko, co tylko zdoła znaleźć. Gdyby miał pieniądze, zostawiłby je. Nie miał ich jednak, więc po prostu weźmie sobie to, czego mu potrzeba. Chciał ocalić życie, a jeśli w tym celu będzie musiał kraść, to trudno. Odkąd porzucił ; Zamek Harvell, w pierwszej kolejności dowiedział się tego, że świat nie jest sprawiedliwy. Rolnik, który obudziwszy się rano, przekona się, że zniknęła połowa jego zapasów sera, powinien się uważać za szczęściarza. Ludziom przytrafiały się znacznie gorsze rzeczy.

Jack przeżył w ostatnich miesiącach zbyt wiele, by mógł zachować naiwność. Opuszczając królestwa, był jeszcze prawie chłopcem. Ufnym i niewinnym, wierzył wszystkim na słowo. Teraz jednak upłynie wiele czasu, nim znowu komuś uda się go nabrać. Jednak pod wieloma względami sprzyjało mu szczęście. Nawet pośród ognia i chaosu, które ogarnęły garnizon, spotkał się z dobrym traktowaniem. Dilburt i pani Wadwell uratowali go tamtej nocy nie tylko w jeden sposób. Pokazali mu, że ludzie są zdolni również do czynienia dobra. Ze szczerego serca przyjęli go pod swój dach i zaopiekowali się nim. Nie zadawali żadnych pytań i

nie żądali niczego w zamian. Zawsze będzie o nich pamiętał.

Nie, świat nie był sprawiedliwy, lecz nie był również zły.

Kiedy już jego oczy nauczyły się rozróżniać rozmaite odcienie ciemności, zaczął szukać pożywienia. Sery leżały na półce. Zdjął jeden z nich. Pewnymi dłońmi rozwinął spowijające go płótno. Oparł się pragnieniu wbicia zębów w miąższ. Ukroił sobie spory kawał. Rana będzie musiała zaczekać do jutra. Wolał nie ryzykować nacinania jej brudnym nożem.

Ser okazał się wart tego poświęcenia. Był pyszny: ostry, kruchy i suchy. Znalazł też spory dzbanek maślanki. Usiadł na pokrytym sitowiem klepisku, by napić się i najeść aż do przesyty. Ser i maślanka, choć osobno smakowały wyśmienicie, nie tworzyły zbyt dobrej kombinacji. Za dużo tłuszczu i mleka.

Tym razem zaburczało mu w żołądku z przejedzenia. Zwinął się w kłębek i przykrył sitowiem. Zamknął oczy i położył głowę na ziemi, nasłuchując czy nie ma tu szczurów. Nigdy nie był w stanie zasnąć, nie upewniwszy się przedtem, że w pobliżu nie czają się te złośliwe gryzonie o lśniących ślepiach. Nienawidził ich.

Poczuł się niemal rozczarowany, nie usłyszawszy nic poza skrzypieniem desek oraz wiatrem wdzierającym się do środka przez szczeliny między nimi. Nie było tupotu łapek, co znaczyło, że może spać spokojnie. Ostatnio bardziej bał się snu niż szczurów. Nie znajdował w nim ukojenia. Zawsze śniła mu się Tarissa. W jednej chwili płakała i błagała go, w następnej cynicznie się śmiała. Co noc garnizon na nowo ogarniały płomienie. Niekiedy dziewczyna płonęła razem z nim. Szczury mogły przyprawiać go o ciarki, nigdy jednak nie wywoływały poczucia winy ani dezorientacji.

Nim zdążył się zorientować, powieki zrobiły mu się ciężkie i zapadł łagodnie w sen. Być może sprawiła to niepowtarzalna kombinacja sera z maślanką, a może powód był inny, lecz po raz pierwszy od wielu tygodni w snach nie nawiedziła go Tarissa. Śnił o Mciiii. Jej piękna, blada twarz dotrzymywała mu towarzystwa przez całą noc.

Z lasu świec buchał dym. W srebrnych misach spoczywał łań polnych kwiatów. Na pięknym płótnie ustawiono całą kopalnię srebra, a w świetle lśniła góra kryształu. Ściany zdobiła tęcza kolorów, a podłogę pokrywała łąka wonnych traw. W Brenie obchodzono Święto Pierwszych Siewów i pałac diuka przywdział najpiękniejszy wiosenny strój.

W wielkiej komnacie pełno było długich stołów. Po ich blatach pływały łabędzie. Pod lśniącymi, białymi piórami kryły się pieczone ptaki. Dzicze głowy wypchane śpiewającymi ptaszkami spoczywały na wspaniałych błękitno-złotyach gobelinach, a niedawno narodzone cielęta nadziano na różna.

Siedzący przy stołach panie i panowie byli najbardziej wpływowymi ludźmi w Brenie. Choć ich ubrania uszyto z, najlepszych materiałów, miały dziwnie spokojne kolory: ciemnoszary, ciemnozielony i czarny. Chcąc jakoś nadrobić bezbarwność sukien, kobiety założyły najwspanialsze klejnoty. Diamenty i

rubiny połyskiwały w blasku świec, a przy każdym uniesieniu pucharów słychać było brzęk szlachetnych metali.

Diuk omiół spojrzeniem komnatę. Dworzanie byli dziś zalęknieni. Tak mężczyźni, jak i kobiety pili bardzo dużo, nic prawie nie jedząc. Zatrzymał wzrok na lordzie Cravinie. Był to potężny i ambitny człowiek, który od dawna już sprzeciwiał się małżeństwu Catherine z Kylockiem. Władca Brenu pozdrowił go pochYLENIEM głowy. Dziś wieczór Cravina spotka miła niespodzianka. Lord Maybor, który siedział obok, zauważył jego gest. Diuk uniósł do niego puchar. Grubas odwzajemnił się tym samym. Miał czerwoną twarz i był ubrany najwspanialej ze wszystkich zasiadających za stołem biesiadników. Diuk powstrzymał się od śmiechu. Wielmoża z królestw nie miał pojęcia, że dzisiejsza noc zmieni jego życie.

Rzucił pospieszne spojrzenie ku małym drzwiom ulokowanym przy boku głównego stołu. Czekala za nimi dama, która zmieni bieg historii: Melliandra, jego narzeczoną. Nie miała pojęcia, że jest tu jej ojciec. Wyobraził sobie, jak popija trochę za dużo wina i beszta służącą za podsłuchiwanie pod drzwiami, choć sama robi to samo. Już niedługo wprowadzi ją do komnaty.

Przeniósł spojrzenie z powrotem na stół. Zauważył coś, co skłaniało do ostrożności. Baralis siedział obok Catherine. Już to stanowiło jawne pogwałcenie jego życzeń, jeszcze bardziej niepokojący był jednak Takt, że dziewczyna pochylała się bezwstydnie nad królewskim kanclerzem, by podać mu mięso i nerkówkę, ocierając się przy tym piersiami o jego ramię. W innej sytuacji diuk nie tolerowałby podobnego zachowania. Odciągnąłby po prostu Catherine od stołu i odesłał do łóżka. Z pewnością była pijana, gdyż nic innego nie mogło tłumaczyć podobnej nieskromności. Na jego oczach, królewski kanclerz powstrzymał ją dłonią i odsunął nieco krzesło. Diuk czuł się zadowolony, lecz nie zaskoczony. Baralis nie był głupi.

Wkrótce jednak będzie bardzo rozgniewany.

A Catherine? Jak zareaguje? Nie będzie zadowolona, to pewne. Władca Brenu wzruszył ramionami. Z napadami złości młodych dziewcząt łatwo było sobie poradzić.

Nadszedł czas. Zaprzestano już jedzenia, a picie osiągnęło stadium, w którym ludzie nie próbowali nawet ukryć, ile wypili. Diuk odstawił kielich, uderzając nim mocno o blat. Wszystkie spojrzenie zwróciły się ku niemu. Kiedy się podniósł, w komnacie

zapadła cisza.

Maybor czekał na to całą noc. Ledwie poczuł smak siedmiu bażantów, wielkiej porcji dziczyzny oraz dwóch dzbanków czerwonego lobaniernu, które pochłonął. Myślał tylko o tym, co diuk uczyni Baralisowi. Nadszedł już czas, by raz na zawsze policzyć się z tym nikczemnym demonem. Oczywiście zagadka polegała na tym, że kanclerz miał przecież dziś osiągnąć swój cel. Kylock poślubi Catherine. W gruncie rzeczy. Jego Miłość właśnie ogłaszał to publicznie. Maybor rozsiadł się wygodnie, wspierając kielich na kolanie, by wysłuchać słów diuka.

– Panowie i panie – zaczął mocnym, dźwięcznym głosem. – Postanowiłem w Święto Pierwszych Siewów wygłosić dwa ważne oświadczenia. Jak wiecie, w ów dzień tradycyjnie wznosimy modły o to, by ziarno, które siejemy, wydało zdrowe i wysokie plony. Mam nadzieję, że dwa nasiona, które dziś zasieję, przyniosą równie wspaniałe zniwa.

Diuk przerwał. Ciszę zmaciła fala nerwowych głosów i pokastywań. Ludzie kręcili się niespokojnie na krzesłach. Maybor zauważył, że wiele osób wykorzystało krótką przerwę na to, by unieść do ust kielichy. Gdy władca Brenu podjął przemowę, wszyscy umilkli.

– Po pierwsze, muszę was powiadomić, że postanowiłem wyrazić zgodę na małżeństwo Catherine z Kylockiem...

Tłum przerwał diukowi w połowie zdania. Przez komnatę szybko przebiegła fala czegoś, co bardzo przypominało panikę. Ludzie wciągali gwałtownie powietrze i unosili brwi. Na ich wargach pojawiły się słowa wyrażające niedowierzanie. Maybor spojrział na lorda Cravina. Miał zasepioną minę. Z drugiej strony, Baralis i Catherine byli uszczęśliwieni jak para nowożeńców. Grubego wielmożę ogarnął lekki niepokój. Co jeśli diuk wprowadził go w błąd? Obiecał, że zrobi coś, co nie spodoba się Baralisowi, po to tylko, by go uspokoić?

Władca Brenu nie wyglądał na zadowolonego. Ściągnął mocno brwi u nasady nosa, a usta zacisnął w wąską linię. Raz jeszcze uderzył kielichem o blat.

– Cisza! – zawołał.

Wszyscy dworzanie zamarli w mgnieniu oka. Kielichy zawisły w powietrzu, a języki znieruchomiały wpół słowa.

– Nie tylko postanowiłem wyrazić zgodę, lecz również ustaliłem już datę – ciągnął usatysfakcjonowany diuk. – Za dwa miesiące od dzisiejszego dnia moja ukochana córka Catherine

poślubi króla Kylocka.

Tłum raz jeszcze stracił panowanie nad sobą. Komnatę wypełnił szmer wyrażających niezadowolenie szeptów. Świadectwem autorytetu diuka był fakt, że nikt nie odważył się przemówić głośno.

Wtem z miejsca wstał lord Cravin. Pokłonił się diukowi.

– Proszę Waszą Miłość o pozwolenie odejścia – powiedział, dokładnie wymawiając każde słowo.

– Odmawiani, lordzie Cravinie. Zostaniesz tu i wysłuchasz mojego drugiego oświadczenia, tak jak wszyscy.

Upokorzony wielmoża przeszył diuka spojrzeniem pełnym czystej złości.

Mayborowi wydało się, że dostrzega w oczach władcy Brenu błysk rozbawienia. Dworzanie, widząc, jak ostrą reprimendę otrzymał lord Cravin, uspokoili się.

Diuk skinieniem nakazał córce się podnieść. Catherine wykonała jego polecenie. Perły lśniły na jej sukni niczym krople deszczu. Borcu, ależ jest piękna! – pomyślał Maybor. Jasne, gęste włosy upięła wysoko nad głowę. Grzebienie i szpilki nie wystarczały, by utrzymać wszystkie złote loki na miejscu. Kilka z nich

opadało jej na twarz niby klejnoty.

– Za moją córkę, Catherine – rzekł diuk, wznosząc wysoko puchar. – Która, nim jeszcze na polach zaczną dojrzewać plony, zostanie królową Czterech Królestw.

Maybor zakrztusił się winem. Królową Czterech Królestw. To Melliandra powinna nosić ten tytuł. Jego córka powinna zostać królową. Wszystkie spiski i polityczne intrygi rozgrywające się wokół dziedzictwa Catherine przesłoniły z jakiegoś powodu fakt, że to córka diuka zostanie monarchinią królestw.

Nawet Maybor o tym zapomniał. Poczł się nagle bardzo zmęczony. Tłum bez entuzjazmu wydał okrzyk na cześć Catherine. Kylock szybko zbliżał się do halcuskiej stolicy i sprawy wyglądały teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy dworzanie z radością zaakceptowali zaręczyny.

Diuk raz jeszcze skinął na córkę, nakazując jej usiąść.

– A teraz – oznajmił – przejdę do drugiego oświadczenia. Od długiego czasu pozostaję w stanie bezżennym. Od śmierci mej ukochanej małżonki minęło już z górą dziesięć lat i doszedłem do wniosku, że pora już, bym ożenił się po raz drugi.

Tłum był oszołomiony. Nikt się nie odezwał. Nikt nawet nie drgnął.

May hor pochylił się na krześle. Wiedział, jakie są zamiary diuka. Chciał spłodzić męskiego dziedzica tronu, który zastąpiłby Catherine.

– Poznałem niedawno pewną wysoko urodzoną damę – ciągnął diuk. – Młodą, piękną kobietę, która zgodziła się zostać moją żoną. Wiem, że dla większości obecnych będzie to niespodzianką, ale nim minie miesiąc, zamierzam ją poślubić.

Uszy Maybora wypełniły krzyki tłumu. Zwrócił się w stronę Baralisa. Królewski kanclerz był blady jak trup. To ci dopiero paskudna niespodzianka, pomyślał z zadowoleniem Maybor. Plany jego wroga miały żałośnie spalić na panewce.

Mcii traciła już cierpliwość. Przemierzyła przedpokój tak wiele razy, że mogłaby przysiąc, iż wydeptała ścieżkę w kamieniu.

– Nesso, co słyszałaś teraz?

– No więc, pani – odparła niska, grubiotka dziewczyna – chyba Jego Miłość ma zamiar cię przedstawić.

– Odsuń się. – Melli odepchnęła służącą na bok i przystawiła ucho do drewna. W tłumie, który przed zaledwie kilkoma minutami zachowywał się tak głośno, zapadła złowieszcza cisza. Dziewczyna cofnęła się od drzwi, zrozumiawszy, że właśnie przemawia

diuk. Z jakiegoś powodu wolała nie słyszeć tego, co o niej powie. – Nalej mi jeszcze jeden kielich – rozkazała. Nessa szybko wykonała polecenie. Dłonie Mciii drżały tak bardzo, że była zmuszona wypić wino, wyciągając szyję do przodu, by ani jedna kropla nie splamiła jej sukni.

Gdy tylko uniosła kielich do ust, ktoś zapukał trzy razy do drzwi. Był to sygnał nakazujący jej wejść do komnaty. Wsunęła kielich w wyciągniętą dłoń Nessy i poprawiła suknię.

– Dobrze wyglądam?

Służąca skinęła głową, lecz Melli niemal tego nie zauważyła. Drzwi otworzyły się przed nią i oślepiły ją światło oraz dym.

Usłyszała dźwięk tysiąca wstrzymywanych oddechów. Zamarła, niezdolna poruszyć żadną kończyną. Po policzku spłynęła jej strużka potu. Nigdy w życiu tak się nie bała. Gorąco pragnęła odwrócić się i umknąć aż do królestw, by skryć się w bezpiecznych objęciach ojca. W co się wpakowała? Czekali na nią wrogo nastawieni dworzanie, gotowi ją krytykować i potępić.

Wtem, gdy oczy dziewczyny przyzwyczały się już do światła, zauważyła obok siebie diuka, który ujął ją pod rękę, dodając jej sił. Musnął delikatnie wargami jej

usta.

– Chodź, kochanie – powiedział. – Chodź spotkać swych dworzan. Obiecuję, że nie oddalę się od twego boku. – Jego głos był pieszczotą i zarazem pociechą. – Twa uroda przyniesie mi dziś dumę.

Wyprowadził ją z cienia do wielkiej komnaty breńskiego pałacu.

– Panowie i panie – oznajmił, wiodąc ją do głównego stołu. – Oto Melliandra ze Wschodnich Ziem, córka lorda May bora, kobieta, która wkrótce zostanie moją żoną.

Maybor wypuścił kielich z dłoni. To była Melliandra. Jego Melliandra. Nie widział jej od tyłu miesiący i nagle zjawiała się tutaj. Wstał i w trzech potężnych susach znalazł się przy niej. Po mgnieniu oka trzymał ją już w ramionach. Policzki spływały mu łzami. Nie obchodziło go, czy ktoś zobaczy, że płacze. Przesunął dłońmi po włosach córki. Poczul, że rzeczywiście są tak miękkie, jakimi je pamiętał. Była taka drobna i krucha. Nie chciał jej wypuścić.

– Melli, Mciiii – szeptał. – Moja słodka Melli. Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

Drżała jak noworodek. Poczul na szyi wilgoć i zdał sobie sprawę, że jego córka również się rozplakała. Odsunął się, ocierając dłonią łzy z oczu. Była dziesięć

razy piękniejsza niż dotąd sądził.

– Ojczy, przepaszam cię – powiedziała cicho, tak by tylko on to usłyszał.

Uniósł rąbek szaty i delikatnie otarł łzy z jej policzka.

– Cicho, maleńka. Nie czas teraz na żale. Znowu jesteśmy rodziną i musimy się zachowywać stosownie do tego.

Ujawszy dłoń Melli, zwrócił się ku diukowi i jego dworzanom. Pora wykazać się zdolnościami aktorskimi. Nie tylko musiał przekonać tych ludzi, że wiedział o planowanym ślubie, lecz również im zaimponować. Przed (rżenia dniami diuk pyta) go, czy może liczyć na jego opanowanie. Dziś dowiedzie mu, że nie tylko potrafi być opanowany, lecz również przypieczętować umowę.

Odchrząknął. Przesunął wzrokiem po wielkiej komnacie, patrząc w oczy każdemu, kto spoglądał na niego. Mówił bardzo powoli, chcąc nadać każdemu słowu odpowiednią wagę.

– Nie posiadam się z radości, mogąc oddać swą jedyną córkę, Melliandrę, za żonę Brenowi. Użyłem słowa „Bren” świadomie, gdyż doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że Melliandra poślubi nie tylko diuka, lecz również samo miasto. Nie mogę nawet marzyć o

tym, że kiedykolwiek odwdzięczę się za tak wielki zaszczyt, lecz jako ojciec mam obowiązek podjąć taką próbę. Zaoferowałem pokornie diukowi jedną trzecią swych wschodnich posiadłości i jedną czwartą majątku. Zgodził się uprzejmie i spisano już odpowiednie umowy.

Proszę bardzo. Niech nikt nie waży się mówić, że Maybor nie potrafi improwizować.

Spojrzał przelotnie na władcę Brenu, który skinął głową na znak aprobaty. Złapał pospiesznie za kielich i stanął między diukiem a Melliandra.

– Wznoszę toast – krzyknął, łącząc dłonie obojga zakochanych. – Toast za wspaniały związek między dwoma najstarszymi rodami na północy. Niech moc Brenu i Wschodnich Ziem złączy się ze sobą na zawsze.

Gdy wznosił kielich do ust, kąciakiem oka zauważył jakiś ciemny kształt. Był to Baralis. Na jego twarzy malowała się żądza mordy.

Tawł obserwował tłum, który usłyszawszy toast eksplodował szaloną radością. Ludzie nie byli pewni, co sądzić o tym małżeństwie, lecz lordowi Mayborowi udało się zdobyć ich poparcie. Któż nie wzruszyłby się na widok człowieka, który rozplakał się ze szczęścia, słysząc zapowiedź ślubu córki? Światowym,

cynicznym dworzanom trafiła do serca la spontaniczna demonstracja ojcowskich uczuć. Zwłaszcza że Maybor po chwili opanował się i wygłosił piękną mowę. Tawl uśmiechnął się, ocierając usta o grubą atłasową zasłonę. Teraz rozumiał, skąd wziął się temperament Melli.

Stojący z boku głównego stołu Tawl widział niemal wszystkich obecnych. Ukrył się w korytarzu łączącym wielką komnatę z kuchniami. Na co dzień używali go słudzy podający na stoły gorące jadło, dziś jednak uczynił z niego swą osobistą kryjówkę. Poleciał zawiesić w przejściu grubą zasłonę i nakazał, by nikt z kuchni nie ośmielił się podczas uczyty wchodzić do korytarza. Nadawał się on idealnie do dyskretnej obserwacji wydarzeń, a w przypadku nagłego kryzysu posłuży również jako droga szybkiej ucieczki. Tawl mógł w niespełna minutę wyprowadzić Mcii z komnaty do kuchni.

Nie sądził jednak, by miało do czegoś dojść. Nie dzisiaj. Ale pewne jest, że wkrótce coś się wydarzy. Przysunął oko do szpary i spojrzał w twarz Baralisa. Kanclerz nie trudził się nawet udawaniem. Podczas gdy dworzanie przynajmniej demonstrowali życzliwość dla zaręczonej pary, on siedział bez ruchu, zaciskając mocno usta. W jego ciemnych oczach

gorzała nienawiść. Raz za razem dźgał blat czubkiem noża.

Tawl przesunął wzrok na siedzącą na prawo od Baralisa dziewczynę: piękną Catherine z Brenu. Pozory z wielką łatwością mogły wprowadzić w błąd. Wyglądała jak czysta dziewica: tak nie było. Wyglądała jak słodki anioł: tak nie było. Wyglądała jak dziewczyna, która nie mogłaby skrzywdzić nawet muchy: z całą pewnością tak nie było. Tawl do dziś pamiętał jad brzmiący w jej głosie, gdy zaprzysięgła mu śmierć. Nieprzewidywalna, niebezpieczna, biegła w sztuce aktorskiej córka diuka była kimś innym niż się zdawało.

Kiedy okrzyki ucichły, Catherine wstała. Tawl zauważył, jak bardzo pobladła jej twarz i jak drżą dłonie, którymi złapała za oparcie krzesła. Zacisnął palce na rękojeści noża.

– Ja również chciałabym wznieść toast – zawołała głosem piskliwym z emocji. – Toast za mojego ojca, który raczej robi z siebie głupca, poślubiając kobietę dwa razy młodszą od siebie, niż pozwoli swej córce zachować należne jej miejsce.

Machnęła ręką nad blatem, przewracając talerze i kielichy.

Dwaj nieuzbrojeni gwardziści, których Tawl

uprzedził, że może dojść do podobnej sytuacji, zbliżyli się, by ją wyprowadzić. Nie pozwoliła na to.

– To małżeństwo to farsa – krzyczała, wyrывая się z uścisku pierwszego z nich. Jej ciało zeszywniało, oczy zaszyły mgłą, a policzki zaczęły się wypełniać, jakby wstrzymywała oddech. Dłoń, którą trzymała się oparcia, dygotała gwałtownie. Wydawało się, że otaczające ją powietrze zgęstniało. Nagle jednak opanowała się.

Tawl stojący po przeciwnej stronie stołu, zauważył powód jej zmiany. Baralis ścisnął jej dłoń, a potem wyszeptał do ucha trzy słowa.

Ich efekt okazał się dramatyczny. Catherine z wielką godnością odsunęła się od gwardzistów.

– Puśćcie mnie – rozkazała. – Zapominacie, kim jestem.

Reprymendzie towarzyszyło miążdzące spojrzenie. Obaj mężczyźni wycofali się natychmiast, nawet nie spoglądając na diuka. Catherine ruszyła przez komnatę z uniesioną głową i plecami prostymi jak włócznia. Wyszła bocznymi drzwiami.

Po jej zniknięciu dworzanie zaczęli szeptać niespokojnie.

Ukryły za zasłoną Tawl był podenerwowany. Dłoń, w której trzymał nóż, miał wilgotną od potu. Podjął

spore ryzyko, nie wychodząc z korytarza w chwili, gdy Catherine wstała. Nie chciał upokorzyć dziewczyny, wyskakując znikąd i machając jej nożem przed twarzą. Władca Brenu nie byłby z tego zadowolony. Wyglądałoby to tak, jakby nie ufał własnej córce. Dlatego Tawl nie ruszył się z miejsca, gotowy ujawnić się tylko w wypadku, gdyby Catherine spróbowała zaatakować narzeczoną ojca. Wspominając ten incydent, nie był jednak pewien, czy tego nie zrobiła.

Spojrzał pospiesznie na Melli. Siedziała na krześle. Po jednej jej stronie zasiadał diuk, a po drugiej Maybor. Sprawiała wrażenie zmęczonej i lekko wstrząśniętej. Na jego oczach ojciec napełnił jej kielich czerwonym winem. Bez zbytnich ceremonii uniosła go do ust i przełknęła zawartość jednym haustem. Tawl uśmiechnął się. Nadal była sobą.

Wciąż jednak niepokoiła go myśl, że mało brakowało, by do czegoś tu doszło. Między Catherine a Baralidem coś zaszło. Wymienili jakiś komunikat, ostrzeżenie. Wyglądało przy tym na to, że córka diuka natychmiast go wysłuchała. W kilka sekund przeobraziła się z kobiety bliskiej wpadnięcia z gniewu w trans w opanowaną, dworską damę. Co powiedział jej Baralis, że udało mu się do tego doprowadzić? I co by się wydarzyło, gdyby tego nie powiedział?

Tawl cofnął się myślą o pięć lat, do swego pierwszego spotkania z Bevlinem, podczas którego mędrzec jedyny raz w rozmowie z nim otwarcie wspomniało czarach. Powiedział wówczas: „Tak, są jeszcze ludzie, którzy je praktykują. Większość jednak sądzi, że lepiej by było, gdyby tego nie czynili”. Czy Catherine była jedną z tych osób? I Baralis? Kiedy walczył z obrońcą diuka, czuł, że coś” stawia mu opór, osłabia jego wolę, kradnie siły. Catherine była kochanką Blayze’a. Czy użyła czarów, by mu pomóc?

Tawl przebiegł palcami po włosach. Nie miał pewności. Jedyne dowody było niebezpiecznie pozbawione wyrazu spojrzenie Catherine oraz jego własna intuicja. To jednak powinno wystarczyć. Był przerażony własną lekkomyślnością. Nieświadomość nie była żadnym usprawiedliwieniem. Trzeba było natychmiast wyprowadzić Melli z komnaty, nie przejmując się upokorzeniem Catherine! Raz jeszcze przysunął oko do szpary. Melli siedziała za stołem, na honorowym miejscu. Urządziła znakomite przedstawienie. Jadła, piła, śmiała się i flirtowała z lordem Cravinem, czyniąc jednocześnie diukowi żartobliwe wyrzuty za to, że na stole brak gorącego jadła. Była bardzo odważna i silna. Po tak nieprzyjemnym incydencie większość kobiet uciekłaby

z płaczem do swych pokojów. Ale nie Melli. Żeby odebrać jej odwagę, trzeba by czegoś znacznie gorszego niż pełne goryczy słowa. Tawl zdał sobie sprawę, że nigdzie nie widać lewej dłoni dziewczyny. Prześledził wzrokiem linię jej ramienia i zauważył, że pod stołem ściska bardzo mocno rękę ojca. Kostki jej dłoni zbieleły z wysiłku. Na widok tej małej, bladej rączki Tawl zastygł w bezruchu. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby Melli spotkało coś złego.

Oddalając się od zasłony, zauważył, że Baralisa nie ma już na miejscu. Nawet nie spostrzegł, jak kanclerz wychodził. Domyślał się jednak, dokąd się udał. Upewniwszy się, że Melli na razie nic nie grozi. Tawl ruszył ukradkiem przed siebie. Przeszedł przez kuchnie do głównego krużganka, po czym skierował się z powrotem w stronę komnaty. Zbliżając się do głównych drzwi, wypatrzył w oddali odzianą na czarno postać Baralisa. Poszedł za nim. Ten człowiek znał pałac jak własną kieszeń. Skręcał w korytarze, których Tawl nigdy dotąd nie widział, wspinał się na schody skryte przez zasłony lub cienie. Wreszcie dotarli do części pałacu, którą Tawl rozpoznał: komnaty dla kobiet. Obserwował z niszy w kamiennym murze, jak Baralis zbliża się do okutych brązem, dwuskrzydłowych drzwi. Nie musiał pukać. Drzwi się

otworzyły. Czekala za nimi Catherine.

Rozpuscila włosy i zalozyła odsłaniającą ramiona suknie. Skinieniem zaprosila królewskiego kanclerza do środka.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły. Tawł odwrócił się i ruszył ciężkim krokiem do wielkiej komnaty. Co ma zrobić, kiedy diuk wezwie go rano., by wysłuchać relacji i wieczornych wydarzeń? Zacerpnął głęboko tchu, poczym wypuścił powoli powietrze z płuc. Jak mógł mu powiedzieć, że jego największym wrogiem może się okazać własna córka?

Już od dwóch dni Jack wędrował przez krainę, która była gęściej zaludniona i mniej płaska. Nie był zadowolony z obu tych faktów. Schodzić w dół było łatwo, czasem nawet zrywał się do biegu, ale wspinać się pod górę... Potrząsnął głową. To było coś całkiem innego. Uda miał obolałe, kolana mu dokuczały, nawet kostki zachowywały się dziwnie, nie pozwalając stopom zginać się pod odpowiednim kątem, co przy każdym kroku wywoływało ból. Gdyby miał kiedyś szansę zaprojektować świat, wszystkie drogi wiodłyby w dół.

Najważniejszy problem stanowili jednak ludzie. Po prostu nie dało się już ich unikać. Pełno ich było na drogach, roiło się od nich na polach, a las zrobił się tak rzadki, że musiał przemykać od drzewa do drzewa w poszukiwaniu ukrycia. Przekonał się, że bieganie po polu to najpewniejszy sposób przyciągnięcia uwagi. Dwukrotnie ścigali go chłopci z widłami, raz pies, a nawet stado gęsi. Ptaki były najgorsze. Gęgały głośno,

próbując ugodzić okrutnymi dziobami w organy. Zdecydowanie wolałby starcie z psem.

Usłyszał przejeżdżający obok wóz. Padł na ziemię. Znajdował się tuż obok szerokiego traktu. Obie jego strony porastały chaszczce i paprocie. Zamiast pojechać dalej, pojazd zatrzymał się powoli. Jack wciągnął powietrze. Czyżby woźnica go zauważył? Chłopak przycisnął ciało do ziemi i znieruchomiał całkowicie. Usłyszał cichy odgłos kroków, a potem krzaki tuż obok niego poruszyły się. Szelest nie milkł przez pewien czas. Jack uznał, że woźnica załatwia potrzebę, pozostał więc w ukryciu. Kiedy odgłos ucichł i chłopak wypuścił z ulgą powietrze z płuc, krzewy rozsunęły się i spomiędzy nich wyszedł jakiś mężczyzna. W jednym ręku trzymał kosz, a w drugiej kosę. Zobaczywszy Jacka, stanął jak wryty. Uniósł kosę.

– Młody człowieku – zaczął miłym, śpiewnym tonem – jeśli masz zamiar mnie obrabować, ostrzegani cię, że w koszu nie mam nic oprócz ziół. A w wozie nic oprócz grzybów. – Uśmiechnął się radośnie. – I to trujących.

Oszołomiony Jack nie ruszał się z miejsca. Kosa była chyba najgroźniej wyglądającym narzędziem, jakie w życiu widział. Nieznajomy zauważył, na co patrzy chłopak.

– No wiesz, to do ścinania ziół. Jack postanowił się odezwać.

– Przepraszam, że cię zaskoczyłem. Nie chciałem cię przestraszyć.

Starał się przemawiać stłumionym głosem, by ukryć fakt, że pochodzi z królestw.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. Był średniego wzrostu, a siwe włosy opadały mu na ramiona. Nie był jeszcze stary, przekroczył już jednak wiek średni. Swobodnym gestem przytroczył sobie kosę do pasa.

– Po pierwsze, młody człowieku, wcale mnie nie zaskoczyłeś, a po drugie, ponieważ zdawałem sobie sprawę z twojej obecności, nim jeszcze zatrzymałem wóz, z całą pewnością mnie nie przestraszyłeś.

Jack odważył się usiąść. Strzepnął ziemię z twarzy i piersi.

– Widziałeś, jak chowałem się w krzakach? Nieznajomy uniósł dłoń, dotykając wygolonego podbródka.

– Można by tak powiedzieć. – Wyciągnął nagle rękę. – Jestem Stillfox. Miło mi cię poznać.

Chłopak z wielką ostrożnością ujął jego dłoń. Stillfox uścisnął ją z siłą dwukrotnie młodszego mężczyzny, pomagając Jackowi wstać z ziemi.

– Znalazłeś jakieś ciekawe zioła? – zapytał z błyskiem w oczach. Jack wzruszył ramionami.

Stifffox uniósł jego rękę i przyjrzał się uważnie dłoni.

– Pewnie, że nie znalazłeś. Co chłopak z królestw może wiedzieć o anniskich ziołach, prawda?

Jack cofnął rękę.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Nie bój się, nie jestem wróżbitą. Nie dowiedziałem się tego z twojej dłoni. Rozpoznałem akcent.

Czując się bardzo głupio, Jack wymamrotał przeprosiny. Wydarzyło się zbyt wiele, by mógł się w tym wszystkim zorientować. Na przykład, trudno mu było uwierzyć, że jest w Annisie. Rzeczywiście, już od wielu dni dostrzegał majaczące na horyzoncie górskie szczyty, lecz nie poświęcał im zbyt wiele uwagi, sądząc, że są jeszcze bardzo daleko. Od dwóch dni chmury były tak gęste, że w ogóle nie widział gór. Czy naprawdę zaszedł tak daleko? A może to wcale nie było daleko? Choć spędził w chacie Rovasa bardzo długi czas, nie miał pojęcia w jakiej części Halcusu się znajdowała. Od miesięcy przebywał blisko granicy i nawet o tym nie wiedział. Kolejny fakt, który ukryła przed nim Tarissa.

Wszystko nagle nabrało sensu. Garnizon wzniesiono w tym miejscu – jak mu się zdawało, na pustkowiu – po to, by strzegł anniskiej granicy. Nawet przemytniczym interesom Rovasa sprzyjała bliskość wielkiego ośrodka handlowego.

– Jak daleko stąd do miasta? – zapytał.

Slillfox zajął się przeglądaniem zawartości koszyka. Nie podniósł wzroku.

– Trzydzieści pięć mil na wschód. Poranek jazdy albo cały dzień drogi na piechotę. Aha! Wiedziałem, że ją mam! – krzyknął, wyciągając kawałki zeschniętej kory.

– Co masz?

– Wierzbową korę na gorączkę i oczar. żeby oczyścić ranę. Jack uniósł dłoń do piersi.

– Ale...

– Czuję smród ropy – rzekł Slillfox, odpowiadając na pytanie, nim jeszcze Jack zdążył je zadać. – Trzeba ją opatrzyć, chłopcze. To cud. że zaszedłeś tak daleko.

– Skąd wiesz, jak daleko zaszedłem?

Jack zdumiał się ostrością swego tonu. Myślał o garnizonie. Trzeba uważać. Nie chciał, żeby ten człowiek domyślił się, skąd przychodzi. Wszyscy w

Annisie na pewno słyszeli już o pożarze.

Stillfox uśmiechnął się wesoło.

– Tego być może nie wiem, wiem jednak, dokąd się udasz. Jack spojrzał mu prosto w oczy. Mężczyzna był starszy niż dotąd sądził. Błękit jego tęczywek otaczały szerokie, czarne obwódki.

– A dokąd? – zapytał. Stillfox zamrugał powiekami.

– Ze mną do domu.

Nie takiej odpowiedzi spodziewał się Jack.

– Dlaczego?

– Nie pójdiesz ze mną, jeśli ci nie powiem?

– Nie.

– Proszę bardzo – zgodził się Stillfox, kiwając ciężko głową.

– Odkąd rano wyprowadziłem wóz na drogę, wyczuwałem w powietrzu twój ślad. Po prostu dojechałem za nim aż tutaj.

– Jaki ślad?

Zadając to pytanie, Jack zdawał sobie sprawę, że nie spodoba mu się odpowiedź.

– Ślad czarów, chłopcze. – Z twarzy Stillfoxa zniknęła wesołość.

– Niesiesz w sobie pozostałość ostatniego zaczerpnięcia mocy. Jack czuł, że twarz mu blednie,

nie mógł jednak w żaden sposób tego powstrzymać. Ruszył przed siebie.

– Nie wiem, o czym mówisz. Muszę już iść. Stillfox złapał go za rękę. Jego uścisk nie był delikatny.

– Nie bądź durniem, chłopcze. Potrzebujesz pomocy, a ja chcę ci jej udzielić. Postąpiłbyś bardzo nierozsądnie, gdybyś ją odrzucił.

Zniknął śpiewny ton. Stillfox przemawiał teraz cicho i stanowczo.

Chłopak wyrwał się mu.

– Kim jesteś, by decydować co jest, a co nie jest rozsądne? Mężczyzna przeszył go twardym spojrzeniem.

– Kimś, kto wie, że w Annisie roi się od halcuskich żołnierzy poszukujących człowieka, który podpalił ich garnizon.

Rovas poinformował ich dokąd się wybierał Jack kopnął ziemię. Tarissa zapytała go, dokąd idzie, a on odpowiedział, że na wschód. Mogła się domyślić, że uda się tam, dokąd planowali wyruszyć razem. Zastanowił się, ile czasu minęło, nim zdecydowała się zdradzić to przemytnikowi. Najwyraźniej niezbyt wiele, gdyż Halcusowie zdążyli już go wyprzedzić.

Jack spojrział z ukosa na Stillfoxa. Skąd mógł mieć

pewność, że ten człowiek mówi prawdę? I co właściwie wiedział o garnizonie?

– Nie mam powodu bać się Halcusów – stwierdził.

– Po całym mieście rozlepili afisze z opisem człowieka, którego szukają. Wysoki, brązowowłosy, mówi z akcentem z królestw. – Stillfox przyjrzał się uważnie Jackowi. – Annis i Halcus stały się teraz bliskimi przyjaciółmi. Znosi się na to, że niedługo będą walczyć po tej samej stronie. Nie ma przysługi, której Annis nie wyświadczyłby swym przyszłym sojusznikom, a nic nie sprawiłoby Halcusom większej radości niż wydanie im osławionego zbrodniarza wojennego.

– Zbrodniarza wojennego?

Jack nawet nie próbował ukryć zaskoczenia. Stillfox skinął głową.

– Kylock właśnie dotarł do Helchu. Zniszczony garnizon miał wysłać żołnierzy i zapasy na pomoc stolicy. Ponieważ jednak cała żywność spłonęła, a wielu ludzi zostało rannych, odsiecz nie wyruszyła. Niektórzy mówią, że to ten natchniony akt sabotażu zapewnił Kylockowi przewagę. Nie wiem, czy to prawda, ale jedno jest pewne. Helen podda się niedługo. Bardzo niedługo.

Jacka przeszył dreszcz. Czy jego zbrodniom nie

było końca? W jego umyśle otworzyła się przepastna otchłań, nie chciał jednak w nią spojrzeć. Otaczało ją poczucie winy, które mogło ponieść go ku prorocत्वu i udręce. Nie chciał tego. Chcąc skierować myśli na inny temat, spróbował coś powiedzieć, przekonał się jednak, że dał im tylko wyraz.

– Kylock wygra wojnę.

Miało to być pytanie, lecz w jego ustach przerodziło się w stwierdzenie faktu.

Stillfox znów położył mu rękę na ramieniu.

– Chodź ze mną. Przysięgam, że dopóki pozostaniesz pod moim dachem, nie spotka cię żadna krzywda.

Wydawało się, że za jego uściskiem kryje się coś więcej niż mięśnie. Jack czerpał z niego siłę i spokój. Otchłań zamknęła się i nie czuł już strachu. Był tylko zbity z tropu.

– Dlaczego chcesz mi pomóc?

– Dlatego, że rozpoznaję w tobie jednego z nas – odparł Stillfox, prowadząc go w stronę traktu. Jego głos odzyskał śpiewny akcent. Jack zastanawiał się przez chwilę, czy miał on zamaskować pewną dwuznaczność słów mężczyzny.

– Psst! – syknął Stillfox, nim chłopak zdążył się odezwać. Na gościńcu byli jeźdźcy. Przykucnęli w

krzakach, czekając, aż ich miną. Gdy droga była już pusta, kazał Jackowi wyjść z ukrycia, podszedł do wozu od tyłu i uniósł plandekę. – Właż. Szybko.

Jack schował się pod impregnowaną tkaninę. Wóz pachniał pleśnią. Stillfox przykrył chłopaka, po czym przeszedł na przód pojazdu.

– Możesz śmiało jeść grzyby – szepnął, chwytając za lejce. – Kłamałem. Wcale nie są trujące.

Tawl patrzył na zbliżającego się diuka. Jego Miłość początkowo chciał się z nim spotkać w komnatach Melli, Tawl wołał jednak nie podejmować ryzyka, że dziewczyna podsłucha ich rozmowę. Dlatego umówili się tutaj, na dziedzińcu dla dam.

– Cieszę się, że cię widzę, przyjacielu – odezwał się władca Brenu, podchodząc bliżej, by uścisnąć mu dłoń. – Wszystko wczoraj poszło dobrze, prawda?

– Mel... – Tawl powstrzymał się. – Twoja pani okazała siłę i wdzięk.

Diuk skinął głową.

– Była wspaniała, prawda? – Przerwał na chwilę, wyraźnie zadowolony. – Jej ojciec również. Podbiegając do córki i zalewając się łzami, zdobył więcej serc niż mógłby tego dokonać rozdawnictwem złota. Nie potrafiłbym zaplanować tego lepiej.

Słowa diuka z jakiegoś powodu poirytowały Tawla.

– Słyszałeś już wieści z Helchu? – zapytał, celowo zmieniając temat.

– Nie. Cały ranek przyjmowałem pełnych ulgi wielmożów. Po moim wczorajszym oświadczeniu dworzanie z pewnością spali lepiej.

– Kylock złamał obronę Helchu. Wdarł się do miasta. Już tylko mury zaniku dzielą go od ostatecznego zwycięstwa.

Diuk wciągnął szybko powietrze. Jego dłoń opadła na rękojeść miecza.

– Niech go piekło! Kiedy to się stało?

– Przed dwoma dniami.

– Zamek Helch to potężna forteca. Przyzwoita armia mogłaby go bronić miesiącami.

– Zapominasz, że Kylock ma informacje o umocnieniach Helchu. Otrzymał je od rycerzy. Zapewne dzięki temu udało mu się tak szybko sforsować mury miejskie.

Diuk chrząknął.

– To naprawdę złe wieści. – Odwrócił się plecami do Tawla i zaczął spacerować po dziedzińcu. Po kilku chwilach odwrócił się nagle. – Im prędzej poślubię Melliandrę, tym lepiej. Powiedziałem dworzanom, że zamierzam to uczynić, nim minie miesiąc, nie mogę jednak sobie pozwolić na tak długie czekanie. Muszę

odciąć siebie i Bren od tego, co robi Kylock w Helchu. Kiedy gród upadnie. Annis i Highwall natychmiast chwycą za broń, a jeśli nawet przez chwilę będą sądzić, że Kylock pewnego dnia będzie władać Brenem, bez wahania zwrócą się przeciw nam.

– Nim minie dzień, w obu miastach dowiedzą się o twych małżeńskich planach.

– Plany już nie wystarczają. Chcę, żeby Melliandra jak najszybciej poślubiła mnie i zaszła w ciążę. Dopiero wtedy Bren będzie bezpieczny.

Tawl wiedział, że diuk ma rację, nie podobało mu się jednak, że mówi w ten sposób o Melli.

– Samej pani też może grozić niebezpieczeństwo.

– Co masz na myśli?

– Sądzę, że nie dalej jak za kilka dni lord Baralis dokona zamachu na życie Melliandry. Obserwowałem go wczoraj na bankiecie. Nie wyglądał na zadowolonego. – Mówiąc te słowa, Tawl zadawał sobie pytanie, czy powinien wspomnieć również o Catherine. – Mam powody, by sądzić, że może podjąć próbę zabójstwa. – Przekonał się, że nie potrafi powiedzieć diukowi, iż jego własna córka może spiskować przeciwko niemu. – Im szybciej ją poślubisz, tym lepiej – kontynuował szybko, nie chcąc

dać diukowi czasu na podważenie swego rozumowania. – Gdy już zamieszka w twych komnatach, znacznie łatwiej będzie zadbać o jej bezpieczeństwo.

– Tak. – Diuk skinął powoli głową. – Rankiem otrzymałem błogosławieństwo duchownych. Nie wysuwają żadnych sprzeciwów. Mogę ją poślubić, kiedy tylko zechcę. Oczywiście wszyscy się spodziewają, że zaczekam z tym parę tygodni.

– Ceremonia powinna być dyskretna. Tak będzie lepiej – zauważył Tawl.

– Masz rację. – Diuk wy dobył miecz zza pasa i zaczął mu się przyglądać, unosząc ostrze ku słońcu. – Może najlepiej będzie, jeśli urządzimy ją w tajemnicy i ogłosimy wszystko dopiero następnego dnia, kiedy zrobi się już za późno na sprzeciwy. – Zadowolony z oględzin miecza, umocował go u pasa. – Lord Baralis i dworzanie nie będą wtedy mogli nic na to poradzić.

Choć Tawl wiedział, że tak będzie najlepiej, jakaś część jego jaźni wołałaby, żeby ślub nie odbył się zbyt szybko. Albo nawet nie odbył się wcale. Zaczynało mu zależeć na Melli i gniewał go fakt, że diuk tak obojętnie manipuluje jej osobą w celach politycznych. Musiał jednak starannie ukryć owe uczucia. W pierwszej kolejności był winien wierność diukowi.

– Czy potajemny ślub może wywołać jakieś uzasadnione sprzeczności?

– Nie, jeśli stawiają się wszyscy potrzebni duchowni, arcybiskup i wystarczająco wielu szanowanych świadków – rozwiął jego obawy diuk. – Mój pradziadek poślubił w tajemnicy dziewczynę, która była córką pomniejszego wielmoży, a on popadł już wówczas w starcze otępienie. Wszyscy protestowali. Przez długie miesiące całe miasto było pod bronią, ale nikt nie zdołał anulować małżeństwa, ponieważ zawarto je z błogosławieństwem kościoła.

– A więc istnieje precedens?

– Tak. – Diuk uśmiechnął się blado. – Żeby się upewnić, że wszystko odbędzie się jak należy, rozkażę też stawić się Catherine.

To było ostatnie, czego chciałby Tawl. Gdy tylko Catherine dowie się o ślubie, natychmiast pobiegnie do Baralisa.

– Twoja córka była wczoraj bardzo podenerwowana – powiedział, starannie dobierając słowa. – Może uczynić coś nierozsądnego.

Diuk wzruszył lekceważąco ramionami.

– Nie przejmuj się jej dziewczęcym napadem złości. To nic więcej, jak urażona duma. Wieczór miał należeć do niej, a ja skradłem jej cały aplauz. –

Odwrócił się plecami do Tawla. – Właściwie nie mogę jej o to winić.

– A więc zamierzasz powiadomić ją o ślubie?

– Gdy tylko wszystko załatwię. Wczoraj przekonałem się, że zbyt wiele przed nią ukrywałem. Jeśli zaproszę ją na ceremonię, nie będzie się dłużej czuć pomijana.

Twarz Tawla nic nie wyrażała.

– No dobrze. Kiedy ma się odbyć ślub?

– Za dwa dni. – Diuk myślał głośno. – Tak. To da staremu arcybiskupowi mnóstwo czasu na odkurzenie szat. Ceremonia odbędzie się tu, w pałacu, w kaplicy dla dam.

– Tej na dole?

– Nie, ta jest dla służby. Kaplica dla dam jest bardziej odpowiednia i dyskretniejsza.

Tawl skinął głową. Kaplica dla służby była zbyt publicznym miejscem. Każdy mógłby się do niej zakraść. Strzegło jej dwóch mężczyzn, którzy cały czas byli na wpół pijani.

– Ja zadbam o bezpieczeństwo. Nie mów dziś nic nikomu poza arcybiskupem. Całą resztę zawiadam rankiem w dniu ślubu.

Tawl myślał o Catherine.

– Proszę bardzo. – Gdy decyzja już zapadła, diuk

wyraźnie pragnął się oddalić. – Pójdę najpierw do arcybiskupa, palem do Melliandry, a na koniec do Catherine.

– Ale...

– Nie, Tawlu – przerwał mu diuk. – Nie mogę powiadomić córki dopiero na kilka godzin przed ślubem. To wyglądałoby tak, jakbym jej nie ufał. – Przeszył Tawla twardym spojrzeniem, kładąc kres dyskusji. – Przyślę do ciebie Bailora. Możesz z nim wszystko ustalić. W kaplicy muszą być kwiaty i tak dalej. Nie chcę, żeby Melliandra poczuła się czymś rozczarowana.

Tawl pokłonił się.

– Dopilnuję, by wszystko było na miejscu.

Diuk odwrócił się na pięcie i oddalił, przecinając dziedziniec. Tawl stał tam jeszcze przez pewien czas. Słońce południa świeciło mu na plecy, rzucając przed nim mały, ale głęboki cień.

Crope pospiesznie przemykał targowymi ulicami. Nie znosił wychodzić za dnia, zwłaszcza kiedy świeciło słońce. Wszyscy gapili się na niego, mężczyźni się śmiali, a dzieci rzucały patykami i kamieniami. Próbował zakładać kaptur, lecz w ciepły, pogodny dzień, taki jak dziś przyciągał tylko w ten sposób więcej uwagi. Wyglądał jak kat. Gdyby nie

było tu ludzi, mógłby poświęcić dowolnie wiele czasu na przyglądanie się zwierzętom w klatkach: kuropatwom, prosiaczkom, sowom. Nie śmiał jednak nawet zwolnić – chyba że przy sowach – bojąc się, że sprzedawcy przeklną go za odstraszenie płacących klientów. W przeszłości zdarzało mu się to bardzo często.

Potrafił jednak znaleźć pociechę. W woreczku, który miał wszyty w połę płaszcza, siedział potężny szczur. Wielki Tom, jak nazywał go Crope, był jednym z eksperymentów jego pana, i urodził się bez jednej łapki. Pan kazał go utopić, ale Crope nie miał serca tego zrobić. Małe, paciorkowate ślepiec Wielkiego Toma przypominały mu oczy matki. Utykał też tak jak ona. Dlatego Wielki Tom już od kilku miesięcy pomagał mu żyć. Crope wołał nie ryzykować, że jego pan dowie się, iż nie wykonał rozkazu. Potrząsnął energicznie głową. Nie, tego by nie chciał.

Kiedy przepychał się do straganu zielarskiego, próbując sobie przypomnieć udzielone przez pana wskazówki, sięgnął dłonią za pazuchę, by poczuć uspokajający ciężar drugiej rzeczy, która dodawała mu otuchy: jego malowanej szkatułki. Gdy tylko jej dotknął, od razu poczuł się lepiej. Była najstarszym i najcenniejszym przedmiotem, jaki posiadał. Dała mu ją

przed wieloma laty piękna pani, która była jego przyjaciółką. Połączyła ich miłość do zwierząt, zwłaszcza ptaków. Na wieczku przedstawiono jej ulubione mewy. Mówiła, że przypominają jej dom.

Ktoś przepchnął się brutalnie obok Croke'a, wrywając go ze wspomnień.

– Z drogi, ty ociążały prostaku – warknął niski, cuchnący mężczyzna, który w jednej ręce trzymał kilka sztuk materiału, a w drugiej szpilki i nożyczki. Z pewnością był krawcem. Nim Croke zdążył powiedzieć „Przepraszam”, człowieczek się oddalił. Croke przyglądał się, jak przedziera się przez tłum. Pewną satysfakcję sprawił mu fakt, że nie był jedyną osobą, którą odepchnął na bok. Taki sam los spotykał kobiety, starców i straganiarzy. Nagle krawiec wybrał sobie niewłaściwą ofiarę. Walnął łokciem wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który – zamiast zejść mu z drogi – odwrócił się i uderzył go prosto w twarz. Beł materiału i szpilki pofrunęły w powietrze. Krawiec padł na ziemię. Mężczyzna kopnął go jeszcze raz, splunął na niego, po czym ruszył przed siebie, nie zważając na wrogie spojrzenia tłumów.

Serce Croke'a zabiło jak szalone. Rozpoznał (ego człowieka. Był to Traff, najemnik pana. Na jego oczach wmieszał się w tłum. Po chwili olbrzym

podążył za nim.

Pogłaskał podekscytowany Wielkiego Toma.

– Pan będzie zadowolony – wyszeptał do szczura, idąc za Traff'em przez miasto.

– Jestem bardzo zadowolony, Croke – oznajmił Baralis. – Dobrze się spisałeś.

Gigant rozpromienił się.

– Wypatrzyłem go własnymi oczyma, panie.

– I gdzie w końcu wylądował?

– W bardzo miłym domku, panie. Były tam damy wyglądające przez okna.

– Hmm, w burdelu. Czy to było na Burdelowej? – Widząc, że sługa go nie zrozumiał, Baralis spróbował raz jeszcze. – Czy było tam dużo podobnych domów, z wyglądającymi przez okno damami?

Croke skinął energicznie głową.

– Tak, panie. Piękne damy. Cała ulica pięknych dam.

– A czy Traffi” zauważył, że za nim idziesz?

– Nie, panie, ale mógł usłyszeć damę, która mnie przegoniła.

– Jaką damę?

– Tę bez przednich zębów. Zauważyła, że stoję pod domem i powiedziała mi... – Croke przerwał, próbując przypomnieć sobie dokładne brzmienie jej słów...

żebym wyniósł się stąd do jaskini, z której przyszedłem.

Baralis zamachał rękami.

– Wystarczy. Idź już.

Zaczekał, aż jego sługa wyjdzie z komnaty, po czym zaczerpnął głęboko tchu. Crope znalazł kogoś, kto mógł się okazać bardzo użyteczny. Naprawdę bardzo użyteczny.

Na biurku leżał przeciwbólowy środek, który miał właśnie połknąć, kiedy wrócił jego sługa. Złapał za fiolkę i cisnął ją w ogień. Jej zawartość rozjarzyła się czystym, białym płomieniem. Nie będzie teraz potrzebował lekarstwa.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi. Nim zabrzmiało ostatnie uderzenie, wiedział już, kto idzie.

– Catherine, mówiłem ci, żebyś” tu nie przychodziła – powiedział otwierając drzwi. W jego głosie nie było delikatności. Nim wpuścił ją do środka, rozejrzał się uważnie w obie strony.

Zauważyła jego ostrożność.

– Nie jestem głupia, lordzie Baralisie – oburzyła się. – Sądziś, że przyszłabym tutaj, nie upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi?

Policzki miała bardzo zarumienione. Piła.

Baralis zamknął drzwi, podszedł do biurka i nalał

jej kielich wina. Nie zaszkodzi, jeśli Catherine wypije jeszcze trochę. Wręczając dziewczynie puchar, przesunął palcami po jej nadgarstku.

– Wybacz mi, że użyłem tak ostrego tonu, moja słodka Catherine – powiedział głosem tak barwnym i uwodzicielskim, jak wino, którego jej nalał. – Niepokoiłem się o ciebie, nic więcej.

Widział, że zastanawia się, jak zareagować na jego słowa. Jej różowe usta zadrżały, po czym ich wyraz złagodniał.

– Gdyby tylko ojciec okazywał mi podobne względy. Baralis uśmiechnął się czule. Była dzieckiem, które wdało się w grę dorosłych. Ujął ją za rękę, podprowadził do łóża i kazał usiąść. Gdy spoczęła wygodnie, wyciągnął rękę i dotknął jej złotych włosów. Był to jedynie wyrachowany gest.

– Wypij to, moja słodka Catherine – zaproponował cicho. – A potem powiedz mi, dlaczego tu przysłaś.

– Ojciec żeni się z tą kobietą potajemnie – oznajmiła, nim jeszcze wino wyschło na jej języku. – Pojutrze.

– Powiedział ci to?

– Tak. Chce, żebym podczas ceremonii była druhną. Ma nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami. – Głos Catherine nabrał przenikliwego tonu. –

Przyjaciółkami! Jak śmie? Ukradł mi moje dziedzictwo, a teraz spodziewa się, że zaprzyjaźnię się z kobietą, która jest za to odpowiedzialna.

Baralis niemal nie słyszał jej słów. Myślał gorączkowo. Trzeba będzie zrobić to szybciej niż mu się zdawało. Jak najszybciej. Diuk musi zginąć, a Kylock zostać władcą Brenu. Snuł plany od dziesięcioleci i nic ani teraz, ani nigdy – nie stanie mu na drodze. Północ będzie należała do niego.

Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i stanął przy kominku. Kiedy już się ogrzał, ponownie zwrócił się ku Catherine.

– Jak najłatwiej można się dostać do komnat twojego ojca? Zawahała się na mgnienie oka.

– Istnieje tajne przejście, które prowadzi tam z kaplicy dla służby. Pilnuje go tylko jeden gwardzista. Ojciec przemyca tamtędy nisko urodzone kobiety do swej sypialni. Wejście jest za ołtarzem, zakryte środkową płytą.

Uwadze Baralisa nie umknęło ani wahanie, ani jego znaczenie. Catherine nie była tak lekkomyślna, jak mogłoby się zdawać. Czowała jeszcze lojalność wobec ojca. Baralis zdał sobie sprawę, że będzie musiał zmodyfikować podejście. Nie mógł narażać się na to, że córka diuka zrobi coś nierozsądnego – na przykład

pobiegnie do ojca. Była niebezpiecznie niezrównowazona. Dowiodła tego ostatniej nocy. Kiedy gwardziści chcieli ją odciągnąć od stołu, naprawdę spróbowała zaczerpnąć mocy. W wielkiej komnacie breńskiego pałacu, na oczach całego dworu, chciała zaatakować Melliandrę za pomocą czarów. Zablokował ją, rzecz jasna. Głupia dziewczyna nie miała pojęcia, co to powściągliwość. Gdyby przyłapano ją na używaniu magii, diuk byłby zmuszony natychmiast ją wydziedziczyć. Na północy czarów nie tolerowano.

Tak, pomyślał, będzie musiał uważać, co powie Catherine. Nie można było na niej polegać.

– Nie interesuje mnie twój ojciec, tylko jego żona. Kiedy już dojdzie do ślubu, Melliandra nie będzie się oddalała od jego boku. Słabe punkty diuka staną się jej słabymi punktami.

– Chcę, żeby zginęła. – Tym razem w głosie Catherine nie było wahania. – Ona i ten jej opiekun, obrońca diuka.

Baralis usiadł obok niej i ujął jej dłoń.

– Nie bój się, moja słodka Catherine, zrobię to dla ciebie.

– A co z moim ojcem?

– Nie mam nic przeciwko niemu – skłamał Baralis.

– Zostawię go w spokoju.

Na twarzy Catherine rozbłysł wyraz ulgi. Ukryła go pospiesznie.

– Kiedy już pozbedziemy się tej kobiety, ojciec odzyska rozsądek. Myliła się, bardzo myliła. Gdyby zamordowano tylko Melliandrę, diuk wkrótce poślubiłby inną kobietę, spłodził kolejne dziecko i po raz drugi zagroził jej dziedzictwu. Baralis nie mógł na to pozwolić. To, co należało do Catherine, wkrótce stanie się własnością Kylocka, a to, co było własnością Kylocka, należało do niego.

– Idź już, moja słodka Catherine. Wszystko załatwię. – Ściągnął ją z łoża. – Nie musisz zaprzętać sobie głowy szczegółami.

– Czy zrobisz to sam? – zapytała, gdy prowadził ją ku drzwiom.

– Nie. Znam kogoś, kto uczyni to za mnie.

Zatrzymał dłoń na zatrzasku. Miał na myśli pewnego najemnika imieniem Trawl.

– Skorzystasz z tajnego przejścia?

Baralis uniósł palec do ust. Catherine zadawała zbyt wiele pytań. Otworzył drzwi i upewnił się, że w korytarzu nikogo nie ma. Nim wypuścił dziewczynę, pocałował ją w usta. Pochyliła się ku niemu. Odsunął się, nim pocałunek miał szansę przerodzić się w coś

więcej.

– Zaufaj mi – wyszeptał i zamknął drzwi.

Jack znowu śnił o Mciiii. W jakiś sposób zakradła się ona do nawiedzającego go od dawna snu o mieście, którego mury zwieńczały wysokie blanki. Była uwięziona za owymi murami. Nie mogła uciec. W oddali słyszał tumult: krzyki gniewnego tłumu. Dopiero gdy stały się głośniejsze, dotarło do niego, że nie stanowią części snu. Otworzył oczy. Znajdował się w małym magazynie, który pospiesznie przerobiono na sypialnię. W pomieszczeniu nie było okien, panowała więc w nim ciemność. Ogarnięty lekką paniką chłopak podniósł się. Otarł głowę o coś – sądząc po zapachu, suszące się zioła. Pochylając się, by ich nie postrzącać, ruszył ku drzwiom.

Stillfox wyglądał przez okno. Gdy tylko usłyszał, że do izby wchodzi Jack, zamknął okiennice.

– Ale mnie przestraszyłeś, chłopcze – powiedział, klepiąc się po piersi w okolicach serca.

– Przepraszam. Chciałem się przekonać, co to za hałas.

– Helch właśnie skapitulował. Kylock nie dał Halcusom wyboru. Spalił całe miasto. Tylko zamek jeszcze się trzyma. Cały Annis chwycił z tego powodu za broń. Ludzie wyszli na ulice, żeby zaprotestować...

Slillfox mówił dalej, lecz Jack już go nie słuchał. Znieruchomiał, a cały otaczający go świat ogarnęła czerń. Tym razem nie stawiał oporu. Kylock zdobył Helch. Wojna zaczęła się na dobre.

Baralis mknął przez breńskie ulice, prawie nie dotykając stopami plugastwa. Był wczesny ranek i wschodzące słońce rzucało przed nim długi cień. Zbliżając się do Burdelowej, zwolnił kroku. Zauważył staruszkę, który grzebał w odpadkach w otwartym rynsztoku. Ten się nada.

– Hej, ty – rzucił, zbliżając się do niego. – Który z tych burdeli prowadzi kobieta bez przednich zębów?

By się upewnić, że natychmiast otrzyma odpowiedź, wzmocnił swe słowa leciutkim przymusem. Czas miał dziś kluczowe znaczenie. Staruszek otworzył otoczone wrzodami usta.

– Siostra madame Thomypurse nie ma przednich zębów. Prowadzi ten burdel z czerwonymi okiennicami, po lewej stronie.

Mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego, jakby nie bardzo wiedział, co i dlaczego mówi.

Baralis pozdrowił go pochyleniem głowy. Zastanowił się, czy nie rzucić mu monety, postanowił jednak tego nie robić. Po co marnować pieniądze na zapłatę za coś, co otrzymał już za darmo? Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę budynku, który opisał staruszek.

Załomotał głośno do drzwi. Po kilku chwilach otworzyła mu jakaś kobieta. Zobaczywszy go, śmieszne stworzenie urządziło prawdziwe widowisko. Poprawiło sobie włosy i wygładziło suknię.

– Słucham, przystojny panie. Czym mogę służyć?

Miała wszystkie zęby, aczkolwiek były tak krzywe i żółte, że niewiele jej to pomagało.

– Z kim rozmawiam? – zapytał. Kobieta dygnęła niczym niewinna dziewczica.

– Madame Thomypurse, właścicielką tego pięknego zakładu.

– Czy mieszka tu człowiek imieniem Traff?

Nozdrza Baralisa wypełnił łatwy do rozpoznania odór zdechłych szczurów.

Właścicielka burdelu uniosła drżącą dłoń do piersi. Miała już coś powiedzieć, gdy na bok odepchnęła ją, druga kobieta.

– Nigdy nie zdradzamy imion naszych klientów – oznajmiła. Nie miała przednich zębów.

Baralis odgadł, że kobieta domaga się łapówki. Wyciągnął spod płaszcza złotą monetę.

– Muszę omówić z Traffem pewne ważne sprawy – oznajmił, wciskając chłodny pieniążek w czekającą dłoń kobiety.

– Wejdz proszę, szlachetny panie – usłyszał w odpowiedzi. – Przyprowadzę do ciebie Traffa.

Skierowano go do wielkiej, brudnej sali, w której na podłodze spało kilka dziewczyn.

– Macie tu jakieś mniej tłoczne miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać?

– Oczywiście – potwierdziła kobieta cuchnąca zdechłymi szczurami.

– Ale to będzie więcej kosztowało – dorzuciła ta, która nie miała przednich zębów.

Kolejna złota moneta przeszła z rąk do rąk i Baralisa wprowadzono do ciasnej, słabo oświetlonej izdebki położonej na zapleczu. Było tam jedno okno o zamkniętej na głucho okiennicy.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Traff. Najemnik demonstracyjnie poobracał jeszcze chwilę w ustach żujkę, nim wreszcie ją wypluł.

– Czego chcesz, Baralisie? – zapytał. Wydobył zza pasa nóż i zaczął czyścić nim paznokcie.

Królewski kanclerz obrzucił go chłodnym

spojrzeniem. Traff nie wyglądał dobrze. Włosy miał przetluszczone, a ubranie pokryte plamami. Dorobił się też krótkiej brody. Między szczecina tkwiły płatki żujki. Brud, który usuwał spod paznokci, miał kolor zakrzepłej krwi.

– Walczyłeś z kimś? Traff uniósł wzrok.

– Zawsze wygrywam.

Najemnika nie opuszczała bezczelność. Baralis postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Słyszałeś, że diuk chce się ożenić z córką Maybora?

Traff rzucił nożem, który przemknął obok Baralisa i wbił się w ścianę.

– Nikt nie ożeni się z Melli – warknął.

Baralis miał już na wargach obronne zaczerpnięcie mocy, lecz usłyszawszy słowa Trafia wciągnął ją z powrotem do płuc. Nie znał przyczyny gniewu najemnika, mógł jednak go wykorzystać.

– Mnie również to by odpowiadało, przyjacielu – szepnął. – Nie chcę, żeby Melliandra wyszła za mąż.

– A to dlaczego? – zapytał Traff, nagle zainteresowany.

– Ponieważ pragnę, by dziedziczką Brenu pozostała Catherine, a la utraci dziedzictwo, jeśli Melliandra wyjdzie za diuka, a potem urodzi syna.

W tym przypadku najlepiej było powiedzieć prawdę.

– I co zamierzasz uczynić?

– Zamordować diuka. Co do Melliandry, możesz sobie z nią zrobić, co zechcesz – dodał, domyślając się motywów Traffia.

Najemnik oblizał usta.

– A jak chcesz tego dokonać?

Baralis pozwolił sobie na skromny uśmiezek samozadowolenia. Najwyraźniej udało mu się odgadnąć prawdę. Traff zakochał się w córce Maybora. Stało się to zapewne wtedy, gdy wielmoża wysłał go, by ją pojmał. Królewski kanclerz czuł się coraz pewniej. Los znowu był po jego stronie.

Zaczerpnął szybko tchu i spojrzał Traffowi prosto w oczy.

– Chcę, żebyś mi pomógł. Ślub odbędzie się jutro, potajemnie. Kiedy para wróci po ceremonii do swych komnat, złożysz tam krótką wizytę ze swym nożem. Znam tajne przejście wiodące z kaplicy dla służby do pokojów diuka. Skorzystasz z niego. – Przerwał na chwilę, by zmodyfikować swój plan stosownie do potrzeb Traffa. Najemnik pragnął Melliandry. Jeśli miał z nią uciec, nowożeńcom nie można było pod żadnym pozorem pozwolić na skonsumowanie

małżeństwa. Baralis nie mógł ryzykować, że córka Maybora wypłynie skądś za kilka miesięcy, twierdząc, że nosi w swym łonie dziecko diuka. – Kiedy wrócą z kaplicy, musisz już na nich czekać.

Traff przeszył Baralisa długim, twardym spojrzeniem.

– Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci ufać?

– Nie możesz. Pewne jest tylko to, że będę czekać przy drzwiach do tajnego przejścia, żeby się upewnić, czy wykonałeś robotę. Z kuchni będzie ci łatwo uciec z Melliandrą. Załatwię wszystko, co trzeba. – Baralis podszedł do najemnika i położył mu dłoń na ramieniu. – Nie pytam cię, co chcesz zrobić z dziewczyną. To już nie moja sprawa.

Traff cofnął się przed jego dotykiem.

– Czy przed komnatą diuka będą strażnicy?

– Tylko jeden. Dopilnuję, żeby w jego *ale* znalazło się coś, co spowolni ruchy.

Żołnierzy łatwo było otruć. Nikt nie kosztował ich potraw.

– Chcę jeszcze dziś dostać pięćset sztuk złota.

– Zgoda. – Baralis ruszył ku drzwiom. – Croye to załatwi. Czekaj jutro o świcie pod wschodnim murem pałacu, przy wejściu dla służby. Przyjdę po ciebie.

Kiedy już miał wyjść, Traffi zaskoczył go pytaniem:

– Czy Mciiii kocha diuka?

Baralis dostrzegł w oczach najemnika błysk obsesji. Ucieszyło go to.

– Nie. Ojciec zmuszają do małżeństwa.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Trafia zadowoliliła ta odpowiedź.

– Tak też myślałem. Przyjdę tam jutro.

– Świetnie. Tylko się nie spóźnij.

Baralis odwrócił się i wyszedł z izby. Kobieta śmierzcząca szcurami pomknęła mu na spotkanie, przegonił ją jednak. Sam znalazł wyjście.

Wracając do pałacu, był w dobrym nastroju. Spotkanie z Traffem przebiegło lepiej niż mógł się tego spodziewać. Fakt, że najemnik był zakochany w córce Maybora, ułatwił mu znacznie zadanie. Traff wręcz rzucił się na szansę zamordowania diuka. Wypadki znowu toczyły się po myśli kanclerza. Szedł przez miasto, przyspieszając stale kroku. Czekало go dziś wiele zadań: trzeba było dostarczyć złoto, przygotować truciznę i przypomnieć pewnym strażnikom o ich zobowiązaniach.

Pani Greal stała po kostki w plugastwie. Niemal nie czuła jego smrodu. Była zajęta wyciąganiem z policzka wielkiej drzazgi. Złapała zdrową ręką za jej koniuszek i pociągnęła z całej siły. Ból był straszliwy. Kolec wbił

się głęboko, a kiedy wyszedł, popłynęła krew. Pani Greal pomyślała, że miała szczęście: tylko grubość palca dzieliła drzazgę od oka. Nawet nie próbowała powstrzymać krwawienia. Jakże znaczenie miała odrobina krwi w porównaniu z tym, co przed chwilą } podsłuchiwała?

Odniosła tę ranę, przystawiając ucho do pewnej drewnianej okiennicy. Przy wiodła ja, tu ciekawość.

Gdy tylko ciemnowłose szlachcic podszedł do drzwi, domyśliła się, że pochodzi z Czterech Królestw. Pytając o Trafia, wzmógł jeszcze jej zainteresowanie. Jej siostra poszła po najemnika, a pani Greal wyszła na zewnątrz. Brodząc przez nieczystości, przeszła na zaplecze budynku. Gdy już się tam znalazła, przytuliła się do okiennicy i wysłuchiwała całej rozmowy nieznanego z najemnikiem. Z zaskoczeniem dowiedziała się, że tajemniczy szlachcic to nie kto inny, jak lord Baralis, królewski kanclerz, szybko jednak spotkała ją jeszcze większa niespodzianka, gdy usłyszała, jakie są jego zamiary.

Pani Greal całe życie nadstawiała uszu pod drzwiami, oknami, ścianami, podłogami i parawanami. To zdumiewające, czego może się dowiedzieć biedna, niezameżna kobieta, jeśli tylko ma czuły słuch i dobry węch, pozwalający zwietrzyć intrygi. Pani Greal oba te

zmysły miała niezwykle sprawne. Zawsze rutynowo podsłuchiwała swoje dziewczyny, klientów, konkurentki, a ostatnio również siostrę, madame Thornypurse. Słyszała dotąd powtarzane od niechcienia plotki, mnóstwo małostkowych kłótni, sporo przydatnych w interesach informacji oraz bardzo wiele nieprzyjemnych uwag na swój temat. Nigdy jednak, przez wszystkie te lala, które poświęciła na kierowanie swych czułych jak u nietoperza uszu tam, gdzie ich nie proszono, nie podsłuchiwała niczego o porównywalnym znaczeniu. Spisek celem zamordowania diuka Brenu! To było marzenie szantażysty. Stojąc pośród ciepłych, śmierdzących nieczystości, pani Greal zastanawiała się, co zrobić teraz. Czy powinna zapobiec morderstwu? A może poczekać, aż do niego dojdzie, i dopiero potem przystąpić do akcji? Uniosła dłoń do twarzy i przebiegła palcem po ustach. Poczowała aż za dobrze znaną wklęsłość świadcząca o braku zębów. Wybił je lord Maybor. Ojciec narzeczonej.

Pani Greal zmrużyła małe oczy. Pozwoli, by dokonano morderstwa. W ten sposób lord Maybor bardzo ucierpi. Straci i córkę, i szansę spowinowacenia się z diukiem przez małżeństwo. Tak, zachowa swą małą tajemnicę, aż do chwili, gdy zbrodnia zostanie popełniona. Nie tylko da jej to więcej satysfakcji, lecz

również znaczniejszy zysk. Wszyscy wiedzieli, że szantażyści zarabiają więcej od donosicieli. Zadowolona z siebie pani Greal ruszyła z powrotem do burdelu, brnąc powoli przez plugastwo.

– Masz, chłopcze – powiedział Stillfox, wręczając mu drewniany kubek o osobliwym kształcie. – Wypij trochę lakusa. To pomoże ci wrócić do zdrowia.

Świat Jacka zaczął się ponownie rozszerzać;. Jego pole widzenia, które – w chwili, gdy usłyszał, że Helch poddał się Kylockowi – zawęziło się do mrocznego punktu, stało się teraz wystarczająco szerokie, by dostrzegał kubek i trzymającą go rękę. Silna, lecz przyjemna woń płynu zdawała się działać jak urok, przeganiając z jego nozdrzy i myśli smród rozkładających się powoli trupów.

Był tam! W halcuskiej stolicy. Stał pośród rzezi, którą spowodował Kylock. Tam i w wielu innych miejscach, nie wiedział, czy w przyszłości, czy też w przeszłości. Ujrzał prawdę o wojnie. Nie była ona sumą chwalebnych pojedynków, lśniących mieczy i mężczyzn związanych nakazami honoru. Wojna oznaczała krew, brud i chaos. Muchy, gorączkę, zakażenie, błoto, skażoną wodę i głód. Zwycięstwo należało nie do najdzielniejszych, lecz do najbardziej bezlitosnych. Widział zwłoki małych dzieci, ich matki

zgwalczone i okaleczone przez własnych rodaków, młodych mężczyzn wykrwawiających się z ran w kroczu, ich odrąbaną męskość. Widział stare kobiety wałęsające się bez celu po mieście o ulicach czerwonych od krwi. Zobaczył wystarczająco wiele, by pojąć, że nikt nie jest bardziej bezlitosny niż Kylock.

Cóż jednak mogło go to obchodzić? Nie miał z tym nic wspólnego. Znużony i zdeorientowany, uniósł kubek do ust. Srebrzysty płyn skapnął mu na język. Jego smak był ostry i gryzący, niezwykły, a zarazem znajomy. Chłopak czuł, jak spływa mu w dół gardła, a potem do brzucha. Gdy już się tam znalazł, wydawał się ciężki, jak zjedzony obiad składający się z wielu dań.

– Nie opieraj mu się, Jack – poradził Stillfox. – Chce, żebyś zasnął.

– Dlaczego?

– Lakus lubi pracować nad drzemiącym ciałem i spokojnym umysłem. – Stillfox przebiegł dłonią po gładko wygolonym podbródku. Minę miał poważną. – Wypij go, chłopcze. Jesteś bardzo słaby.

Jack wychylił kubek do dna. W płynie było coś, co wywoływało świerzbienie dziąseł. Został mu w ustach metaliczny posmak.

– Czy w tym napoju są czary? – zapytał.

Stillfox skinął głową, rozciągając blade usta w uśmiechu.

– Ale nie moje. Musimy za nie podziękować koczownikom z Wielkich Równin.

Wstał i zaczął się krzątać po chacie, rozwieszając zioła i stawiając garnki na ogniu.

Jack ziewnął. Na zewnątrz wciąż słychać było krzyki.

– Jak długo byłem...

– W transie? – Stillfox podniósł wzrok. Był zajęty ubijaniem kory w moździerz. – Chyba blisko godzinę. Całkowicie zapadłeś się w siebie. Oczy miałeś otwarte, ale nie widziałeś tego, co było przed tobą. Twoja skóra zrobiła się zimna, a policzki straciły kolor. Opuściłeś mój dom.

Mężczyzna, który był prawie, ale jeszcze niezupełnie, stary, przeszył Jacka pytającym spojrzeniem.

Chłopak zastanawiał się, ile mu powiedzieć. Kim był Stillfox? Czy mógł mu zaufać? Odkąd wczoraj przybył do chaty zielarza, usłyszał od niego bardzo niewiele. Gospodarz był zbyt zajęty, by z nim rozmawiać: opatrywał rany, przyrządzał lekarstwa, gotował posiłki i przygotowywał swe zioła. Jack był zadowolony z jego milczenia. Cieszył się, że Stillfox

nie zadaje żadnych pytań. W normalnych warunkach, zaufałyby mu bez zastrzeżeń, osądzając jego zamiary na podstawie uczynków. Teraz jednak sprawy wyglądały inaczej. Czas, który spędził w chacie Rovasa, nauczył go, że pozory mogą mylić, a nawet za uśmiechniętą twarzą potrafi kryć się zdrada.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że rozpoznałeś we mnie jednego z was?

Zadając to pytanie, Jack zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Lakus zatrzymał się w jego brzuchu, spowalniając myśli i nurt krwi. Opierał się jego działaniu, ignorując radę Stillfoxa.

– Jestem czarodziejem, tak jak ty – odparł mężczyzna. Jack szybko się zorientował, że zielarz przemawia na dwa sposoby. Na ogół mówił ze śpiewnym, wiejskim akcentem, lecz gdy rozmowa dotyczyła poważnych tematów, przechodził na prosty, niewyszukany ton.

– Praktykuję tylko w skromnym zakresie. Niekiedy, choć rzadko, wzmacniam lecznicze właściwości swych ziół. Czasami rozmawiam z mieszkającymi daleko mędrkami. Zdarza się też, że muszę zaczerpnąć mocy w obronie własnej. – Wzruszył ramionami. – Nie jestem taki potężny jak ty.

Jack poczuł nagły płomień gniewu.

– Nie jestem potężny i nie jestem czarodziejem.

Ścisnął kubek w dłoniach, zdecydowany zniszczyć jego nieskazitelną gładkość.

– Nie rób z siebie kłamcy. Jack. Wiesz, że mówię prawdę. – W głosie Stillfoxa również zabrzmiała irytacja. – Im dłużej będziesz się starał temu zaprzeczyć, tym więcej szkód spowodujesz. Spójrz na to, co stało się w garnizonie. Straciłeś panowanie nad sobą. Nie miałeś pojęcia, jak przerwać to, co rozpocząłeś. Tylko desperacja, nie więcej, położyła kres zniszczeniu. – Zielarz dygotał. – Jesteś niebezpieczny i pora już, byś nauczył się hamować swoje wybuchy.

Jack poczuł, że kubek skruszył się w jego dłoni.

– Skąd wiesz tak dużo?

– Czuję to. Czuję ślełą, nieukierunkowaną wściekłość. Czuję nieustające fale czerpanej mocy. – Stillfox uniósł rękę i wyciągnął palec. – Nie pochlebiaj sobie. Jack. Możesz być silny, ale w ogóle nic nie umiesz. To, co uczyniłeś w garnizonie, było niewybaczalne. Pozwoliłeś emocjom kierować zaczerpnięciem mocy. To najgłupszy postępek, jakiego może się dopuścić czarodziej. Zachowałeś się jak rozpierzchny bachor. Kazałeś innym płacić za swój ból. Twojej mocy dorównuje tylko ignorancja. Dlatego

właśnie cię tu sprowadziłem, Jack. Nie chodzi o to, że mam zwyczaj pomagać znużonym podróżą wędrowcom, lecz o to, że stanowisz zagrożenie dla otoczenia i pora już, by ktoś cię nauczył panowania nad sobą.

Jack zdawał sobie sprawę, że Stillfox na niego patrzy, nie potrafił jednak spojrzeć mu w oczy. Spuścił wzrok, gapiąc się na roztrzaskany kubek. Nie czuł już gniewu, lecz wstyd. Wszystko, co powiedział zielarz, było prawdą.

– Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

Stillfox natychmiast znalazł się u boku chłopaka. Położył dłoń na jego ramieniu.

– Wiem, chłopcze. Wiem. – Jego głos ponownie nabrał łagodnego, śpiewnego tonu. – Przepraszam cię, że przemówiłem tak ostro...

– Nie ma za co – przerwał mu Jack. – Zasłużyłem na to. Masz rację. Jestem niebezpieczny. – Wypuścił z dłoni okruchy kubka, które spadły na podłogę. Nadszedł czas, by komuś zaufać. Zaczerpnął głęboko tchu. – Potrzebuję pomocy. Nie wiem, co się ze mną dzieje ani skąd się u mnie wzięły te moce. Mam wrażenie, że powinienem czegoś dokonać, tylko nie wiem czego.

Stillfox skinął delikatnie głową.

– Co widziałeś przed chwilą?

– Helen. Tak wyraźnie, jakbym tam był. Krew, muchy, ciała. – Jack zadrżał na to wspomnienie. – To było jak ostrzeżenie.

– Czy coś takiego zdarzyło ci się już przedtem?

– Tak. W ostatnich miesiącach kilka razy. – Wykonał dłonią nieznaczny, bezradny gest. – Kiedy tylko ktoś wspomni o wojnie, łapią mnie kurcze w żołądku i czuję niepowstrzymaną potrzebę wyruszenia w drogę, by wziąć udział w walkach.

– Chcesz się udać do Helchu?

– Nie, do Brenu. – Chłopak spojrział w oczy zielarzowi. – Chyba od samego początku wiedziałem, że Kylock wygra wojnę z Halcusami.

– Jeszcze jej nie wygrał – sprzeciwił się Stillfox. – Stolica mogła upaść, ale cały wschodni Halcus nadal jest wolny. Mogą minąć tygodnie, a nawet miesiące, nim podda się cały kraj.

– I co stanie się wtedy?

Jack sądził, że zna już odpowiedź, chciał jednak usłyszeć ją z ust Stillfoxa, człowieka z Annisu.

– Cała północ zamieni się w pole bitwy. Nikt nie pozwoli, by Kylock bez oporu zbudował imperium. Wszystkich zaskoczył fakt, że udało mu się dotrzeć do Helchu. To wręcz cud. I Highwall, i Annis są

przeżalone, że mogą paść ofiarą podobnego cudu. – Stillfox wrócił do ucierania kory w mózdzierzu. – Kylock wkrótce będzie władał Brenem po jednej stronie gór i Halcuscin po drugiej. Nie minie wiele czasu, nim skieruje swe spojrzenie na mocarstwa leżące między nimi.

– Kiedy to się stanie? – zapytał Jack.

– Nie potrafię ci tego powiedzieć. Wszystko zależy od Kylocka. Annis i Highwall czekają, chcąc się przekonać, co zrobi teraz.

Jack poczuł się nagle bardzo zmęczony. Łakus działał coraz silniej. Chłopak stłumił ziewnięcie. Nie minie wiele czasu, nim zaśnie.

– Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną? Pochodzę z królestw. Powinienem się cieszyć z tego, że Kylock zdobędzie dla siebie imperium.

– Chyba znasz już odpowiedź na to pytanie, Jack – odrzekł cicho Stillfox. – Masz odegrać jakąś rolę w tym, co się wydarzy.

– Ale dlaczego...

– Nieważne dlaczego. To nieistotne. Chodzi o to, jak. To, co wydarzyło się w garnizonie, świadczy, że masz coś wspólnego z wojną. Nieświadomie dopomogłeś wojskom Kylocka. – Zielarz mówił cichym, poważnym tonem. – Teraz powinieneś

nauczyć się choć trochę panować nad swymi mocami, by nic podobnego już się nie powtórzyło. Kiedy następnym razem dokonasz zaczerpnięcia mocy, musisz dokładnie wiedzieć, co robisz i jakie będą tego konsekwencje. Nie potrafię ci powiedzieć, na czym polega twoja rola. Sam musisz się o tym przekonać. Jestem jednak w stanie uchronić cię przed dalszymi błędami. Trzeba cię nauczyć panowania nad tym, co masz w swym wnętrzu. Tego mogę dokonać.

Jack spojrzał w niebieskie oczy Stillfoxa.

– Dlaczego chcesz to zrobić dla mnie?

– Być może ja też mam odegrać jakąś rolę. Może mam być twoim nauczycielem.

– Nie, Bodger, jeśli chcesz, żeby dziewczka zrobiła się chętna, nie dawaj jej ostryg.

– A dlaczego. Grift?

– Dlatego, że z ostrygami nigdy nic nie wiadomo, Bodger. Prędzej dostanie od nich paskudnej wysypki wokół organów niż chcicy.

– Naprawdę, Grift?

– Ehe, Bodger. O ile najpierw się nimi nie udławi.

– No to jakie żarcie najlepiej działa na kobiety, Grift?

– Pudding chlebowy, Bodger.

– Pudding chlebowy, Grift?

– Ehe, Bodger. To najsilniejszy afrodyzjak znany człowiekowi.

Nie ma na świecie dziewczki, która po dwóch porcjach dobrego, gęstego puddingu chlebowego nie położyłaby się z radością na plecach. Ta potrawa pozbawia je woli walki.

– A więc właściwie nie dostają od niej chcicy, Grift. Po prostu się męczą.

– Dokładnie, Bodger. To najlepsze, na co może liczyć mężczyzna. – Grift pociągnął łyk *ale*. – Pamiętaj tylko, że nie mogą jeść go z sosem.

– A dlaczego. Grift?

– Od sosu dziewczkom przewraca się w głowie. Bodger. Zaczynają żądać, żeby sprawiać im przyjemność.

– Ach, widzę, że panowie są rozmowni jak zwykle. Bodger i Grift odwrócili się błyskawicznie na dźwięk gładkiego, drwiącego głosu.

Przy wejściu do kaplicy stał Baralis. Otworzył drzwi i zakradł się do środka tak cicho, że go nie usłyszeli.

– Jesteście sami? – zapytał, zamykając za sobą drzwi. Grift skinął głową.

– Tak, panie.

U jego stóp leżał pusty dzbanek po *ale*. Kopnął go

bezglśnie pod ławę. Nie chciał, żeby Baralis zorientował się, jak dużo wypili.

– Świetnie. W takim razie przejdę prosto do rzeczy. Czy pamiętacie, że mam u was dług wdzięczności? – Nie czekał na odpowiedź. – Mogłem kazać was wychłostać za bezczelne słowa. – Na jego ustach wykwitł leciutki uśmieszek. – Jeśli zechcę, wciąż mogę to uczynić.

– Bardzo przepraszamy za to, co powiedzieliśmy podczas podróży do Brenu, lordzie Baralisie. Nie chcieliśmy cię urazić – zapewnił Bodger.

Grift położył dłoń na ramieniu przyjaciela, chcąc go uciszyć. On załatwi tę sprawę.

– Czego od nas żądasz, lordzie Baralisie? Królewskiemu kanclerzowi nie chodziło o przeprosiny. Przyszedł tu ubić interes.

Baralis podszedł do dwóch strażników. Uniósł nos i wciągnął lekko powietrze.

– Popijaliście plotki *ale*, czy tak?

– Tylko pół dzbanka...

Grift uciszył Bodgera w połowie zdania szybkim kopniakiem w goleń.

– A co ci do lego? – zapytał, spoglądając Baralisowi prosto w oczy.

– Nie. – Królewski kanclerz był teraz tak blisko, że

Grift tylko z wysiłkiem powstrzymał się przed cofnięciem. Bodger już to zrobił i w rezultacie sam się przycisnął do oparcia ławy. – W gruncie rzeczy – ciągnął Baralis – mam nadzieję, że jutro po południu też będziecie pić. Przyślę wam nawet kilka dzbanków. Oczywiście tylko najlepszego *ale*.

– Dlaczego mielibyśmy jutro pić? – zapytał Grift, coraz bardziej zaniepokojony.

– Dlatego, że kiedy będziecie żłopać pod drzwiami kaplicy, nie zauważycie człowieka, który przez nie przejdzie.

– A co to za człowiek? Baralis uniósł rękę.

– Nie zadawaj pytań, przyjacielu. Zrób tylko, co ci mówię. – Jego głos był miły i kuszący. – Jeśli go przepuścicie, uznam wasz dług za spłacony.

Grift wiedział, że nie ma wyboru i musi spełnić żądanie Baralisa. Kanclerz mógł kazać ich wyrzucić z Królewskiej Straży, wychłostać, torturować albo otruć. Przeklinał dzień, w którym podsłuchał ich rozmowę. Dług u Baralisa był jak zobowiązanie wobec diabła. Obaj nie przepuściliby nawet cienia okazji, by zabrać człowiekowi duszę.

– Nie dajesz nam wielkiego wyboru, lordzie Baralisie – zauważył.

– Widzę, że jesteś rozsądnym człowiekiem. Mam

nadzieję, że o twym towarzyszu można powiedzieć to samo.

Wskazał na młodszego strażnika.

– Bodger zrobi to, co mu każe.

– Świetnie. – Baralis złączył dłonie. – Pamiętajcie, nikomu ani słowa.

Zaczął się oddalać korytarzem.

– Czy ten człowiek będzie też tędy wracał? – zapytał nagle Grift. Baralis odwrócił się.

– Tak. – Stał przez chwilę, pogrążony w myślach. Wyraz jego twarzy zmienił się nagle z zadumanego w przebiegły. – Podnieście wtedy alarm. Nie chcę, żeby opuścił pałac żywy.

35

– Nie, Nesso – warknęła Mciiii. – Nie tak ciasno. Nie będę mogła oddychać, nie mówiąc już o podejściu do ołtarza. – Wiedziała, że traktuje służącą trochę zbyt ostro, była jednak podenerwowana. – Przynieś mi kielich wina.

Dziewczyna popędziła wykonać jej polecenie. Po chwili Melli usłyszała za plecami kroki.

– Wino dla pani.

Kielich podał jej Tawł, nie Nessa.

Celowo ukryła fakt, że ucieszyła się z jego widoku.

– Gdzie Nessa? – zapytała, wyrywając mu puchar z dłoni.

– Wymknęła się na chwilę. Chyba ją zmęczyłaś. – W jego głosie brzmiała subtelna drwina. – Będziesz piękną, ale niezbyt pogodną panną młodą.

– Naprawdę wyglądam pięknie?

– Olśniewająco.

Musiała odwrócić wzrok. W oczach Tawła dostrzegła zbyt wiele prawdy.

– Czy będziesz na ślubie? – zapytała, unosząc kielich do ust.

– Tak. Odprowadzę ciebie i twego męża do waszych komnat.

Męża. Mciiii wzdrygnęła się na to słowo. Nie potrafiła się opanować. Wszystko działo się bardzo szybko. Za szybko. Miała wrażenie, że zaplątała się w coś, czego nie umie teraz powstrzymać. Było to tak, jakby ślub stał się osobnym bytem, niezależną siłą, która nabrała już tak wielkiego impetu, że porwała ją ze sobą. Kiedy diuk zaproponował tak szybkie zawarcie małżeństwa, była wstrząśnięta. Miała nadzieję, że pozna datę ślubu z przynajmniej kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Tak jednak nie miało się stać. Diuk uparł się, że musi poślubić ją dzisiaj i to potajemnie.

– Otwórz okiennice – poleciła Tawlowi. – Niech zobaczę, jak zapowiada się dzień moich zaślubin.

Tawl, zawsze błyskawicznie spełniający jej życzenia, natychmiast znalazł się przy oknie. Rozchylił okiennice, odsłaniając piękne, błękitne niebo. Mciiii podeszła do niego. Poczowała na twarzy ciepły powiew. Talia wielkiego jeziora była gładka jak szkło.

– Wspaniały dzień – wyszeptała. Poszukała ręką dłoni Tawla. Drzwi otworzyły się i do komnaty wszedł

jej ojciec. Tawl i Melli odsunęli się szybko od siebie. Maybor przywdział najwspanialsze szaty w czerwono-złoty barwach ich rodziny. Pokrywały go drogocenne rubiny i jedwab. Nawet jego buty zdobiły dwa identyczne klejnoty.

– Melliandro – powiedział. – Wyglądasz pięknie. Pięknie. Ona również odziana była na czerwono. Miała na sobie ciężką atlasową suknię o najgłębszym karmazynowym odcieniu, wyszywaną wartyimi majątek perłami. Nabrała niemal przesądnej niechęci do tego koloru, nie założyła jednak sukni dla siebie. Chciała w ten sposób okazać szacunek ojcu. Podeszła do niego. Uniósł ją z podłogi i uściśnął z siłą niedźwiedzia. Dobrze znała jego zapach: drogie wonności i czerwony lobanfern. Znowu poczuła się jak dziecko.

– Jestem dziś z ciebie bardzo dumny, córko – powiedział, stawiając ją na podłodze.

– Mimo że nie wychodzę za króla?

Pomyślała, że w jego włosach jest teraz znacznie więcej siwych nitok. Za ile z nich była odpowiedzialna? Ujął jej dłoń i uniósł ją do ust.

– Sama dokonałaś wyboru i powiem ci jedno: był lepszy od mojego.

Był to jego sposób na to, żeby powiedzieć

„przepraszam”.

– Powinieneś być się domyślić, że nie wybiorę kogoś ubogiego. Zmusiła się do uśmiechu. To nie był czas ani miejsce na łzy.

– Cieszę się, że dziś tu jestem – stwierdził z delikatnością w głosie Maybor.

Skinęła głową. Ona również się z tego cieszyła. Obecność jej ojca była błogosławieństwem. Czerpała siłę z jego bliskości. Po wybuchu Catherine w noc ogłoszenia zaręczyn, tylko Maybor potrafił powstrzymać ją przed natychmiastową ucieczką. Całą noc trzymał ją za rękę. Chciała umknąć przed oskarżeniami i wrogimi spojrzeniami dworzan, nie mogła jednak go zawieść. Wielka godność, jaką wówczas okazał, wzruszyła ją głęboko. Była zdecydowana podążać za jego przykładem. Ludzie mogli owej nocy potrząsać głowami nad zachowaniem Catherine, nikt jednak nie mógł o nic oskarżyć Maybora ani jego córki.

Aż po kres swych dni będzie z radością wspominała powitanie, jakie zgotował jej ojciec. Całe życie sądziła, że jej nie kocha, że dba tylko o synów, a ona jest dla niego jedynie własnością. W Święto Pierwszych Siewów dowiedziała się, jak wielki był to błąd. Och, nie była głupia – z pewnością radował go

fakt. że miała wyjść za najpotężniejszego człowieka na północy; z jego punktu widzenia sprawy nie mogłyby ułożyć się lepiej – gdy jednak podbiegi ku niej, nie myślał o bogactwie i tytułach. To miłość dodała siły tym trzem potężnym krokom. Mciiii była tego pewna.

– Jesteś gotowa, córko?

Maybor posłużył jej ramieniem.

Czyżby już nadszedł czas? Wszystko działo się tak szybko. Od powrotu z domku myśliwskiego nie miała nawet czasu, by odetchnąć. Spojrzała przelotnie na Tawla, po czym ponownie przeniosła wzrok na ojca. Gdyby miała się teraz wycofać, zawiodłaby ich obu. Ujęła rękę Maybora.

Nessa wróciła do komnaty, by po raz ostatni poprawić strój panny młodej. Mciiii uśmiechnęła się czule do ojca, który nie przestawał głaskać jej po ramieniu, jakby wciąż nie potrafił uwierzyć, że naprawdę ją odzyskał. Tawl nie ruszył się spod okna. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że ją obserwuje.

Gdy służąca uporała się ze swym zadaniem i odeszła, Melli zaczęła spacerować po komnacie. Maybor zatrzymał ją pociągnięciem za rękę. Wsunął dłoń pod bluzę, by wydobyć stamtąd naszyjnik z diamentów i rubinów. Natychmiast go poznała.

Należał do jej matki. Był ślubnym upominkiem od Maybora. Rubiny były wielkie jak wiśnie, a diamenty otaczały je niby płatki kwiatu.

– Przywiozłem go jako podarunek dla Catherine – stwierdził wielmoża. – Ale kiedy nadszedł czas, by jej go wręczyć, przekonałem się, że nie mogę tego zrobić. Zawsze był przeznaczony dla ciebie.

Zapiął go na jej szyi wielkimi, czerwonymi dłońmi, których drżenia nie potrafił opanować.

– Chodźmy już, córko – powiedział, poprawiając jej włosy.

Melli skinęła głową, nie mogąc się odezwać. Ojciec i córka ruszyli razem w stronę wyjścia. Tawł w jakiś sposób zdołał ich wyprzedzić. Otworzył drzwi, a potem zarzucił Melli na ramiona prosty, wełniany płaszcz. Wychodząc spojrzała mu w oczy. Niewykluczone, że wcale nie poczułby się rozczarowany, gdyby nagle zrezygnowała z poślubienia diuka.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie, Jack – zażądał Stillfox. Na to zadane od niechcienia pytanie chłopaka załała fala gniewu.

Nie cierpiał, gdy ludzie się o to dopytywali. Nienawidził też siebie za wstyd, który wówczas czuł.

– A co cię obchodzi moja rodzina? – odpalił. – Ja

nigdy bym nie zapytał o twoją.

Stillfox uniósł brwi.

– Nie pytałem z ciekawości, Jack, ale dlatego, że chcę się dowiedzieć czegoś więcej o twoich mocach. Skąd się wzięły, czy odziedziczyłeś je po ojcu, czy po matce.

Siedzieli w chacie zielarza, blisko ognia. Domek był mały i miał tylko dwie izby: kuchnię i magazyn. W tej pierwszej wszystkie półki zapchane były słoikami i koszykami, pełnymi ziół oraz przypraw. Z krokwi zwisały gałązki tymianku i jemioly, suszące się powoli w ciepłe bijącym od kominka. Na jego obramowaniu stały miski pełne jadalnych grzybów i muchomorów. Ich ostre wonie świadczyły o różnych stadiach rozkładu. Był tam rozmaryn marynowany w occie i szałwia marynowana w wodzie morskiej. Można tam było zobaczyć tak wiele rozmaitych roślin i przypraw, że Jack nie był w stanie odgadnąć nazw większości z nich. Mógł wychowywać się w kuchni, nigdy jednak nie widział tak bogatego zestawu.

– Czy twe zdolności płyną z ziół? – zapytał, próbując zmienić temat.

Stillfox potrząsnął głową.

– Nie, chłopcze. Niektóre z nich mogą zwiększyć posiadane przez człowieka moce, ale nie dadzą mu jej.

Z tym się trzeba urodzić.

– A więc czary przekazuje się z krwią?

Zadając to pytanie, Jack pomyślał o matce. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio ją wspominał.

– Mogą pochodzić z trzech źródeł, Jack. Najczęściej przechodzą z rodziców na dzieci, z pokolenia na pokolenie. Na ogół ich siła zmniejsza się z upływem czasu, jako że matka obdarzona zdolnościami wydaje na świat dziecko o mniejszych mocach. Rzecz jasna, istnieją wyjątki. Jeśli dwoje ludzi mających we krwi czary połączy się związkiem i spłodzi dziecko, może ono mieć zdolności większe od swych rodziców. – Stillfox zatoczył ręką szeroki krąg. – Nic jednak nie jest pewne. Teraz drugi sposób. Można otrzymać czarodziejskie dary dokładnie w chwili poczęcia. W niektóre noce, choć zdarza się to rzadko, powietrze staje się gęste od losu oraz proroctwa i czary wzmagają wówczas moc nasienia. – Zielarz wydał z siebie ciche, gardłowe cmoknięcia. – Dziecko spłodzone w taką noc może być doprawdy bardzo potężne.

Nie patrząc Jackowi w oczy, odwrócił się w stronę ognia i polał tłuszczem piekącą się na nim połowę jagnięcia, natartą miętą i pieprzem. Smakowita woń pieczenia popłynęła z paleniska niczym dym.

Jack nie czuł jednak zapachu mięsa. Usiłował sobie przypomnieć, czy matka kiedykolwiek zrobiła w jego obecności coś, co można by uznać za przejaw magii. Niestety wspomnienia przyniosły mu tylko poczucie winy. Był taki lekkomyślny. Nigdy jej nie słuchał ani na nią nie patrzył. Uważał, że będzie z nim zawsze. Zmienił się dopiero pod koniec, kiedy było już za późno. Nie, nigdy nie zrobiła nic magicznego. Przynajmniej niczego sobie nie przypominał.

– A jaki jest ten trzeci sposób? – zapytał.

Stillfox zajął się obracaniem rożna. Mięso wciąż brązowało, a w płomienie spadały skwiercząc kapki tłuszczu.

– Istnieją okolice, w których czary przesycają samą ziemię. Nie twierdę, że wiem wiele o podobnych sprawach, gdyż ich czas dawno już minął, ale słyszałem o jednym takim miejscu, które przetrwało do dziś. Jest to wyspa, na której skały, gleba, a nawet otaczające ją morze pozostają we władaniu czarów. Wyspa Larn, na której kształtuje się jasnowidzów. Nie wiem, w jaki sposób nabrała podobnych właściwości. Być może przed tysiącami lat rzucił na nią urok wielki czarodziej, a może zawsze taka była. Mam jednak pewność, że moc jeszcze jej nie opuściła.

Stillfox przeniósł wzrok z Jacka na płomienie.

Tłuszcz rozjarzał się z głośnym skwierczeniem, wzbogacając buchający przez komin szary dym nitkami czerni.

Gdy zielarz znowu zaczął mówić, jego głos przeszedł niemal w szept. Pobrmiewał w nim silny wiejski zaśpiew.

– Słyszałem kiedyś opowieści o dziewczynie, która pochodziła z Larnu. Jej matka służyła kapłanom. Władcy wyspy zawsze obawiali się kobiecych pokus, dlatego ich sługami są wyłącznie niewiasty zniekształcone od urodzenia. Kupują takie dziewczynki bardzo tanio. Nie dopuszczają w ten sposób do tego, by sprowadziły któregoś z ich kapłanów na manowce. Są tak koszmarnie szpetne, że żaden mężczyzna nigdy by na nie nie spojrział. Znalazł się jednak taki, który to uczynił. Dziewczyna, o której mówi opowieść, urodziła się na wyspie. Jej matkę zgwałcił lub uwiódł kapłan. Dziecko, które wydała na świat, wychowywało się na Lamie. Dorastające ciało dziewczynki stało się swego rodzaju gąbką, która nasiąknęła magią wyspy, koncentrując ją we krwi, tkankach i kościach. Czary stały się częścią jej duszy. To magia Larnu daje jasnowidzom ich moce. W Wielkiej Komnacie Jasnowidzenia jest gęsto od czarów, które przesywają skałę niczym kryształowe

żyły. Podobno są tak potężne, że jaskinia jarzy się od ich mocy. – Stillfox potrząsnął powoli głową. – Ach, jakżebym pragnął to ujrzeć.

Jack zadrżał. Za nic w świecie nie chciałby zobaczyć czegoś takiego.

– I co się stało z tą dziewczyną?

– Popełniła ten błąd, że ulitowała się nad jasnowidzami. Każdy z nich jest przywiązany do kamienia aż po kres swych dni. Robi się to z dwóch powodów. Po pierwsze po to, by skupić ich myśli. Pęta się ich tak mocno, że nie są w stanie się poruszyć. Mogą jedynie myśleć i przepowiadać. Chcąc uciec przed fizyczną udręką, wycofują się w świat urojeń i obłąd, w którym mogą przelotnie ujrzeć przyszłość. Po drugie, kamień, na którym leżą, jest dla nich źródłem mocy. Staje się ich wyłączną własnością. Przywiązuje się im do pleców kawałek wyspy. Czary dotykają ich skóry. Tworzą jasnowidzów, wpędzają ich w obłąd, a wreszcie doprowadzają do zguby. Kamień jest dla nich macicą, kołyską i grobem.

Pss. Tłuszcz znowu skapnął w ogień.

– Nic dziwnego, że się nad nimi litowała.

Choć dreszcz przeszył go aż do szpiku kości, Jack odsunął krzesło od ognia. Od zapachu piekącego się mięsa robiło mu się niedobrze.

– Dziewczyna zakradała się do jaskini, by pielęgnować jasnowidzów. Zaprzyjaźniła się z jednym z chłopców. Przywiązano go dopiero niedawno. Był jeszcze tak młody, że ledwie można go było zwać mężczyzną. Obserwowała, jak jego stan powoli się pogarsza, a sznur coraz mocniej wpija się w ciało. Widziała krew, wrzody, przekraczający granice wytrzymałości skurcz mięśni. Patrzyła na to wszystko oczyma po raz pierwszy zakochanej dziewczyny. Nie potrafiła tego znieść. Gdy pewnego dnia zeszła do niego, zauważyła, że sznur nie wrzyna się już w ciało, lecz stał się jego częścią. Skryte pod skórą naczynia krwionośne zaczęły biec wokół niego, jak wokół kości. Ten widok doprowadził ją do szaleństwa. Dopiero niedawno została kobietą i moc rozkwitła w jej ciele. Straciła panowanie nad sobą. Zwróciła swój gniew przeciw kamieniom, jaskini i kapłanom. Wielka Komnata Jasnowidzenia zatrzęsa się od jej potęgi. Potem przyszli po nią kapłani. Broniła się przed nimi, kopała i krzyczała. Pod koniec walki, gdy wiedziała już, że musi przegrać, złożyła straszliwą przysięgę, mówiącą, iż pewnego dnia zniszczy Larn. Kapłani wynieśli ją z komnaty, związaną i krwawiącą. Wepchnęli jej do gardła mokrą szmatę, by powstrzymać wypływanie czarów. Ledwie mogła

oddychać. Zemdlała. Kiedy odzyskała przytomność, znajdowała się w małej, ciemnej izdebce. Wyczuwalna w powietrzu woń kadzidła świadczyła, że skazano ją na śmierć. Uratowała ją matka, kobieta tak okaleczona, że w ogóle nie mogła poruszać mięśniami po prawej stronie twarzy ani unieść prawej ręki. Dzięki jej pomocy dziewczyna wypłynęła małą łódeczką na otaczające wyspę zdradzieckie wody.

Jack siedział zupełnie nieruchomo. Przez cały czas opowieści Stillfoxa nie drgnął mu żaden mięsień i nawet nie mrugnął oczami.

– I co się z nią stało? – zapytał. Zielarz wzruszył ramionami.

– Musiało jej się udać dotrzeć na stały ląd, gdyż w przeciwnym razie nie mógłbym teraz opowiadać jej historii. Nie znam jednak jej dalszych losów. Od tego czasu upłynęło bardzo wiele lat. Zapewne od dawna już nie żyje, a o jej przysiędze zapomniano. Lam nadal istnieje, równie potężny i śmiercionośny, jak zawsze.

Jack podniósł się nagle. Chatka zielarza wydała mu się ciasnym więzieniem. Nie mógł znieść woni pieczonej jagnięciny.

– Dokąd idziesz?

Stillfox podążał krok za nim.

– Na dwór. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Nie. Ktoś mógłby cię zauważyć.

Jack potrząsnął głową. Nie pozwoli się zatrzymać. Pragnął samotności tak bardzo, że nic innego się nie liczyło.

– Będę uważał – zapewnił, wychodząc za drzwi.

Chatka zielarza stała na rubieżach małej wioski. Była ostatnim domkiem w szeregu. Za nią ciągnęło się pole, przeznaczone pod zasiew żyta. Jack ruszył, kierując się w stronę odległego lasu. Pogoda była bardzo ładna, niebo błękitne, a ziemia pod stopami sucha. Szedł ponad godzinę. Starał się nie myśleć.

Wreszcie dotarł do celu. Spocony i zdyszany, skrył się w chłodnym cieniu drzew. Obok twarzy przemykały mu brzęczące muchy, a ptaki ostrzegały się cicho przed jego zbliżaniem. Znalazł odpowiednie drzewo – niewypowiedzianie stary dąb, którego ciężkie konary zwisały nisko nad ziemią, a pień miał grubość trzech mężczyzn – i usiadł pod nim, opierając stopy o potężne, wystające nad ziemię korzenie, a krzyżem dotykając kory. Pochylił się, spuszczać głowę między kolana. Zacerpnął głęboko powietrza do płuc, a kiedy je wypuścił, powróciły uczucia.

Tarissa, Melli, garnizon, matka i, co dziwne, opowieść o dziewczynie z Larnu – było tego po prostu zbyt wiele. Zapłakał cicho, myśląc o Tarissie kłęczącej

na ziemi u jego stóp, błagającej, by zabrał ją ze sobą. Gdy łzy spływały mu po twarzy, jego myśli zwróciły się ku strażnikowi, który spadł z murów garnizonu. Przypomniawszy sobie, jak bardzo ranny pragnął go dotknąć. Była też matka, chora i bliska śmierci, a mimo to odmawiająca przyjęcia pomocy lekarzy. Nigdy nie zrozumie dlaczego.

Płacz sprawił mu ulgę. Już od dawna tłamsił w sobie zbyt wiele uczuć. Chciał okazać odwagę. Nie był jednak odważny. Bał się. Bał się tego, co miała przynieść przyszłość. Otarł łzy z oczu. Nie wątpił już, że przyszłość przyniesie coś ważnego.

Łączyła go z Kylockiem jakaś więź. Sam dźwięk imienia nowego króla wystarczał, by przyprawić go o zawroty głowy. Jack spojrzał ku najgłębszej części lasu. Kylock był wcieleniem zła. Czy wizja, którą ujrzał, miała ukształtować jego los? Czy było mu przeznaczone stawie czoło Kylockowi?

Podniósł się nagle. Ogarnął go niepokój, pragnienie zrobienia czegoś, podjęcia jakiejś decyzji. Ruszył w stronę pól, kierując się ku chatce zielarza. Gdy wyszedł spod drzew, zza chmur wyjrzało słońce. Jego ciepłe promienie były niewątpliwym błogosławieństwem. Szedł szybko. Pragnął wreszcie wziąć się do pracy. Stillfox zaproponował, że będzie

go uczył. Czas już, by opanował wszystkie potrzebne mu umiejętności.

– W świętej obecności Bożej, z błogosławieństwem naszego zbawiciela, umiłowanego sługi Bożego, Borca, nakazuję, by ci, których wezwano tu jako świadków, dali wyraz swym zastrzeżeniom.

Arcybiskup Brenu, rosły mężczyzna przemawiający wysokim, nosowym głosem, omiółt kaplicę spojrzeniem. Nikt się nie poruszył.

Kącikiem oka Tawl dostrzegał wyraz twarzy Catherine. Była na niej wyraźnie wypisana nienawiść w najczystszej, najjaskrawszej formie. Pozostali obecni na ceremonii goście nie wyglądali na szczególnie zadowolonych – oczywiście poza Mayborem, który uśmiechał się od ucha do ucha, jak rybak wracający z połowu z pełnymi sieciami – nikt jednak nie odważył się okazać nic poza zastygłym na twarzy uprzejmym grymasem.

Melli i diuk stali obok siebie przy ołtarzu, zwróceni w stronę arcybiskupa. Tę trójkę otaczała półkolem grupka kapłanów trzymających w rękach modlitewniki i kropidła. Po jednej stronie kaplicy siedziało aż czterech skrybów, zajętych spisywaniem na pergaminie wszystkich szczegółów uroczystości. Później, kiedy skończą, wszystkich świadków, w

liczbie około dwudziestu, poprosi się o złożenie opatrzonych datą podpisów. Diuk nic nie zostawiał przypadkowi. Podobnie jak Tawl: obu wejść do kaplicy strzegła cała kompania żołnierzy. Na tym ślubie nie będzie nieproszonych gości.

Karmazynowa suknia i naszyjnik ze lśniących czerwonym blaskiem rubinów nadawały Melli niewiarygodnie królewski wygląd. Wszystkie spojrzenia kierowały się na nią. Za chwilę zostanie diuszesa. Później, jeśli diuk osiągnie swój cel, będzie królową. Tawl przekonał się, że nie jest w stanie słuchać ślubnych przysięg i modlitw. Brzmiały dla niego fałszywie. Nie chciał się zastanawiać nad powodem tego faktu w obawie, że podobne myśli mogą go doprowadzić do złamania przysięgi lojalności.

Skupił się na kwestiach bezpieczeństwa. Najniebezpieczniejszym momentem będzie przejście z kaplicy do komnat diuka. Gdy nowożeńcy już do nich dotrą, powinni być bezpieczni. Owych pomieszczeń dniem i nocą strzegło dwóch wartowników. Tawl zwiększył ich liczbę do ośmiu. Wejście było tylko jedno, a fakt, że znajdowało się na niższym piętrze niż same pokoje, zwiększał tylko stopień bezpieczeństwa. Osobiście dopilnował przygotowań jadła i napojów.

Nawet w tej chwili, dwóch kosztujących potrawy sprawdzało każde danie, które miano podać na weselnej uczcie. Zgodnie z jego sugestią, diuk i Melli mieli spożyć posiłek we własnej komnacie, gdzie nie zagrażą im wrogie zamiary lorda Baralisa i dworzan.

Tawł nie przewidywał dziś żadnych kłopotów, jutro jednak, gdy o ślubie dowie się całe miasto, a diuk i jego małżonka zaczną razem pojawiać się publicznie, będzie miał prawdziwe problemy. Zadanie ochrony Melli stanie się koszmarnie trudne.

Ponownie zwrócił swą uwagę na przebieg uroczystości, akurat na czas, by usłyszeć, jak arcybiskup ogłasza nowożeńców mężem i żoną. Kiedy diuk objął Melli, wzdłuż kręgosłupa Tawła przebiegł zimny dreszcz. Wstał. Nie miał ochoty patrzeć na szczęśliwą parę. Gdy wszyscy zajęli się składaniem gratulacji, przeszedł w głąb kaplicy i stanął wsparty o drewnianą belkę, czekając, aż nadejdzie czas, by odprowadzić nowożeńców do ich komnat.

– Dalej już musisz iść sam – syknął Baralis. Traff nie był z tego zadowolony.

– Mówiłeś, że pokażesz mi przejście. Nie ufał królewskiemu kanclerzowi.

– Skręć na końcu korytarza. Znajdziesz tam dwoje

drzwi. Po obu ich stronach stoją strażnicy. Pozwolą ci przejść. – Baralis zasłonił oczy kapturem. Miał na sobie płaszcz tego samego koloru, co rzucały przez niego cień. – Muszę już zniknąć.

– Myślałem, że zaczekasz na mój powrót.

Traff dostrzegał niepokój Baralisa. Wielki człowiek nie chciał, by zobaczono go w jego towarzystwie.

– Wrócę później – odparł kanclerz ostro. Wciąż rozglądał się na boki. – Mówiłem, że na ciebie zaczekam. Masz na to moje słowo. Idź już.

Traff nawet nie drgnął. Nikt nie będzie mu rozkazywał jak zwykłemu słudze. Poza tym, Baralis kłamał. Nie zamierzał na niego czekać.

– Jeśli postoisz tu jeszcze chwilę, przyjacielu – warknął rozgniewany kanclerz – nasz drogi diuk zdaży rozdzwiczyć pannę młodą i kochana, słodka Melliandra przerodzi się w używany towar. – Baralis podszedł bliżej. – A może taki mężczyzna, jak ty, nie może liczyć na nic więcej?

Traff zamachnął się na niego, lecz ręka zamarła w powietrzu. Spojrzał na Baralisa, który uśmiechał się łagodnie, potrząsając głową.

– Daj spokój, Traff – powiedział. – Powinieneś już wiedzieć, że nie jesteś w stanie mi nic zrobić.

Najemnik spróbował poruszyć ręką, opierając się

przymusowi. Mięśnie nie zareagowały. Powietrze wypełniła słaba, lecz łatwa do rozpoznania woń gorącego metalu. Nagie zniknęła. Ręka Traffa opadła, ciężka i obolała.

– Wiesz co masz zrobić. Zrób to – rozkazał Baralis, zwracając na niego pełną moc swego spojrzenia.

Tym razem Traff się poruszył. Oddalił się korytarzem, nie oglądając za siebie. Złapał go lekki kurcz w ramieniu, zignorował go jednak. Był przyzwyczajony do bólu. To z czarami nie potrafił sobie poradzić.

Korytarz zakręcił i po kilku sekundach najemnik ujrzał przed sobą dwoje drzwi i parę wartowników. Obaj byli zajęci piciem. Gdy tylko go zauważyli, poświęcili się tej czynności z jeszcze większym entuzjazmem, chowając twarze w kuflach i odwracając się od światła. Traff odnosił wrażenie, że skądś ich zna. Zignorował ich i otworzył jedno z drzwi.

Znalazł się w kaplicy. Po czarach, najbardziej nienawidził religii. Nie znosił zapachu świec, długich ceremonii i zadowolonych z siebie kapłanów. Sięgnął pod bluzę i wyciągnął woreczek z żujką. Wydobył z niego porcję i wepchnął ją sobie do ust. Wypluł ją, nim jeszcze zrobiła się miękka. Poczuł się od tego znacznie lepiej. Połowa przyjemności polegała na spluwaniu.

Można było w ten sposób wyrazić bardzo wiele. Po chwili przerwy, potrzebnej na to, by wdeptać żujkę w podłogę kaplicy, Traff ruszył za ołtarz.

Baralis mówił o środkowej płycie. Była to prawda, gdyż deska odsunęła się, gdy tylko najemnik nacisnął na jej lewą stronę. Zagląając do tajnego przejścia, wysyczał przekleństwo. Jak głupiec, nie przewidział, że będzie w nim tak ciemno. Złapał jedną ze świec z ołtarza i wszedł do środka. Nim ruszył po schodach w górę, zamknął za sobą płytę. By to zrobić, przechylił świecę i na przedramię spadła mu kropla gorącego, wonnego wosku. Tym razem w swym przekleństwie uwzględnił imię Baralisa. Płyn skapnął dokładnie na ślad po oparzeniu, które spowodował kanclerz przed wieloma miesiącami w Zamku Harvell. Skóra wciąż była obolała, a wspomnienie żywe. Potrząsnął głową z ponurą miną. Nienawidził Baralisa tak bardzo, jak tylko było to możliwe. To jednak w tej chwili się nie liczyło. Musiał zdobyć dla siebie Melli. Przecież należała do niego. Obiecał mu ją jej ojciec. Teraz jednak wyglądało na to, że lord Maybor złamał słowo. Traff ruszył przed siebie. Policzy się z nim później, podobnie jak z Baralisem.

Schody wiodły po spirali w górę, ku sercu pałacu. Traff czuł, że z każdym krokiem jego podniecenie

narasta. Wkrótce Melli będzie jego własnością.

– Mógłbym przysiąc, że to był Traff, Bodger. A co ty myślisz?

– Chyba masz rację, Grift. Tyle, że wyglądał znacznie gorzej niż poprzednio.

Grift potrząsnął głową.

– To oznacza kłopoty, Bodger. Prawdziwe kłopoty. Tacy jak on za sto sztuk złota zamordowaliby własną matkę.

– Lepiej nie zadawać żadnych pytań, Grift. Lepiej nawet o tym nie mówić.

Grift pomyślał, że Bodger się boi. Powinien był przyjść tu dziś sam. Nie było potrzeby, by obaj stali pod kaplicą.

– Idź do kuchni, Bodger. Weź sobie coś na kolację.

– Nie. Zostanę z tobą, Grift. Nie wiadomo, co się stanie, kiedy Traff wróci.

– Dobry z ciebie kumpel, Bodger. – Grift popatrzył chwilę na towarzysza. Bodger był za młody, by zostać zamieszany w coś, co tak czy owak musiało się skończyć hańbą. – Wiesz co?

– Co?

– Co by się nie stało, i tak będziemy mieli kłopoty. Jeśli zostaniemy tu i zaczekamy, aż Traff zrobi to, co ma zrobić, i tak wyrzucił nas ze straży. Wszyscy

powiedzą, że byliśmy pijani na służbie, a my nijak nie będziemy mogli temu zaprzeczyć.

– Ale co z Baralisem, Grift? Jemu lepiej nie podpadać.

– Co właściwie kombinuje Baralis. Bodger? Dokąd prowadzi ten tunel? – Głos Grifta przeszedł w szept. – Co, jeśli biegnie do komnat diuka? Równie dobrze moglibyśmy od razu poderżnąć sobie gardła. – Pociągnął szybko łyk *ale*, by dodać sobie odwagi. – Uważam, że pora przejść do czynów. Bodger. Nie mamy nic do stracenia.

– Jakich czynów, Grift?

Starszy strażnik zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Pobiegnijmy do kuchni, znajdziemy młodego Kosiarza, powiedzmy mu, co się wydarzyło, a on niech przyprowadzi tego wysokiego jasnowłosego wojownika, żeby się policzył z Traffem.

– Masz na myśli obrońcę diuka, Grift?

– Ehe. Bodger, właśnie jego. Zgadzasz się?

– Zgadzam się. Grift.

Tawl siedział w swej izbie na zapleczu kuchni. Ślub odbył się zgodnie z planem. Przed chwilą odprowadził bezpiecznie Melli i diuka do ich komnat. Miał zamiar całą noc spędzić pod drzwiami, lecz strzegło ich już ośmiu gwardzistów, nie wydawało się

to więc konieczne. Poza tym, nie miał serca do tego zadania. Nie dzisiejszej nocy. Gdyby stał przy wejściu do komnat diuka, nie potrafiłby nie myśleć o tym, co dzieje się wewnątrz: o poślubnej nocy spędzonej w ślubnym łożu. Nie. Lepiej zostać tutaj i wypić po cichu kilka kufli *ale*. A potem może jeszcze kilka. Dziś w nocy nie miał szans na sen.

Gdy tylko uniósł piwo do ust, do izby wpadł Kosiarz.

– Taw! Taw! – krzyknął. – Szybko. Chodź za mną. Młody kieszonkowiec stanął w drzwiach, dysząc prędko i gwałtownie. Dotarł tu biegiem.

Taw natychmiast zerwał się na nogi. Opuścił dłoń do pasa, by poczuć uspokajający dotyk miecza.

– Co się stało?

Kosiarz był tak podekscytowany, że nie mógł wykrztusić z siebie słów. Tupnął niecierpliwie.

– Baralis wysłał kogoś, żeby zamordował diuka.

Taw rzucił się ku wyjściu, odpychając z drogi kieszonkowca.

– Nie. Taw. Nie idź do komnat dla szlachty. Chodź za mną.

– Dokąd?

– Z kaplicy dla służby do pokojów diuka prowadzi tajne przejście. Skrytobójca wszedł tamtędy.

Tawl pobiegł w innym kierunku. Szybko przemknął przez kuchnie i piekarnię. Zdawał sobie niejasno sprawę, że Kosiarz pędzi za nim. Dotarł do drzwi kaplicy w niespełna minutę. Stało tam dwóch strażników. Nie marnował czasu na rozmowę z nimi. Wpadł do środka i rozejrzał się wokół jak szaleniec.

– Gdzie jest wejście?

Kosiarz dopędził go z tupotem stóp.

– Środkowa płyta za ołtarzem.

Nim słowa chłopaka zdążyły wybrzmieć, Tawl dopadł już ściany i wyrwał z niej deskę. Ujrzał przed sobą nieprzenikniętą ciemność. Nie zważając na nią, ruszył przed siebie. Świeca spowolniłaby jego kroki. Były tam tylko jedne schody, które prowadziły do góry. Przeskakiwał po cztery stopnie naraz. Po dłuższej chwili schody nagle się skończyły.

Nic nie widząc, Tawl pomacał przeszkodę. Drewno. Zapewne jakieś drzwi. Cofnął się na chwilę i uderzył w nie barkiem. Pękły z trzaskiem, a w ciało wbiły mu się drzazgi. Prawie ich nie poczuł. Raz jeszcze uderzył w drzwi całym ciężarem. Po ich drugiej stronie stało coś masywnego. Zaczął kopać w barierę. Przez powstałe szczeliny do korytarza wtargnęło światło i Tawl niewyraźnie dostrzegł ciężkie biurko. Ktoś zatarasował nim drzwi.

Usłyszał głos krzyczącej kobiety. Melli! Zebrał wszystkie siły, jakie miał w ciele, i uderzył o przeszkodę. Mebel przesunął się o szerokość dłoni. To wystarczyło. Tawl sforsował drzwi i wśliznął się w powstałą w ten sposób szczelinę. Krzyki ucichły. Złapał za blat i przewrócił biurko, które runęło z łoskotem na podłogę. Usłyszał za sobą Kosiarza, który przełaził przez resztki drzwi.

– Zostań na miejscu – ostrzegł go. Odgłosy umilkły natychmiast. Tawl znalazł się w małej izdebce. Za biurkiem, w kałuży krwi, leżały zwłoki strażnika. Poderżnięto mu gardło. Nie miał czasu dla zmarłych. Rozejrzał się wokół. Nie znał dobrze komnat diuka, zdążył się już jednak zorientować, że składają się z wielu pomieszczeń.

Zaczerpnął głęboko tchu, wyciągnął miecz i ruszył ku drzwiom. Znalazł się w pokoju, który znał – gabinecie diuka. Wielkie drzwi na jego przeciwległym końcu były jedynym wejściem do apartamentów. Tak przynajmniej dotąd sądził. Jego pracodawca okazał się głupcem, nie mówiąc mu o tajnym przejściu.

Tawl odwrócił się błyskawicznie ku drugim drzwiom, które musiały prowadzić do sypialni. Były zamknięte. Podeszedł do nich bezszelestnym krokiem. Krzyki umilkły, co oznaczało, że Melli została ranna,

nie żyje albo skrytobójca zdołał ją uciszyć. Tawl sądził, że napastnik wie o jego obecności w komnatach. Włamując się, narobił mnóstwo hałasu. Dlatego teraz zachowywał ostrożność.

Kiedy dotarł do drzwi, popchnął je lekko stopą. Gdy się otworzyły, cofnął się pod ścianę, by nie można go było zobaczyć.

– Zostań na miejscu – dobiegł ze środka jakiś głos – albo rozpruję jej brzuch.

Jej? To znaczyło, że diuk mógł już nie żyć. Tawl usłyszał odgłos kroków, a potem szelest jedwabiu.

– Cofnij się – polecił głos. – Wychodzę. Mam dziewczynę. Tawl odsunął się powoli od drzwi. Po drodze potracił sekretarzyk. Wyciągnął rękę, by nie pozwolić mu upaść, i wyczuł palcami lichtarz. Złapał go instynktownie i schował za plecami.

Pierwsza przez drzwi wyszła Melli. Tawl wciągnął gwałtownie powietrze w płuca. Twarz, szyja i pierś dziewczyny były spryskane krwią. Włosy miała splecione, a suknię pokrytą ciemnymi plamami. Postąpiła krok naprzód, tak by Tawl mógł zobaczyć nóż przyciśnięty do jej pleców.

– Rzuć broń – rozkazał trzymający oręż mężczyzna. – Natychmiast!

Tawl pochylił się i cisnął miecz na podłogę, do stóp

Melli. Dziewczyna spojrzała mu w twarz. Oczy lśniły jej od łez. Dygotała z przerażenia. Skinął do niej głową. Ruszyła naprzód. Skrytobójca podążał za nią. Odwróciwszy głowę, zauważył Tawla.

– Do tyłu – wrzasnął.

Tawl przesunął za plecami dłonie zaciśnięte na lichtarzu. Cofnął się o krok i wyciągnął nagle rękę. Uderzył świecznikiem prosto w twarz przeciwnika, po czym skoczył na niego. Wylądował obok Melli i odepchnął ją do przodu, aż się zatoczyła.

– Uciekaj! – krzyknął.

Gdy tylko to słowo opuściło jego usta, poczuł wbijający się mu w bok nóż. W jego ciele eksplodował ból. Wraz z nim rozjarzył się gniew. Odwrócił się i uderzył skrytobójcę w szczękę. Ten znowu uniósł nóż, lecz pięść Tawla była szybsza. Podążył za nią łokciem. Morderca został przyparty do framugi. Tawl poczuł, że po udzie spływa mu gorąca krew. Złapał przeciwnika za nadgarstek, walcząc lewą ręką z jego prawą. Znalazł się w martwym punkcie. Skrytobójca nie zwalniał uścisku.

Wtem Tawlowi wpadł do głowy pewien pomysł. Chwilę później wypuścił nóż z ręki. Morderca uśmiechnął się, sądząc, że zdobywa przewagę. Jego uśmiech stał się wskazówką dla Tawla, który cofnął

nagle głowę i uderzył nią z całej siły, trafiając przeciwnika czołem w nos. Trzasnęły kości. Popłynęła krew. Mężczyzna krzyknął. Tawl uderzył jego nadgarstkiem o drzwi, zmuszając go do wypuszczenia noża. Nie zważając na zawroty głowy, raz jeszcze celnie trafił go w twarz, prosto w złamany nos. Odłamki kości wbiły się aż do mózgu. Skrytobójca zachwiał się i stracił równowagę. Tawl pozwolił mu upaść, wykorzystując tę chwilę na podniesienie broni.

Kiedy morderca padł na posadzkę, nie żył już. Serce przebił mu jego własny nóż.

Tawl oparł się ciężko o framugę. Melli podbiegła do niego.

– Kazałem ci uciekać – wysapał.

Przepchnęła się obok niego, przeszła nad ciałem skrytobójcy i pobiegła do sypialni. Odwróciwszy się, Tawl zobaczył, że ukłękła przy ciele męża. Przycisnął pięść do rany w boku i opadł na kolana obok niej. Podobnie jak gwardziście, diukowi poderżnięto gardło.

– Nie żyje – wyszeptał, obejmując jej ramiona. – To było czyste cięcie.

Po policzkach Melli spływały ogromne łzy. Nie patrzyła na niego. Nie powiedziała ani słowa.

– Chodź ze mną – polecił cicho. – Nie możesz tu zostać. Jego umysł pracował już gorączkowo. Melli

groziło wielkie niebezpieczeństwo. Musieli opuścić pałac jeszcze tej nocy, zanim ktokolwiek odkryje zwłoki. Nie chciał ryzykować, że zostanie zamieszana w morderstwo. Lepiej, żeby ukryła się w bezpiecznym miejscu.

– Czekał na nas w sypialni. – Jej głos był wyprany z emocji. – Po prostu wyskoczył z ukrycia i...

– Psst. – Tawl ujął ją za rękę. – Chodź ze mną. Tu nie jesteś bezpieczna.

Pociągnął ją, lecz nie chciała się ruszyć. Drugą ręką ścisnęła dłoń diuka. Uniosła ją do ust i ucałowała po kolei wszystkie palce. Wkładała je delikatnie do ust, by ssać ich koniuszki.

Podniósłszy wzrok, Tawl zobaczył stojącego w drzwiach Kosiarza.

– Sprowadź tu lorda Maybora – polecił mu. Melli była w szoku. Potrzebowała kogoś znajomego, kto pomógłby jej przyjść do siebie. Kieszonkowiec oddalił się pospiesznie. Tawl wstał i podszedł do łoża. Pościel pokrywały płatki lilii i róż. Małżeństwo nie zostało skonsumowane i w związku z tym nie było ważne. Melli nie miała żadnych praw. Wszystko należało do Catherine. A więc Kylock będzie jednak władał Brenem.

Złapał za koc i ściągnął go z łoża. Płatki pofrunęły

w powietrze. Podeszedł do Melli i okrył jej ramiona narzutą. Ssała właśnie kciuk diuka i nawet nie zauważyła tego gestu. Odgarnął jej włosy z twarzy. Były lepkie od krwi. Stanik sukni miała mokry od łez. Nie mógł jej w żaden sposób pomóc.

Czując się bezużyteczny, wyszedł z komnaty. Opuszczała go cierpliwość. Nie wiedział, ile zostało im czasu. Wątpił, by strażnicy usłyszeli krzyki lub odgłosy walki. Przebywali na niższym piętrze, oddzieleni od nich kilkoma parami drzwi. Alarm mógł jednak podnieść ten, kto przysłał skrytobójcę. Był to zapewne Baralis, działający z pomocą Catherine. Córka diuka najprawdopodobniej wiedziała o tajnym przejściu. Tawl oderwał od bluzy pas materiału i obandażował sobie mocno bok, powstrzymując krwawienie. Jeśli w morderstwo była zamieszana Catherine, Melli groziło jeszcze większe niebezpieczeństwo. Córka diuka nienawidziła jej zaciekle. Kazałaby ją uwięzić albo stracić. Była teraz diuszesa Brenu i mogła robić, co zechce.

– Gdzie moja córka? – zapytał Maybor, wchodząc zamaszystym krokiem do komnaty. Podążał za nim Kosiarz. – Gdzie jest Melliandra?

– W sypialni z diukiem – odpowiedział Tawl, powstrzymując wielmożę ramieniem. – Bądź dla niej

delikatny.

Maybor skinął głową.

– Oczywiście.

Tawl i Kosiarz spoglądali na wkraczającego do sypialni ojca Melli. Rycerz wyciągnął rękę i zmierzwił włosy kieszonkowca.

– Świetnie się spisałeś. Kosiarzu. Jestem z ciebie dumny. Chłopak miał posępną minę.

– Nie. Tawl. To tobie należy się pochwała. Ja byłem tylko posłańcem.

Tawl potrząsnął powoli głową.

– Zawiodłem, Kosiarzu. Znowu zawiodłem.

W drzwiach pojawił się Maybor. Melli stała u jego boku, wspierając się ciężko o niego. Oczy miała skierowane w dal.

– Chodź już – rzucił Tawl.

– Dokąd pójdziemy? – zapytał Maybor.

– Musimy wyprowadzić Melli... Melliandrę – poprawił się – z pałacu. Jeśli tu zostanie, jej życiu będzie groziło niebezpieczeństwo. Gdy tylko wiadomość się rozejdzie, Catherine zechce się zemścić.

– Masz rację – przyznał Maybor ponurym tonem. Wyciągnął spod bluzy skrawek pergaminu. – Znam miejsce, w którym możemy się ukryć.

Wręczył kartkę Tawlowi. Wypisano na niej adres.

– Czyj to dom? – zapytał Tawl.

– Lorda Cravina. Leży w południowej części miasta. Powiedział mi, że jeśli kiedyś znajdę się w potrzebie, mogę się tam udać.

– A więc tak zrobimy. – Tawl zwrócił się ku Kosiarzowi. – Wiesz, jak możemy wydostać się stąd niezauważeni?

W najmniejszym stopniu nie zaskoczyło go, że kieszonkowiec skinął głową.

– Wiem. Przy tajnym przejściu, po drugiej stronie schodów, jest dziura, przez którą można się przecisnąć. Kiedy już to zrobimy, wyprowadzę nas stąd bardzo szybko. W całym pałacu jest pełno korytarzy. W niektórych oczywiście cuchnie, a staruszek lord Maybor będzie miał trudności z przedostaniem się przez szczelinę. – Kosiarz obrzucił wielmożę uważnym spojrzeniem. – Chyba będziemy ją musieli dla niego poszerzyć.

– Dość już tego, Kosiarzu. – Głos Tawla brzmiał twardo. – Damy sobie radę.

Powiódł małą grupkę przez komnatę, a potem w dół, po schodach. Zgodnie z przewidywaniami ulicznika, szczelina okazała się za wąska dla Maybora. Tawl wyciągnął nóż i zaczął odłupywać rękojęcią

kamień, kawałek po kawałku. Gdy już wydostali się przez otwór wentylacyjny, Kosiarz wyprowadził ich z pałacu w mrok miasta.

Nad Brenem zapadła zimna, bezksiężycowa noc. Nie było gwiazd ani ludzi, którzy byliby świadkami ich ucieczki. Znad Wielkiego Jeziora dał zawodzący wicher, który zdawał się popychać ich przed sobą, gdy spieszyli we czworo przez ulice ku bezpiecznemu schronieniu.

36

Baralis siedział za nowym biurkiem w swych nowych komnatach. Uśmiechał się. Staruszek diuk nie żył już od dwóch tygodni. Dwóch absolutnie doskonałych tygodni.

Wszystko ułożyło się pięknie, lepiej niż mógłby na to liczyć. Diuk spoczywał w grobie, Traff nie żył i nie mógł nie opowiedzieć, Melliandra zbiegła z pałacu, a małżeństwo z całą pewnością nie zostało skonsumowane, nie tylko więc nie istniała możliwość pojawienia się dziedzica, lecz małżonka diuka nie miała żadnych praw do spadku po nim. Na koniec, Maybor uciekł razem z córką. Po wszystkich tych miesiącach królewskiemu kanclerzowi wreszcie udało się uwolnić od próżnego, wścibskiego wielmoży. Los wyraźnie mu sprzyjał.

Pograżony w rozmyślaniach, Baralis przeciął sznur, którym związano paczkę ksiąg. Dziś rano przybył goniec z chaty Bevlina i na biurku królewskiego kanclerza spoczywała teraz pierwsza z wielu przesyłek.

Jeśli mu się poszczęści, może się dowie, dlaczego mędrzec zlecił rycerzowi misję. Jeśli nie, jego biblioteka powiększy się o kilka tomów. Baralis ściągnął skórę, w którą owinięto księgi, i przyjrzał się im. Niektóre były doprawdy bardzo interesujące.

Rycerz i grupka jego towarzyszy nadal ukrywali się gdzieś w mieście. Na polecenie Baralisa uważnie obserwowano wszystkie bramy. Gdyby opuścili Bren, dowiedziałby się o tym. Obiecał to władcom Larnu. Jutro zamierzał przekonać niedawno osieroconą Catherine, by zarządziła przeszukanie wszystkich domów w mieście.

Wątpił, by zbiegów udało się schwytać w ten sposób, zrobi to jednak dobre wrażenie. Ludzie powinni zobaczyć, że diuszesa nie szczędzi starań, by pojmać morderców ojca. A przynajmniej ludzi podejrzanych o morderstwo.

Och, krążyło mnóstwo teorii na temat tego, kto zabił diuka; obłąkany skrytobójca działający w pojedynkę; dawny kochanek Melliandry, który nie chciał się pogodzić z jej zamążpójściem; Tawl, obrońca diuka, działający na zlecenie Valdisa i oczywiście sama panna młoda, córka Maybora, która nigdy naprawdę nie kochała diuka, a pragnęła wyłącznie władzy i bogactw. Znalezione zwłoki

Traffa. W serce głęboko wbił mu się nóż, którym zamordowano diuka. W obecnej chwili mieszkańcy Brenu nie wiedzieli, czy zwać nieznanego mężczyznę mordercą, czy też bohaterem. Baralis rozciągnął powoli wargi w uśmiechu. To było doprawdy zachwycające.

Fakt, że Tawl z Melliandrą zbiegli z miejsca zbrodni, dodawał impetu pogłoskom o ich winie. Niewinni ludzie zostają na miejscu, by stawić czoło oskarżycielom, to zbrodniarze muszą się ukrywać. Owo powszechnie żywione przekonanie mogło być błędne, lecz nie było rozsądnie postępować wbrew wynikającym z niego zaleceniom. Wszyscy Breńczycy szukali kogoś, kogo można by obciążyć winą za zamordowanie ich umiłowanego diuka, a któż byłby lepszym kandydatem niż dwoje zbiegów: zdradziecki rycerz i cudzoziemska dziewczka?

Baralis zaczął przerzucać karty księgi Bevlina. Najwięcej trudności przysporzyła mu dotąd Catherine. Rankiem po zabójstwie przyszła do niego. Była wściekła i zbita z tropu. Po jej pięknej twarzy spływały łzy. Chciała się dowiedzieć, dlaczego zamordowano jej ojca. Spodziewał się tej wizyty. Do wina, które dał dziewczynie, dosypał narkotyku. Nie było to nic szczególnego: odrobina środka uspokajającego z

dotądkiem czegoś innego, co wywoływało łatwowierność. Elixir okazał się znakomitym dodatkiem do słów Baralisa, który przedstawił Catherine własną wersję wydarzeń poprzedniego wieczoru. Wyjaśnił jej, że kiedy skrytobójca wpadł do komnaty, gotowy poderżnąć chude gardziołko Melliandry, zastał diuka martwego, a pannę młodą w łożu z jego obrońcą. Doszło do walki Tawła ze skrytobójcą i ten drugi niestety przegrał.

Wiarygodność tej opowieści wzmacniały dwa fakty: po pierwsze, lekarze diuka stwierdzili, że narzędziem zbrodni był nóż wbity w serce skrytobójcy, a po drugie, Catherine żywiła do Tawła szaleńczą nienawiść. Gorąco pragnęła uwierzyć w jego winę, ponieważ zabił jej kochanka. Nie trzeba było wiele, by ją przekonać, że zamordował również jej ojca.

Nowa diuszesa całkowicie już przeszła do obozu Baralisa. Pozwalała teraz, by kierował jej poczynaniami. Odwiedzała go codziennie, wypijała kielich skażonego wina, muskała pulchnymi wargami jego policzek, a potem z ochotą wysłuchiwała rad, jakich jej udzielał. Jej decyzje i rozkazy pochodziły od niego. To on władał dziś Brenem. Catherine wyjdzie za Kylocka.

Gdy tylko upłynie oficjalny okres żałoby –

czterdzieści dni i czterdzieści nocy – ślub się odbędzie. Tutaj, w mieście. Nic już nie pokrzyżuje jego planów. Nic.

Nawet Kylock dobrze odgrywał swą rolę. Podbiwszy zachodni Halcus i zajmąwszy stolicę, Helch, młody król okazał pewien umiar. Zamiast kontynuować wojnę i próbować zająć resztę kraju, zaproponował zawarcie pokoju. Cała północ odetchnęła z ulgą na tę wieść. Baralis był zadowolony. Chwili nie można było wybrać lepiej. Ostatnie posunięcie Kylocka uspokoiło Annis i Highwall. Ryzyko, że oba te miasta będą się czynnie sprzeciwiać połączeniu Brenu z królestwami, zmalało. Już od wielu miesięcy wzmacniały potajemnie armie i ich sprzeciw mógł mieć wielkie znaczenie. Wojna była nieunikniona, zdecydowanie lepiej jednak będzie zaczekać z nią do chwili, gdy wszystko będzie gotowe. Annis i Highwall miały się teraz na baczności, lecz po kilku miesiącach pokoju ich ostrożność zmaleje.

Kylock z pewnością świetnie sobie poradzi podczas rozmów pokojowych z Halcusami. Po zwycięstwie na polu walki i zajęciu stolicy jego pozycja negocjatora była silna i nie ulegało wątpliwości, że zakończy rokowania, mając w rękach znaczącą część nieprzyjacielskiego terytorium. Halcuscy wodzowie

nie byli głupcami. Będą woleli oddać jedną czwartą swej dziedziny niż podjąć ryzyko, że w następnej krwawej wojnie Kylock zagarnie całość. Pierwsze spotkanie z nimi miało się odbyć tej nocy w obozie Kylocka, postawionym tuż obok Helchu. Baralis zaczął przeglądać kolejną z ksiąg Bevlina. Ciekawe, co też przyniesie ranek.

Nie znalazł w przeglądanych tomie nic interesującego, wziął więc w rękę następny. Był to bardzo stary egzemplarz *Księgi stów* Maroda. Mało brakowało, by postanowił nie zawracać sobie nim głowy – tę księgę posiadał każdy pomniejszy duchowny i głupkowaty uczoney w Znanych Krainach – ale jego uwagę przyciągnęło coś w delikatnej patynie, która pokrywała okładkę z owczej skóry. Ten tom był nie tylko stary, lecz wręcz starożytny.

Odwracał stronicę z narastającym podnieceniem. Pod tekstem wyraźnie dostrzegało się duchy słów: blade fragmenty tego, co ongiś napisano, a następnie zmyto. Papier wykorzystano dwukrotnie. Wzdłuż kręgosłupa Baralisa przemknął dreszcz czystej radości. To była jedna z czterech oryginalnych kopii Galdera. Powszechnie wiadomo, że Marod zmarł w nędzy, a jego sługa, Galder, nie mogąc nabyć nowego papieru, był zmuszony pisać na starych manuskryptach. Baralis

zaczął traktować księgę z szacunkiem. Była warta więcej niż skrzynia pełna klejnotów.

Uniósł ją ku światłu, by uważniej przyjrzeć się papierowi. Kiedy zbliżył tom do płomienia świecy, spomiędzy kart coś się wysunęło. Zakładka. Baralis złapał jedwabną wstążkę, nim zdążyła wypaść. Trzymając ją w dłoni, otworzył księgę na stronie, którą zaznaczała. Znajdował się na niej wiersz. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że go zna, czytając go jednak, zdał sobie sprawę, że wersja, którą pamiętał, różniła się nieco od tej, którą miał przed oczyma:

*Gdy ludzie honoru zapomną o swej sprawie
A krew trojga ludzi jednego dnia posmakowana
będzie*

*Dwa bogate domy małżeństwem się połączą
A rozkład zrodzą ich lędźwie
Zjawi się człowiek nie mający ojca ni matki
Lecz siostrę za kochankę
I powstrzyma zarazę
Kamienie się rozstąpią, świątynia upadnie
Rozrost imperium mroku jego głos powstrzyma
snadnie
A prawdę zna tylko głupiec.*

Kiedy skończył lekturę, serce waliło mu jak młot. Wiersz mówił o małżeństwie Catherine z Kylockiem. Przewidywał powstanie imperium, które zamierzał stworzyć Baralis, i wspominał o człowieku, który mógł je zniszczyć. Królewski kanclerz zaczerpnął głęboko tchu, próbując uspokoić trzęsące się dłonie i tłukące szaleńczo serce. Wszystko było tu opisane. Wszystko. Krwi trojga ludzi posmakowano wtedy, gdy spłodził Kylocka. Sam to uczynił. Ludźmi honoru byli rycerze. Odkąd ich wodzem został Tyren, jedyną sprawą, o którą walczyli, było złoto.

Wstał, podszedł do kominka i nalał sobie odrobinę wina. Musiał się zastanowić. Bevin polecił rycerzowi odszukać tego, o kim mówiło proroctwo: człowieka nie mającego ojca ni matki. Chłopca, którego według jasnowidzów z Larnu można było znaleźć w królestwach. Baralis wpatrzył się w głęb kielicha, przebiegając palcami po jego brzegu. Wino miało kolor krwi. Kto to mógł być?

Przez jego mózg przemknęło wspomnienie zaczerpnięcia mocy tak potężnego, że wyrwało go ze snu. Cofnął się myślą jeszcze dalej, do innego zaczerpnięcia mocy i stu sześćdziesięciu bochnów chleba, które ledwie zdążyły zbrązowieć. Cała jego jaźń wpadła w rezonans, wszystkie włosy się zjeżyły.

Kielich w jego dłoniach stał się kielichem ofiarnym. Zacisnął wokół niego palce niczym kapłan. Piekarczyk Jack. To o nim mówiło proroctwo.

Tavalisk przebywał w kuchniach, wybierając kraby. Stał razem z kucharzem nad metalowym zbiornikiem, poddając próbom skorupiaki. Ich wybieranie stanowiło prawdziwą sztukę, a arcybiskup był w niej mistrzem. Tajemnica jakości nie kryła się w rozmiarach ani kolorze tych stworzeń, lecz w ich szybkości. To najszybsze egzemplarze były najbardziej mięsiste, najsmaczniejsze i sprawiały największą satysfakcję językowi. By ocenić szybkość rozmaitych krabów, które miał przed sobą, Tavalisk opracował pewien test. Wrzucał do wody wielkie, ciężkie kamienie, celując w miejsca, gdzie gromadziły się największe skupiska skorupiaków. Te, które zostały zmiażdżone, uznawał za niegodne. Garstkę szczęśliwców, którym udało się pierzchnąć w bezpieczne miejsce, czekały płomienie.

Skrzywił twarz. Ostatnim kamieniem zabił prawie połowę krabów.

– Wasza Eminencjo – odezwał się ktoś za jego plecami.

– Słucham, Gamilu – rzekł arcybiskup, odwracając się. – O co chodzi?

– Konwoje ze złotem dotarły bezpiecznie do Annisu i Highwall, Wasza Eminencjo.

– A co z bronią?

– Wysłaliśmy ją dopiero w zeszłym tygodniu. To może jeszcze trochę potrwać.

– Mam nadzieję, że dopilnowałeś, by była pilnie strzeżona? Nie chciałbym, żeby pięćdziesiąt wozów wiozących stal i maszyny oblężnicze wpadło w niepowołane ręce.

– Transportowi towarzyszy cały batalion. Wasza Eminencjo. Zastosowaliśmy też dodatkowy środek ostrożności. Pojadą dolną przełęczą. Nawet nie zbliżą się do Brenu.

Tavalisk cisnął do zbiornika kolejny kamień.

– Świetnie. – Woda plusnęła mu na rękaw, gęsta od krabowej piany. – A więc nie ma niebezpieczeństwa, że nasza broń wpadnie w chciwe łapki Baralisa?

– Raczej diuszesy Catherine.

– Nie, Gamilu. Baralisa. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to on włada teraz Brenem.

Arcybiskup popatrzył w mętłą wodę. Ujrzał tam kolejne skupisko martwych krabów.

– Czy Wasza Eminencja uważa, że rozsądnie jest wysyłać broń do Annisu i Highwall, kiedy na horyzoncie widać już pokój?

– Pokój! – zachnął się Tavalisk. – Ten tak zwany pokój nie ma większej przyszłości niż tamten krab.

Wskazał na róg zbiornika, gdzie w cieniu ukrył się jeden z ocalałych skorupiaków, po czym natychmiast upuścił na niego kamień. Małemu, nieustępliwemu skorupiakowi udało się czmychnąć, arcybiskup jednak znalazł wystarczające pocieszenie w fakcie, że zdołał pięknie spłaszczyć dwóch jego towarzyszy.

– Czy mogę zapytać, dlaczego Wasza Eminencja wkłada tak wiele wysiłku w zorganizowanie na południu poparcia dla Annisu i Highwall?

– Oczywiście, że możesz, Gamilu. Kylock poślubi teraz Catherine. To przynajmniej jest pewne. Diuk został usunięty, królestwa i Bren połączą się więc w jedną całość. Kylock zapewnił już sobie pomoc rycerzy. – Tavalisk zerknął przelotnie na sekretarza. – Nie rozumiesz? Nakreślono już linie podziału. Do wybuchu wojny wystarczy najdrobniejsza prowokacja, a w obecnej sytuacji Annis i Highwall nie będą miały szans. Potrzebują naszego wsparcia, gdyż jeśli go im nie udzielimy, nim zdążymy się zorientować, cała północ wpadnie w łapska Kylocka, a do tego po prostu nie możemy dopuścić. Wszyscy wiemy, gdzie jego ambicje skierują go później. Na południe. – Arcybiskup wrzucił do zbiornika kolejny kamień. – A

południowe miasta nie są raczej przygotowane do walki. Nie bawimy się tu w budowę fortec i wysokich murów, tak jak na północy. Gamil skinął głową.

– Czy to ma jakiś związek z prorocstwem Maroda. Wasza Eminencjo?

– Pamiętasz o nim, prawda?

Tavalisk pocierał przez chwilę różowy, pozbawiony zarostu podbródek, zastanawiając się, czy zdradzić Gamilowi swą teorię. Chwila była odpowiednia. Zbyt długo już okazywał skromność.

– Zostaw nas na chwilę, panie Bunyonie – powiedział, zwracając się do kucharza. – Wezwę cię, gdy będziesz mi potrzebny.

Kucharz, którego podstawowym obowiązkiem było w obecnej chwili podawanie arcybiskupowi kamieni, skinął głową i wyszedł.

Tłuścioch ponownie spojrzął na Gamila. Sekretarz miał wyraźnie zażenowaną minę. Tavalisk zaczerpnął głęboko tchu i zaczął recytować prorocstwo. Znał je już na pamięć:

*Gdy ludzie honoru złoto przedłożą nad łaskę
Gdy dwa wielkie mocarstwa złączą się w jedno
Świątynie upadną
Powstanie imperium mroku*

*A na świat spłyną zguba i zniszczenie
Zjawi się człowiek nie mający ojca ni kochanki
Lecz obiecany innemu Który uwolni kraj od klątwy.*

Tavalisk zakończył recytację odpowiednio dramatycznym gestem, po czym zwrócił się niecierpliwie w stronę Gamila.

– Mam nadzieję, że wszystko jest już dla ciebie jasne. Sekretarz był ostrożny.

– Niezupełnie, Wasza Eminencjo.

– Doprawdy, Gamilu, i ty chcesz się zwać uczonym! – Arcybiskup pokiwał palcem, nakazując sekretarzowi się przybliżyć. – Czyż to nie oczywiste, że ten wiersz przepowiada moralny rozkład rycerstwa, zdobycie władzy na północy przez Kylocka oraz zagładę kościoła?

– Zagładę kościoła, Wasza Eminencjo?

– Tak, ty tępaku. „Świątynie upadną”. Kto poza kościołem ma świątynie?

Gamil skinął powoli głową.

– Wasza Eminencja może mieć rację. Kim więc jest ten, który uwolni kraj od klątwy?

Tavalisk uśmiechnął się jak bogata wdowa.

– To ja, Gamilu. Proroctwo mówi o mnie.

– O Waszej Eminencji!

– Tak jest. – Zdumiona mina sekretarza w najmniejszym stopniu nie zbiła z tropu arcybiskupa. – Zastanów się chwilę, Gamilu. Pomyśl o fragmencie: „Zjawi się człowiek nie mający ojca ni kochanki”. Nie mam ojca, a moja pozycja nie pozwala mi brać sobie kochanek. A potem następny ustęp: „Lecz obiecany innemu”. Ja jestem obiecany innemu, Gamilu. Jestem obiecany Bogu.

Sekretarz spoglądał na niego tak, jakby miał do czynienia z obłąkanym.

– I co Wasza Eminencja zamierza w tej sprawie zrobić? – zapytał.

– Już to robię, Gamilu. Z proroctwa Maroda jednoznacznie wynika, że moim świętym obowiązkiem jest położenie kresu wzrostowi wpływów Kylocka na północy. Muszę uczynić wszystko, co w mojej mocy, by spowodować upadek nowego króla. To moje przeznaczenie. Jeśli mi się nie powiedzie, wyruszając na południe, Kylock przyprowdzi ze sobą rycerzy. Nim zdążymy się zorientować, Tyren zacznie palić nasze miejsca kultu i zmuszać wszystkich do nawrócenia się na wiarę wyznawaną w Valdis. Będzie to oznaczało koniec kościoła w znanej nam postaci.

– To z pewnością wielka odpowiedzialność, Wasza Eminencjo. – Gamil zmrużył oczy. – Czy Wasza

Eminencja liczy na jakieś osobiste korzyści?

– Nie chcę dla siebie niczego, Gamilu. – Tavalisk wzruszył ramionami. – Jeśli jednak kościół poczuje potrzebę odwdzięczenia mi się tytułem Tego Który Jest Najświętszy, nie będę chyba mógł odmówić?

– Z całą pewnością nie. Wasza Eminencjo. Tavalisk klasnął w dłonie.

– Możesz już odejść, Gamilu. Przyślij tu pana Bunyona. Och, nie zapomnij też pilnie nasłuchiwać wieści o negocjacjach pokojowych Kylocka. Ma do nich dojść dziś w nocy, prawda?

– Tak, Wasza Eminencjo. Od jutra północ będzie spała spokojniej. Gamil pokłonił się i wyszedł.

Spoglądając w ślad za oddalającym się sekretarzem, Tavalisk poczuł przelotny niepokój. Czy słusznie postąpił, zwierzając się? Wzruszył ramionami. Gdyby Gamil zaczął rozpowszechniać jakieś plotki, zawsze będzie mógł go uciszyć bądź uznać za obłąkanego. Ta myśl szybko pocieszyła arcybiskupa, który przypomniał sobie nagle o jedzeniu. Przyglądał się, jak kucharz wylawia ze zbiornika jedyne ocalałego kraba. Być może pokój potrwa jednak trochę dłużej niż życie skorupiaka. Tavalisk z pewnością żywił taką nadzieję, gdyż pan Bunyon miał zaraz przypiec małe, niestrudzone stworzenie na bardzo

gorącym płomieniu.

To dziwne, że w samym środku wiosny noc mogła być taka zimna. Z ust Kylocka buchała biała para, która rozpraszała się szybko, nim zdążyła dotrzeć do granicy cienia. Założył rękawice, nie ze względu na chłód, lecz na wszechobecny brud. Czuł, jak pot z jego palców wsiąka w ukryty pod wygarbowaną skórą jedwab. Dostawał od tego mdłości.

Stał skryty w fałdach swego namiotu, obserwując przybycie halcuskich wodzów. Przyjechali na masywnych koniach, odziani w ceremonialne zbroje. W wolnych rękach trzymali pochodnie, a do pasów przytroczyli miecze. Byli to imponujący, doświadczeni mężczyźni. Szlachetni wojownicy o posiwiałych włosach, a szyjach i ramionach pokrytych potężnymi mięśniami. Prawdziwymi mięśniami, wyrobionymi w prawdziwych bitwach, a nie w bezpiecznych, rozgrywanych dla rozrywki turniejach. Weterani wielu kampanii, wiedzący, co to krew, ból i zwycięstwo. To do nich należała władza w halcuskim królestwie.

Dzisiejszej nocy przybyli rozmawiać o pokoju.

Zbliżając się do obozu, miny mieli ponure. Byli sami. Ich eskorta – pełna kompania wojska – zatrzymała się w odpowiedniej odległości od obozu. Byli to dumni ludzie i jadąc na spotkanie z wrogiem

nie zapominali o swej godności. Dumni, ale nie głupi, pomyślał Kylock. Obóz z pewnością okalał pierścień ich żołnierzy, leżących na brzuchach z mieczami w dłoniach i napinających łuki w mroku za krzakami i drzewami. Przebiegł palcem w rękawicy po szorstkiej tkaninie namiotu. Nie niepokoiło go to. Ich pierścień otoczył własnym pierścieniem.

Naliczył dwunastu. Niektóre twarze były znajome, inne nie. Lord Herven i lord Kilstaff zsiadli z koni. Walczyli z nim na granicy i jako pierwsi stali się świadkami jego sukcesu. Lord Angus, pierwszy obrońca Helchu, pogрузzył się w rozmowie z Gerheartem z Askethu. Obaj sprawiali wrażenie podenerwowanych. Stali blisko siebie i mówili szeptem. Po chwili Kylock zobaczył, że nadjechał sam wielki lord Tymouth. Jego zadaniem była obrona królestwa i odpowiadał jedynie przed monarchą.

Kylock przemknął się i wszedł do namiotu. Czekał tam na niego lord Vernal. Skinął do niego głową.

– Przyjechali – oznajmił.

Vernal wyglądał na podenerwowanego. Kylock wolałby, żeby go tu nie było, nie dzisiaj. Niemniej byłego komendanta wojsk królestw szanowano w Halcusie i to jego imię oraz sława sprowadziły tu halcuskich wodzów. Ufali Vernalowi. Był

człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa.

– Jeśli wszystko już gotowe, pójdę do nich – oznajmił Vernal. Jego twarz była nieprzenikniona, a głos nie wyrażał. Dopił resztkę brandy. – Liczę na to, że zjawisz się za chwilę. Znam tych ludzi. Nie byłoby rozsądnie kazać im czekać.

– Lordzie Vernalu, nie przypominam sobie, bym prosił cię o radę – rzucił Kylock zwodniczo beztroskim tonem. – Idź już. Przywitaj moich gości. Zabaw ich opowieściami o dobrych, minionych dniach patowej sytuacji.

– Ostrzegam cię, Kylocku. Nie okazuj tym ludziom pogardy. Mogłeś ich pobić, lecz mimo to zasługują na szacunek. Walczyli już w wojnach, nim jeszcze się urodziłeś.

W Kylocku zawrzał gniew. Nikt oprócz Vernala nie ważył się traktować go w ten sposób. Skórzana rękawica skrzypnęła, gdy zwinął dłoń w pięść. Nagłym, szybkim ruchem uderzył nią w biurko. Głośny łoskot sprawił mu satysfakcję.

– Lepiej już idź, lordzie Vernalu – powiedział bardzo cicho. – Czekają na ciebie w namiocie negocjacyjnym.

Z zadowoleniem ujrzał w oczach Vernala strach. Strach i coś jeszcze. Może zrozumienie? Machnął ręką,

nakazując dostojnikowi odejść, po czym odwrócił się do niego plecami. Było już za późno. Vernal niczego nie zmieni.

Po jego wyjściu. Kylock wziął w dłoń puchar, z którego tamten pił. Ujął go przy podstawie, uważając, by nie dotknąć brzegu, i wyniósł z namiotu, który następnie okrążył, by cisnąć kielich do ognia. Nie będzie pił z, niczyjego naczynia poza własnym.

Szybko wrócił na swą pozycję między fałdami namiotu. Patrząc, jak Vernal pozdrawia halcuskich wodzów, wykrzywił usta w szyderyczym grymasie. Obejmowali się za ramiona i poklepywali po plecach, a nawet przekomarzali dobrodusznie. Kylock wyraźnie usłyszał, jak Vernal zaprasza gości do środka. Lord Tymouth potrząsnął głową i powiedział coś, co natychmiast uciszyło wszystkich obecnych. Kylocka nawiedziło złowieszcze przeczucie. Popatrzył z ukosa na drugi koniec obozu, gdzie w cieniu czekał ktoś inny. Kedrac, syn lorda Maybora i najbardziej zaufany towarzysz króla, uniósł rękę na znak, że dostrzegł jego spojrzenie. Ten drobny gest znaczył bardzo wiele. Mówił: „Zaczekaj, zobaczymy, co właściwie się dzieje”. Ucieszyło to Kylocka. Syn Maybora nie tracił odwagi.

Do obozu zbliżyło się trzech jeźdźców. Dwóch z

nich trzymało pochodnie, trzeci zaś, jadący pośrodku, wyglądał pokracznie. Jeden bark miał wyraźnie wyżej niż drugi. Kylock wciągnął powietrze przez zęby. To był król.

Hirayus, władca Halcusu. Garbus i tyran. Wrogowie się go bali, a własny lud otaczał czcią. Z pięćdziesięciu lat życia, czterdzieści spędził na tronie. Kiedy ukończył dziesiąty rok, lekarze orzekli, że jest zbyt słaby, by doczekać jedenastego. Żył jednak do dziś, po to tylko, by zrobić im na złość. Był na północy legendą. Determinacja, siła woli i całkowite poświęcenie swemu krajowi uczyniły z kaleki bohatera.

Wodzowie zwrócili się w jego stronę. Wyciągnęli miecze na znak szacunku i skierowali je ku ziemi, by okazać uległość. Vernal podszedł do niego. Wymienili kilka słów i Hirayus zsiadł z konia.

Stojący po drugiej stronie obozu Kedrac uniósł rękę. Kylock powtórzył ten gest. Ramię drżało mu z niepokoju. Króla nie miało tu być. To Tymouthowi przydzielono zadanie prowadzenia negocjacji. Tymouthowi i wodzom. Cofnął się głębiej między fałdy namiotu. Serce biło mu jak szalone. Jedwab między jego palcami był ciepły i wilgotny jak wnętrze macicy. Nie był w stanie tego znieść. Ściągnął

rękawice i rzucił je na ziemię. Gdy chłodne nocne powietrze osuszyło pot, Kylock uspokoił się. A więc przyjechał król. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie?

Ponownie zwrócił uwagę na negocjatorów. Vernal wprowadzał Hirayusa do namiotu. Teraz będą oczekiwali jego przyjścia.

Jego nozdrza wypełnił dym i zapach płonącego drewna. Ucieszyło to Kylocka. Owa woń wydawała się niemal oczyszczająca. Król przybył na rozmowy. Znaczyło to, że po zawietrznej stronie wzgórza będzie przynajmniej jeszcze jedna kompania, a wokół obozu dwukrotnie większa liczba żołnierzy. Można z tym sobie poradzić. Hirayusowi zapewne wydawało się, że postąpił sprytnie, zjawiając się tu bez zapowiedzenia. Kylock uniósł palce do nosa. Nadal czuł na nich nieprzyjemny zapach matki. Garbus nie wykazał się sprytem, lecz popełnił największy błąd w życiu.

Dłoń Kylocka wynurzyła się z cienia. Błada skóra zaśniła w blasku księżyca niczym szkło. Młody król wyprostował długie, arystokratyczne palce, zwracając ku Kedracowi wewnętrzną powierzchnią dłoni. Powoli, bardzo powoli, opuścił ją w dół, ku ziemi.

Gdy tylko cień zastąpił blask księżyca na jego skórze, Kylock usłyszał odgłos naciąganych cięciw, brzęk wydobywanych z pochew mieczy i kroki

wybiegających z namiotu Kedraca mężczyzn. Rozległ się krzyk i rozpoczęto rzeź.

W namiot uderzyła setka wyposażonych w zadziory strzał, które przebiły tkaninę, jakby była płócienną szmatką. Gdy tylko trafiły w cel, do środka wdarli się żołnierze. Wydano im prosty rozkaz: zabić wszystkich, którzy pozostali przy życiu. Kylock usłyszał wrzaski ludzi, kwik koni i szczęk oręża. W oddali rozległy się odgłosy walki. To dwie halcuskie kompanie usiłowały wdrzeć się do obozu. Żaden z nieprzyjacielskich żołnierzy nie dotrze tu żywy. Na stokach wzgórz i w lesie jego ludzie ruszyli już na łuczników Hirayusa, zabijając ich jednego po drugim.

Kylock wyszedł w blask księżyca. Ruch w namiocie negocjacyjnym już zamierał. Tkanina przestała łopotać. Wyjął pochodnię z metalowego stojaka i ruszył w tamtą stronę. Ostatni z jego ludzi wypadł na zewnątrz i spojrzał królowi prosto w oczy.

– Wszyscy są już martwi, panie.

Skinął głową. Podszedł do namiotu i dotknął go pochodnią. Tkanina łatwo, już przy pierwszym kontakcie, zajęła się ogniem. Płomienie pobiegły z trzaskiem ku górze. Kylock cofnął się, by móc lepiej podziwiać pożar.

– Płoń dzisiaj jasno, królu Hirayusie – wyszeptał. –

Niech ogień, który strawi twego trupa, stanie się dla mieszkańców północy ostrzeżeniem. Kylock jeszcze z wami nie skończył.